

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

**RODZINA
POŁANIECKICH**

Tower Press 2000

COPYRIGHT BY TOWER PRESS, GDAŃSK 2000

TOM PIERWSZY

I

Była godzina pierwsza po północy, gdy Połaniecki zbliżał się do dworu w Krzemieniu. Za swoich dziecinnych lat był on dwukrotnie w tej wsi, dokąd jego matka, daleka krewna pierwszej żony dzisiejszego właściciela Krzemienia, wozila go na wakacje. Połaniecki usiłował teraz przypomnieć sobie tę miejscowość, ale przychodziło mu to z trudnością. Po nocy, przy księżycu, wszystko brało kształty odmienne. Nad zaroślami, łąkami i grudzią leżał nisko biały tuman zmieniając całą okolicę jakby w bezbrzeżne jezioro, które to złudzenie powiększały jeszcze odzywające się w tumanie chóry żab. Noc była lipcowa, bardzo pogodna i oświetlona pełnią. Chwilami, gdy żaby milkły, słyhać było derkacze grające po rosie, a czasem z daleka, od błotnistych stawów ukrytych za olszynami, odzywał się, jakby spod ziemi, głos bąka.

Połaniecki nie mógł się oprzeć urokowi tej nocy. Była mu ona jakaś swoja, i tę swojskość odczuwał tym lepiej, że dawniej nieczęsto bywał w kraju, a dopiero przed dwoma laty powrócił na stałe z zagranicy, gdzie spędził pierwszą młodość, a później zajmował się sprawami handlowymi. Teraz, gdy wjeżdżał do tej śpiącej wioski, przypomniało mu się także własne dzieciństwo, pamiętne ze względu na matkę, która od pięciu lat nie żyła, i dlatego że przykrości i troski tego dzieciństwa, w porównaniu do dzisiejszych, wydawały się zupełnie błahe.

Bryczka wtoczyła się na koniec do wsi, którą poczynał krzyż stojący na wydmie. Pochylił się on już bardzo i groził upadkiem. Połaniecki pamiętał go dlatego, że w swoim czasie pochowano pod tą wydmą wisielca, którego znaleziono na gałęzi w pobliskim lesie, a potem ludzie bali się tamtędy nocą przechodzić.

Za figurą poczynały się pierwsze chaty. Ale ludzie już spali. W żadnym oknie nie było światła. Jak okiem sięgnąć, połyskiwały tylko na nocnym tle nieba oświetlone księżycem dachy chałup, które w tym blasku wydawały się srebrne i siwe. Niektóre chałupy były umazane wapnem i świeciły jasnozielono; inne, ukryte w sadkach wiśniowych, w gąszczu słoneczników lub tyczkowej fasoli, zaledwie wychylały się z cienia. Po podwórkach czekały psy, ale jakby przez sen, dając wtór rechotaniu żab, graniu derkaczy, bąków i tym wszystkim wołaniom, którymi odzywa się letnia noc, a które potęgują jeszcze wrażenie ciszy.

Bryczka, posuwając się zwolna sypką, piaszczystą drogą, wtoczyła się na koniec w ciemną aleję popstrzoną tylko tu i ówdzie światłem wdzierającym się przez liście. Na końcu tej alei poświstywali stróże nocni. Przy ujściu bielił się dwór, w którym kilka okien było oświetlonych. Gdy bryczka zaturkotała przed gankiem, z domu wybiegł służący chłopak, który począł pomagać Połanieckiemu przy wysiadaniu, a oprócz tego zbliżył się stróż nocny i dwa białe psy, widocznie bardzo młode i łagodne, gdyż zamiast czekać, jeły łasić się, wspinać się na gościa i okazywać z jego przybycia radość tak wielką, iż stróż musiał miarkować jej wylew za pomocą kija.

Chłopak zdjął z bryczki rzeczy Połanieckiego, on sam zaś znalazł się po chwili w jadalnym pokoju, gdzie czekała na niego herbata. Przy jednej ścianie stał orzechowy kredens, obok zegar z wielkimi wagami i kukułką, z drugiej strony dwa liche portrety kobiece w strojach z osiemnastego wieku, na środku zaś stół nakryty białą serwetą, otoczony krzesłami o wysokich poręczach. Pokój ten, oświetlony jasno, pełen pary unoszącej się z samowara, wyglądał dość gościnnie i wesoło.

Połaniecki począł przechadzać się wzdłuż stołu, ale skrzywienie własnych butów raziło go w tej ciszy, poszedł więc ku oknu i patrzył przez szyby na oświetlone księżycem podwórze, po którym te same dwa białe psy, które witały go z takim wylaniem, goniły się teraz ze sobą.

Po jakimś czasie drzwi przyległego pokoju otworzyły się i weszła młoda osoba, w której Połaniecki domyślił się córki właściciela Krzemienia, urodzonej z drugiej jego żony. Na jej widok wyszedł więc z framugi okna i zbliżywszy się w swoich skrzypiących butach do stołu skłonił się i powiedział swoje nazwisko.

Panna wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

– Wiedzieliśmy z depezy o pańskim przyjeździe. Tato trochę chory i musiał się położyć, ale jutro rad będzie pana zobaczyć.

– Nie moja wina, że przyjechałem tak późno – odpowiedział Połaniecki – pociąg przychodzi dopiero o jedenastej do Czerniowa.

– A z Czerniowa jeszcze dwie mile do Krzemienia. Mówił mi ojciec, że pan tu nie pierwszy raz.

– Przyjeżdżałem tu z matką, gdy pani nie było jeszcze na świecie.

– Wiem. Pan jest krewny ojca.

– Ja jestem krewny pierwszej żony pana Pławickiego.

– Ojciec bardzo ceni związki rodzinne, choćby najdalsze – odrzekła panna.

I zaczęła nalewać herbatę odganiając od czasu do czasu drugą ręką parę, która podnosząc się z samowara przesłaniała jej oczy. Gdy rozmowa się przerwała, słychać było tylko tyk zegara. Połaniecki, którego interesowały młode kobiety, przypatrywał się pannie Pławickiej. Była to osoba średniego wzrostu, dość wysmukła; włosy miała ciemne, twarz łagodną, ale jakby zgaszoną, płeć nieco opaloną od słońca, oczy niebieskie i prześliczne usta. W ogóle była to twarz kobiety spokojnej i delikatnej. Połaniecki, któremu nie wydała się brzydka, ale też nie wydała się piękna, myślał jednak, że jest dość miła, że może być dobra i że pod tą powierzchownością niezbyt świetną może posiadać mnóstwo tych rozmaitych przymiotów, które posiadają zwykle wiejskie panny. Jakkolwiek był młody, życie nauczyło go jednej prawdy, że kobiety przy bliższym poznaniu w ogóle zyskują, mężczyźni w ogóle tracą. Słyszał także o pannie Pławickiej, że całe gospodarstwo w Krzemieniu, prawie zresztą zrujnowane, polega na jej głowie i że to jest jedna z najbardziej zapracowanych istot na świecie. Otóż w stosunku do tych kłopotów, które musiały ją obarczać, wydała mu się spokojną i pogodną. Prócz tego pomyślał, że zapewne jej się spać chce. Widać to było nawet po jej oczach mrużących się mimo woli pod światłem wiszącej lampy.

Egzamin byłby wypadł w ogóle na jej korzyść, gdyby nie to, że rozmowa z nią szła trochę trudno. Ale tłumaczyło się to tym, że się widzieli po raz pierwszy w życiu. Przyjmowała go przy tym sama, co dla młodej panny mogło być kłopotliwe. Na koniec wiedziała, że Połaniecki przyjechał do nich nie w odwiedziny, ale po pieniądze. Tak było w istocie. Matka jego oddała przed bardzo dawnym czasem dwadzieścia kilka tysięcy rubli na hipotekę Krzemienia, które Połaniecki chciał teraz odebrać, raz dlatego, że zalegano bardzo z procentami, a po wtóre, że będąc współnikiem Domu Handlowego w Warszawie wszedł w rozmaite interesa i potrzebował kapitału. Z góry też obiecał sobie nie czynić żadnych ustępstw i swoje koniecznie odzyskać. W tego rodzaju sprawach chodziło mu zawsze o to, by okazać się człowiekiem nieugiętym. Nie był on, nim może z natury, ale uczynił sobie z

nieugiętości zasadę, a zarazem sprawę miłości własnej. Skutkiem tego często przesadzał, jak czynią zawsze ludzie, którzy coś w siebie wmawiają.

I teraz więc patrząc na tę pannę miłą, ale widocznie senną, powtarzał sobie wbrew współczuciu, które się w nim budziło:

„Wszystko to dobrze, ale musicie zapłacić.”

Po chwili rzekł:

– Słyszałem, że pani wszystkim się tu zajmuje: czy pani lubi gospodarstwo?

– Lubię bardzo Krzemień – odpowiedziała.

– I ja lubiłem Krzemień, gdy byłem chłopcem. Ale gospodarzyć bym w nim nie chciał...

Takie trudne warunki...

– Trudne, trudne... Robimy też, co w naszej mocy.

– To jest, pani robi, co w pani mocy.

– Pomagam ojcu, który często jest cierpiący.

– Ja się na tych rzeczach nie znam, ale z tego, co widzę i słyszę, wnoszę, że większa część rolników nie może liczyć na przyszłość.

– Liczymy na Opatrzność...

– To wolno, ale wierzycieli nie można do niej odsyłać. Twarz panny Pławickiej pokryła się rumieńcem – i nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

A Połaniecki powiedział sobie:

„Skoroś zaczął, to idź dalej.”

I rzekł:

– Pani pozwoli sobie wyjaśnić cel mego przybycia.

Panna spojrzała na niego wzrokiem, w którym Połaniecki mógł wyczytać: „Dopieroś przyjechał, godzina jest późna, ja ledwie żyję ze zmęczenia – że też najprostszą delikatność nie wstrzymała cię od rozpoczęcia takiej rozmowy.”

Głośno zaś odrzekła:

– Ja wiem, dlaczego pan przyjechał, ale może będzie lepiej, gdy pan z ojcem o tym pomówi.

– Dobrze; przepraszam panią – odrzekł Połaniecki.

– To ja przepraszam pana. Ludzie mają prawo dopominać się o swoje, i ja jestem do tego przyzwyczajona. Ale dziś jest sobota; w sobotę ma się tyle roboty. Zresztą w tego rodzaju sprawach, pojmuje pan... Czasem, gdy przyjeżdżają Żydzi, układam się sama... Ale tym razem wolałabym, żeby pan mówił z papą. Będzie nam obojgu łatwiej.

– Więc do jutra – rzekł Połaniecki, któremu zabrakło odwagi do powiedzenia, że w sprawach pieniężnych chce być traktowany jak Żyd.

– Może pan pozwoli jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję. Dobranoc pani.

I wstawszy wyciągnął rękę; panna zaś podała mu swoją daleko mniej serdecznie niż na powitanie, tak że dotknął zaledwie końców jej palców.

Odchodząc rzekła:

– Służący wskaże panu pokój...

I Połaniecki został sam. Czuł pewien niesmak i był niezadowolony z siebie, choć nie chciał wewnętrznie tego przyznać. Począł nawet wmawiać w siebie, że dobrze zrobił, gdyż przyjechał tu nie dla prawienia grzeczności, ale po pieniądze. Co mu panna Pławicka? Ani go grzeje, ani ziębi. Jeśli go będzie miała za gburę, to tym lepiej, bo zwykle tak się dzieje, że im wierzyciel jest bardziej przykry, tym się go starają spłacić prędzej.

Ale niesmak silniejszy był od tego rozumowania, albowiem jakiś głos szeptał Połanieckiemu, że tym razem nie chodziło tylko o dobre wychowanie, ale trochę o litość nad zmęczoną kobietą. Odczuwał przy tym, że postępując tak obcesowo, czyni zadość swej pozie, nie swemu sercu ani swym wrodzonym instynktom. Był zły także i na pannę Pławicką tym

bardziej, że mu się podobała. Jak w tej uśpionej wiosce, jak w tej nocy księżycowej, tak i w tej pannie znalazł coś swojskiego, czego na próżno szukał w kobietach zagranicznych, a co wzruszało go więcej, niż się spodziewał. Ale ludzie wstydzą się często uczuć bardzo dobrych. Połaniecki wstydził się często wzruszeń, więc postanowił być nieubłaganym i przycisnąć nazajutrz starego Pławickiego z pominięciem wszelkich względów.

Tymczasem chłopak zaprowadził go do sypialni. Połaniecki odprawił go zaraz i został sam. Był to ten sam pokój, który mu dawano, gdy za życia pierwszej żony pana Pławickiego przyjeżdżał do nich z matką. Więc wspomnienia opadły go znowu. Okna wychodziły na ogród, za którym był staw; w wodzie przeglądał się księżyc – i staw widać było lepiej niż za dawnych czasów, bo wówczas przesłaniał go wielki stary jesion, który musiała złamać burza, gdyż w tym miejscu sterczał tylko pień ze świeżym odłamaniem na wierzchu. Światło księżycy zdawało się zbierać na tym odłamaniu, które też błyszczało bardzo mocno. Wszystko to razem czyniło wrażenie ogromnego spokoju. Połaniecki, który żył w mieście wśród zajęć handlowych, zatem w ustawicznym natężeniu władz umysłowych i fizycznych, a zarazem w ustawicznym niepokoju, mimo woli odczuwał ten nastrój otaczającej go wisi, tak jak się odczuwa ciepłą kąpiel po wielkim trudzie. Wnikała w niego ulga. Próbował myśleć o swoich sprawach, o tym, jak się one obrócą, czy dadzą straty, czy zyski, wreszcie o swoim wspólniku Bigielu i o tym, jak on załatwi rozmaite interesa podczas jego niebytności – ale nie mógł. Natomiast zaczął myśleć o pannie Pławickiej. Osoba jej, jakkolwiek uczyniła na nim dobre wrażenie, była mu obojętną, choćby dlatego, że dopiero co ją poznał. Ale zajęła go jako typ. Miał lat trzydzieści kilka, był zatem w wieku, w którym instynkt z siłą niemal nieubłaganą popycha mężczyznę do założenia ogniska domowego, pojęcia żony i stworzenia rodziny. Największy pesymizm jest bezsilny wobec tego instynktu; nie broni od niego ani artyzm, ani żadne zadania życiowe. Skutkiem tego żenią się mizantropi, pomimo swej filozofii, artyści, pomimo sztuki, jak również wszyscy tacy ludzie, którzy twierdzą, że swoim celem oddają nie pół, ale całą duszę. Wyjątki potwierdzają zasadę, że ogół nie może żyć konwencjonalnym kłamstwem i płynąć przeciw prądom natury. Po większej części nie żenią się tylko ci, którym do małżeństwa stanęła na przeszkodzie ta sama siła, która małżeństwo tworzy, to jest ci, których miłość zawiodła. Stąd starokawalerstwo, jeśli nie zawsze, to najczęściej – jest ukrytą tragedią.

Połaniecki nie był ani mizantropem, ani też człowiekiem wygłaszającym przeciwne małżeństwu teorie. Przeciwnie: chciał się ożenić i był przekonany, że powinien to uczynić. Czuł, że przyszedł na niego czas, więc szukał naokół siebie kobiety. Z tego wypływało to ogromne zajęcie, jakie budziły w nim kobiety, a zwłaszcza panny. Jakkolwiek spędził kilka lat we Francji i w Belgii, nie szukał mdłości u mężatek, chyba u nazbyt łatwych. Był to człowiek żywy i czynny, który utrzymywał, że romansować z mężatkami mogą tylko próżniacy i że w ogóle obleganie cudzych żon jest możliwe tam, gdzie ludzie mają bardzo wiele pieniędzy, mało uczciwości, a nic do roboty, zatem w społeczeństwach, gdzie istnieje cała klasa od dawna wzbogacona i pogrążona w wytwornej beczynności towarzyskiego, a zarazem i szelmowskiego życia. On sam był istotnie bardzo zajęty, że zaś kochać chciał po to, by się ożenić, więc tylko panny budziły w nim zarówno psychiczne, jak i fizyczne zaciekawienie. Gdy spotykał jakąś na swej drodze, przede wszystkim i od pierwszej chwili zadawał sobie pytanie: „Czyby nie ta?” – albo przynajmniej: „Czyby nie taka?” Obecnie myśli jego kręciły się w podobny sposób koło panny Pławickiej. Poprzednio słyszał o niej wiele od jej krewnej zamieszkałej w Warszawie – i słyszał rzeczy dobre, a nawet wzruszające. Obecnie jej cicha, łagodna twarz stała mu przed oczyma. Przypomniał sobie jej ręce, bardzo ładne, o długich palcach, choć nieco opalone; jej ciemnoniebieskie oczy oraz małe, czarne znamię, które miała nad ustami. Podobał mu się także jej głos. Przy tym, jakkolwiek powtarzał sobie przyrzeczenie, że nie poczyni żadnych ustępstw i musi swoje odebrać, jednakże zły był na los, który przyprowadził go do Krzemienia jako wierzyciela.

Mówiąc do siebie językiem kupieckim, powtarzał w duchu: „Gatunek jest dobry – ale nie będę reflektował, bom nie po to przyjechał.”

Jednakże „reflektował”, i to tak dalece, że rozebrawszy się i położywszy, długi *czas* nie mógł zasnąć. Koguty poczęły pisać, szyby blednieć i zielenieć, on zaś widział jeszcze pod zamkniętymi powiekami pogodne czoło panny Pławickiej, jej znamię nad ustami i ręce nalewające herbatę. Potem, gdy już sen począł go morzyć, zdawało mu się, że trzyma te ręce w swoich i przyciąga je ku sobie. Nazajutrz zbudził się późno i przypomniawszy sobie pannę Pławicką pomyślał:

„Aha! to ona takk wygląda!”

II

Właściwie zbudził go chłopak, który przyniósł mu kawę i wziął do oczyszczenia rzeczy. *Gdy* z nimi powrócił, Połaniecki spytał go, czy nie ma w domu zwyczaju schodzić się w jadalnym pokoju na śniadanie.

– Nie – odpowiedział chłopak – bo panienka rano wstaje, a starszy pan śpi do późna.

– A panienka wstała?

– Panienka w kościele.

– Prawda: dziś niedziela. A panienka nie jeździ ze starszym panem?

– Nie, starszy pan jeździ na sumę, a potem idzie do kanonika, więc panienka woli jeździć na ranną mszę.

– Co państwo w niedzielę porabiają?

– Siedzą w domu. Na obiad przyjeżdża pan Gątowski.

Tego Gątowskiego Połaniecki znalazł małym chłopcem. Za owych czasów przeżywał go „niedźwiadkiem”, był to bowiem chłopak tłusty, niezgrabny i mrukliwy. Służący objaśnił, że ojciec pana Gątowskiego umarł od lat sześciu i młody sam gospodarzy w sąsiednim Jałbrzykowie.

– I przyjeżdża tu co niedziela? – spytał Połaniecki.

– Czasem i w powszedni dzień wieczorem.

„Konkurent!” – pomyślał Połaniecki.

Po chwili spytał:

– Starszy pan wstał już?

– Musiał pan dzwonić, bo Józef poszedł do pana.

– Jaki Józef?

– Kamerdyner.

– A ty czym jesteś?

– Ja jemu do pomocy.

– Idźże się spytać, kiedy można będzie widzieć się z panem.

Chłopak wyszedł i po chwili wrócił.

– Starszy pan kazał powiedzieć, że jak się ubierze, to poprosi.

– Dobrze.

Chłopak wyszedł; Połaniecki został sam i czekał, a raczej nudził się dość długo. Wreszcie zaczęło mu braknąć cierpliwości i chciał już wyjść do ogrodu, gdy ów Józef przyszedł mu oznajmić, że starszy pan prosi.

I przez sień poprowadził go do pokoju leżącego z drugiej strony domu. Połaniecki wszedł i w pierwszej minucie nie poznał pana Pławickiego. Pamiętał go mężczyzną w sile wieku i nader pięknym; obecnie stał przed nim człowiek stary, z twarzą pomarszczoną jak pieczone

jabłko, której małe, uczernione wąsiki próżno usiłowały nadać pozór młodości. Tak one, jak również czarna, zaczesana z boku czupryna, oznaczały tylko nie wygasłe dotąd pretensje.

Lecz pan Pławicki otworzył ramiona:

– Stach! Jak się masz, drogi chłopcze? Chodź tu!

I wskazawszy na swą białą kamizelkę objął głowę Połanieckiego i przycisnął ją do piersi, która poruszała się szybkim oddechem.

Uścisk trwał przez czas długi, a nawet dla Połanieckiego mocno za długi; wreszcie pan Pławicki rzekł:

– Niechże ci się przypatrzę. Wykapana Anna, wykapana Anna! Moja biedna, kochana Anna!

I pan Pławicki zaszlochał, następnie otarł serdecznym palcem prawą powiekę, na której zresztą nie było łzy – i powtórzył:

– Wykapana Anna!... Twoja matka była zawsze dla mnie najlepszą i najzyczliwszą krewną.

Połaniecki stał przed nim zmieszany oraz nieco odurzony i przyjęciem, jakiego się nie spodziewał, i zapachem fiksaturu, pudru i różnych perfum, którymi pachniały twarz, wąsy i kamizelka pana Pławickiego.

– Jak się wujaszek ma? – spytał wreszcie, sądząc, że ten tytuł, jaki zresztą dawał w latach dzieciennych panu Pławickiemu będzie najlepiej odpowiadał uroczystemu nastrojowi przyjęcia.

– Jak się mam? – powtórzył pan Pławicki – niedługo mi już! niedługo! Ale właśnie dlatego witani cię tym serdeczniej w moim domu... po ojcowsku!... I jeśli błogosławieństwo człowieka stojącego nad grobem, a zarazem najstarszego członka rodziny, ma w twoich oczach jaką cenę, to ci je daję.

I chwyciwszy powtórnie za głowę Połanieckiego ucałował ją i przeżegnał. Młody człowiek zmieszał się jeszcze bardziej i na twarzy jego odbił się przymus. Matka jego była krewną i przyjaciółką pierwszej żony pana Pławickiego. Z nim samym nie łączyły jej nigdy, o ile pamiętał, serdeczniejsze stosunki, więc ta uroczystość przyjęcia, do której jednak mimo woli musiał się dostrajać, była mu ogromnie przykra. Sam Połaniecki nie miał najmniejszych uczuć rodzinnych dla pana Pławickiego, więc myślał w duchu: „Ta mała błogosławi mnie, zamiast gadać o pieniądzech” – i chwyciła go pewna złość, która mogła mu być pomocną do postawienia jasno rzeczy. Tymczasem pan Pławicki rzekł:

– Siadaj teraz, drogi chłopcze, i bądź jak u siebie.

Połaniecki siadł i zaczął mówić:

– Kochany wuju, bardzo mi jest przyjemnie wuja odwiedzić; byłbym to pewnie zrobił, nawet nie mając interesu, ale wuj wie, że przyjechałem także w tej sprawie, którą moja matka...

Tu pan Pławicki położył mu nagle rękę na kolanie:

– A kawę piłeś? – spytał.

– Piłem – odpowiedział zbity z tropu Połaniecki.

– Bo to Marynia rano wyjeżdża do kościoła. Przepraszam cię także, że ci nie odstąpił mego pokoju, ale ja, stary, przyzwyczałem, się tu spać. To moje gniazdo...

To rzekłszy, okrągłym ruchem ręki wskazał na pokój.

Połaniecki powiódł mimo woli oczyma za ruchem ręki. Niegdyś ten pokój był dla niego ustawiczną pokusą, wisiąca w nim bowiem broń pana Pławickiego. Od dawnych czasów zmieniło się w nim tylko obicie, które teraz było różowe, przedstawiające w nieskończonej ilości kwadratów młode pasterki, ubrane a la Watteau i łowiące ryby na wędkę. W oknie stała toaleta, biało nakryta, z lustrem w srebrnych ramach, zastawiona mnóstwem słoików, pudełek, fiaszeczek, szczotek, grzebieni, pilniczków do paznokci itd. Obok, w kącie – fajczarnia z bursztynowymi głowami cybuchów; na ścianie, nad kanapką – dzicza głowa, pod

nią dwie dubeltówki, torba, trąbki i w ogóle przybory myśliwskie; w głębi stół z papierami, dębowe półeczki z, pewną ilością książek; wszędy pełno gratów, mniej więcej potrzebnych i ładnych, zwiastujących jednak, że mieszkaniec tego pokoju jest osiłą, naokoło której obraca się wszystko w domu, i że sam o siebie dba wielce. Jednym słowem, był to pokój starego kawalera i egoisty, pełnego drobiazgowej troskliwości o swą wygodę i pełnego pretensji. Połaniecki nie potrzebował też wiele domyślności, by odgadnąć, że pan Pławicki za nic i dla nikogo nie odstąpiłby swego pokoju.

Lecz gościnny gospodarz pytał dalej:

– Było ci tam. dosyć wygodnie? Jak spędziłeś noc?

– Dziękuję, doskonale: wstałem późno.

– Z tydzień jaki przecie u mnie zabawisz. Połaniecki, który był bardzo żywy, podskoczył na krześle.

– Chyba wuj wie, że ja mam interesa w Warszawie i wspólnika, który sam jeden pilnuje teraz całej roboty. Dlatego muszę wyjechać jak najwcześniej i pragnąłbym dziś jeszcze załatwić sprawę, dla której przyjechałem.

Na to pan, Pławicki odezwał się z pewną serdeczną powagą:

– Nie, mój chłopcze. Dziś jest niedziela, a oprócz tego uczucia rodzinne powinny iść przed interesami. Dziś witam cię i przyjmuję jako krewnego – jutro, jeśli chcesz, wystąpisz jako wierzyciel. Tak jest. Dziś przyjechał do mnie mój Stach, syn mojej Anny! Do jutra! Tak być powinno, Stachu. Mówi ci starszy krewny, który cię kocha i dla którego powinieś to zrobić...

Połaniecki zmarszczył się nieco, ale po chwili odrzekł:

– Niechże będzie do jutra.

– Teraz przemówiła przez ciebie Anna... Czy palisz fajkę?

– Nie. Palę tylko papierosy.

– Wierzaj mi, że źle robisz. Ale mam dla gości i papierosy.

Dalszą rozmowę przerwał turkot powozu przed gankiem.

– To Marynia przyjechała z rannej mszy – rzekł pan Pławicki.

Połaniecki, spojrzawszy w okno, dojrzał różową panienkę w słomianym kapeluszu wysiadającą z powoziku.

– Poznałeś Marynię? – spytał pan Pławicki.

– Miałem, przyjemność... wczoraj.

– Drogie dziecko! Nie potrzebuję ci mówić, że żyję tylko dla niej...

W tej chwili uchyliły się drzwi i młody głos spytał:

– Można?

– Można, można: jest tu Stach! – odpowiedział pan Pławicki.

Marynia weszła szybko z kapeluszem przewieszonym na wstążkach przez ramię i uściskawszy ojca, podała rękę Połanieckiemu. W różowej, perkalowej sukni wyglądała nadzwyczaj zgrabna i ładna. Było w niej coś z nastroju niedzielnego, a przy tym z rzeźwości poranku, który był pogodny i jasny. Włosy miała nieco roztargane przez kapelusz, policzki zarumienione – młodość biła od niej. Połanieckiemu wydała się dziś i weselsza, i ładniejsza, niż była wczoraj.

– Suma będzie dziś trochę później – rzekła do ojca – bo kanonik zaraz po rannej mszy pojechał do młyna dysponować Siatkowską. Z nią bardzo źle. Ma papa jeszcze z pół godziny czasu.

– Dobrze – odrzekł Pławicki. – Przez ten czas poznać się bliżej ze Stachem Połanieckim. Mówię ci: wykapania Anna! Ale tyś jej nigdy nie widziała. Pamiętaj też, Maryniu, że on jutro, jeśli zechce, będzie naszym wierzycielem, ale dziś to tylko krewny i gość.

– Dobrze – odpowiedziała panna – będziemy mieli wesołą niedzielę.

– Pani tak późno poszła spać wczoraj – rzekł Połaniecki – a dziś była na rannej mszy!

A ona odrzekła wesoło:

– Na rannej mszy bywam ja i kucharz, żebyśmy mieli czas potem pomyśleć o obiedzie.

– Zapomniałem wczoraj powiedzieć – rzekł Połaniecki – że przywożę pani ukłony od pani Emilii Chwastowskiej.

– Nie widziałam Emilki już półtora roku, ale pisujemy do siebie dość często. Ona ma wyjechać do Reichenhall, dla swojej małej.

– Była na wyjeździe.

– A mała jak się ma?

– Na swoje dwanaście lat wyrosła nad miarę i bardzo anemiczna. Nie zdaje się, żeby była bardzo zdrowa.

– Pan często bywa u Emilki?

– Dostyc. To prawie jedyna moja znajomość w Warszawie. I przy tym bardzo lubię panią Emilię.

– Powiedz mi, mój chłopcze – spytał pan Pławicki biorąc ze stołu parę świeżych rękawiczek i wkładając je do kieszeni na piersiach – czym ty się właściwie zajmujesz w Warszawie?

– Ja jestem tym, co nazywają „aferzystą”. Mam dom komisowo handlowy na spółkę z jakimś Bigielem. Spekuluję na zbożu, na cukrze, czasem na lasach i na czym się da.

– Bo ja słyszałem, że ty jesteś inżynier?

– Jestem technik. Ale nie mogłem po powrocie znaleźć zajęcia przy żadnej fabryce i puściłem się na handel, tym bardziej że miałem i o tym jakieś pojęcie i że we wspólnie byłem już od lat czterech, choć interesą prowadził sam Bigiel. Ale właściwym moim zawodem jest farbiarstwo.

– Jak powiadasz? – spytał pan Pławicki.

– Farbiarstwo.

– Teraz takie czasy, że trzeba się do wszystkiego brać – rzekł z godnością pan Pławicki. – Nie ja ci to będę brał za złe. Byle zachować dawne uczciwe tradycje rodzinne – żadne zajęcie nie hańbi człowieka.

A Połaniecki, któremu na widok panny powrócił dobry humor i którego rozbawiła nagle „grandezza” pana Pławickiego, pokazał swoje zdrowe zęby w uśmiechu i odpowiedział:

– To chwała Bogu.

Panna Marynia uśmiechnęła się również i rzekła:

– Emilka, która także pana bardzo lubi, pisała mi kiedyś, że pan doskonale prowadzi swoje interesy.

– Bo tu tylko z Żydami trudno, a zresztą konkurencja łatwa. Ale i z Żydami, byle nie wydawać manifestów antysemitycznych i spokojnie swoje robić, można trafić też do ładu. Co do pani Emilii jednak, ona się tyle zna na interesach, ile jej mała Litka.

– Tak, ona nigdy nie była praktyczna. Żeby nie brat męża, pan Teofil Chwastowski, byłaby straciła cały majątek. Ale pan Teofil bardzo Litkę kocha.

– Kto Litki nie kocha? Ja pierwszy przepadam za nią. To takie dziwne dziecko i takie kochane. Mówię pani, że mam do niej zupełną słabość.

A panna Marynia spojrzała uważnie na jego szczerą, żywą twarz i pomyślała:

„Musi być trochę raptus, ale ma dobre serce.”

Pan Pławicki zauważył tymczasem, że czas na sumę, i począł się żegnać z panną Marynią tak, jakby wyjeżdżał w kilkumiesięczną podróż, następnie uczynił jej na głowie znak krzyża i wziął kapelusz. Paniątka uściśnęła rękę Połanieckiego żywiej niż przy porannym powitaniu, ten zaś, siadając do powoziku, powtarzał sobie w duchu:

„O, mocno ładna! mocno sympatyczna!...”

Za aleją, którą Połaniecki przyjechał dnia wczorajszego, powozik wytoczył się na drogę, gdzieś tylko wysadzoną starymi i popróchniałymi brzożami stojącymi w nierównych

odstępach. Po jednej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po drugiej jeden ogromny łąk żyta, z ociążałymi już i pochylonymi kłosami, który zdawał się spać w spokojnym powietrzu i w pełnym świetle słonecznym. Między brzożami przelatywały przed powozem sroki i dudki. W dali widać było. idące ścieżkami przez płową toń zbóż i zanurzone w niej po pachy dziewczki wiejskie, w czerwonych chustkach na głowie, podobne do kwitnących maków.

– Dobrze żyto – rzekł Połaniecki.

– Niezłe. Robi. się, co w ludzkich siłach, a co Bóg da, to da. Jesteś młody, mój drogi, więc dam ci jedną przestrożę, która ci się w przyszłości przyda. Zrób zawsze, co do ciebie należy, a resztę zdaj na Pana Boga. On najlepiej wie, czego nam potrzeba. Urodzaj tego roku będzie dobry – i wiedziałem to z góry, bo jak mnie ma Bóg czym dotknąć, to mi zsyła znak.

– Co takiego? – spytał ze zdziwieniem Połaniecki.

– Za fajczarnią – nie wiem, czy uważałeś, gdzie ona stoi – ile razy ma być coś złego, tyle razy pokazuje mi się mysz przez kilka dni z rzędu.

– Musi być dziura w podłodze.

– Nie ma dziury – rzekł przymykając oczy i potrząsając tajemniczo głową pan Pławicki.

– A żeby kota sprowadzić?

– Nie sprowadzę, bo jeśli taka jest wola boża, żeby ta mysz była dla mnie znakiem i ostrzeżeniem, to nie chcę iść przeciw tej woli. Otóż tego roku nic mi się nie pokazało. Mówiłem to Maryni... Może Bóg zechce w jakikolwiek sposób okazać, że czuwa nad naszą rodziną. Słuchaj, mój drogi: wiem, że ludzie gadają, że jesteśmy zrujnowani, a przynajmniej w bardzo złych interesach. Otóż sam osądz: Krzemień, wraz ze Skokami, z Magierówką i Suchocinem, ma około dwustu pięćdziesięciu włók. Jest tam około sześćdziesięciu tysięcy rubli Towarzystwa – i nic więcej, i około stu tysięcy długów hipotecznych, wraz z twoją sumą. Więc mamy już sto sześćdziesiąt tysięcy. Liczymy teraz tylko po trzy tysiące rubli włókę, to uczyni siedmset pięćdziesiąt tysięcy – razem: dziewięćset dziesięć tysięcy...

– Jak to? – przerwał ze zdumieniem Połaniecki – to wuj liczysz długi do swego majątku?

– Żeby majątek był nic niewart, to by mi nikt grosza na niego nie dał, więc muszę doliczyć dług do wartości majątku...

A Połaniecki pomyślał: „Wariat, z którym nie ma co gadać” – i słuchał dalej w milczeniu.

Pan Pławicki zaś mówił:

– Magierówkę chcę rozparcelować. Młyn sprzedam, a w Skokach i Suchocinie mam margiel – i wiesz, na ile go obliczyłem? Na dwa miliony rubli.

– Ma wuj kupca?

– Dwa lata temu przyjechał tu niejaki Schaum i rozpatrywał pola. Wprawdzie pojechał, nic nie wspominając o interesie, ale jestem pewny, że wróci. Inaczej, byłaby mi się pokazała mysz za fajczarnią...

– Ha! niechże wraca.

– Wiesz, co mi także przychodzi do głowy? Skoro jesteś „aferzystą”, weź się ty do tego interesu. Znajdź sobie tylko współników.

– To za gruba dla mnie sprawa.

– Więc znajdź mi kupca: dam ci dziesięć procent od zysków.

– Co panna Maria myśli o tym marglu?

– Marynia, jak to Marynia. Złote dziecko, ale dziecko! I ona jednak wierzy, że Opatrzność czuwa nad naszą rodziną.

– Słyszałem to od niej wczoraj.

Tymczasem zaczęli się zbliżać do Watorów i do leżącego na wzgórzu wśród lip kościoła. Pod wzgórzem stało kilkanaście chłopskich drabiniastych wózków oraz kilka bryczek i powozików.

Pan Pławicki przeżegnał się.

– To nasz kościółek, który musisz pamiętać. Wszyscy Pławiccy tu leżą i ja wkrótce będę leżał. Nigdzie nie modłę się lepiej jak tu.

– Widzę, że będzie sporo ludzi – rzekł Połaniecki.

– Jest bryczka Gątowskiego, kocz Zazimskich, powozik Jamiszów i kilka innych. Jamiszów musisz także pamiętać. Ona – niepospolita kobieta; on – niby wielki agronom i radca, ale safandula, który nie rozumiał jej nigdy.

W tej chwili poczęto dzwonić na wieżycze kościelnej..

– Spozrzedli nas i dzwonią – rzekł pan Pławicki – suma zaraz wyjdzie... Zaprowadzę cię po mszy na grób mojej pierwszej żony; pomódl się za nią, bo to przecie twoja ciotka... Zaczna była kobieta, świeć jej, Panie!

Tu pan Pławicki podniósł znów palec, by obetrzeć prawe oko. Połaniecki zaś spytał chcąc zmienić nastrój rozmowy:

– A pani Jamiszowa, była kiedyś bardzo, piękna? Czy to ta sama?

Twarz pana Pławickiego rozjaśniła się nagle. Na chwilę wysunął koniec języka z uczernionych wąsików, następnie zaczął klepać Połanieckiego po łydce i rzekł:

– Warta jeszcze grzechu, warta, warta!...

Tymczasem zajechali i obszedłszy kościół weszli bokiem do zakrystii, nie chcąc przeciskać się przez tłum. Panie siedziały w bocznych ławkach, tuż przed stallami. Pan Pławicki zajął ławkę kolatorską, w której byli tylko, państwo Jamiszowie: on, człowiek wyglądający bardzo staro, z twarzą inteligentną i zgnębioną; ona, kobieta dobrze pod sześćdziesiąt, ubrana niemal tak jak panna Marynia, to jest w suknię perkalową i słomiany kapelusz. Pełne grzeczności ukłony, jakie jej począł składać pan Pławicki, i uprzejmy uśmiech, z, jakim mu je oddawała, wskazywały, że panują, między nimi bliskie i oparte na wzajemnej adoracji stosunki. Po chwili pani, podniósłszy lornetkę do oczu, zaczęła przyglądać się Połanieckiemu, nie rozumiejąc widocznie, kto mógł panu Pławickiemu towarzyszyć. W tylnej ławce za nimi jeden z sąsiadów korzystając z tego, że msza jeszcze nie rozpoczęta, kończył jakieś opowiadanie o polowaniu, powtórzył bowiem kilkakrotnie drugiemu sąsiadowi: „Moje psy dobrze goniom...”; potem obaj przerwali tę rozmowę i zaczęli obmawiać Pławickiego i panią Jamiszowa tak głośno, że każde słowo dochodziło do uszu Połanieckiego.

Potem wyszedł ksiądz ze mszą. Na widok tej mszy i tego kościółka pamięć Połanieckiego znów wróciła do lat dziecinnych, gdy bywał tu z matką. Mimo woli rodziło się w nim zdziwienie, jak dalece na wsi nic się nie zmienia prócz ludzi. Jednych składają na księżej grudzi, drudzy się rodzą, ale nowe życie podstawia się w dawne formy, i kto przyjeżdża po długiej niebytności, z daleka, temu się zdaje, że to wszystko, co poprzednio widział, było wczoraj. Kościół był ten sam; nawa była równie pełna płowych głów chłopskich, szarych sukman, czerwonych i żółtych chustek oraz kwiatów na głowach dziewczek; tak samo pachniało kadzidłem, świeżym tatarakiem i wyziewami ludzkimi. Za jednym z okien rosła ta sama brzoza, której cienkie gałązki wiatr, gdy się podniósł, rzucał na okno i przesłaniając je, napelniał kościół zielonawym światłem; tylko ludzie byli nie ci sami: część tamtych rozsypywała się sobie spokojnie w proch lub wydostawała się trawą spod ziemi; ci zaś, którzy zostali jeszcze, byli jacyś pochyleni, zgarbieni, mniejsi, jakby powoli zasuwali się pod ziemię. Połaniecki, który chlubił się tym, że unika wszelkich zagadnień ogólnych, a który w gruncie rzeczy, mając jakby niewyłonioną jeszcze dostatecznie z wszechbytu słowiańską głowę, zajmował się nimi mimo woli ciągle, myślał teraz, że jednak jest okropna przepaść między tą wrodzoną ludziom namiętnością życia a koniecznością śmierci. Myślał także, że może dlatego wszystkie systemy filozoficzne mijają jak cienie, a msza po staremu się odprawia, iż ona jedna obiecuje dalszy i nieprzerwany ciąg.

Sam, wychowany za granicą, nie bardzo weń wierzył, przynajmniej nie był go pewny. Czuł on w sobie, jak wszyscy dzisiejsi, najnowsi ludzie, niepohamowany wstręt

domaterializmu, ale wyjścia jeszcze nie znalazł, i co więcej, zdawało mu się, że go nie szuka. Był nieświadomym pesymistą jak ci, którzy szukają czegoś, czego nie mogą znaleźć. Odurzał się zajęciami, do których przywykł, i tylko w chwilach wielkiego przyływu owego pesymizmu pytał siebie: na co to wszystko? na co się zdało robić majątek, pracować, żenić się, płodzić dzieci – skoro wszystko kończy się przepaścią? Ale to było czasem i nie zmieniało się w stałą zasadę. Ratowała go od niej młodość – nie pierwsza – ale też jeszcze nie gasnąca, pewna tęgość duchowa i fizyczna, samozachowawczy instynkt, przyzwyczajenie do pracy, żywość charakteru i wreszcie ta siła elementarna, która popycha mężczyznę w objęcia kobiety. I teraz więc od wspomnień dziecinnych, od myśli o śmierci, od zwątpienia o celowości małżeństwa przeszedł do myśli właśnie o tym, że tego, co w nim jest lepsze, nie ma komu oddać, a dalej przeszedł do panny Maryni Pławickiej, której perkalowa suknia, pokrywająca młode i wysmukłe ciało, nie schodziła mu z oczu. Przypomniał sobie, że gdy wyjeżdżał, pani Emilia Chwastowska, wielka przyjaciółka jego i panny Maryni, powiedziała mu śmiejąc się: „Jeśli pan, będąc w Krzemieniu, nie zakocha się w Maryni, to zamknę przed panem drzwi.” On jej odpowiedział z wielką fantazją, że jedzie tylko wydusić pieniądze, nie zakochać się, ale to nie była prawda. Gdyby w Krzemieniu nie było panny Pławickiej, byłby zapewne dusił piana Pławickiego w dalszym ciągu listownie albo sposobami prawnymi. Myślał też o niej i o tym, jak ona wygląda, już w drodze, i był zły, że jedzie także po pieniądze. Wmawiając w siebie wielką stanowczość w takich razach postanowił przede wszystkim dochodzić swej należności i raczej gotów był przesadzić niż nie dosadzić w terminie. Obiecywał to sobie, zwłaszcza pierwszego wieczoru, gdyż Marynia, jakkolwiek podobała mu się dosyć, nie uczyniła na nim tak wielkiego wrażenia, jak myślał, a raczej uczyniła inne. Ale dzisiejszego rana bardzo wpadła mu w oko. „Sama jest jak ranek – mówił sobie – ładna i wie, że ładna. Kobiety zawsze to wiedzą!”

To ostatnie odkrycie usposobiło go dość niecierpliwie, albowiem pragnął wrócić jak najprędzej do Krzemienia, by dalej obserwować kobiety na tym okazie, który w Krzemieniu mieszkał. Jakoż msza skończyła się niebawem, pan Pławicki wyszedł zaraz po przeżegnaniu, miał bowiem jeszcze przed sobą dwa obowiązki: pierwszy – pomodlenia się na grobach obu żon, które leżały pod kościołem, drugi – odprowadzenia pani Jamiszowej do powozu; że zaś żadnego nie chciał opuścić, więc musiał się liczyć z czasem. Połaniecka wyszedł z nim razem i wkrótce znaleźli się przed płytami kamiennymi, wprawionymi tuż obok siebie w ścianę kościelną. Pan Pławicki klęknął i modlił się przez chwilę w skupieniu, potem wstawszy obtarł łzy, które naprawdę zawisły mu na rzęsach, a wreszcie wzięwszy Połanieckiego pod ramię, rzekł:

– Tak! straciłem obie – i żyć muszę.

Tymczasem przed kościelnymi drzwiami ukazała się pani Jamiszowa w towarzystwie męża, tych dwóch sąsiadów, którzy ją obmawiali przede mszą, i młodego pana Gątowskiego. Na jej widok pan Pławicki pochylił się do ucha Połanieckiego i rzekł:

– Jak będzie wsiadała do powozu, uważ, jaką ma jeszcze nogę.

Po chwili złączyli się obaj z towarzystwem; rozpoczęły się ukłony i powitania. Pan Pławicki przedstawił Połanieckiego, potem zwracając się do pani Jamiszowej, dodał z uśmiechem człowieka przekonanego, że mówi coś, na co nie byle kto by się zdobył:

– Mój krewny, który przyjechał wujaszka uściskać i... przyciskać...

– Pozwalamy tylko na pierwsze, inaczej będzie z nami sprawa – odrzekła dama.

– Ale Krzemień to twarda rzecz – mówił dalej Pławicki – połamię sobie na nim zęby, choć młody. Pani Jamiszowa przymknęła oczy.

– Ta łatwość – rzekła – z jaką pan tymi iskrami sypie... *c'est inoui!* Jak dziś zdrowie pana?

– W tej chwili czuję się zdrow i młody.

– A Marynia?

– Była na rannej mszy. Czekamy państwa o piątej. Moja mała gosposia łamie sobie tam główkę nad podwieczorkiem. Śliczny dzień...

– Więc przyjedziemy, jeśli moja newralgia mi pozwoli... i jeśli pan mąż pozwoli.

– Sąsiedzie? jakże? – spytał pan Pławicki.

– Zawsze chętnie, owszem! – odpowiedział zgnębnym głosem sąsiad.

– Zatem, *au revoir!*

– *Au revoir!* – odpowiedziała pani.

I zwróciwszy się do Połanieckiego wyciągnęła do niego rękę:

– Miło mi było poznać pana.

Pan Pławicki podał jej ramię i odprowadził do powoziku. Dwaj sąsiedzi odjechali również. Połaniecki został przez chwilę sam z panem Gątowskim, który przypatrywał mu się dość niechętnie. Połaniecki pamiętał go niezgrabnym chłopakiem, teraz zaś z „niedźwiadka” wyrósł mężczyzna duży i może przyciężki w ruchach, ale raczej przystojny, z bardzo pięknym, jasnym wąsem. Połaniecki nie zaczynał z nim rozmowy, czekając, aż tamten pierwszy się odezwie, lecz ów, zasadziwszy ręce w kieszenie, milczał uparcie.

„Dawne maniery mu zostały” – pomyślał Połaniecki.

I z kolei uczuł także niechęć do tego mruka. Tymczasem pan Pławicki, wróciwszy od powozu Jamiszów, spytał naprzód Połanieckiego: „Uważałeś?” – a potem rzekł:

– No, Gątosiu, pojedziesz swoją bryczką, bo w koczku tylko dwa miejsca.

– Pojadę bryką, bo Wiozę psa dla panny Marii – odpowiedział młody człowiek.

I skłoniwszy się odszedł. Po chwili Pławicki i Połaniecki znaleźli się na drodze do Krzemienia.

– Ten Gątowski to też podobno jakiś powinowaty wuja? – spytał Połaniecki.

– Dziewiąta woda po kisielu. Oni bardzo podupadli. Ten, Adolf, ma jeden folwark i pustki w kieszeni.

– Ale w sercu pewnie nie pustki?

Pan Pławicki wydał usta:

– Tym gorzej dla niego, jeśli mu się coś marzy. Może on i dobry człowiek, ale symplak. Ani to wychowania, ani wykształcenia, ani majątku. Marynia lubi go – raczej: znosi.

– A! znosi?

– Widzisz, jest tak: ja poświęcam się dla niej i siedzę na wsi, ona poświęca się dla mnie i siedzi na wsi. Tu są pustki; pani Jamiszowa jest znacznie od niej starsza, młodzieży w ogóle nie ma, życie nudne, ale co robić? Pamiętaj, mój chłopcze, że życie to szereg poświęceń. Trzeba tę zasadę nosić w sercu i w głowie. Zwłaszcza ci, co należą do uczciwszych i trochę widniejszych rodzin, nie powinni o niej zapominać. A Gątowski bywa zawsze u nas w niedzielę na obiedzie – i dziś, jak słyszałeś, wiezie psa. Umilkli i jechali wolniej po piasku. Sroki przelatywały teraz przed nimi z brzozy na brzozę w stronę Krzemienia. Za powozikiem jechał na bryczce pan Gątowski, który rozmyślając o Połanieckim mówił sobie:

„Jeśli przyjechał ich gnębić jako wierzyciel, nadkręcę mu karku, jeśli jako konkurent – nadkręcę mu też.”

Z dziecinnych lat miał on nieprzyjazne dla Połanieckiego uczucia. Niegdyś spotykali się oni czasem i wówczas Połaniecki go wyśmiewał albo, jako starszy o parę lat, nawet bijał.

Wreszcie przyjechali i w pół godziny później znaleźli się wszyscy, wraz z paraną Marynią, w jadalnym pokoju przy stole. Młody psiak, przywieziony przez Gątowskiego, korzystając z przywileju gościa, kręcił się pod stołem, a czasem wspinał się na kolana obecnych z wielkim zaufaniem i radością objawianą za pomocą kiwania ogonem.

– To jest Gordon, ceter – mówił Gątowski – on jest jeszcze głupi, ale to mądre psy i przywiązują się okrutnie.

– Śliczny jest i bardzo panu wdzięczna – odpowiedziała panna Pławicka patrząc na lśniącą czarną sierść i żółte piętna nad oczyma psa.

– Zanadto przyjemny – dodał pan Pławicki pokrywając kolana serwetą.

– Do pola też takie lepsze od zwyczajnych ceterów.

– Pani i poluje? – spytał Połaniecki.

– Nie, nigdy nie miałam do tego ochoty. A pan?

– A ja czasem. Zresztą żyję w mieście.

– Dużo bywasz? – spytał pan Pławicki.

– Prawie nigdzie. U pani Emilii, u mojego współnika Bigiela, u Waskowskiego, który był niegdyś moim profesorem, a który teraz jest dziwakiem – i oto wszystko. Oczywiście, czasem chodzę do ludzi, gdy mam do nich interesa.

– To źle, mój chłopcze. Młody człowiek powinien mieć i utrzymywać dobre stosunki towarzyskie, zwłaszcza gdy ma do nich prawo. Kto się potrzebuje piąć, to co innego^ ale ty, jako Połaniecki, możesz wszędzie bywać. Ja ci to powiadam. Z Marynią wiecznie mam te same historie. Dwa lata temu, gdy skończyła ośmnaście lat, zawiozłem ją w zimie do Warszawy. Rozumiesz, że tego się darmo nie robi i że to wymagało pewnych ofiar z mojej strony. No i cóż? Siedziała po całych dniach u pani Emilii i czytywały książki. Dzikus mi się urodził i dzikus zostanie: możecie sobie podać ręce.

– Podajmy sobie ręce! – zawołał wesoło Połaniecki.

A ona odrzekła śmiejąc się:

– Kiedy, sumiennie, nie mogę, bo to niezupełnie tak było: czytywałam książki z Emilką, prawda, ale bywaliśmy z papą dużo, i wytańczyłam się na całe życie.

– Niech się pani nie zarzeka.

– Nie! ja się nie zarzekam, tylko nie tęsknię.

– To widocznie nie wywiozła pani wspomnień.

– Widocznie. Została mi tylko pamięć, ale to jest co innego.

– Tego ja, pani, nie rozumiem.

– Bo pamięć to jest skład, w którym leży przeszłość, a wspomnienie ma miejsce wówczas, gdy się do tego składu schodzi, żeby coś wydobyć.

Tu panna Marynia przestraszyła się nieco własną odwagą, z jaką zapuściła się w filozoficzny wywód nad różnicą pamięci i wspomnień, skutkiem czego zaczerwieniła się dość mocno; Połaniecki zaś pomyślał:

„I niegłupia, i śliczna.”

Głośno zaś rzekł:

– Mnie to do głowy nie przyszło, a to takie trafne.

I objął ją oczyma pełnymi sympatii. Była rzeczywiście bardzo ładna, bo uśmiechnięta, nieco zmieszana pochwałą, a zarazem i uradowana nią szczerze. Zarumieniła się jeszcze więcej, gdy śmiały młody człowiek rzekł:

– Jutro, przed wyjazdem, poproszę o miejsce... choć w składzie.

Ale on mówił to tak wesoło, że nie można się było na niego gniewać i że panna Marynia odpowiedziała mu nie bez pewnej kokieterii:

– Dobrze, ale i ja wzajemnie...

– W takim razie musiałbym, schodzić do składu tak często, że wolę od razu w nim zamieszkać.

To wydało się panie Pławickiej nieco za śmiałe na tak krótką znajomość, ale tymczasem pan Pławicki ozwał się:

– Podobna maisię Połaniecki! Wolę go od Gątosia, który siedzi jak mruk.

– Bo ja umiem mówić tylko o tym, co się da wziąć w rękę – odpowiedział z pewnym smutkiem młody człowiek.

– To weź w rękę widelec – i jedz.

Połaniecki uśmiechnął się, panna Marynia nie, gdyż żal jej się zrobiło Gątowskiego, skutkiem czego skierowała rozmowę na rzeczy, które dadzą się wziąć w rękę.

„Albo kokietka, albo ma dobre serce” – pomyślał znów Połaniecki.

Lecz pan Pławicki, który widocznie przypomniał sobie ostatni pobyt zimowy w Warszawie, spytał:

– Powiedz mi, Stachu, ty znasz Bukackiego?

– Jakże! To przecie mój bliższy krewny niż wuja.

– My z całym światem jesteśmy krewni – literalnie z całym światem. Bukacki to był najgorliwszy tancerz Maryni. Obtańcowywał ją na wszystkich wieczorach.

Połaniecki zaczął się znów śmiać.

– I za całą nagrodę poszedł do składu, w kurz. No, ale tego przynajmniej odkurzać nie trzeba, bo taki koło siebie staranny, jak np. wujaszek. To. największy elegant w Warszawie. Co on porabia? Administruje świeżym powietrzem, to się znaczy, że jak pogoda, wychodzi lub wyjeżdża na spacer. Przy tym jest oryginał, który ma jakieś szczególne zakomórki w głowie. Ten człowiek podpatruje takie rozmaite rzeczy, którymi nikt inny by się nie zajmował. Kiedyś, po jego powrocie z Wenecji, spotykam go i pytam, co tam. widział, a on mi odpowiada: „Widziałem na Riva degli Schiavoni, jak raz płynęło, pół skorupki od jajka i pół cytryny: stykały się, potraçały, oddalały, zbliżały, wreszcie – paf! pół cytryny wpadło w pół jajka i popłynęły razem. Patrz, co to znaczy harmonia!” Oto, czym zajmuje się Bukacki, choć dużo umie i np. na sztuce zna się dobrze.

– A mówią o nim, że bardzo zdolny?

– Może, ale do niczego. Zjada chleb – i na tym koniec. Żeby przynajmniej był przy tym wesoły, ale on jest w gruncie rzeczy melancholik. Zapomniałem powiedzieć: i kocha się w pani Emilii.

– Emilka dużo przyjmuje? – spytała panna Marynia.

– Nie. Bywam ja, Waskowski, bywa Bukacki, no i jeszcze Maszko, adwokat, ten, co to kupuje i sprzedaje majątki ziemskie.

– Ona pewnie i nie bardzo może przyjmować, bo dużo czasu musi poświęcać Litce.

– Biedactwo drogie – rzekł Połaniecki. – Pan Bóg by dał, żeby jej przynajmniej pomógł ten Reachenhall!

I wesoła twarz jego pokryła się w jednej chwili prawdziwym smutkiem. Teraz panna Marynia spojrzała na niego oczyma pełnymi sympatii – iż kolei pomyślała po raz drugi:

„On jednak musi być naprawdę dobry.”

A pan Pławicki zaczął mówić jakby sam do siebie:

– Maszko, Maszko... Ten także kręcił się koło Maryni. Ale ona go nie lubiła. Co do majątków, ceny teraz takie, że pozał się Boże.

– Właśnie Maszko twierdzi, że w tych warunkach dobrze jest je kupować.

Tymczasem obiad się skończył i przeszli do salonu na kawę, podczas której pan Pławicki dworował sobie z pana Gątowskiego, co zwykł był czynić w chwilach dobrego humoru i co młody człowiek znośił cierpliwie ze względu na pannę Marynię, ale z miną, która zdawała się mówić: „Ej, żeby nie ona, wytrząsłbym z ciebie wszystkie kości!” – Po kawie panna Marynia siadła do fortepianu, podczas gdy ojciec kładł pasjansa. Grała nieszczególnie, ale jej jasne i spokojne czoło ładnie rysowało się nad pulpitem. Koło piątej pan Pławicki spojrzał na zegarek i rzekł:

– Jamiszowie nie przyjeżdżają.

– Przyjadą jeszcze – odpowiedziała Marynia. Ale on od tej pory ciągle spoglądał na zegarek i co chwila ogłaszał nowinę, że Jamiszowie nie przyjeżdżają. Na koniec koło szóstej rzekł grobowym głosem:

– Musiało się zdarzyć nieszczęście.

Połaniecki stał w tej chwili koło panny Maryni, która rzekła przyciszonym głosem:

– Oto i bieda! Tam się pewnie nic nie stało, ale papa będzie do wieczora w złym humorze. Połaniecki. chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć, że za to nazajutrz, jak ale wyśpi, to będzie w dobrym, ale widząc istotną troskę na twarzy panny, odrzekł:

– To, ile pamiętam, niedaleko: niech pani pośle kogo dowiedzieć się, co się stało.

– Może by posłać kogo, papo? Lecz on odpowiedział z goryczą:

– Zbytek łaski. Pojadę sam.

I zadzwoniwszy na służącego, wydał polecenie, by zaprzęgano. Po czym zastanowił się przez chwilę i rzekł:

– *Enfin*, na wsi zawsze może się trafić, że ktoś przyjedzie i zastanie moją córkę samą. To nie miasto. Przy tym jesteście krewni. Ty, Gątowski, możesz mi być potrzebny, więc bądź łaskaw pojechać ze mną.

Wyraz najwyższej niechęci i niezadowolenia odbił się na twarzy młodego człowieka. Przeciągnął ręką po swej płowej czuprynie i rzekł:

– Nad stawem jest wyciągnięte czółno, którego ogrodnik nie może zepchnąć; obiecałem panie Marii, że je zepchnę, tylko ostatniej niedzieli nie puściła mnie, bo lało jak z cebra.

– To skocz i spróbuj, do stawu trzydzieści kroków, za parę minut wrócisz.

Gątowski, rad nierad, wyszedł do ogrodu, pan Pławicki zaś, nie zwracając uwagi na Połanieckiego i córkę, powtarzał chodząc po pokoju:

– Newralgia w głowie, założyłbym się, że newralgia w głowie; Gątowski, w razie potrzeby, może skoczyć po doktora. Ten safandula, ten radca bez rady, pewno by nie posłał.

I potrzebując widocznie wyrzucić na kimś swój zły humor, dodał zwracając się do Połanieckiego:

– Nie uwierzysz, co to za cymbał!

– Kto taki?

– Jamisz.

– Ale, papo... – zaczęła panna Marynia.

Lecz pan Pławicki nie dał jej skończyć i rzekł ze wzrastającym złym humorem:

– Wiem! Nie podoba ci się to, że ona okazuje mi trochę przyjaźni i troskliwości. Czytaj sobie artykuły rolnicze pana Jamisza, uwielbiaj go, stawiaj mu posągi, ale pozwól mii mleć moje sympatie.

Tu Połaniecki mógł podziwiać istotną słodycz, panny Maryni, gdyż, zamiast się zniecierpliwic, podbiegła do ojca i podsuwając czoło pod jego uczernione wąsiki, rzekła:

– Zaraz zaprzęgną, zaraz, zaraz! Może trzeba, żebym i ja pojechała?... A tymczasem niech się brzydki tatuś nie gniewa, bo sobie zaszkozi.

Pan Pławicki, który rzeczywiście był do niej mocno przywiązany, pocałował ją w czoło i rzekł:

– Wiem, że w gruncie rzeczy masz dobre serce, ale co tam znów Gątowski robi?

I przez otwarte drzwi ogrodowe począł wołać na młodego człowieka, który też powrócił niebawem zmęczony i rzekł:

– W środku stoi woda i za daleko wyciągnięte; próbowałem i nie mogę.

– To bierz czapkę i ruszajmy, bo. słyszę, że zajęchali.

W chwilę potem młodzi ludzie zostali sami.

– Papa przywykł do trochę wykwintniejszego towarzystwa, niż jest na wsi – rzekła panna Marynia – Więc dlatego lubi panią Jamiszową, ale i pan Jamisz jest bardzo zacny i rozumny człowiek.

– Widziałem go w kościele. Wydał mi się jakby przybity.

– Bo naprawdę, to on jest chory, a przy tym bardzo zapracowany.

– Tak jak pani.

– Nie. Pan Jamisz doskonale prowadzi gospodarstwo, a przy tym dużo pisuje o rzeczach rolniczych. Naprawdę jest to *lumen* naszej okolicy. I taki zacy człowiek! Ona również dobra kobieta, tylko dla mnie nieco przesadna.

– Eks-piękność.

– Tak. Przyczynia się też do jej przesady i to ciągle życie na wsi, przez które się trochę rdzewieje. Myślę, że w mieście wszystkie dziwactwa ludzkie i śmieszności ścierają się wzajemnie, a na wsi łatwiej ludzie zmieniają się w oryginałów. Zwolna odwyka się od towarzystwa, zachowuje się jakiś przestarzały sposób w obęjściu z ludźmi i dochodzi się do przesady. My wszyscy musimy się ludziom z wielkich miast wydawać zardzewiali i trochę śmieszni.

– Nie wszyscy. Bynajmniej! – odpowiedział Połaniecki. – Pani na przykład bynajmniej!

– Więc to przyjdzie z czasem – odpowiedziała z uśmiechem.

– Czas może także przynieść zmiany.

– U nas tak mało się zmienia – i najczęściej na gorsze.

– Ale w życiu panien w ogóle zmiany są przewidywane.

– Chciałabym naprzód, byśmy z papą mogli przyjść do ładu z Krzemieniem.

– Więc ojciec i Krzemień to dwa główne, jedyne cele w życiu pani?

– Tak. Ale mało mogę pomóc, bo się mało zamam na czymkolwiek.

– Papa, Krzemień – a. nic więcej! – powtórzył Połaniecki.

Nastała chwila przerwy w rozmowie, po której panna Marynia spytała Połanieckiego, czy nie zechce pójść do ogrodu. Poszli i wkrótce znaleźli się nad brzegiem stawu. Połaniecki, który za granicą należał do różnych stowarzyszeń sportowych, zepchnął na wodę czołno, któremu Gątownski nie mógł poradzić, ale pokazało się, że jest dziurawe i że nie można nim pływać.

– Oto przykład, co jest moje gospodarstwo! – rzekła śmiejąc się panna Marynia. – We wszystkim i wszędzie woda przecieka. I nie wiem, jak się usprawiedliwić, bo ogród i staw należą wyłącznie do mnie. Ale przed spustem każę czołno naprawić.

– Bodaj, że to jeszcze to samo, w którym zakazywano mi jeździć, gdy byłem małym chłopcem.

– Bardzo być może. Czy pan uważał, że rzeczy daleko się mniej zmieniają i dłużej trwają niż ludzie? Czasem smutno o tym myśleć.

– Miejmy nadzieję, że będziemy trwali dłużej niż to czołno zmurszałe i nasiąknięte jak gąbka wodą. Jeżeli to jest to samo, co za moich dzieciennych lat, to nie mam do niego szczęścia. Dawniej nie pozwalano mi na nim jeździć, a teraz skaleczyłem sobie rękę o jakiś spróchniały gwóźdź.

To rzekłszy wy dobył z kieszeni chustkę i począł lewą ręką owijać palec prawej. Ale szło mu tak niezgrabnie, że panna Marynia widząc to rzekła:

– Nie da pan sobie rady, trzeba pomóc.

I począła obwiązywać mu dłoń, którą on kręcił nieznacznie, by jej utrudnić zadanie, bo miło mu było czuć jej delikatne palce przy swoich. Ona spostrzegła, że jej przeszkadza, i spojrzała na niego, ale w chwili gdy ich oczy się spotkały, pojęła powód i, zarumieniona, schyliła się, chcąc niby wiązać uważniej. Połaniecki uczył ją blisko, uczył ciepło bijące od niej, więc i jemu serce zabiło żywiej.

– Mam bardzo miłe wspomnienia rzekł – z dawnych moich tutejszych wakacji, ale teraz wywozę jeszcze milsze. Pani jest bardzo dobra, a przy tym zupełnie jak jakiś kwiat w tym Krzemieniu. Pod słowem, nie przesadzam.

Panna Marynia zrozumiała, że młody człowiek mówi to szczerze, może nieco za śmiało, ale raczej przez wrodzoną żywość, niż dlatego że został z nią sam na sam; więc nie obraziła się, tylko zaczęła niby gderać żartobliwie swoim miłym, przyciszonym głosem:

- Proszę mi nie mówić grzeczności, bo naprzód, źle obwiążę rękę, a po wtóre, ucieknę.
- To niech pani źle obwiążę rękę, ale zostanie. Taki śliczny wieczór...

Marynia skończyła robotę z chustką i poszli dalej. Wieczór rzeczywiście zapowiadał się śliczny. Słońce zniżało się, staw, nie marszczony powiewem wiatru, lśnił ogniem i złotem. W dali, za wodą, majaczyły spokojnie olszyny; bliższe drzewa rysowały się w zarumienionym już powietrzu bardzo czysto. Na podwórzu, za domem, klekotały bociany.

- Miły Krzemień, bardzo miły! – powtarzał Połaniecki.
- Bardzo – odpowiedziała Marynia.

– Toteż ja rozumiem pani przywiązanie do tego miejsca. Przy tym, jak się w coś wkłada pracę, to to jeszcze bardziej przywiązuje. Rozumiem też, że na wsi można mieć dobre chwile... Ot, jak teraz. Przecie tu jest tak dobrze! W mieście ogarnia czasem zmęczenie, zwłaszcza tych, którzy jak ja siedzą po uszy w rachunkach, a przy tym są samotni. Bigiel, mój wspólnik, ma żonę i dzieci – to dobrze! Ale ja co? Ja nieraz mówię sobie: Ot, pracuję, i co mi z tego? Dajmy na to, że będę miał trochę pieniędzy – i co dalej? – nic. Jutro zawsze takie samo jak dziś: robota i robota! Widzi pani, jak się człowiek wciągnie w coś, jak idzie tym pędem, np. robienia pieniędzy, to mu się zdaje, że to cel. Ale przychodzą chwile, w których myślę, że mój oryginał Waskowski ma słuszość i że nikt, kto się kończy na ski albo na wicz, nie potrafi włożyć w to całej duszy i poprzestać na tym wyłącznie. On powiada, że w nas jeszcze za świeża pamięć poprzedniego istnienia i że w ogóle Słowianie mają inną misję. To jest wielki oryginał i filozof, i mistyk. Ja się z nim sprzecam 5 robię pieniądze, jak mogę, ale teraz na przykład, jak tak chodzę z panią po tym ogrodzie, to, doprawdy, zdaje mi się, że on ma słuszość.

I przez chwilę szli w milczeniu. Światło stawało się coraz bardziej rumiane, i twarze mieli jakby zanurzone w czerwonym blasku. Przyjazne, wzajemne uczucia wzrastały w nich z każdą chwilą. Było im z sobą dobrze i spokojnie.

Połaniecki odczuwał to widocznie, gdyż po jakimś czasie rzekł:

– Co mnie pani Chwastowska mówiła i co jest prawda, to że do pani ma się w godzinę po poznaniu więcej ufności i bliżej się jest z nią niż z kim innym w miesiąc. Teraz to sprawdziłem. Zdaje mi się, że panią znam od dawna. Myślę, że tylko osoby niezwykle dobre robią takie wrażenie.

A panna Marynia odpowiedziała z prostotą:

– Emilka kocha mnie bardzo i dlatego mnie chwali. Choćby to była prawda, co ona mówi, to jednak przypuszczam, że nie ze wszystkimi taką być potrafię.

– Wczoraj, rzeczywiście, zrobiła pani na mnie inne wrażenie, ale była pani zmęczona i senna.

– Byłam trochę.

– I czemu pani spać nie poszła! Służący mógł mi zrobić herbaty, a wreszcie byłoby się i bez tego obeszło.

– Nie, tak mało gościnni nie jesteśmy. Papa mówił, że wypada, łby które z nas pana przyjęło. Bałam się, że zechce sam czekać, a jemu to szkodzi, więc wolałam go zastąpić.

Połaniecki pomyślał: „Pod tym względem mogłaś być spokojną, ale jesteś poczciwa, że starego egoistę osłaniasz.”

Następnie rzekł:

– Przepraszam panią i za to, że zaraz, zacząłem mówić o interesach. To kupieckie przyzwyczajenie. Ale też potem sam sobie powiedziałem: „Jesteś taki, owaki!” – i ze wstydem przepraszam.

– Nie ma za co, bo nie ma winy, Panu powiedziano, że ja się wszystkim zajmuję, więc pan udał się do mnie.

Zwolna zorze rozpalały się coraz mocniej. Po jakimś czasie wrócili ku domowi, ile że wieczór zapowiadał się piękny, więc siedli na werendzie ogrodowej. Połaniecki wszedł na

chwilę do salonu, po czym wrócił ze stołeczkiem od nóg i przyklękawszy zaczął go podsuwać pod stopy panny Maryni.

– Dziękuję, bardzo dziękuję... – odpowiedziała pochylając się i obejmując rękoma suknię.
– Jaki pan dobry!... dziękuję bardzo!

A on mówił:

– Ja jestem z natury nieuważny, ale wie pani, kto mnie nauczył trochę troskliwości?
Litka.

– Ją trzeba nadzwyczaj ochraniać i pani Chwastowska musi o tym pamiętać.

– I ona pamięta – odrzekła panna Marynia – i wszyscy będziemy jej w tym pomagali.
Gdyby była nie wyjechała do Reichenhallu, byłabym ją zaprosiła do nas.

– A ja bym przyjechał za Litką bez, zaproszenia.

– Więc zapraszam pana w imieniu papy raz na zawsze.

– Niech pani tego lekko nie mówi, bom gotów nadużyć grzeczności. Mnie tu jest bardzo dobrze, więc ilekroć będzie mi źle w Warszawie, to tu ucieknę – pod opiekę pani...

Teraz Połaniecki wiedział już, że słowa jego przeznaczone są na to, by ich zbliżyć, by nawiązać między nimi sympatię, i, mówił je równie umyślnie jak szczerze, a mówiąc patrzył na tę łagodną, młodą twarz, która, oświecona zachodzącym słońcem, wydawała się jeszcze spokojniejsza niż zwykle. Panna Marynia podniosła też na niego swe niebieskie oczy, w których było jakby pytanie: „Czy mówisz to wypadkiem, czy umyślnie?” – i odrzekła nieco ciszej:

– Dobrze.

I oboje umilkli czując, że istotnie coś zawiązuje się między nimi.

– Dziwi mnie; że papa nie wraca – rzekła wreszcie panna Marynia.

Rzeczywiście słońce zaszło; w czerwonym zmięczeniu począł krażyć cichym lotem lelek, a w stawie ozwały się żaby.

Lecz Połaniecki nie odpowiedział na uwagę panią i jakby pograżony we własnych myślach, zaczął mówić:

– Ja nie analizuję życia, bo nie mam na to czasu. Gdy mi jest dobrze, jak na przykład w tej chwili, to czuję, że dobrze; gdy źle, to źle – ot i wszystko. Ale przed pięciu lub sześciu laty było inaczej. Była nas cała paczka ludzi, którzy się schodzili na rozprawy o znaczeniu życia. Było kilku uczonych i jeden literat, dziś dość znany w Belgii. Zadawaliśmy sobie pytania: dokąd idziemy? jaka. wszystko ma sens, jaką wartość i jaki koniec? Czytywaliśmy pesymistów i gubiliśmy się w rozmaitych pytaniach, bez dna, tak jak mój jeden znajomy, asystent przy katedrze astronomii, który, jak zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg... I potem mu się zdawało, że jego głowa krąży po paraboli w nieskończoności... Później wyzdrowiał i został księdzem. My również nie mogliśmy do niczego dojść, na niczym odpocząć... Zupełnie jak to ptactwo, które leci przez morza i nie ma na czym usiąść. Ale ja wreszcie spostrzegłem dwie rzeczy: oto naprzód, że moi Belgowie biorą to wszystko mniej do serca niż ja... my jesteśmy naiwniejsi... Po wtóre, że mi się ochota do roboty psuje i że robię się niedołęgą. Wówczas wziąłem się za uszy i zacząłem na umor farbować perkaliki. Potem, też powiedziałem sobie tak: życie jest w prawach natury – czy mądrych, czy głupich, mniejsza z tym – ale jest. Żyć trzeba, więc trzeba z życia wydobyć, co się da. I chcę coś wydobyć. Waskowski powiada wprawdzie, że my, Słowianie, nie potrafimy na tym poprzestać, ale to się tak gada. Ze na samych pieniądzech nie potrafimy – na to od biedy zgoda. Ale ja sobie powiedziałem, że prócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój – i wie pani co? – kobieta. Bo trzeba, żeby człowiek miał się z kimś wszystkim podzielić. Potem musi być śmierć – dobrze! ale gdzie się zaczyna śmierć, tam się ludzka głowa kończy. „*That's not my business!*” – jak powiada Anglik. Tymczasem trzeba mieć komu to oddać, co człowiek ma i zdobywa – czy to pieniądze, czy zasługę, czy sławę... Jeśli są diamenty na księżycu, to wszystko jedno, bo nie ma nikogo, kto by uznał, że one coś

warte. Tak samo i człowiek musi mieć kogoś, kto by go uznawał. A ja sobie myślę: kto mnie uzna, jeśli nie kobieta – byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja, i bardzo kochana. To wszystko, czego można chcieć bo z, tego idzie spokój – i to jest jedyna rzecz, która ma sens. Ja to mówię nie jak poeta, ale jak człowiek pozytywny i kupiec. Mieć przy sobie drugą głowę – to jest i cel. A potem niech będzie, co chce. Oto moja filozofia.

Połaniecki twierdził, że mówi jak kupiec, ale mówił także jak człowiek rozmarzony, bo tak podzielał na niego i ten wieczór letni, i obecność tej młodej dziewczyny, która pod tak wieloma względami odpowiadała tym wygłoszonym przed chwilą poglądom. Połanieckiemu również musiało to przyjść do głowy, gdyż zwróciwszy się wprost do niej rzekł:

– Ja tak ot myślę, ale i z tym się zwykle przed ludźmi nie wygaduję. Dziś mi się jakoś na to zebrało, bo powtarzam, że pani Emilia ma słuszność: z panią się jest w jeden dzień bliżej niż z innymi w rok. Pani musi być bajecznie dobra! Oto, byłbym głupstwo zrobił, gdybym nie przyjechał do Krzemienia. I będę przyjeżdżał tak często, jak pani pozwoli.

– Niech pan przyjeżdża... często.

– Dziękuję.

I wyciągnął rękę, a panna Marynia podała mu także dłoń jakby na znak przymierza.

Ach, jak i on się jej podobał, ze swoją twarzą szczerą, męską, ze swoją ciemną czupryną i pewną dzielnością w całej postawie, ze swymi żywymi oczyma! Przywiózł przy tym tyle tych tchnień, których jej w Krzemieniu brakło; jakieś nowe widnokregi wybiegające daleko poza staw i olszyny, które zamykały widnokraj krzemieński. Zrobili też jednego dnia tyle drogi, ile jej można było zrobić.

Siedzieli więc znowu jakiś czas w milczeniu i wędrowali dalej, w milczeniu równie pośpiesznie jak w rozmowie. Marynia wskazała wreszcie ręką na światło, które się zwiększało za olszynami, i rzekła:

– Księżyc.

– Aha! księżyc! – powtórzył Połaniecki.

Ów zaś rzeczywiście wysuwał się zwolna zza olszyn, czerwony i wielki jak koło. Ale tymczasem psy zaszczekały, powozik zaterkotał z drugiej strony domu i po chwili w salonie, do którego poprzednio już wniesiono lampy, ukazał się pan Pławicki.

Marynia weszła do salonu. Połaniecki za nią.

– Nic się nie stało – rzekł pan Pławicki. – Zajechała ich Chromecka, że zaś myśleli, że odjedzie wkrótce, więc nie dawali znać. Jamisz trochę chory, ale jutro wybiera się do Warszawy. Ona obiecała się tu pojutrze.

– Więc wszystko dobrze? – spytała Marynia.

– Dobrze. A wy coście tu porabiali?

– Słuchaliśmy żab – odpowiedział Połaniecki – i dobrze nam było.

– Pan Bóg wiedział, na co i żaby stworzył, więc choć mi spać po nocy nie dają, nie narzekam. Ale tymczasem niech Marynia da herbaty.

Herbata czekała gotowa w drugim pokoju. Pan Pławicki opowiadał przy niej o swojej wizycie u Jamiszów. Młodzi byli milczący, tylko od czasu do czasu spoglądali na siebie pełnymi światła oczyma i na dobranoc uścisnęli się bardzo mocno za ręce.

Panna Marynia czuła pewną ociężałość rozbierając się, jakby ją ten dzień zmęczył; ale było to dziwne jakieś i miłe zmęczenie. Potem, gdy już jej główka wsparła się na poduszce, nie myślała o tym, że jutro poniedziałek, że zaczyna się nowy tydzień powszedniej roboty, tylko myślała o Połanieckim i w uszach jej brzmiały jego wyrazy:

– Kto mnie uzna, jeśli nie kobieta, byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna, bardzo moja i bardzo kochana.

Połaniecki zaś mówił sobie, zapalając w łóżku papierosa:

– Dobrze to, śliczne, miłe – gdzie taka druga?

III

Lecz nazajutrz był szary dzień i panna Pławicka obudziła się z wyrzutami. Zdawało jej się, że wczoraj dała się unieść jakimś prądowi dalej, niż należało, i że wprost była z Połanieckim kokietką. Przejmowało ją to szczególnym niesmakiem z tego głównie powodu, że jednak ów Połaniecki przyjechał jako wierzyciel. Wczoraj o tym zapomniała, dziś zaś mówiła sobie:

„Niechybnie przyjdzie mu do głowy, że go chciała ująć lub ułagodzić” – i na tę myśl krew napłynęła jej do policzków i czoła. Miała ona naturę prawą i wiele ambicji, która wzburzała się na każde przypuszczenie, że może być posądzoną o wyrachowanie. Teraz, uwierzywszy w możliwość takiego posądzenia, uczuła z góry jakby urazę do Połanieckiego. Jedną jeszcze przy tym myśl była nad wszelki wyraz przykrą: oto wiedziała że w ogóle w kasie krzemienieckiej grosz nie może grosza dogonić, że pieniędzy nie ma i że jeżeli wskutek zamierzonej parcelacji Magierówki były na nie w przyszłości widoki, to ojciec będzie się wykręcał, gdyż inne długi uważa za pilniejsze od długu Połanieckiego. Obiecywała sobie wprawdzie, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, by Połaniecki został koniecznie i przed innymi splecony, ale wiedziała, że niewiele może wskórać. Ojciec wykręcał się nią chętnie w gospodarstwie, ale w sprawach pieniężnych rządził się sam i rzadko kiedy słuchał jej zdania. Rola jego pod tym względem polegała wprawdzie na wykręcaniu się wszystkim ze wszystkiego, na obietnicach nigdy nie dotrzymywanych, na zwłokach i na przedstawianiu urojonych obliczeń i nadziei za rzeczywistość. Ponieważ dochodzenia wierzytelności, opartych na hipotekach ziemskich, same przez się są trudne i powolne, i obrona daje się przedłużać niemal dowolnie, przeto pan Pławicki trzymał się istotnie przy Krzemieniu dzięki swemu systemowi. W końcu groziło to wszystko równie nieubłaganą jak zupełną ruiną, tymczasem jednak stary człowiek uważał się za „głowę od interesów” i tym niechętniej słuchał zdań i rad córki, że zaraz posądzał ją, iż wątpi o jego „głowie” – to zaś obrażało w najwyższym stopniu jego miłość własną.

Panna Marynia przeszła już z powodu tej „głowy” i jej sposobów przez niejedno upokorzenie. Życie jej wiejskie było tylko pozorną sielanką pracy i gospodarskich zajęć. Nie brakło w nim ani przykrości, ani bólów i jej spokojna twarz mogła oznaczać nie tylko słodczy charakter, ale i jego siłę, a przy tym wielkie wyrobienie duchowe. Lecz upokorzenie, które groziło teraz, wydało się jej trudniejsze do zniesienia od innych.

„Niechże on przynajmniej mnie nie posądza!” – mówiła sobie. Ale jak mogła na to poradzić? Pierwszą jej myślą było wezwać Połanieckiego na rozmowę wprzód, nimby się widział z jej ojcem, i wyznać mu cały stan rzeczy, jak się wyznaje człowiekowi, do którego się ma ufność. Następnie przyszło jej do głowy, że taka rozmowa byłaby nie czym innym, jak prośbą o wyrozumiałość, litość, a zatem upokorzeniem. Gdyby nie to, że panna Marynia, jako kobieta odczuwająca wszystkie drgnienia swego serca i innych, czuła na wpeł świadomie, na wpeł instynktowo, że między nią a tym młodym człowiekiem coś się od razu zapowiedziało, coś się już prawie zaczęło – a zwłaszcza że coś mogło i musiało stać się w przyszłości nieuniknionym, byłaby się jednak chwyciła tej drogi. Lecz wobec takiego stanu rzeczy zdawało się jej, że nie może. Pozostawało jej tylko jedno: zobaczyć się z Połanieckim, zatrzeć swoim obejściem się z nim wczorajsze wrażenia, porozrywać te nici sympatii, które wzajem między sobą nawiązali, i dać mu zupełną swobodę postępowania. Taki sposób wydał się jej najlepszym, więc dowiedziawszy się od służącej, że Połaniecki nie tylko już wstał, ale wyszedł po herbacie ku gościńcowi, postanowiła go odszukać.

I przyszło jej to łatwo, on bowiem wrócił już z rannej przechadzki i stojąc za boczną ścianą ganku, porośniętego dzikim winem, rozmawiał z tymi samymi dwoma psami, które w dniu

przyjazdu tak się do niego łąsiły. Nie spostrzegł też jej od razu i Marynia stojąc na stopniach słyszała, jak mówił do psów:

– To psiska żołą biorą za pilnowanie domu? – co? osypkę jedzą – co? a na obcych nie szczekają, jeszcze się łąsają. A głupie kundysy! a próżniaki!

I klepał je po białych głowach. Następnie, ujrzawszy ją przez szpary w winie, skoczył jak wyrzucony z procy i stanął przed nią wesoły i rozjaśniony.

– Dzień dobry pani. Ja sobie tu z psami rozmawiam. Jak pani spała?

– Dziękuję.

I chłodno wyciągnęła ku niemu rękę, on zaś patrzył na nią oczyma, w których najwyraźniej widać było, jak wielką i głęboką przyjemność czyni mu jej widok.

I on niemniej podobał się biednej pannie Maryni. Po prostu podobał jej się z całej duszy. Serce też ścisnęło się jej żalem, że na jego serdeczne „dzień dobry” wypada jej odpowiadać tak ceremonialnie i zimno.

– Może pani idzie do gospodarstwa? To, jeśli pani pozwoli, pójdę razem. Dziś muszę wracać do miasta, więc dobra mi jedna więcej chwila w towarzystwie pani. Bóg widzi, że gdybym mógł, to bym został tu dłużej. Ale znam teraz drogę do Krzemienia.

– Prosimy zawsze, jeśli panu kiedykolwiek czas pozwoli.

Połaniecki zauważył teraz chłód bijący od jej słów, od jej twarzy, i zaczął patrzeć na nią ze zdziwieniem. Jeśli jednak panna Marynia liczyła, że uczyni on tak, jak zwykle ludzie czynią, i dostroi się natychmiast do jej tonu, to się zawiodła. Połaniecki zbyt był żywym i śmiałym, by od razu nie spytać o przyczynę.

Jakoż patrząc jej ciągle w oczy rzekł:

– Coś ani jest? Marynia zmieszała się:

– Pan się myli.

– Nie. I ja dobrze widzę, i pani dobrze wie, że się nie mylę. Pani jest dla mnie taka, jak była pierwszego wieczoru. Ale wtedy ja zawiniłem, bom zaczął nie w porę mówić o pieniądzech. Wczoraj przeprosiłem panią za to i było dobrze – i jak dobrze! Dziś znów jest inaczej – niechże mi pani powie dlaczego?

Żadna, najzręczniejsza dyplomacja nie zdołałaby bardziej zbić z tropu panny Maryni. Oto jej się zdawało, że zdoła go swym postępowaniem oziębic i oddalić, on zaś, pytając tak wręcz, raczej zbliżał się jeszcze bardziej.

I mówił dalej tonem człowieka, któremu wyrządzają niesprawiedliwość:

– Niech mi pani powie szczerze, co to jest? niech pani powie! Ojciec pani mówił, że wczoraj miałem być gościem, a dziś wierzycielem. Ale to jest głup... to jest nic! Ja się na takich różnicach nie rozumiem, a wierzycielem pani nigdy nie będę, chyba dłużnikiem, bom już pani dłużny i wdzięczny za tę wczorajszą dobroć – i Bóg widzi, jak mi chodzi o to, bym zawsze mógł być dłużny.

I znów patrzył w jej oczy, pilnie bacząc, czy w nich nie zjawi się wczorajszy uśmiech; lecz Marynia, której serce ścisnęło się coraz bardziej, szła dalej drogą, którą obrała, raz dlatego, że ją już obrała, a po wtóre i z oba wy, by przyznawszy, że dziś jest inną, nie była zmuszoną do wyjaśnienia przyczyn.

– Upewniam – odrzekła wreszcie z pewnym wysileniem – że albo się pan mylił wczoraj, albo się myli dziś. Ja jestem zawsze jednakowa i zawsze będzie mi miło, jeśli pan wywiezie od nas dobre wspomnienie.

Słowa były grzeczne, ale mówiła je panienka tak niepodobna do wczorajszej, że na twarzy Połanieckiego zaczęło się przebijać zniecierpliwienie i gniew.

– Jeśli pani chodzi o to – rzekł – bym udawał, iż w to wierzę, to niech będzie, jak pani chce. Wyjadę jednak z przekonaniem, że na wsi poniedziałek bardzo się różni od niedzieli.

Marynię dotknęły te słowa, wyglądały (me bowiem tak, jakby Połaniecki rościł sobie już jakieś prawa z powodu jej wczorajszego obejścia się z nam. Ale odpowiedziała raczej ze smutkiem niż z gniewem:

– Cóż ja na to poradzę!

I po chwili odeszła oświadczywszy, że musi pójść powiedzieć dzień dobry ojcu. Połaniecki został sam; odpędził psy, które znów próbowały łąsić się, i zaczął się złościć.

„Co to jest? – pytał w duchu. – Wczoraj dobrze, dziś źle! Zupełnie inna kobieta. Jakie to wszystko głupie, jakie marnie! Wczoraj krewny – dziś wierzyciel. Co jej do tego? Czemu mnie jak psia traktuje? Czym kogo ograbił? Wiedziała. i wczoraj, po com przyjechał. Dobrze! Chcęcie mnie mieć wierzycielem, nie Połanieckim – dobrze! Niechże to piorun trzaśnie!”

Marynia tymczasem wbiegła do pokoju ojca. Pan Pławicki wstał już i siedział przybrany w szlafrok przed biurkiem zapelnionym papierami. Na chwilę odwrócił się, by odpowiedzieć na dzień dobry córki, po czym zaraz zajął się na nowo czytaniem papierów.

– Papo – rzekła Marynia – przyszłam pomówić o panu Połanieckim... czy papa...

Lecz on jej przerwał, nie przestając patrzeć na papiery.

– Twojego Połanieckiego ugniotę w rękę, jak wosk.

– Wątpię, czy to będzie łatwo. Wreszcie ja bym chciała, żeby on przed innymi był spleacony, choćby z największą naszą stratą.

Wówczas pan Pławicki odwrócił się od biurka i zaczął na nią patrzeć. Potem spytał zimno:

– Proszę! Czy to opieka nad nim, czy. nade mną?

– To jest kwestia naszego honoru...

– W czym, jak sądzisz, potrzebuję twojej rady?

– Nie, papo, ale...

– Co za patetyczny dzień nam nastał! Co tobie jest?

– Ja tylko proszę papy na wszystko...

– A ja cię także proszę, byś to zostawiła mnie. Usunęłaś mnie od gospodarstwa – i ustąpiłem, bo o te parę lat, które mi do życia zostają, nie chcę się sprzeczać z rodzonym dzieckiem. Ale zostawże mi choć ten kąt w domu, choć tę jedną izbę, i pozwól mi załatwiać te sprawy, które się w niej załatwić dają.

– Papo drogi, przecie ja tylko proszę...

– Żebym się przeniósł na folwark? któreż czworaki mi wyznaczasz?

Tu pan Pławicki, który mówiąc o „patetycznym” dniu, widocznie nie chciał tylko, by ktoś dzielił z nim monopol, powstał w swoim perskim szlafroku jak król Lear i chwycił za poręcz fotelu, dając przez to do zrozumienia okrutnej córce, że inaczej, rażony jej okrucieństwem, padłby jak długi na ziemię. Lecz jej łzy cisnęły się do oczu, a gorzkie poczucie własnej bezsilności napływało do serca. Przez chwilę stała w milczeniu, walcząc z żalem i ochotą do płaczu, po czym rzekła cicho:

– Przepraszam papę...

I wyszła z pokoju.

W kwadrans później wszedł do niego, na żądanie pana Pławickiego, Połaniecki, ale zły, rozdrażniony, lubo usiłujący nad sobą panować.

Pan Pławicki, powitawszy się z nim, usadził go przy sobie na krześle, z góry przygotowanym, i wzięwszy go dłonią za kolano, spytał:

– Stachu, wszak tego domu nie spalisz? Wszak mnie, którym ci ręce otworzył jak krewny, nie zamordujesz? Wszak mi dziecka nie uczynisz sierotą?

– Nie – odrzekł Połaniecki – domu nie spalę, wuja nie zarżnę i żadnego dziecka nie uczynię sierotą. Proszę nawet, by wuj w ten sposób nie zaczynał mówić, bo to do niczego nie prowadzi, a dla mnie jest nieznośnym.

– Dobrze – odpowiedział pan Pławicki, nieco jednak dotknięty tym, że jego styl i sposób wyrażania się tak małe zyskują uznanie. – Pamiętaj tylko, że do mnie i do tego domu przyjeżdżałeś jeszcze dzieckiem.

– Przyjeżdżałem, bo przyjeżdżała matka, a matka po śmierci ciotki Heleny przyjeżdżała dlatego, że wuj nie płacił procentów. To wszystko nie ma się nic do *rzeczy*. Suma tkwi na hipotecę od dwudziestu jeden lat. Z procentami zaległymi wynosi około dwudziestu czterech tysięcy rubli. Dla okrągłości niech będzie dwadzieścia równo – ale tych dwadzieścia muszę mieć, bo po to przyjechałem.

Pan Pławicki pochylił głowę z rezygnacją.

– Po to przyjechałeś?... Tak. Ale czemu ty byłeś wczoraj taki inny, Stachu?

Połaniecki, który pół godziny temu zadał to samo pytanie pannie Maryni, aż podskoczył na krześle, ale pomiarkował się jeszcze i rzekł:

– Proszę o przystąpienie do interesu.

– Ja się przed tym nie cofam, tylko pierwej pozwól mi powiedzieć parę słów i nie przerywaj mi. Mówiłeś, że procentów nie płać. Prawda. Ale czy wiesz dlaczego? Matka twoja nie oddała mi przecie całego swego majątku i nie mogła tego bez pozwolenia rady rodzinnej uczynić. Może gorzej dla was, że się tak nie stało, ale mniejsza z tym. Ostatecznie, wzięwszy te kilkanaście tysięcy rubli, powiedziałem sobie tak: kobieta została sama na świecie, z jedynym dzieckiem – nie wiadomo, jak sobie poradzi, nie wiadomo, co może wypaść – niechże te pieniądze, które ma u mnie, będą jej funduszem żelaznym, niech rosną, by w danym razie miała o co ręce zaczepić. I od tej pory byłem jakby waszą kasą oszczędności. Matka dała mi dwanaście tysięcy rubli – dziś masz u mnie przeszło dwadzieścia cztery. Oto rezultat. A teraz: czyż zapłacisz mi za to niewdzięcznością?

Na to Połaniecki rzekł:

– Kochany wuju Pławicki! proszę mnie nie brać ani za głupszego, niż jestem, ani za wariata. Powiadam po prostu, że na takie plewy ja się nie złapię – bo za grube. Powiadasz, wuj, że mam dwadzieścia cztery tysiące rubli – więc gdzie są? Proszę o nie – bez gadaniny, i jeszcze takiej!

– A ja cię proszę o cierpliwość i umiarkowanie, choćby dlatego, że jestem starszy – odrzekł z urazą i godnością pan Pławicki.

– Mam współnika, który za miesiąc wnosi dwanaście tysięcy rubli na umówiony interes – ja muszę wnieść tyleż. Powiadam to jasno i oświadczam, że po dwóch latach kołatania listami – nie mogę i nie będę dłużej cierpliwy.

Pan Pławicki wsparł rękę na biurku, czoło na dłoni – i milczał.

Połaniecki patrzył na niego, czekając odpowiedzi – patrzył z wzrastającą niechęcią i w duszy zadawał sobie pytanie: „Czy to jest kręciciel? czy bzik? czy egoista, tak zaślepiiony w Kolbie, że dobro i zło mierzy tylko własną wygodą? – czy wreszcie wszystko razem?”

Tymczasem pan Pławicki trzymał czoło ciągle ukryte w dłoni i milczał.

– Nareszcie chciałbym coś wiedzieć... – zaczął Połaniecki.

Lecz tamten potrząsnął ręką, dając znać, że chce być jeszcze sam ze swymi myślami.

I nagle podniósł rozjaśnioną twarz.

– Stachu – rzekł – po co my się kłócimy, kiedy jest tak prosty sposób wyjścia!

– Jaki?

– Bierz margiel!

– Co?

– Sprowadź tu swego współnika, sprowadź jakiego specjalistę, oszacujemy mój margiel i zrobimy we trzech spółkę. Twój... jak się tam nazywa? Bigiel? spłaci mi tyle, ile na niego wypadnie, ty albo coś dopłacisz, albo nie – i pójdziemy razem, a zyski mogą być olbrzymie.

Połaniecki wstał.

– Proszę pana – rzekł – do jednej rzeczy nie jestem przyzwyczajony, mianowicie, żeby ktoś drwił ze mnie. Ja nie chcę pańskiego marglu – tylko moich pieniędzy, a to, co mi pan mówisz, uważam po prostu za niegodne albo bezrozumne wykręty.

Nastała chwila ciężkiej ciszy. Jowiszowy gniew zaczął się zbierać w brwiach i na czole pana Pławickiego. Przez chwilę piorunował śmiałka oczyma, po czym przysunawszy się szybko do kołków, na których wisiała broń, zdjął myśliwski nóż i podając Połanieckiemu, rzekł:

– A więc jest inny sposób: uderzaj!

I otworzył szeroko szlafrok, lecz Połaniecki, nie panując nad sobą, odtrącił rękę z nożem i zaczął mówić podniesionym głosem:

– To jest licha komedia – nic więcej! Z panem szkoda tracić słów i czasu. Wyjeżdżam, bo mam dosyć pana i pańskiego Krzemienia, ale zapowiadam, że sumę moją sprzedam choćby za pół ceny pierwszemu z brzegu Żydowi, który potrafi sobie, z panem poradzić.

Na to prawa ręka pana Pławickiego wyciągnęła się uroczyście:

– Idź! – rzekł – sprzedawaj! wpuść Żyda w gniazdo rodzinne, ale wiedz o tym, że przekleństwo moje i tych, którzy tu żyli, znajdzie cię wszędzie.

Połaniecki wypadł z, pokoju biały ze złości, w salonie zaś kłął, co wlaźło, szukając swego kapelusza. Znalazszy go wreszcie, chciał wyjść, obaczyć, czy bryczka nie zajechała, gdy wtem weszła Marynia. Na jej widok pomiarkował się nieco, lecz przypomniawszy sobie, że właściwie to ona zajmuje się wszystkim w Krzemieniu rzekł:

– Żegnaj panią. Sprawę z ojcem pani skończyłem. Ja przyjechałem po moją należność, a on dał mi naprzód błogosławieństwo, potem margiel, a potem przekleństwo. Dobry sposób spłacania należytości!...

Była chwila, że Marynia chciała wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć: „Ja rozumiem pański gniew; przed chwilą byłam także u ojca i błagałam go, żeby pana spłacił przed wszystkimi. Niech pan postąpi z nami i z Krzemieniem, jak pan chce, ale niech pan mnie nie obwinia, niech pan nie myśli, że ja należę do spisku przeciw panu, i niech pan ma dla mnie choć trochę szacunku.”

I już jej ręka wysuwała się naprzód, już powyższe słowa zawisły jej na ustach, gdy Połaniecki, podniecając się coraz bardziej wewnątrz i tracąc na nowo coraz bardziej równowagę, dodał:

– Oświadczam to pani dlatego, że gdy pierwszego wieczoru chciałem być mówić z panią, pani obraziła się i odesłała mnie do ojca. Dziękuję za skuteczną radę, ale że ona lepsza dla państwa niż dla mnie, więc następną sam obmyślę.

Wówczas usta Maryni pobladły, w oczach zaświeciły łzy oburzenia, a zarazem głębokiej urazy. Podniosła głowę i rzekła:

– Może pan mówić, jakie chce, obelgi, bo za mną nikt się nie ujmie...

I zawróciła ku drzwiom, pełna w duszy upokorzenia i niemal rozpaczy, że to są jedyne owoce, jakie zbiera za swoją pracę, w którą kładzie wszystkie siły i cały zapal swojej młodej, prawej duszy. Połaniecki spostrzegł też, że przebrał miarę. Mając uczucia bardzo żywe, przeszedł w jednej chwili do litości – i chciał biec za nią, przeproszać, ale było już za późno. Marynia wyszła.

To przyprawiło go o nowy napad złości. Tym razem jednak ogarnął ową złością i siebie samego. Nie żegnając się już z nikim, siadł na bryczkę, która tymczasem zajechała, i ruszył z Krzemienia. W duszy wrzał mu taki gniew, że przez czas jakiś nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o zemście: „Sprzedam, choćby za trzecią część ceny, i niech was tradują! Daję sobie słowo uczciwego człowieka, że sprzedam. Choćbym nie potrzebował, sprzedałbym – na złość!”

I w ten sposób zamiar zmienił się w zawzięte i zaprzysiężone postanowienie. Połaniecki nie był zaś z rodzaju ludzi, którzy nie dotrzymują przyrzeczeń, danych bądź komukolwiek,

ładź sobie. Chodziło teraz jedynie O to, czy znajdzie kupca na sumę talk trudną do wydobycia, że aby dojść do niej, trzeba było, bez przenośni, rozgryźć „Krzemień”.

Tymczasem bryczka wytoczyła się z alei na otwartą polową drogę. Połaniecki, ochłonawszy nieco, zaczął. teraz myśleć o Maryni w taki mozaikowy sposób, złożony z poczucia jej uroku, z wrażeń, jakie uczyniła na nim jej twarz i postawa, ze wspomnień o niedzielnej rozmowie, z niechęci, litości, urazy, zawziętości, a wreszcie i z niezadowolenia z siebie, które potęgowało jeszcze zawziętość względem niej. Jedno z tych uczuć brało na przemian górę nad innymi i narzucało im swą barwę. Chwilami przypominał sobie wysoką postać Maryni, jej oczy, jej ciemne włosy, jej śliczne, lubo może za szerokie usta, wreszcie jej wyraz – i opanowywał go poryw sympatii ku niej. Myślał, że jest ogromnie dziewicza, a zarazem w ustach, w ramionach, w liniach całej postawy ma coś kobiecego, co pociąga ku sobie z niepohamowaną siłą. Przypominał sobie jej głos łagodny, jej spokojne wejrzenie i jej bardzo widoczną dobroć. Wówczas na myśl, jak był dla niej szorstki przed wyjazdem, na wspomnienie tonu, jakim do niej mówił, poczynał kłać siebie. „Jeśli ojciec jest stary komediant, krętacz i głupiec (mówił sobie) i jeśli ona to wszystko czuje, to jest tym nieszczęśliwsza. A więc co? więc każdy człowiek z kawałkiem serca byłby to zrozumiał i zlitował się nad nią, nie zaś napadał na zapracowane biedne dziecko – ja to zrobiłem, ja!” Tu miał ochotę spoliczkować się, bo zarazem wyobrażał sobie, co by to było, jakie niezmierne zbliżenie, jaka wyjątkowa tkliwość byłaby powstała między nimi, gdyby po całej kłótni z ojcem obszedł się z nią, jak był powinien, to jest z największą delikatnością. Byłaby mu oto podała obie ręce na pożegnanie, a on by je ucałował – i rozjechałby się jak dwoje ludzi sobie bliskich. „Niechby wreszcie diabli wzięli pieniądze! – powtarzał w duchu – a teraz niech wezmą mnie!” I czuł, że porobił rzeczy, które się już nie dadzą naprawić, to zaś poczucie odbierało mu resztę równowagi i popychało tym bardziej po tej drodze, której błędność uznawał. I znów zaczynał monologować mniej więcej w taki sposób: „Skoro wszystko stracone, niechże się wszystko spali. Sprzedam sumę byle Żydowi – niech ich straduje, niech wylecą na bruk, niech stary szuka urzędu, a ona niech idzie na guwernantkę albo za Gątowskiego...” Tu nagle poczuł, że zgodzi się raczej na wszystko niż na tę ostatnią myśl. Gątowskiemu nadkręciłby karku! Niech ją kto chce bierze, byle nie taki bałwan, taki niedźwiadek, taki ryfa. I piękne epitety zaczęły się sypać na nieszczęśliwego Gątowskiego; na niego przeszła cała złość, jakby on rzeczywiście był sprawcą wszystkiego, co się stało. Przyjechawszy w tak ludożerczym usposobieniu do Czerniowa, byłby może Połaniecki, jak drugi Ugolin, wpił się od razu Gątowskiemu zębami „tam, kędy czaszka do barków przypada”, gdyby był go na stacji spostrzegł. Na szczęście zamiast „czaszki” Gątowskiego spostrzegł tylko kilku urzędników, kilku chłopów, kilku Żydów i pogiębioną a inteligentną twarz radcy Jamisza, który go poznał, a gdy pociąg niebawem nadszedł, zaprosił go, dzięki dobrym stosunkom z zawiadowcą, do osobnego przedziału.

– Znałem jeszcze pańskiego ojca – rzekł – i znałem go za jego świetnych czasów. Wziąłem z jego sąsiedztwa żonę. Pamiętam, miał wtedy Zwichów, Brzęczącą, Mocarze i Rozwady w Lubelskiem. Piękna fortuna! Dziadek pański był jednym z większych właścicieli w tamtych stronach – ale to musiało teraz przejść w inne ręce.

– Nie teraz, ale już dawniej. Ojciec mój stracił za życia cały majątek. Był chory, mieszkał w Nizy, nie pilnował, i tak to poszło. Żeby nie sukcesja, którą po jego śmierci dostała matka, byłoby ciężko.

– Ale pan za to dajesz sobie dobrze rady. Ja znam wasz Dom. Miałem z wami przez Abdulskiego interes o chmiel.

– To Abdulski dla pana pośredniczył?

– Tak, i muszę przyznać, że byłem ze stosunku zupełnie kontent. Wyszliście ze mną przyzwolicie – i widzę, że porządnie prowadzicie interes.

– Inaczej nikt się nie ostoi. Mój współnik, Bigiel, jest uczciwy człowiek, a i ja nie jestem panem Pławickim – odpowiedział Połaniecki.

– Jakże to? – spytał zaciekawiony Jamisz. Połaniecki, z resztkami niewygasłego jeszcze rozdrażnienia, opowiedział mu całą sprawę.

– Hm! – odrzekł Jamisz – skoro pan mówisz o nim tak bez ogródek, to pozwólże, abym i ja tak mówił, choć to pański krewny.

– On sam żaden krewny; pierwsza jego żona była krewną i przyjaciółką mojej matki – oto wszystko.

– Ja go znam od dziecka. To jest człowiek więcej popsuty niż zły. Był jedynakiem, więc naprzód rozpieścili go rodzice, a potem czyniły to samo obie żony. Obie były kobiety ciche i łagodne, dla obydwóch był bożyszczem. Przez całe lata rzeczy układały się w ten sposób, że on był tym słońcem, koło którego kręca się inne planety, i nareszcie doszedł do przekonania, że jemu się od świata należy wszystko, a ludziom od niego nic. W takich warunkach, gdy się zło i dobro własną tylko wygodą mierzy, nic łatwiejszego, jak zatracić zmysł moralny. Pławicki to jest mieszanina uroczystości i folgi: uroczystości, bo sam zawsze na chwałę swoją celebrował, a folgi, bo sobie na wszystko pozwalał. Zmieniło się to niemal w jego naturę. Potem przyszły też brudne okoliczności, którym potrafi się oprzeć tylko człowiek z charakterem, a on go nigdy nie miał. Zaczął się wykręcać i w końcu do tego przywykł. Nas, panie, ziemia uszlachetnia, ale też i ziemia psuje. Mnie jeden mój znajomy bankrut mówił: „To nie ja kręcę, to mój majątek kręci, a ja tylko za niego gadam.” – I to trochę tak jest. Więcej w naszym zawodzie niż w każdym innym...

– Wyobraź pan sobie – odpowiedział Połaniecki – że ja, który pochodzę z roli, nie mam żadnego pociągu do rolnictwa. Wiem, że ono będzie zawsze, bo być musi, ale w tej formie, jak jest dziś, nie widzę dla niego przyszłości. Wy wszyscy musicie zginąć.

– Ja też nie patrzę różowo. Pomijam, że ogólny stan rolnictwa jest w całej Europie zły, bo to rzeczy znane, ale pomyśl pan tylko: ma szlachcic czterech synów, więc każdy z nich odziedziczy tylko czwartą część ojcowskiego majątku. Tymczasem, cóż się dzieje? Każdy, przywykły do ojcowskiej normy życia, chce żyć jak ojciec – ot już koniec łatwy do przewidzenia. Po drugie – ma szlachcic czterech synów, to zdolniejsi obierają rozmaite zawody: na roli, o zakład, zostaje najmniej zdolny. Po trzecie – to, co całe szeregi pokoleń zapracowały, jedna lekkomyślna głowa zniszczy. Po czwarte – my jesteśmy nieźli rolnicy, a źli administratorowie, dobra zaś administracja znaczy więcej od dobrej uprawy roli: więc cóż za wniosek? Ziemia zostanie, ale my, którzy ją dziś przedstawiamy, pod formą większej własności, prawdopodobnie musimy z niej wyjść. Tylko, widzisz pan, wyszedłszy, może z czasem wrócimy.

– Jak to?

– Bo naprzód, to, co pan mówisz, że pana do ziemi nic nie ciągnie, to jest złudzenie. Ziemia, panie, ciągnie i ciągnie z taką siłą, że każdy, przyszedłszy do pewnych lat, do pewnej zamożności, nie może się oprzeć chęci posiadania choćby kawałka ziemi. Przyjdzie to i na pana. I to jest naturalne. Ostatecznie, wszelkie bogactwo może być uważane za fikcję prócz ziemi. Wszystko wychodzi z niej i wszystko istnieje dla niej. Jak bilet bankowy jest kwitkiem na monetę metalową, leżącą w banku państwa, tak i przemysł, i handel, i co pan chcesz, jest ostatecznie zmienioną na inny kształt ziemią... a co do was zwłaszcza, którzyście z niej wyszli, musicie do niej wrócić.

– Ja przynajmniej nie myślę.

– Co pan wiesz? Dziś robisz majątek, ale jak go zrobisz? I w tym jest przyszłość. Połanieccy byli rolnikami – teraz jeden obrał inny zawód. Większość dzieci rolników musi także obrać inny zawód choćby dlatego, że inaczej nie może. Część ich zmarnieje, część dorobi się i wróci – a wróci nie tylko z kapitałem, ale z nową energią i z tą znajomością

ściślejszej administracji, jaką specjalne zawody wyrabiają – wróci przez ten pociąg, który ziemia wywiera, i wreszcie z poczucia obowiązku, których panu tłumaczyć nie potrzebuję.

– To, co pan mówisz, ma tę dobrą stronę, że wówczas taki mój wujaszek niewujaszek, Pławicki, będzie należał do typów zaginionych.

Pan Jamisz zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Nić się ciągnie i ciągnie, póki się nie urwie, ale w końcu musi się urwać. Oni się nie utrzymają, moim zdaniem, przy Krzemieniu, choćby rozparcelowali Magierówkę. Ot, kogo mi żal, to Maryni. To nadzwyczaj pocziwe dziecko. Bo pan nie wiesz, że stary chciał przed dwoma laty sprzedać Krzemień i wynieść się do miasta i że nie stało się to w części na prośby Maryni. Czy to ze względu na pamięć matki, która tam leży, czy dlatego, że tyle się mówi i pisze o obowiązku trzymania się przy ziemi, dość że dziewczyna robiła, co mogła, by do sprzedaży nie dopuścić. Wyobrażało sobie biedactwo, że byle się wziąć ze wszystkich sił do roboty, można wszystkiego dokazać. I prawdziwie, że wyrzekła się całego świata dla tego Krzemienia. Dla niej to będzie cios, jak się nić wreszcie urwie, a musi się urwać... Szkoda dziewczyny lat.

– Pan jesteś dobry człowiek, panie radco! – zawołał Połaniecki ze zwykłą sobie żywością. Stary człowiek uśmiechnął się.

– Ja lubię to dziecko, bo to wreszcie i moja pupilka w zawodzie gospodarskim; pewnie, że będzie smutno, jak nam jej zbraknie.

Połaniecki zaczął przygryzać czas jakiś wąsy, wreszcie rzekł:

– Niech wyjdzie za mąż za kogo w okolicy, to i zostanie.

– Wyjdzie, wyjdzie... Niby to pannie bez majątku łatwo. Kto u nas jest? Gątowski. Ten by ją wziął. Dobry człowiek i wcale nie tak ograniczony, jak mówią. Ale ona nie ma dla niego uczucia, a bez uczucia nie wyjdzie. Jałbrzyków mały mająteczek. Staremu się przy tym zdaje, że Gątowski są czymś mniej od Pławickich – i Gątowski także już w to uwierzył. Jak to pan wie, u nas ten uchodzi za familianta, komu się podoba za takiego uważać. Bo ludzie niby się śmieją, a w końcu przywykają. Przy tym jeden podnosi nosa dlatego, że się dorabia majątku, a drugi dlatego, że go traci – i nic innego mu nie pozostaje. Ale mniejsza z tym. To jedno wiem, że kto Marynię weźmie, perlę weźmie.

Połaniecki miał w tej chwili w duszy to samo i przekonanie, i poczucie. Pograżywszy się więc w milczeniu, zaczął na mowo rozmyślać o Maryni, a raczej przypominać ją sobie i wyobrażać. Nagle wydało mu się nawet, że będzie bez niej tęsknił; ale przypomniał sobie także, że podobne rzeczy nieraz już mu się wydawały, a potem *czas* rozwiewał te złudzenia. Jednakże myślał o niej jeszcze nawet i wówczas, gdy zbliżali się już do miasta, i wysiadając w Warszawie, mrucał przez zęby:

– Jak się to głupio stało! jak głupio!...

IV

Po powrocie do Warszawy pierwszy wieczór spędził Połaniecki w domu swego wspólnika Bigiela, z którym, jako z dawnym kolegą szkolnym, łączyła go i osobista zażyłość. Bigiel, z pochodzenia Czech, ale z rodziny osiadłej w kraju od kilku pokoleń, prowadził już przed połączeniem się z Połanieckim niewielki Dom Bankowo Handlowy i zyskał sobie opinię kupca, niezbyt wprawdzie przedsiębiorczego, ale uczciwego i nadzwyczaj pewnego w stosunkach. Gdy Połaniecki jeszcze przed ostatecznym powrotem z zagranicy wszedł w spółkę, Dom rozszerzył znacznie swą działalność i stał się poważną firmą. Wspólnicy dopełniali się doskonale. Połaniecki, nierównie zdolniejszy i bardziej rzutki, miał więcej pomysłów i ogarniał łatwiej całość każdej sprawy; natomiast Bigiel pilnował lepiej

wykonania. Gdy chodziło o to, by okazać energię lub przycisnąć kogoś do muru, tam Połaniecki był jedyny; natomiast gdy szło o rozmyśl, o obejrzenie interesu z dziesięciu stron i o cierpliwość, tam zaczynała się rola Bigiela. Usposobieniem byli sobie wręcz przeciwni i może dlatego mieli dla się wzajemnie szczerą przyjaźń. Przewaga w stosunku była po stronie Połanieckiego. Bigiel wierzył w jego niepospolite zdolności, a kilka pomysłów, istotnie bardzo dla Domu szczęśliwych, jakie dał Połaniecki od czasu wejścia w spółkę, utwierdziły tę wiarę. Marzeniem obydwóch było dojść z czasem do takiego kapitału, by móc założyć fabrykę perkalów, którą kierowałby Połaniecki, administrował Bigiel. Ale, jakkolwiek obaj mogli się już liczyć do ludzi niemal zamożnych, była to odległa przyszłość. Mniej cierpliwy, a bardzo na wszystkie strony spokrewniony Połaniecki, próbował wprowadzić zaraz po przyjeździe do kraju poruszyć w tym celu miejscowe, tak zwane „swojskie” kapitały. Ale spotkała go ogólna nieufność. Zauważył przy tym rzecz dziwną. Oto jego nazwisko otwierało mu wszystkie drzwi, ale raczej szkodziło, niż pomagało mu w interesie. Zdawać się mogło, że tym ludziom, do których się zgłaszał, nie mieściło się w głowie, jakim sposobem jeden z nich, zatem człowiek z dobrego domu i z nazwiskiem kończącym się na s k i, może dobrze prowadzić jakikolwiek interes. Połanieckiego złościło to z początku tak, że roztropny Bigiel musiał gasić jego wybuchy za pomocą przedstawień, iż podobna nieufność jest istotnie opartą na latach smutnych doświadczeń. I znając dobrze historię rozmaitych przedsiębiorstw handlowo przemysłowych cytował mu cały szereg nazwisk, począwszy od pana podskarbiego Tyzenhauza, a skończywszy na rozmaitych bankach włościańskich i Tellusach, które, prócz nazwy, nie miały w sobie nic ziemskiego, czyli inaczej mówiąc pozbawione były wszelkich realnych podstaw. – „Czas jeszcze nie przyszedł – mówił Bigiel – ale czas przyjdzie, a raczej już nadchodzi. Do tej pory było tylko amatorstwo i dyletantyzm, teraz dopiero zjawiają się tu i ówdzie ludzie fachowi.”

Połaniecki, który mimo swego temperamentu miał zmysł spostrzegawczy dość rozwinięty, poczynił przy tym rozmaite dziwne odkrycia w tych sferach, do których jego stosunki otwierały mu przystęp. Oto spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił. Podnoszono to nawet z naciskiem, ale było w tym uznaniu jeszcze jakby pewne pobłażanie. Każdy dawał zanadto do poznania, że się na to zgadza, że uważa to za potrzebne, nikt zaś nie zachował się tak, jakby fakt, iż Połaniecki czymś się zajmuje, uważał za rzecz zupełnie zwykłą i naturalną. „Oni mnie wszyscy protegują!” – mówił Połaniecki – i to była prawda. Doszedł też do przekonania, że gdyby na przykład chciał sięgnąć po rękę którejś z panien z tak zwanego „towarzystwa” —to jego Dom Bankowo Handlowy i nazwa „aferzysty” byłyby mu, mimo owego uznania, raczej przeszkodą niż pomocą. Prędzej by mu oddano każdą z tych dziewczyn, gdyby zamiast zyskowego przedsiębiorstwa miał jaki obdłużony majątek lub gdyby żyjąc jak wielki pan, zjadał po prostu procenta od kapitału albo nawet sam kapitał.

Uczyniwszy całe tuziny tego rodzaju spostrzeżeń, Połaniecki zaczął zaniedbywać stosunki, a w końcu zaniechał ich zupełnie, poprzestając na domu Bigielów, pani Emilii Chwastowskiej i tych znajomościach męskich, jakie były konieczne przy jego życiu kawalerskim. Jadał u Francois z Bukackim, ze starym Waskowskim i z adwokatem Maszko, z którymi ustawicznie rozprawiał i spierał się o rozmaite kwestie; bywał często w teatrze i na wszelkiego rodzaju zabawach publicznych; zresztą prowadził życie dość odosobnione, i dlatego mimo wielkiej i wyrozumowanej ochoty, jak również mimo dostatecznego majątku, dotychczas się nie ożenił.

Zajechawszy, po powrocie z Krzemienia, niemal wprost do Bigielów, wylał naprzód całą żołąć na „wujaszka” Pławickiego, sądząc, że w gospodarzu znajdzie powolnego i współczującego słuchacza; ale Bigiel mało się wzruszył opowiadaniem i rzekł:

– Ja takie typy znam. Zresztą, prawdę powiedziawszy, skąd Pławicki weźmie pieniędzy, skoro ich nie ma? Z długami hipotecznymi trzeba mieć świętą cierpliwość. Majątek ziemski łatwo łyka pieniądze, ale oddaje je z największym wysileniem.

– Słuchaj, Bigiel – odrzekł Połaniecki – od czasu jak tyjesz i sypiasz po obiedzie, z tobą trzeba mieć także świętą cierpliwość.

– Bo tak szczerze – mówił niewzruszony Bigiel – czy ty koniecznie potrzebujesz tych pieniędzy? Czy nie masz do rozporządzenia sumy, jaką każdy z nas obowiązany jest wnieść?

– Ciekawym, co tobie albo Pławickiemu do tego? Mam u niego, muszę odebrać, i skończyło się.

Wejście pani Bigielowej z całym stadkiem dzieci położyło tamę kłótni. Była to młoda jeszcze kobieta, ciemnowłosa, niebieskooka, bardzo dobra i bardzo zajęta dziećmi, których było sześcioro i które Połaniecki nadzwyczaj lubił. Była też za to szczerą jego przyjaciółką, jak również pani Emilii Chwastowskiej. Obie te panie, znając i kochając Marynię Pławicką, postanowiły ożenić z nią Połanieckiego, obie namawiały go bardzo silnie, by osobiście jechał po pieniądze do Krzemienia; teraz więc pani Bigielowa płonęła ciekawością, jakie te odwiedziny uczyniły na nim wrażenie.

Ale z powodu dzieci nie można się było dogadać. Najmłodszy z tych, które już chodziły na własnych nogach, Jaś, objawszy rękoma łydkę Połanieckiego, począł za nią ciągnąć wołając: „Pan, pan!” – co w jego języku brzmiało: „Pam! pam!” – dwie dziewczynki, Ewka i Joasia, wgramoliły się bez ceremonii na kolana młodego człowieka, a Edzio i Józio wytoczyli przed nim sprawę. Dzieci czytały *Zdobycie Meksyku* i bawiły się w „zdobycie Meksyku”, więc Edzio, podniósłszy brwi i przekręciwszy dłonie do góry, mówił z zapalem:

– Dobrze! ja będę Kortezem, a Józio rycerzem na koniu, ale jak Ewka ani Joasia nie chcą być Montezumą, to jakże? Przecież tak nie można się bawić, prawda? Ktoś musi być Montezumą, bo inaczej, któż będzie Meksykanami dowodził?

– A gdzie są Meksykanie? – spytał Połaniecki

– No – rzekł Józio – Meksykanami są przecie krzesła i Hiszpanami także.

– To czekajcież, ja będę Montezumą – a teraz zdobywajcie Meksyk!

Tu wszczął się rwetes nieopisany. Żywość Połanieckiego pozwalała mu zmieniać się chwilami w dziecko. Stawił on tak zacięty opór Kortezi, że Kortez począł mu odmawiać prawa do takiego oporu, twierdząc, nie bez słuszności historycznej, że skoro Montezuma został pobity, to powinien się dać pobić. Na to Montezumą odpowiadał, że go to mało obchodzi, i walczył dalej. W ten sposób zabawa przedłużała się coraz bardziej.

Lecz pani Bigielowa, nie mogąc doczekać końca, spytała wreszcie męża:

– Jakże wizyta w Krzemieniu?

– Zrobił to, co teraz robi – odpowiedział z flegmą Bigiel – poprzewracał wszystkie krzesła i wyjechał.

– Mówił ci co?

– O pannę nie miałem czasu go zapytać, ale z Pławickim rozstał się, jak nie można gorzej. Chce sprzedać swój dług na Krzemieniu, co oczywiście pociągnie za sobą zupełne zerwanie stosunków.

– Szkoda – odrzekła pani Bigielowa. I przy herbacie, gdy dzieci spać poszły, poczęła wprost wypytywać Połanieckiego o Marynię.

– Nie wiem – odpowiedział Połaniecki – może jest ładna, może nie! Nie zastanawiałem się nad tym.

– To nieprawda – odpowiedziała pani Bigielowa.

– A więc nieprawda! A więc jest miła, ładna i co pani chce. Można się w niej zakochać, można się z nią ożenić, ale noga moja więcej u nich nie postanie. Wiem doskonale, dlaczego mnie tam panie wysyłały; tylko lepiej mnie było ostrzec, kim jest jej ojciec, bo ona musi być do niego z usposobienia podobna, a jeśli tak jest, to dziękuję uniżenie.

– Niech się pan zastanowi, co pan mówi: jest ładna, jest miła, można się z nią ożenić” – a potem: „musi być do ojca podobna!” Przecie to się nie trzymał!

– Być może, wszystko mi jedno! Nie mam szczęścia, i dość na tym!

– A ja powiadam panu dwie *rzeczy*: po pierwsze, że pan powrócił pod silnym wrażeniem Maryni, a po drugie, że to jest jedna z najlepszych panien, jakie w życiu widziałam, i że szczęśliwy będzie, kto ją weźmie.

– Czemuż jej dotąd nikt nie wziął?

– Bo ona ma dwadzieścia jeden lat i niedawno w świat weszła. Niech pan zresztą nie myśli, żeby nie miała już starających się.

– Niechże ją bierze kto inny.

Ale Połaniecki powiedział to nieszczerze, myśl bowiem, że ją może wziąć kto inny, była mu niezmiernie przykra. Czuł też w duszy wdzięczność dla pani Bigielowej za jej pochwały dla Maryni.

– Niech tam! – rzekł – ale pani jest dobrą przyjaciółką.

– Nie tylko Maryni, ale i pańską, i pańską. Proszę tylko o szczerą, ale zupełnie szczerą odpowiedź: jest pan pod wrażeniem czy nie jest?

– Ja? pod wrażeniem? Szczerze mam powiedzieć? – Ogromnie!

– A widzi pan! – odrzekła pani Bigielowa, której twarz rozjaśniła się zadowoleniem.

– Cóż widzę? Nic nie widzę! Podobała mi się ogromnie. – prawda! Pani nie ma pojęcia, jakie to sympatyczne i pociągające stworzenie. I dobre musi być! Ale cóż? Przecie ja drugi raz do Krzemienia nie mogę jechać. Wyjechałem taki zły, mówiłem nie tylko Pławickiemu, ale i jej takie przykre rzeczy, że to nie podobna.

– Bardzo pan nabroił?

– Raczej zanadto niż za mało.

– To można listem ułagodzić.

– Ja bym miał pisać do Pławickiego i przeproszać? Za nic w świecie! Przecie on mnie zresztą przeklął.

– Jak to przeklął?

– Jako patriarcha rodu. W swoim imieniu i wszystkich przodków. Mam taki do niego wstręt, że nie umiałbym dwóch słów nakreślić. To jest stary, patetyczny komediant. Ją prędzej bym przeprosił, ale na co się to zdało? Ona musi z ojcem trzymać. To i ja rozumiem. W najlepszym razie odpisze mi, że jej bardzo przyjemnie, i na tym stosunek się urwie.

– Jak Emilka wróci z Reichenhallu, to pod pierwszym lepszym pozorem ściągniemy tu Marynię – i wtedy to już będzie pańska rzecz, by się te nieporozumienia zatarły.

– Za późno, za późno! – powtórzył Połaniecki. – Dałem sobie słowo, że tę sumę sprzedam – i sprzedam.

– To może właśnie będzie lepiej.

– Nie, to będzie gorzej! – wtrącił pan Bigiel. – Ja go namawiam, by sumy nie sprzedawał. Mam przy tym nadzieję, że kupca na nią nie znajdzie.

– A tymczasem Emilka ukończy kurację Litki.

Tu pani Bigielowa zwróciła się do Połanieckiego:

– Zobacz pan, jak teraz inne panny będą się panu wydawały po Maryni. Ja nie jestem z nią tak blisko jak Emilka, ale postaram się znaleźć pierwszy lepszy pozór, żeby do niej napisać i dowiedzieć się, co też ona o panu myśli.

Na tym skończyła się rozmowa. Połaniecki, wracając do domu, spostrzegł, że jednak ta Marynia zajęła już wcale niepoślednie miejsce w jego duszy. Prawdę mówiąc, nie mógł prawie o czym innym myśleć. Miał jednak współcześnie poczucie, że ten stosunek zaczął się w warunkach niepomyślnych i że lepiej byłoby wybić sobie z głowy tę dziewczynę, póki jest jeszcze czas po temu. Jako człowiek duchowo raczej tęgi niż słaby i nieprzywykły oddawać się marzeniom dlatego tylko, że są miłe, postanowił trzeźwo ocenić położenie i rozważyć je ze wszystkich stron. Panna posiadała wprawdzie wszystkie niemal te warunki, których wymagał od przyszłej swej żony, i nadto przypadła mu osobiście do serca. Ale posiadała przy tym i ojca, którego Połaniecki już nie znosił; a oprócz ojca. prawdziwe brzemie pod postacią

Krzemienia z przyległościami. „Z tą uroczystą starą małpą nie zżyję się nigdy i nie mogę się żyć – myślał Połaniecki – albowiem z nim dwojaki tylko stosunek jest możliwy: trzeba albo mu się poddać, do czego bezwarunkowo nie jestem zdolny, albo nim potrząsać co dzień tak, jak potrząsałem w Krzemieniu. W pierwszym razie, ja, człowiek niezależny, poszedłbym w nieznośną niewolę starego egoisty, w drugim – rola mojej żony byłaby trudna, przykra, i nasze pożycie mogłoby się popsuć.”

– Spodziewam się – mówił sobie dalej – że to jest trzeźwe i logiczne rozumowanie. Byłoby ono biednym tylko wówczas, gdybym ją już kochał. Sądzę jednak, że tak nie jest. Jestem nią zajęty, nie zakochany w niej. To są dwie rzeczy różne. *Ergo*: trzeba przestać o niej myśleć, i niech ją bierze kto inny!

Na tę ostatnią myśl znów zapiekło go żywe uczucie przykrości, ale pomyślał: „Jestem nią tak zajęty, iż to jest rzecz naturalna. Ostatecznie, zgryzłem niejedną przykrość w życiu, zgryzę i tę. Przypuszczam także, że będzie się ona z każdym dniem zmniejszała.”

Ale wkrótce spostrzegł, że prócz tej przykrości zostaje w nim jeszcze uczucie żalu z powodu zniknięcia tych widoków, które otwierały się przed nim. Zdawało mu się teraz, że podniesiono przed nim jakąś zasłonę przyszłości i pokazano, co by być mogło, a potem spuszczone ją nagle, i życie jego wracało na dawną drogę, nie prowadzącą ostatecznie do niczego, a raczej prowadzącą do pustkowia. Połaniecki czuł, bądź co bądź, że stary filozof Waskowski ma słuszość i że robienie pieniędzy może być tylko środkiem. Poza tym zagadka życiowa winna być inaczej rozwiązana. Musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które, spełnione w sposób cny i prosty, prowadzi do uspokojenia duchowego. To uspokojenie jest duszą życia – i bez niego nie ma ono, krótko mówiąc, sensu. Połaniecki był pod pewnym względem dzieckiem wieku, to jest nosił i on w sobie część tego wielkiego niepokoju, który w obecnej schyłkowej epoce jest zmorą ludzką. I w nim wykruszyły się te podstawy, na których dotąd wspierało się życie. I on zwątpił, czy potykający się o wszystkie przydrożne kamienie racjonalizm zdoła zastąpić wiarę, a wiary dotychczas nie odzyskał. Od współczesnych „dekadentów” różnił się jednak tym, że się nie rozlubował w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie i że nie dał sobie dyspensy na niedołęstwo i próżniactwo. Miał, owszem, mniej więcej uświadomione poczucie, że życie, jakie ono jest, tajemnicze czy nie tajemnicze, musi być wypełnione szeregiem prac i czynów. Sądził, że jeśli jest niepodobieństwem odpowiedzieć sobie na rozmaite „dlaczego?”, to jednak należy coś zrobić – sam czyn bowiem może być do pewnego stopnia odpowiedzią. Może być wprawdzie niedorzeczną, ale przynajmniej człowiekiem, który tak odpowiada, zrzuca z siebie odpowiedzialność. Więc cóż pozostaje? Założenie rodziny i praca społeczna. Jedno i drugie musi być jednak do pewnego stopnia prawem natury ludzkiej i jej przeznaczeniem, gdyż inaczej ludzie nie żeniliby się i nie wiązali w społeczeństwa. Tego rodzaju filozofia, popierająca rozumowo męskie instynkta Połanieckiego, wskazywała mu małżeństwo jako jeden z głównych celów życia. Jego wola była od dawna napięta i zwrócona ku temu celowi. Przez chwilę panna Marynia wydała mu się być ową przystanią, „do której okręt w noc pochmurną zmierza”. Teraz więc, gdy sobie wyrozumował, że światła tej przystani nie dla niego były zapalone, że trzeba płynąć dalej, zacząć na nowo żeglugę po nieznanym morzach, ogarnęło go uczucie i zmęczenia, i żalu. Ale własne rozumowania wydały mu się logiczne i wrócił do domu z ustalonym prawie zupełnie przekonaniem, że „jeszcze nie ta” i „jeszcze nie tym razem”.

Nazajutrz, poszedłszy na obiad, znalazł w restauracji Waskowskiego i Bukackiego. Po chwili nadszedł też i Maszko ze swoją twarzą aroganta, długimi faworytami, monoklem w oku, wypiekami na twarzy i białą kamizelką. Po powitaniu wszyscy zaczęli wypytywać się Połanieckiego o wyprawę do Pławickiego, w części bowiem wiedzieli, dlaczego panie nastawały na jego osobisty wyjazd, a prócz tego znali pannę Pławicką od pani Emilii Chwastowskiej.

Po wysłuchaniu opowiadania przezroczyści jak sewrska porcelana Bukacki rzekł z właściwą sobie flegmą:

– Więc wojna? To jest panna, która działa na nerwy, i teraz pora byłaby o nią uderzyć. Kobieta na kamienistej drodze łatwiej przyjmuje ofiarowane sobie ramię niż na równym gościńcu.

– To jej podaj – rzekł z pewną niecierpliwością Połaniecki.

– Widzisz, mój kochany, są trzy przeszkody. Naprzód, jeszcze bardziej działa mi na nerwy pani Emilia; po wtóre, miewani co rano ból w szyi i tylnej części głowy, co zapowiada chorobę mózgową; a po trzecie, jestem goły.

– Ty goły?

– Przynajmniej teraz, kupiłem kilkanaście Falków, wszystko *avant la lettre*, i wypukałem się na jaki miesiąc – a jeśli dostanę z Włoch jednego Masaccia, o którego się układałem w tej chwili, to się zrujnuję na jaki rok.

Waskowski, który z rysów, a raczej z wypieków na twarzy, podobny był nieco do Maszki, lubo daleko starszy i lubo twarz miał pełną słodyczy, utkwiał swoje niebieskie oczy w Bukackiego i rzekł:

– I to choroba wieku. Kolekcjonerstwo i kolekcjonerstwo na wszystkie strony!

– Oho! będzie rozprawa – zauważył Maszko.

– Nie mamy nic lepszego do roboty – odpowiedział Połaniecki.

A Bukacki podniósł rękawicę.

– Co pan masz przeciw kolekcjonerstwu?

– Nic – odpowiedział Waskowski. – To jest taki staruszkowaty, godny naszych czasów, sposób kochania sztuki. Czy nie myślicie, że jest w tym coś zgrzybiałego? Podług mnie to jest bardzo charakterystyczne. Niegdyś nosiło się w sobie zapał dla wielkiej sztuki, kochało się ją tam, gdzie była: w muzeach, w kościołach; dziś sprowadza się ją sobie do prywatnego gabinetu. Dawniej kończyło się na kolekcjonowaniu, dziś się od niego zaczyna – i zaczyna się od dziwactw. Nie mówię do Bukackiego, ale dziś najmłodszy chłopak, byle miał trochę pieniędzy, poczyna kolekcjonować – i co? nieraz nie przedmioty sztuki, ale jej dziwactwa albo przynajmniej drobiazgi. Widzicie, moi drodzy, mnie się zdawało zawsze, że miłość i amatorstwo to są dwie rzeczy różne, i przypuszczam na przykład, że wielki amator kobiet nie jest człowiekiem zdolnym do podniosłego uczucia.

– To być może. W tym coś jest! – rzekł Połaniecki.

– Co mnie to może obchodzić – rzekł Maszko rozczesując palcami swoje angielskie bokobrody – w tym tkwi przede wszystkim zrządzenie starego pedagoga na nowsze czasy.

– Pedagoga? – powtórzył Waskowski. – Naprzód, od czasu, jak mi spadł niespodzianie kawał chleba, wyrzekłem się rzezi niewiniątek i roli Heroda; po wtóre, mylisz się pan, że ja zrządzę. Ja niemal z radością widzę i notuję coraz nowe dowody, że jesteśmy przy końcu epoki i że wkrótce przyjdzie nowa. – Jesteśmy na pełnym morzu i nieprędko zawiniemy do brzegu – mruknął Maszko.

– Daj spokój – odpowiedział Połaniecki.

Lecz niezrażony Waskowski ciągnął dalej:

– Amatorstwo prowadzi do wyrafinowania, a w wyrafinowaniu giną wielkie ideały i ustępują Chęci używania. Wszystko to nic innego jak pogaństwo. Nikt sobie nie zdaje sprawy, do jakiegoś stopnia spoganiali, ale jest co? Jest duch aryjski, który nie kostnieje, nie zastyga nigdy, duch mający w sobie tchnienie boże, więc moc twórczą – i temu duchowi już ciasno w pogańskich więzach, i reakcja już się poczyna, i nastąpi odrodzenie się tak na tym polu, jak ł na innych w Chrystusie... To niewątpliwa rzecz.

I Waskowski, który miał oczy jak dziecko, to jest odbijające tylko zewnętrznie przedmioty, a utkwione wiecznie jakby w nieskończoność, utkwiał je teraz w oknach, przez które widać

było szare chmury, między którymi przedzierały się gdzieniegdzie promienie słońca. Bukacki zaś rzekł:

– Szkoda, że mnie głowa pobolewa, bo to będzie ciekawa epoka.

Lecz Maszko, który Waskowskiego nazywał „piłą” i nudził się jego rozprawami wszczytanymi rzeczywiście z lada powodu albo i bez powodu, wydobyl z bocznej kieszeni surduta cygaro, przygryzł koniec i zwróciwszy się do Połanieckiego. rzekł:

– Słuchaj, Stasiu, czybyś ty rzeczywiście sprzedał tę sumę, którą masz na Krzemieniu?

– Stanowczo. Dlaczego pytasz?

– Bo ja bym może r e f l e k t o w a ł

– Ty?

– Tak. Wiesz, że często r e f l e k t u j ę tego rodzaju interesa. Możemy o tym pogadać. Dziś na pewno nic ci nie mogę powiedzieć, ale jutro każę sobie przysłać wykaz hipoteczny Krzemienia i powiem ci, czy rzecz jest możliwa. Może po obiedzie przyjdiesz do mnie na kawę i może coś ułożymy.

– Dobrze. Jeśli co ma być, wolałbym, żeby było prędko, bo jak się tylko załatwię z Bigielem, chciałbym wyjechać.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Bukacki.

– Nie wiem. W mieście zanadto już gorąco. Gdzieś do drzew i wody.

– Także stary przesąd – rzekł Bukacki – w mieście zawsze po jednej stronie ulicy jest cień, czego nie ma na wsi. Chodzę sobie cienistą stroną, i jest mi dobrze; dlatego nigdy w lato z miasta nie wyjeżdżam.

– A profesor nie wybierasz się gdzie? – spytał Waskowskiego Połaniecki.

– Owszem. Pani Emilia namawia mnie do Reichenhall. Może się i wybiorę.

– A to jedźmy razem. Mnie wszystko jedno, dokąd pojedę. Lubię Salzburg, a przy tym miło mi będzie zobaczyć panią Emilię i Litkę.

Bukacki wyciągnął swą przezroczystą rękę, wziął wykałaczkę z kieliszka i wykałając zęby począł mówić swym zimnym i obojętnym głosem:

– Wre we mnie tak wściekła burza zazdrości, że i ja gotów jestem jechać z wami. Połaniecki, strzeż się, żebym, nie wybuchnął jak dynamit.

Było coś tak zabawnie przeciwnego między słowami a tonem Bukackiego, że Połaniecki począł się śmiać, po chwili zaś odpowiedział:

– Do głowy mi nie przyszło, że można się zakochać w pani Emilii. Dziękuję ci za ideę!

– Biada wam obojgu! – odrzekł Bukacki wykałając dalej zęby.

V

Nazajutrz, po wczesnym obiedzie u Bigielów, Połaniecki udał się o oznaczonej godzinie do Maszki. Czekano tam na niego widocznie, bo w gabinecie zastał wykwinną zastawę do czarnej kawy i kieliszki do likierów. Sam Maszko nie ukazał się jednak zaraz, gdyż, jak mówił służący, przyjmował jakieś panie. Jakoż przeze drzwi dochodził z salonu jego głos i słowa kobiece. Połaniecki począł się przypatrywać tymczasem przodkom Maszki, których kilka portretów wisiało na ścianach i o których autentyczności powątpiewali przyjaciele młodego adwokata. Zwłaszcza pewien zezowaty infułat dostarczał Bukackiemu przedmiotu do konceptów, ale Maszko nie zrażał się tym. Postanowił on narzucić, bądź co bądź, światu siebie, swoich przodków, swoją genialność do interesów, wiedząc, że w tym społeczeństwie, w którym żył, będą sobie ludzie z tego podrwiwali, ale nikt nie zdobędzie się na energię, by wystąpić czynnie przeciw tym pretensjom. Posiadając sam energię i zuchwałość bez granic, a oprócz tego rzeczywisty spryt do interesów, postanowił wybić się w górę za pomocą tych

środków. Ludzie, którzy go nie lubili, nazywali go bezczelnym, i był on nim istotnie, ale był z rozmysłu. Pochodząc z rodziny wątpliwie nawet szlacheckiej, traktował ludzi, niewątpliwie pochodzących ze starych rodów, jakby był bez porównania lepiej od nich urodzonym, ludzi niewątpliwie bogatych, jakby był od nich bogatszym – i udawało się, i owa taktyka robiła swoje. Pilnował się tylko, by nie popaść w zupełną śmieszność, ale granice w takim postępowaniu wyznaczył sobie nadzwyczaj szerokie. Ostatecznie doszedł do tego, do czego chciał: był przyjmowany wszędzie i wyrobił sobie duży kredyt. Niektóre obroty przynosiły mu rzeczywiście spore zyski, ale pieniędzy nie zbierał. Uważał, że na to czas nie przyszedł i że musi jeszcze wkładać w przyszłość, chcąc, by mu się wypłaciła tak, jak tego od niej żądał. Pieniądzy wprawdzie nie trwonił i nie zbytkował, sądząc, że w ten sposób wchodzi w świat parweniusze – ale gdzie trzeba. było, okazywał się, według własnego wyrażenia, „solidnie hojnym”. Uchodzili też za człowieka nader gładkiego w interesach i nade wszystko słownego.

Słowność jego oparta była wprawdzie na kredycie, ale też i podtrzymywała go w wysokim stopniu, co znów pozwoliło mu robić obroty istotnie wielkie. Nie cofał się zaś przed byle czym. Posiadał, prócz odwagi i pewnego zapędu wyłączającego długie rozmysły, jeszcze i wiarę w swe szczęście. Powodzenia wzmocniły tę wiarę. Nie wiedział wprawdzie nigdy sam, ile ma majątku, ale obracał dużymi pieniędzmi, i ludzie mieli go za bogatego.

Ostatecznie sprężyną jego życia była raczej próżność niż chciwość. Chciał wprawdzie być bogatym, ale przede wszystkim pragnął uchodzić za wielkiego pana, na sposób angielski. Przystosował do tego nawet swoją powierzchowność i był niemal dumny ze swej brzydoty, wydawała mu się bowiem arystokratyczną. Jakoż tkwiło, jeśli nie coś niepospolitego, to przynajmniej coś nieswojskiego w jego wydętych ustach, szerokich nozdrzach i czerwonych wypiekach na twarzy. Była pewna siła i brutalność, jaką czasem mają Anglicy, a ów wyraz potęgowała jeszcze ta okoliczność, że nosząc binokle musiał zadzierać głowę do góry, a przy rozczesywaniu jasnych bokobrodów palcami, zadzierał ją jeszcze bardziej.

Połaniecki nie znosił go z początku i aż nazbyt mało to ukrywał; później przyzwyczał się do niego, zwłaszcza że i Maszko obchodził się z nim inaczej niż z innymi, może przez uznanie, jakie po cichu dla niego żywił, może też dlatego, że chcieć nadto nabierać z góry człowieka tak czupurnego, było to narażać się na natychmiastową odprawę, w najlepszym razie, nieprzyjemną. W końcu, spotykając się często, młodzi ludzie przyzwyczaili się do swych wzajemnych słabości i teraz na przykład, gdy Maszko, odprawiwszy swoje panie, pokazał się w gabinecie, zbył się na chwilę swej wielkości i powitawszy Połanieckiego począł mówić jak zwykły śmiertelnik, nie zaś jak wielki pan ani jak Anglik.

– Z babami! z babami! *c'est toujours une mer à boire!* Umieściłem ich kapitalik i płacę im procenta najregularniej. Nie! Przychodzą przynajmniej raz na tydzień pytać, czy nie było jakiego trzęsienia ziemi.

– Cóż mi powiesz? – spytał Połaniecki.

– Przede wszystkim napij się kawy.

I podpaliwszy alkohol pod maszynką, rzekł:

– Z tobą przynajmniej nie będzie marudztwa. Wykaz hipoteczny widziałem. Suma nie jest łatwa do odzyskania, ale za straconą jej uważać nie podobna. Oczywiście, odzyskanie pociąga za sobą koszta, podróże i tak dalej, dlatego nie mogę ci dać tyle, ile całość wynosi, ale dam ci jej dwie trzecie i wypłacę w trzech ratach w ciągu roku.

– Ponieważ powiedziałem sobie, że zbędę wszystko, choćby za mniej, więc przystaję. Kiedyż pierwsza rata będzie płatna?

– Za kwartał.

– To zostawię pełnomocnictwo na Bigiela na wypadek, gdybym musiał wyjechać.

– A teraz wybierzesz się do Reichenhallu?

– Prawdopodobnie.

– Ej, kto wie, czy ci naprawdę Bukacki nie poddał jakiej myśli?

– Każdy ma swoje. Ty na przykład?... Dlaczego ty kupujesz tę sumę na Krzemieniu? Przecie to jest dla ciebie za mały interes.

– Między większymi robią się i mniejsze. Ale z tobą będę otwarty. Wiesz, że ani moja pozycja, ani mój kredyt nie należą do ostatnich, ale i jedno, i drugie wzmocni się, gdy będę miał za sobą kawał ziemi, i to taki duży. Słyszałem sam od Pławickiego w swoim czasie, że byłby gotów Krzemień sprzedać. Otóż przypuszczam, że teraz jest jeszcze bardziej gotów i że można będzie cały ten majątek nabyć tanio, nawet bardzo tanio na jakieś spłaty, za jakąś marną na razie gotówkę, z dodatkiem *rente viagère*. Zobaczą wreszcie! Później, uporządziwszy go trochę jak konia na jarmark, można go będzie sprzedać, a tymczasem będę miał tytuł własności, o który, *entre nous*, mocno mi chodzi.

Połaniecki słuchał z pewnym przymusem słów Maszki, po czym rzekł:

– Muszę ci i ja powiedzieć otwarcie: kupno nie pójdzie łatwo. Panna Pławicka jest bardzo sprzedaży przeciwna. Ona, jak to kobiety! Kocha się w swoim Krzemieniu i uczyni wszystko, co będzie mogła, żeby został w jej i ojca rękach.

– Więc w najgorszym razie zostanę wierzycielem pana Pławickiego, i me myśl, żeby suma mi przypadła. Naprzód, mogę ją, za przykładem twoim, sprzedać, po wtóre, jako adwokat, mam daleko większą łatwość wydobycia jej. Mogę sam wynaleźć sposoby spłacenia i wskazać je Pławickiemu.

– Możesz także subhastować Krzemień i nabyć go z licytacji.

– Mógłbym, gdybym był kim innym, ale Maszce diablo nie wypada. Nie! Znajdą się inne środki, na które może i panna Pławicka, którą zresztą bardzo cenię i wysoko stawiam, chętnie się zgodzi.

Połaniecki, który w tej chwili dopijał resztek kawy, postawił nagle filiżankę na stole.

– A! – rzekł – można i tak dojść do tytułu własności.

I znowu chwyciło go uczucie wielkiej przykrości i gniewu. W pierwszej chwili chciał wstać i powiedzieć. Maszce: „Sumy nie sprzedam!” – i pójść. Pohamował się jednak, Maszko zaś rozczesał bokobrody i odpowiedział:

– A gdyby?... Mogę ci słowem zaręczyć, że w tej chwili jeszcze takiego planu nie mam, że przynajmniej nie postawiłem go sobie wyraźnie. Ale... a gdyby? Pannę Pławicka poznałem w swoim czasie w Warszawie którejś zimy i podobała mi się bardzo. Rodzina jest. dobra, majątek zrujnowany, ale duży i możliwy do uratowania. Kto wie! To taka myśl jak i każda inna. Jestem z tobą zupełnie lojalny, jak zresztą jestem zawsze. Pojechałeś niby po pieniądze, ale ja wiedziałem, dlaczego cię te panie tam wyprawiły. Wróciłeś jednak zły jak diabeł, więc przypuszczam, że nie masz zamiarów. Jeśli mi powiesz, że się mylę, to ustąpię natychmiast – nie od planu, bo, jakem ci zaręczył, nie mam go jeszcze, ale nawet od myślenia o nim jak o czymś możliwym. Daję ci na to słowo. Tylko, znów w razie przeciwnym nie trzymajże się zasady: „Ni dla mnie, ni dla kogo” – i nie zagrażaj pannie drogi. A teraz słucham, cię.

– Połaniecki przypomniał sobie swoje wczorajsze rozumowania; pomyślał także, że Maszko ma słuszność mówiąc, iż w takim razie nie powinien pannie zagrażać do niczego drogi, i po pewnym czasie odrzekł:

– Nie, Maszko, ja nie mam żadnych zamiarów względem panny Pławickiej. Możesz się z nią zenić albo nie! Powiem ci jednak otwarcie: jest jedna rzecz, która mi się w tym nie podoba, chociaż dla mnie korzystna: oto, że ty kupujesz tę sumę. Wierzę, że nie masz jeszcze gotowego zamiaru, ale na wypadek, jeśli go poweźmiesz? To jakoś będzie dziwnie wyglądało... Na jakiś nacisk, na jakąś sieć... To zresztą twoja rzecz...

– Tak dalece moja, że gdyby mi to powiedział kto inny, nie ty, to bym mu pierwszy to przypomniał. Mogę ci jednak ręczyć, że gdybym powziął taki zamiar, o czym wątpię, to nie zażądałbym, ręki panny Pławickiej jako procentu od mojej sumy. Jak skoro mogę sobie sumiennie powiedzieć, że kupiłbym, sumę w każdym razie, to ją tym samym i mam prawo

kupić. Przede wszystkim, jak dziś rzeczy stoją, chcę kupić Krzemień, bo mi to potrzebne – więc wolno mi użyć wszelkich godziwych środków, które mnie do celu prowadzą.

– Więc dobrze. Sprzedaję. Każ wygotować kontrakt i przyslij mi go lub przyjdź z nim sam.

– Kontrakt kazałem wygotować memu dependentowi; chodzi tylko o podpisy.

Jakoż w kwadrans później kontrakt został podpisany. Tego dnia Połaniecki, spędzając wieczór u Bigielów, był zły jak nigdy; pani Bigielowa nie umiała ukryć zmartwienia, i Bigiel, namyśliwszy się nad wszystkim dokładnie, rzekł pod koniec wieczora ze zwykłą rozważą i powolnością:

– Że Maszko ma i ten plan gotowy, to nie ulega wątpliwości. Idzie tylko o to, czy zwodzą, ciebie, mówiąc, że go nie ma, czy i siebie także.

– Niech Bóg ją zachowa od Maszki – ozwała się pani Bigielowa. – To widzieliśmy tu wszyscy, że ona podobała mu się bardzo.

– Przypuszczałem – odpowiedział Bigiel – że tego rodzaju człowiek będzie szukał majątku, ale mogłem się mylić. Również być może, że zechce wziąć żonę z dobrej, starej rodziny, aby umocnić przez to swoje położenie towarzyskie, pozawierać stosunki, spokrewnić się z licznymi rodzinami i w końcu wziąć w swoje ręce interesa całej pewnej sfery towarzyskiej. To także niezłe wyrachowanie, zwłaszcza że gdy zechce skorzystać ze swego kredytu dla Krzemienia, to z czasem, przy swej obrotności, może go oczyścić.

– I jak pani mówi, panna Pławicka podoba mu się przy tym naprawdę – dodał Połaniecki – a ja sobie przypominani teraz, że Pławicki także mi o tym coś wspominał.

– Więc co, panie? – pytała pani Bigielowa – więc jakże będzie?

– Więc panna Pławicka, jeśli zechce, to wyjdzie za pana Maszkę – odrzekł Połaniecki.

– A pan?

– A ja jadę tymczasem do Reichenhall.

VI

I rzeczywiście, w tydzień później wyjechał do Reichenhallu, ale przedtem jeszcze otrzymał list pani Emilii, wypyujący go o wyprawę do Krzemienia. Na list ów nie odpisał mając zamiar ustnie nań odpowiedzieć. Dowiedział się również, ale dopiero w wigilię wyjazdu, iż Maszko poprzedniego dnia wyjechał do Krzemienia, i wiadomość ta obeszła go więcej, niż się spodziewał. Mówił sobie wprawdzie, że nie dalej jak w Wiedniu już o tym zapomni, ale zapomnieć nie mógł i głowę miał tak zajęłą myślą o tym, czy panna Pławicka wyjdzie za Maszkę, że z Salztourga napisał list do Bigiela, niby w interesach, ale właściwie żądający przysłania mu wiadomości o Maszce. Słuchał też piąte przez dziesiąte rozpraw towarzyszącego mu Waskowskiego o wzajemnym stosunku do siebie ludów austriackich i o misji narodów nowożytnych w ogólności. Nieraz tak był zajęty myśleniem o Maryni, że wprost nie odpowiadał na pytanie. Dziwiło go też, że chwilami widzi ją tak wyraźnie, jakby przed nim stała, więc nie tylko jako dokładny obraz, ale jako żywą istotę. Widział jej miłą, łagodną twarz ze ślicznymi ustami i z maleńkim znamieniem, nad górną wargą, jej oczy patrzące spokojnie, w których widać było skupienie i uwagę, z jaką słuchała jego słów; widział całą jej postać, wysmukłą, giętką, od której biło ciepło wielkiej, a zarazem niezmiernie dziewiczej młodości. Przypomniawszy sobie jej jasną suknię i końce stóp wyglądające spod tej sukni, i delikatne, lubo nieco opalone, ręce, i ciemne włosy poruszone powiewem w ogrodzie. Nigdy nie spodziewał się, żeby mogła istnieć pamięć tak niemal dotykalna – i to pamięć osoby widzianej przez czas tak krótki. Rozumiał jednak, że to jest dowód, jak głębokie naprawdę zrobiła ona na nim wrażenie, i gdy chwilami przechodziło mu przez głowę, że to wszystko, co się tak wycisnęło w jego pamięci, może posiadać Maszko,

prawie nie chciało mu się w to wietrzyć. Pierwszym jego porywem w takich chwilach, zresztą zgodnym z, jego czynną naturą, była niepowstrzymana chęć, żeby temu przeszkodzić. Musiał sobie dopiero przypominać, że to jest sprawa już w jego woli rozstrzygnięta i że postanowił sobie zaniechać panny Pławickiej.

Obaj z Waskowskim dojechali do Reichenhallu wczesnym rankiem i zaraz pierwszego dnia, zanim dowiedzieli się o adresie pani Emilii, spotkali ją wraz z Litką w parku miejscowym. Pani Chwastowska, która me spodziewała się ich, a przynajmniej nie Połanieckiego, ucieszyła się na ich widok szczerze. Radość jej została tylko przyćmiona tym, że Litka, dziecko wyjątkowo wrażliwe, a przy tym chore na astmę i na serce, ucieszyła się jeszcze bardziej, tak nawet bardzo, że dostała silnego bicia serca w połączeniu z dusznością i nieomal omdleniem.

Ale były to częste u niej objawy i gdy atak minął, pogoda wróciła na wszystkie twarze. Wracając do domu dziecko trzymało za rękę „pana Stacha” i w chmurnych zwykle jej oczach świeciła głęboka radość. Od czasu do czasu ścisnęła tę rękę, jakby chcąc się upewnić, że on naprawdę przyjechał do Reichenhallu i że jest przy niej. Połaniecki wprost nie miał czasu o niczym mówić z panią Emilią ani ona o nic go rozpytać, bo Litka pokazywała mu Reichenhall i szczebiocząc bez ustanku chciała mu od razu pokazać wszystkie piękniejsze miejsca. Co chwila zaś mówiła:

– To nic jeszcze. Thumsee ładniejsze, ale pójdziemy tam dopiero jutro.

Po czym, zwracając się do matki:

– Mama pozwoli, prawda? Ja teraz, mogę dużo chodzić. To niedaleko. Mama pozwoli, prawda?

Chwilami znów odsuwała się od Połanieckiego i nie puszczać jego ręki patrzyła na niego swymi, wielkimi oczyma, powtarzając:

– Pan Stach! pan. Stach!

Połaniecki okazywał jej ze swej strony największą tkliwość, na jaką mógłby się zdobyć starszy brat; raz wraz też gderał na nią dobrotliwie:

– Kociak niech tak nie leci, bo się zadyszy.

A ona przytulała się do niego i wysuwając naprzód usteczka, odpowiadała, niby się gniewając:

– Cicho, pan Stach!

Połaniecki, spoglądał jednak od czasu do czasu na jasną twarz pani Emilii, jakby chcąc jej dać poznać, że pragnie z nią pomówić. Ale nie było sposobu, gdyż pani Emilia nie chciała psuć wesołości Litce i wołała jej pozostawić wspólnego przyjaciela na wyłączną własność. Dopiero po obiedzie, który jedli razem, w ogrodzie, wśród zieloności i świegotania wróbli, gdy Waskowski począł opowiadać Litce o ptakach i o miłości, jaką miał dla nich św. Franciszek z Asyżu, a dziecko, wsparłszy główkę na rękę, zasłuchało się zupełnie, Połaniecki zwrócił się do pani Chwastowskiej.

– Czy pani nie zechce się przejść do końca ogrodu?

– Dobrze – odpowiedziała. – Litko, zostań na minutkę z panem. Waskowskim, my w tej chwili wracamy.

I poszli, po czym, zaraz, pani Emilia spytała:

– I cóż?

Połaniecki począł opowiadać, ale, bądź że chciał się lepiej przedstawić pani Emilii, bądź że postanowił rachować się z jej naturą mimozy, bądź wreszcie, że ostatnie myśli o Maryni nastroiły go, na jakąś tkliwszą niż zwykle nutę, dość, że całkowicie rzecz, przekreślił. Przyznał się wprawdzie do kłótni z panem Pławickim, ale milczał o tym, że przed wyjazdem z Krzemienia odezwał się i do Maryni w sposób szorstki, natomiast nie szczędził jej w opowiadaniu pochwał i wreszcie tak skończył:

– Ponieważ ten dług stał się od razu powodem nieporozumień między mną a Pławickim, co musiało się odbić i na pannie Maryni, więc wołałem go sprzedać i właśnie przed samym wyjazdem sprzedałem Maszce.

Pani Emilia, która nie miała najmniejszego pojęcia o sprawach pieniężnych, a natomiast posiadała prostotę zupełnie anielską, odrzekła:

– To dobrze pan zrobił. Między wami nie powinno być takich rzeczy jak pieniądze.

Lecz Połaniecki zawstydział się w tej chwili, że wyprowadza w pole taką naiwną duszę, i odrzekł:

– Tak!... Raczej, nie! Myślę, że źle zrobił. Bigiel jest także zdania, że to nie było dobrze... Maszko może ich przyciskać, może stawiać rozmaite żądania, może wystawić na sprzedaż Krzemień... Nie, pani, to nie jest postępek delikatny ani taki, który by mógł nas zbliżyć, i nie byłbym tego uczynił, gdyby nie to, że doszedłem do przekonania, iż trzeba sobie to wszystko raz na zawsze wybić z głowy.

– A, nie! Niech pan tego nie mówi. Ja wierzę, że we wszystkim jest przeznaczenie – i wierzę także, że Opatrzność przeznaczyła was wzajem dla siebie.

– Tego ja, pani, nie rozumiem. Jeśli tak jest, to nie potrzebuję o nic zabiegać, bo w każdym razie muszę ożenić się z panną Pławicką.

– Nie. Ja mam kobiecą głowę i może mówię nedorzeczności, ale mi się zdaje, że Opatrzność chce i obmyśla wszystko tak, jakby było najlepiej, ale zostawia ludziom wolę, ci zaś często nie chcą iść za tym, co im przeznaczono, i dlatego tylu jest nieszczęśliwych.

– Może. Trudno jednak iść za czym innym, jak za własnym przekonaniem. Rozum to także latarka, którą nam Bóg dał w rękę. Kto mi przy tym zaręczy, czy panna Marynia wyszłaby za mnie?

– Powinna już mieć od niej wiadomość o pańskich odwiedzinach w Krzemieniu, i dziwię się, że dotychczas nie mam. Myślę, że najdalej jutro list nadejdzie, bo my pisujemy do siebie co tydzień. Czy ona wie o pańskim wyjeździe do Reichenhallu?

– Nie. Ja sam, będąc w Krzemieniu, nie wiedziałem jeszcze, dokąd pojedę.

– To dobrze, bo będzie szczerą, chociaż ona i tak byłaby szczerą.

Na tym skończyła się rozmowa pierwszego dnia. Wieczorem, na prośbę Litki, postanowiono pójść nazajutrz do Thumsee i wyjść z rana, tak aby obiad zjeść nad jeziorem, powrócić zaś powozem lub, o ileby Litka nie była zmęczoną, to piechotą, byle zdążyć przed zachodem słońca. Waskowski a. Połaniecki stawili się przed willą tych pań przed dziewiątą rano. Obie były już przybrane i czekały na werendzie, obie zaś wyglądały tak zjawiskowo, że aż stary pedagog Waskowski został tym uderzony.

– Że też Pan Bóg tworzy sobie czasem z ludzi zupełnie kwiaty! – rzekł ukazując z dala matkę i córkę.

Rzeczywiście i pani Emilia, i Litka były przedmiotem podziwu dla całego Reichenhallu. Pierwsza, ze swoją uduchowioną anielską twarzą, była jakby wcieleniem miłości i tklivości macierzyńskiej, a zarazem egzaltacji; druga, o chmurnych wielkich oczach, płowej czuprynie i rysach tak delikatnych, że prawie zbyt delikatnych, wyglądała raczej na jakiś artystyczny pomysł niż na żywą dziewczynkę. Dekadent Bukacki mawiał o niej, że jest utkana z mgły, ledwie trochę zaróżowionej przez świt. Jakoż było w tej dziewczynie coś prawie niezmiernego, które to wrażenie potęgowała jeszcze jej choroba, jej nadmierna wrażliwość i uczuciowość. Matka kochała ją ślepo, otaczający również; ale dziecko, wyjątkowo z natury słodkie, nie dało się popsuć.

Połaniecki, który w Warszawie widywał panią Emilię kilka razy tygodniowo, był do obydwóch szczerze przywiązany. W mieście, w którym sława kobieca jest mniej szanowaną niż gdziekolwiek na świecie, robiono z tego powodu plotki, oczywiście najniesłuszniejsze, gdyż pani Emilia była pod każdym względem czysta jak dziecko i nosiła swą egzaltowaną głowę po prostu w błękitach, jakby mię wiejąc, że zło istnieje. Była nawet tak dalece czysta, że

nie rozumiała potrzeby zwracania uwagi na pozory. Przyjmowała z radością tych, których kochała Litka, lecz odmówiła kilka dobrych partii, wyraźnie oświadczając, że osobiście nic jej na świecie prócz Litki nie potrzeba. Jeden tylko Bukacki utrzymywał, że pani Emilia działa ma jego nerwy; Połaniecki tak się przystosował do owego błękitu otaczającego tę kryształową kobietę, że wprost nie zbliżał się nigdy do niej z myślą zmaconą przez pokusę.

I teraz wiec, po uwadze Waskowskiego, odrzekł z prostotą:

– Rzeczywiście, bajecznie obie wyglądają!

I przywitawszy je, powtórzył mniej więcej to samo pani Emilii, jako coś, co w danym wypadku zwróciło jego uwagę. Ona uśmiechnęła się z zadowolenia, prawdopodobnie dlatego, że pochwała obejmowała także Litkę, i zbierając suknię do drogi, rzekła:

– Miałam rano list i umyślnie go wzięłam, by panu pokazać.

– Wolno zaraz przeczytać?

– Wolno. Proszę.

I ruszyli drogą leśną ku Thumsee, pani Emilia, Waskowski i Litka na przedzie, Połaniecki nieco za nimi, z głową schyloną nad listem.

List brzmiał, jak następuje:

„Droga moja, Emilko! Dziś odebrałam, twoją litanię pytań i zaraz; odpowiadam, bo i mnie pilno podzielić się z tobą myślami. Pan Połaniecki wyjechał w poniedziałek, zatem, dwa dni temu. Pierwszego wieczoru przyjąłem, go, jak przyjmuję wszystkich – i. nic a nic nie przyszło mi do głowy, ale nazajutrz było święto, miałam wolny czas i byliśmy prawie całe popołudnie nie tylko razem, ale sam na sam, bo papa pojechał do państwa Jamiszów. Cóż ci mam powiedzieć? Taki sympatyczny, taki szczery, a przy tym prawdziwy mężczyzna! Z tego, co mówił o Litce i o tobie, zaraz zmiarkowałam, że ma dobre serce. Chodziliśmy długo nad stawem, po ogrodzie. Obwiązywałam mu rękę, bo się skaleczył o łódź. Mówił rzeczy takie rozumne, że się zasłuchiwałam w jego słowa. Ach, moja Emilko, wstyd mi się przyznać, ale moja biedna głowa trochę się zawróciła przez ten wieczór. Ty wiesz przecie, jaka tu jestem sama, zapracowana; i jak rzadko widuję podobnych ludzi. Zdawało mi się, że przyjechał gość z jakiegoś innego i lepszego świata. On mi się nie tylko podobał, ale mnie tak ujął swoją serdecznością, że nie mogłam zasnąć i ciągle o nim myślałam. Wprawdzie nazajutrz pokłócili się z papą, a nawet i mnie się trochę dostało, choć Bóg widzi, ile bym dała za to, żeby między nami nie było tego rodzaju spraw. W pierwszej chwili dotknęło mnie to mocno, i gdyby ten. brzydki człowiek wiedział, ilem się napłakała w swoim pokoju, to by mnie pożałował. Ale później pomyślałam, że on musi być bardzo żywy, że papa nie miał słuszności, i nie gniewam się już. Powiem ci też do uszka, co mi jakiś głos szepce ciągle: a to, że on tego. długu, który ma na Krzemieniu, nie sprzedaje nikomu, choćby dlatego, żeby przyjechać tu jeszcze. To, że się tak źle rozstali z papą, to nic. Sam papa tego do serca nie bierze, bo to są jego sposoby, nie zaś uczucia ani przekonania. We mnie ma pan Połaniecki szczerą przyjaciółkę, która zrobi wszystko, co będzie mogła, by zaraz po rozprzedaży Magierówki ustały te wszystkie powody nieporozumień i w ogóle te brzydkie sprawy pieniężne. Wówczas on musi przyjechać, choćby dla odebrania swej należności – nieprawda? Może też i ja podobałam mu się trochę, że zaś człowiek taki żywy powie czasem coś przykrego, nie trzeba się dziwić. Nic mu o tym nie mów, jak go zobaczysz, i nie łaj go, niech cię Bóg broni. Nie wiem dlaczego, mam jakąś ufność, że on nie robi krzywdy ani mnie, ani papie, ani mojemu kochanemu Krzemieniowi, i myślę, że dobrze byłoby na świecie, gdyby wszyscy byli do niego podobni. Ściskam najserdeczniej ciebie, moja droga, i Litkę. Napisz mi o jej zdrowiu jak najobszerniej i kochaj mnie tak jak ja ciebie.”

Połaniecki skończywszy czytać wsunął list do bocznej kieszeni surduta, następnie zapiął go, następnie przesunął kapelusz na tył głowy, następnie uczuł nagle wielką ochotę połamania swej laski na drobne kawałki i wrzucenia jej w strumień; nie uczynił tego jednak, tylko począł mruzczyć przez zaciśnięte zęby:

– Tak? dobrze! Znasz ty Połanieckiego?... Licz na to, że cię nie pokrzywdzi! Dobrze wyjdiesz!

Potem zwrócił do siebie mowę w sposób następujący:

„Dobrze ci tak! bo to jest anioł, a tyś go nie wart.” I znów porwała go chęć połamania w kawałki własnej laski. Oto ujrzał teraz wyraźnie, że dusza tej dziewczyny gotowa była oddać mu się z całą wiarą i ufnością, a on zgotował jej od razu jeden z takich bolesnych i dotkliwych zawodów, których pamięć – zostaje raz na zawsze i boli wiecznie. Sprzedać sumę to było nic, ale sprzedać ją człowiekowi, pragnącemu ją kupić w takim zamiarze jak Maszko, to znaczyło powiedzieć tym samym pannie: „Nie chcę cię – i idź sobie za niego, jeśli ci się tak podoba.” Co za gorzkie rozczarowanie dla niej, po tym wszystkim, co do niej mówił owej niedzieli, po tych słowach przyjaznych, otwartych, a zarazem przeznaczonych na to, by wniknęły do jej serca! Bo one były jednak na to przeznaczone, i Połaniecki czuł, że ona tak je wzięła. Mógł sobie teraz powtarzać, ile razy chciał, że one do niczego nie obowiązują, że za pierwszą bytnością i w pierwszej rozmowie z kobietą człowiek wysuwa tylko rogi jak ślimak i próbuje, na jaki grunt trafił. Nie byłoby to mu teraz żadną pociechą. Zresztą, nie tylko nie był w humorze usprawiedliwiania się przed samym sobą, ale raczej pragnąłby się był spoliczkować. Pierwszy raz zobaczył tak wyraźnie, że mógłby uzyskać i serce, i rękę Maryni, im zaś ta możliwość przedstawiła mu się bardziej realnie, tym strata wydawała mu się bardziej niepowetowaną. Na dobitkę, od chwili przeczytania owego listu, począł się w nim nowy przewrót. Własne rozumowania, że powinien zaniechać Maryni, wydały mu się naraz i płaskie, i nędzne. Połaniecki, przy wszystkich swych wadach, miał wdzięczne serce, i list ów wzruszył go do wysokiego stopnia tą dobrocią i wyrozumiałością, tą gotowością do kochania, jakie w nim tkwiły. Skutkiem tego, wspomnienie Maryni poróżowiło nagle w jego sercu i pamięci, poróżowiło nawet tak mocno, że pomyślał:

„Ja teraz zakocham się w niej, jak Bóg w niebie!” I ogarnęło go rozczulenie dla Maryni, przed którym nawet złość na samego siebie musiała ustąpić. Po chwili połączywszy się z resztą towarzystwa wysunął się nieco z panią Emilią naprzód i rzekł:

– Niech mi pani daruje ten list.

– Z największą chęcią. Prawda, jaki pocziwy? A nie przyznał mi się pan, że i jej się coś dostało na wyjeźdnym? Ale nie będę panu robiła wymówek, skoro ona sama bierze pana w obronę.

– Pani! Gdyby to co pomogło, prosiłbym, by mnie pani obiała. Ale tu już mię ma o czym mówić, bo to rzeczy niepowetowane.

Pani Emilia nie podzielała jednak wcale tego zdania. Owszem, widząc wzruszenie Połanieckiego nabrała pewności, że sprawa, w której obie strony czują tak żywo, stoi jak najlepiej i musi skończyć się pomyślnie. Na samą tę myśl jej śliczna słodka twarz rozjaśniła się wielką radością.

– Zobaczymy to za kilka miesięcy – rzekła.

– Ani pani się domyśla, co możemy zobaczyć – odparł Połaniecki myśląc o Maszce.

Na to znów pani Emilia:

– Niech pan pamięta o jednej rzeczy, że kto raz zyska serce Maryni, ten się nie zawiedzie nigdy.

– Wierzę – odpowiedział ze smutkiem Połaniecki – ale też takie serca, raz zrażone, nie powracają więcej.

Dalej nie mogli rozmawiać, bo Litka i pan Waskowski przysunęli się do nich. Po chwili dziewczynka zagarnęła jak zwykle Połanieckiego na wyłączną swą własność. Las, zanurzony w łagodnym porannym świetle pogodnego dnia, zajmował ją nadzwyczajnie, więc poczęła wypytywać o rozmaite drzewa, co chwila zaś wykrzykiwała z radością:

– Rydze!

Lecz on odpowiadał jej mechanicznie, myśląc o czym innym:

– Rydze, kotku, rydze!

Na koniec droga zniżyła się i pod stopami ujrzeni Thumsee. Po upływie pół godziny zeszli na bity gościniec ciągnący się nad samym brzegiem, na którym widać było tu i ówdzie drewniane kładki, powyciągane na kilka kroków w wodę. Litka miała ochotę zobaczyć z bliska wielkie ryby, które widać było w przezroczystej toni. Połaniecki, wzięwszy ją za rękę, wprowadził ją w tym celu na jedną z kładek.

Ryby, przyzwyczajone do okruszyn chleba rzucanych przez gości, zamiast uciekać, zbliżyły się jeszcze, i wkrótce cały ich wianek otoczył stopy Litki. W błękitnawej toni widać było złotawobrunatne grzbiety karpiów i szarą plamistą łuskę łososiopstrągów oraz okrągłe oczy wpatrzone jakby z wyrazem prośby w dziewczynkę.

– Wracając weźmiemy dużo bułek – mówiła dziewczynka. – Jak one dziwnie patrzą. Co one myślą?

– One myślą bardzo powoli – rzekł Połaniecki – i tak, dopiero za godzinę albo za dwie powiedzą sobie: „Aha! tu stała jakaś dziewczynka z płową czupryną, w różowej sukience i w czarnych pończoszkach.”

– A o panu Stachu co pomyśla?

– Pomyśla, że jakiś Cygan, bo ja nie mam płowej czupryny.

– Nie. Cygany nie mają przecie domu.

– I ja mię mam domu, Litko. Mogłem go mieć, ale go sprzedał.

Połaniecki wymówił ostatni wyraz w jakiś niezwykły sposób, i w ogóle był w głosie jego smutek. Dziewczynka spojrzała na niego uważniej i zaraz, wrażliwa jej twarzyczka odbiła jego smutek tak, jak owa toń odbijała jej własną postać. Potem, gdy się połączyli z resztą towarzystwa, podnosiła na niego od czasu do czasu swoje chmurne oczy, z wyrazem pytającym i niespokojnym. Wreszcie, ścisnąwszy mocniej jego rękę, za którą trzymała, rzekła:

– Co panu jest, panie Stachu?

– Nic, dziecinko. Rozglądam się po jeziorze i dlatego nic nie mówię.

– Bo ja się tak cieszyłam wczoraj, że panu pokażę Thumsee...

– Owszem. Chociaż nie ma skał, bardzo tu ładnie! A tamten domek z drugiej strony?

– Tam będziemy jedli obiad.

Tymczasem pani Emilia rozmawiała wesoło z Waskowskim, który, niosąc w ręku kapelusz i szukając co chwila po kieszeniach chustki dla obtarcia łysiny, opowiadał jej swoje spostrzeżenia nad Bukackim.

– On jest Aria – kończył – i dlatego w ciągłym niepokoju dąży do spokoju. Teraz kupuje obrazy i sztychy myśląc, że tym zapełni próżnię. Ach, pani, na co ja patrzę! Toż to te dzieci wieku noszą w duszy taką otchłań, jak na przykład to jezioro, a w dodatku bezdenną, i myślą, że można ją zapełnić obrazkami, akwafortami, amatorstwem, dyletantyzmem, Baudelaire'm, Ibsenem, Maeterlinckiem, wreszcie dyletantyzmem naukowym. Biedne ptaki rozbijające głowy o ściany klatek! To tak samo, jakbym chciał wypełnić to oto jezioro, wrzuciwszy w nie ten kamyk.

– A cóż może zapełnić życie?

– Wszelka szersza idea, wszelkie większe uczucie, ale pod jednym warunkiem, by były poczęte w Chrystusie. Gdyby Bukacki po chrześcijańsku kochał sztukę, dałaby mu pogodę, której mimo woli szuka.

– A mówił mu pan to?

– I to, i wiele innych rzeczy. Ja i jego, i Połanieckiego ciągle namawiam, by czytali życie św. Franciszka z Asyżu. Nie chcą i śmieją się ze mnie. A jednak to był największy człowiek i największy święty średnich wieków, który odrodził świat. Gdyby się teraz znalazł podobny, odrodzenie się w Chrystusie nastąpiłoby jeszcze szersze i jeszcze zupełniejsze.

Zbliżało się południe, z nim upał. Las poczynał pachnąć żywicą, a jezioro wygładziło się zupełnie w ciszy pełnej blasku i odbijając błękit bez plamki zdawało się drzemać.

Doszli wreszcie do domu i ogrodu, w którym była restauracja, i siedli pod cieniem buku, przy zastawionym stole. Połaniecki, przywoławszy kelnera w brudnym fraku, zamówił obiad, po czym rozglądali się w milczeniu po jeziorze i okolicznych górach.

O parę kroków od stołu rosła cała kępa irysów zwilżana przez wodotrysk urządzony między kamieniami.

Pani Emilia spojrzawszy na kwiaty rzekła:

– Gdy jestem nad jakim jeziorem, a przy tym patrzę na irysy, zdaje mi się, że jestem we Włoszech.

– Bo nigdzie nie ma ani tyle jezior, ani tyle irysów – odrzekł Połaniecki.

– Ani tyle upojenia dla każdego człowieka – dodał Waskowski. – Ja od wielu lat jeżdżę tam co rok, jesienią, szukać sobie schronienia na ostatnie dni. Długi czas wahałem się między Perugią a Asyżem, ale ostatniego roku przeważył Rzym. To jest jakby się do innego świata, w której widać już jego światło. Pojadę tam w październiku.

– Szczerze panu zazdroszczę – rzekła pani Emilia.

– Litka ma dwanaście lat... – zaczął Waskowski. Lecz Litka przerwała:

– I trzy miesiące.

– I trzy miesiące; więc choć na swój wiek jest bardzo mała i trzpiotka wielka, czas by jej już rozmaite *rzeczy* w Rzymie pokazać – mówił dalej Waskowski. – Nic się tak nie pamięta jak to, co się widziało w dzieciństwie. A choć. siłę wielu *rzeczy* nie odczuje ani zrozumie, to przychodzi później i przychodzi bardzo przyjemnie, bo tak, jakby ktoś od razu oświecił jakieś wrażenia, zanurzone w cieniu... Niech pani jedzie ze mną w październiku do Włoch.

– W październiku nie mogę, bo mam swoje kobiece powody, które mnie zatrzymują w Warszawie.

– Jakie?

Pani Emilia poczęła się śmiać.

– Pierwszy i najgłówniejszy, a czysto kobiecy – rzekła wskazując Połanieckiego – to ożenić tego pana, który siedzi taki posepny i w gruncie rzeczy... taki rozkochany.

Połaniecki obudził się z zamyślenia i machnął ręką.

A Waskowski zapytał ze zwykłą naiwnością dziecka:

– Zawsze z Marynią Pławicką?

– Tak – odrzekła pani Emilia. – Był w Krzemieniu i próżno by się zapierał, że go bardzo chwyciła za serce.

– Mogę się nie zapierać — odrzekł Połaniecki.

Lecz dalsza rozmowa została przerwana w przykry sposób, bo Litka niespodziewanie zasłabła. Uczyniło się jej nagle duszno i dostała jednego ze siwych zwykłych ataków bicia serca, które przejmowały trwogą o jej życie nawet lekarzy. Matka porwała ją w tej chwili na ręce, Połaniecki; skoczył po łód do restauracji. Waskowski zaś począł ciągnąć z wysileniem do stołu ławkę ogrodową, by dziecko mogło się na niej wyciągnąć i swobodniej oddychać.

– Zmęczyłaś się, dziecinko? prawda? – pytała pobladłymi ustami pani, Emilia. – Widzisz, kochanie, że było za daleko... A doktor jednak pozwolił!... Tak gorąco! Ale to nic! to przejdzie! to przejdzie!... Moje skarby, moje kochanie!...

I poczęła całować Wilgotne czoło dziewczynki. Tymczasem Połaniecki wrócił z lodem, a za nim nadbiegła miejscowa gospodyni z poduszką w ręku. Po chwili ułożono małą na ławce i podczas gdy pani Emilia obwijała łód w serwetę, Połaniecki, schyliwszy się nad chorą, pytał:

– Jakże ci, kociątko?

– Tylko duszno trochę, ale lepiej... – odpowiedziała, otwierając jak rybka usta dla schwywania oddechu.

Nie było jednak wiele lepiej, bo nawet przez sukienkę widać było, jak to małe, chore serce bije gwałtownie w piersiach.

Wszelako pod wpływem lodu atak uspokajał się zwolna, a wreszcie uspokoił się zupełnie, pozostawiając po sobie tylko zmęczenie. Litka poczęła się znów uśmiechać do matki, która również ochłonęła nieco z przerażenia. Dziecko należało pokrzepić przed powrotem, więc Połaniecki kazał podać obiad, którego prócz Litki nikt zresztą prawie nie tknął, wszyscy bowiem spoglądali na nią co chwila z tajoną obawą, czy duszność znowu jej nie chwyci. W ten sposób upłynęła godzina. Goście poczęli zwolna napływać do restauracji. Pani Emilia chciała wracać do domu, lecz należało czekać na powóz, po który Połaniecki wysłał do Reichenhallu.

Powóz nadszedł wreszcie, ale w drodze czekał ich nowy niepokój. Jakkolwiek jechali noga za nogą i po gościńcu bardzo równym, małe nawet wstrząśnienia męczyły Litkę tak, że w pobliżu już Reichenhallu poczęło jej znów czynić się duszno. Prosiła, żeby jej wolno było wysiąść, ale pokazało się, że i droga piesza męczy ją. Wówczas pani Emilia postanowiła ją nieść, Połaniecki jednak uprzedzając to macierzyńskie poświęcenie, które zresztą nie było w miarę sił pani Emilii, rzekł:

– Lituś, chodź, ja cię poniosę. Inaczej mama zmęczy się i będzie chora.

I nie pytając dłużej, podniósł ją lekko z ziemi i niósł zupełnie swobodnie, na jednej tylko ręce, żeby zaś upewnić i ją, i panią Emilię, że go to wcale nie męczy, począł żartować:

– Jak taki kot chodzi po ziemi, to zdaje się wcale nieduży, a teraz, ot, gdzie *to* te długie nożyska wiszą! Trzymaj się mnie za, szyję, to będziesz: się mniej kołysała.

I szedł, jak umiał najrówniej, a spieszenie, bo chciał, by lekarz mógł się nią zająć jak najprędzej; idąc czuł, jak jej serce bije na jego ramieniu, ona zaś, trzymając się go swymi chudymi ramionkami, powtarzała:

– Niech mnie pan puści! Ja... nie mogę... Niech mnie pan puści!

A on odpowiadał:

– Nie puszczę! Widzisz, jak to źle męczyć się na piechotę. Od tej pory weźmiemy zawsze z sobą takie duże, wygodne krzesło na kółkach i jak się dziecko zmęczy, to je posadzimy, a ja, będę popychał.

– Nie, nie! – powtarzała Litka ze łzami w głosie.

On zaś niósł ją z taką tkliwością jak starszy brat lub jak ojciec i, serce miał istotnie wezbrane, raz dlatego, że tę małą kochał istotnie, a po wtóre, że przyszło mu do głowy to, o czym dotąd nie myślał, a przynajmniej czego nie odczuwał dość wyraźnie: mianowicie, że małżeństwo otwiera także drogę ojcostwu i tym wszystkim skarbowi szczęścia, które się w nim mieszczą. Teraz, niosąc tę drogą sobie, choć obcą dziewczynkę, zrozumiał, że Bóg stworzył go do życia rodzinnego, nie tylko na męża, ale i na ojca, jako też, że właściwy cel i znaczenie życia tkwi w tym właśnie.

I wszystkie jego myśli uleciały do Maryni. Czuł teraz ze zdwojoną siłą, że ze wszystkich kobiet, jakie dotychczas spotkał, ją przede wszystkim wybrałby za żonę i z nią chciałby mieć dzieci.

VII

W ciągu następnych dni Litka nie była chora, ale czuła się osłabioną, wychodziła jednak, ponieważ doktor nie tylko nakazał jej wychodzić, ale polecił bardzo usilnie umiarkowany ruch pod górę. Waskowski poszedł do niego umyślnie, by dowiedzieć się, jaki jest stan jej zdrowia. Połaniecki czekał na niego w czytelnicy, ale już z jego twarzy poznał od razu, że nic dobrego nie przynosi.

– Lekarz nie widzi natychmiastowego niebezpieczeństwa – rzekł stary człowiek – ale skazuje to dziecko na wczesną śmierć i w ogóle każe nad nim czuwać, bo jak mówi, nie podobna odgadnąć dnia ani godziny.

Połaniecki zakrył oczy ręką:

– Co za nieszczęście, co za cios!... Matka jej nie przeżyje. Śmierć nad takim dzieckiem! Wierzyć się nie chce!

Waskowski miał łzy w oczach.

– Pytałem – rzekł – czy ona musi przy tym dużo cierpieć. Doktor powiedział, że niekoniecznie i może zgasnąć tak cicho, jakby zasnęła.

– Matce nie mówił nic o jej stanie?

– Nie mówił. Powiedział wprawdzie, że jest wada serca, ale dodał, że u dzieci często przechodzą takie rzeczy bez śladu. Sam nie ma nadziei.

Lecz Połaniecki niełatwo poddawał się nieszczęściu.

– Co tam jeden doktor – rzekł. – Trzeba dziecko ratować, póki jest iskra nadziei. Doktor mógł się nie poznać. Trzeba ją zawieźć do specjalisty do Monachium lub jego tu sprowadzić. Panią Emilię to przerazi, ale trudna rada! Czekajże pan. Można i tego uniknąć. Ja go sprowadzę – i to zaraz. Pani Emilii powiemy, że taki a taki sławny lekarz przyjechał tu do kogoś i że jest sposobność poradzenia się o Litkę. Nie można zostawić jej bez ratunku. Trzeba tylko do niego napisać, by wiedział, jak z matką gadać.

– A do kogo chcesz pisać?

– Do kogo? Czy ja wiem! Miejscowy doktor wskaże specjalistę. Chodźmy do niego zaraz, by nie tracić czasu.

I sprawa została załatwiona tegoż samego dnia. Wieczorem poszli obaj do pani Emilii. Litka była zdrowa, ale milcząca i zasepiona. Uśmiechała się wprawdzie i do matki, i do swego przyjaciela, okazywała obojgu wdzięczność za troskliwość, jaką ją otaczali, ale Połaniecki nie mógł jej rozbawić. Mając głowę nabitą myślą o groźnym jej niebezpieczeństwie poczytywał minio woli ów jej smutek za oznakę rozwijającej się choroby, za wczesne przeczuwanie bliskiej śmierci i z przestachem mówił sobie w duszy, że ona już nie jest taka jak zwykle, jakby niektóre nitki, łączące ją z życiem, już były pozrywane. Przestach jego powiększył się jeszcze, gdy pani Emilia rzekła:

– Litka się dobrze ma, ale wie pan, o co mnie dzisiaj prosiła? Żebyśmy wrócili do Warszawy.

Połaniecki wysiłkiem woli potłumił niepokój i zwróciwszy się do małej rzekł udając wesołość:

– Ach, ty niegodziwe stworzenie! To nie: żal by ci było Thumsee?

A dziewczynka poczęła potrząsać swoją płową główką.

– Nie! – odrzekła po chwili.

I łzy zakręciły się jej w oczach, ale prędko nakryła je rzesami z obawy, by ich kto nie zobaczył.

„Co jej jest?” – pomyślał Połaniecki.

A jej była bardzo prosta rzecz. Oto w Thumsee dowiedziała się, że jej chcą zabrać jej przyjaciela, jej „pana Stacha, jej najmilszego towarzysza. Usłyszała, że on kocha Marynię Pławicką, a dotąd była pewna, że on kocha tylko ją i mamę. Usłyszała, że mama chce go ożenić z tamtą, a dotychczas uważała go za swoją wyłączną własność. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co jej groziło, odczuwała jednak, że ten „pan Stach” odejdzie od niej i że stanie się jej krzywda – pierwsza, jakiej w życiu doświadczała. I żeby to kto inny jej tę krzywdę wyrządził, mniej by to ją dotknęło, ale właśnie mama i „pan Stach”! To było jakby koło błędne, z którego dziecko wyjść nie umiało i nie mogło. Jakże im się tu poskarżyć na nich samych? Widać, że tak chcą, że tak sobie życzą, że to im potrzebne i że będą szczęśliwi,

gdy się tak stanie. Oto mama powiedziała, że „pan Stach” kocha pannę Marynię, a on nie zaprzeczył, więc trzeba ustąpić, połknąć lzy i milczeć nawet przed mamą.

I Litka zamknęła w sobie pierwszą gorycz życiową. Tak jest! musiała ustąpić, że zaś gorycz złym jest lekarstwem dla chorego i tak serca, zatem to ustąpienie mogło być zupełniejsze i bardziej tragiczne, niż ktokolwiek z osaczających ją mógł przypuścić.

Lekarz-specjalista przyjechał w dwa dni później z Monachium i zabawiwszy dwa dni w Reichenhallu, potwierdził zupełnie zdanie miejscowego doktora. Panią Emilię uspokoił. Połanieckiemu zaś powiedział, że życie dziecka może przetrwać miesiące i lata, ale będzie wisiało zawsze jak na nitce, która z lada powodu zerwać się może. Kazał oszczędzać małej wzruszeń zarówno wesołych, jak smutnych i czuwać nad nią z największą bacznością.

Otoczono ją więc opieką i pieczyotami. Oszczędzano jej nawet najmniejszych wzruszeń, tylko nie oszczędzano jej największych, jakimi były listy Maryni. Echo tego, który nadszedł w tydzień później, odbiło się jednak o jej nasłuchujące teraz pilnie uszki. Mogło ono wprawdzie rozproszyć jej obawy o „pana Stacha”, ale wstrząsnęło nią silnie. Pani Emilia wahała się cały dzień, czy Połanieckiemu pokazać ten list. On się jednak dopytywał teraz codziennie o wiadomości z Krzemienia, musiałaby więc wprost skłamać chcąc zataić, że nadeszły. Zresztą poczuwała się do obowiązku powiedzenia Połanieckiemu prawdy, by wiedział, jakie napotka trudności.

Drugiego więc wieczoru po odebraniu listu, ułożywszy spać Litkę, sama zaczęła rozmowę w tym przedmiocie:

– Marynia bardzo do serca wzięła to, że pan sprzedał tę sumę na Krzemieniu.

– To był list?

– Tak.

– Może mi go pani pokazać?

– Nie. Mogę tylko przeczytać panu większe ustępy. Marynia jest pogiębiona.

– Czy ona wie, że ja tu jestem?

– Dotychczas musiała nie odebrać mego listu, ale dziwi mnie także, że pan Maszko, który bawi w Krzemieniu, nie wspomniał jej o tym.

– Maszko wyjechał do Krzemienia przede mną i nie był pewny, czy pojedę do Reichenhallu, zwłaszcza że mu w ostatnich dniach mówił, że zapewne zmienię projekt.

Pani Emilia poszła do biurka po teczkę z listami. Wróciwszy do stołu poprawiła lampę, po czym usiadłszy naprzeciw Połanieckiego, wydobyła list z koperty, ale nim go zaczęła czytać, rzekła:

– Bo widzi pan, jej nie o samą sprzedaż tej sumy chodzi. Ale pan wie... Trochę jej się rozmarzyła główka, więc to miało dla niej i inne znaczenie... Ją naprawdę spotkało wielkie rozczarowanie!

– Pani – rzekł Połaniecki – komu innemu nie przyznałbym się, ale pani powiem otwarcie. Zrobiłem jedno z największych głupstw w życiu, ale też za żadne nie zostałem tak ukarany.

A ona podniosła na niego ze współczuciem swe tkliwe bładoniebieskie oczy.

– Biedny pan! Więc pan naprawdę taki zajęty Marynią? Przecież nie przez ciekawość pytam, tylko z przyjaźni... Bo ja bym się starała to wszystko naprawić, ale chciałabym być pewna...

– Wie pani, co mnie dobiło? – przerwał gwałtownie Połaniecki – tamten poprzedni list! W Krzemieniu podobała mi się! Zacząłem o niej myśleć. Mówiłem sobie: ta byłaby miłsza i lepsza niż jakakolwiek. Ta jest taka, jakiej właśnie szukałem! Ale cóż? Ja sobie dawno powiedziałem: nie będę człowiekiem miękkim i swego nie daruję. Pani rozumie, że jak się z czegoś zrobi zasadę, to człowiek się jej trzyma, choćby przez ambicję. Przy tym w każdym z nas siedzi dwóch ludzi, z których drugi krytykuje to, co robi pierwszy. Ten drugi począł mi mówić: „Daj pokój, z ojcem nie wytrzymasz.” A to istotnie nieznośna figura! Więc postanowiłem sobie dać pokój. I dlatego pozbyłem się tej sumy. Oto jak było. Dopiero

później spostrzegłem, że nie mogę pozbyć się myśli o panie Pławickiej i że wciąż mam to samo wrażenie: „Ta jest taka, jakiej szukałeś!” I poznałem, że głupstwo zrobiłem. I było mi żal. Potem, jak przyszedł ten list, jak się przekonałem, że i z jej strony coś było, że ona mnie mogła pokochać i być moją, tak ją również pokochałem. I daję pani słowo, że albo tracę głowę, albo to jest prawda! Póki się samemu człowiekowi coś roji, to nic, ale gdy się zobaczy, że i tam były otwarte ramiona, co za ogromna różnica! Dobił mnie ten list i rady nie mogę sobie dać!

– Wolę panu nie czytać wszystkiego – odrzekła po chwili pani Emilia. – Naturalnie, ona pisze, że krótki sen skończył się przebudzeniem prędszym, niż się spodziewała. O panu Maszce mówi, że jest bardzo delikatny w sprawach pieniężnych, jakkolwiek pragnie, by się obróciły na jego korzyść.

– Wyjdzie za niego, jak Bóg w niebie!

– Pan jej nie zna. A o Krzemieniu oto co pisze:

„Papa ma ochotę pozbyć się majątku i zamieszkać w Warszawie. Ty wiesz, jak kocham Krzemień, jak się z nim zrosłam, ale wobec tego, co się stało, już ja sama zwątpiłam, czy moja praca mogłaby się na coś przydać. Będę jeszcze próbowała bronić miłego kawałka ziemi! Papa jednak powiada, że sumienie nie pozwala mu więzić mnie na wsi, i to jest tym bardziej gorzkie, że niby o mnie chodzi. Doprawdy, że czasem życie zakrawa na ironię. Pan Maszko ofiaruje papie trzy tysiące dożywotnie i całą gumę z parcelacji Magierówki. Nie dziwię mu się, że szuka własnej korzyści, ale w razie takiego układu doszedłby prawie darmo do majątku. Sam papa powiedział mu: «W ten sposób, jeśli rok pożyję, wezmę za Krzemień trzy tysiące, bo Magierówka i tak moja.» Ale pan Maszko odpowiedział, że w dzisiejszym stanie rzeczy za Magierówkę zabiorą pieniądze wierzyciele, gdy zaś papa zgodzi się na taki układ, jaki on proponuje, to weźmie do ręki gotówkę, a oprócz tego może żyć trzydzieści lat albo i więcej. To także prawda. Wiem, że papie w zasadzie podoba się ten projekt, chodzi mu tylko o to, by więcej utargować. Jedyne w tym wszystkim pociecha, że gdy zamieszkamy w Warszawie, to będę widywała częściej ciebie, moja droga Emilko, i Litkę. Szczerze i z całej duszy kocham was obie i wiem, że na wasze przynajmniej serca zawsze mogę liczyć.”

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Połaniecki rzekł:

– Więc tak! Pozbawiłem ją Krzemienia, ale za to posłałem jej aspiranta!

I mówiąc to nie odgadywał, że Marynia napisała w liście niemal te same słowa i że tylko pani Emilia opuściła je umyślnie, nie chcąc go ranić. Maszko jeszcze za ostatniej bytności Pławickich w Warszawie czynił już pewne zabiegi o rękę panny Maryni, nie potrzebowała więc teraz wielkiej domyślności, żeby odgadnąć, co znaczy nabycie przez niego sumy od Połanieckiego i przyjazd na wieś. W tym właśnie tkwiła cała gorzka zalewająca jej serce i głęboka uraza, jaką czuła dla Połanieckiego.

– Trzeba to wszystko koniecznie wyjaśnić – mówiła pani Emilia.

– Posłałem jej aspiranta! – powtórzył Połaniecki. – Nie mogę się nawet tłumaczyć tym, że nie wiedział o zamiarach Maszki.

Pani Emilia obracała czas jakiś w swych delikatnych palcach list Maryni, po czym rzekła nagle:

– To tak nie może zostać! Ja chciałam pana z nią połączyć przez przyjaźń, jaką mam dla obojga, ale teraz jest jeden powód więcej, mianowicie pańskie zmartwienie. To byłby wyrzut dla mnie, i ja tak pana nie mogę zostawić. Niech pan nie traci nadziei... Jest ładne przysłowie francuskie, a bardzo brzydkie polskie o potędze i woli kobiecej. Doprawdy, że ja chcę bardzo pomóc!

Połaniecki chwycił jej rękę i podniósł ją do ust.

– Pani jest najlepsza i najzaczniejsza w świecie istota, jaką spotkałem.

– Byłam bardzo szczęśliwa – odpowiedziała pani Emilia – a ponieważ myślę, że do tego jest tylko jedna droga, więc chciałabym, żeby moi bliscy nią poszli.

– Ma pani słuszość. Ta droga albo żadna! Skoro żyję, więc chcę, żeby się to życie komuś i mnie na coś zdało.

– A ja, skoro pierwszy raz w życiu podjęłam się roli swatki – rzekła siniejąc się pani Emilia – chcę także, żeby się to na coś zdało. Trzeba tylko pomyśleć, co teraz wypada zrobić.

To rzekłszy podniosła oczy w górę. Światło lampy padało w pełni nią jej drobną, młodą jeszcze bardzo twarz, na jej jasne włosy, nieco zwichrzone nad czołem, i było w niej coś tak uroczego, a zarazem i dziewiczego, że Połanieckiemu, jakkolwiek głowę miał zajętą czym innym, przyszło na myśl przezwisko, które jej dawał Bukacki: wdowy-dziewicy.

– Marynia ma dużo prostoty – rzekła po chwili namysłu – i najlepiej mnie zrozumie, gdy jej napiszę szczerą prawdę. Powiem jej to, co pan, mnie mówił: że pan wyjechał zajęty nią bardzo; że to, co pan zrobił, zrobił pan nie obliczywszy się z sobą, pod wpływem tylko tej myśli, że nie mógłby się pogodzić z ojcem; ale że obecnie pan najszczerzej tego żałuje, prosi, by nie brała tego za złe i nie odejmowała nadziei, że się pozwoli przebłagać.

– A ja napiszę do Maszki, że odkupię u niego tę sumę z takim zyskiem, jakiego zażąda.

Pani Emilia poczęła się śmiać.

– Oto ten trzeźwy, wyrachowany pan Połaniecki, który się chlubi, że pozbył się polskiego charakteru i polskiej lekkomyślności.

– A tak! a tak! – zawołał już weselszym tonem Połaniecki. – Wyrachowanie polega na tym, żeby nie żałować na to, co warte.

Lecz w tej chwili sposepniał.

– A jeśli ona odpowie, że jest narzeczoną Maszki?

– Nie przypuszczam. Pan Maszko może być najzacniejszy człowiek, ale on nie dla niej. Ona nie wyjdzie za mąż bez przywiązana, a wiem, że pan Maszko nie podobał się jej zupełnie. To się nigdy nie stanie. Pan Maryni nie zna. Niech pan tylko uczyni ze swojej strony, co w pana mocy, ale o pana Maszkę niech pan będzie spokojny.

– Więc zamiast pisać zatelegrafuję dziś do niego. On nie może w Krzemieniu długo jednym ciągiem bawić i musi w Warszawie odebrać moją depeszę.

VIII

Odpowiedź Maszki, którą Połaniecki odebrał w dwa dni później, brzmiała: „W dniu wczorajszym nabyłem Krzemień.” – Jakkolwiek z listu Maryni można było przewidzieć, że *rzeczy wezmą taki, a nie inny obrót*, i młody człowiek powinien był być na to przygotowany, wiadomość sprawiła na mim wrażenie uderzenia piorunu. Zdawało mu się, że stało się zarówno niespodziewane, jak niepowetowane nieszczęście, za które cała odpowiedzialność spada na niego. Pani Emilia, znając lepiej niż ktokolwiek przywiązanie Maryni do Krzemienia, miała również przecucie, którego nie potrafiła ukryć, że przez tę sprzedaż sprawa zbliżenia do siebie dwojga młodych ludzi utrudnia się w wysokim stopniu.

– Maszko, jeśli nie ożeni się z Marynią – mówił Połaniecki – to złupi starego Pławickiego w ten sposób, że swoją opinię ocali, a tamtego zostawi bez grosza. Gdybym był sprzedał tę sumę pierwszemu lichwiarzowi, stary by się wykręcał, coś splotał, więcej obiecywał – i ruina Krzemienia przewlokłaby się o całe lata, w ciągu których mogłoby się zdarzyć coś pomyslnego, a przynajmniej byłby czas sprzedać Krzemień w dobrych warunkach. Teraz, jeśli zostaną bez grosza, to będzie moja wina.

Ale pani Emilia patrzyła na sprawę także i z innej strony.

– Nie tylko w tym złe – mówiła – że Krzemień został sprzedany. Gdyby to kto inny przyczynił się do tego, nie pan, i to zaraz po bytności u Maryni, cała rzecz nie miałaby tego

znaczenia; ale to właśnie jest najgorsze, że Marynia tak bardzo nie spodziewała się tego po panu.

Połaniecki odczuwał to również dobrze, że zaś przywykł zdawać sobie jasno sprawę z każdego położenia, rozumiał więc także, że Marynia jest dla niego tak dobrze jak stracona. Wobec tego pozostawało jedno: przyznać, iż tak jest, zapomnieć o niej i starać się o inną żonę. Ale cała dusza Połanieckiego buntowała się przeciw temu. Naprzód jego uczucie dla panny Maryni, jakkolwiek nagłe, nie umocnione ani czasem, ani bliższą znajomością, jakkolwiek oparte przeważnie na uroku niemal wyłącznie fizycznym, jaki jej postać na nim wywarła, wzrosło w ostatnich tygodniach znacznie. Sprawiał to i jej list, i budzące się w Połanieckim przekonanie, że jej wyrządził krzywdę. Brała go teraz nad nią litość i nie mógł o niej myśleć bez wzruszenia; skutkiem tego samo uczucie powiększyło się o te dwa pierwiastki grające nader ważną rolę w każdym męskim, sercu. Następnie ów energiczny, muskularny człowiek nie umiał nigdy poddawać się biernie zbiegowi zdarzeń. Natura jego wprost nie mogła tego znieść. Widok trudności podniecał go właśnie do czynu. Na koniec sprzeciwiała się zaniechaniu Maryni i jego miłość własna. Myśl, że musi kiedyś sam przed sobą przyznać, że był tylko sprzężną w rękę takiego Maszki i jednym ze środków do jego celów, że mu się dał użytkować, a przynajmniej użytkować, napełniała go wściekłością. Choćby Maszko nie otrzymał ręki Maryni, choćby skończyło się na Krzemieniu, i to już było dla Połanieckiego więcej, niż mógł wytrzymać. Teraz brała go niepowstrzymana ochota wystąpić przeciw Maszce, narzucać mu kamieni pod nogi, pokrzyżować przynajmniej dalsze jego plany i pokazać mu, że jego adwokacki spryt w zetknięciu się z prawdziwą męską energią nie wystarcza.

Te wszystkie i szlachetniejsze, i mniej szlachetne powody popychały Połanieckiego z nieprzepartą siłą do przedsięwzięcia czegośkolwiek, do jakiegoś działania. Tymczasem położenie było tego rodzaju, iż nie pozostawało niemal nic do roboty. W tym przeciwieństwie tkwił właśnie dramat. Siedzieć w Reichenhallu, pozwolić Maszce przeprowadzać swoje plany, rozciągać swoje sieci, starać się o rękę panny Pławickiej – nie! za nic! A więc co? I na to ostatnie pytanie nie było odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu Połaniecki miał takie uczucie, jakby go uwiązano na łańcuchu, i im mniej był przyzwyczajony do takiego położenia, tym znosił je trudniej. Poznał też po raz pierwszy w życiu, czym jest bezsenność i rozdrażnione nerwy. Ponieważ Litka w ostatnich dniach znów uczyła się gorzej, więc mał całym towarzystwem, zawisła ciężka jak ołów atmosfera niepokoju, w której życie stawało się nieznośnym.

Po upływie tygodnia przyszedł znowu list Maryni... Tym razem nie było w nim, wzmianki ani o Połanieckim, ani o Maszce. Marynia donosiła tylko o sprzedaży Krzemienia bez żadnej skargi, bez, żadnego objaśnienia, jak się sprawa odbyła. Ale z tego właśnie można było wnosić, jak głęboko dotknęła ją ta sprzedaż.

Połaniecki wolałby był, żeby go o nią oskarżała. Rozumiał przy tym dobrze, że milczenie o mm w liście dowodzi, jak dalece został wykreślony z serca tej panny, podczas gdy milczenie o Maszce może dowodzić czegoś całkiem przeciwnego. Ostatecznie, jeśli jej tak chodziło o ten Krzemień, to mogła do niego wrócić oddając dzisiejszemu właścicielowi jego swą rękę; może więc porała się właśnie z tą myślą. Stary Pławicki miał wprawdzie swoje szlacheckie uprzedzenia, i Połaniecki liczył na nie, ale, uważając go przede wszystkim za egoistę, przypuszczał, że w danym wypadku poświęci dla własnej wygody i córkę, i uprzedzenia.

Koniec końcem, siedzenie w Reichenhallu z założonymi rękoma i czekanie na wiadomość, czy panu Maszce podoba się zaofiarować swą rękę pannie Pławickiej, stało się dla Połanieckiego wprost niemożliwe. Litka powtarzała także od czasu do czasu prośbę do matki, by wracać do Warszawy, więc i Połaniecki postanowił wracać, tym bardziej że zbliżał się termin, w którym obaj z Bigielem mieli rozpocząć nowy interes.

Postanowienie to przyniosło mu na, razie wielką ulgę. Wróci, zajrzy położeniu z bliska w oczy i może coś przedsięwzięć. Zawsze było to coś więcej, niż siedzieć w Reichenhallu. I pani Emilia, i Litka przyjęły wiadomość o jego wyjeździe bez zdziwienia. Wiedziały, że przyjechał tylko na kilka tygodni, i spodziewały się rychło zobaczyć go w Warszawie. Pani Emilia miała także w połowie sierpnia wyjechać. Przez resztę miesiąca postanowiła zostać razem z Waskowskim w Salzburgu, potem zaś wracać do Warszawy. Tymczasem przyrzekła Połanieckiemu, że doniesie mu kilkakrotnie o zdrowiu Litki, a, oprócz tego będzie pisała do Maryni, by dowiedzieć się, jakie są naprawdę jej myśli względem Maszki.

W dniu wyjazdu obie panie, wraz z Waskowskim, odprowadziły go na kolej. Gdy już był w wagonie, uczyniło mu się nieco żal odjeżdżać. Bądź co bądź, nie wiedział, jak się wszystko obróci w Warszawie, tu zaś otaczały go najzyczliwsze istoty, jakie miał w świecie. Wychylony przez okno patrzył na smutne oczęta: Litki, podniesione ku niemu, i na przyjazną twarz pani Emilii z takim uczuciem, jakby to była jego rodzima. I znowu uderzyła go nadzwyczajna piękność młodej wdowy, jej aż nadto delikatne rysy, anielski wyraz twarzy i jej postać zupełnie panińska, przybrana w czarną suknię.

– Niech pan będzie zdrow – mówiła pani Emilia – i niech pan do nas napisze z Warszawy; mniej więcej za trzy tygodnie się zobaczymy.

– Za trzy tygodnie – powtórzył Połaniecki. – Napiszę z, pewnością. Do widzenia, Lituś!

– Do widzenia! Niech się pan kłania Ewce i Joasi!

– Dobrze!

I wyciągnął jeszcze rękę przez okno:

– Do widzenia! Niech panie pamiętają o przyjacielu.

– Nie zapomnimy, nie zapomnimy! Chce pan, żebyśmy odmawiały nowennę na pańską intencję? – pytała z uśmiechem pani Emilia.

– Dziękuję i za to. Dobrze! Do widzenia, profesorze!

Pociąg ruszył w tej chwili. Panie poczęły machać jeszcze parasolkami, póki coraz spieszniejszy oddech lokomotywy nie przesłonił kłębam dymu i pary okna, przez które wyglądał Połaniecki.

– Mamo – spytała Litka – czy naprawdę trzeba mówić nowennę za pana Stacha?

– Trzeba, Lituś. On taki dla nas dobry. Trzeba prosić Boga, żeby był szczęśliwy.

– A czy on jest nieszczęśliwy?

– Nie... To jest... widzisz, każdy ma swoje zmartwienie, i on ma swoje.

– Ja wiem, ja słyszałam w Thumsee... – odrzekła dziewczynka.

I po chwili dodała ciszej:

– Będę mówiła nowennę...

A profesor Waskowski, który przy całej swej poczciwości nie umiał nigdy utrzymać języka, rzekł po chwili do pani Emilii, gdy Litka poszła naprzód:

– To złote serce, i on kocha obie panie jak brat. Teraz, gdy nam specjalista powiedział, że nie ma najmniejszej obawy, mogę wszystko powiedzieć. To Połaniecki umyślnie go sprowadził, bo się zaniepokoił o małą w Thumsee.

– On? – spytała pani Emilia. – No, widzi pan, co to za człowiek!

I łzy wdzięczności zakręciły się jej w oczach. Po chwili zaś dodała:

– Ale ja mu się odplacę za to, bo mu dam Marynię.

Połaniecki odjeżdżał również z sercem przepelnionym życzliwością i wdzięcznością dla pani Emilii, albowiem człowiek, któremu się coś nie powiedzie i który wskutek tego popada w zmartwienie, żywiej odczuwa przyjaźń ludzką. Siedząc więc teraz w kącie wagonu i mając świeżo w myśli obraz pani Emilii mówił sobie:

„Ot, gdybym się był w niej zakochał! Co za spokój, co za pewność szczęścia! I cel w życiu byłby znaleziony; wiedziałbym, dla kogo. pracuję, wiedziałbym, że czymś jestem, że moje

istnienie ma jakiś sens. Ona mówi wprawdzie, że nie wyjdzie za męża, ale za mnie – kto wie! Tamta może być sobie doskonałością, ale może mieć także bardzo oschłe serce.”

Tu uczył nagle, że jednak o tej myśli spokojnie, podczas gdy na każde wspomnienie tamtej chwyta go jakiś niepokój, zarazem przykry i przyjemny. Czuł, że go coś ciągnie tylko do tamtej. Świeżo oto ścisnął rękę pani Emilii, i uścisk ów nie zostawił mu żadnego wrażenia, podczas gdy dziś jeszcze pamiętał ciepło dłoni panny Maryni i doznawał pewnego rodzaju dreszczu na samo o tym wspomnienie.

I aż do Salzburga myślał już tylko o „tamtej”. Tym razem myśli jego poczęły nawet przybierać kształt jeśli nie postanowień, to pytań, jak ma względem niej postąpić i co w tym zbiegu rzeczy jest jego obowiązkiem.

„Nie da się zaprzeczyć, że ja jestem przyczyną sprzedaży Krzemienia – mówił sobie. – Krzemień nie tylko miał dla niej tę wartość pieniężną, jaką dałoby się może z niego wyciągnąć, gdyby nie przyspieszona sprzedaż, ale i tę wartość, którą przywiązywało do niego jej serce. Otóż pozbawiłem ją jednej i drugiej; krótko mówiąc: skrzywdziłem ją! Postąpiłem prawnie, ale to dla sumienia, złożonego z czegoś więcej niż z paragrafów, nie wystarcza. Zawiniłem i przyznaję się do tego, a skoro tak, to muszę to naprawić w jakikolwiek sposób.

Ale jak?

Na odkupienie Krzemienia od Maszki nie jestem dość bogaty. Mógłbym to może uczynić rozwiązując spółkę z Bigielem i wycofując wszystkie moje pieniądze, to zaś jest materialną niemożliwością. Bigiel mógłby przez to upaść, więc tego nie zrobię. Pozostaje mi zatem jedno, mianowicie: utrzymać z Pławickimi stosunki jakimkolwiek sposobem, a następnie oświadczyć się w krótkim czasie o rękę panny Pławickiej. Jeśli dostanę kosza, to przynajmniej uczynię, co do mnie należy.”

Ale tu ów drugi, wewnętrzny człowiek, o którym Połaniecki wspominał, zabrał głos i począł mówić:

„Nie zasłaniaj się kwestią sumienia. Gdyby panna Pławicka była starsza o dziesięć lat i brzydka, to mógłbyś tak samo przyczynić się do sprzedaży Krzemienia, pozbawić ją wszystkiego, czegoś pozbawił, i do głowy by ci nie przyszło oświadczyć się o jej rękę. Powiedzże sobie od razu, że panna Pławicka ciągnie cię jak obcęgi za pomocą swojej twarzy, oczu, ust, ramion, całej postaci – i nie oszukuj się.”

Lecz Połaniecki trzymał w ogóle krótko tego drugiego wewnętrznego człowieka i traktował go czasami bardzo niegrzecznie, zgodnie więc z tą metodą powiedział mu:

„Naprzód, nie wiesz, głupcze, czy i w takim razie nie starałbym się krzywdy nagrodzić. Że zaś w tym wypadku chcę ją wynagrodzić oświadczając się o pannę, to właśnie jest naturalne. Ludzie oświadcniają się zawsze kobietom, które im się podobają, nie zaś takim, do których czują odrazę. Jeśli więc nie masz nic lepszego do powiedzenia, to milcz.”

Wewnętrzny człowiek próbował jeszcze kilku nieśmiałych uwag, jak np. że pan Pławicki może kazać zrzucić pana Połanieckiego ze schodów, że mogą go w najlepszym razie przez próg nie puścić; ale pan Połaniecki jakoś się tego nie uląkł. „Ludzie – myślał – nie chwytają się dziś takich środków, jeśli zaś Pławiccy mnie nie przyjmą, to tym gorzej dla nich.”

Przypuszczał jednak, że jeśli mają choć trochę taktu, to go przyjmą. Zresztą wiedział, że pannę Marynię będzie widywał u pani Emilii.

Rozmyślając w ten sposób, przyjechał do Salzburga. Była godzina czasu do nadejścia pociągu z Monachium, którym miał jechać do Wiednia, więc postanowił przejść się po mieście. Tymczasem w sali restauracyjnej ujrzał nagle jasny kraciasty pidżak Bukackiego, jego monokl i jego małą głowę nakrytą jeszcze mniejszym miękkim kapeluszem.

– Bukacki czy jego duch! – zawołał.

– Uspokój się, Połaniecki – odpowiedział z flegmą Bukacki witając go tak, jakby się rozstali przed godziną. – Jak się masz?

– Co ty tu robisz?

- Jem kotlet na margarynie.
- Do Reichenhallu?
- Tak. A ty do domu?
- Tak.
- Nie oświadczyłeś się pani Emilii?
- Nie.
- Więc ci przebaczam. Możesz jechać!
- Schowaj koncepta na lepszą porę. Litka jest bardzo zagrożona. Bukacki spowaźniał i podniósłszy brwi począł mówić:
- Aj! aj! Czy to zupełnie pewne?
- Połaniecki opowiedział mu pokrótce, jakie jest zdanie lekarzy.
- Bukacki milczał przez chwilę, następnie rzekł:
- I nie ma tu człowiek być pesymistą! Biedne dziecko i biedna matka! W razie nieszczęścia, zupełnie sobie nie wyobrażam, jak onaje zniesie.
- Ona jest ogromnie religijna, ale strach o tym myśleć.
- Wyjdźmy trochę na miasto – rzekł Bukacki – tu można się udusić...
- I wyszli. Po drodze Bukacki począł powtarzać:
- I nie ma tu człowiek być pesymistą! Cóż jest taka Litka? Po prostu gołąb! Każdy by jej pożałował, tylko śmierć nie pożałuje.
- Połaniecki milczał.
- Sam nie wiem teraz – mówił Bukacki – czy jechać do Reichenhallu? W Warszawie, jak jest pani Emilia, to i ja mogę wytrzymać. Raz na miesiąc oświadczam się jej, raz na miesiąc dostaję odkosza i tak sobie żyję od pierwszego do pierwszego. Teraz pierwszy minął, więc zateśniłem do mojej pensji... Czy matka zdaje sobie sprawę ze stanu małej?
- Nie. Dziecko jest zagrożone, ale może być, że pozostaje mu jeszcze z parę lat.
- Ha! może nikomu z nas nie pozostaje więcej. Powiedz mi, czy ty często rozmyślasz nad śmiercią?
- Nie. Co mi to pomoże? Wiem, że tę sprawę muszę przegrać, więc sobie głowy nad nią nie łamię, zwłaszcza przed czasem.
- W tym rzecz, że musimy przegrać, a jednak procesujemy się aż do końca. Oto cały sens życia, które inaczej byłoby tylko nudną farsą, a tak jest zarazem głupim dramatem. Co do mnie, mam teraz trzy rzeczy do wyboru: albo się powiesić, albo jechać do Reichenhallu, albo do Monachium obejrzeć raz jeszcze Boeckliny. Gdybym był logiczny, wybrałbym to pierwsze, ponieważ zaś nie jestem logiczny, więc wybiorę Reichenhall. Pani Emilia Warta jest Boecklinów i jako rysunek, i jako kolor.
- Co słysząc w Warszawie? – spytał nagle Połaniecki, który to pytanie miał na ustach od początku rozmowy. – Widziałeś Maszkę?
- Widziałem. Kupił Krzemień i jest wielkim posiadaczem, a ponieważ ma rozum, więc stara się wszelkimi siłami, by się nie wydać zbyt wielkim. Jest łaskawy, wyrozumiały, pobłażliwy, przystępny, to jest zmienił się na korzyść, nie moją wprawdzie, bo cóż mnie to może obchodzić! Ale zapewne na swoją własną.
- Nie żeni się z panną Pławicką?
- Słyszałem, że ma ochotę. Twój wspólnik, Bigiel, coś o tym wspomniał, również jak i o tym, że Krzemień został kupiony w warunkach zbyt dla Maszki korzystnych. Na miejscu dowiesz się o tym lepiej.
- Gdzie są obecnie Pławiccy?
- W Warszawie. Mieszkają w Hotelu Rzymskimi. Mała wcale niebrzydka. Byłem u nich, jako kuzynek, i rozmawiałem o tobie.
- Mogłeś wybrać miłszy dla nich przedmiot rozmowy.

– Pławicki, który jest rad z tego, co się stało, powiedział, że im oddałeś przysługę – zapewne, niechcący – ale oddałeś... Pytałem panny, jakim sposobem poznała cię dopiero w Krzemieniu. Odpowiedziała mi że w czasie jej bytności w Warszawie musiałeś być zapewne za granicą.

– Rzeczywiście, wyjeżdżałem wtedy w interesach Domu do Berlina i bawiłem tam długo. Owóż urazy w nich dla ciebie nie spostrzegłem. Tyle się jednak nasłuchałem o miłości panny do zajęć sielskich, że przypuszczam, iż musi być trochę zła, żeś ją ich pozbawił. W każdym razie nie okazuje tego.

– Być może, że okaże dopiero mnie, a sposobności jej nie zbraknie, gdyż zaraz po powrocie będę u nich.

– W takim razie oddaj mi jedną małą przysługę: ożeń się z panną, bo z dwojga złego wolę zostać twoim kuzynem niż tego Maszki.

– Dobrze – odpowiedział krótko Połaniecki.

IX

Po powrocie do Warszawy Połaniecki przede wszystkim udał się do Bigiela, który dokładnie rozpowiedział mu, w jakich warunkach Krzemień został sprzedany. Warunki te były nader dla Maszki korzystne. Zobowiązał się on wypłacić po upływie roku trzydzieści pięć tysięcy rubli, które miały wpłynąć z parcelacji Magierówki, a prócz tego płacić po trzy tysiące rubli rocznie aż do śmierci pana Pławickiego. Połanieckiemu nie wydało się to zrazu układem zbyt dla Pławickich niepomysłnym, lecz Bigiel był innego zdania.

– Ja zbyt spieszenie ludzi nie sędzę – mówił – ale ostatecznie Pławicki jest starym egoistą, który dla własnej wygody poświęcił przyszłość dziecka, a prócz tego człowiekiem lekkomyślnym. W tym wypadku renta jest niby oparta na Krzemieniu, ale Krzemień, jako majątek zrujnowany, w który trzeba wkładać, ma wartość fikcyjną. Jeśli Maszko doprowadzi go do porządku, to dobrze, jeśli nie, to w najlepszym razie będzie zalegał z wypłatą, a przez całe lata Pławicki może grosza nie widzieć. Co wtedy zrobi? Odbierze na powrót Krzemień. Ależ Maszko pozaciąga do tego czasu nowe długi, choćby dlatego, żeby spłacić stare, i – w razie jego bankructwa – Bóg wie, ilu wierzycieli wyciągnie po Krzemień ręce. Ostatecznie wszystko polega na uczciwości Maszki, który może być sobie porządnym człowiekiem, ale prowadzi interesa ostro, którego zatem jeden fałszywy krok może zrujnować. Kto wie, czy samo kupno Krzemienia nie jest takim krokiem, bo chcąc uporządkować majątek musi wyciągnąć swój kredyt do ostateczności. Widziałem takich, którym się długo udawało, póki nie rzucili się na kupno wielkich majątków ziemskich.

– Pławickim zostanie zawsze gotowizna za Magierówkę – rzekł Połaniecki, jakby chcąc uspokoić własne obawy o ich przyszłość.

– Jeśli stary Pławicki jej nie przeje, nie przegra, nie zmarnotrawi.

– Ja muszę coś obmyślić. Przyczyniłem się do sprzedaży, więc muszę radzić.

– Ty? – spytał ze zdziwieniem, Bigiel. – Myślałem, że wasze stosunki są zerwane.

– Spróbuję je zawiązać na nowo. Jutro będę u nich.

– Nie wiem, czy cię radzi zobaczą.

– I ja nie wiem.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? Bo chłodzi o złamanie lodów. Samego mogą cię nie przyjąć... Szkoda, że mojej żony nie ma... Po całych wieczorach przesiaduję teraz sam i grywam na wiolonczeli, ale w dzień mam dużo czasu i mogę iść, gdzie chcesz.

Połaniecki jednak odmówił i nazajutrz, przybrawszy się z wielką starannością, poszedł sam. Wiedział, że jest przystojnym człowiekiem, a choć zwykle niewiele o tym myślał, teraz

postanowił nie zaniedbać niczego, co by mogło przemówić na jego korzyść. Idąc miał także pełno w głowie pomysłów: co powie, co zrobi w takim a takim razie, i z góry starał się przewidzieć, jak go przyjmą.

– Będę jak najprostszym i najotwartszym – mówił sobie. – Ostatecznie, to jest najlepszy sposób.

I sam mię wiedział, kiedy znalazł się przed Rzymskim Hotelem. Wówczas serce poczęło mu bić nieco żywiej.

„Byłoby nieźle jednak – pomyślał – żebym ich nie zastał. Zostawiłbym, kartę i później zobaczyłbym, czy Pławicki odda mi wizytę.”

Lecz natychmiast powiedział sobie: „Nie tchórz!” – i wszedł. Dowiedziawszy się od portiera, że pan Pławicki jest w domu, posłał swoją kartę i po chwili poproszono go na górę.

Pan Pławicki siedział przy stole i pisał listy, pociągając od czasu do czasu dym z cybucha zakończonego wielkim bursztynem. Na widok Połanieckiego podniósł głowę i spojrzawszy na niego przez złote binokle, rzekł:

– Proszę, proszę!

– Dowiedziałem się od Bigiela, że państwo jesteście w Warszawie – rzekł Połaniecki – i przychodzę złożyć moje uszanowanie.

– Bardzo to pięknie z twojej strony – odrzekł Pławicki – i co prawda, tom się tego nie spodziewał. Rozstaliśmy się w bardzo przykry sposób, i to z twojej winy. Ale ponieważ poczułeś się do obowiązku odwiedzenia mnie, więc ja, jako starszy, otwieram ci znowu ramiona.

Jednakże otworenie ramion ograniczyło się tym razem do wyciągnięcia przez stół ręki, którą Połaniecki uścisnął mówiąc sobie w duchu:

– Niech mnie licho porwie, jeśli ja tu do ciebie przyszedłem i jeśli względem ciebie poczuwam się do jakiegokolwiek obowiązku.

Po chwili spytał:

– Państwo przenosicie się do Warszawy?

– Tak jest. Ja, stary wieśniak, przywykły do wstawania ze słońcem i do moich zajęć rolniczych... mnie ciężko będzie w waszej Warszawie. Ale nie godziło mi się więzić dziecka, więc zrobiłem tę jedną więcej ofiarę.

Połaniecki, który spędził dwie noce w Krzemieniu, przypomniał sobie, że pan Pławicki wstawał około jedenastej i że właściwie trudnił się interesami Krzemienia, nie jego rolą; pomiął to jednak milczeniem, albowiem głowę zajętą miał w tej chwili czym innym. Oto od numeru, który zajmował pan Pławicki, otwarte drzwi prowadziły do innego, w którym musiała mieszkać panna Marynia. Połanieckiemu, który zezował w kierunku tych drzwi od chwili wejścia, przyszło do głowy, że ona może nie chce do niego wyjść, więc spytał:

– A panny Marii nie będę miał przyjemności zobaczyć?

– Marynia wyszła obejrzeć mieszkanie, które znalazłem dziś rano. Przyjdzie zaraz, bo to o parę kroków. Wyobraź sobie, cacko, nie mieszkanko! Ja będę miał gabinet i sypialnię, Marynia także bardzo ładny pokoik... Jadalny jest wprawdzie trochę ciemny, ale salonik jak bombonierka...

Tu pan Pławicki przeszedł do opowiadania o mieszkaniu z obfitością słów dziecka, które coś bawi, lub starego wygodnisia, któremu uśmiecha się zmiana na lepsze. W końcu rzekł:

– Ledwom się obejrzał, jużem znalazł. Warszawka to moja stara przyjaciółka i znam ją dobrze.

Lecz w tej chwili ktoś wszedł do przyległego pokoju.

– To pewno Marynia – rzekł Pławicki.

I począł wołać:

– Maryniu, czy to ty?

– Ja – ozwał się młody głos.

– Chodźże tu; mamy gości.

Panna Marynia ukazała się we drzwiach. Na widok Połanieckiego zdziwienie błysnęło na jej twarzy.

Połaniecki, wstawszy, skłonił się, a gdy zbliżyła się do stołu, wyciągnął ku niej na powitanie rękę. Ona podała mu swoją zarówno chłodno, jak grzecznie. Po czym zwróciła się do ojca, jak gdyby nikogo więcej nie było w pokoju.

– Widziałam mieszkanie – rzekła. – Ładne i wygodne; nie wiem tylko, czy ulica nie zbyt hałaśliwa.

– Wszystkie ulice są hałaśliwe – zauważył pan Pławicki. – To nie wieś.

– Przepraszam, pójde zdjęć kapelusz – odrzekła panna Marynia.

I wróciwszy do swego pokoju, nie ukazywała się przez czas dość długi.

„Nie pokaże się więcej” – pomyślał Połaniecki.

Lecz ona widocznie poprawiała tylko włosy przed lustrem po zdjęciu kapelusza, po czym weszła znowu i spytała:

– Nie przeszkadzam?

– Nie – rzekł Pławicki – nie mamy już ze sobą żadnych interesów, z czego, mówiąc nawiasem, rad jestem mocno. Pan Połaniecki przyszedł tylko z grzeczności.

Połaniecki poczerwieniał nieco i chcąc zmienić przedmiot rozmowy rzekł:

– Wracam z Reichenhallu, przywożę pani ukłony od pani Chwastowskiej i od Litki, i to jest także jeden z powodów, dla których ośmieliłem się przyjść.

Na chwilę ów chłodny spokój, który był na twarzy panny Maryni, znikł.

– Pisała mi Emilka o ataku sercowym Litki – rzekła. – Jakże ona się teraz ma?

– Drugiego nie było.

– Spodziewam się też znowu listu, i może już przyszedł, ale go nie odebrałam, ponieważ Emilka prawdopodobnie adresowała do Krzemienia.

– To ci go odeślą – rzekł Pławicki. – Dałem polecenie, by wszystko, co przyjdzie, tu odsyłano.

– Państwo już nie powrócicie na wieś? – spytał Połaniecki.

– Nie, nie powrócimy – odrzekła panna Marynia, której oczy przybrały na powrót wyraz chłodnego spokoju.

Nastała chwila milczenia Połaniecki patrzył na młodą dziewczynę i zdawał się walczyć sam ze sobą. Jej twarz ciągnęła go z nie znaną mu dotąd siłą. Czuł coraz wyraźniej, że w takiej właśnie znalazłby największe upodobanie, że taką mógłby pokochać, że to jest jego typ kobiety wybranej – i tym bardziej jej chłód stawał mu się nieznośny. Dałby teraz Bóg wie co, by w tych rysach odnaleźć znów ten wyraz, który widział w Krzemieniu, to zajęcie się jego słowami i zasłuchanie, tę zaciekawioną przezroczyście oczu pełnych uśmiechów; dałby Bóg wie co, żeby to wszystko wróciło, a nie wiedział, jaką drogą iść do tego, powolną czy prędką, więc dlatego się wahał. Wybrał na koniec tę, która była zgodniejsza z jego naturą.

– Wiedziałem – rzekł nagle – jak pani kochała Krzemień, i mimo tego, być może, że przyczyniłem, się do jego sprzedaży. Jeśli tak jest, to powiadam pani otwarcie, że tego najmocniej żałuję i nigdy żałować nie przestanę. Na swoją obronę nie mogę nawet powiedzieć, że to uczynił w uniesieniu i bez namysłu. Owszem, namyślałem się, tylko namysł był zły i bez rozumny. Tym większa moja wina, i tym bardziej proszę panią o przebaczenie.

To rzekłszy wstał. Policzki mu zapłonęły, z oczu biła prawda i otwartość, ale słowa jego pozostały bez wrażenia. Połaniecki szedł błędną drogą. Za mało on znał kobiety w ogóle, żeby mógł sobie zdać sprawę, jak dalece sądy ich, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą lub złą monetę; wszystko tłumaczone na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytaną za rozum, rozum za głupotę, egoizm za

poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubiaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności. Mężczyzna, który w danej chwili budzi niechęć, nie może mieć dla kobiety słuszności, nie może być szczerym, nie może być sprawiedliwym, nie może być dobrze wychowanym. Owóż panna Marynia, czując do Połanieckiego od chwili przyjazdu Maszki do Krzemienia głęboką urazę i niechęć, wzięła mu teraz wprost za złe jego otwartość. Pierwszą jej myślą było: „Cóż to za człowiek, który uznaje za bezrozumne i złe to, co kilka dni temu zrobił z rozmysłem?...” Następnie Krzemień, jego sprzedaż, przyjazd Maszki i znaczenie tego przyjazdu, które odgadła, to była w niej jakby rana, która jątrzyła się coraz bardziej. I teraz zdawało jej się, że Połaniecki rozkrwawia tę ranę z całą bezwzględnością człowieka o szorstkiej naturze i grubych nerwach.

On wstał i z oczyma w jej twarzy, czekał, czy się ku niemu nie wyciągnie przyjazna i przebacząca ręka, z jasnym poczuciem, że jedno takie wyciągnięcie dłoni może stanowić o jego losie; lecz jej oczy pociemniały na chwilę jakby z bólu i gniewu, twarz zaś stała się jeszcze zimniejszą.

– Niech pan się tym nie kłopoce – odrzekła z lodowatą grzecznością. – Papa jest owszem bardzo rad z układu i z całego stosunku z panem Maszką.

To rzekłszy wstała także jakby rozumiejąc, że Połaniecki chce się pożegnać. On zatrzymał się jeszcze chwilę, zrażony, zawiedziony, pełen uczucia upokorzenia, jakiego doznaje zawsze człowiek, którego odepchnięto, wreszcie pełen urazy i tłumionego gniewu.

– Jeśli tak – odrzekł – to i ja niczego więcej nie pragnąłem.

– Ale tak! ale tak! Zrobiłem dobry interes – zakończył pan Pławicki.

Połaniecki wyszedł – i schodząc po kilka schodów od razu, z zaciśniętym na głowę kapeluszem, powtarzał sobie w duchu:

„Noga moja u was więcej nie postanie.”

Czuł jednak, że gdy wróci do domu, to go zadławi gniew; ruszył więc przed siebie nie myśląc o tym, dokąd go nogi poniosą. Zdawało mu się w tej chwili, że nie kocha Maryni, że ją nawet nienawidzi, ale jednak myślał o niej i gdyby myślał spokojniej, zdałby sobie sprawę, że samo zobaczenie jej wstrząsnęło nim głęboko. Widział ją oto znowu, patrzył na nią, porównał z rzeczywistością ten jej obraz, który nosił w pamięci – i obraz stawszy się przez to jeszcze wyraźniejszy, bardziej realnie ponętny, tym silniej działał na niego. I mimo gniewu w głębi jego duszy podnosiło głowę ogromne upodobanie i zachwyty. Istniały teraz dla niego jakby dwie Marynie: jedna potulna, przyjazna, zasłuchana i gotowa kochać, Marynia z Krzemienia; druga, ta lodowata panna z Warszawy, która go odtrąciła. Kobieta często zdwaja się tak w sercu męskim, które wówczas najczęściej gotowe jest przebaczyć tej nieprzyjaznej dla tamtej kochanej. Połaniecki nie przypuszczał nawet, żaby Marynia potrafiła być taką, jaką dziś okazała się dla niego; z tego powodu w jego gniewie było jakby pewne zdziwienie. Znając swoją istotnie niezaprzeczoną wartość i będąc dostatecznie zarozumiałym, nosił w sobie przeświadczenie do którego nie chciałby się przyznać sam przed sobą, że dość mu wyciągnąć rękę, by za nią pochwycono. Tymczasem pokazało się inaczej. Ta potulna panna Marynia wystąpiła nagle nie tylko w roli sędziego, który wydaje wyroki i potrafi potępić, ale zarazem i w roli jakby królowej, u której można być w łasce lub niełasce. Połaniecki nie mógł się z tą myślą oswoić i szamotał się z nią, ale taka jest natura ludzka, że gdy poznał, iż dla tej panny nie jest tak pożądanym, jak sądził, że ona nie tylko nie ceni go zbyt wysoko, ale niżej od siebie samej, wbrew niechęci, urazie, gniewowi, cena jej wzrosła w jego oczach. Jego miłość własna została zraniona, a z drugiej strony jego wola, istotnie silna, gotowa była porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je. Wszystkie te myśli krążyły teraz bezładnie w jego głowie, a raczej były to bardziej poczucia niż myśli, poszarpane i same szarpiące. Powtarzał sobie stokroć, że wszystkiego poniecha, że musi i chce poniechać, a jednocześnie był dość słabym i małym, by w tej samej chwili, gdzieś w najtajniejszym kącie duszy, liczyć na przyjazd pani Emilii i na tę pomoc, jaką ów przyjazd mógł mu przynieść.

Pograżony w tej duchowej rozterce, nie opamiętał się aż w połowie Zjazdu. Wówczas zadał sobie pytanie: „Po licha ja szedłem na Pragę?” – i zatrzymał się. Dzień był pogodny i schylał się ku wieczorowi. Wisła płynęła poniżej w blasku, a za nią za bliższymi kępami zieloności widać było rozległy kraj zakryty na widnokręgu mgłą różową i sinawą. Hen, za tymi mgłami, był Krzemień, który Marynia kochała i który straciła. Połaniecki, utopiwszy oczy w mgły, powiedział sobie:

„Ciekawym, co by zrobiła, żebym jej go oddał?”

Lecz nie umiał sobie tego dokładnie wyobrazić, natomiast wyobraził sobie, że utrata tego kawałka ziemi była dla niej istotnie wielką przykrością – i zrobiło mu się jej żal. W tym żalu poczęła się rozplýwać jego uraza i przesłaniać się jakby mgłą. Sumienie jęło mu szeptać, że miał to, na co. zasłużył.

Wracając mówił sobie:

„Jednakże ja o tym wszystkim ciągle myślę.” I rzeczywiście tak było. Nigdy w najważniejszych sprawach pieniężnych nie doznawał ani pół takiego niepokoju, nigdy też nie pograżał się w nie tak dalece. I znów przyszło mu na myśl to, co mówił Waskowska, że natura jego, jako Połanieckiego, nie zdolna jest włożyć całej duszy w robienie pieniędzy. Nigdy nie doświadczył równie jasnego poczucia, że mogą być sprawy od tego ważniejsze i po prostu bardziej pozytywne. Po raz drugi ogarnęło go pewne zdziwienie.

Była już blisko dziewiąta, gdy zaszedł do Bigiela. Bigiel, sam w obszernym, pustym mieszkaniu, siedział we drzwiach otwartych na ogrodową werendę i wygrywał na wiolonczeli tak, że aż wszystko w domu drgało. Ujrawszy Połanieckiego przerwał jakieś tremolo i spytał:

– Byłeś dziś u Pławickich?

– Byłem.

– Jakże panna?

– Jak karafka „frapowanej” wody. Na taki gorący dzień to przyjemność. Zresztą grzeczni ludzie.

– Przewidywałem to.

– Graj dalej.

Bigiel począł grać *Träumerei* i grając przymykał oczy lub podnosił je na księżyc. W ciszy muzyka zdawała się napełniać słodyczą dom, ogród i samą noc.

Gdy skończył, milczał przez chwilę, po czym rzekł:

– Wiesz co? Jak pani Emilia wróci, żona moja zaprosi ją do siebie na wieś, a z nią i pannę Pławicką. Może tam te lody między wami stopnieją.

– Zagraj jeszcze raz, *Traumerei*.

Dźwięki ozwały się po raz drugi, spokojne i rozmarzone. I Połaniecki był zbyt młodym, by nie miał być również choć trochę marzycielem. Więc wyobraził sobie, że Marynia słucha z *mim.* razem *Träumerei* z rękoma w jego rękach, z głową na jego piersiach, kochająca bardzo i nad wszystko w świecie kocham.

X

Pan Pławicki był jednak człowiekiem, co się nazywa, dobrze wychowanym, albowiem trzeciego dnia oddał wizytę Połanieckiemu. Oddał ją nie drugiego, taka bowiem skwapliwość oznaczałaby chęć utrzymania bliskich stosunków, i nie czwartego albo piątego, byłoby to bowiem dowodem braku znajomości zwyczajów światowych, tylko w terminie najwłaściwszym i jedynie wskazanym przez przykazania *savoir vivre*. Pan Pławicki szczylił się całe życie znajomością tych przykazań oraz właściwych im odcieni i zachowywanie ich

uważał za najwyższą mądrość ludzką. Jako człowiek wyrozumiały, pozwalał wprawdzie istnieć i innym gałęziom wiedzy, pod warunkiem wszelako, żeby się nie przeceniały, a zwłaszcza by nie miały pretensji narzucania się ludziom prawdziwie dobrze wychowanym.

Połaniecki, dla którego wszystko było pożądanym, co nawiązywało jakkolwiek nie dalszych stosunków z panną Marynią, z trudnością potrafił ukryć radość, jaką mu sprawiło przybycie pana Pławickiego. Radość ta odbiła się też w uprzejmym i pełnym dobrego humoru przyjęciu. Musiał on zresztą podziwiać pana Pławickiego i wpływ, jaki na niego uczyniło miasto. Czupryna jego lśniła się jak skrzydła krucze, małe wąsiki sterczały do góry, walcząc o lepsze pod względem barwy z czupryną, biała kamizelka okrywała wysmukłą pierś, pąsowy zaś gwoździk przy czarnej zakietce dodawał jakiegoś świątecznego blasku całej postaci.

– Pod słowem, nie poznałem wujaszka w pierwszej chwili! – zawołał Połaniecki, – Myślałem, że jaki młodzik wchodzi.

– *Bonjour, bonjour!* – odpowiedział pan Pławicki. – Chmurny dzień, trochę tu ciemno, i chyba dlatego wzięłeś mnie za młodzika.

– Chmurno czy jasno – co to za figura! – odpowiedział Połaniecki.

I chwyciwszy bez ceremonii w boki pana Pławickiego począł nim obracać i mówić:

– Talia zupełnie jak u panny. Chciałbym mieć taką!

Pan Pławicki, mocno zgorzony tak bezceremonialnym powitaniem, ale zarazem jeszcze mocniej uradowany tym podziwem, jaki wzbudzała jego postać, mówił broniąc się:

– *Voyons!* Wariat jesteś. Mógłbym się pogniewać! Wariat jesteś.

– Ale wujaszek nazawraca głów, ile sam zechce.

– Co powiadasz? – spytał pan Pławicki sadowiąc się w fotelu.

– Powiadam, że wujaszek przyjechał tu na podboje...

– Nie myślę o tym wcale. Wariat jesteś!

– A pani Jamiszowa? Albo to nie widziałem na własne oczy...

– Co?

Tu pan Pławicki przymknął jedno oko i wysunął koniec języka, ale trwało to chwilkę tylko, po czym podniósł brwi i rzekł:

– Widzisz, Jamiszowa... Dobrze to na Krzemień... Między nami, nie znoszę afektacji, bo to zawsze trąci prowincją. Niech Jamiszowej Pan Bóg nie pamięta, ile mnie ona namęczyła swoją afektacją. Kobieta powinna mieć odwagę zestarzeć się – wtedy stosunek kończy się przyjaźnią, inaczej zaś staje się niewolą.

– I wujaszek czuł się motylem w pętach?

– Tylko nie mów tak – odrzekł z godnością pan Pławicki – i nie wyobrażaj sobie, żeby coś między nami było. Gdyby też i było, nie usłyszałbyś ode mnie o tym ani słowa. Wierz mi, jest wielka różnica między wami a nami z poprzedniego pokolenia. My nie byliśmy może świętymi, ale umieliśmy milczeć, a to jest wielka cnota, bez której to, co się nazywa prawdziwym szlachectwem, nie istnieje.

– Z tego wnoszę, że mi się wuj nie przyzna, dokąd ode mnie pójdzie z tym czerwonym gwoździkiem przy wyłogu.

– Owszem, owszem... Maszko dziś prosił na śniadanie mnie i kilka innych osób. Z początku odmówiłem, nie chcąc zostawiać Maryni samej... Ale nasiedziałem się dla niej tyle lat na wsi, że istotnie należy mi się trochę rozrywki. A ty nie jesteś proszony?

– Nie.

– To mnie dziwi. Jesteś, jak sam powiadasz, „aferzystą”, ale nosisz porządne nazwisko. Maszko zresztą sam jest adwokatem... W ogóle jednak powiem ci, iż nie myślałem, żeby on potrafił się tak postawić.

– Maszko potrafi postawić się nawet na głowie...

– Bywa wszędzie, wszyscy go przyjmują... A ja miałem niegdyś do niego uprzedzenie.

– A teraz wuj nie ma uprzedzenia?

– Muszę przyznać, że ze mną postępował w całej tej sprawie z Krzemieniem jak gentleman.

– Panna Marynia jest tego samego zdania?

– Zapewne... chociaż myślę, że jej ten Krzemień leży na sercu... Dla niej to zrobiłem, zemdlałem go, ale młodość nie wszystko potrafi zrozumieć. Zresztą wiedziałem o tym i gotów jestem zmieść każdą przykrość ze spokojem. Co do Maszki... zapewne!... Ona nie może mu nic zarzucić. Kupił Krzemień, to prawda, ale...

– Ale gotów go oddać?...

– Ty należysz do rodziny, więc, między nami mówiąc, myślę, że tak jest... Jego Marynia zajęła bardzo, jeszcze za naszego poprzedniego pobytu, ale to jakoś nie szło. Dziewczyna była za młoda – nie dość jej się podobał, ja sam trochę się krzywiłem, bo mnie uprzedzono co do jego rodziny. Bukacki ostrzył sobie na nim zęby – ot i skończyło się na niczym...

– Nie skończyło się, skoro się rozpoczyna na nowo.

– Bom się przekonał, że on pochodzi z bardzo dobrej rodziny, niegdyś włoskiej... Oni się kiedyś nazywali Masco – i przyszli tu z Boną, a potem osiedli na Białorusi. On, jeśliś zauważył, ma nawet trochę twarz włoską.

– Nie, on ma portugalską.

– To już wszystko jedno?... Ostatecznie, pomyśl: sprzedać Krzemień, a jednak go mieć – to nie lada głowa wymyśli... Co do Maszki – tak! Sądzę, że taki jest jego zamiar, ale Marynia to dziwna dziewczyna. Przykro to mówić, ale człowiek prędzej potrafi zrozumieć obcego niż własne dziecko. Jeśli ona sobie jednak powie: *Paris vaut la messe*, jak to powiedział Talleyrand...

– A? Ja myślałem, że to powiedział Henryk IV?

– Bo ty jesteś „aferzysta”, człowiek nowych czasów. Wam, młodym, historia i stare dzieje nie w smak, wolicie robić pieniądze... Wszystko tedy zależy od Maryni, a ja nie będę przynaglał; nie będę, bo ostatecznie przy naszych stosunkach może się jej jeszcze lepsza partia trafić. Trzeba będzie trochę wejść między ludzi i odszukać dawnych znajomych. Trud to tylko i umęczenie, ale co trzeba, to trzeba. Myślisz, że ja z przyjemności idę na to śniadanie? Nie! ale muszę trochę i młodzieży przyjmować. Spodziewam się też, że nie będziesz o nas zapominał...

– Nie, nie będę...

– Wiesz, co mi o tobie powiedzieli? że ty diabło robisz pieniądze. No! no! nie wiem w kogo się wdałeś – nie w ojca! W każdym razie, nie ja ci to będę ganił, nie, nie!... Dusiłś mnie bez miłosierdzia, obszedłś się ze mną jak wilk z jagnięciem, ale jest w tobie coś, co mi się podoba, mam do ciebie jakąś słabość.

– I wzajemnie! – rzekł Połaniecki.

Rzeczywiście, pan Pławicki nie kłamał. Miał on instynktowną cześć dla majątku, i ten „młody człowiek, który go robił, wzbudzał w nim pewien podziw, graniczący z sympatią. To nie był pierwszy lepszy biedny krewniak, który by potrzebował pomocy, i dlatego pan Pławicki, choć na razie nie miał względem niego żadnych wyrachowań, postanowił zachować z nim stosunki.

Pod koniec wizyty począł się jeszcze oglądać pomieszkaniu.

– Pięknie mieszkasz! – rzekł.

Była to także prawda. Połaniecki miał tak przygotowane mieszkanie, jakby się miał żenić. Samo urządzenie go w ten sposób sprawiało mu przyjemność, albowiem dawało jakiś pozór rzeczywistości jego pragnieniom.

Pławicki też, rozejrzawszy się po salonie, za którym widać było drugi, mniejszy, urządzony nader wykwintnie spytał:

– Czemu ty się nie żenisz?

– Zrobię to, jak będę mógł najprędzej.

Pan Pławicki uśmiechnął się domyślnie i klepiąc po kolanie Połanieckiego począł powtarzać:

– I wiem z kim, i wiem z kim!...

– To mi głowa! – zawołał Połaniecki – ukrywajże tu co przed takim dyplomata!

– Aha! co... Z wdówką? z wdówką – co?

– Kochany wujaszek!...

– Co? Niech ci Bóg błogosławi, jak ja błogosławię. A teraz ruszam, bo czas na śniadanie, a wieczorem koncert w Dolinie.

– W kompanii z Maszką?

– Nie, z Marynią – ale i Maszko będzie.

– Wybieram się i ja z Bigielem.

– A to się zobaczymy. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze może.

– Jak powiedział Talleyrand...

– Więc do widzenia.

Połaniecki lubił czasem muzykę, ale nie wybierał się wcale na koncert, gdy mu jednak Pławicki o tym wspomniał, chwyciła go chęć zobaczenia Maryni. Po odejściu Pławickiego namyślał się jeszcze czas jakiś, czy iść, czy nie iść, ale, można by rzec, dla formy, albowiem z góry wiedział, że nie wytrzyma i pójdzie. Bigiel, który przyszedł do niego na konferencję handlową po południu, z łatwością dał się namówić, i koło czwartej znaleźli się w Dolinie. Dzień, jakkolwiek wrześnieowy, był tak ciepły i pogodny, że ludzie zgromadzili się licznie i całe zgromadzenie miało pozór letni. Wszędy mnóstwo jasnych sukien, jasnych parasolek i młodych kobiet, które wyroiły się jak kolorowe motyle przygrzane słońcem. Między tym rojem, przeznaczonym do kochania albo też kochanym i kochającym, zgromadzonym tu zarówno dla muzyki, jak w poszukiwaniu miłości, miała się znajdować i Marynia. Połanieckiemu przypomniały się czasy, studenckie, gdy kochał się w nieznanym i wyszukiwał ich w tłumie, myśląc się co chwila z powodu podobieństwa kapeluszy, włosów, ogólnej postawy. I teraz zdarzyło mu się wziąć z daleka za Marynię kilka osób, mniej lub więcej do niej podobnych; i teraz, jak dawniej, za każdym razem, w którym sobie mówił: „to ona!”, doznawał tych dziwnych drgań koło serca, tego niepokoju, jakiego doświadczał dawniej. Dziś jednak brała go złość, bo wydawało mu się to śmiesznym, a przy tym czuł, że takie poszukiwania spotkań i widzeń, pochłaniając człowieka i skupiając jego myśl na jednej istocie, zwiększają zajęcie, jakie ona budzi, i tym bardziej do niej przykuwają.

Tymczasem orkiestra zaczęła grać, zanim mógł odnaleźć tę, której w tłumie upatrywał. Trzeba było się i słuchać, co czynił z przymusem, niecierpliwiać się w duszy na Bigiela, który słuchał bez ruchu, z przymkniętymi oczyma. Po skończeniu numeru dojrzał wreszcie błyszczący cylinder i czarne wąsiki pana Pławickiego, a za nimi profil Maryni. Trzeci siedział Maszko, spokojny, pełen dystynkcji, z miną angielskiego lorda. Chwilami przemawiał do Maryni, a ona zwracała się ku niemu, potakując lekko głową.

– Pławiccy tu są – rzekł Połaniecki – trzeba się pójść przywitać.

– Gdzie ich widzisz?

– Ot, tam, z. Maszką.

– A prawda. Pójdźmy.

I poszli. Panna Marynia, która lubiła panią Bigielową, powitała Bigiela bardzo serdecznie, Połanieckiemu zaś skinęła głową nie tak zimno, by to mogło zwrócić czyjąkolwiek uwagę, lecz zaczęła rozmawiać z Bigielem, wypytując o zdrowie żony i dzieci. On, w odpowiedzi, jął zapraszać i ją, i ojca bardzo gorąco, żeby odwiedzili ich w przyszłą niedzielę na letnim mieszkaniu.

– Moja żona będzie szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! – powtarzał. – Może też i pani Emilia przedtem przyjedzie...

Marynia próbowała odmówić, ale pan Pławicki, który chciał się bawić, a z poprzedniego pobytu w Warszawie wiedział, że Bigielowie żyją dostatnio – przyjął. Stało na tym, że przyjadą na obiad, a powrócą wieczorem. Była to wycieczka łatwa, bo willa Bigielów leżała o jedną stację kolei.

– Tymczasem siadajcie koło nas – rzekł pan Pławicki – właśnie obok nas jest kilka krzeseł próżnych.

Przedtem jednak Połaniecki zwrócił się do Maryni:

– Pani nie miała wiadomości od pani Chwastowskiej?

– Chciałam właśnie spytać, czy pan nie miał? – odrzekła.

– Nie, ale jutro spytam depeszą o Litkę.

I rozmowa urwała się. Bigiel usiadł koło pana Pławickiego, Połaniecki zaś na skraju. Marynia zwróciła się zmów do Maszki, tak że Połaniecki mógł widzieć tylko jej profil, i to niezupełny. Zdawało mu się, że nieco zmizerniała, a przynajmniej cera jej stała się po kilku tygodniach pobytu w mieście bledszą i delikatniejszą, przez, co długie jej rzęsy wydawały się cienistsze i bardziej wyraźne. Cała jej postać była jakby bardziej wykwintną, do czego przyczyniał się staranny ubiór i równie staranne uczesanie, którego sposób był inny niż dawniejszy. Dawniej nosiła włosy związane niżej, teraz były one upięte modniej, to jest wysoko pod kapeluszem. Połaniecki ogarniał oczyma jej wysmukłą postać, podziwiając całą duszą jej wdzięk, widny we wszystkim, nawet w trzymaniu ręki na kolanach. Wydała mu się bardzo piękna. Odczuli znów z wielką siłą, że jeśli każdy mężczyzna nosi w sobie swój typ kobiecego uroku, który jest miarą wrażenia, jakie dana kobieta na nim sprawia – to ona jest tak bliską jego typu, że prawie z nim tożsamą. I patrząc na nią, mówił sobie w duszy:

– Ach, taką mieć żonę, taką mieć żonę!

Lecz ona zwracała się do Maszki. Może nawet zwracała się zanadto, i gdyby Połaniecki zachował całą zimną krew, mógłby pomyśleć, że czyni to umyślnie, dlatego, by jemu czynić na złość. I prawdopodobnie tak było. Rozmowa musiała być jednak ożywiona, gdyż przez jej twarz przelatywały od czasu do czasu lekkie kolory.

„Ależ ona go po prostu kokietuje!...” – myślał ściskając zęby Połaniecki.

I chciał koniecznie usłyszeć, co mówią. Było to jednak trudno. Publiczność w czasie długiej pauzy zachowywała się dość gwarnie. Maryni Połaniecki, przedzielony dwiema osobami, nie mógł wcale słyszeć, natomiast po skończonym, nowym numerze usłyszał urwane słowa i zdania Maszki, który miał zwyczaj mówić z przyciskiem, chcąc przez to nadać większą wagę każdemu słowu.

– Ja go lubię – mówił Maszko. – Każdy ma swoje słabości – jego słabością są pieniądze... Wdzięczny mu jestem, bo on mnie namówił... do Krzemienia... Myślę przy tym, że jest pani szczerze życzliwy, bo nie szczędził... I wyznaję, że pobudził moją ciekawość...

Marynia odpowiedziała coś na to z wielkim ożywieniem, po czym Połaniecki znów dosłyszał koniec odpowiedzi Maszki:

– Charakter jeszcze niewyrobowany i inteligencja może mniejsza niż energia, ale natura raczej dobra...

Połaniecki doskonale rozumiał, że to o nim mówią – i również dobrze zdał sobie sprawę z taktyki Maszki. Sądzić niby wyrozumiale i bezstronnie, raczej chwalić lub przynajmniej przyznawać różne przymioty, a jednocześnie obdzierać z wszelkiego uroku, był to znany sposób młodego adwokata. Przez to wznosił się sam jakby na stanowisko sędziego, wyjątkowe i wyższe. Połaniecki wiedział też, że Maszko mówił to nie tyle w chęci poniżenia jego, ile wywyższenia siebie, i że, prawdopodobnie, mówiłby tak samo o każdym innym młodym człowieku, w którym podejrzewałby możliwego współzawodnika.

Była to ostatecznie taktyka, którą może sam Połaniecki byłby się w danym razie posługiwał, co nie przeszkadzało, że w tej chwili poczytał ją Maszce za szczyt przewrotności i postanowił mu za nią zapłacić, byle zdarzyła się sposobność.

Pod koniec koncertu mógł jeszcze zauważyć, jak dalece Maszko wchodzi w rolę starającego się. Gdy panna Marynia, chcąc zawiązać woalkę, zdjęła rękawiczki, a te stoczyły się z jej kolan, Maszko podniósł je i zatrzymał wraz z parasolką, przy czym zdjął z poręczy krzesła jej pelerynkę i przewiesił sobie przez ramię, by ją jej podać w chwili wyjścia z ogrodu – słowem, całkowicie był nią zajęty, jakkolwiek i w tym zachowywał zimną krew i takt człowieka prawdziwie światowego.

Zdawał się przy tym pewny siebie i szczęśliwy. Jakoż Marynia, prócz krótkiej rozmowy poświęconej Bigielowi, przez resztę czasu, o ile nie słuchała muzyki, rozmawiała tylko z Maszką. Gdy ruszyli ku wyjściu, szła przed ojcem z mim razem, i znów Połaniecki widział uśmiechnięty jej profil zwracający się ku Maszce. Rozmawiając patrzyli sobie w oczy. Twarz jej była ożywiona, a jej uwaga skupiona wyłącznie na tym, co on mówił. Rzeczywiście kokietowała Maszkę. On sam widział to, nie przypuszczając zresztą, mimo swego sprytu, ani na chwilę, że mogła tak czynić tylko dla drażnienia Połanieckiego.

Przed wejściem czekał powóz, do Którego Maszko podsadził ją i starego Pławickiego, sam zaś począł się żegnać. Lecz Marynia, przechyliwszy się ku niemu, rzekła:

– Jakże? Papa przecie prosił pana? Prawda, papo?

– Takeśmy się umówili – rzekł pan Pławicki.

Maszko siadł – i odjechali zamieniwszy ukłony z Bigielem i Połanieckim. Dwaj przyjaciele szli dość długi czas w milczeniu; wreszcie Połaniecki rzekł udając spokój w głosie:

– Ciekawym, czy oni już są narzeczeni?

– Nie przypuszczam – rzekł Bigiel – ale do tego idzie.

– To i ja widzę.

– Myślałem, że Maszko będzie szukał majątku. Ale on jest rozkochany. To się może trafić nawet takiemu, który myśli tylko o karierze... Maszko jest rozkochany. Przy tym, wzięwszy ją, uwolni się od wyplat za Krzemień. Nie! to nawet i interes nie jest tak zły, jak się zdaje... A panna jest bardzo ładna, co prawda, to prawda!...

I znów umilkli. Połanieckiemu jednak było tak ciężko, że nie mógł wytrzymać.

– Powiem ci otwarcie – ozwał się – to jest dla mnie po prostu męka ta myśl, że ona za niego wyjdzie... I ta bezradność! Wolę wszystko niż taką bezradność. Jaką ja śmieszna i głupią rolę odegrałem w całej tej sprawie!

– Zapędziłeś się, a to się każdemu może trafić. To jest raczej wina tego dziwnego zbiegu okoliczności, że byłeś wierzycielem jej ojca. Ty masz zupełnie inne pojęcia o takich sprawach niż on... jesteście ludzie z dwóch różnych planet – więc nieporozumienie było gotowe. Tyś może postawił rzecz za ostro, ale jak się zastanowię nad wszystkim, to nie mogłeś być zbyt miękkim, nawet ze względu na pannę Pławicką. Czyniąc zbyt wielkie ustępstwa, czyniłbyś je dla niej – nieprawda? Więc cóż by z tego wypadło? Oto, że ona pomaga ojcu w wyzyskiwaniu ciebie. Nie, tę sprawę należało skończyć.

Tu roztropny Bigiel przystanął na chwilę, zastanowił się i rzekł:

– A co do twojej roli to jest jedno wyjście: usunąć się zupełnie, zostawić *rzeczy* ich biegowi i powiedzieć sobie, że wszystko, idzie po twojej myśli.

– Co mi pomoże – zawołał gwałtownie Połaniecki – że sobie to powiem, kiedy nie idzie! nie idzie! Idzie przeciw myśli... A że mi jest głupio, nie ma i na to rady. Jakże? Naprzód sam to wszystko zrobiłem, a teraz chciałbym odrobić? Ja całe życie wiedziałem, czegom chciałem, a w tym razie działałem, jakbym nie wiedział.

– To są przejścia, o których się zapomina.

– Dobrze, mój kochany, ale tymczasem upada interes do życia. Myślisz, że mnie to obchodzi dzisiaj tak jak dawniej, czy będę zdrow, czy chory, bogaty lub goły? Czczo mi się robi na samą myśl o przyszłości. Ty jesteś ustalony i związany z życiem, ale co ja? Ot,

był widok i już go nie ma. Przecie to ogromnie zniechęca!

– Ostatecznie, nie jedna panna Pławicka na świecie.

– Co tu gadać! Teraz ona jedna, bo żeby była jaka druga, to bym o tej drugiej myślał. Co tu gadać! Cała rzecz i cała zgryzota w tym, że ona jedna. Za rok może mi dachówka na głowę zlecieć albo może znajdzie inną, ale tego, co będzie jutro – nie wiem, a że mnie dziś lichy bierze, to wiem. To się wiąże we mnie i z innymi rzeczami, o których dziś nie chcę mówić. W życiu zewnętrznym trzeba mieć spokojny chleb – prawda? Otóż w życiu wewnętrznym laik samo. I to pilna sprawa, ale widzisz, ja ją odkładam do ożenienia się, bo to rozumiem, że nowe warunki wyrabiają nowy sposób myślenia, i zresztą chcę skończyć z jednym, nim zacznę drugie. A tu się wszystko tak gmatwa! – i nie tylko gmatwa, ale znika! Ledwo się coś zjawi, już niknie. Tak jest i teraz. Żyje się w niepewności. Ot, wolałbym, żeby już byli narzeczonymi, bo w takim razie wszystko by się skończyło samo przez się.

– Ja ci tylko powiem jedno – rzekł Bigiel – jakem był dzieckiem i zdarzyło mi się czasem wbić sobie drzazgę, to mnie daleko mniej bolało, gdym ją sobie sam wyciągnął, niż gdy mi to zrobił ktoś drugi.

– W tym masz słuszość! – rzekł Połaniecki.

Lecz po chwili dodał:

– Tylko widzisz, drzazgę można wyciągnąć, jeśli nie za głęboko wlaźła i jeśli się da uchwycić. Zresztą, co są porównania! Z wyciągniętą drzazgą nic nie tracisz, a mnie się widok na przyszłość psuje.

– To prawda, ale jeśli nie ma innej rady...

– Kto nie jest niedołągą, na to właśnie ciężko mu się zgodzić.

Rozmowa ustała. Dopiero z chwilą, gdy się zaczęli żegnać, Połaniecki rzekł:

– Wiesz co? Wolę nie być u was w niedzielę.

– Może i dobrze zrobisz – odpowiedział Bigiel.

XI

W domu czekała Połanieckiego niespodzianka, zastał bowiem depeszę od pani Chwastowskiej, zawierającą następane słowa: „Wracam jutro rano. Litka dobrze!” Powrót ten był niespodziany, a przynajmniej nadzwyczaj przyśpieszony, że zaś depesza zawierała zapewnienie co do zdrowia Litki, Połaniecki więc zrozumiał, że pani Emilia wraca tylko dlatego, by się zająć jego sprawą. I na tę myśl serce wezbrało mu wdzięcznością. „Ot, to jest pocziwa natura! – mówił sobie – to przyjaciółka!...” I obok wdzięczności wezbrała mu w sercu taka nadzieja, tak jakby pani Emilia posiadała czarodziejski pierścień lub magiczną laskę, za pomocą których mogłaby zmienić w jednej chwili serce panny Maryni. Połaniecki nie widział jasno, jak się to robi, ale wiedział, że przynajmniej ktoś, bardzo życzliwy, będzie za nim przemawiał, będzie go usprawiedliwiał, będzie podnosił jego serce i charakter, a zmniejszał uprzedzenia przeciw niemu, nagromadzone biegiem zdarzeń. Liczył, że pana Emilia będzie w tym bardzo wytrwała i że będzie to dla niej kwestią obowiązku. Człowiek, któremu coś dokucza, rad szuka tych, na których by mógł złożyć za to odpowiedzialność. Tak i Połanieckiemu, zwłaszcza w chwilach wezbrania goryczy, wydawało się, że pani Emilia, jest także odpowiedzialną za jego stosunek do panny Maryni, gdyby bowiem nie była pokazała owego listu, z którego widać było gotowość panny Maryni do pokochania go – to on byliby jeszcze zdołał odczepić od niej i myśl, i serce. Może poniekąd i było tak, gdyż w historii jego uczucia list ten odegrał rzeczywiście ważną rolę. On mu pokazał, jak szczęście było bliskie i prawie już realne, jak dalece ona w myśli oddawała mu już serce i duszę. Najtrudniej jest porzucić szczęście, które nie tylko jest upragnione, ale i zaczęte – i gdyby nie ów list, może istotnie Połaniecki mniej by żałował przeszłości, łatwiej zapomniał i łatwiej się

zgodził z położeniem. Teraz nie pamiętał, że to on sam wymógł na pani Chwastowskiej pokazanie owego listu, uważał tylko, mimo całej przyjaźni i wdzięczności dla niej, że ona powinna go wspomagać ze wszystkich sił. Zresztą rozumiał, że tak się będzie działo samo przez się; spodziewał się często widywać pannę Marynię, i to w warunkach dla siebie najkorzystniejszych, albowiem w domu, w którym go kochano, ceniono i w którym podobne uczucia musiały się udzielać każdemu z gości. Wszystko to wzmogło nadzieję Połanieckiego z nową siłą, ale wzmagając nadzieję dodało nowe ogniwa do tych, które łączyły jego myśli z Marynią. Poprzednio był sobie obiecał, że nie będzie u Bigielów, teraz zmienił postanowienie, przypuszczając, że jeśli tylko zdrowie pozwoli, pani Emilia także weźmie udział w tej wycieczce. A swoją drogą, poza tymi wszystkimi powodami, związanymi z panną Marynią, rad był z całej duszy, że zobaczy te kochane twarze, tak pani Emilii, jak i Litki, która dotychczas była największym jego przywiązaniem w życiu.

Tegoż jeszcze wieczoru napisał parę słów do Pławickiego o przyjeździe, przypuszczając, że mu panna Marynia będzie wdzięczna za tę pośrednią wiadomość; dał znać do mieszkania pani Emilii, by nazajutrz czekali z herbatą, i zamówił wygodny powóz, by odwieźć nim te panie do domu. Nazajutrz o piątej był już na kolei.

W oczekiwaniu na pociąg począł biegać szybkim krokiem wzdłuż peronu, by się nieco rozgrzać, albowiem ranek był chłodny. Dał, budynki kolejowe i wagony, stojące na bliższych liniach, tonęły w mgłę, która, bardzo gęsta przy ziemi, w górze czyniła się różowa i świecąca, zwiastując, że dzień będzie pogodny. Na peronie, prócz urzędników i służby, nie było Jeszcze, z powodu wczesnej godziny, nikogo; zwolna jednak ludzie poczynali napływać. Nagle przed Połanieckim wysunęły się z mgły dwie postacie, z których w jednej poznał z biciem serca Marynię, która z panną służącą pośpieszyła powitać panią Emilię. Nie spodziewając się takiego spotkania, w pierwszej chwili zmieszał się mocno. Ona również zatrzymała się, jakby zdziwiona lub zakłopotana. Po chwili jednak zbliżył się i wyciągnął ku niej rękę.

– Dzień dobry pani! – rzekł – i prawdziwie będzie dla nas obojga dobry, jeśli nasze podróżniczki przyjadą.

– Więc to jeszcze niepewne? – spytała Marynia.

– Jak to? chybaby zaszło coś niespodziewanego. Miałem wczoraj depezę i posłałem wiadomość panu Pławickiemu w tej myśli, że pani ucieszy się z nowiny.

– Dziękuję. Taka miła niespodzianka!...

– Najlepszy dowód, że pani tak rano wstała.

– Jeszczem się nie odzwyczała.

– I oboje przyszedliśmy za wcześnie. Pociąg nadejdzie dopiero za pół godziny. Tymczasem radzę pani nie stać, ale chodzić, bo ranek chłodny, choć dzień zapowiada się śliczny.

– Mgła opada – rzekła Marynia podnosząc ku górze swoje niebieskie oczy, które Połanieckiemu wydawały się w porannym świetle fioletowe.

– Zechce pani przejść się po peronie?

– Dziękuję panu. Wolę zaczekać w sali.

I skinąwszy głową, odeszła. Połaniecki począł znów latać śpiesznymi krokami po peronie. Było mu nieco przykro, że nie chciała z nim zostać, ale tłumaczył sobie, że to może nie wypadło, a jeszcze większą pociechą napełniała go myśl, jak dalece przyjazd pani Emilii będzie sam przez się ich zbliżał i ile sprowadzi spotkań. Dziwna jakaś otucha i dobry humor wzrastały w nim z każdą chwilą. Myślał o fioletowych oczach Maryni, o jej twarzy, zaróżowionej porannym chłodem, i przelatując koło okien sali, w której ona siedziała, mówił sobie prawie wesoło:

– Aha! siedź tam, chowaj się! Znajdę ja cię!

I czuł z większą siłą niż kiedykolwiek, jak bardzo mogłaby mu być drogą, gdyby chciała być choć trochę dobrą.

Tymczasem zadzwoniono i po kilku minutach we mgle, która jeszcze przy ziemi trzymała się gęsto, choć niebo nad nią było już błękitne, ukazały się mętne zarysy pociągu, który w miarę zbliżania się czynił się coraz wyraźniejszy. Lokomotywa, oddychając przerywanymi kłębamii dymu, wtoczyła się coraz wolniejszym ruchem na stację i stanawszy poczęła z szumem i sykiem wyrzucać niepotrzebną już resztę pary pod przednie koła.

Połaniecki skoczył do sleepingu – pierwsza bowiem twarz, jaka mignęła mu w szybie, była twarz Litki, która na jego widok rozjaśniła się, jakby na nią padł nagle promień słońca. Rączki dziewczynki poczęły też poruszać się radośnie, kiwając na Połanieckiego, który w jednej chwili był w wagonie.

– Moje kociątko najmiłsze! – zawołał chwytając dłonie Litki – a wyspane? a zdrowe?

– A zdrowam! I wróciliśmy! I będziemy razem – i dzień dobry, panie Stachu!

Tuż za małą stała pani Emilia, której „pan Stach” ucałował rękę bardzo serdecznie i począł mówić tak prędko, jak się zwykle mówi w chwilach powitania:

– Dzień dobry drogiej pani. Mam powóz. Mogą panie zaraz jechać; mój służący odbierze rzeczy, proszę tylko o kwit. W domu czekają z herbatą. Proszę o kwit. Panna Pławicka jest tu także.

Panna Pławicka czekała istotnie przed wagonem, i obie z panną Emilią poczęły ściskać sobie ręce z twarzami pełnymi uśmiechów. Litka patrzyła przez chwilę na pannę Marynię jakby wahając się, potem jednak i ona rzuciła się jej na szyję ze zwykłą dawniejszą serdecznością.

– Maryniu, pojedziesz z nami na herbatę – mówiła pana Emilia. – Nas czekają, a ty musisz być na czczo. Dobrze? prawda?

– Jesteście pewno zmęczone, jechałyście całą noc.

– I spałyśmy od granicy jak zabite, a zbudziwszy się, miałyśmy czas ubrać się i umyć. W każdym razie musimy wypić herbatę, więc nam nic nie przeszkodzi.

– Zatem dobrze. Z największą radością.

Lecz Litka poczęła ciągnąć za suknię matki.

– Mamusiu, a pan Stach?

– Ale naturalnie, że i pan Stach także. On myślał o wszystkim, dzięki jemu znajdziemy wszystko przygotowane, więc musi z nami jechać.

– Musi! musi! – zawołała Litka zwracając się ku niemu.

A on począł się przekomarzać:

– Otóż nie musi, ale chce.

I po chwili wszyscy czworo siedzieli w powozie. Połaniecki był w wybornym humorze, mając naprzeciw Marynię, a przy sobie małą Litkę. Zdawało mu się, że jasność poranku wchodzi w niego i że zaczynają się dla niego lepsze dni. Czuł, że odtąd będzie należał do małego kółka istot, związanych z sobą życiem towarzyskim i przyjaźnią, w tym zaś kółku będzie i Marynia. Oto już teraz: siedziała naprzeciw niego, bliska jego oczu i bliska przyjaźnią, jaką oboje czuli dla pani Emilii i Litki.

Tymczasem wszyscy czworo rozmawiali wesoło.

– Co się stało, Emilko – pytała Marynia – żeś przyjechała wcześniej?

– Litka tak co dzień prosiła, żeby wracać!

– Nie lubisz zagranicy? – pytał Połaniecki.

– Nie.

– Tęskniłaś za Warszawą?

– Tak.

– A za mną? co? Mów zaraz, bo będzie źle!

Litka spojrzała na matkę, na Marynię, na Połanieckiego i wreszcie odrzekła:

– I za panem Stachem także.

– Masz za to! – rzekł Połaniecki.

I porwawszy jej rączkę, usiłował ją pocałować, a ona broniła się, jak mogła.

Wreszcie pochowała rączki, on zaś zwróciwszy się do Maryni i okazując swoje zdrowe, białe zęby, rzekł:

– Bo widzi pani, my ciągle wojujemy, ale się lubimy.

– Tak zwykle bywa – odrzekła panna Marynia.

A on popatrzył jej w oczy szczerze i prosto:

– Ej, żeby to tak zwykle bywało!

Panna Marynia zarumieniła się z lekka i spoważniała, lecz nie odrzekła nic i poczęła rozmawiać z panią Emilią.

Połaniecki zaś zwrócił się do Litki:

– A gdzie profesor Waskowski? Pojechał do Włoch?

– Nie. Został w Częstochowie i pojutrze wraca.

– Zdrów?

– Zdrów.

Tu dziewczynka popatrzyła na swego przyjaciela i rzekła:

– Ale pan Stach schudł, mammo, prawda?

– Istotnie pan zmizerniał – rzekła pani Emilia.

Połaniecki był nieco zmieniony, bo źle sypiał, a przyczyna jego bezsenności siedziała przed nim. w powozie. Lecz począł się tłumaczyć kłopotami i pracą w biurze. Tymczasem zajechali przed mieszkanie pani Emilii.

Przez chwilę, gdy pani Emilia poszła witać się ze służącymi, a Litka wybiegła za nią, Połaniecki i panna Marynia zostali sami w salce jadalnej.

– Pani tu chyba nie ma bliższej znajomości niż pani Emilia? – spytał Połaniecki.

– Ani bliższej, ani tak kochanej.

– W życiu potrzeba jest dobroci, a ona jest bardzo dobra i życzliwa. Ja, na przykład, który nie mam rodziny, uważam ten dom za rodzinny. Inaczej mi wygląda Warszawa, gdy te panie tu są...

Po czym, mniej już pewnym głosem. dodał:

– Tym razem cieszę się także z ich przyjazdu dla pani i dlatego, że wreszcie będzie między nami coś wspólnego i zgodnego.

Tu począł patrzeć na nią z prośbą w oczach, jakby jej chciał powiedzieć: „Ja tak nie mogę żyć! Podaj mi rękę na zgodę, bądź dobrą i dla mnie, skoro nam się zdarzył dzień tak miły.”

Lecz ona, właśnie dlatego, że nie mogła być dla niego zupełnie obojętną, szła coraz bardziej w kierunku niechęci. Im okazywał większą dobroć serca, im bardziej był sympatyczny, tym jego postępowanie z nią wydawało jej się bardziej niesłychanym i tym bardziej uraza zwiększała się w jej sercu.

Mając naturę delikatną, a przy tym raczej lękliwą, i odczuwając rzeczywiście, że odpowiedź zbyt niechętna popsułaby harmonię dnia, wołała milczeć; lecz on nie potrzebował odprawy w słowach, albowiem w oczach jej wyczytał, co następuje:

– Im mniej będziesz się starał naprawić nasze stosunki, tym one będą lepsze, a będą najlepsze wówczas, gdy będą jak najdalej.

I radość jego zgasła w jednej chwili, zastąpił ją tylko gniew i żal, jeszcze od gniewu silniejszy, bo płynący jednocześnie z tego nie zwalzonego niczym uroku, któremu Połaniecki poddawał się coraz silniej, i z przeświadczenia, że istotnie rozdział między nim a Marynią staje się co dzień głębszy.

I ot, patrząc teraz na jej słodką i dobrą twarz czuł, że staje ona mu się równie drogą, jak niepowrotnie straconą.

Przybycie Litki położyło koniec tej chwili, ciężkiej dla niego nad wyraz. Dziewczynka wbiegła z wielką radością, z czupryną w nieładzie, ze śmiechem na ustach, lecz spostrzegłszy ich, stanęła nagle i poczęła spoglądać to na jedno, to na drugie swymi ciemnymi oczyma – i

wreszcie siadła cicho przy stoliku z herbatą. Wesołość jej znikła także, chociaż Połaniecki, zamknąwszy ból w sercu, starał się być w czasie śniadania rozmowny i wesoły.

Prawie jednak nie zwracał się już do Maryni. Zajmował się wyłącznie panią Emilią i Litką – i dziwna rzecz: Marynia odczuła to jednak jak przykrość. Do szeregu uraz przybyła jedna więcej.

Nazajutrz pani Emilia z Litką były wieczorem na herbacie u Pławickich. Pan Pławicki zaprosił i Połanieckiego, który nie przyszedł. I taka jest natura ludzka, że to znów dotknęło Marynię. Niechęć, tak jak miłość, potrzebuje mieć blisko osobę, przeciw której się zwraca. Marynia mimo woli spoglądała cały wieczór ku drzwiom, gdy zaś nadeszła godzina, w której stało się już pewnym, że Połaniecki nie przyjdzie, poczęła kokietować Maszkę tak, że przejęła zdziwieniem panią Emilię.

XII

Maszko był człowiekiem bardzo sprytnym, ale zarazem pełnym miłości własnej; nie miał zresztą żadnego powodu nie brać wprost za dobrą monetę uprzejmości, jaką okazywała mu Marynia. Niejednakowy jej stopień przypisywał trochę kokieterii, trochę zmiennemu usposobieniu panny, i jakkolwiek to ostatnie przejmowało go pewnym niepokojem, nie było jednak dość silne, by powstrzymać go od stanowczego kroku.

Bigiel odgadywał istotny stan rzeczy twierdząc, że Maszko był zakochany. Tak istotnie było. Przedtem już panna Pławicka podobała mu się w wysokim stopniu; następnie, uczyniwszy rachunek wszystkich z a i wszystkich przeciw, doszedł do przekonania, że kategoria za przeważa. Młody adwokat cenił wprawdzie majątek, ale obdarzony przy tym wielką trzeźwością umysłu i znając doskonale stosunki, w których się obracał, doszedł do przekonania, że panny bardzo majątnej nie znajdzie i nie dostanie. Zupełnie majątne panny znajdowały się albo między arystokracją rodową, i to były dla niego progi zbyt wysokie, albo wśród świata finansów, który ze swej strony szukał znowu związków z rodzinami noszącymi mniej więcej znane nazwiska, Maszko wiedział doskonale, że jego malowani biskupi i pancernicy, z których podrwiwał Bukacki, nie potrafią mu otworzyć ogniotrwałych kas bankierskich. Rozumiał, że gdyby nawet byli mniej fantastyczni, sam jego zawód adwokacki stanowiłby pewną *deminutionem capitis* w oczach grubych ryb finansowych. Z drugiej strony, czuł naprawdę pewien rasowy wstręt do tego rodzaju związków, podczas gdy dobrze wylegitymowane dziewczyny miały dla niego ten niepospolity urok, jaki miewają zwykle dla parweniuszów.

Panna Pławicka nie miała posagu – a przynajmniej bardzo nieznaczny – prawda. Biorąc ją jednakże, uwalniał się tym samym Maszko od wszelkich zobowiązań, jakie zaciągnął względem Pławickich, kupując Krzemień. Po wtóre, połączywszy się z dobrą szlachecką rodziną, postarałby się zagarnąć całą klientelę szlachecką – i to mogłaby już być korzyść bardzo realna; a na koniec, przez rodzinne stosunki Maryni mógłby z, czasem objąć interesa kilku lub kilkunastu rodzin prawdziwie zamożnych – co było od dawna celem jego zabiegów.

Pławicy, jak wszystkie nieco więcej niż średnie rodziny wiejskie, mieli wprawdzie takich krewnych, do których nie bardzo się przyznawali, ale mieli też i takich, którzy do nich nie bardzo się przyznawali, co zresztą działo się nie tyle z powodów dumy, ale samo przez się, na podstawie pewnego doboru towarzyskiego, z mocy którego każdy poszukuje w życiu ludźmi znajdujących się mniej więcej w takich samych warunkach życia. Większe jednak uroczyści rodzinne związują chwilowo takie rozluźnione stosunki, i Maszce nie tylko przyjemnie było myśleć o tym, że na ślubie miałby zupełnie donośnie brzmiące nazwiska, ale widział w tym w przeszłości różne możliwe korzyści. Byłoby bowiem tylko rzeczą zrzeczności

poddać tego rodzaju ludziom myśl, że będzie z ich strony ładnie, a dla nich samych dobrze i bezpiecznie, gdy swoje interesa powierzą człowiekowi znanemu z energii, a zarazem więcej niż jednemu ze swoich, bo powinowatemu. Byłby to niejako posag, jaki mogliby dać niebogatej kuzynce. Maszko, obliczając się z siłami, ufał, że potrafi im się narzucić, a z czasem i opanować ich. Wiedział, że ten i ów przyjdzie z początku o radę taką, jakiej można zaczerpnąć w pogawędce ze znajomym lub z dalekim krewnym, który wypadkowo zna się na rzeczy; później, o ile rady okażą się dobre, będzie przychodził częściej, a w końcu odda mu wszystko w ręce. W ten sposób, pomagając innym, mógł sam wypłynąć na szerokie wody, oczyścić z czasem Krzemień, dojść do znacznego majątku, porzucić wreszcie adwokaturę, której nie lubił i którą uważał tylko za środek dojścia do celu, i ustalić się wreszcie w wysokich sferach towarzyskich, jako człowiek niezależny, a zarazem przedstawiciel większej i opartej na silnej podstawie własności ziemskiej.

To wszystko przewidział, wyrachował i obliczył, zanim postanowił starać się o rękę panny Pławickiej.

Nie przewidział jednak jednej rzeczy: oto, że się zakocha w takim stopniu, jak się zakochał.

Poniekąd gniewało go to, sądził bowiem, iż uczucie zbyt silne jest czymś przeciwnym tej równowadze, jaką człowiek z wysokiego towarzystwa powinien umieć zawsze zachować. Ta równowaga była jednym z jego złudzeń. Gdyby do tego świata nie potrzebował się wdzierać, ale gdyby się był w nim urodził, byłby sobie pozwolił kochać się, na ile serca wystarczy. Mimo całego swego sprytu nie zrozumiał, że jednym z największych przywilejów tego świata, który uważa się za uprzywilejowany, jest swoboda. Z tego powodu nie był zupełnie kontent, gdy serce nadto mu topniało w obecności panny Maryni. Ale z drugiej strony, sam cel, do którego dążył, coraz bardziej utożsamiał się w nim z osobistym szczęściem graniczącym niemal z upojeniem.

Były to dla niego rzeczy nowe, tak nowe, że jasność tych nieznanych widnokręgów oślepiła go. Maszko doszedł do trzydziestu kilku lat życia, nie znając, co jest zachwyty. Teraz rozumiał, ile uroków i szczęścia mieści się w tym słowie, zachwycał się bowiem panną Marynią z całej duszy. Gdy zdarzało się, że pan Pławicki przyjmował go w swoim pokoju, a ona była w sąsiednim, Maszko tak dalece był myślami przy niej, iż z trudnością pojmował, co pan Pławicki mówi. Gdy wchodziła, powstawały mu w sercu zupełnie nie znane przedtem uczucia, tkliwe i miękkie, które czyniły go lepszym, niż był zwykle. Niebieskie jego oczy zmieniały wówczas swój zwykły stalowy i zimny blask na wyraz słodczy i upojenia, wypieki na twarzy, którymi przypominał profesora Waskowskiego, stawały się jeszcze silniejsze, cała postać traciła pozory sztywności, i rozczesywał palcami swoje ciemne baki, nie jak angielski lord, ale jak zwykły zakochany śmiertelnik. Podniósł się w końcu do tego stopnia, że chciał nie tylko swego dobra, ale i jej dobra, nie pojmując go oczywiście inaczej, jak przez siebie i w sobie.

Był tak zakochany, że odtrącony mógł się stać niebezpiecznym, zwłaszcza ze względu na brak wyrobienia moralnego, przy wielkiej rzeczywiście energii i bezwzględności. Do tej pory nie kochał tak nigdy, i pierwsza Marynia rozbudziła w nim wszystko to, co było zdolne do kochania. Nie była ona świetną piękną, ale posiadała w najwyższym stopniu wdzięk kobiecy, i ta jej kobiecość była powodem, że pociągała ku sobie szczególniejszej natury energiczne. W jej delikatnych kształtach było coś z pnącej się rośliny; twarz miała spokojną, oczy przezroczyte i trochę zmysłowe usta – wszystko to razem na pierwszy rzut oka nie czyniło wielkiego wrażenia, ale po chwili każdy najobojetniejszy nawet człowiek spostrzegł, że jest w niej coś szczególnego, co nakazuje pamiętać, że ma się przed sobą kobietę, która mogłaby być kochana.

Zresztą, o ile Maszko czuł się i był rzeczywiście lepszym w tym okresie swego życia niż zwykle, o tyle poziom duchowy Maryni obniżył się od czasu zamieszkania Pławickich w

Warszawie. Sprzedaż Krzemienia odjęła jej pracę i moralną podstawę życia. Zbrakło jej podnioślejszego celu. Przy tym przebieg zdarzeń nagromadził w niej dużo goryczy i niechęci, które zawsze zmieniają się w skazy na sercu. Panna Marynia sama odczuwała to wyraźnie i w kilka dni po owym wieczorze, na który Połaniecki nie przyszedł, pierwsza zaczęła o tym mówić z panią Emilią, gdy szarą godziną zostały sam na sam w saloniku przytykającym do pokoju Litki.

– Ja to widzę – mówiła – że my nie jesteśmy z sobą tak szczerze jak dawniej. Chciałam z tobą mówić otwarcie i nie mogłam się zebrać, bo mi się zdawało, że nie jestem już warta twojej przyjaźni.

A pani Emilia zbliżyła swoją słodką twarz do głowy panny Maryni i poczęła całować jej skroń.

– Oj, ty Maryniu, Maryniu! co też ty mówisz, ty, taka zawsze rozsądna i spokojna?

– Bo ja w Krzemieniu byłam więcej warta niż teraz. Ty nie uwierzysz, jaka ja byłam do tego kąta przywiązana. Miałam wszystkie dni zajęte i w sobie jakąś dziwną nadzieję, że z czasem przyjdzie coś bardzo szczęśliwego. Dziś to wszystko przeszło, i sama siebie nie mogę odnaleźć w tej Warszawie, a co gorzej, i mojej dawnej uczciwości. Widziałam, jakieś się dziwiła, zem kokietowała pana Maszkę. Nie mów mi, żeś tego nie spostrzegła. A myślisz, że ja sama wiem, dlaczego to robiłam? Chyba dlatego, że jestem gorsza, chyba z jakiejś złości na siebie, na niego i na cały świat. Nie kocham go, nie pójdę za niego; więc postępuję nieuczciwie i ze wstydem się do tego przyznaję, ale przychodzą chwile, w których chciałabym komuś wyrządzić umyślną krzywdę. Tyś powinna zerwać ze mną dawną przyjaźń, bo ja naprawdę jestem inną, niż byłam.

Tu po twarzy panny Maryni poczęły się toczyć łzy, skutkiem czego pani Emilia tym bardziej jęła ją pieścić i uspokajać; wreszcie rzekła:

– Pan Maszko stara się o ciebie najwidoczniej, i przyznaję, iż myślałam, że masz zamiar go przyjąć. Powiem ci teraz szczerze, że mnie to zmartwiło, bo to nie jest człowiek dla ciebie, ale wiedząc, jak kochałaś Krzemień, przypuszczałam, że chcesz do niego w taki sposób wrócić...

– Z początku, prawda! miałam takie myśli... Chciałam w siebie wmówić, że mi się pan Maszko podoba; nie chciałam go odpychać... Chodziło mi także o co innego, ale chodziło i o Krzemień. Jednak nie mogłam się przekonać. Za taką cenę nie chcę nawet Krzemienia, ale w tym właśnie leży zło. Bo w takim razie, czemu ja wprowadzam w błąd pana Maszkę, czemu go łudzę? Przez prostą nieuczciwość...

– Niedobrze, że go łudzisz, ale zdaje mi się, że rozumiem, skąd to wypływa. Z niechęci i urazy dla kogoś innego – czy nie tak? Pociesz się jednak tym, że zło nie jest jeszcze niepowetowane, bo przecie postępowanie swoje z panem Maszką możesz zmienić zaraz od jutra... I trzeba, Maryniu, zmienić, póki czas, póki nic nie było przyrzeczone.

– Ja wiem, Emilko, ja to rozumiem; tylko widzisz, kiedy jestem przy tobie i czuję jak dawniej, jak prawa i uczciwa dziewczyna, to rozumiem, że nie tylko słowo, ale i postępowanie obowiązuje. I on może mi to powiedzieć...

– To mu odpowiesz, że chciałaś się do niego przekonać i nie mogłaś. W każdym razie jest to jedyna droga...

Nastała chwila milczenia, ale i Marynia, i pani Emilia czuły, że nie rozpoczęły jeszcze rozmawiać o tym, o co, jeśli nie obu, to przynajmniej pani Emilii najmocniej chodziło. Jakoż, wzięwszy ręce Maryni, rzekła:

– Teraz przyznaj się, Maryniu, że kokietowałaś Maszkę także i z urazy dla pana Stanisława?

Ta zaś odrzekła głucho:

– Tak jest.

– A czy to nie znaczy, że owo wrażenie pierwszego jego przyjazdu do Krzemienia i pierwszych waszych rozmów jeszcze się nie zatarło?

– Lepiej by było, żeby się zatarło.

Pani Emilia poczęła gładzić jej ciemne włosy.

– Ty nie uwierzysz, jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek. Dla nas ma on trochę przyjaźni;

zawsze lubił Litkę, za co mu jestem z całej duszy wdzięczna. Ale ty wiesz, jakie to bywa nie gorące i nawet

nie ciepłe, ale letnie uczucie ta przyjaźń. On jednak i pod tym względem stanowi wyjątek. Czy uwierzysz, że kiedy Litka zachorowała w Reichenhallu, on sprowadził z Monachium sławnego lekarza, a nam, nie chcąc mnie przestraszać, powiedział, że doktor przyjechał do innego chorego, że więc trzeba tylko korzystać z okazji. Pomyśl, co to za troskliwość i dobroć. To jest, człowiek bardzo pewny, na którym można się oprzeć, i energiczny, i prawy. Bywają ludzie inteligentni, ale bez energii; inni mają energię, ale bez delikatności serca. On łączy jedno i drugie. Zapomniałam ci powiedzieć, że gdy majątek Litki był zachwiany i gdy brat mojego męża wziął się do ratowania go, największą pomoc znalazł w panu Połanieckim. Gdyby Litka była dorosłą, nikomu w świecie nie oddałabym jej z taką ufnością jak jemu. I nie potrafię ci nawet wyliczyć, ile myśmy doznały od niego dobrego.

– Jeśli tyle, ile ja złego, to bardzo dużo.

– Maryniu, on tego nie chciał. Żebyś wiedziała, jak on cierpi nad swoją nierozwagą i jak szczerze przyznaje się do winy względem ciebie!

– Sam mi to powiedział – odrzekła Marynia. – Ja, moja Emilko, dużo myślałam nad tym; prawdę powiedziawszy nie myślałam o niczym innym i nie sędzę, żeby on względem mnie zawinił. W Krzemieniu był dobry dla mnie, tak dobry, że mi się zdawało... Tobie jednej to powiem, bom ci to już zresztą pisała, że wieczorem tej niedzieli, którą on spędził u nas, poszłam spać z głową i sercem tak nim przepelnionym, że aż mi wstyd dziś o tym mówić... I czułam, że jeden dzień dłużej, jedno przyjazne słowo więcej z jego strony, a pokocham go na całe życie... Zdawało mi się, że i on... Na drugi dzień wyjechał zagniewany... Była wina ojca, była i moja, więc potrafiłam to zrozumieć, i pamiętasz, jaki list napisałam do ciebie do Reichenhallu? Widzisz, zupełnie taką samą ufność, jaką ty w nim masz, miałam i ja... Pojechał. Sama me wiem, dlaczego myślałam, że wróci lub napisze. Nie wrócił i nie napisał. Coś mi mówiło, że on mi Krzemienia me odbierze – odebrał... I potem... Ja wiem, że pan Maszko mówił z nim otwarcie, a on go zachęcał i zaręczył mu, że sam o niczym nie myśli... Oj, moja Emilko!... Jeśli chcesz, to on nie zawinił, ale ile złego mi wyrządził! Przez niego straciłam nie tylko kochany kąt, w którym pracowałam, ale i coś więcej: bo wiarę w życie, w ludzi... w to, żeby rzeczy lepsze i szlachetniejsze były w świecie górą nad złymi i płaskimi... I sama stałam się gorsza. Ja ci szczerze mówię, że nie mogę się odnaleźć. Miał prawo tak postąpić, jak postąpił – dobrze. Sama to mówię i winy nie uznaję. Tylko, widzisz, połamał we mnie jakąś sprężynę życiową. I na to nie ma rady, to się nie da naprawić. Bo jak? Co mi z tego, że w nim zaszła potem zmiana, że żałuje tego, co uczynił, i że gotów byłby się nawet ze mną ożenić? Co mi z tego, skoro ja, która go już prawie kochałam, teraz nie tylko nie Kocham, ale muszę bronić się od wstępu. To gorzej, niż gdyby mi był obojętny... Ja wiem, o co tobie idzie, ale przecie życie można budować tylko na miłości, nie na niechęci. Jak ja mu mogę podać rękę z tą urazą w duszy i z tym żalem, że przez niego – winien czy nie winien – tyle się popsuło? Myślisz, że ja nie widzę jego zalet, ale cóż na to poradzę, kiedy im więcej ich widzę, tym bardziej właśnie mnie od niego odtrąca, i gdybym musiała wybierać, wybrałabym pana Maszkę, choć on mniej wart. Na wszystko, co mi możesz powiedzieć o nim dobrego, zgadzam się, ale na wszystko odpowiadam ci: nie Kocham go i nigdy nie pokocham...

Teraz oczy pani Emilii zaszyły łzami.

– Biedny pan Stach! – rzekła jakby sama do siebie.

A po chwili milczenia spytała:

– I nic ci go nie żal?

– Żal mi go, gdy myślę o takim, jakim był w Krzemieniu, żal mi go także, gdy go nie widzę, ale z chwilą gdy go zobaczę, mam dla niego tylko... niechęć.

– Bo nie wiesz, jaki on już był w Reichenhallu nieszczęśliwy, a teraz jeszcze jest nieszczęśliwszy. On nie ma nikogo na świecie...

– Ma twoją przyjaźń i ma to, że kocha Litkę...

– Moja Maryniu, to jest co innego! Ja z całej duszy mu jestem wdzięczna za to przywiązanie do Litki, ale to zupełnie co innego, i sama to rozumiesz, że on cię kocha inaczej i sto razy mocniej niż Litkę...

W pokoju było już zupełnie ciemno, ale po chwili służący wniósł lampę i postawiwszy ją na stole, wyszedł. Przy jej blasku pani Emilia spostrzegła nagle jakiś białawy kształt skulony na kozetce przy drzwiach prowadzących do dzieciennego pokoju.

– Kto tam jest? czy to Litka?

– Ja, mamusiu.

W głosie jej było coś niezwykłego. Pani Emilia wstała i podeszła śpiesznie ku niej.

– Kiedy tu weszłaś? Co tobie jest?

– Tak mi jakoś smutno i niedobrze.

Pani Emilia siadła na kozetce i przygarbivszy do siebie dziewczynkę spostrzegła w jej oczach łzy.

– Lituś, ty płaczesz? Co tobie jest?

– Tak smutno, tak smutno!

I, przytuliwszy głowę do ramienia matki, poczęła płakać. Było jej istotnie smutno, dowiedziała się bowiem, że „pan Stach” jeszcze jest nieszczęśliwszy niż w Reichenhallu i że Marynię sto razy więcej kocha niż ją.

Tegoż wieczoru, idąc spać, wspięła się, już tylko w koszulce, do ucha matki i poczęła szeptać:

– Bo, mamusiu, ja mam jeden bardzo wielki grzech na sumieniu...

– Moje biedactwo, cóż ci tam dokucza? A ona szepnęła jeszcze ciszej:

– Bo ja nie Kocham panny Maryni...

XIII

Pani Emilia z Litką i Marynią, a z nimi pan Pławicki, jechali na obiad do Bigielów, do letniego ich domu położonego w lesie, o półtrzeciej godziny drogi od miasta. Dzień był wrześnieowy, pogodny, pełen błyszczących pajęczyn w powietrzu i na rzyskach. Na drzewach trzymała się jeszcze zieleń dość świeża, gdzieniegdzie jednak, wśród liściastych zagajeń, widać było jakby fontanny lub bukiety żółte i czerwone. Pannie Maryni owa błada i złotawa jesień przypomniła zajęcia wiejskie, zapach zbóż w sąsiekach, pola w brogach i przejrzyste przestrzenie łąk, zakończone aż hen gdzieś na widnokręgu wstążkami olszyn. Zrobiło jej się tęskno po tym życiu i po tym spokoju, wobec których miasto, mimo pracy, która kipi w jego codziennym byciu, ale której panna Marynia nie umiała odczuć, wydało jej się czczym i próżniaczym. Czuła teraz, że to życie, w którym odnajdowała swoją wartość i swoją zasługę, jest dla niej bezpowrotnie stracone – a natomiast nie zarysowało się przed nią nic, co by jej zdołało je zastąpić i wynagrodzić. Mogła wprawdzie wrócić poniekąd do niego zostawszy panią Maszkową, ale na samą tę myśl serce zalało się jej goryczą, i Maszko, wraz ze swą warszawską pewnością siebie, wraz ze swymi wypiekami i faworytami, wraz ze swym małpowaniem angielskiego lorda, wydał się jej wprost wstrętny. Nigdy też nie czuła większej niechęci do Połanieckiego, który jej odjął Krzemień, a podsunął na to miejsce Maszkę. Tym brzydziła się w tej chwili, tamtego, zdawało jej się, że nienawidzi. Widziała przed sobą życie

z ojcem na warszawskim bruku, bez celu, bez pracy, bez ideału – z żalem za przeszłością i do przeszłości, a z pustką w przyszłości. Z tej przyczyny ów pogodny jesienny dzień, zamiast ją uspokoić, przejął jej duszę smutkiem i goryczą. Droga w ogóle nie odbywała się wesoło. Litka siedziała nachmurzona, ponieważ „pana Stacha” nie było w powozie. Pani Emilia zaś całą uwagę zwracała na nią w obawie, czy jej posępny numerek nie stoi w związku ze zdrowiem. Tylko pan Pławicki był w prawdziwie dobrym humorze, zwłaszcza w początku drogi. Naprzód, w swoim zapiętym surducie z czerwonym gwoździem w dziurce, w jasnym paltocie i z nastawionymi jak igły wąsikami, czuł się pięknym, a że reumatyzmy, które czasem odczuwał, nie dokuczały mu z powodu pogody, więc i rześkim; po wtóre, naprzeciw niego siedziała jedna z najprzystojniejszych kobiet w Warszawie, o której przypuszczał, że nie pozostanie obojętna na tyle powabów, o tyle przynajmniej, że potrafi je zauważyć i ocenić. Niechby przynajmniej powiedziała sobie: „Ach, jaki to uroczy musiał być mężczyzna!” – byłby się pan Pławicki w najgorszym razie zadowolili choćby takim, obowiązującym wstecz uznaniem. W tej nadziei był istotnie czarujący, bo na przemian to wzniosły i ojcowski, to figlarny; wychodząc zaś ze stanowiska, że dzisiejsza młodzież nie umie być grzeczna dla kobiet, w grzecznościach, jakie prawili pani Emilii, zawadzał aż o mitologię, co było nawet pod pewnym względem usprawiedliwione, patrzył bowiem na nią jak satyr.

Lecz wszystko to było przyjmowanie z bladym uśmiechem i ze zbyt małą uwagą, więc w końcu zraził się i począł mówić o czym innym, mianowicie, że dzięki stosunkom córki pozna „burżuazję”, z czego zresztą jest poniekąd rad, bo dotychczas widywał tego rodzaju towarzystwo tylko na scenie, a przecie w życiu trzeba się stykać z najrozmaitszego rodzaju ludźmi, albowiem od wszystkich można się czegoś nauczyć. Dodał wreszcie, że jest obowiązkiem pewnych sfer nie odpychać od siebie ludzi, lecz przeciwnie, przygarniać ich, by tym sposobem wdrazać w nich zdrowe zasady, więc i on, który starał się zawsze spełniać obowiązki społeczne, nie cofnie się przed tą misją. Tu szlachetny wyraz jego twarzy przybrał pewien rodzaj melancholii i w ten sposób zajechali przed willę Bigielów.

Stała ona w szczerym lesie sosnowym, w sąsiedztwie innych, wśród starych sosen, które miejscami wycięto, miejscami pozostawiono w grupach po kilka lub kilkanaście. Zdawały się one nieco dziwić, co robi między nimi, wśród dawnej leśnej zaciszy, dom talk świeży, ale osłaniały go jednak gościnnie przed wiatrem, w dni zaś pogodne otaczały go balsamicznym powietrzem przesiąkniętym wonią igliwia i żywicy.

Bigielowie wraz z czeredą dzieci wyszli na spotkanie gości. Pani Bigielowa, która Marynię bardzo lubiła, witała ją z wielką serdecznością, pragnąc prócz tego ująć ją tym dla Połanieckiego, rozumowała bowiem sobie w ten sposób, że im lepiej panna Marynia pozna, jak mogłoby być jej między nimi dobrze, tym mniej będzie robiła trudności. Pan Pławicki, który za poprzednią bytnością z Marynią w Warszawie, poznawszy Bigielów u pani Emilii, poprzestał być tylko na złożeniu im kart wizytowych, okazał siłę teraz tak łaskawym księciem, jakim tylko mógł okazać się człowiek najbardziej wykwintny, a przy tym spełniający misję przygarniania „burżuazji”. Panią Bigielowa pocałował w rękę, Bigielowi zaś rzekł ze wspańiałomyślną dobrocią:

– W dzisiejszych czasach każdemu jest przyjemnie znaleźć się pod dachem człowieka jak pan, a mnie tym bardziej, sikoro mój kuzyn, Połaniecki, wszedł na drogę handlową i jest pańskim współnikiem.

– Połaniecki to tęgi człowiek – odpowiedział z prostotą Bigiel ściskając urękawiczoną dłoń pana Pławickiego.

Panie weszły na chwilę do pokojów zdjąć kapelusze, po czym, ponieważ ciepło było zupełnie, wróciły na werendę.

– A pana Połanieckiego nie ma jeszcze? – spytała pani Emilia.

– Pan Stanisław jest tu od rana – odpowiedziała Bigielowa – ale teraz poszedł odwiedzić panią Krasławską. To tuż obok – dodała zwracając się do Maryni – nie ma nawet pół wiorsty... Tu wszędzie pełno letnich mieszkań, a te panie to nasze najbliższe sąsiedztwo.

– Pamiętam pannę Terkę Krasławską z karnawału – odrzekła Marynia. – Była zawsze bardzo blada.

– O, ona dotychczas bardzo anemiczna. Przeszłą zimę spędzała w Pau.

Tymczasem małe Bigieleta, które kochały na zabój Litkę, wyciągnęły ją przed dom na zabawę. Dziewczynki pokazywały jej swoje ogródki, pozakładane na piasku między sosnami, na których po prawdzie nic nie chciało rosnąć. Oględziny te były przerywane co chwila ze strony dziewczynek wspinaniem się na palce i całowaniem policzków Litki, która pochylając swą płową, śliczną główkę oddawała je z wielką tkliwością.

Ale chłopcy chcieli mieć także swój udział. Naprzód spustoszyli do szczętu georginie rosnące pod domem wybierając dla Litki najpiękniejsze okazy, po czym pokłócili się o to, w co się Litka lubi bawić, i poszli na sprawę do pani Emilii. Edzio, który miał zwyczaj mówić bardzo głośno, a przy tym zamykać oczy, począł krzyczeć:

– Proszę pani, ja mówię, że ona najlepiej lubi serso, tylko nie wiemy, czy pani pozwoli na serso.

– Byle nie biegała, bo to jej szkodzi.

– Nie, proszę pani. Będziemy tak rzucali, żeby wszystkie kółka prosto szły do niej, to wtedy nic nie będzie biegała. A jeśli Józio nie umie, to niech rzuca do kogo innego.

– Ja chcę do niej! – odpowiedział żałośnie Józio.

I na samą myśl, że go pragną pozbawić tej przyjemności, usta jego przybrały kształt podkówki i poczęły drgać, jednakże Litka zapobiegła wybuchowi żalu, mówiąc:

– I ja będę do ciebie rzucała, Józiu, będę bardzo często do ciebie rzucała.

A wilgotne już oczy Józia poczęły się zaraz, uśmiechać.

– Nie zrobią jej oni krzywdy – mówił Bigiel do pani Emilii. – Dziwna rzecz: chłopaczyska urwisy, co się zowie, a z nią ogromnie uważni! Ale to Połaniecki wychował ich w takim kulcie do niej.

– Takie kochane dzieci jak mało na świecie! – odrzekła pani Emilia,

Dzieci zaś zbiły się przez chwilę w kupkę dla rozebrania między siebie kółek i pałeczek. W środku tej kupki stała najstarsza wiekiem i najwyższa Litka, a jakkolwiek Bigieleta należały do dzieci raczej przystojnych, ona ze swą słodką i poetyczną twarzą, o rysach prawie nadto delikatnych, wyglądała wśród tych czerstwych puciołowatych twarzątek jak istota z innej planety. Pierwsza pani Bigielowa zwróciła na to uwagę.

– Patrzcie – rzekła – czy to nie istna królowna? Szczerze mówię, że jej się napatrzeć nigdy nie mogę.

– Takie to jakieś szlachetne – dodał Bigiel.

A pani Emilia patrzyła na swoją jedynaczkę wzrokiem, w którym było morze miłości. Dzieci rozbiegły się teraz i ustawiły w wielkie koło tworząc na szarym tle igliwia różnobarwne plamki, przy czym pod ogromnymi sosnami wydawały się tak małe jak kolorowe grzybki.

Panna Marynia zeszła z werendy i stanęła przy Litce, żeby jej pomagać w łapaniu kółek, pod które trzeba było podbiegać, i by w ten sposób ochraniać ją od zmęczenia.

W tej chwili na szerokiej drodze leśnej, prowadzącej do willi, ukazał się Połaniecki. Dzieci nie dostrzegły go od razu, lecz on ogarnął wzrokiem werendę, podwórze i ujrawszy jasną suknię Maryni pod sosną, przyspieszył kroku. Litka, która wiedziała, że mama niepokoi się każdym jej żywszym ruchem, a nie chcąc niepokoić mamy za nic w świecie, stała z kolankami przy sobie, prawie nie poruszając się z miejsca i chwytając na pałeczkę tylko te kółka, które spadały wprost na nią, panna Marynia zaś biegała za wszystkimi dalszymi. Z powodu tej bieżaniny włosy jej rozluźniały się co chwila, tak że musiała je poprawiać, i w

chwili gdy Połaniecki wchodził w bramę, stała przechylona nieco w tył, z podniesionymi ku głowie ramionami.

On nie spuszczał z niej oczu i ją jędrną tylko widział: wydała mu się na tym obszernym dziedzińcu młodsza i mniejsza niż zwykle, a przy tym tak dziewicza, tak niesłychanie ponętna, tak stworzona do tego, by ją otoczyć ramionami i przycisnąć do piersi, jako kobietę i jako najdroższe w świecie stworzenie, że nigdy dotąd nie odczuł z równą siłą, jak dalece już ją kocha.

Dzieci na jego widok poporzuciły kółka, pałeczki i z krzykiem ruszyły na spotkanie. Zabawa przerwała się. Litka w pierwszej chwili skoczyła również ku niemu, ale nagle wstrzymała się i poczęła spoglądać swymi wielkimi oczyma to na Połanieckiego, to na Marynię.

– A ty nie lecisz powitać pana Połanieckiego? – spytała panna Marynia.

– Nie...

– Czemu, Lituś?

– Bo...

I policzki jej poczerwieniały nieco, choć biedne dziecko nie umiało, czy nie śmiało wypowiedzieć swej myśli, którą mogłoby wyrazić w słowach:

„Bo on już nie mnie najwięcej kocha, tylko ciebie i na ciebie tylko patrzy.”

On zaś zbliżał się opędzając się od dzieci i powtarzając im:

– Nie czepiajcie się, smyki, bo przewracam!

I wyciągnął rękę ku Maryni, patrząc jej w oczy z prośbą o przyjazny uśmiech, o powitanie choćby odrobinę mniej obojętne niż zwykle – po czym dopiero zwrócił się do Litki:

– A kociątko najmiłsze zdrowe?

Ona zaś, zapomniawszy na jego widok i pod wpływem jego głosu o całym strapieniu swego małego serduszka, podała mu obie rączki, mówiąc:

– A tak! a zdrowe, a wczoraj pan Stach nie przyszedł do nas, i było smutno, a teraz zaprowadzę palna Stacha do mamy na sprawę.

I po chwili wszyscy znaleźli się na werendzie.

– Jak się mają panie Krasławskie? – spytała pani Emilia.

– Zdrowe i wybierają się tu po obiedzie – odpowiedział Połaniecki.

Przed samym obiadem przyjechał profesor Waskowski i przywiózł z sobą Bukackiego, który w wigilię tego dnia przyjechał był do Warszawy. Jego zażyłe stosunki z Bigielami pozwalały mu przybyć do nich bez zaproszenia, a obecność u nich pani Emilii była dla niego zbyt silną pokusą, aby się miał jej oprzeć. Zresztą witał się z nią bez śladu sentymentu, w sposób żartobliwy jak zwykle, ona zaś rada go widziała, bo ją bawół oryginalnym i dziwacznym sposobem wyrażania myśli.

– Miał pan jechać do Monachium i do Włoch? – spytała go, gdy siedli do obiadu.

– Tak, pani – odpowiedział – ale zapomniałem w Warszawie nożyka do rozcinania kartek w drodze i wróciłem po niego.

– O! to ważny powód.

– Zawsze mnie to niecierpliwiło, że ludzie wszystko robią z ważnych powodów. Co za przywilej mają ważne powody, by każdy musiał się do nich stosować? Zresztą, oddałem niechcący ostatnią przysługę przyjacielowi, albowiem wczoraj byłem zaraz na pogrzebie Lisowicza.

– To ten, taki mały, chudy sportsman? – spytał Bigiel.

– Ten – odparł Bukacki – i wyobraźcie sobie, że dotychczas nie mogę wyjść ze zdumienia, jak człowiek, który całe życie błaznował, mógł się zdobyć na rzecz tak poważną jak śmierć. Po prostu, nie poznaję mego Lisowicza! Na każdym kroku ma człowiek zawody.

– Ale – rzekł Połaniecki – opowiadały mi panie Krasławskie, że Płoszowski, ten, w którym to wszystkie kobiety w Warszawie się kochały, zastrzelił się w Rzymie.

– To mój krewny – rzekł pan Pławicki.

Wiadomość poruszyła jednak głównie panią Emilię. Samego Płoszowskiego prawie nie знаła, lecz kilka razy w życiu widziała jego ciotkę, u której starszy brat jej męża, po stracie osobistego znacznego majątku, był plenipotentem. Wiedziała też o ślepym przywiązaniu tej ciotki do siostrzeńca.

– Mój Boże, co za nieszczęście! – rzekła. – Czy to tylko prawda? Człowiek młody, taki zdolny, taki bogaty... Biedna panna Płoszowska.

– I jaki wielki majątek zostaje bez spadkobiercy! – dodał Bigiel. – Ja te stosunki znani, bo to tak blisko Warszawy. Stara panna Płoszowska miała dwoje krewnych: panią Kromicką – choć ta była dalsza – i Leona Płoszowskiego, który był najbliższy. Dziś oboje nie żyją.

Te słowa poruszyły znów pana Pławickiego. Był on istotnie jakimś dalekim krewnym panny Płoszowskiej i nawet niegdyś widział ją dwa czy trzy razy w życiu, ale zostało mu po niej tylko wspomnienie strachu, za każdym bowiem razem wypowiadała mu gorzkie prawdy bez ogródek, a raczej, mówiąc po prostu, za każdym razem wyłajała go, ile się zmieściło. Z tego powodu w dalszym ciągu życia unikał jej najstaranniej i wszelkie stosunki były między nimi zerwane, choć przy sposobności lubił dla świata wtrącić słówko o swym pokrewieństwie z rodziną tak znaną i możną. Należał on do tej, licznej w naszym kraju, kategorii ludzi, która jest przekonana, że Pan Bóg łatwą drogę dojścia do majątku za pomocą spadku umyślnie dla niej stworzył, i która każdą nadzieję tego rodzaju uważa za pewność. Toteż powiódł uroczystym wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

– Może też Opatrzność postanowiła, żeby te majątki przeszły na inne głowy, które potrafią lepiej ich użyć.

A Połaniecki rzekł:

– Ja Płoszowskiego spotkałem też raz za granicą i uczynił na mnie wrażenie zupełnie niepospolitego człowieka. Przypominam go sobie doskonale.

– Taki był podobno świetny i sympatyczny – dodała pani Bigielowa.

– Niech Bóg okaże mu miłosierdzie! – rzekł profesor Waskowski. – Znałem go i ja: to był prawdziwy Aria!

– Ozoria – rzekł pan Pławicki.

– Aria – powtórzył profesor.

– Ozoria... – poprawił z naciskiem i godnością pan Pławicki.

I dwaj starzy ludzie poczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem, nie wiedząc, czego wzajem od siebie chcą, i ku wielkiej ucieście Bukackiego, który nałożywszy monokl rzekł:

– Jakże: Aria czy Ozoria?

Nieporozumieniu położył koniec Połaniecki wyjaśniając, że Ozoria jest to nazwa herbu rodziny Płoszowskich, że więc można być razem Arią i Ozoria, na co zresztą pan Pławicki zgodził się niechętnie, czyniąc przy tym nawiasową uwagę, że kto nosi porządne nazwisko, ten nie potrzebuje się go wstydzic ani przekreślać.

Bukacki zaś, zwróciwszy się do pani Emilii, począł mówić swym zwykłym zimnym tonem:

– Jedno jedyne samobójstwo uważam za usprawiedliwione, a mianowicie samobójstwo z miłości, skutkiem czego namawiam się na nie od kilku lat – zawsze na próżno!

– Mówią, że samobójstwo to tchórzostwo – wtrąciła Marynia.

– Toteż ja nie odbieram sobie życia ze zbytku odwagi.

Lecz Bigiel rzekł:

– Mówmy o życiu, nie o śmierci, i o tym, co w nim najlepsze, to jest o zdrowiu. Za zdrowie pani Emilii!

– I Litki! – dodał Połaniecki.

Po czym zwrócił się do panny Maryni:

– Za zdrowie naszych wspólnych przyjaciółek!

– Najchętniej – odrzekła panna Marynia. On zaś zniżył nieco głos i mówił dalej:

– Bo widzi pani, ja uważam je nie tylko za swoje przyjaciółki, ale także... jakby tu powiedzieć?... za orędowniczki. Litka to jeszcze dziecko, ale pani Emilia wie przecie, komu ofiarować przyjaźń, więc gdyby ktoś miał do mnie jakieś uprzedzenia, choćby słuszne, gdybym z kimś postąpił nie tak, jak powinienem, ale wprost źle – i gdyby widział, że ja się tym męczę, to przecie powinien pomyśleć, że jednak nie jestem najgorszym z ludzi, skoro taka pani Emilia ma dla mnie szczerą życzliwość.

Panna Marynia zmieszała się, ale jednocześnie uczyniło się jej go żal, on zaś kończył jeszcze ciszej:

– A ja się naprawdę męczę. Mnie o to bardzo, bardzo chodzi!

Zanim odpowiedziała, pan Pławicki wzniosł zdrowie pani Bigielowej i wypowiedział całą mowę, której treścią było, że królową stworzenia jest właściwie nie kto. inny, tylko kobieta, zatem przed kobietą, jako królową, powinny się wszelkie głowy pochyłać, i z tej przyczyny on pierwszy skłaniał swoją całe życie przed wszystkimi kobietami w ogóle, a obecnie skłania ją przed panią Bigielową w szczególności.

Połaniecki życzył mu w duszy, żeby się udławił, czuł bowiem, że mógłby być uzyskać jakie dobre słowo od panny Maryni, i czuł, że chwila minęła. Jakoż panna Marynia poszła uściskać panią Bigielową, a wróciwszy nie podniosła więcej zaczętej rozmowy, on zaś nie śmiał spytać jej wprost o odpowiedź.

Zaraz po skończonym obiedzie nadjechały panie Krasławskie: matka, kobieta lat pięćdziesięciu, żywa, pewna siebie, wielomówna – i panna, w zupełnym przeciwstawieniu do matki, sztywna, sucha, zimna, wymawiająca: tek zamiast tak, ale zresztą z twarzą przystojną choć bladą, przypominającą nieco twarze holbeinowskich madonn.

Połaniecki począł ją ze złości bawić, ale spoglądając od czasu do czasu na świeżą twarz i niebieskie oczy Maryni mówił sobie w duchu: „Żebyś choć słowo dobre dała! ty... ty, bezlitosna!...”

I złościł się coraz bardziej, a gdy panna Krasławska wymówiła raz: m e m e zamiast m a m a, spytał jej szorstko:

– Kto taki?

M e m e zaś wyładowywała cały zapas swych wiadomości, a raczej domysłów o samobójstwie Płoszowskiego.

– Wyobraźcie sobie państwo – mówiła z zapalem – mnie zaraz przyszło do głowy, że on się zastrzelił z powodu śmierci Kromickiej. Panie, świeć nad jej duszą, to była kokietka – i nie lubiłam jej nigdy. Kokietowała go tak, zem bała się Terki prowadzić tam, gdzie oni razem byli, bo to dla takiej młodej dziewczyny po prostu zły przykład. Co prawda, to prawda!... Panie, świeć nad jej duszą... Terka także nie miała dla niej sympatii.

– Ach, pani – rzekła pani Emilia – ja zawsze słyszałam, że to był anioł.

A Bukacki, który nigdy w życiu nie widział pani Kromickiej, zwrócił się do pani Krasławskiej i rzekł z flegmą:

– *Madame, je vous donne ma parole d'honneur*, że to był archanioł.

Pani Krasławska umilkła na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, następnie zaperzywszy się byłaby odpowiedziała coś ostrego, gdyby nie to, że Bukacki, jako człowiek zamożny, mógł w danym razie być dobrą partią dla panny Terki. Równymi względami cieszył się w jej oczach i Połaniecki – i dla nich to wyłącznie utrzymywała w lato stosunki z Bigielami, których zresztą, gdy jej tak wypadło, nie poznawała na ulicy.

– U panów – rzekła – każda przystojna kobieta to zaraz anioł albo archanioł. Ja nawet i wówczas tego nie lubię, kiedy mi o Terce to mówią. A pani Kromicka mogła być dobrą osobą, ale nie miała taktu – i cała rzecz!

W ten sposób rozmowa o Płoszowskim upadła, tym bardziej że uwaga pani Krasławskiej zwróciła się wyłącznie na Połanieckiego, który bawił pannę Terkę. On bawił ją trochę na

złość sobie, trochę na złość pannie Maryni, i starał się sam w siebie wmówić, że mu jest przy niej dobrze; starał się nawet znaleźć w niej wdzięk i odkrył, że ma za cienką szyję i oczki jakby zgasłe, które ożywiają się i zwracają pytająco do niego wówczas, gdy na pytanie nie ma miejsca. Zauważył także, że mogła być cichą despotką, gdy bowiem matka poczyniała mówić zbyt głośno, param Terka przykładła lornetkę do oczu i spoglądała na nią uważnie, matka zaś pod wpływem tego wzroku zniżała głos lub milkła zupełnie. W ogóle panna Terka nudziła go niepomernie, i jeśli zajmował się nią pilniej niż kiedykolwiek, to czynił to tylko jako desperat, dla obudzenia choćby cienia zazdrości w pannie Maryni. Nawet zupełnie rozumni ludzie chwytają się takich marnych środków, gdy ich uczuciowa bieda zbyt przycisnie. Wywołują one zresztą zwykle wprost odwrotny skutek, bo z jednej strony utrudniają później zbliżenie i rozwikłanie nieporozumień, z drugiej potęgują tylko uczucie w sercu tego, kto ich używa. Połaniecki w końcu tak był stęskniony za Marynią, że zgodziliby się nawet na usłyszenie niechętnego słowa z jej ust, byle się do niej zbliżyć i przemówić, a tymczasem wydało mu się to trudniejsze teraz niż przed godziną.

Odetchnął też głęboko, gdy wieczór się skończył i gdy goście poczuli się zabierać do odjazdu. Przedtem jednak Litka zbliżyła się do matki i objąwszy rękoma jej szyję poczęła coś do niej szeptać. Pani Emilia skinęła głową, po czym zbliżywszy się ku niemu rzekła:

– Panie Stanisławie, jeśli pan nie ma zamiaru nocować, to niech pan jedzie z nami. My z Marynią weźmiemy Litkę między siebie i miejsca będzie dosyć.

– Dobrze; nie mogę nocować i bardzo jestem wdzięczny – odpowiedział Połaniecki.

I domyśliwszy się łatwo, kto był autorem projektu, zwrócił się do Litki i rzekł:

– Ty kociątko moje najlepsze, ty!...

Ona zaś, trzymając się przy sukni matki, podniosła ku niemu swe oczy, na wpół smutne, na wpół uradowane, pytając cicho:

– Dobrze, panie Stachu?

W kilka chwil później ruszono. Po dniu pogodnym nastąpiła jeszcze pogodniejsza noc, trochę chłodna, ale cała rozjaśniona i srebrna ad księżycy. Połaniecki, któremu dzień zeszedł mamie i ciężko, odetchnął teraz pełną piersią i czuł się prawie szczęśliwy, mając przed sobą dwie istoty, które kochał bardzo głęboko, a jedną, którą kochał nad wszystko w świecie. Przy blasku księżycy widział teraz jej twarz i wydała mu się ona spokojna i łagodna. Pomyślał, że i uczucia Maryni muszą być w tej chwili takie same i że może niechęć jej dla niego taje wśród tego ogólnego spokoju.

Litka zasunęła się w głąb siedzenia i zdawała się spać. Połaniecki przyrzucił szalem wziętym od pani Emilii jej nóżki i jechali czas jakiś w milczeniu.

Po czym pani Emilia poczęła mówić o Płoszowskim, wiadomość bowiem o jego śmierci uczyniła na niej silne wrażenie.

– Tkwi naprawdę w tym wszystkim jakiś bardzo smutny dramat – rzekł Połaniecki – i pani Krasławska może mieć trochę słuszności utrzymując, że te dwie śmierci stoją z sobą w związku.

Na to panna Marynia rzekła:

– Jest w samobójstwie to okropnego, że powinno się je potępić, a potępiając, ma się takie wrażenie, jakby się nie miało żadnego współczucia dla nieszczęścia.

Połaniecki zaś odpowiedział:

– Współczucie trzeba mieć dla tych, którzy jeszcze czują, a więc dla żywych.

Rozmowa urwała się, i czas jakiś jechali znów w milczeniu. Po chwili Połaniecki ukazał na oświecone okna domu stojącego w głębi leśnego parku i rzekł:

– To willa pani Krasławskiej.

– Nie mogę jej darować tego – rzekła pani Emilia – co mówiła o tej nieszczęśliwej pani Kromickiej.

– To jest kobieta wprost drapieżna – odpowiedział Połaniecki – a wiecie panie dlaczego? Oto z powodu córki. Cały świat uważa za tło, które by chciała uczynić jak najczarniejszym, żeby panna Terka odbiła się na nim tym jaśniej. Być może, że matka kroila niegdyś na Płoszowskiego – być może, że panią Kromicką uważała za przeszkodę, i stąd jej nienawiść do niej.

– To ładna panienka – rzekła Marynia.

– Są istoty, dla których poza światem form towarzyskich zaczyna się inny, daleko obszerniejszy – dla niej nie zaczyna się nic, a raczej kończy wszystko. To jest zupełny automat, w którym serce uderzy wówczas dopiero, kiedy matka je kluczem nakręci. Zresztą, dużo jest podobnych panien na świecie, a i te nawet, które wydają się inne, często są takie właśnie... Wieczna historia Galatei... Czy panie uwierzą, że w tej lalce, w tej zgaszonej świeczce zakochał się przed panu laty, bez pamięci, jeden młody lekarz, mój znajomy. Dwakroć się oświadczał i dwakroć został odrzucany, bo te panie patrzyły wyżej. Zaciągnął się następnie do służby holenderskiej – i zapewne umarł tam gdzieś na febrę, bo z początku pisywał do mnie, dopytując się o swój automat, a później listy ustały.

– Czy ona wie o tym?

– Wie, bo ilekroć ją zobaczę, tylekroć o nim mówię. I co jest charakterystycznie, to, że jego wspomnienie nie ma ani na sekundę jej pogody. Mówi o nim jak o każdym innym. Jeśli spodziewał się od niej choć pośmiertnego żalu, to i w tym się zawiódł... Muszę paniom pokazać kiedyś jeden jego list. Ja mu próbowałem wytłumaczyć to uczucie, on zaś odpisał mi: „Ja ją sądzę trzeźwo, ale nie mogę duszy od niej oderwać...” Był to zresztą sceptyk, człowiek pozytywny – dziecko ostatnich czasów... Ale pokazuje się, że uczucie drwi sobie ze wszystkich filozofii, ze wszystkich prądów... Wszystko mija, a ono było, jest i będzie... Przy tym tamten mówił mi niegdyś tak: „Wolałbym być nieszczęśliwy z nią niż szczęśliwy z inną...” I co tu gadać! Człowiek patrzy trzeźwo, ale nie może duszy oderwać – i skończyło się.

Rozmowa skończyła się również. Wjechali teraz na drogę wysadzoną kasztanami, których pnie migotały różowo w świetle powozowych latarni.

– A jak komu bieda, to musi cierpieć! – dorzucił na ostatek Połaniecki, idąc widocznie za biegiem własnych myśli.

Tymczasem pani Emilia pochyliła się nad Litką:

– Śpisz, dziecinko? – spytała.

– Nie, mamusi – odpowiedziała Litka.

XIV

– O majątek nie ubiegałem się nigdy – mówił pan

Pławicki – ale jeśli Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach tak pokierowała, żeby choć część tej wielkiej fortuny przeszła w nasze ręce, to nie chcę jej dróg krzyżować... Mnie z tego wiele już nie przyjdzie, mnie potrzebne wkrótce będą cztery deski i cicha łza dziecka, dla którego żyłem, ale tu idzie o Marynię.

– Zwracam pańską uwagę – rzekł zimno Maszko – że, po pierwsze, to są widoki bardzo niepewne...

– Ale czy godzi się nie brać ich pod uwagę?...

– Po wtóre, że pani Płoszowska żyje jeszcze...

– Ale z babinki trociny już się sypią... stara jak grzyb!

– Po trzecie, że może zapisać majątek na cele publiczne...

– Ale czyby nie można przeciw temu wystąpić?

– Po czwarte, że wasze pokrewieństwo jest niezmiernie dalekie. W ten sposób wszyscy w Polsce są sobie krewni.

– Jednakże bliższych krewnych nie ma.

– Połaniecki to przecie także wasz krewny?

– Żaden! dalibóg, żaden! On jest krewny pierwszej mojej żony, nie mój!

– A Bukacki?

– Dajże pan spokój. Bukacki jest kuzynem żony mojego szwagra.

– Innych krewnych pan nie ma?

– Przyznawali się do nas Gątowscy z Jałbrzykowa. Jak to pan wie... Ludzie to mówią, co im pochlebia... Z Gątowskim zresztą nie potrzebuję się liczyć.

Maszko umyślnie przedstawiał trudności, by potem ukazać brzeżek nadziei, więc rzekł:

– U nas ludzie są chciwi na spadki – i niech się spadek jaki otworzy, zlatują się ze wszystkich stron, jak wróble na pszenicę... Wszystko w takich razach polega na tym, kto się prędzej zgłosi, z czym się zgłosi i na koniec przez kogo się zgłosi... Pamiętaj pan, że człowiek sprężysty i znający się na rzeczy może z niczego coś zrobić, gdy przeciwnie, człowiek bez energii i znajomości interesów, mając nawet pewne podstawy działania, może nic nie wskórać...

– To wiem z doświadczenia. Całe życie miałem póty interesów.

Tu pan Pławicki przeciągnął ręką po gardle, Maszko zaś dodał:

– Prócz tego możesz pan stać się igraszką adwokatów i być wyzyskiwanym bez granic...

– Liczyłbym w takim razie na osobistą pańską z nami przyjaźń...

– I nie zawiódłbyś się pan – odrzekł z powagą Maszko. – I dla pana, i dla panny Marii mam tak głęboką przyjaźń, jak gdybyście należeli do mojej rodziny.

– W imieniu sieroty, dziękuję – odpowiedział pan Pławicki.

I wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej.

Maszko zaś spoważniał i rzekł:

– Ale jeśli chcecie, bym bronił waszych praw i w tym wypadku, który, jak powiedziałem, może się okazać złudzeniem – i w innych – to mi te prawa dajcie...

Tu młody adwokat chwycił rękę pana Pławickiego.

– Szanowny panie – rzekł – pan domyślasz się, o czym chcę mówić, więc zechciej wysłuchać mnie cierpliwie do końca.

Po czym zniżył głos i, choć nikogo nie było w pokoju, jął mówić prawie cicho. Mówił z siłą, powagą, a zarazem z wielkim umiarkowaniem, jak przystało na człowieka, który nigdy nie zapomina, kim jest i co przynosi. Pan Pławicki przymykał chwilami oczy, chwilami ścisnął rękę Maszki, wreszcie po ukończonej konferencji rzekł:

– Przejdź pan do salonu, ja tam przyślę Marynię. Nie wiem, co ona panu odpowie, w każdym razie niech się stanie to, czego Bóg chce... Ja umiałem pana zawsze cenić, teraz cenię jeszcze więcej – i ot!

Ramiona pana Pławickiego otworzyły się szeroko – i Maszko pochylił się ku nim, powtarzając nie bez wzruszenia, choć zawsze z wysoką godnością:

– Dziękuję, dziękuję!

I po chwili znalazł się w salonie.

Panna Marynia wyszła z twarzą mocno pobladłą, ale spokojną. Maszko podsunął jej krzesło, sam siadł na drugim i począł mówić:

– Jestem tu z upoważnienia ojca pani. Słowa moje nie powiedzą pani już nic takiego, czego by przedtem nie wypowiedziało milczenie, które pani odgadywała. Ale ponieważ przyszła chwila, w której powinienem nazwać po imieniu moje uczucia, czynię więc to z całą ufnością w serce i charakter pani. Jestem człowiekiem, który panią kocha, na którym się oprzeć można, więc składam w ręce pani moje życie – i proszę z głębi serca, by pani zgodziła się iść razem ze mną.

Panna Marynia milczała przez chwilę, jakby szukając słów, po czym rzekła:

– Winnam panu jasno i szczerze odpowiedzieć; wyznanie to jest dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie, ale nie chcę, by się taki człowiek jak pan łudził: nie kochałam pana, nie Kocham i żoną pańską nie zostanę nigdy, choćby mi przyszło nigdy niczyją nie zostać.

Tu zapanowało milczenie jeszcze dłuższe. Wypieki na twarzy Maszki zapłonęły silniej, a oczy jego poczęły rzucać zimne stalowe blaski.

– Odpowiedź jest równie stanowcza – rzekł – jak dla mnie bolesna i nieoczekiwana. Czy jednak pani nie zechce, zamiast odtrącać mnie w tej chwili stanowczo, dać sobie kilka dni czasu do namysłu?

– Sam pan powiedział, że odgadywałam uczucia pana, więc miałam czas zastanowić się nad sobą i odpowiedź, jaką panu daję, daję po zupełnym namyśle.

Głos Maszki stał się teraz suchy i ostry:

– Czy pani sądzi przy tym, że na mocy zachowania się pani ze mną nie miałem prawa zanieść takiej prośby, jaką zaniósłem?

I pewien był w tej chwili, że panna Marynia odpowie mu, iż to zachowanie się źle zrozumiał, że nie było w nim nic, co by mogło go upoważniać do jakiegokolwiek nadziei, słowem, że pójdzie drogą wykrętów, jak zwykle czynią kokietki, które kokieteryję zmuszone są okupować kłamstwem – lecz ona podniosła na niego oczy i rzekła:

– Postępowanie moje z panem nie było chwilami takie, jak być powinno; przyznaję się do winy i z całej duszy za nią przepraszam.

Maszko zamilkł. Kobieta, która się wykręca, budzi pogardę, kobieta, która przyznaje się do winy, wytrąca broń z ręki każdego przeciwnika, w którego naturze, lub choćby tylko w wychowaniu, leży iskra uczuć rycerskich. Prócz tego, jedynym, ostatnim sposobem poruszenia serca kobiety jest w takim razie: nie uznać wspałałomyślnie jej występku. Maszko, jakkolwiek widział przed sobą przepaść, rozumiał to – i postanowił postawić wszystko na ostatnią kartę.

Każdy nerw dygotał w nim z gniewu i obrażonej miłości własnej, jednakże opanował się, wziął kapelusz i zbliżywszy się do panny Maryni podniósł do ust jej rękę.

– Wiedziałem, że pani kocha Krzemień – rzekł – i kupiłem go po to jedynie, by go złożyć u nóg pani. Widzę, że szedł błędną drogą, i cofam się, chociaż czynię to z żalem bez granic. To ja panią przepraszam. Winy ze strony pani nie było i nie ma żadnej. Spokój pani droższy mi jest od własnego szczęścia, dlatego proszę jak o jedyną łaskę: niech pani nie czyni sobie wyrzutów. A teraz żegnaj panią.

I wyszedł.

Ona zaś siedziała długi czas nieruchoma, z bladą twarzą i uczuciem zniepokolenia w duszy. Nie spodziewała się znaleźć w nim tyle szlachetnych uczuć. Obok tego przyszła jej do głowy następna myśl: „Tamten odebrał mi Krzemień, by uratować swoje – ten go kupił, by mi go zwrócić!” I nigdy dotąd Połaniecki nie był tak dalece zgubiony w jej myślach. W tej chwili nie pamiętała, że Maszko kupił Krzemień nie od Połanieckiego przecie, tylko od jej ojca, po wtóre, że kupił go korzystnie, po trzecie, że wprowadzić chciał go zwrócić, ale zarazem i zabrać go na nowo wraz z jej ręką, uwolniwszy się w dodatku od wypłat, które na nim ciążyły, a na koniec, że, właściwie biorąc, Krzemienia nie wydzierał jej ani Połaniecki, ani nikt inny, tylko pan Pławicki sprzedał go dobrowolnie, ponieważ znalazł kupca. Ale ona, patrzyła w tej chwili po kobiecemu na tę sprawę i przeciwstawiała Połanieckiemu Maszkę, wywyższając nad miarę ostatniego, potępiając nad winę pierwszego. Postępowanie Maszki wzruszyło ją tak dalece, że gdyby nie czuła ku niemu wprost odrazy, byłaby go odwołała. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że powinna to uczynić – ale zbrakło jej sił.

Nie wiedziała też, że Maszko schodził ze schodów z wściekłością i rozpaczą w duszy. Rzeczywiście, otworzyła się przed nim przepaść.

Wszystkie rachuby go zawiodły; kobieta, którą istotnie pokochał, nie chciała go i odrzuciła – i jakkolwiek starała się go w słowach oszczędzać, czuł się upokorzony jak nigdy w życiu. Cokolwiek dotychczas w życiu przedsiębrał, zawsze przeprowadzał to w poczuciu własnej siły i własnego rozumu, z niezachwianą pewnością, że mu się uda. Odmowa Maryni odebrała mu i tę pewność. Pierwszy raz zwątpił o sobie, pierwszy raz miał poczucie, że jego gwiazda zaczyna błędnąć i że może rozpocząć się dla niego okres klęsk na wszystkich polach, na których dotychczas działał. Okres ten już się nawet rozpoczął. Maszko kupił Krzemień w warunkach wyjątkowo korzystnych, był to jednak majątek zbyt wielki w stosunku do jego środków. Gdyby Marynia nie odrzuciła go, byłby sobie dał rady, w takim bowiem razie nie potrzebowałby myśleć ani: o dożywotniej rencie dla pana Pławickiego, ani o spłaceniu tej sumy, która, według układu, przypadała Maryni za Magierówkę. Obecnie miał do spłacenia Marynię, Połanieckiego i długi na Krzemieniu, które trzeba było spłacić co prędzej, albowiem z powodu lichwiarskich procentów rosły one z dnia na dzień i groziły zupełną ruiną. Na to wszystko był tylko kredyt – dotąd wprawdzie nie zachwiany, ale wyciągnięty jak struna; Maszko zaś czuł, że gdyby ta struna kiedykolwiek pękła, byłby zgubiony bezpowrotnie.

Dlatego chwilami, obok żalu za Marynią, obok bólu, jakiego doznaje człowiek po stracie szczęścia, porywał go gniew bez granic, niemal szalony – i również niepohamowana chęć zemsty. Był to człowiek z duszą energiczną, w którego naturze leżała chęć zapłacenia złem za krzywdę. Dlatego wchodząc do siebie, mruczał przez zaciśnięte zęby:

– Jeśli nie zostaniesz moją żoną, nie daruję ci tego, coś mi uczyniła; jeśli zostaniesz – nie przebaczę ci również.

Tymczasem pan Pławicki wszedł do pokoju, w którym siedziała Marynia, i rzekł:

– Odmówiłaś mu, bo inaczej byłby wstąpił do mnie wychodząc.

– Tak, papo.

– Nie dałaś mu żadnej nadziei na przyszłość?

– Nie, papo... Szanuję go, jak nikogo w świecie, ale nie dałam mu nadziei.

– Co ci odpowiedział?

– Wszystko, co mógł odpowiedzieć taki szlachetny człowiek.

– Nowe nieszczęście – rzekł – i kto wie, czy nie pozbawiłaś mnie kawałka chleba na starość... Ale wiedziałem, że z tym nie będziesz się liczyła.

– Nie mogłam, nie mogłam inaczej postąpić.

– Nie chcę też cię zmuszać, a swoje zmartwienie idę ofiarować tam, gdzie każda łza starego będzie policzoną.

I poszedł do Loursa patrzeć na grających w bilard. Byłby się zgodził na Maszkę, ale w gruncie rzeczy nie uważał go za partię zbyt świetną, i sądząc, że Maryni może się trafić lepsza, nie martwił się zbytecznie tym, co się stało.

Marynia zaś w pół godziny później wpadła do pani Emilii.

– Jeden przynajmniej ciężar spadł mi z serca – rzekła na wstępie – odmówiłam dziś stanowczo panu Maszce.

Pani Emilia uściskała ją w milczeniu.

Marynia zaś mówiła dalej:

– Żal mi go... Postąpił ze mną tak szlachetnie i delikatnie, jak tylko taki człowiek mógł postąpić, i gdybym miała dla niego choć małą iskierkę uczucia, wróciłabym do niego dziś jeszcze.

Tu powtórzyła pani Emilii całą rozmowę z Maszką. Istotnie, nie można mu było nic zarzucić, i pani Emilia nie mogła oprzeć się pewnemu zdziwieniu, posądzała bowiem Maszkę o charakter gwałtowny i nie spodziewała się, żeby w tak ciężkiej dla siebie chwili potrafił się zdobyć na tyle umiarkowania i szlachetności. A panna Marynia rzekła:

– Moja Emilko, znam twoją przyjaźń dla pana Połanieckiego, ale sądz tych dwóch ludzi z ich uczynków, nie ze słów, i porównaj ich z sobą.

– Nigdy nie będę ich porównywała – odrzekła pani Emilia. – Tu nie można robić porównań. Pan Stanisław jest dla mnie naturą stokroć wyższą od Maszki, ty zaś sądzisz go niesłusznie. Ty, Maryniu, nie masz prawa mówić: „Jeden odebrał mi Krzemień, drugi chciał mi go zwrócić.” Tak nie było. Pan Połaniecki nie odbierał ci go nigdy, a dziś, gdyby mógł, zwróciłby ci go z całego serca. To uprzedzenie mówi przez ciebie.

– Nie uprzedzenie, ale rzeczywistość, której nic zmienić nie może.

A pani Emilia posadziła ją przed sobą i rzekła:

– Owszem, Maryniu, uprzedzenie, i powiem ci, dlaczego. Oto ty nie jesteś dotychczas dla niego obojętna.

Panna Marynia drgnęła, jakby ktoś dotknął bolącej ją rany, i po chwili odpowiedziała zmienionym głosem:

– Pan Połaniecki nie jest mi obojętny... Masz słuszność. Wszystko, co mogło być we mnie sympatią dla niego, zmieniło się w niechęć – i słuchaj, Emilko, co ci teraz powiem: gdybym miała wybór między tymi dwoma ludźmi, wybrałabym bez żadnego wahania Maszkę.

Pani Emilia spuściła głowę; po chwili ramiona panny Maryni oplotły jej szyję.

– Jakie to dla mnie smartwienie, że ja tobie sprawiam taką przykrość, ale ja muszę mówić prawdę. Wiem, że w końcu i ty przestaniesz mnie kochać i zostanę zupełnie sama na świecie.

I rzeczywiście poczęło się stawać coś podobnego. Obie młode kobiety rozstały się w uściskach i pocałunkach, a jednak, gdy się znalazły z dala od siebie, uczyły obie jednocześnie, że coś naderwało się między nimi i że wzajemny ich stosunek nie będzie już tak serdeczny, jak był dotąd.

Pani Emilia wahała się przez kilka dni, czy powtórzyć Połanieckiemu słowa Maryni, lecz on prosił ją tak usilnie o całą prawdę, iż w końcu pomyślała, że i trzeba, i lepiej będzie ją wypowiedzieć. On zaś wysłuchawszy wszystkiego rzekł:

– Dziękuję pani. Jeśli panna Pławicka mną pogardza, muszę się na to zgodzić, nie mogę się tylko na to zgodzić, bym sam sobą zaczął pogardzać. Zaszedłem i tak za daleko. Pani droga wie, że jeśliś względem niej zawinił, to się starał to naprawić, a ją przebłagać. Do dalszych obowiązków się nie poczuwam. Będę miał ciężkie chwile, tego pani nie ukrywam, ale niedołągą nie byłem, nie jestem i potrafię zdobyć się na to, by wszystko, co dla panny Pławickiej czuję, wyrzucić przez okno jako rzecz w moim pokoju niepotrzebną. To pani świecie przyrzekam!

– Wierzę panu, ale się przy tym bardzo cierpi.

On zaś odrzekł prawie wesoło:

– Co tam! jak mi zbyt sparzenie dokuczy, poproszę pani o opatrunek, a wiem, że gdy mi go tafdzie poczciwe ręce zrobią, to będzie skuteczny. Lituś pani pomoże i ani syknę.

Po czym wrócił do siebie, pełen wewnątrz poczucia woli i energii. Zdawało mu się, że potrafi wziąć to uczucie i złamać je, jak się łamie laskę o kolano. Tym zapędem żył kilka dni następnych. Nie pokazywał się przez ten czas nigdzie, prócz w biurze, gdzie rozmawiał z Bigielem. wyłącznie o interesach. Pracował od rana do wieczora i nie pozwalał sobie we dnie nawet myśleć o Maryni.

Ale nie mógł się od tego obronić podczas bezsennych nocy. Wówczas, przychodziło na niego wyraźne poczucie, że Marynia mogła go kochać, mogła wyjść za niego, że byłaby mu najlepszą żoną, że mógł być z nią szczęśliwy, jak nigdy z nikim nie będzie, i że kochałby ją jak swoje najwyższe dobro.

Żal, który narodził się z tych rozmyślań, wniknął w jego całe istnienie i nie opuszczał go więcej, że zaś żal pożera duszę i zdrowie jak rdza żelazo, więc Połaniecki. począł marnieć. Spostrzegł, że łamanie uczucia daje jeden niewątpliwy skutek: złamanie szczęścia. Nigdy nie widział przed sobą takiej puisitki i nigdy nie odczuwał z równą siłą, że nic mu jej zapełnić nie zdoła. Spostrzegł także, że można kobietę kochać nie taką, jak jest, ale taką, jakby być mogła. I wreszcie tęsknił bez miary.

Ale mając nad sobą dużo władzy unikał Maryni. Wiedział zawsze, kiedy ma być u pani Emilii, i wówczas zamykał się w domu.

Dopiero, gdy Litka zachorowała, zaczął chodzić do pani Emilii codziennie, przesiadywać u niej po całych dniach i spędzać godziny razem z Marynią przy chorym dziecku.

XV

A biedna Litka, po nowym, groźniejszym niż poprzednio ataku, nie mogła już przyjść do zdrowia. Dni spędzała teraz leżąc na szezlongu w saloniku, albowiem na jej prośbę lekarze i pani Emilia zgodzili się nie trzymać jej cały czas w łóżku. Lubiła, też, gdy Połaniecki siedział przy niej, i rozmawiała z nim i z matką o wszystkim, co jej przechodziło przez główkę. Z Marynią bywała zwykle milcząca, natomiast czasem wpatrywała się w nią długo, a potem podnosiła oczy do sufitu, jakby namyślając się nad czymś, jakby chcąc coś zrozumieć i zdać sobie z czegoś sprawę. Nieraz te zamyślenia się jej zdarzały się i wówczas, gdy zostawała z matką sam na sam, pewnego zaś popołudnia zbudziła się jakby ze snu i zwróciwszy się do matki, rzekła:

– Mamusiu, niech mamusia, siądzie przy mnie, tu, na sofie.

Pani Emilia siadła; dziecko, otoczyło ręką jej szyję i wsparłszy głowę na jej ramieniu, poczęło mówić pieszczotliwym, osłabionym nieco głosem:

– Bo ja się chciałam mamusi spytać o jedną rzecz, tylko nie wiem, jak to powiedzieć.

– O co ci idzie, dziecinko?

Litka milczała przez chwilę zbierając myśli, po czym spytała:

– Jeżeli się, mamusiu, kogo kocha, to co?

– Jeżeli się kogoś kocha, Lituś?

Pani Emilia powtórzyła pytanie, nie rozumiejąc zrazu dobrze, o co dziewczynka pyta, ona jednak nie umiała pytać dokładniej.

– To co, mamusiu?...

– To chciałoby się, żeby ten ktoś był zdrow, tak jak ja chcę, żebyś ty była zdrowa.

– I co jeszcze?

– I chciałoby się, żeby był szczęśliwy, żeby mu na świecie było dobrze, a jeśli trafi mu się co złego, to chciałoby się samemu za niego cierpieć.

– I co jeszcze?

– I chciałoby się mieć go zawsze przy sobie, tak jak ty jesteś przy mnie – i chciałoby się, żeby on tak kochał, jak ty mnie kochasz.

– To ja teraz rozumiem – rzekła po chwili zamyślenia się Litka. – I ja sama myślałam także, że to tak.

– Tak, kotku.

– Bo, widzi mamusia, ja jeszcze w Reichenhallu, pamięta mama? w Thumsee, słyszałam, że pan Stach kocha pannę Marynię, i teraz wiem, że on musi być nieszczęśliwy, chociaż nigdy o tym nie mówi.

Pani Emilia, bojąc się wzruszeń dla Litki, rzekła:

– Czy ciebie, kotku, nie męczy ta rozmowa?

– O, nic a nic! Już teraz rozumiem. On by chciał, żeby ona jego kochała, a ona nie kocha, i chciałby być zawsze przy niej, a ona mieszka z ojcem i nie chce się z nim ożenić.

– Wyjść za niego...

– Wyjść za niego. On się tym martwi, mamusiu? prawda?

– Pewnie, moje dziecko.

– Bo ja to wszystko wiem. A żeby ona wyszła za niego, czyby go kochała?

– Pewnie, kotku, on taki dobry człowiek.

– To ja już teraz wiem.

Dziewczynka przymknęła oczy, i pani Emilia sądziła przez chwilę, że usypia, ale ona po jakimś czasie znów poczęła pytać:

– A jakby on się ożenił z Marynią, czyby nas przestał kochać?

– Nie, Lituś. On by nas zawsze tak sanno kochał.

– Ale Marynię lepiej?

– Marynia byłaby mu wtedy bliższą niż my. Czemu się ty, kotku, o to tak dopytujesz?

– To źle?

– Nie, nie ma w tym nic złego, nic a nic! Tylko boję się, że się zmęczysz.

– O nie! ja i tak ciągle o panu Stachu myślę. Ale niech mamusia nic o tym Maryni nie mówi.

Na tym skończyła się rozmowa, po której Litka przez kilka następnych dni była milcząca, tylko jeszcze uporczywiej niż przedtem wpatrywała się w Marynię. Czasem brała ją za rękę i zwracała ku niej oczy, jakby chciała ją o coś zapytać. Czasem, gdy oboje z Połanieckim byli przy niej, przenosiła ustawicznie wzrok to na nią, to na niego, a potem przymykała powieki. Oni zaś przychodzili często, codziennie, czasem i kilka razy na dzień, chcąc ulżyć pani Emilii, która nie pozwalając się nocami nikomu przy Litce zastąpić, spędzała je od tygodnia bezsennie, śpiąc nieco tylko w dzień, gdy sama Litka ją o to uprosiła. Pani Emilia nie zdawała sobie jednak sprawy z całego niebezpieczeństwa, jakie małej groziło, lekarz bowiem, sam nie wiedząc, jak się obróci ten okres choroby, czy będzie tylko krokiem naprzód, czy końcem, uspokajał matkę tym bardziej stanowczo, że Połaniecki jak najusilniej go o to prosił.

Miała jednak przecucie, że stan dziecka nie jest pomyślny, i mimo uspokojień lekarza serce zamierało w niej nieraz z trwogi. Litce ukazywała wprawdzie twarz zawsze uśmiechniętą i wesołą, również jak Połaniecki i panna Marynia, ale dziewczynka nauczyła się obecnie tak uważać na wszystko, że najstaranniej ukrywany niepokój matki nie uszedł jej baczenia.

Więc też pewnego rana, gdy Połaniecki zostawszy sam z nią zajęty był nadymaniem dla niej wielkiego globusa z tafty jedwabnej, który przyniósł jej w darze, dziewczynka rzekła:

– Panie Stachu, ja czasem widzę, że mamusia okropnie się martwi, że ja chora.

Połaniecki przestał nadymać balon i odpowiedział:

– Ani jej się śni. Co tam się roi pod tą czupryną! Zresztą, naturalnie, że się martwi bo wolałaby, żebyś była zdrowa...

– Dlaczego to wszystkie inne dzieci są zdrowe, tylko ja jedna ciągle choruję?

– Ładnie zdrowe! A Bigielęta nie chorowały, jedno w drugie, na koklusz? Przez kilka miesięcy cały dom był jak owczarnia. A Józio nie miał odry? Wszystkie dzieciśka wiecznie chorują, i tyle z nich pociechy.

– To pan Stach tylko tak mówi, bo one chorują, a potem są zdrowe... Tu poczęła trząść główką.

– Nie, to co innego. I teraz ciągle muszę leżeć, bo mi zaraz serce bije. I jak onegdaj zaczęli śpiewać na ulicy, a mamusi nie było w pokoju, to poszłam trochę do okna i zobaczyłam pogrzeb – i pomyślałam, że ja także pewno umrę...

– Plecie Litka! – zawołał Połaniecki.

I począł prędko znów nadymać globus, żeby pokryć wzruszenie, a zarazem pokazać dziewczynce, jak mało znaczą jej słowa.

Lecz dziecko szło dalej za swoją myślą:

– Mnie tak czasem duszno i tak mi serce bije... Mamusia powiedziała, żebym ja wtedy mówiła: *Pod Twoją obronę* – i ja zawsze mówię, bo ja się okropnie boję umrzeć! Ja wiem, że w niebie dobrze, ale nie byłabym z mamusią, tylko sama na cmentarzu... Tak, i w nocy...

Połaniecki położył nagle globus, siadł przy kanapce i wzięwszy rękę Litki rzekł:

– Mój Lituś, jeśli mamę kochasz, jeśli mnie kochasz, nie myśl o takich rzeczach. Tobie nic nie będzie, ale dopiero by się mama martwiła, gdyby wiedziała, czym dziecko sobie główkę zaprzęta! Bo pamiętaj, że sobie tym szkodzisz...

A Litka złożyła ręce:

– Mój panie Stachu, już tylko o jedno zapytam, tylko o jedno – nic więcej!

On pochylił ku niej głowę.

– No, pytaj, kocie. Byle o co mądrego.

– Czy pan Stach bardzo by mnie żałował?

– A, widzisz, jakaś niepoczciwa!

– Mój panie Stachu!... powiedzieć!

– Ja? co za niegodziwe dziecko! Lituś wie, że ją Kocham... ogromnie Kocham! Niech Bóg broni... Nikogo na świecie bym tak nie żałował... Będieszże ty mi cicho nareszcie, ty mucho utrapiona! ty... najmilsze drogie stworzenie!...

A dziewczynka zwróciła ku niemu rozjaśnione oczy:

– Już będę cicho... Dobry pan Stach! I w chwili gdy weszła pani Emilia, a on zabierał się do odejścia, spytała jeszcze:

– Ale pan Stach nie gniewa się na mnie?

– Nie, Lituś! – odrzekł Połaniecki.

Wyszedłszy do przedpokoju usłyszał lekkie stukanie we drzwi, pani Emilia bowiem kazała zdjąć dzwonki.

Otworzył i spostrzegł Marynię, która zwykle przychodziła wieczorami. Przywitawszy się z nim spytała:

– Jak dziś Litka?

– Jak zwykle.

– Był doktor?

– Był. Nic nowego nie znalazł. Pozwoli pani sobie pomóc?

To powiedziawszy chciał zdjąć z niej paletot, lecz ona odmówiła nie chcąc przyjmować jego usług. Wówczas, mając serce wezbrane poprzednią rozmową z Litką, napadł na nią najniespodziewaniej:

– To jest prosta grzeczność, nic więcej, a choćby było czymś więcej, mogłaby wreszcie pani zostawić swoją niechęć do mnie za tym progiem, bo tam jest dziecko chore, które nie tylko ja, ale i pani niby Kocha. W tym po prostu nie ma nie tylko dobroci, ale i miary. Zdjąłbym tak samo paletot z każdej innej kobiety, i niech pani wie, że teraz myślę o Litce i o niczym więcej.

I mówił to z wielką zapalczywością, tak że zaskoczona nią nagle panna Marynia trochę przestraszyła się naprawdę, trochę straciła głowę, tak że pozwoliła pokornie zdjąć z siebie paletot i nie tylko nie znalazła w sobie siły, by się obrazić, ale uczuła, że tak może przemawiać człowiek szczerze i głęboko dotknięty niepokojem, zmartwieniem, zatem człowiek prawdziwie czujący i z gruntu dobry.

Może wreszcie ta niespodziana jego energia przemówiła do jej natury kobiecej, dość że Połaniecki ujął ją w tej chwili więcej niż kiedykolwiek od czasu widzenia się w Krzemieniu i nigdy dotychczas nie przypomniał jej tak silnie owego dzielnego młodego człowieka, którego oprowadzała niegdyś po krzemienieckim ogrodzie. Było to wprawdzie tylko wrażenie przelotne, które nie mogło stanowić o wzajemnym ich do siebie stosunku, ale na razie podniosła na niego oczy nieco zdziwione, lecz nie gniewne, i rzekła:

– Przepraszam pana...

On zaś pohamował się przez ten czas i zawstydział:

– To ja przepraszam. Litka gadała mi dziś o swojej śmierci, i taki jestem wzburzony, że rady sobie dać nie mogę... Pani powinna to zrozumieć i przebaczyć mi.

To rzekłszy ścisnął silnie jej rękę i wyszedł.

XVI

Następnego dnia Marynia ofiarowała się pani Emilii zamieszkać u niej aż do zupełnego wyzdrowienia Litki, Litka zaś poparła jej prośbę, na którą pani Emilia po krótkim oporze była zmuszona się zgodzić. Rzeczywiście upadała ze znużenia; zdrowie chorej wymagało nieustającej i wyjątkowej czujności, nowy atak bowiem mógł przyjść lada chwila. Trudno było liczyć, żeby służąca, choćby najbardziej przywiązana, nie zdrzemnęła się w takiej właśnie chwili, w której spieszny ratunek mógł stanowić o życiu dziecka – więc obecność Maryni była prawdziwą pomocą i uspokojeniem dla stroskanej matki.

Co do pana Pławickiego, ten wolał jadać w restauracji niż w domu, nie robił więc trudności. Marynia zresztą wpadała co dzień dowiedzieć się o jego zdrowie i przyprowadzić do porządku domowe rachunki, potem wracała do pani Emilii, by połowę nocy przesiedzieć przy małej.

W ten sposób Połaniecki, który wszystkie chwile wolne od zajęć spędzał u pani Emilii i przyjmował, a raczej odprawiał z podziękowaniami wszystkich, którzy przychodzili dopytywać się o zdrowie dziewczynki, widywał Marynię codziennie. I podziwiał ją szczerze. Sama pani Emilia nie okazywała więcej troskliwości dla chorej i nie umiała lepiej koło niej chodzić. Po tygodniu twarz: panny Maryni pobladła z niewywczasu i obawy, oczy podkrzały się ciemno, ale siły jej i energia zdawały się wzrastać z każdą chwilą. Było w niej przy tym tyle słodyczy i dobroci, coś tak cichego i delikatnego w usługach, jakie oddawała Litce, że dziewczynce mimo owej urazy, którą dla Maryni żywiła w głębi swej małej duszki, poczęło być z nią dobrze, i gdy oddaliła się na kilka godzin do ojca, chora wyglądała jej z utęsknieniem.

Zresztą zdrowie małej raczej się poprawiło w ostatnich czasach. Doktor pozwolił jej wstawać, przechadzać się po pokoju i siadywać w fotelu, który w słoneczne dni przysuwano jej do drzwi prowadzących na balkon, aby mogła spoglądać na ulicę i rozrywać się ruchem ludzi i powozów.

Połaniecki, pani Emilia i panna Marynia otaczali ją często wówczas, a przedmiotu do rozmów i pogadanek dostarczało to, co się działo na ulicy. Czasem dziecko było znużone i jakby zadumane, czasem jednak dziecinna natura brała górę i bawiło ją wszystko, więc i październikowe słońce obrzucające dachy, ściany i szyby sklepów bladym złotem, i stroje przechodniów, i nawoływania przekupniów. Zdawało się, że owe potężne pierwiastki życia, pulsujące w wirze miejskim, wchodzą w dziecko i ożywiają je. Czasem przychodziły jej też do głowy dziwne myśli, i raz, gdy przed balkonem przesuwiał się ciężki wóz, wiozący drzewa cytrynowe w donicach, które, lubo skrepowane łańcuchami, chwiały się zgodnie z ruchem wozu, mała rzekła:

– Im serce nie bije.

A potem, podnosząc oczy na Połanieckiego, spytała:

– Panie Stachu, czy drzewa długo żyją?

– Bardzo długo, niektóre żyją tysiące lat.

– O, to ja chciałabym być drzewem. A mamusia jakie najlepiej lubi?

– Brzozę.

– To ja chciałabym być małą brzożką, a mamusia byłaby dużą, i rostybyśmy razem. A pan Stach chciałby także być brzożą?

– Bylem rósł gdzie niedaleko od małej brzożki.

Litka zaś popatrzyła na niego i potrząsając trochę smutno główką, rzekła:

– O, nie! ja teraz wiem wszystko. Ja wiem, przy kim by pan, Stach chciał rosnąć.

Panna Marynia zmieszała się i spuściła oczy na robotę, Połaniecki zaś począł gładzić lekko dłonią płową, główkę i powtarzać:

– Moje kociątko kochane, moje miłe! moje, moje!... Litka umilkła; następnie spod długich jej rzęs wypłynęły dwie łzy i stoczyły się cicho po policzkach.

Po chwili podniosła jednak swoją słodką twarzyczkę rozjaśnioną uśmiechem.

– Ja mamusię bardzo kocham – rzekła – i pana Stacha kocham, i Marynię kocham...

XVII

Profesor Waskowski dowiadywał się codziennie o zdrowie małej i choć najczęściej go nie przyjmowano, posyłał jej kwiaty. Połaniecki, spotkawszy go kiedyś na obiedzie, począł mu dziękować w imieniu pani Emilii.

– Astry tylko, astry! – odrzekł profesor. – Jak ona się dziś ma?

– Dziś nieźle, a w ogóle niedobrze. Gorzej niż w Reichenhallu. Strach zawsze ogarnia przed każdym następnym dniem, a gdy się pomyśli, że tego dziecka może zabraknąć!...

Tu Połaniecki urwał, bo zbrakło mu w gardle dalszych słów; wreszcie, chcąc się sam przełamać, począł kląć:

– Co tu się oglądać za jakimś zmiłowaniem! Jest tylko logika, która powiada, że kto ma chore serce, ten musi umrzeć – i niechże piorun trzaśnie takie życie!

Na to nadszedł Bukacki, który dowiedziawszy się, o co chodzi, napadł również na profesora Waskowskiego, i on bowiem, kochając Litkę, buntował się w duszy na myśl o grożącej jej śmierci.

– Jak można łudzić się dobrowolnie przez tyle lat i wygłaszać zasady, które obracają się wniwecz wobec ślepego przeznaczenia.

Lecz stary człowiek odpowiedział łagodnie:

– Jak wy możecie, moi kochani, mierzyć waszą własną miarą mądrość boską i miłosierdzie boskie? Kto wszedł w podziemie, tego otacza ciemność, ale ten nie ma jeszcze prawa przeczyć, że ponad sklepieniem istnieje niebo i słońce, światło i ciepło...

– Oto mi pociecha! – przerwał Połaniecki – mucha nie wyżyje na tej filozofii, a cóż dopiero matka, której jedyne i kochane dziecko umiera.

Lecz niebieskie oczy profesora były już jakby za światem; przez chwilę wpatrywał się uporczywie przed siebie, po czym ozwał się, jak człowiek, który coś widzi, ale nie jest pewny, czy widzi dokładnie:

– A mnie się zdaje, że to dziecko zanadto wszczepiło się w serce ludzkie, żeby tak ot przejść i odejść bez śladu. Coś w tym jest... Coś jej było przeznaczone, ona musi coś spełnić – i przedtem nie umrze.

– Mistycyzm! – rzekł Bukacki.

Lecz Połaniecki przerwał:

– Oby tak było! Mistycyzm, nie mistycyzm, ale oby tak było! Człowiek w biedzie chwytą się nawet za cień nadziei. Mnie też nigdy się w głowie nie mieściło, żeby ona miała umrzeć.

A profesor dodał:

– Kto wie! może ona nas wszystkich jeszcze przeżyje!

Połaniecki był w tej fazie sceptycyzmu, w której człowiek w niczym nie uznaje pewności, ale wszystko uznaje za możliwe, zwłaszcza to wszystko, czego w danym wypadku pragnie serce; odetchnął więc lżej i nabrał jakoś otuchy.

– Niech Bóg zmiłuje się nad nią i nad panią Emilią – rzekł. – Dałbym na sto mszy, gdybym wiedział, że jej to pomoże.

– Daj na jedną, byle ze szczerą intencją.

– A dam! a dam! Co do szczerości intencji, nie byłbym szerszy, gdyby o własną moją skórę chodziło.

A Waskowski uśmiechnął się i rzekł:

– Ty jesteś na dobrej drodze, bo umiesz kochać.

I jakoś źle uczyniło się wszystkim. Bukacki, jeśli w duszy myślał coś przeciwnego temu, co mówił Waskowski, nie śmiał się z tym odezwać, bo sceptycyzm, choćby najbardziej wkorzeniony, gdy ludzie wobec prawdziwego nieszczęścia szukają ratunku w wierze, nakłada czapkę na niszy i nie tylko tchórzy, ale wydaje się sam sobie marnym i małym. Bigiel, który nadszedł w tej chwili, ujrzał weselsze twarze i rzekł:

– Widzę po was, że mała nie gorzej.

– Nie, nie! – rzekł Połaniecki – i profesor mówił nam takie pocziwe rzeczy, że tylko go do rany przyłożyć.

– Chwała Bogu! Żona moja dała dziś na mszę, a potem poszła do pani Emilii. Dziś będę jadł z wami, bo mam urlop, i skoro Litce lepiej, to powiem wam drugą wesołą nowinę.

– Co takiego?

– Spotkałem przed chwilą Maszkę, który zresztą zaraz tu przyjdzie, a jak przyjdzie, to mu powinszujecie, bo się żeni.

– Z kim? – spytał Połaniecki.

– Z moją sąsiadką.

– Z panną Krasławską?

– Tak.

– Rozumiem – rzekł Bukacki – skruszył na proch te panie swoją wielkością, swoim urodzeniem, swoim majątkiem i z tego prochu ulepił sobie żonę i teściową.

– Wytlumaczcie mi jedną rzecz – rzekł profesor Waskowski. – Maszko jest człowiekiem religijnym...

– Jako konserwatysta – przerwał Bukacki – dla przyzwoitości.

– I te panie także – ciągnął dalej Waskowski.

– Ze zwyczaju...

– Dlaczego oni nie zamyślają się nigdy o życiu przyszłym?

– Maszko! czemu ty nie zamyślasz się nigdy o życiu przyszłym? – zawołał Bukacki zwracając się do wchodzącego w tej chwili adwokata.

Maszko zaś zbliżył się do nich i spytał:

– Jak powiadasz?

– Powiadam: Tu, *felix Maszko, nube!* Wówczas wszyscy poczęli mu składać życzenia, on zaś przyjmował je z pełną godności powagą, w końcu przemówił:

– Moi drodzy, dziękuję wam z całego serca, a ponieważ wszyscy znacie moją narzeczoną, więc nie wątpię o szczerości waszych życzeń.

– Nie pozwól sobie na to! – rzekł Bukacki.

A Połaniecki dorzucił:

– W porę ci przyszedł Krzemień.

Krzemień istotnie przyszedł Maszce w porę, bez niego bowiem może nie zostałby przyjęty. Ale właśnie dlatego ta uwaga nie była mu przyjemną, więc skrzywił się i rzekł:

– Ułatwiłeś mi to kupno, i czasem ci jestem za to wdzięczny, a czasem cię przeklinam.

– Dlaczego?

– Bo twój wujaszek Pławicki jest najnudniejszą i najnieznośniejszą figurą na świecie, nie mówiąc o twojej kuzynce, która jest bardzo miła panna, ale odmienia od rana do wieczora swój nieodżałowany Krzemień przez wszystkie siedm przypadków, dodając do każdego łożkę. Ty tam mało bywasz, ale wierz mi, że to jest także niepospolicie nudne.

A Połaniecki począł mu patrzeć w oczy i odpowiedział:

– Słuchaj, Maszko. Ja wygadywałem na mojego wujaszka, co wlaźło, ale nie idzie za tym, żebym miał słuchać cierpliwie, gdy ktoś na niego wygaduje, zwłaszcza ktoś, kto zrobił na nim dobry interes. Co do panny Marii, wiem, że jej żal Krzemienia, ale to dowodzi, że nie jest pustą lalką, nie jest manekinem, tylko kobietą z sercem, rozumiesz mnie!

Nastała chwila milczenia. Maszko doskonale zrozumiał, kogo Połaniecki miał na myśli mówiąc o pustej lalce i manekinie, więc wypieki na twarzy przybrały barwę cegły, a usta poczęły drgać. Jednak pohamował się. Nie był on wcale tchórzem, ale nawet najzuchwalszy człowiek ma zwykle kogoś, z kim woli nie zadzierać, i dla Maszki takim kimś był właśnie Połaniecki.

Więc wzruszywszy ramionami rzekł:

– Czego ty się gniewasz? Jeśli ci to robi przykrość...

Lecz Połaniecki przerwał:

– Ja się nie gniewam, tylko radzę ci pamiętać moje słowa.

I patrzył mu dalej w oczy, Maszko zaś pomyślał: „Jeśli koniecznie chcesz awantury, to będziesz ją miał.”

– Twoje słowa – odrzekł – mogę pamiętać, tylko przyjmijże i ty ode mnie radę: nie pozwalaj sobie do mnie mówić tym tonem, bo mógłbym go także zapamiętać i wezwać cię do obrachunku.

– Co u licha! – zaczął Bukacki. – Co wam jest?!

– Lecz Połaniecki, w którym rozdrażnienie na Maszkę zbierało się od dawna, byłby posunął niechybnie rzeczy do ostateczności, gdyby nie to, że w tej chwili wpadł do gabinetu służący pani Emilii.

– Proszę pana – rzekł zdyszczanym głosem – panienka umiera!

Połaniecki zbladł i porwawszy za kapelusz, skoczył do drzwi. Nastąpiło głucho, długie milczenie, które przerwał wreszcie Maszko:

– Zapomniałem. – rzekł – że jemu wszystko trzeba teraz wybaczyć...

A Waskowski zakrywszy oczy rękoma począł się modlić.

Wreszcie podniósł głowę i ozwał się:

– Bóg jeden okiełznał śmierć i potrafi ją powstrzymać.

Jakoż w kwadrans później Bigiel odebrał od żony kartkę ze słowami:

„Atak minął.”

XVIII

Połaniecki pędził do pani Emilii w trwodze, czy zastanie jeszcze Litkę przy życiu, służący bowiem powiedział mu podczas drogi, że panienka dostała konwulsji i była konająca. Gdy jednak przybył na miejsce, pani Emilia sama wybiegła na jego spotkanie i jednym tchem, z głębi piersi rzuciła mu słowa:

– Lepiej! lepiej!

– Doktor jest? – spytał Połaniecki.

– Jest.

– A mała?

– Śpi.

W twarzy pani Emilii resztki przerażenia walczyły z nadzieją i radością. Połaniecki zauważył, że usta jej były prawie białe, oczy suche i zaczerwienione, a twarz w wypiekach. Była śmiertelnie znudzona, albowiem nie spała od dwudziestu czterech godzin.

Lekarz jednak, człowiek młody i energiczny, uważał, że niebezpieczeństwo na razie minęło. Panią Emilię pokrzepiło szczególnie to, co powiedział jej przy Połanieckim:

– Nie powinniśmy dopuścić do następnego ataku i nie dopuścimy.

Była w tych słowach istotnie otucha, widocznie bowiem doktor uważał za rzecz możliwą niedopuszczenie do następnego ataku, ale było i ostrzeżenie, że następny mógłby być śmiertelnym. Lecz pani Emilia czepiała się teraz każdej nadziei, jak człowiek spadający w przepaść czepia się gałęzi drzew rosnących nad jej krawędzią.

– Nie dopuścimy! nie dopuścimy! – powtarzała ściskając gorączkowo rękę doktora.

Połaniecki spojrział mu nieznacznie w oczy, jakby chcąc wyczytać w nich, czy mówi to dla uspokojenia matki, czy na podstawie lekarskiego przeświadczenia, po czym spytał na próbę:

– Pan nie odstąpi jej dzisiaj?

– Nie widzę tego najmniejszej potrzeby – odpowiedział doktor. – Dziecko jest wyczerpane i prawdopodobnie będzie spało długo i mocno. Jutro przyjdę, ale dziś z zupełnym spokojem mogę iść do domu.

Po czym zwrócił się do pani Emilii:

– Pani również powinna wypocząć. Wszelkie niebezpieczeństwo minęło, trzeba zaś, żeby chora nie widziała na twarzy pani ani zmęczenia, ani niepokoju, albowiem sama mogłaby się tym zaniepokoić, a na to jest zbyt słaba.

– Nie mogłabym zasnąć – odpowiedziała, pani Emilia.

Lecz doktor zwrócił na nią swoje bladoniebieskie oczy i wpatrzywszy się w nią jakby z pewnym natężeniem, rzekł zwolna:

– Za godzinę położy się pani i zaraz zaśnie. Sześć do ośmiu godzin będzie pani spała nieprzerwanym snem. Powiedzmy ośm... Jutro będzie się pani czuła silna i wypoczęta. A teraz, dobranoc.

– A krople na wypadek, jeśli się mała obudzi?

– Krople da kto inny. Pani będzie spała. Dobranoc. I począł się żegnać. Połaniecki chciał iść za mim, by wypytać go na cztery oczy o Litkę, pomyślał jednak, że dłuższa tego rodzaju rozmowa mogłaby zaniepokoić panią Emilię, więc wolał jej zaniechać, przyrzekłszy sobie natomiast, że nazajutrz pójdzie do mieszkania doktora i tam się z nim rozmówi.

Po chwili, gdy zostali sam na sam z panią Emilią, rzekł:

– Niech pani uczyni, jak doktor mówi. Trzeba odpocząć. Zapowiadam, że idę teraz do pokoju Litki i nie ruszam się całą noc.

Lecz jej wszystkie myśli były przy małej, więc zamiast odpowiedzieć mu wprost, rzekła:

– Czy pan wie, że po ataku, przedtem nim usnęła, pytała się o pana kilka razy... i o Marynię także. Usnęła z zapytaniem: „Gdzie pan Stach?”

– Moja biedaczka kochana! Ja byłbym i tak przyszedł zaraz po obiedzie. Leciałem tu ledwie żywy. Kiedy się atak rozpoczął?

– Przed południem. Od rana była smutna, jakby coś przeczuwała. Pan wie, że ona przede mną zawsze zaręcza, że jest zdrowa, musiała się jednak czuć niedobrze, bo przed samym atakiem siadła przy mnie i prosiła, żeby ją trzymać za rączkę. Wczoraj jeszcze – zapomniałam panu powiedzieć – zadawała mi takie dziwne pytania: czy prawda, że jak chore dziecko o co prosi, to mu się nigdy nie odmawia? Ja powiedziałam, że tak, chyba by prosiło o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Coś jej chodziło widocznie po główce, bo wieczorem, jak Marynia wpadła na chwilę, znów zadawała mam podobne pytania. Poszła spać wesoło, ale dziś od rana skarżyła się na duszność. Szczęściem, że posłałam po doktora przed samym atakiem i że zaraz przyszedł.

– Największe szczęście to, że odszedł z taką pewnością, iż atak się nie powtórzy. Jestem zupełnie pewny, że takie jest jego przekonanie – odpowiedział Połaniecki.

Pani Emilia podniosła oczy w górę:

– Pan Bóg taki miłosierny! taki dobry, że...

I mimo wszelkich wysileń poczęła łkać, albowiem stłumiona trwoga i rozpacz zmieniły się w niej teraz w radość i znalazły ujście we łzach. W tej szlachetnej i uduchowionej naturze

wrodzona egzaltacja psuła wiecznie spokojny rozmyśl, skutkiem czego pani Emilia nie zdawała sobie w niczym sprawy z istotnego stanu rzeczy, i teraz na przykład nie miała najmniejszej wątpliwości, iż choroba Litki skończyła się raz na zawsze tym ostatnim atakiem i że odąd pocznie się dla niej okres zupełnego zdrowia.

Połaniecki zaś nie miał ani ochoty, ani serca wskazywać jej pośredniej drogi między rozpaczą a radością. Serce wezbrało mu dla niej wielką litością i przyszła na niego jedna z takich chwil, w której odczuwał wyraźniej niż zwykle, jak głęboko, chociaż bezinteresownie, jest przywiązany do tej egzaltowanej i idealnej kobiety. Gdyby była jego siostrą, byłby ją objął i przycisnął do piersi, tymczasem ucałował jej delikatne, wychudłe ręce i rzekł:

– Chwała Bogu, chwała Bogu! Niech droga pani teraz o sobie pomyśli, a ja idę do małej i nie ruszę się, póki się nie obudzi.

I poszedł. W pokoju Litki panował mrok, bo żaluzje były spuszczone, a na dworze słońce już zachodziło, więc tylko przez szpary pomiędzy deszczułkami przedzierało się nieco czerwonych promieni, które niedostatecznie rozświecały pokój i które wkrótce znikły, albowiem, niebo poczęło się chmurzyć. Litka spała głębokim snem. Połaniecki siadłszy przy niej począł wpatrywać się w jej uśpioną twarz i w pierwszej chwili serce mu się ścisnęło bolesnym, uczuciem. Litka leżała na wznak, z główką zwrócona do sufitu; biedne, cienkie jej rączka leżały bezwładnie na kołdrze, oczy były zamknięte, a pod oczyma głębokie cienie od rzęs. Jej.. bladość, która w tym czerwonym półmroku wydawała się jak woskowa, i otwarte usta, a wreszcie i głębokie uśpienie nadawały jej twarzyczce pozór takiego spokoju, jaki mają twarze umarłych. Lecz ruch szlerek, którymi obszyty był jej nocny kaftanik, wskazywał, że dziecko żyje i oddycha. Oddech był nawet spokojny i bardzo regularny. Połaniecki długi czas wpatrywał się w tę chorą twarz i raz jeszcze odczuł z całą siłą to, co odczuwał często, gdy o sobie rozmyślał: mianowicie, że natura stworzyła go na ojca, że obok wybranej kobiety, dzieci mogłyby być niezmierną miłością jego żyda, jego głównym celem i powodem jego istnienia... Zrozumiał to przez litość i miłość, jaką w tej chwili odczuwał dla Litki, która, obca pochodzeniem, była mu w tej chwili tak droga jak rodzone dziecko. „Gdyby mi ją oddano na własność – pomyślał – gdyby jej zbrakło matki, wziąłbym ją na zawsze i uważałbym, że mam dla czego żyć.”

I czuł również, że gdyby można było wejść w targ ze śmiercią, oddałby jej siebie bez wahania, byle wykupić to „kociątko”, nad którym teraz ta śmierć zdawała się unosić jak drapieżny ptak nad gołębiem. Ogarnęła go tkliwość, jakiej dotychczas nie doświadczał, i ów człowiek, z charakteru raczej szorstki i prędko, gotów był całować ręce i główkę tego dziecka, w najtkliwszej pieśczości, takiej, na jaką nie każde nawet serce kobiece zdobyć by się mogło.

Tymczasem pociemniało. Po chwili weszła pani Emilia osłaniając dłonią błękitną lampkę nocną.

– Śpi? – spytała cicho, stawiając lampkę na stoliku za głową Litki.

– Śpi – odpowiedział równie cicho Połaniecki.

Pani Emilia wpatrzyła się w uśpioną.

– Widzi pani – szepnął dalej Połaniecki – jak oddycha równo i spokojnie. Jutro będzie zdrowsza i silniejsza.

– Tak! – odpowiedziała z uśmiechem.

– Teraz na mamę kolej. Spać! spać! bo inaczej zacznę zrzędzić okropnie.

Jej oczy śmiały się ciągle do niego z wdzięcznością. W łagodnym, błękitnym świetle lampki nocnej wyglądała jak zjawisko. Twarz miała zupełnie anielską i Połaniecki mimo woli pomyślał, że i ona, i Litka, wyglądają istotnie jak jakieś zaziemskie postacie, które przez czysty wypadek zabłąkały się na ten świat.

– Tak – odpowiedziała. – Teraz odpocznę. Przyszła Marynia Pławicka i profesor Waskowski. Marynia chce koniecznie zostać.

- To tym lepiej. Ona tak dobrze chodzi koło małej. Dobranoc pani.
- Dobranoc.

Połaniecki został znów sam i zaczął myśleć o panie Maryni. Na samą wiadomość, że ją za chwilę zobaczy, nie mógł już myśleć o czym innym, i teraz oto stawiał sobie pytanie: w czym leży ta dziwna tajemnica natury, na, mocy której on na przykład nie pokochał pani Emilii, stanowczo piękniejszej od Maryni, prawdopodobnie lepszej, słodszej, zdolniejszej do kochania – tylko tamtą dziewczynę, którą bez porównania mniej znał i słusznie lub niesłusznie mniej czcił? A jednak przy każdym zbliżeniu się z Marynią budziły się w nim natychmiast te wszystkie porywy, które mężczyzna odczuwać może na widok wybranej kobiety, podczas gdy tak prawdziwie kobieca postać jak pani Emilii nie czyniła, na nim innego wrażenia, niż gdyby była malowidłem lub rzeźbą... Dlaczego tak jest i dlaczego, im więcej w człowieku kultury, im bardziej nerwy jego stają się subtelne, a wrażliwość większa, tym większą czyni różnicę między kobietą a kobietą? Połaniecki nie miał na to innej odpowiedzi, jak owa, którą dał ów doktor zakochany w panie Krasławskiej: „Ja patrzę na nią trzeźwo, tylko nie mogę od niej duszy oderwać.” Było to raczej stwierdzenie zjawiska niż odpowiedź, na którą zresztą nie miał czasu, gdyż w tejże chwili panna Marynia wsunęła się do pokoju.

Skinęli sobie wzajem głowami, po czym on podniósł fotel i postawił go cicho przy łóżku Litki dając na migi panie Maryni, znać, żeby siadła. Ona pierwsza poczęła mówić, a raczej szeptać:

- Niech pan pójdzie teraz na herbatę. Profesor Waskowski tam jest.
 - A pani Emilia?
 - Nie mogła już wysiedzieć. Mówiła, że aż jej samej dziwno, ale musi iść spać.
 - Ja wiem, dlaczego. Doktor ją zahipnotyzował i dobrze zrobił. Mała naprawdę lepiej.
- Panna Marynia spojrzała mu w oczy, lecz on powtórzył:
- Naprawdę lepiej... jeśli atak nie wróci, a jest nadzieja, że nie wróci.
 - Ach! Bogu chwała... Niech pan. teraz pójdzie na herbatę.
- Lecz on wolał tak oto szeptać do niej z bliska i poufnie, więc odrzekł:
- Dobrze, dobrze, ale później. Umówmy się przy tym tak, by i pani mogła wypocząć. Słyszałem, że ojciec pani był chory. Pewno pani i nad nim czuwała.
 - Ojciec zdrow już, a ja chcę koniecznie zastąpić Emilkę. Mówiła mi, że jej służba nie spała także całą zeszłą noc, bo stan małej był już przed atakiem niepokojący... Trzeba, żeby teraz ktoś ciągle czuwał, więc ja bym chciała tak to urządzić, żebyśmy – ja, pan i Emilka – zastępowali się kolejno.
 - Dobrze. Ale dziś już zostanę. Jeśli nie tu, to będę w sąsiednim pokoju na podorędziu.

Kiedy pani dowiedziała się o ataku?

- Nie wiedziałam nic. Przyszłam, jak zwyczajnie wieczorem dowiedzieć się, co słychać.
- A do mnie przybiegł służący pani Emilii, w czasie gdy jadłem obiad. Wyobrazi sobie pani łatwo, jakem tu leciał nie byłem pewny, czy ją znajdę jeszcze przy życiu. Co jest przy tym dziwnego, to, że w czasie obiadu rozmawialiśmy prawie ciągle o Litce z Bukackim i Waskowskim, zanim przyszedł Maszko z oznajmieniem o swoim małżeństwie.
- Pan Maszko się żeni?
- Tak. Jeszcze nowina się nie rozeszła, ale on sam oznajmił nam ją uroczyście. Żeni się z panną Krasławską, pamięta pani? Z tą, która to była wówczas u Bigielów. To dobra partia dla Maszki – panna Krasławska...

Nastała chwila milczenia. Panna Marynia, która, nie kochając Maszki, odrzuciła jego rękę, ale która niejednokrotnie wyrzucała sobie swoje względem niego postępowanie, w przypuszczeniu, iż naraziło go ono na zawód i cierpienia, mogła znaleźć tylko pociechę w wiadomości, że młody adwokat przeniósł cios tak łatwo. Jednakże wiadomość o tym zdziwiła ją na razie i ubodła. Kobiety, gdy z kimś współczują, chcą po pierwsze, by ów ktoś był

naprawdę nieszczęśliwy, a po wtóre, chcą same łagodzić nieszczęście; gdy się pokaże, że potrafi to uczynić i kto inny, doznają pewnego rozczarowania. Miłość własna panny Maryni została także podwójnie dotknięta. Nie sądziła, by tak łatwo było o niej zapomnieć, a przy tym musiała przyznać, że wyobrażenie jej o Maszce, jako o wyjątkowym człowieku, nie miało żadnej podstawy. Był on dla niej dotychczas rodzajem tuza w partii przeciw Połanieckiemu – teraz przestał nim być. Czuli się więc, bądź co bądź, nieco upokorzona. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie oświadczyć z pewnym akcentem prawdy Połanieckiemu, że jego nowina sprawia jej szczerą i głęboką radość, ale w gruncie rzeczy odczuwała i ku niemu jakby rodzaj urazy za to, że ją powiedział.

Połaniecki od pewnego czasu postępował z nią bardzo powściągliwie i w niczym nie zdradzał się z tym, co się w nim działo. Nie udawał zbytniego chłodu; ponieważ musieli się spotykać, więc w obejściu się z nią zachował nawet pewną życzliwą swobodę, ale ona właśnie dlatego sądziła, że przestał ją kochać. I taka jest natura ludzka, że, jakkolwiek dawna uraza ciągle żyła, a nawet zwiększała się w duszy panienki, jakkolwiek pierwsze rozczarowanie zmieniło się jakby w źródło sączące coraz nową gorycz, przecie ta myśl, że niechęć jej jest mu już obojętną, drażniła pannę Marynię. Teraz zdawało jej się, że Połaniecki musi jednak tryumfować nad jej pomyłką co do Maszki i nad tym, że bądź co bądź ona, która przed niedawnym czasem miała wybór między Maszką a nim, obecnie go nie ma, i że zostaje jakby w pewnym opuszczeniu, trochę upokarzającym.

On zaś daleki był od takich myśli. Rad był wprawdzie, że Marynia pozna, iż wywyższając nad niego Maszkę, myliła się gruntownie, ale ani mu się śniło cieszyć albo tryumfować z powodu jej osamotnienia, bo w każdej chwili i więcej niż kiedykolwiek gotów był otworzyć jej ramiona, przycisnąć ją do piersi i kochać. Pracował on wprawdzie nad złamaniem w sobie uczucia wytrwale i nawet z zawziętością, ale czynił to wyłącznie dlatego, że nie widział przed sobą żadnej nadziei, a poczytywał za rzecz uchybiającą swojej godności męskiej wkładać wszystkie siły duszy i serca w uczucie nieodwzajemnione. Chciał wedle własnego wyrażenia „nie dać się”, i nie dawał się, jak umiał, ale pojmował to doskonale, że taka walka nuży, wyczerpuje i że gdy nawet kończy się zwycięstwem, przynosi, zamiast szczęścia, pustkę. A oprócz tego, daleko mu było do zwycięstwa. Po wielkich wysileniach doszedł wreszcie do tego tylko, że jego uczucie pomieszało się z goryczą. Ferment taki rozkłada wprawdzie miłość, z tej prostej przyczyny, że ją zatrui, i z czasem mógł ją rozłożyć w sercu Połanieckiego. Ale na razie, co za znikomy rezultat! Teraz oto, siedząc nie opodal Maryni i patrząc na jej twarz: i głowę, oświetloną bladym światłem lampki, mówił sobie w duszy: „Gdyby tylko chciała!” Myśl ta złościła go, ale chcąc być z sobą szczerzy musiał przyznać, że gdyby tylko chciała, pochyliłby się do jej nóg z największą gotowością. Więc co za znikomy rezultat a zarazem co za bezdroże! Jednocześnie bowiem czuł, iż nieporozumienie między nimi tak już wyrosło, iż gdyby Marynia nawet chciała powrotu takich chwil, jakie spędzili w Krzemieniu, to miłość własna i obawa, by nie stanąć względem samej siebie w sprzeczności, zamknęłyby jej usta. Stosunek ich tak się już powikłał, że prędzej jeszcze mogliby pokochać się niż porozumieć.

Po krótkiej rozmowie zapadła między nimi cisza przerywana tylko oddechem chorego dziecka i lekkim a posępnym dźwiękiem szyb, w które zaciął drobny deszcz. Na dworze uczyniła się noc wilgotna, jesienna, niosąca z sobą ucisk, smutek, pesymizm i zniechęcenie. Równie smutno wyglądał ów pokój, w którego mrocznych kątach zdawała się czaić śmierć. Godzina płynęła za godziną, coraz wolniej. Połanieckiego ogarnęły nagle złe przeczucia. Spojrzał na Litkę i naraz wydało mu się szaleństwem przypuszczenie, że ona może żyć. Próżne czuwanie! próżne nadzieje! próżne złudzenia! To dziecko musi umrzeć! musi, tym bardziej im jest droższe, słodsze, im bardziej kochane! Za nią pójdzie pani Emilia – i potem będzie pustka prawdziwie beznadziejna! Co za życie! Oto on, Połaniecki, ma te dwie jedyne istoty na świecie, które go kochają, dla których jest czymś, więc oczywiście musi je stracić!

Przy nich byłoby się o coś zahaczyć w życiu, bez nich – zostaje jedna nicość i jakaś przyszłość ślepa, głucha, bezrozumna, z twarzą idioty...

Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć, i jego energia zwraca się przeciw życiu. Taka chwila przyszła na Połanieckiego. „Nie wiem ostatecznie, dlaczego bym nie miał sobie w łeb palnąć – pomyślał – nie z rozpacz za nimi, ale z powodu nicości bez nich. Jeśli życie ma być bezsens, nie ma dobrej racji, by na bezsens pozwolić – chyba przez, ciekawość, do jakiego, stopnia dojść może.”

Lecz ta myśl nie zjawiała się w nim jako zamiar. Było to raczej targnięcie za łańcuch nieszczęść człowieka, który się zżyma: chwila gniewu szukającego, przeciw komu by się zwrócić. W Połanieckim zwrócił się on nagle na Marynię. Sam on nie wiedział, dlaczego wydało mu się nagle, że wszystko, co się dzieje złego, dzieje się z jej powodu, że ona wniosła w ich kółko niechęć, której nie było, zmartwienie, którego nie było, że rzuciła jakby jakiś kamień w ich gładką wodę, i teraz fale, rozszerzając się coraz bardziej, ogarniają nie tylko jego, ale i panią Emilię, i Litkę. Jako, człowiek rządzący się rozsądkiem, nie nerwami, rozumiał całą czczość tego rodzaju zarzutów, a jednak nie mógł oprzeć się wspomnieniu, że nim Marynia przyjechała, było wszystko lepiej, a jeszcze o tyle nawet lepiej, że ową przeszłość mógł uważać jako szczęśliwy okres życia. Kochał oto wówczas tylko Litkę, takim jasnym, ojcowskim uczuciem, które nie przyniosło i nie mogło przynieść jednej chwili goryczy. Kto wie przy tym, czy z czasem nie byłby potrafił pokochać pani Emilii! Ona wprawdzie nie miała dla niego innych uczuć, tylko przyjazne, ale może jedynie dlatego, że innych nie pragnął. Nieraz szlachetne kobiety wyrzekają się uczuć wychodzących poza granicę przyjaźni, by nie utrudniać i nie plątać życia komuś, kto mógłby być drogim, ale nie chce. Wówczas w głębi ich duszy leży cichy, ukryty smutek, znajdują jednak słodycz i pociechę w tkliwości, na jaką przyjaźń pozwala.

Połaniecki poznawszy Marynię oddał jej zaraz najlepszą część uczuć. Po co? Dlaczego? Tylko na zgryzotę sobie. Teraz, na domiar nieszczęścia, ta Litka, która była jedynym promykiem jego życia, umierała lub mogła umrzeć każdej chwili. Połaniecki znów wpatrzył się w nią i w duszy mówił jej:

„Zostań choć ty, dziecinko! ty nie wiesz jakaś potrzebna i mnie, i matce. Niech Bóg broni, co za życie będzie bez, ciebie, drogie stworzenie!”

Nagle spostrzegł, że oczy dziewczynki patrzą na niego.

Przez chwilę myślał, że się łudzi, i nie śmiał się poruszyć, lecz mała poczęła się uśmiechać i wreszcie wyszeptwała:

– Pan Stach...

– To ja, Lituś! Jak się czujesz?

– Dobrze, a gdzie mama?

– Zaraz przyjdzie. Wojowaliśmy z nią ogromnie, żeby poszła spać, i ledwieśmy ją namówili.

Litka zwróciła głowę i spostrzegłszy pannę Marynię rzekła:

– A, to ciocia Marynia?

Od pewnego czasu mała mówiła jej: ciociu.

Panna Marynia wstała i wzięwszy flaszeczkę, stojącą na szafce nocnej, poczęła nalewać pod światło lampki krople na łyżeczkę, następnie podała je Litce, a gdy dziewczynka skończyła pić, przycisnęła usta do jej czoła.

Nastała chwila milczenia, po czym dziecko rzekło jakby samo do siebie:

– Nie trzeba mamy budzić.

– Nie, nikt nie będzie budził – odpowiedział Połaniecki. – Wszystko tak będzie, jak Lituś chce.

I począł gładzić jej rączkę leżącą na kołdrze.

Ona zaś patrzyła na niego powtarzając, jak miała zwyczaj:

– Pan Stach... pan Stach...

Przez chwilę zdawało się, że usnie, ale dziecko widocznie rozmyślało o czymś z wielkim wysileniem, albowiem brwi jego podnosiły się do góry; wreszcie, otworzywszy oczy, jąła spoglądać kolejno to na Połanieckiego, to na pannę Marynię.

W pokoju słychać było tylko dźwięk deszczu o szyby.

– Co ci jest, dziecinko? – spytała panna Marynia.

Ona zaś, złożony ręce, wyszeptala ledwie dosłyszalnym głosem:

– Bo ja mam wielką, wielką prośbę do cioci Maryni, ale... nie śmiem powiedzieć.

Panna Marynia pochyliła ku niej swoją łagodną twarz.

– Mów, moje kochanie! Wszystko zrobię, co zechcesz.

Wówczas dziewczynka, chwyciwszy jej dłoń i przycisnąwszy do niej usta, wyszeptala:

– Żeby ciocia Marynia kochała pana Stacha.

W ciszy, jaka nastala po tych słowach, słychać było tylko przyspieszony nieco oddech dziewczynki; wreszcie ozwał się spokojny głos panny Maryni:

– Dobrze, kochanie.

Połanieckiego schwycił nagle za gardło spazm płaczu. Wszystko, nie wyłączając panny Maryni, znikło mu z oczu wobec tego dziecka, które w takiej chwili, chore, bezsilne i wobec śmierci, myślało tylko o nim.

Litka zaś pytała dalej:

– I ciocia wyjdzie za pana Stacha?

W świetle błękitnej lampki twarz panny Maryni wyglądała bardzo blado, usta jej drżały, ale odrzekła bez wahania:

– Tak jest, Lituś.

Dziewczynka podniosła po raz wtóry do ust jej rękę. Główka jej opadła znów na poduszkę i czas jakiś leżała z zamkniętymi powiekami, po chwili jednak dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Nastala teraz jeszcze dłuższa cisza. Deszcz bił w szyby. Połaniecki i panna Marynia siedzieli bez ruchu, bez spojrzenia na siebie, jakby posnęli. Czuli tylko oboje, że losy ich przeważały się tej nocy, ale byli jakby ogłuszeni tym, co zaszło. W chaosie myśli i uczuć żadne z nich nie umiało ni uświadomić, ni określić, co się w nim dzieje.

I w tym milczeniu, w tym instynktownym milczeniu, by wypadkiem nie spojrzeć sobie w oczy, godzina poczęła płynąć za godziną. Zegary wybiły północ, potem pierwszą; koło drugiej pani Emilia wsunęła się jak cień do pokoju.

– Śpi? – spytała.

– Nie, mamusiu – odpowiedziała Litka.

– Dobrze ci jest?

– Dobrze, mamusiu.

I gdy pani Emilia usiadła przy niej na łóżku, mała objęła rączkami jej szyję i tuląc swoją płową główkę do jej piersi rzekła:

– Ja teraz, mamusiu, wiem, że jak chore dziecko o co prosi, to mu nigdy nie odmawiają.

I czas jakiś przytulała się jeszcze do matki w milczeniu, po czym, przeciągając każde słowo jak czynią dzieci senne lub bardzo osłabione, rzekła:

– Pan Stach nie będzie więcej smutny i powiem mamusi dlaczego...

Lecz tu główka jej poczęła ciążyć na piersiach matki, i pani Emilia uczuła zimny pot występujący zarówno na ręce dziecka, jak na jego skroni.

– Lituś! – zawołała cichym, przerażonym głosem.

A dziewczynka poczęła mówić:

– Tak mi dziwnie! tak słabo!...

Myśli jej poczęły się widocznie mącić, gdyż po chwili mówiła dalej:

– O! morze płynie! Takie duże morze, i my wszyscy

po nim płyniemy! Mamo, mamol... I przyszedł znowu atak, straszny, niemiłosierny. Ciało dziewczynki wyprężyło się w konwulsji, a źrenice jej uciekły w tył głowy. Nie było się już co ludzi: nadchodziła śmierć, czuć ją było w bladym świetle lampki i w mrocznych kątach pokoju, w dźwięku szyb bitych deszczem i w szumie wiatru pełnym przerażających głosów i wołań.

Połaniecki zerwał się i pobiegł po doktora; po kwadransie wrócili obaj, niepewni wobec zamkniętych drzwi pokoju, czy dziecko żyje jeszcze, i znikli w nich natychmiast, naprzód Połaniecki, potem doktor powtarzający od chwili, gdy go wyciągnięto z łóżka, jeden frazes:

– Chyba wzruszenie czy przestrasz?

Kilkoro ludzi ze służby o twarzach sennych i przerażonych zgromadziło się pode drzwiami, nasłuchując – i w całym mieszkaniu nastąpiła cisza, długa, ciężka jak ołów.

Przerwała ją wreszcie Marynia, która pierwsza wyszła z zamkniętego pokoju, z twarzą bladą jak płótno i trzęsącym się głosem rzekła spiesźnie:

– Wody dla pani! Panienska nie żyje!

XIX

Jesień w ostatnich swych dniach uśmiechała się jeszcze czasem do ludzi ogromnie smutno, ale zarazem i pogodnie jak umierająca na suchoty kobieta. W taki pogodny dzień wypadł właśnie pogrzeb Litki. Jest w tym boleść pomieszana z pewną pociechą, że ludzie, którzy zostają, myślą i czują w dalszym ciągu za swoich zmarłych. Połanieckiego, który zajmował się pogrzebem, ów pogodny i smutny dzień przejął jeszcze większym smutkiem, ale podstawiając się w uczucia Litki, pomyślał, że dziecko właśnie by sobie takiego dnia życzyło – i znalazł w tym pewną ulgę. Aż do tej chwili nie umiał wprost zmierzyć głębi swojego żalu. Taka świadomość przychodzi później, a zaczyna się dopiero wówczas, gdy kochana istota zostaje na cmentarzu, a człowiek wraca sam do pustego domu. Prócz tego, zajęcia pogrzebowe pochłonęły Połanieckiemu wszystek czas. Życie otoczyło sztucznymi formami i utrudniło nawet tak prosty akt, jakim jest śmierć. Połaniecki chciał oddać Litce jeszcze tę ostatnią usługę, którą zresztą nie miał się kto zająć. Wszystkie te sprężyny życia, na mocy których człowiek myśli, postanawia i działa, zostały w pani Emilii przez śmierć dziecka podcięte. Wiatr okazał się tym razem zbyt silny na wełnę jagnięcia. Na szczęście jednak, zbyt wielka boleść zabija samą siebie, albowiem odrętwia serce ludzkie. To stało się z panią Emilią. Połaniecki zauważył, że panującym wyrazem jej twarzy i oczu było bezmierne, zastygłe przerażenie. Jak w oczach jej nie było łez, tak w ustach słów, tylko jakiś szept, tragiczny i zarazem dziecinny, dowodzący, że myśl jej nie ogarnia nieszczęścia, lecz krąży wokół towarzyszących mu drobiazgów, czepia się ich i otacza je troskliwością taką, jakby dziecko żyło jeszcze. W pokoju, zmienionym w żałobną świetlicę, Litce uspiionej wśród kwiatów na atlasowej poduszce nie mogło braknąć niczego; tymczasem zdziecinniałe z bólu serce matki zwracało się ustawicznie do tego, czego dziecku mogło braknąć. Gdy ją próbowano oderwać od ciała, nie stawiała oporu, tylko traciła resztę przytomności i poczyniała jęczeć, jakby jej zadawano ból nad siły.

Połaniecki i Chwastowski, brat męża, który przybył przed samym pogrzebem, usiłowali ją wyprowadzić w chwili, gdy Litkę przykrywano wiekiem; lecz gdy pani Emilia poczęła wołać małej po imieniu, obydwom nie stało odwagi. Kondukt ruszył wreszcie, wśród pochodni, liczny, ciągnący za sobą ogon karet, poprzedzany przez: księży i posepny śpiew, a z miejsca otoczony gromadą ciekawych, którzy w nowożytnych miastach tak pasą oczy ludzką boleścią, jak w starożytnych pasiono je ludzką krwią po cyrkach. Pani Emilia prowadzona przez brata męża, mając obok siebie Marynię, szła tuż za karawanem, z twarzą suchą i bezduszną. Oczy

jej widziały teraz tylko jeden szczegół i myśl zajmowała się nim wyłącznie. Oto zdarzyło się, że jedno pasemko płowych, niezmiernie obfitych włosów Litki zostało na zewnątrz trumny. Pani Emilia przez, całą drogę nie spuszczała z niego oczu, powtarzając co chwila: „O Boże, Boże! przycięli dziecku włosy!”

W Połanieckim żal, zmęczenie, nerwowy rozstrój z powodu bezsenności – zmieniły się w poczucie tak nieznośnego ciężaru, że chwilami chwytala go nieprzewyciężona chęć zawrócić z pół drogi, pójść do siebie, rzucić się na jaką sofę, nie myśleć o niczym, nie chcieć niczego, nie kochać nikogo, nie czuć nic. I jednocześnie ten odruch samolubstwa dziwił go i oburzał przeciw sobie samemu; jednocześnie wiedział, że nie zawróci, że wypije ten. kielich aż do dna, pójdzie aż do końca, nie tylko dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że żal za Litką i przywiązanie do niej będą silniejsze od egoizmu. Czuł też teraz doskonale, że wszystkie inne jego uczucia skurczyły się, zwiędły i że dla całego świata ma w sercu, w tej przynajmniej chwili, wielkie nic. Zresztą jego myśli i uczucia wpadły w zupełny bezład, złożony z wrażeń zewnętrznych, uświadamianych bardzo pobieżnie, ze spostrzeżeń czynionych me wiadomo dłaczego i pomieszanych zupełnie mechanicznie z uczuciem żalu i zmartwienia. Chwilami patrzył na domy, koło których przechodził kondukt, i rozróżniał ich kolory; chwilami wpadał mu w oczy jakiś szyld sklepowy, który odczytywał nie wiedząc, z jakiego powodu to. czyni; to znów myślał, że oto księża przestali śpiewać, ale zaraz zaczną, i czekał tego ponownego zerwania się żałobnych głosów jakby z pewną obawą. Czasem rozumował talk jak człowiek, który budząc się ze snu chce sobie zdać sprawę z rzeczywistości: „To są domy – mówił sobie – to szyldy, to zapach smoły z pochodni, a tam w górze leży Litka, i idziemy na cmentarz...” I nagle zrywała się w nim fala żalu za tym słodkim, kochanym dzieckiem, za tą drogą główką, która tyle razy uśmiechała się do niego. Przypominał ją sobie z dawniejszych i z ostatnich czasów; przypominał z Reichenhallu, gdy ją niósł wracając z Thumsee; a dalej na wsi u Bigielów i w mieszkaniu pani Emilii, gdy mówiła, że chciałaby być brzózką – i wreszcie, gdy na kilka godzin przed śmiercią prosiła Maryni, by za niego wyszła. Połaniecki nie mówił sobie wprost, że Litka kochała się w nim jak dorosła kobieta i że zaręczając go z Marynią uczyniła akt ofiary, bo i w rzeczywistości nieuświadomione uczucia dziewczynki nie dałyby się może tak ściśle określić; czuł jednak doskonale, że było to coś podobnego i że ofiara miała miejsce, wypłynęła zaś z tego głębokiego i wyjątkowego przywiązania, jakie dziecko dla niego czuło. Ponieważ stratę najdroższych nawet osób odczuwa się przeważnie za pomocą szkody, jaką się osobiście ponosi, więc Połaniecki jał teraz powtarzać sobie: „To była jedyna dusza prawdziwie mnie kochająca! Nie mam teraz nikogo na całym świecie...” I podniósłszy oczy na trumnę, ku temu pasemku płowych włosów, które kołysało się w powietrzu, począł wołać w duszy na Litkę tymi wszystkimi tkliwymi wyrazami, którymi przemawiał do niej za życia. Wreszcie uczuł, że łyż duszą go, gdyż to jest wołanie bez echa. Jest coś rozdzierającego w obojętności zmarłych. Gdy istota, która odczuwała każde słowo i każde spojrzenie, staje się obojętną, kochająca – lodowatą, bliska w codziennym szyciu i najbliższa w sercu – uroczystą i daleką, nic nie pomoże powtarzać sobie: „śmierć! śmierć!” Obok całej boleści, płynącej ze straty, czuje się jeszcze jakby rozdzierający zawód, jakby serdeczną krzywdę wyrządzoną przez to martwe ciało, które pozostaje głuchymi na naszą boleść, nasze wołanie. Połaniecki miał również na dnie duszy uczucie, że Litka odejmując mu się i idąc w kraj śmierci wyrządziła mu jakby krzywdę, a przy tym z istoty bliskiej stała się daleką, z poufałej uroczystą – czymś odległym, wysokim, świętym, a zarazem zupełnie obojętnym na rozpacz matki i na głębokie osamotnienie najbliższego przyjaciela. Było w tych uczuciach Połanieckiego wiele egoizmu, ale gdyby nie ów egoizm, który przede wszystkim własną stratę i własne opuszczenie ma na myśli – ludzie, zwłaszcza wierzący w zagrobowe życie i w zagrobowe szczęście, nie żałowaliby umarłych.

Kondukt wyszedł wreszcie z miasta na otwartzsze, widniejsze przestrzenie i za rogatką posuwał się wzdłuż cmentarnego muru przybranego w girlandy żebraków i w girlandy z

nieśmiertelników i z choiny, przeznaczone na groby. Szeregi księży w białych komzach, służba pogrzebowa z pochodniami, karawan z trumną i ludzie idący za nim zatrzymali się przed bramą, po czym zdjęto Litkę, i Połaniecki, Bukacki, Chwastowski i Bigiel ponieśli ją do grobu ojca.

Ta cisza i pustka, która po każdym pogrzebie czeka dopiero w domu na ludzi wracających od świeżych grobów, zdawała się tym razem poczynać już na cmentarzu. Dzień był pogodny, blady; z drzew tu i ówdzie spływały bez szelestu ostatnie pożółkłe liście; orszak pogrzebowy zmalął wśród tych rozległych bladych przestrzeni, które usiane krzyżami, zdawały się nie mieć końca, jakby naprawdę cmentarz ów otwierał się na nieskończoność. Czarne, bezlistne drzewa, o wierzchołkach złożonych z cienkich i jakby roztopionych w świetle gałązek, podobne do widziadeł szare i białe pomniki, zwiędłe liście pokrywające długie i proste aleje, wszystko to razem czyniło istotnie wrażenie jakichś Pól Elizejskich, pełnych głębokiego spokoju, ale i głębokiej sennej melancholii, jakichś „miejsc zimnych i smutnych”, o których marzyła posępna głowa Cezara i którym miała teraz przybyć jedna więcej *animula vagula*.

Trumna stanęła wreszcie nad otwartym grobem. Ozwało się rozdzierające: *Requiem aeternam*, a następnie: *Anima eius*. Połaniecki przez chaos swych myśli i wrażeń oraz przez zasłonę własnego żalu widział, jak we śnie, skamieniałą twarz i szklane oczy pani Emilii, łązy Maryni, które go drażniły w tej chwili, blade policzki Bukackiego, z którego rysów widać było wyraźnie, że jego życiowa filozofia, nie mając nic do roboty na tym cmentarzu, opuściła go przed bramą – i trumnę z Litką. Gdy na wieko rzucono garść piasku, on poszedł za przykładem innych, gdy zaś po spuszczeniu na pasach trumny w głąb grobu zamykano kamienne drzwi, znów porwało go coś za gardło, tak że wszystko, o czym myślał i co uświadamiał dzisiaj, zmieniło się w jedną nicość. W duszy powtarzał proste słowa: „Do widzenia, Lituś!” – które później, gdy je sobie przypominał, wydały mu się również niczym w stosunku do jego męczącej duchowej burzy – i na tym koniec. Orszak pogrzebowy zaczął się zmniejszać i topnieć. Połanieckiego rozbudził po jakimś czasie wiatr, który nadciągał z dala, spomiędzy krzyżów. Przy grobie spostrzegł teraz panią Emilię z Marynią, Bigielową, Waskowskim i stryjem Litki. Powiedział sobie, że wyjdzie ostatni – i czekał, powtarzając znów w duszy słowa: „Do widzenia, Lituś!” – myśląc o śmierci, o tym, że on także przyjść musi do tego miasta nagrobków i że to jest ocean, w który spłyną wszystkie myśli, zabiegi, uczucia... Wydało mu się teraz, jakby on i wszyscy, co tam stali przy tym grobie lub odeszli, byli na okręcie, który dąży wprost do przepaści. O życiu pozagrobowym w tej chwili nie myślał.

Tymczasem nadszedł prędko jesienny zmrok. Krzyże stały się jeszcze bledsze. Stary profesor i Chwastowski poprowadzili panią Emilię ku drzwiom cmentarnym, bez żadnego z jej strony oporu. Połaniecki powtórzył raz jeszcze: „Do widzenia, dziecinko!” – i wyszedł.

Za bramą pomyślał:

– Szczęściem, że matka nieprzytomna, bo co za straszna myśl, że dziecko zostało tam samo! Zmarli opuszczają nas, ale i my ich opuszczamy.

Jakoż z dalia ujrzał: karetę, w której odjeżdżała pani Emilia – i wydawało mu się, że taki porządek rzeczy na świecie ma w sobie coś oburzającego.

Sam jednak wsiadłszy do dorożki doznał chwili egoistycznej ulgi płynącej z poczucia, że skończył się jakiś akt męczący i ciężki, po którym nastąpi odpoczynek. Po powrocie własne mieszkanie wydało mu się czcze, bez promyka wesołości, bez otuchy i nadziei; ale gdy przy herbacie wyciągnął się na sofie, ogarnęło go zwierzęce zadowolenie z wypoczynku po trudzie – uczucie ulgi, a nawet jakby zadowolenie z tego, że pogrzeb skończony i Litka pochowana, ogarnęło go po raz drugi. Przypominał sobie wówczas zdanie jakiegoś myśliciela: „Nie znam zbrodniarzy, znam tylko ludzi uczciwych – i ci są ohydni.” Połaniecki wydawał się sobie w tej chwili obrzydliwym.

Wieczorem przypomniał sobie, że trzeba dowiedzieć się jednak o panią Emilię, którą Marynia miała zabrać na kilka tygodni do siebie. Wychodząc spostrzegł na stole fotografię Litki i ucałował ją. W kwadrans później zadzwonił do Pławickich.

Służący powiedział mu, że *pan.* wyszedł, ale prócz pani Chwastowskiej jest profesor Waskowski i ksiądz Chylak. W saloniku przyjęła go Marynia, źle uczesana, z czerwonymi oczyma, prawie brzydka. Natomiast dawniejszy sposób jej obejścia się z nim zmienił się zupełnie, jakby Marynia zapomniała o wszystkich urazach wobec rzeczy bardziej nieszczęsnych.

– Emilka jest u mnie – zaczęła szeptać. – Złe się ma, ale zdaje się, że przynajmniej rozumie, co się do niej mówi. Jest przy niej profesor Waskowski... On tak z serca mówi... Czy pan chce koniecznie widzieć Emilkę?

– Nie, pani. Przyszedłem tylko dowiedzieć się, jak się ma, i zaraz idę.

– Nie wiem... może ona zechce pana zobaczyć. Niech pan chwilę odpocznie, a ja pójdę tam i wspomnę, że pan przyszedł. Litka tak pana kochała, że dla tego samego może Emilce będzie miło widzieć pana.

– Dobrze – rzekł Połaniecki.

Marynia odeszła do przyległego pokoju ale widocznie nie mogła zaraz zacząć rozmowy. Połanieckiego bowiem doszedł przez odemknięte drzwi nie jej głos, lecz głos Waskowskiego, pełen akcentów głębokiego przekonania, a przy tym jakby wysilenia, starającego się przebić pancerz nieczułości i bóleści.

Stary profesor mówił:

– To tak, jakby wyszła do drugiego pokoju po zabawkę – i jakby miała zaraz wrócić... Ona nie wróci, ale pani pójdziesz do niej. Moja droga pani, patrz na śmierć nie od strony ziemi, ale od strony Boga. Dziecko żyje i szczęśliwe, bo samo będąc w wieczności, patrzy na to rozłączenie się wasze jak na jedno mgnienie oka. Litka żyje – mówił dalej z naciskiem – żyje i szczęśliwa. Ona widzi, że pani idziesz ku niej, i wyciąga do ciebie ręce, i wie, że za chwilę nadejdiesz, bo ze strony Boga życie i boleść to mniej niż mgnienie oka – a potem wieczność, razem z Litką pomyśl, najdroższa pani – z Litką, w spokoju, w weselu... bez chorób, bez śmierci. Światy miną, a wy będziecie razem...

A Połaniecki pomyślał z goryczą:

„Dobrze by było, gdyby to było pewne...”

Po chwili zaś:

„Gdybym tak czuł, to bym miał po co tam wchodzić. Inaczej nie!”

Jednakże, wbrew tej myśli, wszedł nie czekając nawet na powrót Maryni, bo wydało mu się, że jeśli nie miał powodu, to miał powinność, i że nie wolno mu tchórzyć przed cudzą boleścią. Egoizm jest „bawelną w uszach od ludzkiego jęku”, a tłumaczy się sam przed sobą, że wielkiej bóleści nie można powiedzieć raić takiego, co by ją pocieszyło. Połaniecki rozumiał, że tak jest, i wstyd mu było cofać się wygodnie, zamiast pójść naprzeciw żalowi matki. Wszedłszy spostrzegł panią Emilię siedzącą na sofce; nad sofką stała lampa, a poniżej palma, która rzucała na tę nieszczęsną głowę cień, jakby olbrzymich rozpostartych nad nią palców. Przy parni Emilii siedział Waskowski i trzymając ją za ręce patrzył w jej twarz. Połaniecki odjął mu te ręce i pochyliwszy się ku nim, począł je w milczeniu do ust przyciskać.

Pani Emilia mrugała chwilę oczami, jak ktoś usiłujący rozbudzić się ze snu, po czym nagle zawołała z niespodziewanym wybuchem:

– Pamięta pan, jak ona...

I porwał ją płacz ogromny, przy którym ściskają się ręce, usta nie mogą tchu złapać i piersi pękają od łkań. W końcu zbrakło jej sił i zemdląca. Gdy przyszła znów do siebie, Marynia wyprowadziła ją do swego pokoju. Połaniecki z Waskowskim wyszli do przyległego saloniku, gdzie ich zatrzymał Pławicki, który tymczasem wrócił z miasta.

– Taka smutna osoba w domu – rzekł im – to bardzo psuje życie; należałoby mi się trochę spokoju i swobody, ale cóż robić, cóż robić!... Muszę zejść na drugi plan, i gotów jestem...

Po upływie pół godziny przysłała na chwilę Marynia z doniesieniem, że pani Emilia położyła się na jej prośby i że jest nieco spokojniejsza. Połaniecki i Waskowski poczęli się żegnać i wyszli.

Szli w gęstej mgłę, która nocą wstała od ziemi po dniu pogodnym, przesłaniając ulice i czyniąc koło latami różnobarwne kręgi. Obaj rozmyślali o Litce, która spędzała pierwszą noc z dala od matki, wśród zmarłych. Połanieckiemu wydało się to wprost straszne, nie dla Litki, ale dla pani Emilii, która musiała o tym myśleć. Rozważał sobie również słowa Waskowskiego, mówione do niej, i w końcu ozwał się:

– Słyszałem, co pan mówił... Jeśli jej to sprawiło ulgę, to dobrze; ale widzi pani, żeby to był pewnik, to powinniśmy sobie teraz... bo ja wiem?... chyba ucztę wyprawić i cieszyć się, że Litka umarła.

— A skąd wiesz, że się nie będziemy cieszyli po śmierci?

– To pan powiedz, skąd wiesz, że tak będzie?

– Ja nie wiem, ja wierzę.

Na to nie było co rzec, więc Połaniecki mówił jakby do siebie:

– Miłosierdzie, empiryjskie światło, wieczność – połączenie – a w rzeczywistości co? – trup dziecka na cmentarzu i matka, która wije się z bólu... Niechby śmierć rodziła przynajmniej tę pańską wiarę, ale ona rodzi zwątpienie. Bo panu jednak tego dziecka żal, a mnie jeszcze więcej, i ten żal wprost narzuca mi pytanie: dlaczego ona umarła? po co takie okrucieństwo? Wiem, że to głupie pytanie i że miliardy ludzi je sobie zadawały; ale jeśli to ma być pociecha, to niechże ją piorun trzaśnie! Wiem także, że nie znajdę odpowiedzi, ale dlatego chce mi się zgrzytać i kłać... Nie rozumiem – i buntuję się – ot, i wszystko! To cały skutek, którego i pan. nie możesz uznać za pożądany.

Waskowski odpowiedział również, jakby mówił sam do siebie:

– Chrystus zmartwychwstał, bo był Bogiem, ale jako człowiek i on przeszedł przez śmierć. Cóż ja, lichy robak, mogę innego uczynić, jak wielbić wolę i mądrość bożą w śmierci?

Na to Połaniecki odrzekł:

– Z panem nie ma co mówić.

– Ślisko jest – odrzekł Waskowski – podaj mi rękę.

I wzięwszy Połanieckiego pod ramię, wsparł się na nim i mówił dalej:

– Mój drogi! ty masz pocziwe i kochające serce, ty bardzo kochałeś tę małą, byłbyś wiele dla niej uczynił – nieprawda? – zróbże jeszcze to jedno: wierzysz czy nie wierzysz, zmów za nią: *Wieczny odpoczynek*. Jeśli myślisz, że jej się to na nic nie przyda, powiedz sobie: „Więcej jednak nic już dla niej nie mogę, a to jedno mogę...”

– Daj mi pan spokój! – odpowiedział Połaniecki.

– Jej to może być niepotrzebne, ale jej będzie miła pamięć twoja, ona będzie ci wdzięczna i wyprosi ci łaskę bożą.

Połaniecki wspomniał, jak Waskowski na wieść o ostatnim ataku Litki mówił, że życie dziecka nie może być bezcelowym i że jeśli ono ma umrzeć, to prawdopodobnie przeznaczanym mu jest przed śmiercią coś spełnić. I teraz chciał napaść z tego powodu na Waskowskiego, gdy nagle uderzyła go myśl, że jednak Litka przed śmiercią połączyła go z Marynią.

I mimo woli nasunęło mu się pytanie: „A może ona dlatego żyła?” Lecz w tejże chwili począł się buntować przeciw tej myśli. Chwycił go nagły gniew na Marynię, pełen zawziętości i niemal pogardy.

– Ja nie chcę tamtej za taką cenę – pomyślał ścisnąwszy zęby. – Nie chcę! Dość sam się przez się namęczyłem. Oddałbym takich dziesięć za jedną Litkę!

A tymczasem Waskowski, drepcąc koło niego, mówił:

– Nie widać nic na krok i kamienie oślizgły od mgły. Żeby nie ty, byłbym się już dawno przewrócił.

A Połaniecki ochłonął i odrzekł:

– Bo widzisz, panie profesorze, kto chodzi po ziemi, musi na dół patrzeć, nie do góry.

– Ty masz dobre nogi, mój kochany.

– I oczy, które widzą jasno, nawet w takiej mgle, która nas otacza. Bo my wszyscy żyjemy we mgle, a za nią licho wie, co jest. Wszystko, coś pan mówił, robi mi takie wrażenie, jakby ktoś kruszył suche gałązki, rzucał je w potok i mówił, że z tego będą kwiaty. Będzie zgnilizna i nic więcej... Mnie także coś ten potok porwał, z czego myślałem, że będzie kwiat. Głupstwo!... Ale, ot, pańska brama – dobranoc!

I rozstali się. Połaniecki wrócił do siebie ledwie żywy ze zmęczenia i położywszy się począł się w dalszym ciągu męczyć myślami, a raczej widzeniami. Naprzód stanęła mu przed oczyma obezwładniona bólem posilać pani Emilii, siedząca w saloniku Maryni pod liściem palmowym, który zwieszał się nad jej głową jak ogromna, złowroga ręka, z rozpostartymi, drapieżnymi palcami i rzucał cień na jej twarz. „Mógłbym nad tym filozofować do jutra rana – mruczał do siebie. – Wszystko, z czego się składa życie, to taka ręka, od której pada cień – nic więcej! Bo gdyby przy tym było jeszcze trochę miłosierdzia, to by to dziecko nie umarło – a tym, co mówi Waskowski, i wróbel się nie nakarmi.”

Tu jednak przypomniał sobie, iż Waskowski nie tylko mówił o śmierci, ale prosił go jeszcze, by zmówił za Litkę *Wieczny odpoczynek*. Połaniecki począł teraz walczyć z sobą. Brak głębszej wiary, by Litka mogła słyszeć jego *Wieczny odpoczynek* i by mógł on się jej na co przydać, zamykał mu usta. Czuł przy tym jakby pewien wstyd mówić słowa, które nie płynęły z głębi jego przekonania, a jednocześnie czuł taki sam wstyd nie uczynić tego. „Bo wreszcie, co ja wiem? – myślał. – Nic. Naokół mgła i mgła. Prawdopodobnie nic jej z tego nie przyjdzie, ale bądź co bądź jest to istotnie jedyna rzecz, którą mogę jeszcze uczynić dla mojego «kociątka», dla tego drogiego dziecka, które w dniu śmierci myślało o mnie.”

I czas jakiś wahał się jeszcze, po czym jednak klęknął na łóżku i mówił: *Wieczny odpoczynek*.

Nie przyniosło mu to wszelako żadnej pociechy, bo rozbudziło tylko tym większy żal za Litka, a jednocześnie złość na Waskowskiego za to, że go zapędził w położenie, w którym musiał albo wpaść w sprzeczność z samym sobą, albo zdradzić niejako Litkę. Poczul wreszcie, że ma dość tego rodzaju szarpaniny, i postanowił nazajutrz pójść od rana do biura i zająć się wraz z Bigielem pierwszą lepszą sprawą handlową, byle tylko oderwać myśl od tego bolesnego, błędnego koła, w którym się od kilku dni kręcił.

Lecz nazajutrz Bigiel uprzedził go i przyszedł sam do niego, może także w tym celu, by go zająć czym innym. Połaniecki rzucił się z pewną chciwością do rozpatrywania bieżących interesów – nie mogli jednak obaj z Bigielem długo się nimi zajmować, bo w godzinę później zjawił się Bukacki z pożegnaniem.

– Jadę dziś do Włoch, i Bóg wie, kiedy wrócę – rzekł. – Chciałem wam powiedzieć: Bądźcie zdrowi! Śmierć tego dziecka dotknęła mnie więcej, niżem się spodziewał...

– I dlatego wyjeżdżasz?

– Dużo by o tym mówić. U nas, widzisz, to się tak powiada, że się jest buddystą czy też czym ci się podoba – a w gruncie rzeczy trochę się wierzy, trochę ufa w... jakieś miłosierdzie... i tym się żyje. Tymczasem co? Oto rzeczywistość bije nas co dzień po fizjonomii – i wprowadza w duchową rozterkę, w zmartwienie, w moralny ucisk. Tu się wiecznie coś albo kogoś kocha, wiecznie się cudzym nieszczęściem martwi, a ja tego nie chcę. To mnie męczy...

– W czym ci pomogą Włochy?

– W czym mi pomogą? Bo tam mam słońce, którego tu nie mam; mam sztukę, której tu nie mam, a do której czuję słabość; mam Chianti, które mi dobrze robi na katar żołądka, i w

końcu mam ludzi, którzy mnie nic a nic nie obchodzą i którzy mogą sobie setkami umierać bez żadnej dla mnie przykrości. Będę patrzył na obrazy, będę sobie kupował, co mi potrzeba, pielęgnował swoje reumatyzmy, swój ból głowy i będę sobie mniej więcej wykwinnym, mniej więcej sytym i mniej więcej zdrowym zwierzęciem – co, wierz mi, jest jeszcze najbardziej pożądanym, rodzajem i stanem życia. Tu nie mogę być dostatecznie bydlęciem, a z duszy chcę nim być.

– Masz rację, Bukacki. My oto, widzisz, siedzimy w rachunkach, także trochę dlatego, żeby się skretynizować i nie myśleć o czym innym. Jak zrobimy taki majątek, jaki ty masz, to – nie wiem, jak Bigiel – ale ja pójdę twoim śladem.

– Zatem, do widzenia w czasie i przestrzeni! – rzekł Bukacki.

W chwilę po jego wyjściu Połaniecki rzekł:

– On ma słuszość. Ile ja bym był na przykład szczęśliwszy, gdybym się nie był przywiązał do tego dziecka i do pani Emilii. My jesteśmy pod tym względem nieuleczalni i psujemy sobie dobrowolnie życie. On ma słuszość. Tu zawsze się coś lub kogoś kocha. To dziedziczna choroba... Wieczny romantyzm, wieczny sentymentalizm – i wieczne kolki w sercu...

A Bigiel rzekł:

– Kłania ci się stary Pławicki. Ten nie kocha nikogo prócz siebie.

– W rzeczywistości może tak jest, ale jemu brak i rozumu, i odwagi, żaby sobie powiedzieć, że tak wolno i tak trzeba. Owszem. Jest przekonany, że trzeba inaczej, i przez to jest w ciągłej niewoli. Tu, choć ktoś ma taką naturę jak on, to jeszcze musi udawać, nawet przed sobą samym, że coś lub kogoś kocha.

– A będziesz dziś u pani Emilii? – spytał Bigiel.

– Naturalnie! Gdybym ci na przykład powiedział, że mam malarię, to tym samym jeszcze bym się z niej nie wyleczył.

I rzeczywiście, nie tylko tego dnia był u pani Emilii, ale był dwa razy, albowiem za pierwszą bytnością nie zastał tych pań w domu. Pławicki, na zapytanie, gdzie jest córka, odpowiedział mu z odpowiednim patosem i rezygnacją: „Ja nie mam teraz córki!” – Połaniecki nie chcąc mu nawymyślać, do czego uczuł nagłą ochotę, wyszedł i powrócił dopiero wieczorem.

Tym razem wyszła znów do niego sama Marynia i oznajmiła mu, że pani Emilia zasnęła po raz pierwszy od pogrzebu Litki. Mówiąc to trzymała czas jakiś rękę w jego dłoni. Połaniecki, mimo całej rozterki, w jakiej były jego myśli, nie mógł tego nie zauważyć, a gdy spojrzał wreszcie pytającym wzrokiem w jej oczy, dostrzegł, że policzki panienki zarumieniły się lekko. Tymczasem siedli obok siebie i poczęli rozmawiać.

– Byłyśmy na Powązkach – rzekła Marynia – i obiecałam Emilce, że będziemy tam jeździły codziennie.

– Czy to dla niej dobrze tak sobie co dnia przypominać dziecko i rozdzierać rany?

– Ach, alboż one zaschły? – odpowiedziała Marynia – i czy jest możliwość powiedzenia jej: „Nie jeźdź!” Ja sama myślałam, że to będzie niedobrze, ale przekonałam się, że przeciwnie. Na Powązkach płakała bardzo, ale było jej lepiej. Wracając przypominała sobie, co jej mówił profesor Waskowski – i ta myśl to dla niej jedyna pociecha – jedyna!

– Niechże ma choć taką – odpowiedział Połaniecki.

– Widzi pan, ja nie śmiałam jej z początku wspomnieć o Litce, ale ona ciągle o niej mówi. Niech pan także nie obawia się mówić jej o niej, bo to jej sprawia widocznie ulgę...

Tu panienka poczęła opowiadać jeszcze bardziej zniżonym i jakby niepewnym głosem:

– Ona sobie ciągle wyrzuca, że tej ostatniej nocy posłuchała zapewnień doktora i poszła spać. Jej żal tych straconych chwil, które mogła spędzić z Litką, i ta myśl nurtuje ją. Dziś, gdy wróciłyśmy z cmentarza, poczęła mnie wypytywać o najdrobniejsze szczegóły: jak dziecko wyglądało, jak długo spało, czy brało lekarstwo i co przy tym mówiło, czy odzywało

się do nas?... Przy tym zaklinała mnie, żebym sobie przypomniała wszystko i żebym nie opuściła żadnego słowa.

– I pani nie pominęła niczego?...

– Nie.

– ...Jak ona to przyjęła?

– Bardzo, bardzo płakała.

Oboje umilkli i milczeli dość długo, po czym, Marynia rzekła:

– Pójdę zobaczyć, co się z nią dzieje.

Po chwili wróciła:

– Śpi – rzekła. – Chwała Bogu!

Jakoż Połaniecki nie widział tego wieczora pani Emilii, która zapadła jakby w letargiczny sen. Przy pożegnaniu Marynia znów uściśniła długo i silnie jego rękę i niemal z pokorą spytała:

– Pan mi nie ma za złe tego, że ja powtórzyłam Emilce ostatnie życzenie Litki?

– W takich chwilach – odpowiedział Połaniecki – nie umiem myśleć o sobie. Mnie chodzi tylko o panią Emilię, i jeśli słowa pani sprawiły jej ulgę, to pani za nie dziękuję.

– Więc do jutra? prawda?

– Do jutra.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł, a schodząc ze schodów myślał:

„Ona uważa się za moją narzeczoną.”

I nie mylił się. Marynia uważała go za narzeczonego. Nie był on jej nigdy obojętnym; owszem, siła urazy była w niej miarą tego niezwykłego zajęcia, jakie w niej obudził. A przy tym, w czasie choroby i pogrzebu Litki mógł on sam odkrywać w sobie niezgłębione pokłady egoizmu – jej wydał się tak dobrym, że po prostu nie miała go z kim porównać. Reszty dokonały słowa Litki. W istocie rzeczy jej serce pragnęło przede wszystkim kochać – i teraz – skoro raz przyrzekła Litce w chwili jej śmierci, skoro raz zobowiązała się do kochania i do zamążpójścia, wydało się jej, że gdyby nawet nie kochała, powinna to sobie nakazać – i że nie wolno jej już nie kochać. Połaniecki wszedł w sferę jej obowiązku, należała zaś do tych prostych kobiecych natur, dotychczas wcale jeszcze nierzadkich, dla których życie i obowiązek znaczą jedno i to samo, i które dlatego do obowiązku wnoszą dobrą wolę, i nie tylko dobrą, ale bardzo wytrwałą.

Taka zaś wola prowadzi za sobą miłość, która świeci jak słońce, grzeje jak jego ciepło i koi jak błękitne, pogodne niebo. W ten sposób życie nie staje się suchym krzakiem cierniowym, który kole, tylko kwiatem, który kwitnie i upaja.

Ta prawa w myślach, a zarazem prosta i delikatna w uczuciach, wiejska panna posiadała ową zdolność do życia i do szczęścia w najwyższym stopniu.

Toteż gdy Połaniecki odszedł, ona rozmyślając o nim nie nazywała go już w duszy inaczej, tylko „Pan Stach!” Bo też to już i był jej „Pan Stach”.

Połaniecki zaś kładąc się spać powtarzał sobie nieco mechanicznie:

– Ona uważa się za moją narzeczoną.

Śmierć Litki i przejścia ostatnich dni odsunęły nie tylko w jego myślach, ale i w jego sercu, Marynię na dalsze, a nawet bardzo dalekie plany.

Teraz znów począł myśleć o niej i zarazem o swej przyszłości. I nagle ujrzał jakby chmurę niezliczonych pytań, na które w tej chwili przynajmniej nie miał żadnej odpowiedzi.

Czuł tylko przed nimi strach; czuł, że na razie brakuje mu zarówno sił i ochoty, żeby podjąć ten trud. Znów zacząć żyć dawnym życiem, znów wpaść w to sentymentalne koło błędne, znów niepokoić się, znów wysilać, zabiegać o rzeczy, które przynoszą tylko gorycz, porać się z sobą z uczuciowych powodów? Czy nie lepiej pilnować rachunków z Bigielem, zbijać pieniądze, by kiedyś ruszyć jak Bukacki do Włoch lub gdzie indziej, gdzie jest słońce,

sztuka, wino dobre na żołądek i przede wszystkim ludzie obojętni, których szczęście serca przybysza nie rozpromieni, ale za to śmierć lub niedola nie wycisną ani jednej łzy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

TOM DRUGI

I

Podczas tych wszystkich rozterek duchowych, przez które przechodził Połaniecki, interesa Domu Handlowego rozwijały się jednak pomyślnie. Dzięki zdrowemu rozsądkowi, pilności i czujności Bigiela, bieżące sprawy były załatwiane zawsze z jednaką dokładnością, która ze strony klientów Domu usuwała wszelką możliwość zawodu, niezadowolenia, skarg. Dom zyskiwał z każdym dniem na opinii, rozszerzał zwolna i stopniowo działalność, porastał w pierze. Połaniecki zresztą pracował nie z takim wprawdzie spokojem jak dawniej, ale nie mniej od Bigiela. Ranne godziny spędzał codziennie w biurze, im zaś większe były jego duchowe frasunki, im nieporozumienia z Marynią stawały się od chwili jej przyjazdu do Warszawy głębsze, tym pracował gorliwiej. Ta robota, najczęściej ciężka i chwilami wymagająca nawet dość natężonego myślenia, ale nie stająca w żadnym związku z tym, co go bolało, i nie mogąca przyczynić żadnej wewnętrznej troski, stała mu się w końcu rodzajem przystani, w której się chował przed burzą. Połaniecki począł ją lubić. „Tu przynajmniej wiem, co robię i do czego dążę – mówił Bigielowi – tu wszystko jest bardzo jasne: jeśli nie znajdę szczęścia, znajdę przynajmniej to rozszerzenie życia i tę swobodę, którą daje pieniądz, i tym lepiej dla mnie, jeśli potrafię na tym poprzestać.” Ostatnie wypadki utwierdziły go tylko w tych myślach. Rzeczywiście, od strony uczuć przychodziły nań wyłącznie zmartwienia. Ta siedziba dawała gorzkie żniwo, podczas gdy jedyne powodzenia, których doznał, a które bądź co bądź krzepią i bronią w życiu od nieszczęścia, dał mu ów Dom Handlowy. Sam Połaniecki myślał z pewnym zdziwieniem, że tak jest, ale tak nie było. Sam czuł ciasnotę tego zadowolenia, które mógł dać Dom; ale jednocześnie mówił sobie, że skoro nie można inaczej, to trzeba i bezpieczniej jest na tym poprzestać, albowiem lepiej jest być wyłącznie kupcem, któremu się powodzi, niż romantykiem, którego wszystko zawodzi. Więc od śmierci Litki postanowił tym bardziej stłumić w sobie wszystkie te porywy, którym rzeczywistość nie umiała odpowiedzieć i które nie przynosiły nic prócz zgryzot. Oczywiście Bigiel rad był z takiego usposobienia swego współnika, które Domowi mogło przynieść tylko korzyść.

Połaniecki nie mógł jednak stać się w ciągu kilku tygodni człowiekiem zupełnie obojętnym na to wszystko, z czym niegdyś związane było jego serce. Skutkiem tego od czasu do czasu odwiedzał Litkę, której kamień grobowy pokrywały już rankami białe, zimowe szrony. Dwukrotnie spotkał na cmentarzu panią Emilię z Marynią. Raz odwoził je do miasta i wówczas pani Emilia poczęła dziękować mu za pamięć o małej. Połaniecki zauważył, że czyniła to ze względym spokojem, zrozumiał zaś ten spokój, gdy przy pożegnaniu rzekła mu: „Ja teraz ciągle myślę, że ona, żyjąc sama w wieczności, uważa to rozłączenie za tak krótkie jak jedno mgnienie oka – i pan nie wie, co to za pociecha, że przynajmniej nie tęskni.” Połaniecki powiedział sobie w duszy: „No, że nie wiem, to nie wiem!” Jednakże głębokie przekonanie, z jakim mówiła pani Emilia, uderzyło go: „Jeśli to są złudzenia – pomyślał – to są prawdziwie żywotne złudzenia, skoro potrafią nawet z piwnicy grobowej wyciągnąć soki dla życia...”

Marynia potwierdziła zresztą w pierwszej rozmowie z Połanieckim, że pani Emilia żyje tylko tą myślą. To jedno łagodziło jej żal. Po całych dniach nie mówiła z Marynią o niczym innym i powtarzała tak uporczywie w kółko, iż śmierć, widziana od strony Boga, jest rozłączeniem na jedno mgnienie oka, że ta uporczywość poczęła Marynię niepokoić.

– Mówi też o Litce – rzekła w końcu panna Pławicka – jakby dziecko nie umarło i jakby je miała jutro zobaczyć.

– To i szczęście – odpowiedział Połaniecki. – Waskowski oddał jej rzetelną usługę. Taki gwóźdź w głowie nie boli.

– A przecież ona ma słuszość, bo to tak jest...

– Nie będę pani zaprzeczał.

Marynię niepokoiła wprawdzie uporczywość, z jaką pani Emilia wracała ciągle do jednej myśli; z drugiej strony jednak sama patrzyła na śmierć nie inaczej, więc ów odcień sceptycyzmu, widoczny w słowach Połanieckiego, dotknął ją nieco i zabolął.

Nie chcąc wszelako zdradzić się z tym zmieniła rozmowę.

– Kazałam powiększyć fotografię Litki – rzekła. – Wczoraj mi odniesiono trzy egzemplarze. Jeden dam Emilce. Bałam się poprzednio, że to ją nadto wzruszy, ale teraz widzę, że można. Owszem, będzie jej bardzo miłe.

To powiedziawszy wstała i poszła do półek z książkami, na których leżały owinięte w bibułkę fotografie, następnie siadła obok Połanieckiego przed małym stolikiem i poczęła je rozwijać.

– Opowiadała mi Emilka – rzekła – jakąś waszą rozmowę, na krótko przed śmiercią mąją, w której Litka powiedziała, że życzyłaby sobie, żebyście we troje byli brzożami i rośli blisko siebie. Pamięta pan tę rozmowę?

– Tak, przypominam sobie. Dziwiła się, że drzewa tak długo żyją, a potem namyślała się, jakim by chciała być, i najlepiej jej się podobała brzoza.

– Tak. A pan powiedział, że także chciałby rosnąć blisko... Więc ja teraz naokół tych fotografii, na *passapartout*, chciałam wymalować brzozy. O, tu, widzi pan, zaczęłam, ale nie bardzo mi idzie, bo naprzód dawno nie miałam farb w rękę, a po wtóre, nie umiem malować z pamięci.

To rzekłszy wydobyla jedną z fotografii i poczęła pokazywać Połanieckiemu podmalowane akwarelą brzozy, że zaś wzrok miała nieco krótki, więc pochyliła się nad swoją robotą tak, że skroń jej znalazła się przez chwilę tuż przy skroni Połanieckiego.

Nie była mu już ona dawną Marynią, o której marzył wracając wieczorami od pani Emilii i która wypełniała mu wówczas całą duszę. Ten czas minął. Myśli jego odeszły w inną stronę. Natomiast Marynia nie przestała być typem kobiecym, czyniącym wyjątkowo silne wrażenie na jego męskie nerwy, i teraz, gdy skroń jej dotykała niemal jego skroni, gdy jednym rzutem oczu objął jej matową twarz, zarumienione nieco policzki i pochyłoną nad malowidłem postać, odczuł ów pociąg z dawną siłą, i żartka krew poczęła mu napędzać równie żartkie myśli do głowy.

„Gdybym jej teraz zaczął całować oczy i usta – powiedział sobie – ciekawym, jakby postąpiła?”

I na jedno mgnienie oka porwała go chęć, by to uczynić, choćby przy tym obrazić śmiertelnie Marynię. Za to długie odpychanie go, za tyle niepokoju, trosk i zmartwień, chciałby był mieć taką chwilę zapłaty i – może zarazem – zemsty.

Tymczasem Marynia, przypatrując się robotce mówiła dalej:

– Dziś mi się to wydaje gorsze jeszcze niż wczoraj. Na nieszczęście, drzewa nie mają teraz liści i nie będę mogła znaleźć modelu.

– Nie – rzekł Połaniecki – to wcale niezła grupa. Tylko jeśli te drzewa mają wyobrażać panią Emilię, Litkę i mnie – to czemu pani zrobiła cztery brzozy?

– Czwarta to ja – odrzekła z pewną nieśmiałością Marynia. – Ja także chciałabym kiedyś tak rosnać razem...

Połaniecki spojrział na nią bystro, ona zaś, obwijając na nowo fotografie, poczęła mówić, jakby się śpiesząc:

– Tyle się rzeczy dla mnie związało ze wspomnieniem tej dziecinki... Byłam w ostatnich czasach prawie ciągle z nią i z Emilką... Emilka to dziś dla mnie jedna z najbliższych w świecie osób... Ja tam samo należałam do nich jak i pan... Nie wiem dobrze, jak to powiedzieć... Było nas czworo, a teraz zostało troje – związanych przez Litkę... Bo ona nas związała. Ja teraz, jak o niej myślę, to zarazem myślę o Emilce i o panu... Dlatego postanowiłam wymalować cztery brzozy, a widzi pan, że są trzy fotografie: jedna dla Emilki, jedna dla mnie, a jedna dla pana.

– Dziękuję pani – odrzekł Połaniecki wyciągając ku niej rękę.

Marynia oddała mu uścisk bardzo serdecznie i rzekła:

– Dla jej pamięci też powinniśmy zapomnieć o wszystkich dawnych urazach.

– To się już stało – odpowiedział Połaniecki – a co do mnie, to chciałem, żeby tak było jeszcze na długo przed śmiercią Litki.

– Toteż odtąd zaczęła się moja wina, za którą pana przepraszam.

I znów podała mu rękę. Połaniecki zawahał się przez chwilę, czy ma ją podnieść do ust, nie uczynił tego jednak, tylko rzekł:

– A więc zgoda?

– I przyjaźń? – odpowiedziała Marynia.

– I przyjaźń.

W oczach jej odbiła się głęboka, spokojna radość, która opromieniła całą jej twarz łagodnym światłem. Było w niej teraz tyle dobroci i ufności, że Połanieckiemu mimo woli przypomniała się owa dawna Marynia, którą widział w Krzemieniu, gdy siedziała na ganku ogrodowym w promieniach zachodzącego słońca.

Jednakże od śmierci Litki był on w takim nastroju, że podobne wspomnienia uważał za niegodne siebie, więc wstał i począł się żegnać.

– Nie zostanie pan z nami na cały wieczór? – spytała Marynia.

– Nie, pani, muszę wracać.

– Powiem Emilce, że pan wychodzi – rzekła idąc ku drzwiom przyległym.

– Ona teraz albo rozmyśla o Litce, albo się modli, inaczej byłaby tu sama przyszła. Niech jej pani nie przerywa, a ja i tak jutro przyjdę.

Na to Marynia zbliżyła się ku niemu i patrząc mu w oczy z wielką serdecznością rzekła:

– I jutro, i codziennie. Wszak prawda? Niech pan pamięta, że pan jest teraz dla nas „pan Stach”.

Od śmierci Litki drugi raz Marynia nazwała go w ten sposób, toteż idąc do siebie Połaniecki myślał:

„Jej stosunek do mnie jest zupełnie zmieniony. Ona się poczuwa po prostu do przynależności do mnie, bo się do tego zobowiązała obietnicą daną umierającemu dziecku, gotowa nawet pokochać się we mnie i nie pozwolił sobie nie pokochać się... Takich u nas na tuziny.”

I nagle począł się złościć:

„Znam te rybie natury z zimnym sercem, a natomiast egzaltowania głową, pełną tak zwanych zasad. Wszystko dla zasady, wszystko dla obowiązku – nic samorzutnego w sercu! Mógłbym zdechnąć przy jej nogach i nic nie wskórać; dopiero gdy obowiązek każe jej mnie pokochać, to będzie kochała nawet rzeczywiście.”

Widocznie Połaniecki przywykł w swoich włóczęgach za granicą do innego rodzaju kobiet, a przynajmniej innych zapewne naczytał się w książkach. Ponieważ jednak miał przy tym trochę i zdrowego rozsądku, więc ten rozsądek począł do niego także przemawiać:

„Słuchaj, Połaniecki – mówił – toż to są właśnie dlatego wyborowe natury, nadzwyczaj pewne, na których można budować, na których można oprzeć życie. Czyś ty zwariował! Tobie przecie chodziło o żonę, nie o przemijającą awanturę miłosną.”

Ale Połaniecki nie przestawał się zżymać i odpowiadał rozsądkowi:

„Jeśli mam być kochany, chcę być kochany dla samego siebie.”

Rozsądek próbował jeszcze tłumaczyć mu, że wszystko jedno, jak się miłość zaczyna, bo potem nie może być inaczej kochany, jak dla samego siebie, w tym zaś wypadku, po owych pracach i rozdrażnieniach, to jest rzeczą i zarazem naturalną, i niemal cudowną, niemal opatrnościową, że zaszło coś takiego, co od razu złamało zapory. Ale Połaniecki nie przestawał się dąsać.

Rozsądkowi przyszedł wreszcie ma pomoc i ów pociąg, i owo upodobanie w Maryni, na mocy którego Połaniecki widział w niej więcej uroku niż w każdej innej kobiecie. Ten pociąg mówił z kolei:

„Nie wiem, czy ją kochasz, czy nie, i mniejsza o to, ale dziś, gdy się zbliżyła do ciebie ramieniem i twarzą, małoś ze skóry nie wyskoczył. Czemu cię taki dreszcz nie przejmuje, gdy siedzisz koło innej kobiety? Pomyśl, co za różnica!”

Ale Połaniecki odpowiadał na to wszystko:

„Ryba! Obowiązkowa ryba!...”

I znowu przysła mu myśl: „Łapże ją, skoro ten gatunek wolisz niż każdy inny. Ludzie się jednak żenią, i na ciebie czas. Czego będziesz więcej szukał? Czy takiej jakiejś miłości, z której pierwszy gotów jesteś się wyśmiewać... Miłość twoja zgasła – dobrze! ale został pociąg i to przekonanie, które jednak masz, że to uczciwa i pewna kobieta.”

„Tak – myślał dalej – ale z miłości, czy głupiej, czy mądrej, płynie wola, a czy ja ją teraz mam? Nie, bo się waham, podczas gdy poprzednio nie wahałem. się. Po wtóre, trzeba *zważyć*, *co* lepsze: czy panna Pławicka, czy ma i winien w Domu pod firmą Bigiel i Połaniecki. Pieniądz daje potęgę i swobodę, a ze swobody najlepiej się korzysta, gdy się nikogo nie dźwiga ani na ramionach, ani w sercu.”

Tak rozmyślając przyszedł do domu i położył się spać. W nocy śniły mu się brzozy na wydmach, spokojne niebieskie oczy i czoło ocienione ciemnymi włosami, od którego było ciepło.

II

W kilka dni później, rano, zanim wyszedł do biura, przyszedł do niego Maszko.

– Przychodzę do ciebie w podwójnym interesie – rzekł – ale zaczynam od piątecznego, żeby ci zostawić swobodę powiedzenia: „Tak lub nie.”

– Mój drogi, piąteczne interesa załatwiam, w biurze, więc zacznij od drugiego z kolei.

– To nie jest sprawa waszego Domu, tylko prywatna, dlatego wolę mówić o niej prywatnie. Wiesz, że się żenię, potrzebuję pieniędzy. Wydatków mam jak włosów na głowie, a przy tym spłat co niemiara. Przychodzi termin wypłacenia ci pierwszej raty z owej sumy na Krzemieniu, którą od ciebie nabyłem. Czy nie możesz odłożyć mi terminu jeszcze na kwartał?

– Będę z tobą szczerzy – rzekł Połaniecki – mogę, ale nie chcę.

– No, to ja będę równie szczerzy i spytam: co zrobisz, jeśli ci jej nie zapłacę?

– I to się zdarza na świecie – odpowiedział Połaniecki – ale tym razem masz mnie za głupszego, niż: jestem, bo wiem, że zapłacisz.

– Skąd masz tę pewność?

– Żeniąc się, i to żeniąc się bogato, nie możesz narazić się na opinię niewypłacalnego. Spod ziemi wydusisz, a zapłacisz.

- Z próżnego i Salomon nie należy.
- Bo nie brał u ciebie lekcji. Mój drogi, nikt nas nie słyszy, więc powiem ci, że ty przecie całe życie nic innego nie robisz.
- Więc jesteś pewny, że zapłacę?
- Tak.
- Masz słuszność. Chciałem od ciebie grzeczności, do której nie mam prawa. Tylko że nareszcie i ja czuję się tym wszystkim zmęczony... Tu brać, tam zatykać – wiecznie żyć w takim kołowrocie – to nareszcie przechodzi siły ludzkie!... Zawijam niby do portu. Za dwa miesiące stanę na innych nogach, ale tymczasem dopływam resztą pary... Nie możesz – trudno!... Jest. trochę lasu na Krzemieniu – wytnę go i zapłacę, skoro nie można inaczej.
- Co tam za lasy na Krzemieniu! Stary Pławicki wygolił, co się dało.
- Jest duża dąbrowa za dworem ku Niedziałkowu.
- Prawda. Jest.
- Wiem, że wy z Bigielem robicie i takie interesa. Kupcie ode mnie tę dąbrowę. Oszczędzi mi to szukania kupca, a wy możecie wyjść z zyskiem.
- O tym pomówię z Bigielem.
- Więc z góry nie odmawiasz?
- Nie. Jeśli oddasz tanio... może bym nawet i sam... Ale w takich rzeczach potrzebuję obliczyć możliwe zyski lub straty. Chcę także wiedzieć twoje warunki. Oblicz się i ty. Przyślij mi wykaz, ile tam tego jest – i jakie sztuki. Ja tego nie pamiętam.
- Przyślę ci za godzinę.
- W takim razie wieczór dam ci odpowiedź.
- O jednym warunku z góry cię uprzedzam: nie będziesz miał prawa wyciąć dąbrowy przed dwoma miesiącami.
- Dlaczego?
- Bo Krzemień ogromnie straci bez tej ozdoby, więc po ślubie zaproponuję ci odprzedaż, naturalnie z odpowiednim zyskiem.
- Zobaczymy.
- Prócz tego mam na Krzemieniu margiel. Pamiętasz, żeś sam mi o tym mówił. Pławicki obliczał to na miliony – i to głupstwo! – ale w rękach sprytnych ludzi to naprawdę może być niezły interes. Pomyślcie i o tym z Bigielem; ja przyjąłbym was do spółki.
- Jeśli interes okaże się dobry; po to jest nasz Dom, żeby dobre robił.
- Więc o tym pomówimy później, a teraz wracam do dąbrowy. Ogólny zarys naszego układu niech będzie taki, że ja, zamiast przypadającej raty, daję ci dąbrowę lub jej część, stosownie do obliczenia; daję ci ją niejako w zastaw, ty zaś zobowiązujesz się nie wycinać dębów przed upływem następnego kwartału.
- To mogę zrobić – rzekł Połaniecki. – Oczywiście przyjdą następnie takie kwestie, jak dostawy dębów do kolei etc., o których będziemy mówili przy spisaniu kontraktu, jeśli w ogóle będziemy go spisywali.
- Więc przynajmniej jeden ciężar z głowy! – rzekł Maszko trąc ręką czoło. – Wyobraź sobie, że mam takich dziesięć lub piętnaście na dzień nie licząc rozmów o interesach z panią Krasławską, które są cięższe od wszystkiego, i służby przy narzeczonej, która...
- Tu Maszko zaciął się na minutę, lecz nagle machnął ręką i dodał:
- Która także nie jest lekka...
- Połaniecki spojrział na niego ze zdziwieniem. W ustach Maszki, tak przestrzegającego światowych względów w każdym słowie, było to coś niesłychanego.
- A Maszko mówił dalej:
- Lecz mniejsza o to. Pamiętasz, jak przed śmiercią Litki omal raz nie przyszło między nami do kłótni... Nie policzyłem się z tym, żeś ty bardzo kochał tę małą, żeś był niespokojny,

rozdrażniony, i postąpiłem po grubiańsku... Wina była zupełnie po mojej stronie, zatem przepraszam cię.

– To rzecz zapomniana – odpowiedział Połaniecki.

– Przypomniałem ją dlatego, że mam cię prosić o usługę. Jest rzecz taka: Ja nie mam przyjaciół; krewnych albo nie mam, albo mam takich, z którymi nie warto się popisywać. Teraz muszę szukać друзbów i dalibóg nie bardzo wiem, gdzie się zwrócić... Wiesz, że miałem w rękę interesa rozmaitych paniczek... Ale prosić pierwszego lepszego pajaca, dlatego że ma tytuł – nie idzie i nie chce mi się. Chodzi mi o to, bym miał друзbów porządnych ludzi, a powiem otwarcie – i porządne nazwiska... Te panie również bardzo na to uważają, więc – czy zechcesz mi družbować?

– Tego bym ci nie odmówił, gdybyś przyszedł w innych okolicznościach. Ale powiem ci, jak jest. Patrz: nie noszę krepy na kapeluszu ni białych tasiemek przy surducie, więc nie jestem w żałobie, a mimo tego, daję ci słowo, że jestem w większej żałobie, niż gdyby mi własne dziecko umarło...

– Tak, nie policzyłem się z tym – rzekł Maszko. – Przepraszam cię.

Połanieckiego ujęły te słowa.

– Jeśli zresztą bardzo ci na tym zależy... jeśli prawdziwie nie będziesz mógł znaleźć nikogo innego – to niechże będzie, jak chcesz, ale szczerze ci mówię, że po takim pogrzebie ciężko mi będzie być na weselu.

Połaniecki nie powiedział wprawdzie: „na takim weselu”, ale Maszko odgadł jego myśl.

– Przy tym – mówił dalej Połaniecki – jest i druga okoliczność. Tyś musiał o tym słyszeć, że było jakieś biedaczysko, doktorzyna... który kochał się na śmierć w twojej narzeczonej. Wolno jej było nie być wzajemną i nikt jej z tego powodu nie może robić zarzutu, ale tamten swoją drogą pojechał gdzieś, gdzie pieprz rośnie, i lichy go wzięło... rozumiesz? – a ja byłem z nim w przyjaźni, zwierzał mi się ze swoich nieszczęść i wypłakiwał mi się w kamizelki – rozumiesz?... W tych warunkach družbować innemu – sam powiedz?

– I tamten naprawdę umarł z miłości dla mojej narzeczonej?

– Toś ty o tym nie słyszał?

– Nie tylko nie słyszał, ale uszom nie wierzę...

– Wiesz co, Maszko, małżeństwo zmienia człowieka, ale widzę, że i narzeczeństwo. Ja cię wprost nie poznaję.

– Bo jak ci powiedziałem, jestem tak zmęczony, że już mi tchu nie staje, a w takich razach maska spada.

– Co przez to rozumiesz?

– Rozumiem, że są dwie kategorie ludzi: jedni nie robią sobie z niczego nic i sposób postępowania stosują przygodnie do każdej okoliczności, drudzy mają pewien system, którego się mniej więcej konsekwentnie trzymają. Ja należę do tych drugich. Przywykłem do ochraniania pozorów, i co więcej, przyzwyczałem się do tego tak bardzo, że w końcu zmieniło się to w moją naturę. Ale widzisz, gdy się na przykład podróżuje samowtór w wielki upał – wówczas na człowieka najbardziej *comme il faut* może przyjść chwila, w której rozepnie nie tylko surdut, ale i kamizelkę. Na mnie przysłała taka chwila, więc się rozpinam.

– To się znaczy?

– To się znaczy, iż zdumieniem mnie przejmuje wiadomość, iż ktoś mógł się na śmierć zakochać w mojej narzeczonej, która jest, jak mi to niegdyś w złości dałeś do zrozumienia, zimna, sztywna i tak mechaniczna w ruchach, słowach i myślach, jakby była nakręcana kluczem. To wszystko jest zupełną prawdą – i; ja to potwierdzam. Nie chcę, żebyś mnie miał za większego nicponia, niż jestem. Ja jej nie kocham, i moje małżeństwo będzie równie sztywne jak moja narzeczone. Kochałem pannę Pławicką, która mnie odrzuciła. Pannę Krasławską biorę dla jej majątku. Jeśli powiesz, że to jest niegodziwość, odpowiem ci, że tę niegodziwość spełniło lub spełni tysiące tak zwanych porządnych ludzi, którym podajesz rękę

i którym, co więcej, życie nie upływa w rozkoszy, ale też i nie w tragedii. Kuleje, ale idzie... Później pomaga im przyzwyczajenie, przeżyte lata, które przynoszą jakiś rodzaj przywiązania, dzieci, które się rodzą – i jakoś idzie! Takich małżeństw jest większość, bo większość ludzi woli chodzić po ziemi niż wspinać się na szczyty. Często nawet inne małżeństwa są gorsze, bo gdy na przykład kobieta woli latać, a mężczyzna pełzać lub odwrotnie – to nie ma widoków na porozumienie. Co do mnie, napracowałem się jak wół. Pochodząc z rodziny podupadłej, chciałem wypłynąć – do tego się przyznaję. Gdybym chciał być zostać nieznanym kauzyperdą i zbijać tylko pieniądze, może bym je zbił i otworzył mojemu synowi na roścież wrota do życia. Ale ja nie kocham moich dzieci przed ich przyjściem na świat, więc chciałem sam mieć nie tylko pieniądze, ale być czymś, cos znaczyć, zająć jakieś stanowisko, zaważyć, jak u nas można zaważyć, więc przynajmniej w życiu towarzyskim. Z tego wynikło, że co adwokat zarobił, to *grand seigneur* pochłoniął. Stanowisko obowiązuje. Zatem nie mam pieniędzy, znudziła mi się szarpanina polegająca na wrywaniu dziury w jednym miejscu, żeby ją zatkać w drugim – i dlatego biorę pannę Krasławską, która znów dlatego idzie za mnie, że jeśli nie rzeczywiście, to pozornie jestem wielkim panem, a raczej udaję wielkiego pana, bawiącego się w adwokaturę... Partie są równe, niczyjej krzywdy nie ma i nikt nikogo nie oszukuje, albo, jeśli wolisz, oboje oszukujemy się w jednakiej mierze. Oto jest cała prawda, a teraz, jeśli chcesz, to mną pogardzaj.

– Dalibóg, że nigdy nie szanowałem cię więcej – odpowiedział Połaniecki – bo teraz podziwiam nie tylko twoją szczerość, ale i odwagę.

– Przyjmuję komplement za szczerość, ale w czym widzisz odwagę?

– W tym, że mając tak mało złudzeń co do panny Krasławskiej, zenisz się z nią jednak.

– Bo jestem więcej mądry niż głupi. Szukałem pieniędzy – prawda, ale czy myślisz, że dla pieniędzy ożeniłbym się z pierwszą z brzegu, która je posiada? Bynajmniej, mój kochany. Ja biorę pannę Krasławską i wiem, co robię. Panna Krasławską ma swoje wielkie przymioty, niezbędne w warunkach, w jakich ja ją biorę, a ona za mnie wychodzi. Panna Krasławską będzie żoną zimną, nieprzyjemną, kwaśną – a nawet i pogardliwą, o ile nie będzie się mnie bała. Ale natomiast panna Krasławska, tak jak i jej matka, ma cześć religijną dla pozorów, dla tego, co wypada lub nie wypada, a ogólnie mówiąc, dla tak zwanej przyzwoitości. To raz. Dalej, nie ma w niej ani jednego takiego ziarnka, z którego wyrastają awanturnice – i pożycie z nią, tak nieprzyjemne, jak być może, nie skończy się nigdy skandalem. To dwa. A po trzecie, jest we wszystkim pedantką, zatem zarówno w pobożności, jak i w spełnianiu tych wszystkich zobowiązań, które na siebie weźmie. To już istotnie wielki przymiot. Nie będę z nią szczęśliwy, ale będę mógł być spokojny, kto wie zaś, czy to nie jest maksimum, którego w życiu można żądać. I to ci, mój kochany, powiadam: gdy będziesz brał żonę, przede wszystkim myśl o przyszłym spokoju. W kochance szukaj sobie czego chcesz: dowcipu, temperamentu, poetycznego nastroju, wrażliwości, ale z żoną trzeba żyć lata, więc szukaj w niej tego, na czym się można oprzeć – szukaj zasad.

– Nie miałem cię nigdy za głupiego – rzekł Połaniecki – ale widzę, że masz więcej rozumu, niżem myślał.

– Bo widzisz, nasze kobiety, ot na przykład ze świata pięknego, kształcą się naprawdę na francuskiej powieści, a wiesz, co z tego wynika?

– Mniej więcej wiem, ale dziś jesteś tak wymowny, że rad wysłucham twego określenia.

– Oto, że kobieta staje się sama dla siebie Bogiem i prawem.

– A dla męża?

– Kameleonem i dramatem.

– To się tak trochę dzieje w świecie bardzo pięknym, a pozbawionym tradycji. Tam wszystko jest pozorem i toaletą, pod którą siedzi nie dusza, ale mniej więcej wykwintne zwierzątko.

– Ale ten świat bogaty i strojny, bawiący się, przesiąknięty dyletantyzmem artystycznym, literackim, a nawet i religijnym, trzyma batutę i kieruje chórem.

– U nas jeszcze nie.

– U nas jeszcze niezupełnie. Zresztą, są wyjątki nawet w tym świecie, tym bardziej muszą być poza nim. Tak, u nas są inne kobiety, na przykład panna Pławicka. Ach, co za spokój, co za bezpieczeństwo, a przy tym co za wdzięk życia z taką jak ona! Niestety – ona nie dla takich jak ja!

– Maszko! Spryt gotów ci byłem od biedy przyznać, ale nie wiedziałem, że jest w tobie i entuzjazm.

– Co chcesz: bom się w niej kochał, a teraz żenię się z panną Krasławską!

Ostatnie słowa Maszko wymówił jakby z pewną złością. Po czym nastąpiła chwila milczenia.

– Więc nie będziesz mi družbował? – spytał Maszko.

– Daj mi czas do namysłu.

– Za trzy dni wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Do Petersburga. Mam tam interesa. Zabawię ze dwa tygodnie.

– To ci po przyjeździe odpowiem.

– Dobrze. Dziś ci przyślę wykaz moich dębów w trzech rozmiarach... Byle raty nie płacić!

– A ja warunki, pod którymi je kupię.

Tu Maszko pożegnał się i wyszedł, a wkrótce za nim podążył do biura Połaniecki. Po naradzie z Bigielem postanowił, jeśli rzecz się okaże możliwa i korzystna, kupić dąbrowę na własną rękę. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego czuł jakąś dziwną chęć zahaczyć się o Krzemień. Po godzinach biurowych myślał także o tym, co mu mówił Maszko o pannie Pławickiej. Czuł doskonale, że mówił prawdę – i że z tego rodzaju kobietą życie może być nie tylko bezpieczne, spokojne, ale i pełne wdzięku. Spostrzegł się jednak, że w tych rozmyślaniach oddaje sprawiedliwość raczej już tylko typowi, którego Marynia była okazem, niż Maryni sarniej. Spostrzegł również tysiące niekonsekwencji w sobie. Bo oto było w nim jakieś zniechęcenie, a nawet gniew przeciw kochaniu kogokolwiek lub czegokolwiek, przeciw zapędzaniu serca w jakieś więzy i węzły, tak zwykle poplątane, że aż bolesne. Na samą myśl o tym burzył się i w duchu powtarzał: „Nie chcę! mam tego dosyć! – to jest niezdrowa wybujałość, która prowadzi tu ludzi tylko do zboczeń i cierpień.” Jednocześnie zaś miał na przykład za złe Maryni, że nie pokochała go jakąś wybujałą bezwzględnością, a poczęła otwierać mu serce dopiero wówczas, kiedy poniekąd nakazał jej to obowiązkiem. Następnie, nie chcąc kochania, dziwił się jednak, że mu ono tak łatwo poczęło więdnąć i że daleko więcej pragnął Maryni wówczas, gdy ona go nie chciała, niż teraz, gdy okazywała mu się skłonniejszą. „Ostatecznie – myślał – to wszystko prowadzi do tego, że człowiek sam nie wie, czego chce i czego się ma trzymać, to jest do stanu, który niech piorun trzaśnie! Panna Pławicka ma więcej przymiotów, niż się sama domyśla, panna Pławicka jest obowiązkowa, prawa, cicha, piękna, zmysły moje ciągną mnie do panny Pławickiej, a jednocześnie czuję, że panna Pławicka nie jest mi tym, czym była, i że coś we mnie diabli wzięli.”

– Ale co?

„Jeśli zdolność do kochania – monologował dalej Połaniecki – to ponieważ doszedłem do wniosku, że kochanie jest najczęściej głupstwem, a zbytne kochanie zawsze głupstwem, więc powinienem być kontent – tymczasem nie jestem kontent.”

Lecz po chwili przyszło mu na myśl, że to jest tylko rodzaj osłabienia taki, jaki przychodzi na przykład po chirurgicznej operacji lub po przebytej chorobie – i że życie pozytywne wypełni mu z czasem ową czczość, którą odczuwał.

Życiem pozytywnym zaś był dla niego Dom Handlowy.

Przyszedłszy na obiad zastał Waskowskiego i dwóch służących, którzy mrugali na siebie, widząc, jak staruszek podnosi chwilami widelec z kawałkiem mięsa do góry i zamyśla się na śmierć lub rozmawia sam z sobą. Profesor Waskowski od niejakiego czasu ustawicznie rozmawiał z sobą i to tak głośno, że ludzie oglądali się za nim na ulicy. Niebieskie jego oczy patrzyły teraz przez chwilę bezprzytomnie na Połanieckiego, po czym zbudził się jakby ze snu i rzekł kończąc poczetą w głowie myśl:

- Ona powiada, że ją to zbliży do dziecka.
- Kto powiada? – spytał Połaniecki.
- Pani Emilia.
- W jaki sposób się zbliży?
- Bo chce zostać siostrą miłosierdzia.

Połaniecki zamilkł pod wrażeniem tej wiadomości. Mógł on sobie myśleć, co mu przez głowę przeszło, rugować z siebie uczuciowość, filozofować o niezdrowych wybujałościach całego społeczeństwa, w którym żył – w duszy miał jednak dwie jakby świętości: Litkę i panią Emilię. Litka była już tylko drogim wspomnieniem, natomiast panią Emilię kochał żywym, braterskim i najtkliwszym uczuciem, którego w rozmyślaniach nigdy nie tykał. Toteż przez jakiś czas nie mógł się zdobyć na odpowiedź, następnie spojrzał surowo na Waskowskiego i rzekł:

– Pan, profesorze, namawiasz ją do tego. Ja się w pańskie mistycyzmy i pańskie idee spod ciemnej gwiazdy nie wdaję, ale wiedz o tym, że bierzesz na swoje sumienie jej życie, bo ona po prostu nie ma sił fizycznych na siostrę miłosierdzia i w rok umrze – rozumiesz pan?

– Mój drogi – odpowiedział Waskowski – ot i skazałeś mnie sądem doraźnym, nie wysłuchawszy. Czyś ty się zastanawiał nad tym, co znaczy wyrażenie: „mąż sprawiedliwy”?

– Gdy mi chodzi o kogoś bliskiego, drwię z wyrażen.

– Mnie ona wczoraj powiedziała o tym najniespodzianie, a ja ją spytałem: „Moje dziecko, ale czy ty będziesz miała dość siły, bo to ciężka praca?” Wówczas uśmiechnęła się do mnie i powiada tak: „Nie odmawiajcie mnie, bo to moja ucieczka i moje szczęście. Jeśli się pokaże, że nie mam sił, to mnie nie przyjmą, a jeśli przyjmą, a siły mi nie starczą, to pójdę wcześniej do Litki, a ja tak tęsknię!” Co ja miałem powiedzieć na taką wolę i taką prostotę? Co ty potrafisz powiedzieć? Kto, nawet niewierzący, śmiałby powiedzieć, że może Litki wcale nie ma i że życie w pracy, w miłosierdziu, w poświęceniu, a śmierć w Chrystusie może do Litki nie doprowadzić? Wymyśl jej inną pociechę, ale jaką wymyślisz? Daj mną nadzieję, ukój ją czym innym, ale czym ukoisz? Będziesz ją przecie widział, więc powiedz szczerze: czy ośmielisz się jej odradzać?

– Nie – rzekł krótko Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

– Nic, tylko zmartwienia ze wszystkich stron!

– Jedno by można – mówił dalej Waskowski – namawiać ją, żeby zamiast sióstr miłosierdzia, u których praca jest nad jej siły, wybrała jaki zakon kontemplacyjny. Są takie, gdzie biedny atom ludzki rozplywa się tak w Bogu, że przestaje żyć życiem osobistym, więc przestaje i cierpieć...

Połaniecki machnął ręką.

– Ja się na tych rzeczach nie rozumiem – rzekł szorstko – i nie wdaję się w nie.

– Właśnie mam tu gdzieś książeczkę włoską o nazaretankach – rzekł Waskowski rozpinając surdut. – Nie wiem, gdzie mi się podziała... Wychodząc, gdzieś ją schowałem.

– Co mnie mogą obchodzić pańskie nazaretanki?

Lecz Waskowski za surdudem rozpiął następnie w poszukiwaniu i kamizelkę, po czym zamyślił się i rzekł:

– Czegóż ja szukałem? A wiem, tej włoskiej książeczki. Za parę dni jadę do Rzymu – na długo, na bardzo długo. Pamiętasz, com ci mówił, że to przedsięwzięcie do innego świata? Już mi

czas do bożej sieni. Emilkę bardzo bym namawiał, żeby jechała do Rzymu, ale ona od dziecka nie odjedzie. Jako siostra miłosierdzia zostanie tutaj. Może by się jej jednak podobała reguła nazaretanek... Taka pogodna i prosta jak pierwsze chrześcijaństwo... A ja jadę wkrótce... Nie z głową, mój drogi, bo tam lepiej wiedzą, czego się trzymać, ale z sercem – małuczki, ale miłujący.

– Zapnij profesor kamizelkę – rzekł Połaniecki.

– Dobrze, zapnę. Ja, widzisz, mam coś pad sercem i powiedziałbym ci, boś ty wartki jak woda, ale ty masz duszę... Widzisz, chrześcijaństwo nie tylko się nie kończy, jak się niektórym filozofującym wartogłowom zdaje, ale zrobiło dopiero połowę drogi...

– Kochany profesorze – rzekł łagodniej Połaniecki – wysłucham tego, co mi pan chcesz powiedzieć, chętnie i cierpliwie, ale nie dziś, bo dziś myślę tylko o pani Emilii, i po prostu za gardło mnie ściska... To przecie katastrofa!

– Dla niej, nie. Życie jej się przyda – i śmierć również.

Połaniecki zaś począł mrużyć:

– Dalibóg, nie tylko każde mocniejsze uczucie, ale prosta przyjaźń kończy się zgryzotą... Nigdy żadne przywiązanie nie przyniosło mi nic, prócz zmartwień. Bukacki ma słuszość... Z ogólnych przywiązań tylko bieda, z osobistych tylko bieda – i żyj tu w takim otoczeniu!...

Rozmowa urwała się, a raczej zmieniła w monolog profesora Waskowskiego, który począł rozprawiać z sobą o Rzymie i chrześcijaństwie. Po obiedzie wyszli razem na ulicę pełną brzęku dzwonek od sanek i wesołego zimowego ruchu, albowiem z rana dnia tego spadł dość obficie śnieg, a pod wieczór uczyniło się pogodnie, cicho i mroźno.

– Zapnijże profesor kamizelkę – rzekł nagle Połaniecki spostrzegłszy rozpięte ubranie Waskowskiego.

– Dobrze, zapnę – odpowiedział Waskowski.

I począł ciągnąć dziurki kamizelki do guzików surduta.

„Lubię jednak tego Waskowskiego – mówił sobie Połaniecki wracając do domu. – Gdybym się do niego na dobre przywiązał, pewnie by go lichy wzięło, bo taki już mój los. Na szczęście, dotychczas dość mi to obojętne.”

I tak mówiąc Połaniecki wmawiał w siebie rzecz nie istniejącą, albowiem miał szczerą przyjaźń dla profesora Waskowskiego, i los jego nie był mu bynajmniej obojętny.

Gdy wrócił do domu, na wstępie uśmiechnęła się do niego twarzyczka Litki z dużej, fotografii, którą podczas jego niebytności przysłała Marynia. Jej widok wzruszył Połanieckiego do głębi duszy. Często zresztą doznawał on tego rodzaju wzruszeń, gdy niespodzianie przypominał sobie Litkę lub nagle spostrzegł jeden z jej portretów. Zdawało mu się wówczas, że miłość do tego dziecka, pochowana gdzieś w głębi serca, wstała nagle z dawną żywotnością i siłą przejmując całą jego istotę ogromną tkliwością i ogromnym żalem. To odświeżanie się żalu było nawet tak bolesne, że go unikał, jak zwykle człowiek unika prawdziwego cierpienia. Teraz jednak było w jego wzruszeniu coś słodkiego. Litka uśmiechała się do niego przy blasku lampy, jak gdyby chciała powiedzieć: „Pan Stach”. Naokół jej główki, na białym obramowaniu, zieleniły się cztery brzozy namalowane przez Marynię.

Połaniecki stał i patrzył przez długi czas, na komice pomyślał:

„Wiem, w czym może być szczęście życia – w dzieciach.”

Lecz po chwili rzekł sobie:

„Tylko ja moich własnych nie będę nigdy tak kochał, jak kochałem to biedactwo.”

Tymczasem wszedł służący i oddał mu list od Maryni, który przyszedł razem z fotografią. Marynia pisała, co następuje:

„Ojciec polecił mi prosić pana na wieczór. Emilka przeniosła się już dziś do siebie i woli, żeby do niej tego dnia nie przychodzić. Posyłam panu fotografię Litki i proszę koniecznie o

przyjście, chcę bowiem pomówić z panem o Emilce. Papa prosił i pana Bigiela, którego obiecał bawić, będziemy więc mogli pomówić spokojnie.”

Połaniecki po przeczytaniu listu ubrał się i poczytawszy czas jakiś, poszedł do Pławickich.

Bigiel bawił tam już od kwadransa i grał w pikietę z panem Pławickim; Marynia siedziała opodal, przy małym stoliku, zajęta jakąś robotą. Połaniecki przywitawszy się ze wszystkimi siadł przy niej i począł mówić:

– Dziękuję pani najmocniej za fotografię. Zobaczyłem ją niespodzianie, i Litka tak mi stanęła przed oczy ma, że nie mogłem ochłonąć. Wie pani, że takie chwile są miarą żalu, z którego człowiek sobie nawet sprawy nie zdaje. Dziękuję najmocniej! I za cztery brzozy także... Co do pani Emilii, wiem już wszystko od Waskowskiego. Czy to zamiar tylko, czy nieodwołalne postanowienie?

– Prędeż, że to nieodwołalne postanowienie – odpowiedziała Marynia.

– I co pani myśli?

Marynia podniosła na niego oczy, jakby czekając od niego jakiejś rady.

– Ona nie ma na to sił – rzekła wreszcie.

Połaniecki milczał przez chwilę, następnie rozłożył bezradnie ręce.

– Mówiliśmy o tym z Waskowskim – rzekł. – Ja na niego napadłem, bo myślałem, że to jego myśl, ale on mi przysięga, że w niczym się do tego nie przyczynił. Pytał natomiast, jaką inną pociechę jej wymyślimy – i nie umiałem mu na to odpowiedzieć. Co jej naprawdę w życiu zostało?

– Tak – odrzekła cicho Marynia.

– I myśli pani, że ja nie rozumiem, skąd się wzięło to postanowienie? Ona po prostu nie chce w niczym swoich zasad religijnych obrazić, a chce wcześniej umrzeć. Wie, że to obowiązki nad jej siły, i dlatego je na siebie bierze.

– Tak – powtórzyła Marynia.

I schyliła głowę tak nisko nad robotą, że Połaniecki widział tylko rozbiór jej ciemnych włosów na małej główce. Miała przed sobą pełne pudełko perełek, które nazywała na rozmaite przedmioty, przeznaczone na dobroczynną loterię, i teraz do owych perełek poczęły się sypać łzy, które płynęły z jej oczu.

– Ja widzę doskonale, że pani płacze – rzekł Połaniecki.

A ona podniosła na niego, załzawione oczy, jakby mu chciała powiedzieć: „Przed tobą nie będę skrywała łez” – i odrzekła:

– Wiem, że Emilka dobrze robi – ale taki żal!...

Na to Połaniecki, trochę ze wzruszenia, a trochę dlatego, że sam nie wiedział, co ma powiedzieć, pocałował ją, po raz pierwszy w życiu, w rękę. Perły z oczu Maryni poczęły się potem sypać jeszcze gęściej, tak że musiała wstać i odejść.

Połaniecki zbliżył się do grających w chwili, gdy pan Pławicki mówił kwaśno uprzejmym tonem do swego partnera:

– Rubikon za rubikonem. Ha, trudno! Pan przedstawiasz nowe czasy, a ja starą tradycję, zatem muszę być pobity.

– Co to się ma do pikiety? – odrzekł spokojnie Bigiel.

Marynia wróciła po chwili z oznajmieniem, że herbata gotowa. Oczy miała nieco czerwone, ale twarz jasną i spokojną. Gdy później Bigiel z panem Pławickim zasiedli znowu do kart, rozmawiała z Połanieckim takim cichym, poufnym tonem, jakim rozmawiają ludzie bardzo sobie bliscy, mający mnóstwo wspólnych spraw w życiu. Wprawdzie wspólność ową wytworzyła między nimi śmierć Litki i nieszczęście pani Emilii, więc też rozmowa ich nie mogła być wesołą, ale mimo tego oczy, jeśli nie usta Maryni, uśmiechały się do Połanieckiego, zarazem smutno i pogodnie.

Późnym zaś wieczorem, gdy Połaniecki odszedł, Marynia rozmyślając o nim nie nazywała go w myśli inaczej, tylko „pan Stach”.

Połaniecki również wrócił do domu w usposobieniu o wiele łagodniejszym, niż bywał dotąd od czasu śmierci Litki. Chodząc po pokoju zatrzymywał się co chwila przed fotografią małej, patrząc zarazem na, cztery brzozy malowane przez Marynię, i myślał, że jednak ten węzeł, jaki zawiązała między nim a Marynią Litka, staje się co dzień niemal ściślejszy, sam przez się – jakby bez niczyjej woli i wprost jakąś tajemniczą siłą rzeczy.

I myślał także, że jeśli brak mu już dawnej, pierwotnej ochoty do utrwalenia tego węzła – to również brakłoby mu prawie odwagi, by go stanowczo przeciąć, zwłaszcza tak prędko po śmierci Litki.

Późną nocą zasiadł nad wykazami przysłanymi przez Maszkę. Chwilami jednak czynił pomyłki i w rachunkach, bo widział przed sobą pochyloną głowę Maryni i jej łzy spadające do pudełka ze szklanymi paciorkami. Nazajutrz zakupił dąbrowę na Krzemieniu – bardzo zresztą korzystnie.

III

Maszko powrócił po dwóch tygodniach z Petersburga, dość zadowolony z obrotu własnych spraw kredytowych, i przywiózł ważne wiadomości, które doszły go, jak utrzymywał, drogą czysto poufną i nie były dotąd nikomu znane. Oto zeszłego roku zbiory w całym państwie były bardzo niepomyślne. Tu i ówdzie poczęło się pokazywać widmo głodu, łatwo zaś było odgadnąć, że do wiosny zapasy wyczerpią się w całych okolicach i że klęska głodowa może stać się powszechną. Wobec tego ludzie świadomi rzeczy zaczęli przebąkiwać o prawdopodobieństwie zakazu wywozu zboża za granicę – i tego to rodzaju echa przywiózł Maszko zaręczając przy tym, że doszły do jego uszu przez osoby bardzo rzeczy świadome. Połanieckiego wiadomość ta uderzyła tak silnie, że zamknął się na kilka dni z ołówkiem w rękę, po czym udał się do Bigiela z propozycją, żeby tak rozporządzalną gotowizną, jak i kredyt Domu obrócić na hurtowne zakupy zboża.

Bigiel zląkł się – ale on od tego zaczynał wobec każdego nowego interesu. Połaniecki nie ukrywał mu zresztą, że to będzie operacja na wielką skalę, od której powodzenia lub niepowodzenia mogą ich losy zależeć. Zupełne niepowodzenie było jednak mało prawdopodobne, powodzenie zaś mogło uczynić z nich jednym zamachem ludzi prawdziwie zamożnych. Było do przewidzenia, że wobec braku zboża ceny pójdą w każdym razie w górę – było również do przewidzenia, że prawo ograniczy wprawdzie możliwość robienia nowych kontraktów z kupcami innych krajów, ale uszanuje kontrakta zawarte przed jego ogłoszeniem; gdyby zaś i to chybiło, podniesienie się cen w samym kraju było rzeczą niemal pewną. Połaniecki wszystko, o ile było w mocy ludzkiej, przewidział, wszystko obliczył – i Bigiel, który mimo swej ostrożności był człowiekiem rozsądnym, musiał przyznać, że widoki powodzenia są istotnie znaczne i że szkoda pomijać sposobności.

Jakoż po kilku jeszcze naradach, podczas których opozycja Bigiela słabła coraz bardziej, stało na tym, czego Połaniecki chciał – i po pewnym czasie główny komisant Domu, Abdulski, wyjechał z upoważnieniem czynienia kontraktów w imieniu Domu, tak na gotowe już zboże, jak i na mające przyjść z przyszłych omlotów.

W ślad za Abdulskim wyjechał do Prus Bigiel. Połaniecki został *sam* na czele Domu i pracował od rana do wieczora, skutkiem czego nie pokazywał się prawie u nikogo.

Ale czas nie dłużył mu się, bo ożywiła go nadzieja wielkich zysków i obfitszej w działalność przyszłości. Połaniecki rzucając się na ową spekulację i wciągając do niej Bigiela uczynił to przede wszystkim dlatego, że uważał ją za dobrą. Ale miał przy tym i inną myśl. Oto Dom Handlowy, razem ze wszystkimi swymi sprawami, był za ciasnym polem dla jego fachowego wykształcenia, dla zdolności i dla energii – i Połaniecki to czuł. Ostatecznie, o co

chodziło w tego rodzaju sprawach, jakie prowadził Dom? Kupić tanio, sprzedać *drożej* i schować do kasy zysk – to był jedyny cel. Zakup na własną rękę albo pośrednictwo – nic więcej. Połanieckiemu było ciasno w tej uprzęży. „Chciałbym coś kopać lub coś fabrykować – mówił w chwilach zniechęcenia i niesmaku do Bigiela – bo my w gruncie rzeczy staramy się tylko o to, by z tego potoku pieniędzy, jaki w obrotach ludzkich płynie, zwrócić choć jaką taką strugę do naszej kieszeni, ale nie produkujemy nic.” I to była prawda. Połaniecki pragnął dojść do majątku, zdobyć kapitał, a następnie wziąć się do jakiej roboty, bardziej walnej, dającej szersze pole do pracy i twórczości.

Sposobność, jak mu się zdawało, nadeszła, więc chwycił ją oburącz.

„Potem pomyślę o wszystkim innym” – mówił sobie.

Przez „wszystko inne” rozumiał swoje sprawy ducha i serca, to jest swój stosunek do wiary, do ludzi, do ziemi, do kobiety. Rozumiał, że chcąc być w życiu spokojnym, trzeba te stosunki wyjaśnić i stanąć na pewnych nogach. Są ludzie, którzy całe życie nie wiedzą, czym są względem tych podstaw, i których każdy wiatr kieruje w inną stronę. Połaniecki czuł, że tak nie *powinno* być. W obecnym swym usposobieniu przewidywał, że te pytania mogą być rozstrzygnięte w sposób tak trzeźwy, że aż suchy, i tak pozytywny, że aż materialistyczny, a w ogóle ujemny; ale rozumiał, że rozstrzygnięte być muszą.

„Chcę wiedzieć jasno, czym coś powinien, czy nie” – mówił sobie.

Tymczasem pracował i ludzi mało widywał. Nie mógł się jednak całkowicie od nich usunąć. Przekonał się też, że najbardziej osobiste pytania nie mogą być rozstrzygane tylko wewnątrz, tylko we własnym mózgu lub sercu, zamkniętym na cztery spusty, ale że najczęściej jakieś wpływy zewnętrzne, jacyś ludzie dalsi lub bliżsi, przyspieszają tak koniec rozmyślań, jak i płynących z rozmyślenia postanowień. Stało się to przy pożegnaniu pani Emilii, która codziennie teraz i niemal gorączkowo skracała termin wstąpienia do nowicjatu siostr miłosierdzia.

Połaniecki nie przestawał wśród swych zajęć chodzić do niej, ale kilkakrotnie nie zastał jej w domu, raz zaś znalazł u niej panią Bigielową, a zarazem i panią, i pannę Krasławską, których obecność krępowała go w wysokim stopniu. Następnie, gdy Marynia doniosła mu, że pani Emilia rozpoczyna nowicjat za kilka dni, poszedł, by ją pożegnać.

Zastał ją spokojną i niemal wesołą, ale na jej widok ścisnęło mu się serce. Twarz miała przezroczystą, miejscami jakby uczynioną z perłowej masy; błękitne żyły przeglądały jej przez skórę na skroniach. Była bardzo piękna w sposób prawie nieziemski, ale Połaniecki pomyślał: „Żegnam ją na dobre, bo ona i miesiąca nie wytrzyma: z jednego więcej przywiązania – jedna więcej zgryzota i nieszczęście!”

Ona poczęła z nim mówić o swoim postanowieniu jako o rzeczy najzwyczajszej, która się sama przez się rozumie i jest naturalnym następstwem tego, co się stało, naturalna, ucieczką przed życiem, pozbawionym wszelkiej podstawy. Połaniecki rozumiał, że odradzać jej byłoby z jego strony wprost rzeczą niesumienną i zupełnie bezmyślną.

– Pani tu zostanie? w Warszawie? – spytał.

– Tak. Bo chciałabym być blisko Litki, i matka przełożona obiecała mi, że będę naprzód w domu, a potem, jak się czegoś nauczę, to przy którym z tutejszych szpitalów. Chybaby zaszły jakieś nadzwyczajne wypadki... Póki będę w domu, co niedziela będę mi wolno odwiedzać Litkę.

Połaniecki zacisnął zęby i milczał; patrzył tylko na delikatne, jakby woskowe, ręce pani Emilii, myśląc w duszy:

„Ona chce tymi rękoma opatrywać chorych?...”

Ale jednocześnie odgadywał, że ona chce przede wszystkim czego innego. Pod jej pogodą i rezygnacją odczuwał niezmierny ból, mocny jak śmierć i wołający o śmierć ze wszystkich sił duszy i serca. Chciała tylko, by ta śmierć przyszła bez jej winy, nie jako jej grzech, ale jako zasługa, której nagrodę miało stanowić połączenie się z Litką...

I teraz dopiero Połaniecki zrozumiał różnicę między bólem a bólem, żalem a żalem. I on kochał Litkę, ale w nim, obok żalu za nią i wspomnień o niej, było jeszcze coś innego, jakiś życiowy interes, jakaś ciekawość przyszłości, jakieś chęci, myśli, dążenia. Pani Emilii nie zostało nic, tak jakby umarła razem z Litką, i jeśli zajmował ją coś jeszcze na świecie, jeśli kochała tych, którzy jej byli bliscy, to tylko dla Litki, przez Litkę i o tyle, o ile byli z nią związani.

Połanieckiemu ciężkie były te odwiedziny i to pożegnanie. Przywiązał się był do pani Emilii głęboko, a teraz miał poczucie, że nić łącząca ich prysła raz na zawsze i że drogi ich rozchodzą się w tej chwili, bo on idzie dalej drogą życia, ona zaś chce, by jej życie wypaliło się jak najprędzej, i wybiera trud – wprawdzie błogosławiony – ale nad siły, by przyspieszyć śmierć.

Ta myśl zamykała mu usta. W ostatniej jednak chwili przywiązanie, jakie miał z dawna dla niej, przemogło, i począł mówić z prawdziwym wzruszeniem, całując jej rękę:

– Droga pani, bardzo droga! niech panią Bóg strzeże i pociesza!

Tu zabrakło mu słów, lecz ona, nie puszczając jego ręki, rzekła:

– Do śmierci nie zapomnę panu, że pan Litkę tak kochał. Wiem od Maryni, że ona was połączyła, i dlatego wiem, że będziecie szczęśliwi, bo inaczej Bóg nie byłby jej tak natchnął. Ile razy was w życiu zobaczę, tyle razy pomyślę sobie, że wasze szczęście – to dzieło Litki. Niechże jej wola spełni się jak najprędzej i niech was Bóg błogosławi oboje.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko, wracając do domu, myślał:

„Wola Litki!... Ona ani przypuszcza, że wola Litki może być nie spełniona – i jakże jej miałem powiedzieć, że tamta nie jest już tym dla mnie, czym była...”

A jednak czuł coraz wyraźniej, że dłużej nie powinno tak być i że owe węzły łączące go z Marynią należy w krótkim czasie albo ścieśnić, albo zerwać, by położyć koniec dziwaczному położeniu, nieporozumieniom i troskom, jakie stąd mogły wyniknąć; czuł, że trzeba to uczynić prędko, by postąpić uczciwie. I ogarnął go nowy niepokój, wydało mu się bowiem, że jakkolwiek postąpi, nie przyniesie mu to szczęścia.

Wróciwszy do domu, zastał list Maszki, który brzmiał, jak następuje:

„Byłem u ciebie dziś dwa razy. Jakiś wariat zelżył mnie wobec moich dependentów z powodu dąbrowy, którą ci sprzedałem. Nazywa się Gątowski. Potrzebuję z tobą pomówić i będę raz jeszcze przed wieczorem.”

Jakoż przybiegł przed upływem godziny i nie zdejmując paletota począł pytać:

– Ty znasz tego Gątowskiego?

– Znam. To sąsiad i krewny Pławickich. Skąd to poszło i co się stało?

Maszko zdjął paletot i rzekł:

– Nie rozumiem nawet, skąd wieść o tej sprzedaży mogła się rozejść, bo ja nie mówiłem o tym nikomu i nawet zależało mi na tym, by się nie rozeszła.

– Nasz agent, Abdulski, jeździł do Krzemienia obejrzeć dąbrowę. Gątowski musiał się od niego dowiedzieć o sprzedaży.

– Słuchajże, co się stało. Dziś w biurze przynoszą mi kartę Gątowskiego. Nie wiedząc, kto to jest – przyjmuję. Wchodzi jakiś chłystek i pyta mnie: czy prawda, że sprzedałem dąbrowę i że chcę rozkolonizować część Krzemienia? Oczywiście, odpowiadam także pytaniem: co go to może obchodzić? Ten mówi, że zobowiązałem się płacić z Krzemienia dożywotnią rentę staremu Pławickiemu i że jeśli, prowadząc rabunkowe gospodarstwo, zrujnuję Krzemień, nie będzie mnie na czym poszukiwać. Rozumiesz, że na to poradziłem mu, żeby wziął kapelus, zapiął się dobrze ze względu na mróz i żeby poszedł, skąd przyszedł. Wówczas począł wrzeszczeć, nazwał mnie wobec moich dependentów szachrajem, oszustem, wreszcie powiedział mi, że mieszka w Saskim Hotelu – i poszedł. Czy ty nie masz do tego klucza? Czy nie możesz powiedzieć mi, co to znaczy?

– Owszem! Po pierwsze: ten Gątownski jest ograniczony i z natury gbur; po drugie: Gątownski jest od lat całych zakochany w pannie Pławickiej, i chciało mu się zostać jej rycerzem.

– Wiesz, że mam dość zimnej krwi, ale istotnie, chwilami zdaje mi się, że to sen. Zęby ktoś pozwolił sobie zelżyć mnie za to, że sprzedaję swoją własność – to wprost przechodzi ludzkie pojęcie.

– Co myślisz robić? Gątownskiemu pierwszy stary Pławicki natrze uszu i zmusi go, by cię przeprosił.

Na to twarz Maszki przybrała taki wyraz zimnej i zawziętej złości, że Połaniecki mimo woli pomyślał:

„No, «niedźwiadek» nawarzył piwa, jakiego się nie spodziewał – i musi je wypić.”

– Mnie nikt nigdy w życiu bezkarnie nie ubliżył i nie ubliży – rzekł Maszko – a ten człowiek nie tylko mnie zelżył, ale zrobił mi taką krzywdę, jakiej się nie domyśla.

– To jest chłystek, po prostu niepoczytalny. – Wściekły pies jest niepoczytalny, a mimo tego w łeb mu się strzela. Widzisz, że mówię chłodno, więc słuchaj, co ci powiem: spotkała mnie katastrofa, spod której się nie podniosę.

– Mówisz chłodno, ale złość cię dusi, więc przesadzasz.

– Bynajmniej. Bądź cierpliwy i wysłuchaj mnie do końca. Położenie jest takie: jeśli moje małżeństwo nie dojdzie do skutku albo nawet odwlecze się na jakie kilka miesięcy, diabli wezmą mnie, moje stanowisko, mój kredyt, mój Krzemień i wszystko, co mam. Powiedziałem ci, że jadę resztką pary – i muszę stanąć. Panna Krasławska nie wychodzi za mnie z miłości, tylko dlatego, że ma dwadzieścia dziewięć lat i że wydaję się jej, jeśli nie wymarzoną, to przynajmniej dostateczną partią. Jeżeli się tylko pokaże, że nie jestem taką, jak myśli, to zerwie ze mną. Gdyby te panie dziś dowiedziały się, że sprzedam dąbrowę na Krzemieniu z potrzeby – jutro miałbym rekuzę. Teraz pomyśl: awantura była publiczna, bo przy moich dependentach. Rzecz nie utai się. Mógłbym im może sprzedaż dąbrowy wytłumaczyć – ale pozostaję prócz tego człowiekiem zelżonym. Gdybym nie wyzwiał Gątownskiego, mogą ze mną zerwać jako z szują bez honoru, jeśli go wyzwę – pamiętaj, że to są dewotki, a prócz tego kobiety tak przestrzegające pozorów, jak drugich nie znam – więc zerwą ze mną jako z awanturnikiem. Jeśli Gątownskiego postrzelę, zerwą ze mną jako z zabójcą; jeśli on mnie, zerwą jako z niedołągą, który się pozwolił zelżyć i poturbować. Na sto danych jest dziewięćdziesiąt, że tak postąpią. Rozumiesz teraz, dlaczego ci powiedział, że diabli wezmą mnie, mój kredyt, moje stanowisko i w dodatku Krzemień.

Połaniecki machnął ręką z całym bezmyślnym egoizmem, na jaki zdobyć się może tylko mężczyzna w stosunku do drugiego mężczyzny, który go w gruncie rzeczy mało obchodzi.

—Ba! – rzekł. – Krzemień może ja od ciebie kupić. Ale położenie jest ciężkie. Co tedy myślisz robić z Gątownskim?

Na to Maszko rzekł:

– Dotychczas płacę długi. Nie chciałeś mi družbować, czy zechcesz być moim świadkiem?

– Tego się nie odmawia – rzekł Połaniecki.

– Dziękuję. Gątownski mieszka w Saskim Hotelu.

– Jutro będę u niego.

Zaraz po wyjściu Maszki Połaniecki wybrał się na spędzenie wieczoru do Pławickich, po drodze zaś myślał:

„Z Maszką nie ma żartów, i rzecz nie skończy się byle jak; ale co mnie to może obchodzić? Co oni wszyscy mnie obchodzą albo ja ich? Jednakże jaki człowiek jest diabelnie sam na świecie!”

I nagle uczuł, że jedyną na świecie istotą, którą on coś obchodzi i która o nim myśli nie jak o rzeczy, jest Marynia.

I rzeczywiście, gdy wszedł, z samego uścisku jej ręki poznał, że tak jest; ona zaś rzekła mu na powitanie swoim łagodnym i spokojnym głosem:

– Miałam przeczucie, że pan przyjdzie. Niech pan patrzy: jest gotowa dla pana filizanka.

IV

Połaniecki, przybywszy do Pławickich, zastał tam Gątowskiego. Młodzi ludzie przywitali się od razu, z widocznym chłodem i niechęcią. Dnia tego nie było w całym świecie nieszczęśliwszego człowieka niż Gątowski. Stary Pławicki z niego drwił jak zwykle, a nawet więcej niż zwykle, był bowiem w wybornym humorze z powodu swej krewnej, po której spodziewał się znacznego spadku; Marynię krępowała jego obecność i przymus ów na próżno starała się pokryć uprzejmym obejściem się i dobrocią. Na koniec Połaniecki udawał niemal, że go nie widzi. Widocznym także było, że Gątowski nie przyznał się do niczego przed starym Pławickim i że drży teraz o to, by Połaniecki nie uczynił o jego zajściu z Maszką jakiejś wzmianki lub żeby go nie opowiedział.

Połaniecki zrozumiał to od razu, jak również i przewagę, jaką mu jego milczenie daje nad „niedźwiadkiem”; chcąc zaś jej użyć w interesie Maszki, do czasu milczał, lecz nie umiał sobie odmówić chęci ukarania Gątowskiego w inny sposób. Oto przez cały wieczór zajmował się tak Marynią, jak nigdy od czasu śmierci Litki, co Marynię przejmowało widoczną radością. Zostawiwszy Gątowskiego staremu Pławickiemu chodzili oboje w poufnej rozmowie po pokoju, potem zaś siedli pod ową palmą, pod którą Połaniecki widział po powrocie z pogrzebu panią Emilię – i rozmawiali właśnie o jej bliskim wstąpieniu do sióstr miłosierdzia. Lecz Gątowskiemu zdawało się chwilami, że tak mogą rozmawiać tylko narzeczem, i czuł wówczas to, co musi czuć dusza, nie w czyścicu, bo czyścicowa ma jeszcze przed sobą nadzieję, lecz taka, która przestępuje bramę z napisem: *Lasciate ogni speranza*. Widząc ich tak razem, wyobrażał sobie również, że może Połaniecki kupić dąbrowę wraz z gruntem, żeby choć część Krzemienia odzyskać dla Maryni, a żartem z jej wolą i wiedzą. I na samą myśl, jak w takim razie zabrnął uczyniwszy awanturę Maszce, włosy powstawały mu na głowie; Pławicki zaś, słysząc jego na wpół przytomne albo i całkiem niedorzeczne odpowiedzi, bawił się coraz lepiej kosztem „prowincjała”, który na bruku miejskim „braci resztę rozumu. Pan Pławicki miał się już za wzór człowieka „stołecznego”.

Przyszła jednak chwila, że, gdy Marynia zajęła się w drugim pokoju herbata, a pan Pławicki poszedł do siebie po cygara, młodzi ludzie zostali sam na sam; wówczas Połaniecki zwrócił się do Gątowskiego i rzekł:

– Wyjdźmy po herbacie razem; chcę z panem pomówić w sprawie pańskiego zajścia z panem Maszką.

– I owszem – odrzekł ponuro Gątowski zrozumiawszy, że Połaniecki jest świadkiem Maszki.

Tymczasem trzeba było jeszcze zostać na herbacie, a potem siedzieć dość długo, gdyż stary pan Pławicki nie lubił kłaść się wcześniej i wzywał Gątowskiego na partię szachów. Podczas partii panna Marynia z Połanieckim siedzieli znów osobno i rozmawiali z ożywieniem, ku serdecznej męce „niedźwiadka”.

– Przyjazd pana Gątowskiego – rzekł nagle Połaniecki – musi być pani miły, bo pani przypomniał Krzemień.

Przez twarz Maryni przemknęło zdziwienie, że Połaniecki pierwszy wspomina Krzemień. Ona sądziła, że na mocy milczącej ugody sprawę tę pokryje wiekuiste milczenie. Po chwili też odrzekła:

– Ja już więcej nie myślę o Krzemieniu.

I mówiąc to mówiła nieprawdę, bo w głębi serca było jej serdecznie żal i miejsca, w którym się wychowała, i pracy kilku lat, i zburzonych nadziei; ale sądziła, że tak jej nakazuje mówić zarówno obowiązek, jak i budzące się dla Połanieckiego coraz silniejsze uczucie.

– Krzemień – dodała nieco wzruszonym głosem – był powodem naszej kłótni, a ja chcę teraz zgody i zgody na zawsze.

I mówiąc to patrzyła Połanieckiemu w oczy z taką pełną słodczy kokieterią, na jaką umie się zdobyć licha kobieta zawsze, a uczciwa wówczas tylko, gdy poczyna kochać; Połaniecki zaś pomyślał:

„Jednakże ona jest ogromnie dobra.”

I zaraz powiedział głośno:

– Pani by miała przeciw mnie bajeczną broń. bo mnie dobrocią do piekła by można zaprowadzić...

A ona odrzekła:

– Ja tam nie chcę pana prowadzić.

I na znak, że nie chce, poczęła trząść z uśmiechem swoją ciemną, śliczną główką, a Połaniecki patrzył w jej twarz, w śmiejące się, nieco za szerokie usta i mówił sobie w duchu:

„Kocham ją czy nie kocham, ale żadna mnie tak nie ciągnie jak kleszczami!”

Jakoż nigdy nie ujęła go i nie podobała mu się więcej, nawet wówczas, gdy nie miał ani cienia wątpliwości, że ją kocha, i gdy borykał się z tym uczuciem.

Począł się jednak żegnać, gdyż uczyniło się późno, i po chwili obaj z Gątowskim znaleźli się na ulicy.

Wówczas Połaniecki, który nigdy nie umiał uchronić się od popędliwości, zatrzymał nieszczęśliwego „niedźwiadka” i spytał niemal w sposób wyzywający:

– Czy pan wiedziałeś, że dąbrowę na Krzemieniu kupiłem ja?

– Wiedziałem – odpowiedział Gątowski – bo wasz komisant, ten, co powiada, że pochodzi z Tatarów... zapomniałem, jak mu tam!... był u mnie w Jałbrzykowie i mówił mi, że to pan.

– Dlaczego tedy zrobiłeś pan awanturę panu Maszce, nie mnie? Na to Gątowski odrzekł:

– Niech mnie pan tak nie przyciska do muru, bo ja tego nie lubię. Awanturę zrobiłem tamtemu jegomości, nie panu, bo państwu Pławickim nic się od pana nie należy, a tamten ma im płacić rocznie z Krzemienia tyle, ile się zobowiązał, a jak zdewastuje Krzemień, to nie będzie miał z czego. Chciałeś pan wiedzieć, dlaczego tamtemu nawymyślałem, to pan wiesz.

Połaniecki musiał przyznać w duchu, że w odpowiedzi Gątowskiego jest pewna słuszność, począł też natychmiast rozmowę z innej strony.

– Pan Maszko prosił mnie na świadka – rzekł – dlatego mieszam się do tej sprawy. Jako świadek, będę u pana jutro, dziś zaś, jako człowiek prywatny i jako krewny, choć daleki, pana Pławickiego, mogę panu powiedzieć tylko to: oddałeś najgorszą usługę panu Pławickiemu, i jeśli i on, i panna Maria zostaną bez kawałka chleba, to panu będą to zawdzięczali. Tak jest!

Oczy Gątowskiego stały się zupełnie okrągłe.

– Bez kawałka chleba?... mnie będą zawdzięczali?...

– Tak jest – powtórzył Połaniecki. – Słuchajże pan dobrze. Bez względu na to, jaki będzie rezultat zajścia... okoliczności są takie, że może ono mieć najfatalniejsze skutki. Mówię to panu pod słowem: pan prawdopodobnie zrujnowałeś pana Pławickiego i odjąłeś i jemu, i córce sposób, a raczej środki do życia.

Jeśli Gątowski istotnie nie lubił, gdy go przyciskano do muru, to teraz była pora do okazania owego wstrętu. Lecz Gątowski stracił zupełnie głowę i stał w przerażeniu, z otwartymi ustami, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi, i dopiero po chwili zaczął:

– Co? jak? jakim sposobem? Bądź pan pewny, że do tego nie przyjdzie, choćbym miał im Jałbrzyków oddać.

Lecz Połaniecki przerwał:

– Panie Gątowski, szkoda słów! Ja waszą okolicę znam od małego dziecka. Co to jest Jałbrzyków? i co pan masz na Jałbrzykowie?

Była to prawda. Jałbrzyków był wioszczyną o dziewięciu włókach, a przy tym Gątowski miał, jak to bywa, odziedziczonych długów wyżej uszu na Jałbrzykowie – więc ręce opadły mu zupełnie.

Przyszło mu jednak do głowy, że może *rzeczy* tak nie stoją, jak je przedstawia Połaniecki, i chwycił się tej myśli jak deski zbawienia.

– Ja tego nie rozumiem, co pan mówi – rzekł. – Bóg mi świadek, że wolałbym własną zgubę niż zgubę państwa Pławickich, i to pan wiedz, że chętnie bym nadkręcił karku panu Maszce, ale jeśli trzeba, jeśli chodzi o państwa Pławickich, to niech mnie pierwej diabli wezmą. Ja byłem zaraz po tym zajściu u pana Jamisza, który teraz jest na kadencji, i przyznałem mu się do wszystkiego. Powiedział mi, że jestem głupstwo zrobił, i zwymyślał mnie – prawda! Gdyby o moją skórę chodziło – co mi tam! palcem bym nie ruszył; ale skoro to co innego, więc co mi powie pan Jamisz, to zrobię, choćby mnie miał potem piorun trzasnąć. Pan Jamisz mieszka w Saskim Hotelu i ja też.

Na tym rozstali się i Gątowski poszedł do swego hotelu klnąc Maszkę, siebie i Połanieckiego. Czuł, że musiało tak być, jak Połaniecki mówił, że stało się jakieś nieszczęście niepowetowane i że wyrządził ciężką krzywdę tej samej pannie Marii, za którą oddałby ostatnią kroplę krwi; czuł, że ostatecznie, jeśli była dla niego jakakolwiek nadzieja, to ją zniszczył. Pławicki zamknął mu drzwi. Panna Maria wyjdzie za Połanieckiego – chyba by on sam jej nie chciał. Ale kto by jej nie chciał? I jednocześnie biedny Gątowski ujrzał jasno, że między tymi, którzy by mogli pożądać jej ręki – on, w każdym razie, byłby ostatnim, za którego by wyszła. „Co ja mam? Nic – mówił sobie – ten parszywy Jałbrzyków i nic więcej: ani rozumu, ani pieniędzy. Każdy coś wie, tylko ja nic nie wiem! Każdy coś zna, tylko ja nic nie znaczę. Taki Połaniecki ma i naukę, i pieniądze, a że ja ją lepiej kocham – diabli mi z tego, i tyleż jej, skorom taki dureń, że jeszcze jej przez to szkodzę, nie pomagam.”

Połaniecki wracając do domu myślał o Gątowskim to samo i w ogóle nie miał dla niego ani iskry współczucia. W domu zastał Maszkę, który go czekał od godziny i który rzekł mu na powitanie:

– Drugim świadkiem będzie Kresowski.

Połaniecki skrzywił się nieco i odpowiedział:

– Widziałem Gątowskiego.

– I co?

– To dureń.

– Przede wszystkim. Czy mówiłeś mu co w moim imieniu?

– W twoim nic. Mówiłem mu jako krewny pana Pławickiego, że oddał mu najgorszą w świecie usługę.

– Nie dałeś żadnych wyjaśnień?

– Żadnych. Słuchaj, Maszko, tobie chodzi o pełną satysfakcję; mnie także nic na tym nie zależy, żebyście sobie we łby postrzelali. Na mocy tego, com Gątowskiemu powiedział, gotów jest przystać na wszystkie twoje warunki. Na szczęście, udał się do radcy Jamisza, a to jest rozsądny i łagodny człowiek, który także rozumie, że Gątowski postąpił jak dureń, i rad będzie dać mu lekcję.

– Dobrze – rzekł Maszko. – Daj mi pióro i kawałek papieru.

– Masz na biurku.

Maszko siadł i zaczął pisać, a gdy skończył, podał zapisaną ćwiartkę Połanieckiemu.

Połaniecki czytał, co następuje:

„Oświadczam niniejszym, że napadłem na pana Maszkę po pijanemu, w stanie nieprzytomnym, i nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię. Dziś wytrzeźwiony, wobec moich, świadków i świadków pana Maszki oraz osób, które były przy napaści obecne, uznaję

mój postępek za grubiański i bezrozumny i z największym żalem i pokorą odwołuję się do wyrozumiałości i łaski pana Maszki, prosząc go o przebaczenie i wyznając publicznie, że jego postępowanie było i jest we wszystkim wyższe nad sądy ludzi do mnie podobnych.”

– Gątowski ma to wydeklamować, a następnie podpisać – rzekł Maszko.

– To jest diablo nielitościwe. Na to się nikt nie zgodzi.

– Uznajesz, że ten błazen dopuścił się względem mnie czegoś niesłychanego?

– Uznaję.

– Rozumiesz, jakie skutki ta awantura dla mnie pociągnie?

– Tego nie można wiedzieć.

– To ja wiem – i powiem ci. tylko; tyle: te panie żałują w duszy, że się związały, i skorzystają z lada pozorów, który je osłoni przed światem. To jest pewne. Jestem zgubiony, niemal bez ratunku.

– Do licha!

– Rozumiesz teraz, że to, co mnie nurtuje, musi się na kimś skrupić – i że Gątowski musi mi w taki lub owaki sposób za krzywdę zapłacić.

Połaniecki ruszył ramionami.

– Nie rozczulam się i ja nad nim. Niech tak będzie.

– Kresowski przyjdzie po ciebie jutro o dziewiątej.

– Dobrze.

– Zatem do widzenia. Ale! jeśli zobaczysz jutro Pławickiego, powiedz mu, że w Rzymie umarła jego krewna, Płoszowska, po której spodziewał się spadku. Testament był tu u regenta Podwójnego i ma być jutro otwarty.

– Dobrze. Pławicki już o tym wie, bo ona umarła przed pięciu dniami.

Połaniecki został sam. Przez czas jakiś myślał o swojej sumie, nie przewidując sposobu, w jaki ją będzie mógł od zbankrutowanego Maszki wydobyć – i myśl ta zaniepokoiła go. Przypomniał sobie jednak, że suma ta nie mogła być przed całkowitą spłatą wykreślona z hipoteki Krzemienia, że więc w ostatecznym razie zostanie, jak był dawniej, wierzycielem Krzemienia. Krzemień nie był wprawdzie wiele lepszym dłużnikiem od Maszki, nie była to więc wielka pociecha – ale na razie należało na niej poprzestać.

Później też przyszło mu do głowy co innego. Począł wspominać Litkę, panią Emilię, Marynię i uderzyło go to, jak tego rodzaju świat kobiecy, czysto uczuciowy, którego główny interes polega na kochaniu, na szczęściu bliskich, różny jest od świata męskiego, pełnego współzawodnictw, walki, czubienia się, gniewów, pojedynków, wysiłków dla zrobienia majątku i zmęczenia. I uznał w tej chwili, czego już nie czuł dawno, że jeśli jest na świecie spoczynek, szczęście, ukojenie, to należy ich szukać u kochającej kobiety. Było to poczucie wprost przeciwne jego filozofii z dni ostatnich, dlatego zaniepokoiło go. Ale porównywając dalej te dwa światy nie mógł się jednak oprzeć uznaniu, że ten kobiecy, kochający, ma swoją zasadę i swoją rację bytu.

Gdyby Połaniecki był biegleszy w Piśmie św., byłyby mu niechybnie przyszły do głowy słowa: „Maria lepszą częstkę obrała.”

V

Kresowski spóźnił się nazajutrz blisko o godzinę. Był to, według znanego u nas określenia, jeden z administratorów świeżego powietrza w mieście, to jest jeden z ludzi nie robiących nic. Miał dość znane nazwisko i stracił dość znaczny majątek. Na tych dwóch podstawach stał, żył, bywał wszędzie i uznawany był powszechnie za porządnego człowieka. Jak powyższe tytuły mogą na to wszystko wystarczyć, to jest tajemnica wielkich miast; dość, że nie tylko

stanowisko Kresowskiego było uznane i zapewnione, ale uważano go nadto za człowieka, do którego w delikatnych sprawach można się bezpiecznie udać. W sądach honorowych używano go za arbitra, w pojedynkach za świadka. Wysokie sfery finansowe zapraszały go na obiady, śluby, chrzciny i tym podobne uroczystości, albowiem miał patrycjuszowską łysinę i bardzo polską fizjonomię, doskonale więc stół ubierał.

Był to człowiek w gruncie rzeczy ogromnie rozczarowany do ludzi, trochę suchotnik i bardzo zgryźliwy; posiadał jednak pewną dozę humoru, która pozwalała mu widzieć śmieszne strony rzeczy, zwłaszcza bardzo drobnych, w czym przypominał nieco Bukackiego – i drwić z własnej zgryźliwości. Pozwalał także żartować z niej innym, ale pod miarę. Gdy ją przebrano, wyprostowywał się nagle i przyciskał ludzi aż nadto, wskutek czego uważano go za niebezpiecznego. Opowiadano o nim, że w kilku wypadkach znalazł odwagę tam, gdzieby wielu jej brakło, i że w ogóle umiał „wysoko nos nosić”. Nie szanował nikogo i niczego prócz swojej, istotnie, bardzo szlachetnej fizjonomii, nie szanował zwłaszcza czasu, albowiem spóźniał się zawsze i wszędzie.

Wszedłszy obecnie do Połanieckiego, począł też zaraz po przywitaniu tłumaczyć swoje opóźnienie.

– Czy pan nie zauważyłeś – rzekł – że jeśli się człowiekowi bardzo śpieszy i bardzo na pośpiechu zależy, wówczas najniezbędniejsze do wyjścia rzeczy giną umyślnie, jakby w wodę wpadły. Służący szuka kapelusza – nie ma kapelusza, szuka kaloszy – nie ma kaloszy, szuka się portmonetki – nie ma portmonetki. O zakład, zawsze!

– Bywa tak – rzekł Połaniecki.

– Ja nawet wynalazłem na to sposób. Gdy mi coś tak jak w wodę wpadnie, siadam, uśmiecham się i mówię głośno: „Pasjami lubię tak coś zgubić; człowiek szuka, ożywia się, rusza, wypełnia czas – to niezmiernie zdrowe i przyjemne.” I co pan powiesz? Wtedy od razu się znajduje to, co zginęło.

– Można by wziąć patent na taki wynalazek – odpowiedział Połaniecki. – Ale mówmy o sprawie Maszki.

– Mamy iść do radcy Jamisza. Maszko przysłał mi cyrograf, który napisał dla Gątowskiego. Nie chce ani słowa zmienić – ale to niemożliwe, zbyt ostre – to nie może być przyjęte. Rozumiem, że czeka nas pojedynek, nic więcej – innego wyjścia nie widzę.

– Gątowski zdał się ze wszystkim na pana Jamisza i zrobi wszystko, co mu pan Jamisz każe, a pan Jamisz jest, naprzód, także oburzony na Gątowskiego, a po wtóre, człowiek chory, łagodny, spokojny, tak że kto wie, czy nawet takich warunków nie przyjmie.

– Pan Jamisz jest safandula – odparł Kresowski. – Ale chodźmy, bo późno.

I wyszli. Po chwili sanki zatrzymały się przed Saskim Hotelem. Pan Jamisz czekał na nich, ale przyjął ich w szlafroku, był bowiem, istotnie niezdrów. Kresowski patrząc na jego twarz inteligentną, ale pogiębioną i nalaną, pomyślał:

„Ten istotnie gotów się zgodzić na wszystko.”

– Siadajcież, panowie – rzekł pan Jamisz. – Przyjechałem dopiero od trzech dni – i choć nie czuję się dobrze, rad jestem, bo może się uda awanturę załagodzić. Wiercie mi, że pierwszy natarłem uszu mojemu paliwodzie.

Tu począł ramionami ruszać, a następnie zwróciwszy się do Połanieckiego spytał:

– Co tam u Pławickich? Nie byłem dotąd u nich, a tęskno mi do mojej złotej Maryni...

– Panna Maria zdrowa – odrzekł Połaniecki.

– A staruszek?...

– Umarła przed kilku dniami daleka jego krewna, bardzo bogata, więc liczy na spadek. Wczoraj mi to mówił, ale ja słyszałem, że cały majątek zapisała na dobroczynność... Testament dziś albo jutro będzie otwarty...

– Bóg by ją natchnął, żeby Maryni co zapisała. Ale przystąpmy do sprawy. Moi panowie, nie potrzebuję wam mówić, że naszym obowiązkiem jest skończyć ją, o ile można, zgodnie.

Kresowski skłonił się. Nudziły go podobne wstępy, które już słyszał Bóg wie ile razy w życiu, więc przerwał:

– Jesteśmy tym obowiązkiem głęboko przejęci!...

– Tak się też spodziewałem – odrzekł dobrodusznie pan Jamisz. – Ja sam przyznaję, że pan Gątowski nie miał najmniejszego prawa postąpić, jak postąpił; uznaję nawet za słuszne, żeby był za to ukarany, więc skłonię go do wszelkich nawet bardzo znacznych ustępstw mogących zapewnić panu Maszce należytą satysfakcję.

Kresowski wydobyl z kieszeni złożony arkusik listowego papieru i podał go z uśmiechem panu Jamiszowi mówiąc:

– Pan Maszko nie wymaga też niczego więcej, jak żeby pan Gątowski naprzód odczytał ten mały dokumencik wobec swoich i jego świadków oraz wobec dependentów, obecnych przy awanturze, a następnie, by podpisał pod nim swoje szanowne nazwisko.

Pan Jamisz, znalazłszy między papierami okulary, nałożył je na nos i począł czytać. Lecz w miarę jak czytał, twarz jego zaczerwieniła się, następnie pobraźla, następnie zaczął sapać, następnie i Połaniecki, i Kresowski prawie oczom nie chcieli wierzyć, że to jest ten sam pan Jamisz, który przed chwilą gotów był do wszelkich ustępstw.

– Moi panowie – rzekł przerywanym głosem – pan Gątowski postąpił jak paliwoda, narwaniec, ale pan Gątowski jest... szlachcic, i oto, co w jego imieniu odpowiadam panu Maszce.

To rzekłszy przedał arkusik na cztery części i rzucił go na ziemię.

Rzecz nie była przewidziana. Kresowski począł się namyślać, czy pan Jamisz postępkami swym nie ubliżył jego godności jako świadka – i twarz poczęła mu w jednej chwili lodowacieć i ściągać się jak u złego psa; ale Połanieckiemu, który pana Jamisza lubił, podobało się to jego oburzenie.

– Panie radco – rzekł dobitnie – pan Maszko jest pokrzywdzony w tak niebywały sposób, że nie może mniej wymagać, ale ja i pan Kresowski przewidywaliśmy pańską odpowiedź i zwiększa ona tylko szacunek, jaki dla pana mamy.

Radca Jamisz usiadł – i będąc nieco astmatykiem, oddychał czas jakiś ciężko; po czym uspokoił się i rzekł:

– Mógłbym panom zaofiarować przeproszenie ze strony pana Gątowskiego, ale całkiem w innych wyrazach; widzę jednak, że tracilibyśmy tylko czas, więc mówmy po prostu o zadośćuczynieniu z bronią w rękę, Za chwilę przyjdzie tu pan Witkowski, drugi świadek Gątowskiego, i jeśli możecie poczekać, to ułożymy zaraz warunki.

– To się nazywa iść prosto do celu – rzekł Kresowski, całkiem pogodzony z panem Jamiszem.

– Ale się idzie z konieczności i ze smutnej konieczności – odpowiedział pan Jamisz.

Połaniecki spojrział na zegarek.

– Ja muszę o jedenastej być w biurze – rzekł – ale jeśli pan radca pozwoli, wpadnę tu koło pierwszej dla przejrzenia i podpisania warunków.

– Dobrze. Z góry pana uprzedzam, że rozumiem, iż warunki nie mogą być ułożone tak, by budziły śmiech ludzki, ale liczę też na to, że i pan Kresowski, i pan, panie Połaniecki, nie zechcecie ich posuwać do ostateczności.

– Nie; możesz pan być pewny, że nie myślę być nadto zapalczywy kosztem cudzej skóry.

To rzekłszy Połaniecki wyszedł i udał się do biura, gdzie istotnie czekało go kilka spraw dość ważnych, o których pod niebytność Bigiela musiał stanowić własną głowę. W południe podpisał warunki, które były poważne, ale nie nadto ostre, następnie udał się na obiad, spodziewał się bowiem zastać w restauracji Maszkę.

Maszko jednak widocznie musiał być u pań Krasławskich; natomiast pierwszą osobą, jaką Połaniecki ujrzał, był pan Pławicki, przybrany jak zwykle starannie, ogolony, opięty, wyswieżony, ale posepny jak noc.

– Co tu szanowny wujaszek porabia? – spytał Połaniecki.

– Jak mam jakie zmartwienie, nie jadam zwykle w domu, by nie zasmucać Maryni – odparł pan Pławicki. – Idę gdziekolwiek i ot – skrzydełko kapłona, łyżeczka kompotu – to wszystko, czego mi potrzeba. Siadaj, jeśli nie znajdziesz weselszego towarzystwa.

– Co się stało? – pytał Połaniecki.

– Ginę stare tradycje – to się stało!

– Ba! to nie osobiste tylko wujaszka nieszczęście.

Pan Pławicki spojrział na niego zarazem ponuro i uroczyście i rzekł:

– Dziś było otwarcie testamentu.

– No i co?

– I co? I gadają teraz po Warszawie: „Pamiętała o najdalszych krewnych!” Ładnie pamiętała! Marynia ma zapis – tak? – a wiesz jaki? Czteryście rubli dożywotnie. I to milionerka!! Pannie służącej się taki legat zostawia, nie krewnej.

– A wujaszek?

– A ja nic. Rządcy zapisała piętnaście tysięcy rubli, a o mnie ani dudu.

– Cóż robić?

– Ginę stare tradycje! Iluż to ludzi dawniej dochodziło przez testamenta do majątków, a dlaczego? Bo istniała miłość i solidarność w rodzinach.

– I dziś jeszcze znam takich, którym tysiące spadły na głowę z zapisów.

– Tak. Są tacy, są! Jest takich pełno, ale ja do nich nie należę.

Pan Pławicki wsparł głowę na rękę i z ust jego wyszło coś w rodzaju monologu:

– Że też zawsze i wszędzie gdzieś, komuś, ktoś, coś...

Tu westchnął i po chwili dodał:

– A mnie nigdy i nigdzie, nikt, nic...

A Połanieckiemu przyszła nagle równie okrutna jak pusta myśl do głowy, by rozweselić pana Pławickiego, więc rzekł:

– E, ona umarła w Rzymie, a tutejszy testament dawniej pisany, przedtem zaś także istniał, jak słyszałem, całkiem inny. Kto wie, czy z Rzymu nie nadejdzie jaki kodycyłek i czy się wujaszek nie obudzi którego dnia milionerem.

– Nie przyjdzie! – odpowiedział pan Pławicki.

Lecz słowa Połanieckiego poruszyły go; począł na niego spoglądać, począł się kręcić, jakby krzesło, na którym siedział, było łóżem Madejowym – wreszcie rzekł:

– I ty uważasz, że to jest możliwe?

A Połaniecki odrzekł z prawdziwie szelmowską powagą:

– Nie widzę w tym nic niepodobnego.

– Gdyby wola Opatrzności...

– I to być może.

Pan Pławicki spojrział po sali: byli sami; nagle odsunął krzesło i rzekł wskazując na kamizelkę:

– Chłopcze! chodź tu...

Połaniecki pochylił głowę, którą pan Pławicki dwukrotnie ucałował mówiąc przy tym ze wzruszeniem:

– Dodałeś mi otuchy, pokrzepiłeś mnie... Niech będzie, jak Bóg chce, ale pokrzepiłeś mnie. Przyznam ci się teraz, że do niej pisałem. Nic, tylko żeby się przypomnieć, że żyjemy. Pytałem, kiedy się kończy termin dzierżawy jednego folwarku. Nie miałem, rozumiesz, zamiaru brać tej dzierżawy, ale pozór był dobry... Niech ci Bóg zapłaci za to, żeś mnie pokrzepił... Ten testament mógł być zrobiony przed moim listem, potem pojechała do Rzymu, po drodze musiała myśleć o moim liście, a więc i o nas – i – powiadasz, że to być może?... Niech ci Bóg zapłaci!

Po chwili twarz jego. rozjaśniła się zupełnie; nagle położył dłoń na kolanie Połanieckiego i klasnąwszy językiem, zawołał:

– Wiesz co, chłopcze? Może w szczęśliwą godzinę powiedziałeś! A żebyśmy tak wypili buteleczkę Mouton-Rotschild, na rachunek tego kodycyliku – co?

– Dalibóg, nie mogę – rzekł Połaniecki, który poczynał się trochę wstydzić swego konceptu – nie mogę i nie będę.

– Musisz.

– Pod słowem, nie mogę. Mam pełno roboty i nie będę sobie czupryny zaprószał za nic w świecie.

– Kozieł uparty, czysty kozieł! To ja sam wypiję pół na szczęśliwą godzinę.

I kazał podać, po czym spytał:

– Co ty masz takiego do roboty?

– Rozmaite rzeczy. Zaraz po obiedzie muszę być u profesora Waskowskiego.

– Co to za figura ten Waskowski?

– A prawda! – rzekł Połaniecki – na tego także spadł po bracie, który był górnikiem, majątek, i to znaczny. Ale on wszystko biednym rozdaje.

– Biednym rozdaje, a chodzi do porządnej restauracji – lubię takich filantropów! Ja, gdybym miał co biednym rozdawać, to sobie wszystkiego bym odmawiał.

– On długo chorował, i doktor kazał mu zdrowo jadać. Ale on i tu jada tylko to, co tanio kosztuje. Mieszka w ciupie i hoduje ptaki, a obok ma dwa wielkie pokoje – i wie wuj, kto w nich nocuje? – oto dzieci, które zbiera po ulicach.

– Mnie się też od razu zdawało, że on ma coś tu!...

Tu pan Pławicki począł się stukać palcem w czoło.

Waskowskiego Połaniecki nie zastał, więc po widzeniu się poprzednim z Maszką, koło piątej po południu, wpadł do Maryni, bo jednak sumienie go gryzło z powodu bzdurstw, których nagadał Pławickiemu. „Stary – mówił sobie – będzie spijał wysokie wina na rachunek tego kodycyliku, a oni, podług mnie, i tak nad stan żyją. Nie trzeba, żeby żart trwał zbyt długo.”

Marynię zastał w kapeluszu, Miała iść do Bigielów, ale zatrzymała go, on zaś, ponieważ i tak nie przyszedł na długo, więc został.

– Winszuję pani spadku – rzekł.

– I ja rada jestem – odpowiedziała – bo to coś pewnego, a w naszym położeniu to ważna rzecz. Zresztą chciałabym być jak najbogatsza.

– Dlaczego?

– A pamięta pan, co pan raz mówił, że chciałby mieć tyle, żeby założyć fabrykę i nie prowadzić Domu Handlowego. Ja to zapamiętałam, a że każdy ma jakieś swoje pragnienia, więc i ja chciałabym mieć dużo” dużo pieniędzy.

Tu myśląc, że może powiedziała zbyt wiele i zbyt wyraźnie, zaczęła rozprostowywać fałdy sukni, ma pan za co przepraszać.

– Więc przepraszam.

I chwyciwszy jej rękę począł ją okrywać pocałunkami, a ona zostawiła mu ją zupełnie, powtarzając niby żartobliwie, ale ze wzruszeniem:

– A niedobry pan Stach, niedobry pan Stach!

Połaniecki dnia tego czuł na ustach, aż do chwili snu, ciepło ręki Maryni i nie myślał ani o Maszce, ani o Gątowskim, powtarzał sobie natomiast z wielką uporczywością:

– Czas to rozstrzygnąć...

VI

Kresowski z doktorem i z pudełkiem zawierającym pistolety siedział w jednej karetkce, a Połaniecki z Maszką w drugiej – i jechali na Bielany. Dzień był jasny i mroźny, pełen na dole różowej mgły. Koła obracały się ze skrzypieniem po zmarzłym śniegu, konie dymiły i okrywały się szronem; na drzewach leżała okiść obfita.

– Mróz, bo mróz – rzekł Maszko. – Palce poprzymarzają nam do cyngłów.

– I miła rzecz zdejmować futra!

– Toteż zmiłujcie się, nie marudźcie. Mój drogi, powiedz Kresowskiemu, żeby od razu przystąpił do rzeczy.

Tu Maszko począł przecierać zapocone binokle i dodał:

– Nim dojedziemy, słońce pójdzie w górę, i będzie ogromny blask od śniegu.

– To się prędko skończy – odpowiedział Połaniecki. – Skoro Kresowski stawiał się na czas, na tamtych nie będziemy czekali, bo przywykli rano wstawać.

— Wiesz, co mnie w tej chwili zastanawia? – rzekł Maszko – że jest w świecie jeden czynnik, z którym się nikt w swoich planach i w swoim działaniu nie liczy, a, przez który wszystko się może rozbić, zawieść, popsuć – to głupota ludzka. Dajmy na to, że ja mam dziesięć razy więcej rozumu, niż mam, że nie mam na celu interesów pana Maszki, tylko że jestem, przypuśćmy, jakimś wielkim politykiem, jakimś Bismarckiem lub Cavourem, który potrzebuje zdobyć majątek dla przeprowadzenia swoich planów i który oblicza każdy krok, każde słowo – cóż? Przychodzi takie bydło, nieobliczalne dla żadnego umysłu – i wszystko od razu w łeb bierze. To coś bajecznego! Zastrzeli mnie czy nie zastrzeli – mniejsza na teraz o to, ale bestia popsuła mi robotę całego życia,

– Któż to może obliczyć? – rzekł Połaniecki. – To tak samo, jakby ci dachówka na głowę spadła.

– Właśnie dlatego wściekłość bierze.

– A co do tego, żeby cię miał zastrzelić – daj spokój.

Maszko ochłonął, przetarł znowu binokle i począł mówić:

– Mój drogi, widzę, że od chwili wyjazdu trochę mnie obserwujesz, a teraz chcesz mi dodać animuszu. I to jest naturalne. Z mojej strony muszę cię także uspokoić i zaręczam ci pod słowem, że nie zrobię wam wstydu. To jest prosta rzecz, że czuję trochę niepokoju, ot tu – w dołku, ale wiesz dlaczego? To, co stanowi niebezpieczeństwo życia, samo strzelanie do siebie, to jest nic! Niech mnie i jemu dadzą strzelby, niech nas puszcza w las, dalibóg pół dnia będę walił do tego durnia i pół dnia wytrzymał jego strzały. Ale ja już miałem jeden pojedynek w życiu i wiem, co to jest. To ta komedia niepokoju człowieka, to przygotowania, to świadkowie, to myśl, że będą na ciebie patrzyli, i obawa, jak się znajdziesz, jak się popiszesz.

To jest po prostu wystąpienie publiczne – i kwestia miłości własnej – nic więcej. Dla natur nerwowych prawdziwe przejście. Ale ja nie jestem zbyt nerwowym. Rozumiem także, że pod tym względem mam wyższość nad przeciwnikiem, bom więcej przywykłem do ludzi niż on. Taki osieł ma wprawdzie mniej, wyobraźni i nie potrafi, na przykład, wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał jako trup, jak zacznie się psuć i tak dalej. Ale panować nad sobą ja jednak lepiej potrafię... Przy tym powiem ci to jeszcze: filozofia filozofią, ale w takich razach rzecz rozstrzyga temperament i namiętność. Mnie ten pojedynek do niczego nie prowadzi, w niczym nie ratuje, przeciwnie, może mnie wpędzić w kłopoty. A jednak nie umiem go sobie odmówić... Tyle mi się w duszy zebrało oburzenia, tak tego osła nienawidzę, tak bym go

chciał zgnieść, zdeptać, że w tym razie przestają rozumować. I tego możesz być pewny, że jak tylko zobaczę tę bałwańską twarz, zapomnę o niepokoju, zapomnę o komedii, a będę widział tylko jego.

– To dość rozumiem – rzekł Połaniecki.

A na twarzy Maszki wypieki powiększyły się i stały się sine od mrozu, przy czym wyglądał zarówno zawzięcie, jak szpetnie.

Tymczasem nadjechali. Jednocześnie prawie zaskrzypiała i karetta wioząca Gątowskiego, pana Jamisza i Wilkowskiego, którzy wysiadłszy poczęli się kłaniać przeciwnikom, po czym w siedmiu, licząc z doktorem, udali się w głąb lasu, na miejsce upatrzone już poprzedniego dnia przez Kresowskiego.

Furmani spoglądając na owe siedm paltotów, rysujących się czarno i dziwacznie na śniegu, poczęli na siebie mrugać:

– Wiecie, co to będzie? – spytał jeden.

– Albo mi to pierwszozna! – odpowiedział drugi.

– Niech się świat poleruje, niech się kpy biją!

Tamci w tym czasie, cłapiąc ciężkimi kaloszami i wyrzucając z nozdrzy słupy białej pary, szli ku drugiemu brzegowi lasu. Po drodze pan Jamisz, trochę wbrew regułom obowiązującym w podobnych okolicznościach, zbliżył się do Połanieckiego i począł mówić:

– Chciałem szczerze, by mój paukant przeprosił pana Maszkę, ale w takich warunkach nie podobna.

– Ja proponowałem Maszce także, żeby złagodził to, co napisał – i nie chciał...

– To i nie ma wyjścia. Wszystko to bardzo głupie, ale nie ma wyjścia!

Połaniecki nie odpowiedział i szli w milczeniu. Pan Jamisz znów począł mówić:

– Ale! Słyszałem, że Marynia Pławicka ma jakiś zapis?

– Mały, ale ma.

– A stary?

– Zły, że cały majątek nie jemu zapisany.

Pan Jamisz uderzył się rękawiczką po czole:

– On ma trochę tu, ten Pławicki.

Potem, obejrzawszy się naokół, rzekł:

– Jakoś daleko idziemy.

– Zaraz będziemy na miejscu.

I szli dalej. Słońce podniosło się nad zarosła. Od drzew kładły się na śniegu błękitnawe cienie, ale coraz więcej światła wnikało w las. Pochowane gdzieś po wierzchołkach wrony i kawki strząsały suchy jak puch śnieg, który sypał się bez szelestu na ziemię tworząc pod drzewami małe, spiczaste kopce. Wszędzie była wielka cisza i spokój. Ludzie tylko zmacili ją na to, by do siebie strzelać.

Stanęli wreszcie na skraju lasu, gdzie było widno. Krótkiej przemowy pana Jamisza o wyższości zgody nad wojną Maszko i Gątowski wysłuchali z uszami zakrytymi przez futrzane kołnierze; następnie, gdy Kresowski nabił pistolety, wybrali je i zrzuciwszy futra, stanęli naprzeciw siebie, z lufami zwróconymi ku górze.

Gątowski oddychał pośpiesznie, twarz miał czerwoną i wąsy w soplach. Z całej jego postawy i twarzy widać było, że rzecz sprawia mu niezmierny przymus, że trzyma się przez wstyd i siłę woli i że gdyby poszedł za naturalnym porywem uczuć chwili, to wolałby skoczyć na przeciwnika i wyłomotać go kolbą od pistoletu, a choćby pięścią. Maszko, który poprzednio udawał, że go nie widzi, patrzył teraz na niego z twarzą pełną nienawiści, zawziętości i pogardy. Policzki jego całe były w plamach. Panował nad sobą jednak więcej od Gątowskiego i – przybrany w długi surdut, w wysokim kapeluszu na głowie, ze swoimi długimi bokobrodami – wyglądał aż nadto sztywnie, aż zbyt podobnie do aktora grającego rolę pojedykującego się dżentlemana.

„Zastrzeli «niedźwiadka» jak psa” – pomyślał Połaniecki.

Rozległy się słowa komendy i dwa strzały wstrząsnęły ciszą leśną, po czym Maszko zwrócił się do Kresowskiego i rzekł zimno:

– Proszę nabić pistolety.

Lecz jednocześnie przy nogach jego ukazała się na śniegu plama krwi.

– Pan jesteś ranny – rzekł zbliżając się szybko doktor.

– Być może... proszę nabić...

I w tej chwili zachwiał się, albowiem istotnie był ranny. Kula zniosła mu sam wierzchołek kości w kolanie.

Pojedynek został przerwany. Tylko Gątownski stał jeszcze czas jakiś na miejscu z wytrzeszczonymi oczyma, zdumiony tym, co się stało.

Po pierwszym opatrunku zbliżył się jednak, popchnięty przez pana Jamisza, do Maszki i rzekł zarówno niezgrabnie, jak szczerze:

– Teraz przyznaję, że nie miał prawa nachodzić pana – i odwołuję wszystko, com powiedział, i przepraszam. A że pan jesteś ranny, to ja tego nie chciałem.

I po chwili, gdy odchodził z panem Jamiszem i Wilkowskim, słychać było, jak mówił:

– Jak Boga najszczerzej kocham, czysty przypadek – to pistolety takie, bo ja chciałem mu nad głowę...

Maszko tego dnia nie otworzył ust – na pytanie zaś doktora, czy rana bardzo mu dokucza, potrząsał tylko głową na znak, że nie.

Bigiel, który był dniem pierwej powrócił z Prus z kieszeniami pełnymi kontraktów, dowiedziawszy się o wszystkim, co zaszło, mówił do Połanieckiego:

– Maszko jest niby inteligentny człowiek, ale, dalibóg, między nami każdy ma jakiegoś ćwieka... On na przykład: ma wzięcie, ma mnóstwo doskonałych spraw; mógłby mieć znaczne dochody, robić majątek! Nieprawda! Woli się rzucać, wyciągać kredyt do ostatka, kupować majątki ziemskie, udawać wielkiego właściciela, lorda, być Bóg wie kim, byle nie być tym, kim jest. Jakie to wszystko dziwne, i tym dziwniejsze, że takie powszechne! Nieraz myślę, że życie samo w sobie jest niezłe, ale tu wszyscy je sobie psują brakiem równowagi w głowie i tą jakąś diabelską fantazją, jakimś bzikiem, którego każdy ma za kołnierzem. Bo ja rozumiem, że człowiek chce mieć więcej, niż ma, i znaczyć więcej, niż znaczy, ale niech nie dąży do tego w fantastyczny sposób. Maszce ja pierwszy przyznaję i spryt, i energię, ale wzięwszy wszystko na uwagę – dalibóg, on ma coś tu!

Tu Bigiel stuknął kilkakrotnie palcem w czoło.

Maszko tymczasem cierpiał z zaciśniętymi zębami, albowiem rana jego, nie będąc niebezpieczną dla życia, była jednak nadzwyczaj bolesna. Wieczorem zemdłał dwukrotnie w obecności Połanieckiego. Potem przyszło osłabienie, podczas którego owa hardość duszy, która przez cały dzień podtrzymywała młodego adwokata, wyczerpała się zupełnie. Po opatrunku, gdy doktor odszedł, leżał czas jakiś spokojnie, po czym rzekł:

– Ależ bo ja mam i szczęście!

– Nie myśl o tym – odpowiedział Połaniecki – dostaniesz większej gorączki.

Maszko zaś mówił dalej:

– Zelżony, ranny, zrujnowany – wszystko na raz!

– Powtarzam ci, że nie pora o tym myśleć. Maszko wsparł się łokciem na poduszce, syknął z bólu i rzekł:

– Daj spokój. To ostatni mój czas, w którym mogę się wygadać z porządnym człowiekiem. Za tydzień lub dwa będę należał do ludzi, których się unika... Co mi taśm gorączka! Jest coś nieznośnego w takiej zupełnej ruinie, w takim zarwaniu się ludzkiej doli, mianowicie, że potem pierwszy lepszy kretyń, pierwsza lepsza geś będą mówili: „Ja to od dawna wiedziałem”. – „Ja to z góry przewidywałam.” Tak! wszyscy zawsze wszystko przewidują... po fakcie – i z człowieka, w którego piorun trząśł, robią w dodatku głupca lub wariata.

Połaniecki przypomniał sobie w tej chwili słowa Bigiela. Maszko zaś dziwnym trafem mówił w dalszym ciągu tak, jakby chciał na nie odpowiedzieć:

– A myślisz, że ja nie zdawał sobie sprawy, że szedł za ostro, że się pchał za gwałtownie, że chciałem być czymś więcej, niż byłem, że za wysoko nos nosił... Tej sprawiedliwości mi nikt nie odda, ale ty wiesz o tym, że ja to sobie mówiłem... Tylko mówiłem sobie jednocześnie: tak potrzeba – to jedyna droga, żeby wypłynąć – i co? – może stosunki są krzywe, może ogólne życie idzie na opak, ale jednak, gdyby nie ta bezdennie głupia a nieprzewidziana i nieobliczalna awantura, byłbym wypłynął – właśnie dlatego, że taki byłem, jak byłem... Gdybym był skromnym człowiekiem, nie byłbym dostał panny Krasławskiej... U nas trzeba zawsze coś udawać – i jeśli mnie diabli biorą, to nie przez moją pychę, tylko przez tamtego kpa.

– Przecie, u licha, nie możesz na pewno wiedzieć, czy twoje małżeństwo nie dojdzie do skutku.

– Mój kochany, nie znasz tych kobiet. One w braku czego lepszego zgodziły się na pana Maszkę, bo panu Maszce dobrze się wiodło... Gdy byle cień padnie na mój majątek, moje położenie, moje stanowisko – porzucą mnie bez miłosierdzia, a potem góry będą na mnie waliły, by siebie osłonić przed światem. Co ty o nich wiesz? Panna Krasławska to nie panna Pławicka!

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Maszko mówił dalej słabnącym głosem:

– Ta mogła mnie uratować... Byłbym dla niej wszedł na inną drogę, daleko spokojniejszą... Krzemień w takich warunkach byłby uratowany... Od razu odpadał dług jej, renta Pławickiego... Byłbym wybrnął... Przy tym, czy ty wiesz, że ja kochałem się w niej jak student?... Ot, tak przyszło, nie wiadomo skąd. Ale ona wolała się na ciebie gniewać niż mnie kochać... Teraz to rozumiem. Na to nie ma rady...

Połaniecki, któremu nie w smak była ta rozmowa, przerwał ją i rzekł z odcieniem niecierpliwości:

– Dziwi mnie, że człowiek z twoją energią uważa wszystko za stracone, podczas gdy wszystko nie jest stracone. Panna Pławicka to jest przeszłość, nad którą sam zrobiłeś krzyżyk, oświadczając się o pannę Krasławską. Co do terażniejszości – zostałeś napadnięty – prawda, aleś się pojedynekował; jesteś ranny, ale tak, że za tydzień będziesz zdrow – i ostatecznie te panie jeszcze ci nie oświadczyły, że z tobą zrywają. Póki tego nie będziesz miał czarno na białym, nie masz prawa o tym mówić... Jesteś chory i dlatego przedwcześnie odprawiasz nad sobą egzekwie. Ale ja ci powiem co innego. Trzeba tamtym paniom dać znać, co się stało. Czy chcesz, żebym jutro do nich poszedł? Zrobią potem, co chcą, ale niechże wiadomość mają z ust świadka, nie zaś przez miejscowych plotkarzy.

Maszko pomyślał przez chwilę i rzekł:

– Ja i tak chciałem do mojej narzeczonej napisać, ale jeśli ty pójdziesz, to będzie jeszcze lepiej. Nie mam nadziei, żeby mi ona dotrzymała – trzeba jednak zrobić, co należy. Dziękuję ci. Ty potrafisz rzecz przedstawić z lepszej strony... Tylko ani słowa o jakichkolwiek kłopotach... Tę sprzedaż dąbrowy musisz zmniejszyć do zera – do grzeczności, jaką ci chciałem wyświadczyć... Szczerze ci dziękuję. Powiedz, że Gątownski mnie przeprosił...

– Masz kogo, co by przy tobie siedział?

– Mój służący i jego żona. Doktor przyjdzie jeszcze i przyprowadzi z sobą felczera. Mnie to diabło dolega, ale nie czuję się źle.

– Zatem do widzenia.

– Bądź zdrow. Dziękuję ci. Ty jesteś...

– Spij dobrze.

I Połaniecki wyszedł. Po drodze myślał o Maszce, i myślał z pewnym gniewem: „Ten nie jest romantykiem – niczym mniej – ale jednak i ten poczuwa się do udawania czegoś w tym rodzaju... Panna Pławicka! kochał ją... byłby wszedł na inną drogę... mogła go uratować... ot,

podatek płacony romantyzmowi – i w dodatku fałszywą monetą, bo w miesiąc jednak oświadczył się tamtej lalce – dla pieniędzy. Możem ja głupszy, ale tego nie rozumiem i w szczerości takich zawodów, które się tak łatwo pocieszają, nie wierzę... Gdybym jedną kochał i doznał zawodu, to bym się z drugą w miesiąc nie ożenił. Niech mnie licho weźmie, jeśli bym to zrobił! On ma jednak rację, że Marynia to inny gatunek niż Krasławska... To nie ma i gadania: zupełnie inny! zupełnie inny!”

I ta myśli była mu jednak ogromnie przyjemna. Wróciwszy do domu zastał list Bukackiego z Włoch i kartkę Maryni, pełną niepokoju i pełną pytań z powodu wieści o pojedynku. Była w niej prośba o przysłanie wiadomości nazajutrz rano: co się stało, o co poszło, a zwłaszcza o wiadomość, czy wszystko naprawdę skończone i czy żadne nowe zajścia nie grożą.

Połaniecki pod wpływem myśli, że to „inny gatunek niż panna Krasławska” – odpisał serdeczniej, niż sam chciał, i oddawszy odpowiedź swemu służącemu, rozkazał, by została oddana nazajutrz o dziewiątej rano. Następnie wziął się do czytania listu Bukackiego, przy czym od samego początku począł wzruszać ramionami.

Bukacki pisał, co następuje:

„Niech Sakya-Muni wyprosi ci błogosławioną Nicość. Prócz tego powiedz Kapłanerowi, by należnych mi trzech tysięcy rs. nie wysyłał do Florencji, ale zatrzymał u siebie do mego rozporządzenia. W tych dniach postanawiam pomyśleć o powzięciu zamiaru (czy uważasz, jakie to stanowcze?) zostania wegetarianinem. Jeśli ta myśl mnie nie zmęczy, jeśli zamiar zmieni się w postanowienie, a postanowienie nie będzie nad moje siły, to przestanę być zwierzęciem mięsożernym, i życie będzie mnie mniej kosztowało. To cała sprawa. Co do ciebie, proszę cię na wszystko, uspokój się, albowiem życie nie warto jest fatygi.

Wiesz? Doszedłem, dlaczego Słowianie wolą syntezę od analizy. Bo są próżniakami, a analiza to pracowita rzecz. Syntetyzować można pałac po obiedzie cygaro. Zresztą, mają słusność, że są próżniakami. We Florencji jest dość ciepło, zwłaszcza na Lung-Arno. Chodzę sobie i robię syntezę szkoły florenckiej. Poznałem tu jednego zdolnego akwarelistę, także Słowianina, który żyje ze sztuki, ale dowodzi, że sztuka – to jest święństwo, wykwitłe z mieszczańskiej chęci rozkoszy i z nadmiaru pieniędzy, które jedna nagromadzają kosztem drugich. Jednym słowem: sztuka, podług niego, to podłość i krzywda! Napadł na mnie jak na psa, twierdząc, że być buddystą i zajmować się sztuką jest szczytem niekonsekwencji; ale ja jeszcze bardziej napadłem na niego i odpowiedziałem mu, że poczytywać konsekwencję za coś lepszego od niekonsekwencji jest szczytem mieszczańskiego obskurantyzmu, mieszczańskich przesądów i podłości. Człowiek był zdumiony i stracił mowę. Namawiam go, żeby się powiesił, ale nie chce. Powiedz mi, czy ty jesteś pewny, że ziemia naprawdę kręci się koło słońca i czy to wszystko nie żarty? Mnie zresztą jest to wszystko jedno! W Warszawie żal mi było tego dziecka, które umarło. Tu często także o nim myślę. Jakie to głupie! Co robi pani Emilia? Ludzie mają z góry przeznaczone role na świecie, a jej przypadła rola ze skrzydłami i z cierpieniem. Po co ona była cnotliwa? Byłoby jej inaczej, weselej. Co do ciebie, człowieku, zrób mi jedną łaskę. Proszę cię na wszystko, nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, żeby mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tym, czym ja jestem, ja zaś jestem, bardzo miłym chłopcem, ale mam pewne wątpliwości, czy nieodzownym. Bądź zdrowa, zapalczywa energio, bądź zdrów, Domie Handlowy, spółko komisowa, formo przechodnia, praco nałogowa, wysiłku pieniężny, przyszły ojczy rodziny, hodowco dzieci i kłopotów! Uściskaj ode mnie Waskowskiego. To także syntetyk. Niech Sakya-Muni otworzy ci oczy, abyś poznał, że na słońcu jest ciepło, a w cieniu zimno, i że leżeć jest lepiej niż stać. Twój Bukacki.”

„Bigos!” – pomyślał Połaniecki.

A następnie począł sobie mówić:

– Wszystko to jest sztuczne, wszystko to jest oszukiwanie siebie samego przez jakąś ostateczność. Ale gdy się człowiek do tego przyzwyczai, zmienia mu się to poniekąd w naturę, przy czym diabli biorą rozum, energię i dusza rozkłada się jak trup. Można rzucić się łbem w taką przeraźl, w jaką rzucił się Maszko, lub w taką jak Bukacki. W obu razach idzie się pod lód. Co u licha! musi być jednak jakieś zdrowe i normalne życie – trzeba mieć tylko trochę oleju w głowie. Takiemu Bigielowi jest jednak nieźle na świecie. Ma żonę, którą kocha, dzieci, które kocha, pracuje jak wół, ale ma zarazem w duszy wielkie przywiązanie do ogółu i swoją wiolonczełę, na której wygrywa przy księżycu, zadzierając głowę do pułapu. Nie można powiedzieć, by to był człowiek zmaterializowany. Nie. W nim jakoś godzi się jedno z drugim. I dobrze mu!

Połaniecki począł chodzić po pokoju i spoglądać od czasu do czasu na śmiejącą się spośród brzoź twarz Litki. Potrzeba przystąpienia z samym sobą do ścisłego obrachunku ogarniała go coraz silniej. Jako kupiec, wziął się do rozpatrywania swego: credit i debet, co zresztą nie było trudne. W rubryce dodatnich stron jego życia niegdyś główne miejsce zajmowało jego uczucie dla Litki. Była ona mu w swoim czasie tak drogą, że gdyby mu przed rokiem na przykład powiedziano: „Bierz ją, jako swoje dziecko na własność”, byłby ją wziął i uważał, że ma dla czego żyć. Ale teraz ten stosunek był tylko wspomnieniem i z rubryki szczęścia przeszedł do rubryki nieszczęścia. Co więc pozostawało? Naprzód samo życie, po wtóre, ten dyletantyzm umysłowy, który, bądź co bądź, jest rozkoszą, dalej przyszłość, która zaciekawia, dalej użycie materialne i wreszcie Dom Handlowy. Miało to swoją wartość, ale Połaniecki spostrzegł, że brak w tym celu. Co do Domu Handlowego, Połanieckiemu podobały się powodzenia, jakich doznał, nie zaś rodzaj pracy, jakiej Dom wymagał. Przeciwnie: rodzaj pracy nie wystarczał mu, był mu za ciasny, za lichy i gniewał go. Z drugiej strony dyletantyzm, książki, świat umysłowy, wszystko to miało znaczenie, jako okrasa życia, ale nie mogło stać się jego podstawą. „Bukacki – mówił sobie Połaniecki – wlaź w to po uszy, tym chciał żyć – i zwichnął się, zniedołężniał, wyjałowiał. Kwiaty są same w sobie rzeczą dobrą, ale kto by chciał wyłącznie oddychać ich zapachem, ten się otruje.” I istotnie, nie potrzebował być wielkim mędrcom, by naokoło spostrzec mnóstwo ludzi zwichniętych, których zdrowie duchowe właśnie ów dyletantyzm umysłowy podkopał tak, jak morfina podkopyje zdrowie fizyczne.

I jemu samemu wyrządził on już dużo szkód, choćby dlatego, że zrobił z niego sceptyka. Od ciężkiej choroby uratował go tylko zdrowy organizm odczuwający konieczną potrzebę wydania zbytku energii – i praca. Ale co będzie dalej – i czy może tak iść dalej? Na to pytanie odpowiedział sobie teraz stanowczo: nie! Skoro sprawy Domu Handlowego nie były w stanie wypełnić mu życia i skoro było wprost niebezpieczne wypełniać je dyletantyzmem, więc należało wypełnić je czym innym, stworzyć sobie nowe światy, nowe obowiązki, otworzyć nowe widnokreśli, a na to była jedna rada – ożenić się.

Niegdyś, gdy sobie to mówił, widział przed sobą jakąś nieokreśloną postać łączącą wszystkie przymioty moralne i fizyczne, ale bez ciała i bez imienia. Teraz była to postać rzeczywista. Miała spokojne niebieskie oczy, ciemne włosy, nieco za szerokie usta i nazywała się Marynia Pławicka. O kim innym nie mogło być nawet mowy, a tę Połaniecki przedstawił sobie tak realnie, że aż tętna w skroniach poczęły mu bić żywiej. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że teraz czegoś brakło w tym jego uczuciu dla Maryni, mianowicie tego, naokoło czego snuje się marzenie; tego, co nie śmie pożądać niczego, a spodziewa się wszystkiego; tego, co się boi, co drży, co kłęczy, co mówi kochanej kobiecie: „do twoich nóg”; co z miłości, która jest żądzą, robi zarazem kult, który jest czcią, wprowadzając jakiś mistyczny odcień w stosunek mężczyzny do kobiety, robi z mężczyzny nie tylko kochanka, ale i wyznawcę. To przeszło. Połaniecki, myśląc teraz o Maryni, myślał trzeźwo, niemal zuchwale. Czuł, że może przyjść, wziąć ją i mieć i że, gdy to uczyni, to z dwóch powodów:

raz dlatego, że Marynia jest dla niego kobietą pociągającą więcej od wszystkich innych, a po wtóre, że rozum nakazuje mu się żenić, i żenić z nią.

„Bo ona – myślał – jest jednak ogromnie pewna. Nic w niej nie ma wyjałowionego, nic zeszlęgo. Egoizm nie zabił w niej serca – i to jest niezawodne, że taka nie będzie myślała tylko o tym, co jej się należy. To jest wcielona uczciwość, wcielony obowiązek – i w życiu trzeba będzie tego chyba pilnować, żeby nie za mało myślała o sobie. Jeśli rozum nakazuje mi się żenić, to uczyniłbym głupstwo, szukając innej.”

Po czym zadał sobie pytanie: czy poniechawszy Maryni nie uczyniłby zarazem nieuczciwości? Litka ich połączyła. Coś w jego sercu podnosiło się na samą myśl sprzeciwienia się woli i ofierze tego drogiego dziecka. Gdyby jednak chciał postąpić wbrew tej woli, czy tak powinien się być zachowywać? Nie. W takim razie powinien był od śmierci Litki nie pokazać się u Pławickich, nie widzieć Maryni, nie całować jej rąk, nie dać się unosić tej fali, która poniosła, być może, siłą wypadków, ale zanosła tak daleko, że dziś uczyniłby zawód Maryni i spadł w jej oczach do lichej roli człowieka, który sam nie wie, czego chce. Bo musiałby być ślepy, żeby nie spostrzec, że Marynia uważała się za jego narzeczoną i że jeśli nie niepokoiła się dotychczas jego milczeniem, to tylko dlatego, że przypisywała je żałobie, jaką w sercu nosili oboje po Litce.

„Więc patrząc od strony rozumu, trzeba się z nią żenić – mówił sobie Połaniecki – od strony instynktu zachowawczego – trzeba; od strony zmysłów – trzeba; od strony uczciwości – trzeba! Zatem co? Zatem byłbym niedołągą i szuja, gdybym się wahał i nie uważał sprawy za rozstrzygniętą. To rzecz skończona!”

Po czym odetchnął i począł chodzić po pokoju. Pod lampą leżał list Bukackiego. Połaniecki wziął go i począł czytać od miejsca, na które przypadkiem padły jego oczy:

„Proszę cię na wszystko, nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, że jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, by mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tym, czym ja jestem...”

– Otóż, miły mydłku – odpowiedział z pewną zawziętością Połaniecki – ożenię się, ożenię się z Marynią Pławicka; słyszysz? Będę robił majątek, a jeśli będę miał syna, to nie zrobię z niego dekadenta – rozumiesz?

I rad był z siebie.

W chwilę później spojrzął na Litkę i uczuł, że go ogarnia nagłe wzruszenie. Fala żalu za nią i uczucia dla niej podniosła się z nową siłą w jego sercu. Począł rozmawiać z dzieckiem, jak zwykle w ważniejszych chwilach życia rozmawia się z drogimi zmarłymi.

– Kociątko zadowolone? prawda? – pytał.

A ona śmiała się do niego spośród brzoź wymalowanych przez Marynię; zdawało się, że mruga oczyma i odpowiada:

„Tak, panie Stachu! tak.”

Połanieckiemu oczy zaszczyły łzami.

Tego wieczoru, przed pójściem do łóżka, odebrał od służącego list, który nazajutrz rano miał być oddany Maryni, i napisał drugi, jeszcze serdeczniejszy, w następujących słowach:

„Droga Pani. Gałowski zrobił Maszce awanturę dość nedorzeczną, z której wypadł pojedynek. Maszko jest lekko ranny. Przeciwnik przeprosił go na miejscu. Żadnych dalszych skutków nie będzie, chyba ten, że się raz jeszcze przekonał, jaka Pani jest dobra, troskliwa, najlepsza, i że jutro, jeśli Pani pozwoli, przyjdę z podziękowaniem ucałować drogie i kochane ręce Pani. Przyjdę po południu, bo rano po biurze muszę być u pani Krasławskiej, a potem pożegnać profesora Waskowskiego, choć, gdyby można, walałbym zacząć dzień nie od nich.

Połaniecki”

Po napisaniu tych słów spojrzął na zegarek i jakkolwiek była już jedenasta, kazał list odnieść nie nazajutrz, ale natychmiast.

– Wejdiesz przez kuchnię – rzekł służącemu – i gdyby panienka spała, to zostawisz.

Po czym zostawszy sam miał do panienki następującą przemowę:
„Byłabyś chyba bardzo niedomyślna, gdybyś się nie domyśliła, dlaczego jutro przyjdę.”

VII

Pani Krasławska przyjęła Połanieckiego mocno zdziwiona z powodu wczesnej godziny, ale jednak przyjęła go, domyślając się, że przychodzi w jakiejś niezwyklej sprawie. On też, bez długich wstępów, opowiedział jej, co zaszło, kłamiąc przy tym o tyle, o ile było trzeba, by osłonić Maszkę przed podejrzeniem o bankructwo lub złe interesa...

Zauważył przy tym, że podczas opowiadania stara dama trzymała utkwione w niego swoje zielone, wykute jakby z kamienia i pozbawione blasku oczy i że żaden muskuł jej twarzy nie drgnął.

Dopiero gdy skończył, rzekła:

– W tym wszystkim nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego pan Maszko sprzedawał te dęby? To przecie jest niemała ozdoba każdej rezydencji.

– Te dęby leżą opodal od domu – odpowiedział Połaniecki – i psują pole, bo pod ich cieniem nie chce się nic rodzić, a pan Maszko jest praktyczny człowiek. Zresztą, mówiąc szczerze, my jesteśmy dawni znajomi, i zrobił to dla mnie przez przyjaźń. Pani wie, że ja jestem kupcem; potrzebna mi była dębina, i Maszko odstąpił mi, ile mógł.

– Nie rozumiem w takim razie, dlaczego tamten młody człowiek...

– Jeśli pani zna radcę Jamisza – przerwał Połaniecki – to on, jako bliski sąsiad Krzemienia i Jałbrzykowa, objaśni panią, że ten młody człowiek jest niespełna rozumu – i znany z tego w całej okolicy.

– W takim razie pan Maszko nie powinien się był pojedyńkować.

– Pani – rzekł z odcieniem niecierpliwości Połaniecki – w takich razach my mamy inne pojęcia od pań.

– Pan pozwoli, że powiem parę słów mojej córce.

Połaniecki pomyślał, że byłaby pora wstać i pożegnać się, ponieważ jednak przyszedł niejako na rekonesans i chciał przynieść jaką wiadomość Maszce, więc rzekł:

– Jeśli panie mają jakieś polecenia do pana Maszki, to wprost stąd idę do niego.

– Za chwilę – odrzekła pani Krasławska.

Połaniecki został sam i czekał dość długo, tak nawet długo, iż począł się niecierpliwić. Wreszcie weszły obie panie Krasławskie.

Panna, ubrana w białą „szmizetkę” z marynarskim krawatem i uczesana nie dość starannie, wydała się jednak Połanieckiemu, mimo lekkiego zapalenia oczu i mimo kilku pryszczków na czole, pokrytych pudrem, wcale ładna. Była w niej jakaś ponętna ociążałość, z której, wstając widocznie bardzo późno, nie zdołała się jeszcze otrząsnąć, i jakieś równie ponętne poranne zaniedbanie. Zresztą na anemicznej jej twarzy nie malowało się żadne wzruszenie.

I po ukłonach, zamienionych z Połanieckim, rzekła zimnym, spokojnym głosem:

– Niech pan będzie łaskaw powiedzieć panu Maszce, że bardzo się zmartwiłam i przestraszyłam. Czy naprawdę rana jest lekką?

– Bezwarunkowo.

– Uprosiłam mamy, żeby pojechała doglądać pana Maszkę, a ja mamę odwiozę i będę w powozie czekała na wiadomość. Potem znów po mamę przyjadę – i tak co dzień, póki pan Maszko nie będzie zupełnie zdrow. Mama taka dobra, że pozwala. Niech pan to powie panu Maszce.

Tu lekki, ledwo dostrzegalny rumieniec przemknął po jej bladej twarzy. Połanieckiemu, dla którego słowa jej były zupełną niespodzianką i przejęty go zdziwieniem, wydała się teraz zupełnie ładną i w chwilę później, idąc do Maszki, mówił sobie:

„No, jednak kobiety są lepsze, niż się wydają... To przecie zupełnie dwie karafki zmrożonej wody, a jednak ta dziewczyna ma trochę serca. Maszko się na niej nie poznał i będzie miał przyjemny zawód. Stara pojedzie do niego, zobaczy tych wszystkich biskupów i kasztelanów z krzywymi nosami, z których tak cieszył się Bukacki, i do reszty uwierzy w wielkość Maszki.”

Tak rozmyślając, znalazł się w mieszkaniu Maszki i musiał czekać, albowiem trafił na chwilę opatrunku. Zaledwie jednak doktor wyszedł, Maszko kazał go prosić i nie przywitawszy się nawet, spytał:

– Cóż, byłeś?

– Jak się masz, jak spałeś?

– Dobrze. Mniejsza z tym... Byłeś?

– Byłem. Powiem ci krótko: za kwadrans pani Krasławska przyjedzie cię doglądać. Panna kazała ci powiedzieć, że odwiezie tu matkę i będzie czekała na wiadomość, jak się masz. Kazała ci powiedzieć, że się bardzo przestraszyła, że jest bardzo nieszczęśliwa, ale Bogu dziękuje, że nie ma nic gorszego. Widzisz, Maszko!... Jeszcze ci dodam, że jest ładna, że mnie ujęła – i idę sobie, bo nie mam czasu.

– Zmiłuj się, zaczekaj chwilę. Czeka! mój kochany; ja nie mam gorączki – i jeśli to mówisz z obawy...

Nudny jesteś! – przerwał Połaniecki. – Daję ci słowo, że mówię prawdę – i żeś przedwcześnie obgadywał własną narzeczoną.

Maszko opuścił głowę na poduszki i czas jakiś milczał, po czym rzekł jakby do siebie:

– Ja bym ją gotów naprawdę pokochać...

– To dobrze – rzekł Połaniecki – bądź zdrow! Idę pożegnać Waskowskiego.

I zamiast do Waskowskiego poszedł do Pławickich, których zresztą nie zastał. Pławicki nigdy w domu nie siedział, a o Maryni powiedziano mu, że wyszła przed godziną. Zwykle, gdy się idzie do kobiety, która budzi żywe zajęcie, gdy się przez drogę układa, co się jej powie, a potem nie zastaje się jej w domu, ma się dość głupią minę. Połaniecki to czuł i był zły. Wstąpił jednak do sklepu ogrodniczego i zakupiwszy mnóstwo kwiatów kazał je odesłać do Pławickich. Myśl, z jaką radością Marynia je przyjmie i z jak bijącym sercem będzie czekała wieczoru, sprawiła mu jednak tak wielką przyjemność, że zjadłszy po drodze obiad, w najlepszym humorze wpadł do Waskowskiego.

– Przyszedłem pożegnać profesora – rzekł. – Kiedy profesor wyjeżdża?

– Jak się masz, kochany! – odrzekł Waskowski. – Musiałem odłożyć na parę dni, bo, widzisz, ja tu zimuję rozmaitych malców...

– Młodych Aryjczyków, którzy w wolnych chwilach wyciągają portmonetki z kieszeni?

– Nie... To jest, widzisz, to dobre dusze, ale bez dozoru nie można, ich zostawić. Musiałem wystarać się o zastępcę, który będzie tu mieszkał na moim miejscu.

– I który się tu upiecze. Jak profesor może wytrzymać w takim gorącu?

– Bo siedzę bez surduta, i pozwolisz, że go nie włożę. Trochę tu ciepło, ale transpiracja zdrowa rzecz, a już ten skrzydlaty drobiazg to przepada za gorącem.

Połaniecki obejrzał się naokoło. W pokoju było przynajmniej z pół tuzina trznadli, śmieciuszek, sikorek i czyżów, nie licząc wróbli, które przyzwyczajone widać do karmienia, tłumami zaglądały przez okno. Profesor utrzymywał w pokoju tylko te ptaki, które wykupywał od ptaszników, wróbli zaś nie puszczał do środka, twierdząc, że „nie byłoby końca, a byłaby krzywda kilka przyjąć, a innym odmówić”. Pokojowe miały klatki, poprzyczepiane do murów i wewnętrznej framugi okna, ale szły do nich tylko na noc, w dzień

zaś latały wolno po całym pokoju, napełniając go świegotem i zostawiając ślady na książkach i rękopisach, którymi założone były stoły i wszystkie kąty.

Niektóre z ptaków, bardziej oswojone, siadały nawet na głowie Waskowskiego. Na podłodze trzeszczały pod nogami łuskawiny konopnego siemienia. Połaniecki, który to mieszkanie znał doskonale, wzruszył jednak ramionami i rzekł:

– Wszystko to bardzo dobre, ale że profesor pozwala im czubić się lub świadczyć sobie na własnej głowie, to dalibóg zanadto! Przy tym tu jest zaduch.

– To wina świętego Franciszka z Asyżu – odpowiedział Waskowski – bo ja od niego nauczyłem się lubić ten drobiazg. Mam nawet i parę gołębi, ale to piecuchy.

– Profesor pewnie zobaczysz się z Bukackim – rzekł Połaniecki – miałem od niego list. Oto jest.

– Można przeczytać?

– Właśnie dlatego daję.

Waskowski przeczytał i gdy skończył, rzekł:

– Ja go zawsze bardzo kocham tego Bukackiego, to dobra dusza, ale... widzisz... on ma trochę tu!

I Waskowski począł stukać palcami w czoło.

– To już zaczyna mnie bawić! – zawołał Połaniecki. – Wyobraź sobie, profesor, od kilku dni ciągle ktoś stuka się w czoło i mówi o kimś ze znajomych „On ma tu!” Miłe społeczeństwo!

– Kiedy to trochę tak jest! trochę tak jest... – odpowiedział z uśmiechem Waskowski. – A wiesz ty, co to jest? Oto, zwyczajnie, aryjski niepokój ducha, w nas zaś, jako w Słowianach, więcej tego niż na Zachodzie, bośmy najmłodszy z Ariów, i wskutek tego rai rozum, ni serce nie ułożyły się w nas jeszcze do równowagi. My, najmłodszy z Ariów, czujemy najżywiej, bierzem wszystko do serca najgoręcej i stosujemy do praktyki życia najzapalczywiej... Ja dużo widziałem, jam to dawno spostrzegł... Co za dziwne natury!... Ot, na przykład, studenci niemieccy knajpują – i co? – i nie przeszkadza im to ani pracować, ani wyrabiać się na praktycznych ludzi. Ale niechże Słowianin przejmie się tą modą i zacznie knajpować, to zginął, to zaknajpuje się na śmierć! I tak we wszystkim. Niemiec będzie pesymistą, będzie pisał tomy o tym, że życie jest rozpaczą – i będzie przy tym pił piwo, hodował dzieci, zbijał pieniądze, polewał ogród i sypiał pod pierzyną. Słowianin się powiesi albo się zgubi szalonym życiem, rozpustą; zdusi się błotem, w które będzie wlażył umyślnie... Ja, mój drogi, pamiętam ludzi, którzy się na śmierć zabajronizowali... Ja dużo widziałem... Widziałem ludzi, którzy kochając na przykład chłopów, kończyli na tym, że się spijali wódką po karczmach. Nie ma u nas miary i nie może być, bo u nas do zbytniego przejmowania się każdą ideą dołącza się jeszcze lekkomyślność i – wiesz co? – oto próżność. Ach, Boże, jacy my wszyscy próżni! jak my chcemy wysunąć się zawsze naprzód, by nas widziano i podziwiano! Weź takiego Bukackiego; wlażył – naprawdę wlażył – po uszy w sceptycyzm, w pesymizm, w buddaizm, w dekadentyzm – bo ja wiem w co wreszcie? – przecie teraz i w tym panuje chaos – wlażył tak głęboko, że go te miazmy naprawdę zatruwają; ale czy myślisz, że on przy tym nie pozuje? Co za dziwne natury! – zarazem najszczerze, najżywiej czujące, najmocniej wszystko biorące do serca – i komedianckie. Kiedy się o tym myśli, to się je kocha, ale jednocześnie chce się śmiać i płakać.

Połaniecki przypomniał sobie, jak za pierwszą bytnością w Krzemieniu opowiadał Maryni o swoich czasach belgijskich, gdy bawiąc się na spółkę z kilkoma młodymi Belgami w pesymizm, spostrzegł wreszcie, że on te wszystkie teorie bierze daleko więcej od nich do serca i że tym samym więcej mu one psują życie. Więc teraz rzekł:

– To, co profesor mówi, to jest prawda. Takie rzeczy widziałem i ja – i dlatego wszystkich nas diabli wezmą.

Lecz Waskowski wlepił w zamarznięte szyby swoje mistyczne oczy i rzekł:

– Nie, nas wszystkich przygarnie kto inny. Ta gorącość krwi, ta zdolność przejmowania się ideą to są wielkie podstawy do misji, którą Chrystus słowiańskiemu światu wyznaczył.

Tu Waskowski wskazał na poplamiony przez ptaki rękopis i rzekł tajemniczo:

– Widzisz, ja z tym jadę. To praca mojego żyda... Chcesz, żebym ci to przeczytał?

– Dalibóg, nie mam czasu. Późno już.

– Prawda. Mroczy się. Więc ci powiem w krótkich słowach... Nie tylko myślę, ale i najgłębiej wierzę, że Słowianie mają wielką misję do spełnienia.

Tu Waskowski przerwał, począł trzeć ręką czoło i rzekł:

– Co to za dziwna liczba: „trzy!...” Coś w tym jednak jest tajemniczego!

– Miał profesor mówić o misji – rzekł niespokojnie Połaniecki.

– Nie bój się: to ma związek jedno z drugim. Bo, widzisz, są trzy światy w Europie: romański, germański i słowiański. Tamte już spełniły, co miały spełnić. Przyszłość – to ten trzeci.

– I co ten trzeci ma zrobić?

– Stosunki społeczne, prawo, stosunek człowieka do człowieka, życie pojedynczych ludzi i to, co się nazywa życiem prywatnym, jest bądź co bądź oparte na nauce chrześcijańskiej. Ułomności ludzkie wykrzywają ją, ale jednak wszystko na niej stoi. Ale to dopiero połowa zadania spełniona – pierwszy okres!... Są ludzie, którzy myślą, że chrześcijaństwo się kończy. Nie. Dopiero drugi okres ma się zacząć. Chrystus jest w życiu pojedynczych ludzi, ale go nie ma w historii – rozumiesz? Wprowadzić go do historii, oprzeć na nim stosunki dziejowe, stworzyć miłość bliźniego i w znaczeniu dziejowym – oto misja, którą ma spełnić świat słowiański... Tylko brak mu jeszcze świadomości, i trzeba mu na tę misję oczy otworzyć.

Połaniecki milczał, bo nie miał co odpowiedzieć. Waskowski zaś mówił dalej:

– Oto, nad czym całe życie myślałem – i tom wypowiedział w tej oto pracy... (Tu wskazał na rękopis.) To robota całego mojego życia. To ta wskazana misja.

„Na którą tymczasem trznadle... – pomyślał Połaniecki – i zapewne tak jeszcze będzie długo.”

Głośno zaś rzekł:

– I profesor spodziewa się, że jak taka rzecz wyjdzie z druku...

– Nie, ja się niczego nie spodziewam. Ja mam trochę miłości, ale ja za lichy człowiek, za marny umysł... To zginie, jakby kto kamień rzucił w wodę, ale będą fale, będą koła. Niech potem przyjdzie jaki wybraniec... Bo ja wiem?... Co przeznaczone, to nie mnie. Oni nie potrafią wyrzec się misji, choćby sami chcieli... I widzisz, natur ludzkich nie trzeba odciągać od ich przeznaczenia ani przemocą zmieniać. Co dobre gdzie indziej, to może być złe u nas, bo nas do czego innego Bóg stworzył. Zresztą, próżna robota. I ty próżno w siebie wmawiasz, że chcesz tylko pieniądze robić, i ty musisz pójść za głosem przeznaczenia i natury...

– Ja nawet idę, bo się żenię... To jest: żenię się, jeśli mnie zechcą,

A Waskowski objął go przez pól:

– Bodajże cię! A to doskonale! Niech cię Bóg błogosławi... Wiem! Wam to nakazała ta dziecinka... A pamiętasz, jakem ci mówił, że i ona ma coś do spełnienia, że nie umrze, póki tego nie spełni? Niechże jej Bóg da światło, a wam obojgu błogosławieństwo... Marynia to przecie złoto!...

– A kochanemu profesorowi szczęśliwej drogi i szczęśliwej misji.

– I tobie, i tobie – czego sobie sam życzysz.

– Ja? czego sobie życzę? – mówił wesoło Połaniecki. – A tak z pół tuzina małych misjonarzy...

– A urwis! zawsze był urwis! – odpowiedział Waskowski. – No leć, leć, ja tam do was jeszcze przyjdę...

Połaniecki wyleciał, wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do Pławickich. Po drodze układał sobie, co powie Maryni, i ułożył sobie mówkę, w miarę uczuciową, w miarę trzeźwą, jak

przystoi na pozytywnego człowieka, który znalazł wprawdzie to, czego szukał, ale który żeni się także i przez rozum.

Marynia spodziewała się go widocznie o wiele później, bo światła w pokojach nie były pozapalane, chociaż ostatnie blaski zachodu gasły już na dworze.

Połaniecki począł na powitanie całować jej obie ręce i zapomniawszy zupełnie o rozumnej przemowie spytał trochę niepewnym i wzruszonym głosem:

– Odebrała pani kwiaty i list?

– Tak...

– I domyśla się pani, dlaczego przysłał?

Maryni serce biło tak mocno, że nie zdobyła się na odpowiedź.

Więc Połaniecki pytał dalej, coraz bardziej przerywanym głosem:

– Czy pani zgadza się na wolę Litki? Czy pani mnie chce?

– Tak – odpowiedziała Marynia.

Teraz on, w poczuciu, że wypada jej dziękować, na próżno szukał słów. Przyciskał tylko coraz mocniej do ust jej ręce i zarazem trzymając je obie, przyciągał ją z lekka, coraz bliżej i bliżej. Nagle owionął go płomień; objął ją i począł ustami szukać jej ust. Lecz ona odwróciła głowę, tak że mógł tylko całować włosy na jej skroniach. Przez chwilę, w mroku, słychać było tylko ich przyspieszone oddechy, wreszcie Marynia wyrwała mu się z ramion.

W kilka minut później służąca wniosła światło. Połaniecki ochłonawszy przestraszył się teraz własnego zuchwalstwa i począł z niepokojem spoglądać w oczy Maryni. Był pewien, że ją obraził, i był gotów przeproszać. Tymczasem ze zdziwieniem spostrzegł, że w jej twarzy nie było żadnych śladów gniewu. Oczy miała spuszczone, policzki pałające, włosy nieco w nieładzie; znać było, że jest pomieszana i jakby odurzona – ale przy tym przejęta tylko takim pełnym słodczy strachem kobiety zakochanej, która przestępując nowy próg czuje, że trzeba coś na nim poświęcić, ale która przestępuje go i ulega dlatego, że chce, że kocha i że powinna wobec praw, które mężczyźnie przyznaje.

Połanieckiego jednak przejęło na jej widok żywe uczucie wdzięczności. Zdawało mu się teraz, że kocha Marynię tak, jak ją kochał dawniej, przed, śmiercią Litki. Uczuł też, że w tej chwili nie może być dla niej zbyt delikatnym, ani zbyt wspaniałomyślnym, więc wzięwszy znowu jej rękę, podniósł ją do ust z wielką czcią i rzekł:

– Ja wiem, że pani nie wart – to nie ma i gadania! Ale Bóg widzi, że co będzie w moich siłach, to zawsze dla pani zrobię.

A Marynia spojrzała na niego wilgotnymi. oczyma:

– Byle pan był szczęśliwy...

– Czy z panią można nie być? Ja to widziałem od pierwszej chwili w Krzemieniu. Ale potem, pani wie: wszystko się popsuło. Myślałem, że pani wyjdzie za Maszkę, i com się nagryzł!...

– To ja byłam zła i przepraszam... mój drogi – panie Stachu!...

Połaniecki zaś zawołał z wielkim zapałem:

– Jeszcze dziś profesor mówił: „Marynia to złoto.” I prawda! wszyscy to mówią – nie tylko złoto, ale skarb – bardzo drogi!

A jej dobre oczy poczęły się do niego śmiać:

– Może i bardzo ciężki...

– Niech panią o to głowa nie boli; ja mam dość sił i potrafię go na rękę nosić... Teraz przynajmniej mam po co żyć.

– I ja – odpowiedziała Marynia.

– Czy pani wie, że ja już tu byłem? Przysłałem potem te chryzantemy. Po wczorajszym liście pani powiedziałem sobie: to po prostu anioł, i trzeba nie mieć ani serca, ani piątej klepki, żeby dłużej zwlekać.

– Taka byłam niespokojna o ten pojedynek – i nieszczęśliwa. Ale to już naprawdę skończone?

– Daję pani słowo – najzupełniej.

Marynia chciała dalej wypytywać, ale tymczasem nadszedł pan Pławicki; chwilę słysząc było, jak pokaszując trochę stawiał łaskę i zdejmował paletot w przedpokoju, potem otworzył drzwi i ujrzawszy ich samych rzekł:

– Tak we dwoje sobie siedzicie?

A Marynia, podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach i nadstawiając czoło do pocałunku odrzekła:

– Jak narzeczeni, papo.

Pan Pławicki cofnął się nieco i spytał:

– Jak powiadasz?

– Mówię – odpowiedziała patrząc mu spokojnie w oczy – że pan Stanisław chce mnie wziąć i że jestem bardzo szczęśliwa...

Połaniecki przybliżył się, uściskał z całej siły pana Pławickiego i rzekł:

– Chcę wziąć, za zgodą i pozwoleniem wujaszkowym.

Lecz pan Pławicki zawołał: „Dziecko moje!”, i podążywszy chwiejnym krokiem do kanapy, siadł na niej ciężko.

– Pozwólcie... – mówił – wzruszenie... Nic to – nie zważajcie na mnie... Moje dzieci!... Jeśli wam to potrzebne – błogosławię z całego serca...

I błogosławił, przy czym opanowało go jeszcze większe wzruszenie, bo Marynię kochał jednak rzeczywiście. Głos wiązał mu co chwila w gardle, i oboje młodzi słyszeli tylko takie oderwane zdania lub wyrazy jak na przykład: „Jakiś kąt przy was – dla starca, który całe życie pracował...”, „Jedynе dziecko...”, „Sierota...”

Oni zaś uspokajali go na wspólkę i uspokoili tak dobrze, że w pół godziny potem pan Pławicki uderzył nagle po ramieniu Połanieckiego i rzekł:

– Ach, rozbójniku! Toś ty myślał o Maryni, a ja myślałem, żeś ty trochę...

I resztę dokończył do ucha Połanieckiego, który zaczerwienił się z oburzenia i odpowiedział:

– Jak wuj może przypuszczać! Gdyby mi to kto inny śmiał powiedzieć...

– No, no, no! – odparł śmiejąc się Pławicki. – Nie ma dymu bez ognia.

Tegoż jeszcze wieczoru Marynia, żegnając się z Połanieckim, spytała:

– Czy mi pan nie odmówi jednej rzeczy?

– Co tylko pani rozkaże.

– Bo ja sobie dawno powiedziała, że jeśli przyjdzie taka chwila jak dziś, to potem pojedziemy razem do Litki.

– A moja droga pani! – odpowiedział Połaniecki.

A ona mówiła dalej:

– Nie wiem, co tam ludzie powiedzą, ale co nam do świata – prawda?

– Naturalnie! Mielibyśmy też na ludzi się oglądać? Z duszy serca jestem pani wdzięczny za tę myśl. Moja droga pani, moja... Maryniu.

– Bo ja myślę, że ona patrzy na nas i modli się za nas.

– Tak, to nasza mała patronka.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

– Do jutra.

– Do jutra – rzekł całując jej ręce – do pojutra co dzień i do...

Tu dodał ciszej:

– I do ślubu.

– Tak! – odpowiedziała Marynia.

Połaniecki wyszedł. W głowie i w sercu czuł wielki zamęt myśli, uczuć, wrażeń, nad którymi panowało jedno główne pojęcie, że stało się coś niesłychanie stanowczego, że los jego został rozstrzygnięty, że czas namysłów, wahań się i zmian przeszedł i że trzeba zacząć nowe życie. I to poczucie nie było mu nieprzyjemne, a nawet graniczyło z pewnym upojeniem, zwłaszcza gdy przypominał sobie, jak całował skroń i włosy Maryni. To c o ś, czego w jego uczuciu brakło, małało i ginęło w owym przypomnieniu prawie zupełnie—i Połanieckiemu zdawało się, że znalazł wszystko, czego do pełnego szczęścia trzeba. „Tym się nie przesyć nigdy!” – myślał sorcie i wprost zdawało mu się, że to jest niepodobieństwo. Przy tym myślał o dobroci Maryni, o tym, jak ona jest pewna, jak na takim sercu i charakterze można budować, jak w życiu z nią nigdy nic nie może grozić, jak ona nic w mim nie zdepcze, nic nie zmarnuje, jak przyjmie za złoto to, co jest w nim złotem, jak będzie żyła dla niego, nie dla siebie – tak myśląc zadawał sobie w duszy pytanie: co mógł lepszego znaleźć? – i prawie dziwił się swoim dawnym wahanom.

Jednakże czuł jednocześnie, że to, co ma przyjść, jest zmianą tak olbrzymią, czymś tak bez miary stanowczym, że gdzieś, na dnie, w najgłębszym zakątku duszy, budził się w nim jakby niepokój przed owym szczęściem nieznanym.

Lecz nie wahał się: „Nie jestem ani tchórzem, ani niedołągą – myślał. – Trzeba teraz iść naprzód, i pójść.”

Wróciwszy do domu spojrzął na Litkę i natychmiast otworzył się przed nim jakby nowy jasny widnokrąg. Pomyślał, że może mieć dzieci. Taką oto jasną, drogą główkę – i to z Marynią! Na samą myśl o tym serce poczęło mu bić żywiej – i do porywu zmysłów dołączyła się taka jakaś otucha życiowa, jakiej od dawnych lat nie zaznał. Czuł się prawie zupełnie szczęśliwy. Spojrzawszy wypadkiem na list Bukackiego, który przy rozbieraniu się wydobyl z kieszeni, począł się śmiać tak szczerze, że aż służący zajrzał ze zdziwieniem do pokoju. Połaniecki miał ochotę powiedzieć mu, że się żeni.

Zasnął dopiero nad ranem, ale wstał trzeźwy, wypoczęty i ubrawszy się poleciał do biura, by jak najprędzej zwiastować nowinę Bigielowi.

Bigiel uściskał go, następnie począł ze zwykłą sobie powolnością rozważać sprawę i wreszcie rzekł:

– Biorąc na rozum, to jest najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś.

Po czym ukazawszy na biurko z papierami, dodał:

– Te kontrakta powinny być korzystne – ale tamten jeszcze lepszy.

– Co? nieprawda? – zawołał chełpliwie Połaniecki.

– Lecę powiedzieć żonie – rzekł Bigiel – bo nie mogę wytrzymać, a ty sobie także idź, i idź na dobre. Będę cię zastępował do dnia ślubu i przez miodowy miesiąc.

– Dobrze – odpowiedział Połaniecki. – Lecę odwiedzić Maszkę, a potem jedziemy z Marynią do Litki.

– To jej się od was należy.

Połaniecki nakupił znów po drodze kwiatów, dołączył do nich wiadomość, że zaraz przychodzi, i wpadł do Maszki.

Maszko miał się pod opieką pani Krasławskiej znacznie lepiej i lada chwila spodziewał się jej przybycia. Tymczasem wysłuchawszy nowiny ścisnął rękę Połanieckiego z pewnym wzruszeniem i rzekł:

– Powiem ci tylko jedno: nie wiem, czy ona będzie z tobą szczęśliwa – ty z nią na pewno.

– Bo kobiety są lepsze od nas – odpowiedział Połaniecki – spodziewam się, że po tym, co cię spotkało, i ty jesteś tego zdania.

– Wyznaję, że dotąd nie mogę ochłonąć ze zdumienia. Są zarazem i lepsze od nas, i bardziej tajemnicze. Wyobraź sobie...

Tu Maszko zaciął się, jak gdyby się wahał, czy ma mówić dalej.

– Co? – spytał Połaniecki.

– Tak! ty jesteś dyskretny człowiek, a przy tym dałeś mi takie dowody przyjaźni, że może nie być między nami tajemnic: wyobraź więc sobie, że wczoraj po twoim odejściu odebrałem anonim – tu, jak wiesz, panuje ten szlachetny obyczaj pisania anonimów – a w nim wiadomość, że papa Krasławski istnieje, żyje i ma się dobrze.

– Co znowu? Może być plotka.

– Ale może i nie być. Żyje podobno w Ameryce. List odebrałem podczas bytności pani Krasławskiej. Nie mówiłem jej nic, ale po pewnym czasie, gdy po obejrzeniu tych oto portretów poczęła mnie wypytywać o dalsze stosunki rodzinne, spytałem i ja ją z kolei: jak dawno jest wdową? Odpowiedziała mi na to: „Jesteśmy z córką same na świecie od dziewięciu lat, ale to są smutne dzieje, o których dziś nie chcę mówić.” Uważ, że nie odpowiedziała wprost, kiedy jej mąż umarł.

– I co ty na to?

– Ja myślę, że jeśli papa żyje, to musi, być tego rodzaju figura, o której się nie mówi, i że to naprawdę mogą być „smutne dzieje”.

– Tajemnica dawno by się wydała.

– Te panie siedziały kilkanaście lat za granicą. Kto wie? Zresztą w niczym to moich zamiarów nie zmienia. Jeśli pan Krasławski siedzi w Ameryce i nie przyjeżdża tu, to musi mieć do tego dobre powody, więc tak jakby go nie było. Owszem, teraz nabieram otuchy, że moje małżeństwo dojdzie do skutku, bo rozumiem, że gdy ludzie muszą coś ukrywać, wówczas mniej są wymagający.

– Wybacz mi moją ciekawość – rzekł Połaniecki biorąc kapelusz – ale mnie chodzi o moją sumę, a teraz o Pławickich; czy ty wiesz na pewno, że te panie mają pieniądze?

– Powiem ci otwarcie: zdaje się, że i grube, ale jednak stawiam na kartę trochę zakrytą. Prawdopodobnie mają znaczną gotówkę. Matka powiedziała mi kilkakrotnie, że córka jej nie potrzebuje się oglądać na majątek męża. Kasę żelazną widziałem. Dom prowadzą duży. Znam w Warszawie prawie wszystkich Żydów i nie-Żydów, którzy pożyczają pieniędzy, i wiem na pewno, że nikomu grosza nie winne. Jak sam wiesz, mają ładną willę niedaleko od Bigielów. Z kapitału nie żyją, bo są na to za mądre.

– Pozytywnej cyfry jednak nie wiesz?

– Próbowałem wypytywać, ale z daleka. Nie będąc zbyt pewnym stosunku z nimi, nie mogłem bardzo naciskać. Dano mi do zrozumienia, że będzie ze dwieście tysięcy rubli, a kiedyś więcej.

Połaniecki pożegnał się i idąc do Pławickich myślał:

„Wszystko to są jakieś tajemnice, jakieś mroki, jakieś ryzyka. Wolę Marynię.”

I w pół godziny później jechali z Marynią na cmentarz do Litki. Dzień był ciepły jak na wiosnę, ale szaro; miasto wyglądało ponuro i brudno. Na cmentarzu topniejący śnieg opadał płatami na ziemię z grobów i odsłaniał żółkła, na wpół przegniłą murawę. Z ramion krzyżów i z bezlistnych gałęzi drzew spadały duże krople, które zrywający się od czasu do czasu podmuch ciepłego wiatru rzucał w twarz Połanieckiemu i Maryni. Podmuchy owe szarpały jej suknię, tak że musiała ją tłumić. Stała wreszcie u grobu Litki.

I tu wszystko było mokre, oślizgłe, posępne, na wpół obnażone z topniejącego śniegu. Myśl, że to dziecko, którego niegdyś tak strzeżono, takie kochane i pieszczone, leży teraz w tej wilgoci i piwnicznym mroku, nie chciała się Połanieckiemu prawie w głowie pomieścić. „Wszystko to może naturalne – myślał – jednak ze śmiercią nie podobna się pogodzić.” I rzeczywiście było tak, że ilekroć odwiedzał Litkę, wracał z tego cmentarza z jakimś niepohamowanym buntem, z jakimś namiętnym protestem w duszy. Te myśli poczęły go targać i w tej chwili; wydało mu się wprost strasznym kochać Litkę i pogodzić kochanie ze świadomością, że o kilka stóp poniżej ona tam leży, czarna i rozkładająca się. Ja tu nie powinienem przychodzić – mówił sobie – bo tu wściekam się, tracę głowę i wszelkie podstawy do życia.” Przede wszystkim jednak męczył się, bo jeśli o śmierci

niepodobieństwem jest nie myśleć, równym niepodobieństwem jest coś wymyślić, i dlatego wszystko, co o niej przychodzi do głowy, jest, o ile człowiek nie wyciągnie rąk do prostej wiary, zarazem rozpaczliwym i płytkim, oklepanym, pospolitym. „Mnie tu chodzi więcej niż o samo istnienie, a umiem sobie odpowiedzieć tylko komunałem. Zupełne koło błędne!” I to była prawda. Jeśli bowiem myślał na przykład, że na pierwsze wspomnienie o śmierci wszystko staje się dymem, i czuł, że, niestety, tak jest, czuł przy tym, że tysiące ludzi zdobyły się na to pojęcie przed nim i że nikt nie znalazł w tym ani otuchy, ani nawet takiego zadowolenia, jakie daje wykrzycie prawdy. Wszystko, co mógł sobie powiedzieć, było zarazem straszne i miałkie. Łatwo mu było rozumieć, że całe życie ludzkie, dzieje powszechne, wszelkie filozofie są w gruncie rzeczy tylko walką ze śmiercią: nieustanną, rozpaczliwą, zupełnie zrozumiałą i jednocześnie bezdennie głupią i bezcelową, bo z góry straconą. Ale tacie rozumienie nie mogło mu przynieść żadnej ulgi, było ono bowiem tylko stwierdzeniem nowego koła błędnego. „Bo gdy jedynym celem wszelkich wysiłków ludzkich jest życie, a jedynym rezultatem śmierć, to bezsens przechodzi miarę, i po prostu nie można by go przypuścić, gdyby nie owa oczywistość obmierzała i niemiłosierna, która istoty żywe i kochane zmienia w rzecz zgniłą.”

Połaniecki za każdą bytnością na cmentarzu zatrzymywał się podobnymi myślami. Dziś, jadąc, sądził, że obecność Maryni uwolni go od nich, tymczasem stało się raczej przeciwnie. Śmierć Litki, poderwawszy w nim ufność w sens i w moralną celowość życia, podkopała właśnie w nim i tę pierwszą, dawną miłość do Maryni, tak nawiną i pozbawioną zwątpień; teraz więc, gdy wraz z Marynią stanął przy grobie Litki, gdy ta śmierć, która zaczęła być już tylko wspomnieniem, stała się znów czymś niemal dotykającym, zatrzymujące jej działanie spotęgowało się znowu. Znowu mu się wydało, że całe życie, zatem i miłość, jest tylko obłudą, a zabiegi życiowe czymś zupełnie czczym i marnym. Jeśli nad życiem nie ma ani rozumu, ani miłosierdzia – to po co się trudzić, po co kochać, po co się żenić? Czy po to, żeby mieć dzieci, przywiązać się do nich każdą kroplą krwi, a potem patrzeć bezradnie, jak je owa ślepa, głupia, oburzająca i brutalna siła dusi jak wilk jagnięta – i przychodzić do ich grobu z myślą, że pleśnią w ciemności i wilgoci. Ot, Litka tam przecie leży!

Dziwnie posępny dzień potęgował tylko gorzyc tych poczuć. Czasami, za poprzednich bytności, cmentarz wydawał się Połanieckiemu jakąś wielką nicością, w której rozplywa się życie, ale rozplywa się i wszelka niedola, czymś ogromnie sennym i kojącym. Dziś nie było na nim spokoju. Płaty śniegu osuwały się z pni i grobów; wśród mokrych drzew tłukły się z krakaniem wrony. Nagle i potężne podmuchy wiatru rzuciły kroplami wilgoci oderwanymi od gałęzi i gnąc je tworzyły jakąś rozpaczliwą szarpaninę wśród nieruchomych, kamiennych i obojętnych krzyżów.

Wtem Marynia przestała się modlić i rzekła takim stłumionym głosem, jakim się mówi na cmentarzach:

– Teraz jej dusza musi być między nami.

Połaniecki nie odpowiedział nic, ale naprzód pomyślał, że on i Marynia są istotami jakby z dwóch odrębnych światów, a następnie, że gdyby w tym, co ona mówi, była choć cząstka prawdy, to wszystkie jego duchowe rozterki byłyby mniej warte niż ten topniejący śnieg. W takim razie – mówił sobie – istnieje umieranie i istnieją cmentarze, ale śmierci po prostu nie ma.

Marynia zaczęła układać teraz na grobie wianki z nieśmiertelników, które kupili przed bramą, on zaś myślał spieszenie, raczej za pomocą poczuć niż za pomocą myśli:

„W moim świecie nie ma na nic odpowiedzi, są tylko koła błędne, które się staczają w przepaść.”

I uderzyło go to; że gdyby takie pojęcia o śmierci, jakie miała Marynia, nie wypływały z wiary albo gdyby były zupełnie nie znane i gdyby niespodzianie postawił je jaki filozof jako hipotezę – to by tę hipotezę uznano za najgenialniejszą z genialnych – ona bowiem wszystko

tłumaczy, na wszystko daje odpowiedź, rozświeca nie tylko życie, ale i śmierć, która jest ciemnością. Ludzkość klękałaby z podziwu przed takim. mędrce i taką naukową teorią.

Z drugiej strony czuł, że jednak było coś z Litki między nimi. Ona sama rozsypywała się w proch, ale coś ją przeżyło; zostały jakieś fale jej myśli, jej woli, jej uczucia. To, że on zbliżył się z Marynią, że byli narzeczonymi, że teraz stali przy grobie Litki, że się połączą, że życie pójdzie im razem, że będą mieli dzieci, które z kolei będą żyły, kochały i mnożyły się – czymże było, jeśli nie taką falą, która, wyszedłszy z tego dziecka, mogła iść i iść w nieskończoność, odradzając się w nieśmiertelnym łańcuchu zjawisk? Jakże tedy zrozumieć, by z istoty śmiertelnej wyszła nie śmiertelna i nieskończona energia? Marynia w prostocie swej wiary znalazła na to odpowiedź, Połaniecki – nie.

A jednak Marynia miała słuszość: Litka była między nimi. Połanieckiemu przeleciało teraz przez głowę jakieś niejasne i niewarte w ścisłą myśl przypuszczenie, że może wszystko to, co człowiek za życia pomyśli, wszystko, czego chce, wszystko, co przekocha, jest taką, stokroć bardziej nieuchwytną, stokroć subtelniejszą od eteru materią, z której powstaje jakaś astralna istota, świadoma siebie, i albo wieczna, albo przeradzająca się w istnienie coraz doskonalsze, subtelniejsze, aż do nieskończoności. I zdawało mu się, że atomy myśli i uczuć mogą się skupiać w odrębną jednostkę właśnie dlatego, że wychodząc z jednego mózgu lub serca są sobie pokrewne, zatem dążą ku sobie z tej samej tajemniczej zasady, z jakiej skupiają się pierwiastki fizyczne, by wytworzyć fizyczną jednostkę. Obecnie nie miał czasu nad tym myśleć, ale zdawało mu się, że czegoś dostrzegł, że w zasłonie, którą miał na oczach, utworzyła się jakaś mała szpara. Mogło się to okazać złudzeniem, ale w tej chwili czuł, że Litka jest jednak między nimi, mniemał, że obecność jej w taki tylko sposób może być zrozumiałą.

W tym czasie nadszedł jakiś pogrzeb, bo w dzwonnicy stojącej na środku cmentarza poczęto dzwonić. Połaniecki podał Maryni rękę i poszli ku bramie. W drodze Marynia, myśląc widocznie w dalszym ciągu o Litce, rzekła:

– Teraz jestem zupełnie pewna, że będziemy szczęśliwi.

I przytuliła się silniej do ramienia Połanieckiego, bo zresztą i uderzenia wiatru stały się talk potężne, że trudno jej było im się oprzeć. Jeden z podmuchów obwinął jej woalkę naokoło szyi Połanieckiego. Rzeczywistość poczęła go wołać. Przyciskał oto do boku ramię kochającej kobiety i czuł, że kochanie, jeśli nie jest zdolne przesłonić śmierci, to przynajmniej godzi z życiem.

Wsiadłszy do karety wziął dłoń Maryni i nie wypuszczał jej przez całą drogę. Chwilami wracała mu niemal zupełna otucha, myślał bowiem, że owe braki, jakie istniały w jego uczuciu, ta słodka i dobra do gruntu dziewczyna potrafi wypełnić i wskrzesić wszystko, co zmarniało. „Moja żona! moja żona!” – powtarzał sobie w duszy, patrząc na nią, a jej pocziwe jasne oczy odpowiadały mu: „Twoja!”

Gdy zajechali do domu, pan Pławicki nie powrócił jeszcze z przedobiedniej przechadzki, znaleźli się więc sam na sam. Połaniecki siadł koło Maryni i pod wpływem tych myśli, które przechodziły mu przez głowę podczas drogi, rzekł:

– Pani powiedziała, że Litka była między nami – i to prawda! Ja zawsze wracałem, jak święty z cmentarza, a jednak dobrze, żeśmy tam byli.

Marynia zaś odrzekła:

– Bo to tak, jakbyśmy jeździli po błogosławieństwo.

– Ja mam to samo wrażenie i prócz tego tak mi się wydaje, jakbyśmy już byli połączeni, a przynajmniej bliźsi sobie niż przedtem.

– Tak – i to będzie i smutne, i dobre wspomnienie.

Wtedy on wziął znowu jej rękę i rzekł:

– Więc jeśli pani ufa, że będziemy szczęśliwi, po co szczęście zwlekać? Moja dobra, moja najlepsza, i ja ufam, że nam będzie dobrze; nie zwłóczmy ślubu. Mamy zacząć nowe życie, to je zacznijmy prędko.

– To niech pan postanowi. Ja całą duszą jestem pana.

Na to on przyciągnął ją jak pierwszego dnia i po chwili znów począł szukać ustami jej ust, ona zaś, czy to pod wpływem myśli, że jego prawa są dziś już większe, czy pod wpływem budzących się zmysłów, nie odwracała już głowy, ale zmrużywszy oczy, sama podała mu usta jakby spragnione od dawna.

VIII

Dla Połanieckiego rozpoczął się teraz czas przedślubnych zabiegów i przygotowań. Mieszkanie miał wprawdzie gotowe przeszło od roku, to jest jeszcze, zanim Marynię poznał. W swoim czasie, gdy Bukacki wyśmiewał się z tego mieszkania widząc w nim dowód do jakiego stopnia Połaniecki pała chęcią żenienia się” Połaniecki nie zaprzeczał:

– Tak jest – mówił. – Mam tyle, że mogę sobie na to pozwolić, a tymczasem wydaje mi się, że już zaczynam coś w tym celu robić i że moje zamiary stają się czymś rzeczywistym.

Bukacki nazywał to przezornością godną pochwały, przy czym wyrażał zdziwienie, że człowiek, tak przewidujący przyszłość, nie zamawia od razu akuszerki i niańki. Czasem tego rodzaju rozmowy kończyły się: kłótnią. Połaniecki bowiem nie znosił, gdy mu ktoś. odmawiał trzeźwego na świat poglądu. Bukacki zaś. utrzymywał, że to jest ptasi, godny trznadla romantyzm poczynać od budowy poetycznego gniazdko. Jeden twierdził, że nie może być nic rozsądniejszego, jak przygotowywać klatkę, chcąc mieć ptaka; drugi odpowiadał, że gdy ptak jeszcze nie upatrzony i połów niepewny, klatka jest oszukiwaniem własnego apetytu. Kończyło się aluzjami do cienkich nóg Bukackiego, uniemożliwiających pogoń za wszelkiego rodzaju ptakami, choćby bez skrzydeł. Bukacki wpadał wówczas w wyśmienity humor.

Teraz jednak, gdy klatka była gotowa i ptak nie tylko złowiony, ale chętny, pozostawało jeszcze tyle do roboty, że Połanieckiego ogarniało nieraz zdziwienie, że akt, tak z natury prosty, jak ożenienie się, stał się w ucywilizowanych społeczeństwach tak złożonym. Zdawało mu się, że jeśli nikomu nie przysługuje prawo wglądać w moralną stronę związku, ponieważ jest on wypływem czystej wolnej woli – formalna strona winna, być również mniej dozorowaną.

Ale myślał tak naprzód dlatego, że nie był prawodawcą, po wtóre, że był człowiekiem prędkim, którego niecierpliwiła konieczność wyszukiwania „papierów”, a. po trzecie, że raz postanowiwszy się żenić, przestał się stanowczo namyślać, analizować – i dążył do tego, jak człowiek czynu. Nappełniało go to nawet nieraz dumą, gdy się porównywał z takim na przykład Płoszowskim, którego historia, zanim zaczęła być znaną z jego własnego pamiętnika, krążyła już z ust do ust między ludźmi: „Jednakże ja jestem z innego metalu” – myślał z pewnym zadowoleniem Połaniecki. Chwilami znów, gdy sobie przypominał postać Płoszowskiego, jego szlachetny i delikatny, a zarazem silnie zarysowany profil, jego wykształcenie, subtelność i giętkość umysłową, jego niesłychany dar jednania sobie ludzi, a zwłaszcza kobiet, przychodziło mu na myśl, że jednak on, Połaniecki, jest typem mniej wytwornym, mniej uszlachetnionym i w ogóle człowiekiem wyciosanym z grubszego materiału. Wszelako odpowiadał sobie, że widocznie, wobec warunków życia i odporności, jakiej ono wymaga, jest rzeczą wprost zgoną być zbytnim filigranem, tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym. Widział w sobie również daleko większą zdolność życiową. „Ostatecznie – myślał – ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibelotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z

gotowego kręcić gałki. Ja umiem, i dobrze umiem, farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiece. A jaka ogromna między nami różnica w stosunku do kobiety! Ten człowiek przeanalizował swoje życie i życie kochanej kobiety, zgubił ją i siebie, nie mogąc wyjść z wątpliwości, czy ją dość kocha; ja mam też wątpliwości, czy moja miłość jest zupełna, a jednak swoją kobiecinę biorę – i niedołągą byłbym, nie mężczyzną, gdybym się miał naprzód bać przyszłości i gdybym nie potrafił wycisnąć z niej w prosty sposób tyle dobra i szczęścia, ile się da wycisnąć.”

Tu Połaniecki, jakkolwiek zarzekał się analizy, poczynił analizować, wprawdzie nie siebie, ale Marynię. Pozwalał sobie zresztą na to tylko dlatego, że z góry był pewien pomyslnych wniosków. To jednak rozumiał, że w obliczaniu przyszłości dwojga ludzi, dobra wola jednej strony nie wystarcza i staje się niczym na wypadek braku dobrej woli z drugiej strony. Ale był pewien, że biorąc Marynię nie bierze martwego serca, Marynia nie tylko przyniosła na świat prawą naturę, ale od młodych lat zetknęła się z pracą i warunkami, w których musiała zapominać o sobie, by myśleć o innych. Prócz tego było nad nią, równe jakby nieustającemu zagrobowemu błogosławieństwu, wspomnienie matki, której spokój, prostotę i prawość, a zarazem życie pełne smutków wspominano dotąd z największą czcią w całej okolicy Krzemienia. Połaniecki wiedział o tym i był przekonany, że budując na sercu i charakterze Maryni buduje na niewzruszonej niemal podstawie. Nieraz przychodziły mu na myśl słowa jednej znajomej i przyjaciółki jego matki, która zapytana: czy więcej się troszczy o przyszłość synów, czy córek? odpowiedziała: „Wyłącznie o synów, bo moje córki, w najgorszym razie, mogą być tylko nieszczęśliwe.” Tak! synów chowa szkoła i świat – i oboje mogą z nich zrobić łotrów; córki, którym dom wszczepia poczciwość – „w najgorszym razie mogą być tylko nieszczęśliwe”. Połaniecki rozumiał, że tak było i z Marynią. Toteż, jeśli ją analizował, była ta analiza raczej rozpatrywaniem, się i lubowaniem jubilera w swoich klejnotach niż metodą uczonego, który pragnie dojść do nieznanego i nie dających się przewidzieć wniosków.

Jednakże raz pokłócili się z Marynią bardzo poważnie z powodu listu Waskowskiego, który Połaniecki otrzymał z Rzymu w kilka tygodni po wyjeździe profesora i który odczytał w całości Maryni. List ten brzmiał, jak następuje: „Mój drogi. Mieszkam via Tritone, pension Francaise. Odwiedź moje warszawskie mieszkanie; zobacz, czy Snopczyński dobrze dozoruje moich malców i czy drobiazg św. Franciszka ma pod dostatkiem wody i siemienia. Jak przyjdzie wiosna, trzeba otworzyć okna i klatki – kto chce, niech zostanie, a kto chce, niech leci. Malcy w rodzaju *homo sapiens* powinni mieć dobre pożywienie, bom na to zostawił, a prócz tego, mało morałów, a dużo miłości. Snopczyński jest dobry człowiek, ale melancholik. Powiada, że to skutkiem śniegów. Jak go napadnie tak zwana przez niego „chandra”, po całych tygodniach patrzy na własne buty i milczy – a z dziećmi trzeba gadać, by nabrały zaufania. Otóż i wszystko co do Warszawy.

Tę pracę mojego życia, o której ci mówiłem, drukuję tu po francusku w drukarni dziennika «L'Italie». Trochę się śmieją z mojej francuszczyzny i ze mnie, alem ja do tego przywykłem. Przyjechał tu Bukacki. Dobrze, j kochane chłopczyśko, zdziwaczał do reszty i powiada, że powłóczy nogą, choć ja tego nie zauważyłem. On bardzo kocha i ciebie, i Marynię, a naprawdę to i wszystkich, pomimo że się tego wypiera. Za to, jak zaczniesz wygadywać – uszy wędzną. Niech cię Pan Bóg błogosławi, drogi chłopcze, i ciebie, i twoją poczciwą Marynię. Chciałbym być na waszym weselu, ale nie wiem, czy mi tu skończą do Wielkiejnocy moją robotę; więc tymczasem posłuchaj, co ci powiem, i wiedz, że w tym celu piszę ten list. Nie myśl, że stary gada, byle gadać bo przecież wiesz, że ja był nauczycielem, że od tego zajęcia uwolnił mnie dopiero spadek po bracie, że doświadczyłem i widziałem. Jeśli będziecie mieli dzieci – nie zamęczaj ich nauką, daj im rosnać wedle woli bożej. Mógłbym na tym skończyć, ale ty lubisz cyfry, więc dam ci cyfry. Małe dziecko ma godzin pracy tyle, ile dorosły człowiek urzędnik, z tą różnicą, że urzędnik gawędzi podczas biurowych godzin z

kolegami lub pali papierosy; dziecko zaś musi przez cały czas wyęczać uwagę, bo inaczej zgubi wątek i przestanie rozumieć, co do niego mówią. Urzędnik po skończonej pracy idzie do domu, dziecko musi się przygotowywać na dzień następny, co zdolnemu zabiera cztery godziny, mniej zdolnemu – sześć. Dodaj do tego, że uboższe dzieci często dają lekcje, bogatsze je biorą – co razem wyniesie godzin dwanaście. Dwanaście godzin pracy dla dziecka!... Czy ty to rozumiesz, mój drogi? Czy sobie zdajesz sprawę, jakie to z tego muszą wyrastać natury chore, zwichnięte, skłonne do najdzikszych manii – krzywe, odporne? Czy ty rozumiesz, jak my powiewamy naszymi dziećmi cmentarze – i dlaczego najpotworniejsze idee znajdują wyznawców? Ach, dziś ograniczają nawet pracę dorosłych po fabrykach – ale o tym filantropia milczy. O! to przecie pole – to gotowa zasługa – to przyszła świętość i sława! Nie zamęczaj mi swoich nauk – proszę cię o to! I proszę Maryni – przyrzeczcie mi to oboje. Ja nie gadam, byle gadać, jak czasem mówi Bukacki, bo mówię z serca, i to jest największa reforma, jaka czeka wieki przyszłe, największa po wprowadzeniu Chrystusa do dziejów. Zdarzyło mi się też kilka dni temu w Perugii coś dziwnego, ale o tym kiedyś ci opowiem, a teraz ściskam was oboje.”

Marynia słuchała tego listu patrząc za przykładem owego Snopczyńskiego, o którym wspominał profesor, na końcu swych bucików. Połaniecki zaś począł się śmiać i rzekł:

– Czy pani słyszała coś podobnego? Jeszcze do naszego ślubu daleko, a profesor już lamentuje nad naszymi dziećmi i wstawia się za nimi. To trochę historia mego gniazodka.

Po chwili zaś dodał:

– Co prawda, to moja wina, bom mu poczynił rozmaite obietnice.

I pochyliwszy się tak, aby dojrzeć oczy Maryni, począł pytać:

– A co pani mówi na ów list?

Połaniecki pytając w ten sposób miał taką nieszczęśliwą chwilę, w której człowiek nie jest sam sobą – i postępuje niezgodnie z własną naturą. Był on w ogóle charakterem raczej szorstkim, ale nie grubiańskim, a nawet zdolnym chwilami do prawdziwie kobiecych delikatności. Tymczasem teraz zarówno w jego spojrzeniu, jak i w pytaniu skierowanym do dziewczyny, tak przypominającej mimozę jak Marynia, było wprost coś brutalnego. Ona wiedziała również, że za małżeństwem idą dzieci, ale przedstawiało jej się to jako coś nieokreślonego, o czym się nie mówi, a jeśli się mówi, to albo w aluzji tak delikatnej jak koronka, albo w chwili jakiegoś wzruszenia, z bijącym sercem, z rozkochanymi ustami przy uchu, w nastroju niemal uroczystym, jak o jakimś *sanctissimum* wspólnej przyszłości. Więc też niedbały ton, z jakim mówił o tym Połaniecki, zarówno ją zabolął, jak oburzył. Mimo woli przyszło jej na myśl: „Dlaczego on tego nie rozumie?” I z kolei ona postąpiła niezgodnie ze swoją naturą, bo jak się to często zdarza osobom nieśmiałym w chwilach przykrości i zmieszania, udała większy gniew, niż czuła rzeczywiście.

– Pan nie powinien się tak ze mną obchodzić! – zawołała z oburzeniem. – Pan nie powinien tak do mnie mówić!

Połaniecki śmiał się jeszcze, chcąc nadrobić sztuczną wesołością.

– Czemu się pani gniewa? – spytał.

– Pan postępuje ze mną nie tak, jak powinien.

– Nie rozumiem, o co chodzi.

– To tym gorzej.

A jemu śmiech znikł z ust, twarz pociemniała z gniewu i począł mówić prędko, jak człowiek, który nagle przestaje się rachować ze słowami:

– Być może, że jestem głupi, ale wiem, co jest dobroć, a co nie. W ten sposób życie staje się niemożliwe. Kto z niczego robi wielkie rzeczy, niechże sam siebie wini, a ponieważ obecność moja jest pani przykra, więc sobie idę.

I porwawszy za kapelusz ukłonił się i wyszedł. Marynia nie próbowała go zatrzymywać. Przez chwilę jeszcze obraza i gniew przytłumiły w niej wszelkie inne uczucia, po czym

pozostało jej tylko wrażenie jakby ciosu obuchem. Myśli jej rozproszyły się jak stado ptaków, nad nimi zaś górowało tylko jedno niejasne pojęcie: „Stało się! nie wróci!” W ten sposób zapadał się nad nią gmach, który już począł był wiązać się w tak piękne linie. Pustka, nicność, męczące, bo bezcelowe życie i ścięte serce – oto, co jej pozostawało. A było już tak blisko do szczęścia!... Jednakże to, co się stało, stało się tak nagle, było czymś tak niezrozumiałym, że nie umiała na razie zdać sobie z tego sprawy. Zbliżywszy się do biurka poczęła na nim porządkować mechanicznie papiery, z jakimś bezmyślnym pośpiechem, jakby od uporządkowania ich mogło coś w tej chwili zależeć. Potem spojrzała na fotografię Litki i siadła nagle z dłońmi na oczach i skroniach. Po pewnym czasie jednak przyszło jej na myśl, że wola Litki musi być silniejsza od woli ich obojga – i zaświtał jej nagle promyk nadziei. Poczęła chodzić po pokoju i rozpamiętywać, co zaszło, przy tym przypomniawszy sobie Połanieckiego, nie tylko jakim, był w ostatniej chwili, ale i przedtem, dwa, trzy dni, tydzień temu. Żal jej był teraz już większy od urazy i powiększał się coraz bardziej – wraz z uczuciem dla Połanieckiego. Po niejakiem czasie poczęła sobie mówić, że nie wolno jej było się unosić, że obowiązkiem jej było przyjąć i kochać Połanieckiego takim, jakim był, nie zaś wymagać, żeby się dostosowywał do jej pojęć. „To przecie żywy człowiek, nie lalka” – powtórzyła kilkakrotnie. I ogarniało ją coraz większe poczucie winy, a zatem i skruchy. Z natury potulne i bardzo zdolne do kochania serce występowało do walki z trzeźwym rozumem, który posiadała niewątpliwie i który teraz próżno jej mówił, że słusność nie była po stronie Połanieckiego i że przecie nie powiedziała mu nic takiego, co by było nie do przebaczenia. Mówiła sobie: „Jeśli ma choć trochę dobre serce, to wróci”, ale zarazem zdejmowała ją obawa przed miłością własną mężczyzn w ogóle, a Połanieckiego w szczególności, była bowiem zbyt inteligentną, żeby nie spostrzec, iż on dbał wielce o to, by uchodzić za człowieka nieugiętego. Ale tego rodzaju uwagi, które niechętnie serce czyniłoby na jego niekorzyść, roztkliwiały ją już tylko dla niego.

I w pół godziny później była już do głębi duszy przekonaną, że wina leży tylko li po jej stronie i że „tyle go już w życiu namęczyła”, że teraz powinna ustąpić, to jest: pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Ustępstwo owo równało się w jej pojęciu napisaniu do niego kilku słów pojednawczych. „On się tak nacierpiał z powodu tej sprawy Krzemienia, że mu się to należy.” I gotowa była choćby płakać nad jego losem. Spodziewała się przy tym, że on, ten niegodziwy, brzydki człowiek, oceni to, ile ją kosztuje pisać do niego, i przyjdzie jeszcze tego wieczoru.

Zdało jej się, że nic łatwiejszego, niż skreślić kilka serdecznych wyrazów, takich, które by idąc od serca szły wprost do serca. Ale co za trudność! List nie ma oczu, które zachodzą łzami, nie ma twarzy, która się uśmiecha zarazem smutno i słodko, nie ma głosu, który drga, nie ma rąk, które się wyciągają. List można czytać i rozumieć, jak się chce, bo to tylko czarne litery na obojętnym jak śmierć papierze.

Marynia darła właśnie trzeci arkusik, gdy pomarszczona jak pieczone jabłko twarz pana Pławickiego, z świeżo ufarbowanymi wąsikami, ukazała się w uchylonych drzwiach.

– Nie ma Połanieckiego? – spytał.

– Nie ma, papo.

– A czy przyjdzie jeszcze?

– Nie wiem, papo – odpowiedziała z westchnieniem.

– Moje dziecko, jeśli przyjdzie, powiedz mu, że najdalej za godzinę wrócę i że chcę z nim pomówić.

„Och! i ja chcę z nim pomówić” – pomyślała Marynia.

I przedarłszy trzeci arkusik wzięła czwarty i poczęła się zastanawiać: czy całą kłótnię obrócić w żart, czy też po prostu przeprosić? Żart mógł mu się nie podobać; w przeproszeniu było coś cieplejszego, tylko – to takie trudne! Gdyby on nie był sobie poleciał – dość było wyciągnąć rękę, ale on wyleciał jak z procy, ten złośnik, taki kochany...

I podniósłszy oczy do góry poczęła usilnie pracować swoją ciemną główką, gdy nagle w przedpokoju ozwał się dzwonek. Maryni poczęło bić serce jak młotem, a przez głowę przelatywały jej jak błyskawice pytania:

„On? czy nie on?”

Drzwi się otworzyły – to był on.

Wszedł jak wilk, z głową spuszczoną, z twarzą ponurą i widocznie bardzo niepewny, jak zostanie przyjęty; ale ona na jego widok zerwała się z bijącym jak u ptaka sercem, z rozpromienionym wzrokiem, szczęśliwa, ujęta niezmiernie tym, że wrócił – i pierwsza podbiegłszy ku niemu położyła mu ręce na ramionach.

– A jaki dobry! jaki pocziwy! – poczęła mówić. – A czy pan wie, że ja chciałam już pisać do pana?

Połaniecki przycisnąwszy jej ręce do ust milczał przez czas jakiś, wreszcie rzekł:

– Pani mnie powinna kazać zrzucić ze schodów.

I w uniesieniu wdzięczności przycisnąwszy ją do siebie począł całować jej usta, oczy, skronie i włosy, które rozwiły się w uścisku. W takich chwilach zdawało mu się zawsze, że odnajduje wszystko, co stanowi zupełną i wielką miłość. Wreszcie puścił ją i mówił dalej:

– Pani jest za dobra. Chociaż to lepiej, bo to mnie ogromnie podbija. Przyszedłem panią przeprosić – nic więcej. Ja zaraz ochłonałem... Nawymyślałem sobie od ostatnich osłów i nie umiem powiedzieć, jak mi było żal. Chodziłem po ulicy, myślałem, że może panią zobaczę w oknie i że z twarzy pani poznam, czy mogę wrócić. Potem nie mogłem wytrzymać i przyszedłem...

– To ja przepraszam, to moja wina. Widzi pan podarty papier – pisałam i pisałam.

Ale on pożerał teraz oczyma jej włosy, które upinała pośpiesznie. Z zarumienioną twarzą, od której biła radość, ze śmiejącymi się od szczęścia oczyma, wydała mu się piękniejszą niż kiedykolwiek i tak pożądaną jak nigdy.

Marynia spostrzegła też, że patrzy na jej włosy, i zmieszanie jej walczyło z czysto kobiecą kokieterią.

Upinała je umyślnie niezręcznie, tak że coraz większą falą pokrywały jej ramiona, a jednocześnie mówiła:

– Niech pan nie patrzy, bo sobie pójdę.

– To przecie moje bogactwo – odrzekł Połaniecki – a przy tym w życiu nic podobnego nie widziałem!

I wyciągnął znów ku niej ręce, ale ona poczęła się wykręcać.

– Nie wolno, nie wolno! – powtarzała – mnie i tak wstyd. Powinam była odejść.

Włosy jednak przyszyły zwolna do ładu, po czym siedli oboje i poczęli rozmawiać spokojniej, chociaż z oczyma w oczach.

– I pani naprawdę chciała pisać – spytał Połaniecki.

– Widzi pan podarty papier.

– Szczerze mówię, że pani zbyt dobra.

Ona podniósłszy oczy i wpatrzywszy się w półkę przybitą nad biurkiem odrzekła:

– Dlatego, że to była moja wina. Tak! tylko moja! I sądząc, że nie może być dość wspaniałomyślna, dodała po chwili, zaczerwieniwszy się po uszy i spuszcżając oczy:

– Bo jednak profesor Waskowski ma słuszość, w tym, co pisze o... nauce.

Połaniecki miał w tej chwili ochotę klęknąć i ucałować jej nogi. Jej wdzięk i dobroć nie tylko rozbijały go, ale i naprawdę podbijały zupełnie.

– Żem zginął, tom zginął! – zawołał, jakby kończąc jakąś niewypowiedzianą słowami myśl. – Pani zawojuje mnie zupełnie.

A ona poczęła trząść wesoło główką.

– Oj, nie wiem! Taki tchórz ze mnie.

– Tchórz z pani? Powiem pani jedną anegdotę: w Belgii znalazłem dwie panny Wauters, które miały faworyta kota. Pocziwe stworzenie, zdawałoby się, że go można do rany przyłożyć. Potem jedna z nich dostała w podarku oswojonego zająca. Cóż pani powie! Kot się go tak bał, że ze strachu skakał na wszystkie szafy i piece. Raz poszły panny Wauters na spacer i nagle przypomniały sobie, że kot został z zającem: „A czy Matou nie zrobi jakiej krzywdy zającowi? – Matou? on się go przecie tak boi, że ze skóry wyłazi!” I poszły spokojne. W godzinę potem wracają – i niech pani zgadnie, co się stało? Oto zastały tylko uszy z zająca. To zupełnie stosunek pań do nas. Niby się boicie, a potem zostają z nas tylko uszy!

I Połaniecki począł się śmiać, a Marynia z nim; po chwili zaś dodał:

– Wiem, że i ze mnie zostaną tylko uszy.

Mówił zresztą nieprawdę, bo miał poczucie, że będzie inaczej. Marynia też pomyślawszy odrzekła:

– Nie. Ja nie mam tego charakteru.

– To i lepiej – odpowiedział Połaniecki – bo powiem pani szczerze, jaki wniosek wyprowadzam z moich życiowych obserwacji: oto większy egoizm bierze zawsze górę nad mniejszym.

– Albo też większa miłość poddaje się mniejszej – odpowiedziała Marynia.

– To na jedno wyjdzie. Co do mnie, wyznaję, że jakiegoś Heroda miałbym ochotę ot tak w rękę trzymać (tu Połaniecki otworzył palce, a potem ścisnął je w pięść), ale z takim gołębiem, jak pani – to rzecz całkiem inna. Z panią, myślę, trzeba będzie wojować o to, żeby pani nie zanadto wyrzekła się siebie, a nie za dużo oddawała. Taka już pani natura, i ja wiem, kogo biorę. Zresztą wszyscy to mówią, i nawet taki Maszko, który nie jest żadnym Salomonem, powiedział mi tak: „Ona z tobą może być nieszczęśliwa, ty z nią – nigdy.” I miał słuszość. Oto ciekawym, jaki będzie Maszko dla swojej żony. To twarda ręka.

– A bardzo zakochany?

– Nie tak jak był przed pewnym czasem, gdy go trochę kokietowano.

– Bo nie był taki niegodziwy jak pewien „pan Stach”.

– To będzie dziwne małżeństwo. Ona nie jest brzydka, choć jest blada i ma zawsze czerwone oczy. Ale Maszko żeni się dla majątku. Przypuszczał, że ona go nie kocha, i gdy była ta awantura z Gątowskim – to także rycerz! – był pewien, że te panie skorzystają ze sposobności, by zerwać. Tymczasem stało się wprost przeciwnie – i niech pani sobie wyobrazi, że Maszko jest teraz znów niespokojny, że wszystko idzie tak jak po maśle... Wydaje mu się to podejrzanе. To są jakieś dziwne rzeczy. Istnieje jakoby i pan Krasławski... Bóg wie co!... Wszystko to razem jest głupie. Tam nie będzie szczęścia, przynajmniej takiego, jak ja sobie wyobrażam.

– A jak pan sobie je wyobraża? – spytała Marynia.

– Ja myślę, że szczęście jest w tym, żeby wziąć kobietę pewną – tak jak pani – i jasno widzieć przyszłość.

– A ja myślę, że w tym, żeby być kochaną, ale to jeszcze nie dość.

– Cóż jeszcze?

– Żeby być tego wartą i żeby... Tu panna Marynia nie umiała przez jakiś czas znaleźć słów, w końcu jednak rzekła:

– I żeby wierzyć w męża... i żeby z nim razem pracować.

IX

Połaniecki nie mylił się. Maszce szło wszystko tak pomyślnie, pani i panna Krasławska zapowiadały się tak wzorowo, że był coraz niespokojniejszy. Chwilami sam się śmiał z tego,

a ponieważ przed Połanieckim nie miał od pewnego czasu nic skrytego, więc któregoś dnia rzekł mu z całym cynizmem:

– Mój drogi – to są po prostu anioły, a mnie włosy na głowie powstają, bo w tym coś jest.

– Podziękuj lepiej Panu Bogu!

– Kiedy są za idealne, bez żadnej wady, nawet bez próżności. Wczoraj na przykład dałem im do zrozumienia, że jestem adwokatem tylko dlatego, iż moim zdaniem synowie lepszych rodziców powinni się teraz do czegoś brać i czymś być. Zgadnij, co mi odpowiedziały. Oto, że to jest takie dobre stanowisko jak i każde inne, że dla nich byle praca, każda dobra i że tylko liche i próżne natury mogą się pracy wstydzić. Wystrzelały tyle ładunków nabitych komunałami, że miałem im ochotę odpowiedzieć jakąś sentencją ze wzorów kaligraficznych: „Honor jest jak przepaścista skała” – lub coś podobnego! Połaniecki, ja ci powiadam, że w tym coś tkwi. Myślałem, że papa, ale nie papa. Mam już o nim wiadomość: mieszka w Bordeaux, nazywa się tam Mr de Langlais – i ma swoje ognisko rodzinne, nie tyle legalne, ile licznie otoczone, które utrzymuje za pensję otrzymywaną od pani Krasławskiej.

– Co ci to szkodzi?

– Nic a nic.

– Jeśli tak, to są nieszczęśliwe kobiety – i cała rzecz.

– Tak, ale czy dochody ich odpowiadają nieszczęściom? Pamiętaj, że ja mam ciężary. Przy tym, widzisz, jeśli to są takie kobiety, jak się wydają, a w dodatku bogate, to gotówem się naprawdę zakochać, i to będzie głupio; jeśli się okaże, że nie mają nic albo mało, to gotówem się także zakochać, i to będzie jeszcze głupiej. Ona ma dla mnie urok.

– Nie. To będzie jedyna rzecz mądra, w każdym razie. Ale ty jednak myśl o sobie, Maszko, a trochę o mnie i o Pławickich. Wiesz, że ja nie mam zwyczaju w tych rzeczach folgować, a terminy się zbliżają.

– Jeszcze palę w kotle – kredytem. Wy zresztą siedzicie na hipotece Krzemienia. Za parę dni będzie u pani Krasławskiej wieczór zaręczynowy, po którym mam nadzieję, że się czegoś pewnego dowiem.

Tu Maszko począł monologować.

– Że jednak tak pozytywny człowiek jak ja wszedł jak w las, to nie do pojęcia. Z drugiej strony nie ma tu człowieka, między tymi nawet, co najlepiej wiedzą, jak kto stoi, który by pozwolił sobie wąpić o majątku pani Krasławskiej. A jednak, one są takie szlachetne!!!...

– Twoje obawy są też prawdopodobnie płonne – przerwał z pewną niecierpliwością Połaniecki. – Ale ty, mój kochany, nie jesteś wcale pozytywny człowiek, boś zawsze udawał i jeszcze coś udajesz, zamiast patrzeć tego, co ci dawało chleb.

W kilka dni później odbył się rzeczywiście zaręczynowy raut Maszki, na którym była i Marynia, albowiem pani Krasławska, której się pan Pławicki podobał i którego koligacje były jej wiadome, nie unikała z nim stosunków tak jak z Bigielami. Maszko sprowadził wszystkich swych znajomych o rozgłośnych nazwiskach, ze szklami na oczach i z rozdzielonymi na dwie połowy głowami, po większej części bardzo młodych i przeważnie niezbyt lotnych. Było między nimi pięciu braci Wyżów, których zwano: Mizio, Kizio, Bizio, Breloczek i Tatuś. Dawano im nazwę pięciu braci śpiących, gdyż odczuwając pobudki życiowe wyłącznie w nogach, ożywiali się tylko w karnawale, a drętwieli zupełnie, przynajmniej pod względem umysłowym, na post. Bukacki kochał ich i cieszył się nimi. Był baron Kot, który zasłyszawszy coś od kogoś o jakimś starożytnym Kocie z Dębna dodawał zawsze, gdy go przedstawiano: „z Dębna”, a który na wszystko, co do niego mówiono, odpowiadał stale: *Quelle drôle d'histoire!* Maszko był z nimi wszystkimi na: „ty”, chociaż traktował ich z pewnym rodzajem lekceważenia, również jak i Kopowskiego, młodzieńca o przepysnej, idealnej głowie i tak samo przepysznych, jak bezmyślnych oczach. Kategorię rozumniejszych przyjaciół Maszki przedstawiali Połaniecki i Kresowski. Pani Krasławska zaprosiła również kilkanaście dam z córkami, koło których kręcili się z niedbałością i flegmą Wyże, a których

panieńskie serduszka były za zbliżeniem się Kopowskiego, mniej zważając na jego duchowe podobieństwo z Hamletem, polegające na tym, że jeśli nie on, to mózg jego mógłby się zmieścić „w skorupie od orzecha”. Kilka poważnych łysin stanowiło dopełnienie salonu.

Panna Krasławska, ubrana biało, mimo zaczerwienionych oczu wyglądała nader powabnie. Był w niej istotnie jakiś kobiecy urok polegający na dziwnym, prawie sennym spokoju. Przypominała nieco postaci Perugina. Chwilami ożywiała się jak alabastrowa lampka, w której nagle rozbłyśnie światło – po chwili znów gasła, ale gasła nie bez wdzięku. Tego wieczora, przybrana w lekką białą suknię, wydawała się ładniejszą niż zwykle. Połaniecki patrząc na nią myślał, że może mieć dość oschłe serce i dość oschlą głowę, ale może być przyzwoitą żoną, zwłaszcza dla Maszki, który w gruncie rzeczy, nad wszystko cenił przyzwoitość światową. Pożycie ich zapowiadało się jak chłodny i blade dzień, w którym słońce nie dopieka, ale też i burza nie grozi. Teraz oto siedzieli w końcu salonu, nie za blisko, ale też nie za daleko od reszty towarzystwa; zajmowali się sobą nie więcej i nie mniej, niż wypadało; w jego obejściu się z nią widać było tyle uczucia, ile było trzeba, ale przede wszystkim chęć, żeby się wydać narzeczonym correct – ona zaś odpłacała mu tą samą monetą. Uśmiechali się do siebie przyjaźnie; on mówił więcej od niej, jako przyszły przewodnik i głowa domu, czasem patrzyli sobie w oczy, słowem, tworzyli najbardziej poprawną i najbardziej wzorową parę narzeczonych, jak sobie można było w znaczeniu światowym wyobrazić. „Ja bym nie wytrzymał” – mówił sobie Połaniecki. I nagle przypomniał sobie, że podczas gdy ona tu sobie siedzi, konwencjonalnie uśmiechnięta, spokojna, biała, ten ów doktorzyna, który nie mógł „duszy od niej odedrzeć” – próchnieje gdzieś, między zwrotnikami, równie spokojnie pod ziemią, zapomniany, tak jakby nigdy nie istniał. I porwała go złość. Odczuł nie tylko pogardę dla serca panny Krasławskiej, ale ten jej spokój wydał mu się czymś w złym smaku, jakąś duchową martwością, która niegdyś była w modzie i na którą wówczas, widząc w niej coś demonicznego, piorunowali poeci, ale która z czasem spospoliciła i stała się równą moralnej nicości i głupocie. „To przede wszystkim jest gęś, a w dodatku gęś bez serca” – pomyślał Połaniecki. I w tej chwili niepokój Maszki z powodu szlachetnego zachowywania się tych pań stał mu się zrozumiałym do tego stopnia, że Maszko urósł w jego opinii jako człowiek przenikliwy i sprytny.

Potem zaczął porównywać własną narzeczoną z panną Krasławską i z wielkim wewnętrznym zadowoleniem powiedział sobie: „Maryśka to zgoła inny gatunek.” Czuł, że wypoczywa duchowo, patrząc na nią. O ile tamta była jakby sztuczną rośliną wyhodowaną nie w szerokich zdrowych powiewach, ale pod szkłem, o tyle od tej było życie i ciepło, a pomimo tego porównanie wypadało na korzyść Maryni nawet pod względem światowym. Połaniecki nie lekcewał zupełnie tak zwanej „dystynkcji”, rozumiejąc, że jeśli nie zawsze, to często odpowiada ona pewnemu duchowemu wykończeniu, zwłaszcza u kobiet. Owóż patrząc teraz to na jedną, to na drugą, doszedł do przekonania, że owo wykończenie, które u panny Krasławskiej jest czymś nabytym i krępującym, u Maryni czymś wrodzonym. W tamtej było to narzuconą zewnętrzną suknią, w tej duszą i jakby naturalną cechą gatunku, uszlachetnionego przez długie wieki kultury. Biorąc z poglądów Bukackiego tyle, ile mu było potrzeba, to jest, ile w nich było trafnego, Połaniecki przypomniał sobie, co tenże nieraz powtarzał, że kobiety, bez względu na pochodzenie, dzielą się na patrycjuszki, mające kulturę, zasady i duchowe potrzeby wprowadzone w krew, i na parwienuszki, które ubierają się w nie, jak w mantyłki, tylko do gości. Obecnie spoglądając na szlachetny profil Maryni, Połaniecki myślał z chępliwością małomieszczanina żeniącego się z księżniczką, że bierze patrycjuszkę w całym znaczeniu tego wyrazu.

I do tego patrycjuszkę bardzo ładną. Nieraz kobietom potrzeba tylko trochę pola i trochę szczęścia, by zakwitnąć. Marynia, która Połanieckiemu, w chwili gdy wrócił z pogrzebu Litki, wydała się prawie brzydką, teraz dziwiła go czasami swoją urodą. Panna Krasławska wyglądała przy niej jak spłowieła suknia przy nowej, i gdyby fortuna panny Pławickiej była

na wysokości jej urody, uchodziłaby niewątpliwie za piękność. I tak Wyże, nakładając binokle na swoje końskie nosy, spoglądali na nią z pewnym podziwem, zaś baron Kot z Dębna oświadczył poufnie, iż prawdziwe szczęście, że już naręczona, bo gdyby tak nie było, to kto wie, czyby nie „wdepnął”.

Połaniecki też mógł zauważyć tego wieczora jeden rys swego charakteru, którego się nie domyślał. Oto był zazdrosny. Ponieważ był jednocześnie przekonany, że Marynia jest kobietą zupełnie pewną, której można ślepo zaufać, przeto zazdrość ta była prostą niekonsekwencją. W swoim czasie zazdrosny był o Maszkę, i to rozumiało się samo przez się; ale teraz sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego na przykład taki Kopowski, ze swoją głową archanioła, a ptasim mózgiem, może go drażnić dlatego tylko, że siedzi koło Maryni i zadaje jej zapewne mniej lub więcej nedorzeczne pytania, na które ona mniej lub więcej uprzejmie odpowiada. Początkowo począł sam sobie robić wyrzuty: „Trudno jednak wymagać od niej, żeby mu pokazała język!” Później wszelako osądził, że Marynia zanadto często zwraca się ku Kopowskiemu, że patrzy na niego zbyt ciekawie i odpowiada mu zbyt uprzejmie. Przy kolacji, siedząc koło niej, był zły i milczący, a gdy go spytała o powód, odpowiedział najnidorzeczniej:

– Nie chcę psuć wrażenia, jakie sprawił pan Kopowski.

A jej podobało się to, że był o nią zazdrosny, więc ścisnąwszy kąciki ust dla stłumienia uśmiechu i spoglądając na niego uważnie, rzekła:

– Czy pan także sądzi, że w panu Kopowskim jest coś nadzwyczajnego?

– Owszem, owszem! On nawet, jak idzie ulicą, to zdaje się, że niesie głowę na świeże powietrze z obawy, żeby mu jej mole nie zjadły.

Kąciki ust Maryni wytrzymały próbę, ale oczy śmiały się widocznie; wreszcie nie mogąc wytrzymać rzekła cicho:

– Szkaradny zazdrośnik.

– Ja? Bynajmniej!

– No, to powiem panu wyjątek z naszej rozmowy. Pan wie, że wczoraj był na estradzie w czasie koncertu wypadek katalepsji. Dziś mówiono o tym koło nas, więc tak, między innymi, spytałam pana Kopowskiego: czy widział kataleptyka? Wie pan, co mi odpowiedział? Że każdy może mieć inne przekonania. A co? czy nie nadzwyczajny człowiek?

Połaniecka udobruchał się i począł się śmiać.

– Ale ja pani powiadam, że on wprost nie rozumie, co się do niego mówi, i odpowiada byle co.

I resztę wieczoru spędzili już przy sobie, w dobrej zgodzie. W chwili rozstania, gdy Pławiccy, mając tylko podwójną karetkę, nie mogli zabrać Połanieckiego, Marynia pochyliła się ku niemu i spytała:

– Czy brzydki grymaśnik przyjdzie jutro na obiad?

– Przyjdzie, bo kocha – odpowiedział Połaniecki otulając jej nogi futrem.

Ona zaś odszepnęła mu do ucha jakby wielką nowinę:

– I ja także.

A jakkolwiek on, w chwili gdy to mówił, był zupełnie szczery, ona jednak mówiła większą prawdę.

Maszko odprowadzał Połanieckiego do domu. Po drodze rozmawiali o dzisiejszym wieczorze. Maszko opowiadał, że przed przybyciem gości próbował mówić z panią Krasławską o interesach, ale mu się nie powiodło.

– Była chwila – rzekł – że chciałem postawić kwestię jasno, ubrawszy ją oczywiście w możliwie delikatne formy. Ale bałem się. Ostatecznie, dlaczego ja wątpię o posagu mojej narzeczonej? Tylko dlatego, że te panie obchodzą się ze mną przyzwoiciej, niżem się spodziewał. Jako humor, to jest bardzo dobre, ale boję się za daleko posuwać, bo nuż moje

obawy okażą się płonne, nuż one mają rzeczywiście pieniądze – i oburzą się, gdy moja ciekawość okaże się zbyt interesowną. Trzeba się i z tym liczyć, bo mogę się rozbić u portu.

– Więc dobrze – odpowiedział – Połaniecki – dajmy na to, i to zresztą jest prawdopodobnie, że mają; ale gdyby się pokazało, że nie – co zrobisz wówczas? Czy masz gotowy plan? Zerwiesz z panną Krasławską czy się z nią ożenisz?

– Nie zerwę w żadnym razie, bo nic na tym nie zyskam. Jeśli moje małżeństwo nie przyjdzie do skutku, zbankrutuję i tak. Ale powiem wówczas jasno, jakie jest moje położenie finansowe, i przypuszczam, że panna Krasławska ze mną zerwie.

– Jeśli zaś nie?

– Zakocham się w niej i zacznę układać się z wierzycielami. Przestaną, jak mówisz, „udawać” – i będę się starał zarobić na chleb dla nas obojga. Jestem niezłym adwokatem. O tym wiesz.

– To jest dość przyzwoite – odpowiedział Połaniecki – ale mnie to nie uspokaja co do Pławickich i co do mnie.

– Wy jesteście w lepszym położeniu od innych, bo siedzicie na Krzemieniu. W danym razie ty weźmiesz wszystko w swoje twarde łapy i coś tam wyciśniesz. Gorzej z tymi, którzy mi wierzyli na słowo, i powiem ci w oczy, że mi więcej o nich chodzi. Miałem, a nawet mam, ogromne zaufanie... To dziś moja bolączka. Ale jeśli mi dadzą czas, to jakoś wyłatam... Gdybym zaś miał trochę szczęścia w domu, a w nim sprzężnę do roboty...

Tu doszli do mieszkania Połanieckiego, więc Maszko nie dokończył myśli. W chwili jednak gdy się mieli pożegnać, rzekł nagle:

– Słuchaj. Ty mnie masz trochę za szuje, a ja mniej nią jestem, niż myślisz. U d a w a ł e m – jak powiadasz – prawda! musiałem się wykręcać jak piskorz i w tych wykrętach schodziłem czasem z bitej drogi... Ale się zmęczyłem, i powiem ci otwarcie, że chce mi się trochę szczęścia, bom go nie miał. Dlatego chciałem się zenić z twoją dzisiejszą narzeczoną, choć jest niemajątna. A co do panny Krasławskiej, czy ty wiesz, że są czasem chwile, w których wolałbym, żeby się okazało, że nic nie ma, ale żeby w zamian nie opuściła mnie, gdy się dowie, że i ja nic nie mam. To ci szczerze mówię... A teraz: dobranoc!

„No! – mówił sobie Połaniecki – to coś w Maszce nowego.”

I wszedł do bramy. Stanąwszy u drzwi usłyszał ze zdziwieniem w swoim mieszkaniu fortepian. Służący powiedział mu, że to Bigiel czeka na niego od dwóch godzin.

Połaniecki zaniepokoił się, ale pomyślał, że gdyby powodem bytności Bigiela było coś niepomysłnego, to by nie wygrywał na fortepianie. Jakoż okazało się, że Bigielowi potrzeba było pilno tylko podpisu Połanieckiego do sprawy, która musiała być załatwiona nazajutrz rano.

– Mogłeś mi zostawić papiery i iść spać – rzekł Połaniecki.

– Ja też wyspałem się u ciebie na sofie, a potem siadłem do fortepianu. Niegdyś grałem tak dobrze jak i na wiolonczeli, ale teraz już palce ciężkie. Twoja Marynia podobno gra: to taka miła rzecz w domu!

A Połaniecki począł się śmiać swoim szczerem, zyczliwym śmiechem.

– Moja Marynia? Moja Marynia posiada talent ewangeliczny: „nie wie lewica, co robi prawica”. Biedactwo kochane! Nie ma też żadnej pretensji i grywa tylko wówczas, kiedy ją o to proszą.

Na to rzekł Bigiel:

– Niby się to wyśmiewasz, ale tak się wyśmiewają tylko zakochani.

– Bo też jestem zakochany najzupełniej. Przynajmniej teraz tak mi się wydaje, a w ogóle muszę powiedzieć, że mi się to wydaje coraz częściej. Chcesz, Bigiel, herbaty?

– Dobrze. Wracasz od pana Krasławskiej?

– Tak.

– Cóż Maszko? Dobija do brzegu.

– Przed chwilą się z nim rozstałem. Odprowadzał mnie do bramy. Jednakże on mówi czasem takie rzeczy, których by się po nim nie spodziewał.

I Połaniecki rad, że ma z kim pogawędzić, i czując potrzebę poufnej rozmowy począł opowiadać, co słyszał od Maszki i jak dalece zdziwił się znalazłszy romantyka pod skórą człowieka tego rodzaju.

– Maszko nie jest szuja – rzekł Bigiel. – On jest tylko na drodze do rozmaitych zbroczeń, a powodem tego jest jego próżność i cześć dla pozorów. Ale z drugiej strony, ta cześć dla pozorów chroni go od ostatecznego upadku. Co zaś do romantyka, którego w nim odkryłeś...

Tu Bigiel obciął koniec cygara, zapalił je z wielką uwagą, marszcząc przy tym brwi, i siadłszy wygodnie, mówił dalej:

– Bukacki powiedziałby na ten temat z dziesięć ironicznych paradoksów o naszym społeczeństwie... To mi utkwiło w głowie, coś mi mówił, jak on napadał na nas za to, że tu się zawsze coś albo kogoś kocha. Jemu się zdaje, że to głupie i do niczego, a ja w tym widzę wielki przymiot. Trzeba czymś na świecie stać, a co my mamy? Pieniądzy nie mamy, rozumu o tyle o ile, daru orientowania się w położeniu niewiele, gospodarności – mało; my naprawdę mamy to jeszcze, że tu się prawie mimo woli, przez, jakiś ogólny nastrój, coś albo kogoś kocha, a jeśli się nawet nie kocha, to się czuje tego potrzebę. Ty wiesz, że ja jestem rozsądny człowiek i kupiec, więc mówię trzeźwo. Ja się nad tym zastanawiałem z powodu Bukackiego... Taki Maszko, na przykład, gdzie indziej byłby szelmą spod ciemnej gwiazdy. I takich znam wielu. Tu jednak nawet pod szują możesz się doskrobać człowieka – i to jest prosta rzecz! Bo ostatecznie, póki się w brzuchu, ma jeszcze jakąś iskrę, poty się nie jest zupełnym bydlęciem – a tu się ją ma, właśnie dlatego, że się coś kocha.

– Przypominasz mi Waskowskiego. To, co mówisz, to niedalekie od jego poglądów na misję najmłodszych z Ariów.

– Co mi tam Waskowski! Mówię to, co myślę. Wiem jedno: odejmij nam to – a rozlecimy się jak beczka bez obręczy.

– Więc słuchaj, co ci powiem. Jest to rzecz we mnie dość dawno rozstrzygnięta. Kochać lub nie kochać kogoś – to kwestia osobista, ale rozumiem, że coś trzeba w życiu kochać. I ja także zastanawiałem się nad tym. Po śmierci tego oto dziecka czułem, że pewne strony we mnie lichy wzięło – czasem czuję to jeszcze. Dziś nie, ale miewam chwile – jakby ci powiedzieć: odpływu, wyczerpania, zwątpień – i jeśli się pomimo tego żenię, to dlatego iż rozumiem, że trzeba dać życiowy i silny podkład pod ogólniejszą miłość...

– Dlatego i nie dlatego – odpowiedział nieubłagany w swym rozsądku Bigiel – bo ty się żenisz wcale nie z, powodów czysto rozumowych. Bierzesz ładną i poczciwą dziewczynę, do której cię ciągnie, i nie wmawiaj w siebie, że jest inaczej, bo i ty zaczniesz udawać... To, mój kochany, te wątpliwości przed ożenieniem się ma każdy. Ja, jak mnie widzisz – nie żaden filozof, a dziesięć razy na dzień pytałem siebie przed ślubem: czy ja dość kocham moją przyszlą? czy tak jak potrzeba? czy nie za mało duszą, a nie za wiele zmysłami? Bóg wie co! Potem ożeniłem się, wziąłem dobrą kobietę, i jest nam dobrze. Wam również będzie dobrze, byleście po prostu rzeczy brali, bo to ciągle zachodzenie w głowę i rozpatrywanie jakichś tajników serca – to dalibóg głupstwo.

– Może i głupstwo – odpowiedział Połaniecki. —

Ja też nie mam zamiłowania do leżenia do góry brzuchem i analizowania się od rana do wieczora, ale nie mogę nie widzieć faktów.

– Jakich faktów?

– Takich, jak na przykład, że moje uczucie nie jest tym, czym było na początku. Myślę, że tym będzie, przyznając, że do tego idzie. Żenię się mimo tych spostrzeżeń, tak jakby one nie istniały, ale je robię.

– To wolno.

– I widzisz, co jeszcze prócz tego myślę: że trzeba jednak, by okna domu wychodziły na słońce, inaczej będzie w mieszkaniu zimno.

– Toś dobrze powiedział – odrzekł Bigiel.

X

Tymczasem zima poczęła się przełamywać, nadchodził koniec postu, a tym samym zbliżał się termin ślubu tak Połanieckiego, jak Maszki. Bukacki, zaproszony na drużbę, odpisał mu między innymi, co następuje: „Wytrącać wszechsiłę twórczą ze stanu ogólnego, to jest ze staniu doskonałego spoczynku, i zmuszać ją za pomocą zawieranych na ziemi małżeństw do wcielania się w mniej więcej wrzaskliwe szczegóły, wymagające kołysek i zabawiające się trzymaniem wielkiego palca od nogi w ustach, jest zbrodnią. Przyjadę jednak, ponieważ piece są u was lepsze niż tu.” Jakoż na tydzień przed świętami przyjechał i przywiózł w darze Połanieckiemu misternie ozdobną pergaminową kartę, w rodzaju klepsydry pogrzebowej, na której był napis:

„Stanisław Połaniecki, po długim i ciężkim kawalerstwie etc.”

Połaniecki, któremu karta się podobała, poniósł ją nazajutrz koło południa Maryni. Zapomniał jednak, że to niedziela, i ułożywszy sobie z góry miłe spędzenie czasu do obiadu, doznał jakby rozczarowania, zastawszy Marynię w kapeluszu.

– Pani wychodzi? – spytał.

– Tak. Do kościoła. Dziś niedziela.

– A, niedziela!... Prawda! A ja myślałem, że sobie posiedzimy razem. Tak by było przyjemnie.

A ona podniosła na niego swoje pogodne niebieskie oczy i rzekła z prostotą:

– A służba boża?

Połaniecki na razie przyjął te słowa tak, jakby był przyjął każde inne, nie przewidując, że w duchowym procesie, jaki mu później przyszło przechodzić, odegrają one, właśnie z powodu swej prostoty, pewną rolę. Tymczasem odrzekł, jakby powtarzając je mechanicznie:

– Mówi pani: „służba boża”. Owszem! Ja mam czas, pójdziemy razem.

Marynia przyjęła to oświadczenie z wielkim zadowoleniem. Po drodze rzekła:

– Ja, to im jestem szczęśliwsza, tym bardziej Pana Boga kocham.

– To także znak dobrej natury; inni tylko myślą o Bogu, jak bieda.

I w kościele przyszło mu znów na myśl to, o czym myślał w czasie pierwszej swej bytności w Krzemieniu, gdy razem ze starym Pławickim byli na nabożeństwie w Wątorach: „Wszystkie filozofie i systemy lichy bierze, jeden po drugim, a msza po starym się odprawia.” Zdawało mu się, że jednak jest w tym coś niepojętego. On, który z powodu Litki zetknął się ze śmiercią w sposób tak bolesny, wracał ustawicznie do tych ciemnych zagadnień, ilekroć zdarzyło mu się być czy na cmentarzu, czy w kościele na mszy, czy w jakichkolwiek okolicznościach, w których odbywało się coś, nie mającego związku z bieżącymi realnymi potrzebami życia, ale obliczonego na pozagrobową przyszłość. Uderzyło go, jak jednak w życiu wiele się robi dla tej przyszłości i jak, mimo wszelkich filozofowań, zwątpień, żyje się tak, jakby ona była zupełnie niewątpliwą, ile się dla niej poświęca z osobistych małych egoizmów, ile się spełnia filantropijnych czynów, jak się wznosi ochrony, szpitale, przytułki, kościoły, a wszystko na ten rachunek płatny dopiero poza grobem.

Jeszcze bardziej uderzyła go myśl, że naprawdę, żeby się pogodzić z życiem, trzeba napróżd pogodzić się ze śmiercią, a bez wiary w coś zagrobowego jest to wprost niemożliwe. Natomiast, gdy się ją ma, kwestia upada, jakby jej nie było. „Niech diabli wezmą żałobę – włóżmy sobole!” Bo jeśli tak, to czegoż można chcieć więcej? Ma się przed sobą tylko widok

jakiegoś nowego istnienia, w najgorszym razie ogromnie ciekawego – i ta pewność równa się spokojowi i ciszy. Przykład tego miał teraz Połaniecki w Maryni. Z powodu nieco krótkiego wzroku trzymała głowę schyloną nad książką, ale gdy chwilami podnosiła ją, Połaniecki widział twarz talk pogodną, tak pełną roślinnego niemal spokoju i tak ukojoną, że po prostu anielską. „To jest szczęśliwa kobieta i będzie zawsze szczęśliwa! – mówił sobie. – I w dodatku ma rozum, bo gdyby po stronie przeciwnej była przynajmniej pewność – byłaby zarazem i ta pociecha, jaką daje prawda – ale mordować się dla rozmaitych znaków zapytania – to czyste głupstwo.”

Po drodze do domu Połaniecki myśląc ciągle o tym wyrazie Maryni rzekł:

– W kościele wyglądała pani jak jakiś profil Fra Angelica. Miała pani twarz istoty zupełnie szczęśliwej.

– Bo też ja teraz jestem szczęśliwa. A wie pan dlaczego? Oto dlatego, że jestem lepsza, niż byłam. Miałam wówczas w sercu urazę i niechęć, nie miałam przed sobą żadnej nadziei i wszystko to razem złożyło się na taką gorycz, że strach! Powiadają, że nieszczęście uszlachetnia wybrane dusze, ale ja nie jestem wybraną duszą. Zresztą, może nieszczęście uszlachetnia, ale gorycz, ale uraza, ale niechęć – psuje... To jak trucizna.

– Bardzo mnie pani wówczas nienawidziła?

Marynia spojrzała na niego i odrzekła:

– Tak nienawidziłam, że po całych dniach myślałam tylko o panu.

– Maszko ma spryt – odpowiedział Połaniecki – on niegdyś określił mi to tak: „Wolała cię nienawidzić niż mnie kochać.”

– Oj, że wolałam, to wolałam!

Tak rozmawiając doszli do domu. Połaniecki miał wtedy czas rozwinąć swoją pergaminową klepsydrę i pokazać ją Maryni. Ale jej koncept ten się nie podobał. Brała ona małżeństwo nie tylko od strony serca, ale i od strony religii. „Z takich rzeczy się nie żartuje” – rzekła – i po chwili przyznała się Połanieckiemu, że czuje urazę do Bukackiego.

Po obiedzie nadszedł Bukacki. Przez te kilka miesięcy pobytu we Włoszech stał się jeszcze cieńszym, co było dowodem przeciw skuteczności Chianti na katar żołądka. Nos jego przypominał subtelnością ostrze noża, a humorystyczna, ironicznie uśmiechnięta twarzyczka uczyniła się jakby porcelanową i nie większą od pięści dorosłego mężczyzny. Był on krewnym i Połanieckiego, i Maryni, i dlatego mówił przy nich, co mu się podobało. Od progu niemal oświadczył im, że wobec coraz częstszych obecnie na świecie zbrodni umysłowych, może tylko ubolewać, ale nie dziwi się, iż się zaręczyli. Przyjechał wprawdzie w nadziei, że potrafi ich jeszcze uratować, ale widzi teraz, że się spóźnił i że nie pozostaje mu nic innego, tylko rezygnacja. Marynia, słysząc to, poczęła się oburzać, ale Połaniecki, który go lubił, rzekł:

– Zachowaj koncepta na mowę weselną, którą musisz powiedzieć, a teraz powiedz nam tylko: jak się ma nasze profesorzysko?

Na to Bukacki odpowiedział poważnie:

– Dostał pomieszania zmysłów.

– Niech pan nie żartuje w ten sposób – rzekła Marynia.

A Połaniecki dodał:

– I tak marnie.

Lecz Bukacki ciągnął z równą powagą:

– Profesor Waskowski ma pomieszanie zmysłów, a oto są moje dowody: po pierwsze, chodzi po Rzymie bez kapelusza, a raczej chodził, bo obecnie jest w Perugii; po wtóre, napadł na młodą i przystojną Angielkę dowodząc jej, że Anglicy są tylko w prywatnym życiu chrześcijanami, ale że stosunek Anglii do Irlandii nie jest chrześcijański; po trzecie, drukuje broszurę, że misja ożywienia i odrodzenia dziejów duchem chrześcijańskim powierzona została najmłodszemu z Ariów. Pozwólcie, że to są dowody.

– Wiedzieliśmy to przed wyjazdem profesora, i jeśli nic więcej mu nie grozi, to mam nadzieję, że zobaczymy go w dobrym zdrowiu.

– On nie myśli o powrocie.

Lecz Połaniecki wydobyl notes, napisał kilka słów ołówkiem i podawszy Maryni rzekł:

– Niech pani przeczyta i powie, czy dobrze.

– Skoro przy mnie piszą, usuwam się – rzekł Bukacki.

– Nie, nie! to nie sekret!

A Marynia zaczerwieniła się jak wiśnia z radości i jakby nie chcąc oczom wierzyć, poczęła pytać:

– Czy to naprawdę? Nie?...

– To zależy od pani.

– Ach, panie Stachu!... Anim o tym marzyła. Muszę powiedzieć papie, muszę!

I wybiegła z pokoju.

– Gdybym był poetą, to bym się powiesił – rzekł Bukacki.

– Dlaczego?

– Bo jeśli parę słów, skreślonych ręką współnika Domu Bigiel i Spółka, może zrobić więcej wrażenia niż najpiękniejszy sonet, to lepiej jest być chłopcem młynarskim niż poetą.

Ale Marynia w uniesieniu radości zapomniała książeczki notatkowej, więc Połaniecki pokazał ją Bukackiemu mówiąc:

– Czytaj.

Bukacki przeczytał:

„Po ślubie Wenecja, Florencja, Rzym, Neapol – czy dobrze?”

– Więc to podróż do Włoch?

– Tak. Wyobraź sobie, że to biedactwo nie było nigdy w życiu za granicą, a Włochy wydawały się jej zawsze zaczarowanym krajem, o którego widzeniu ani marzyła. To wielka radość dla niej – a u licha, cóż dziwnego, że ja trochę myślę o jej przyjemnościach!

– Miłość i Włochy! O Boże, ileś ty już razy na to patrzył! Wszystko to stare jak świat.

– Nieprawda! Zakochaj się, a obaczysz, że znajdziesz w tym coś nowego.

– Mój kochany, nie o to idzie, że ja się jeszcze nie kocham, tylko o to, że się już nie kocham. Dawno wygrzebałem z piasku tego Sfinksa i nie jest już on dla mnie zagadką.

– Bukacki, ożeń się.

– Nie mogę. Mam za słaby wzrok i za słaby żołądek.

– Cóż to za przeszkoda?

– Bo widzisz, kobieta jest jak papierowa karta. Anioł pisze z jednej strony, diabeł z drugiej, papier przebija, słowa się mieszają i robi się bigosik, którego ja nie mógłbym ani przeczytać, ani strawić.

– Że też ty możesz całe życie żyć conceptami!

– Tak samo umrę jak i ty, który się żenisz. Nam się zdaje, że my myślimy o śmierci: ona o nas lepiej myśli.

Tymczasem Marynia wróciła z ojcem, który uściskał Połanieckiego i rzekł:

– Mówiła mi Marynia, że chcecie jechać do Włoch po ślubie.

– Jeśli moja przyszła pani się zgodzi.

– Przyszła pani nie tylko się zgadza – odpowiedziała Marynia – ale straciła głowę z radości i ma ochotę skakać po pokoju, jakby miała dziesięć lat.

Na to pan Pławicki rzekł:

– Jeśli krzyżyk samotnego starca może się wam przydać w daleką podróż, to was żegnam.

I wznosił oczy i rękę ku górze, ku niewymownej radości Bukackiego, lecz Marynia ściągnęła w dół wzniesioną rękę pana Pławickiego i pocałowała ją rzekła śmiejąc się:

– Papusiu, będzie czas, toż my się dopiero tam kiedyś po ślubie wybieramy.

– I właściwie mówiąc – dodał Bukacki – to kupuje się bilety, oddaje się na wagę rzeczy i jedzie się – nic więcej.

Na to pan Pławicki zwrócił się do młodego cynika i odpowiedział z pewnym namaszczeniem:

– Czy jużście do tego doszli, że błogosławieństwo samotnego starca i ojca uważacie za zbyteczne?

Lecz Bukacki, zamiast odpowiedzi, objął w pół pana Pławickiego, pocałował go w okolice kamizelki i rzekł:

– A czyby „samotny starzec” nie zagrał w pikietę, żeby tym dwom szalonym głowom dać się wygadać?

– Ale z rubikonem? – odpowiedział pan Pławicki.

– Ze wszystkim, czego pan chce.

To powiedziawszy zwrócił się do młodej pary:

– Najmijcie mnie za przewodnika po Włoszech.

– Ani myślę – odpowiedział Połaniecki. – Byłem tylko w Belgii i we Francji, Włoch nie znam, nie chcę widzieć to, co nas będzie interesowało, nie to, co ciebie. Widziałem takich jak ty i wiem, że wy przez prerafinowanie dochodzicie do tego, że nie kochacie sztuki, tylko własne znawstwo.

Tu Połaniecki mówił dalej do Maryni:

– Tak, oni do tego dochodzą. Tracą poczucie wielkiej i prostej sztuki, a szukają czegoś, co może zająć jeszcze ich przesynt – i dowieść znawstwa. Nie widzą drzewa, tylko wyszukują sęków. Nie obchodzą ich najwięksi, których my pojedziemy oglądać, tylko jacyś najmniejsi, o których nikt nie słyszał; wydobywają jakieś nazwiska spod ciemnej gwiazdy; zajmują się tą lub ową manierą, wmawiają w siebie i w drugich, że rzeczy gorsze, bardziej niedołążne, są ciekawsze od lepszych i doskonalszych. My za jego przewodem moglibyśmy nie zobaczyć całych kościołów, a widzielibyśmy rozmaite rzeczy, które przez lupę trzeba oglądać. Mówię pani, że wszystko to przesynt, nadużycie i prerafinowanie – a my sobie prości ludzie.

Marynia patrzyła na niego z dumą, jakby chciała powiedzieć: „O to, to się nazywa mówić!” Duma zaś jej wzrosła jeszcze, gdy Bukacki rzekł:

– Masz wszelką słuszność.

Lecz oburzyła się, gdy po chwili dodał:

– A po wtóre, gdybyś jej nie miał, przed tym oto trybunałem nie wygrałbym, sprawy.

– Przepraszam, ja wcale nie jestem zaślepiona.

– A ja wcale nie jestem znawcą sztuki.

– Owszem, pan jest.

– Jeśli jestem, tedy oświadczam, że znawstwo obejmuje tylko więcej szczegółów, wcale zaś nie przeszkadza kochaniu wielkiej sztuki, i niech pani wierzy nie Połanieckiemu, ale mnie.

– Nie! Wolę wierzyć panu Połanieckiemu.

– Co było do przewidzenia – odpowiedział Bukacki. Marynia poczęła spoglądać to na jednego, to na drugiego z trochę zakłopotaną miną, ale tymczasem pan Pławicki nadszedł z kartami. Narzeczeni chodzili pod rękę po pokojach, Bukacki, zaś wkrótce począł się nudzić i nudził się coraz bardziej. W końcu wieczora humor, który go ożywiał, zgasł, mała twarzyczka stała się jeszcze mniejszą, nos jeszcze ostrzejszym i wyglądał jak zwiędły liść. Wieczorem, gdy wyszli razem z Połanieckim, ten spytał:

– Coś ci zbrakło animuszu?

– Bo ja jestem jak maszyna – odrzekł Bukacki – póki mam w sobie paliwo, póty jadę, ale jak wieczorem ranny zapas się wyczerpie, to staję.

A Połaniecki spojrział na niego uważnie:

– Czymże ty w sobie palisz?

– Są rozmaite rodzaje węgla. Chodź do mnie, dam ci filiżankę dobrej kawy, to nas ożywi.
– Słuchaj, to jest delikatna rzecz, ale mnie ktoś mówił, że ty się od dawna morfinizujesz.
– Od bardzo niedawna – odrzekł Bukacki. – Żebyś ty wiedział, jakie to horyzonty otwiera.
– I zabija. Bójże ty się Boga!
– I zabija. Powiedz mi tak szczerze, czy tobie kiedy przyszło do głowy, że można mieć po prostu nostalgię śmierci?

– Nie – rzekł Połaniecki – ja rozumiem rzecz przeciwną.

Na chwilę umilkli.

– Ale ja ci nie dam ani morfiny, ani opium – rzekł wreszcie Bukacki – tylko dobrej kawy i butelkę uczciwego Bordeaux. Będzie to niewinna orgia.

Po niejakiem czasie doszli do mieszkania Bukackiego. Było to mieszkanie prawdziwie zamożnego człowieka, trącające nieco pustką, ale pełne drobiazgów mających związek ze sztuką, obrazów i rycin. Lampy paliły się w kilku pokojach, bo Bukacki nie znosił ciemności nawet podczas snu.

Bordeaux znalazło się w pogotowiu, a pod maszynką od kawy zapłonął po chwili błękitny płomyk. Bukacki wyciągnął się na sofie i rzekł nagle:

– Bo może ty jednej rzeczy nie przypuszczasz, że jak mnie widzisz takiego filigranowego, jak jestem, ja nic a nic nie boję się śmierci.

– To jedno czasem przypuszczałem – odpowiedział Połaniecki – że ty dowcipkujesz i dowcipkujesz, łudzisz sam siebie i drugich, a w gruncie rzeczy w tobie tego nie ma – i że to wszystko jest sztuczne.

– Głupota ludzka bawi mnie trochę.

– Ale ty, jeśli się masz za mądrego, jak mogłeś sobie tak marnie życie urządzić?

Tu Połaniecki obejrzał się na biblioty, obrazy i dodał:

– Bo w całym tym otoczeniu ty jednak marnie żyjesz.

– Dosyć marnie.

– Ty także należysz do tych, którzy udają! Co za choroba w tym społeczeństwie! Pozujesz i cała rzecz!

– Czasem. Ale zresztą to się zmienia w naturę.

Bukacki z wolna, pod wpływem Bordeaux, ożywił się i stawał się rozmowniejszym, jakkolwiek nie powracała mu wesołość.

– Widzisz – rzekł – jednej rzeczy nie udaję. Oto wszystko, co sam mogłem sobie powiedzieć lub co ktoś może mi powiedzieć, pomyślałem i powiedziałem sobie od dawna. Prowadzę najgłupsze i najbardziej czcze życie, jakie można prowadzić. Naokoło mnie jest ogromna nicość, której się boję i którą zarzucam takimi oto gratami, jakie widzisz w tym pokoju, żeby się mniej bać. Nie lękać się śmierci to co innego, bo się po śmierci nie czuje ani myśli. Wtedy ja będę stanowił także część nicości, ale czuć ją, żyjąc uświadamiać ją, zdawać sobie z niej sprawę, dalibóg, nie może być nic podlejszego. Przy tym stan mego zdrowia jest zły naprawdę i odejmuje mi wszelką energię. Nie mam w sobie paliwa, więc go sobie dodaję. Mniej w tym jest pozy i udawania, niż przypuszczasz. Że poddawszy sobie paliwa biorę życie ze strony humorystycznej, to naśladowuję w tym chorego, który leży na tym boku, na którym mu leżeć najdogodniej. Tak mi najdogodniej, a że pozycja jest sztuczna, zgadzam się; każda inna jednak byłaby dokuczliwsza. I oto przedmiot wyczerpany.

– Gdybyś ty się wziął do jakiej roboty.

– Dajże spokój. Naprzód, ja mnóstwo rzeczy wiem, a nic nie umiem; po wtóre, jestem chory; po trzecie, radźże paralitykowi, żeby dużo chodził, kiedy on nie włada nogami. Przedmiot wyczerpany! Napij się oto wina i mówmy o tobie. To dobra panna, panna Pławicka, i dobrze robisz, że się z nią żenisz. Co ja tam gadam sobie w dzień, to się nie liczy. To dobra panna i ona ciebie kocha...

Tu Bukacki, ożywiony i podniecony widocznie winem, począł pośpiesznie mówić:

– Bo co ja po dniu gadam, to się nie liczy. Teraz jest noc, pijemy wino i przychodzi szersza chwila. Chcesz jeszcze wina czy kawy? Lubię ten zapach: trzeba zawsze mieszać mokrą i Cejlon w równych częściach... Przychodzi teraz szersza chwila! Wiesz, co ja w gruncie rzeczy myślę. Nie mam dobrego pojęcia, ile szczęścia może dać sława, bom jej nie posiadał, a że świątynia w Efezie już spalona, więc nie ma przede mną widoków... Przypuszczam jednak, ot tak sobie, że tę ilość mogłaby zjeść mysz, i to nie tylko na czczo, ale po dobrym śniadaniu w spizarni... Wiem natomiast, co jest dostatek, bo go trochę mam; wiem, co są podróże, bom się włóczył; wiem, co swoboda, bom swobodny; wiem, co kobiety – oj, u diabła, aż nadto! – i wiem, co książki. Prócz tego, w tym pokoju mam trochę obrazów, trochę rycin i trochę porcelany... A teraz słuchaj, co ci powiem: wszystko to nic! wszystko marność! głupstwo! próchno! w porównaniu z jednym sercem, które kocha! Ot, rezultat moich spostrzeżeń – tyłkom ja doszedł do tego na końcu, co dla normalnych ludzi jest początkiem.

Tu począł gorączkowo mieszać łyżeczką w kawie, a Połaniecki, który był bardzo żywy, zerwał się i rzekł:

– A ty bestio jedna! A cóżeś to gadał przed kilku miesiącami, że pyrgasz do Włoch, bo tam ciebie nikt nie kocha ani ty nikogo nie kochasz. Pamiętasz, może się będziesz wypierał?

– A cóżem gadał dziś rano tobie i twojej narzeczonej? żeście powariowali? A teraz tobie mówię, że dobrze robisz! Cóż ty chcesz ode mnie logiki! Gadać, a mówić to dwie rzeczy różne. A teraz jestem szerszy, bom wypił dwie butelki wina.

Lecz Połaniecki począł chodzić po pokoju i powtarzać:

– No, dalibóg! to coś bajecznego. Ot, jaki jest grunt rzeczy i co oni wszyscy mówią, gdy się ich przyciśnie.

Bukacki nalał trochę drżącą ręką drugą filiżankę kawy i mówił dalej:

– Kochać – to już dobrze, ale jest jeszcze coś lepszego – to być kochanym. Nad to już nie ma nic! Co do mnie, oddałbym te wszystkie... Ale o mnie nie warto mówić. Życie jest to lichy i bez talentu napisana komedia – nawet to, co ogromnie boli, bywa czasem jak lichy melodramat; ale jeśli w życiu jest coś dobrego, to tylko być kochanym. Wyobraź sobie, że tego nie zaznał – a tyś to znalazł, nie szukając...

– Tego nie mów, bo nie wiesz, jak mi to przyszło.

– Wiem. Mówił mi Waskowski... To zresztą wszystko jedno. Rzecz w tym, żebyś to umiał cenić.

– A czegoż ty chcesz? Rozumiem także, że mnie trochę kochają, więc żenię się i koniec.

Na to Bukacki położył mu rękę na ramieniu.

– Nie, Połaniecki. Ja jestem głupcem względem siebie samego, ale niezłym obserwatorem tego, co się koło mnie dzieje. To nie koniec – to początek... Większość mężczyzn mówi tak jak ty: „Żenię się – i koniec!” – i większość się myli.

– Tej filozofii ja nie rozumiem.

– A to widzisz, o to chodzi: nie dość kobietę wziąć – trzeba jej się także dać – i trzeba, żeby to czuła. Rozumiesz?

– Nie bardzo.

– No, to udajesz naiwnego: trzeba, żeby się czuła nie tylko własnością, ale i właścicielką. Dusza za duszę! – inaczej można kark skrócić. Małżeństwa bywają dobre albo złe. Maszki będzie złe dla dwudziestu powodów, a między innymi i dla tego, o którym chcę mówić.

– On jest innego zdania. Ale dalibóg szkoda, żeś ty się nie ożenił, skoro tak dobrze rozumiesz, jak powinno być.

– Gdyby rozumieć i działać zgodnie z rozumem znaczyło toż samo, nie byłoby rozmaitych – przerwanych – upadków, od których nas wszystkich kości boją. Zresztą wyobraź sobie mnie żeniącego się!

Tu Bukacki począł się śmiać swoim cienkim głosikiem. Wróciła mu nagle wesołość, a z nią i widzenie rzeczy ze strony komicznej.

– Ty będziesz śmieszny, a cóż dopiero ja... Boki zrywać, co to za chwila! Obaczysz za dwa tygodnie... Na przykład, jak się będziesz ubierał do kościoła. Tu miłość, bicie serca, poważne myśli, nowa epoka... w życiu; tam ogrodnik z bukietami, frak, zgubione spinki, zawiązywanie krawata, wciąganie lakierków – wszystko razem, jeden chaos, jeden bigos... Ratujcież mnie, anieli niebiescy! Lituję się nad tobą, mój kochany – i proszę, byś nie brał na serio tego, com mówił. Zdaje się, że to nów, a ja na nowiu miewam manię mówienia sentymentalnych komunałów. Wszystko głupstwo!... To nów – nic więcej! Byłem tkliwym jak owca, która straciła pierworodne – i niech mnie kaszel porwie, jeśli nie mówił komunałów.

Lecz Połaniecki, napadł na niego:

– Widziałem mnóstwo rzeczy marnych, ale wiesz, co mi się wydaje najmarniejszym w tobie i w tobie podobnych? Oto, że wy, którzy wyzwalacie się ze wszystkiego, nie uznajecie nad sobą nic, boicie się jak ognia każdej uczciwej prawdy dlatego tylko, że ktoś kiedyś mógł fją już wypowiedzieć. Jakie to liche, to dalibóg słów brak! Co do ciebie, mój kochany, szerszy byłeś przed chwilą niż teraz... Teraz znów jesteś pudlem, który tańczy na dwóch nogach ale ja ci powiadam, że dziesięciu takich jak ty nie wytłumaczy mi, żem nie wygrał wielkiego losu na loterii.

I pożegnał Bukackiego z pewnym gniewem – w drodze jednak uspokoił się i powtarzał ustawicznie:

– Ot, gdzie prawda! Ot, co mówi taki Maszko i nawet taki Bukacki, gdy chce być szczerym – a ja wygrałem po prostu wielki los – i nie strwonię tego, com wygrał.

Po czym, wróciwszy do domu i spojrzawszy na fotografię Litki, rzekł głośno: „Moje kociątko kochane...” Aż do chwili zaśnięcia myślał następnie o Maryni ze słodyczą i zarazem ze spokojem człowieka, który czuje, że jakieś wielkie zadanie życiowe zostało stanowczo rozwiązane, i dobrze rozwiązane.

Bo jednak, mimo słów Bukackiego, był przekonany, że gdy się ożeni – to tym samym wszystko będzie rozstrzygnięte i skończone.

XI

„Katastrofa”, jak mówił Bukacki, wreszcie nadeszła. Połaniecki doświadczył też, że jeśli, jest w życiu wiele takich dni, w których człowiek nie może połapać własnych myśli, do takich należy przede wszystkim dzień ślubu. Chwilami kilkanaście na raz kręciło się w jego mózgu, tak niewyraźnych, że podobnych raczej do nieuświadomionych dokładnie wrażeń niż do myśli. Czuł więc, że w życiu jego zaczyna się nowa epoka, że bierze na siebie wielkie obowiązki, które spełnić trzeba sumiennie i poważnie, a jednocześnie, ale to zupełnie jednocześnie, dziwił się, że karetą dotąd nie zajeżdża, i zdziwienie swoje wyrażał w kształcie groźby: „Niech mi się szelmy spóźnią, to im karki pokręcę.” Opanowywał go chwilami nastrój uroczysty i jakby uczciwa bojaźń przed tą przyszłością, za którą brał na siebie odpowiedzialność – czuł w sobie pewną podniosłość i w tym uczuciu podniosłości poczynał mydlić brodę i namyślał się, czy na dzień tak wyjątkowy nie warto by wyjątkowo sprowadzić fryzjera do swej nieco niesfornej czupryny. Marynia podstawiła się współcześnie we wszystkie jego wrażenia. Widział ją tak, jakby była przed nim. Myślał, że się w tej chwili także ubiera, że stoi w swoim pokoju przed lustrem, że mówi ze służącą, a dusza jej leci ku niemu i serce bije niespokojnie. Wówczas chwytало go rozczulenie i monologom wał: „Tylko ty się tam nie bój, moje pocziwe stworzenie, bo, dalibóg, ja ci krzywdy nie zrobię” – i Widział się w przyszłości dobrym, wyrozumiałym, tak że z pewnym wzruszeniem począł spoglądać na lakierki, stojące obok fotelu, na którym leżało ślubne ubranie. Powtarzał sobie

także od czasu do czasu: „Kiedy się żenić, to się żenić!” Mówił sobie, że był głupi, wahając się, bo takiej drugiej Maryni nie ma na świecie; czuł, że ją kocha, a zarazem myślał, że pogoda jest niezła, ale że może i deszcz upaść, że w kościele wizytkowskim może być chłodno, że za godzinę będzie klęczał przy Maryni, że bezpieczniej jest wziąć biały krawat wiązany niż przypinany; że jednak ślub jest chyba najważniejszym w życiu obrządkiem, że jest w tym chyba coś świętego i że nie trzeba, u licha, głowy tracić w żadnych okolicznościach, bo za godzinę to się skończy, nazajutrz wyjadą, a potem zaczną się normalne i spokojne życie męża z żoną.

Te myśli jednak rozlatywały się chwilami jak stado wróbli, w które ktoś nagle zza płotu strzelił – i w głowie Połanieckiego robiła się próżnia. Mechanicznie wówczas przychodziły mu na usta tego rodzaju frazesy, jak na przykład: „Ósmy kwietnia, jutro środa! Jutro środa! mój zegarek! jutro środa!” Później budził się, powtarzał sobie: „Trzeba być idiotą!” – i rozproszone ptaki wracały znowu całym stadem do jego głowy i poczynały w niej wicherzyć.

Tymczasem nadjechał Abdulski, komisant Domu „Połaniecki, Bigiel i Spółka”, który, obok Bukackiego, miał być drugim druhną. Będąc z pochodzenia Tatarem i człowiekiem smagłym, chociaż przystojnym, wyglądał we fraku i białym krawacie tak pięknie, iż Połaniecki wyraził nadzieję, że zapewne także wkrótce się ożeni. Abdulski odpowiedział: „Chciałaby dusza do raj”, po czym rozpoczął pantominę mającą przedstawiać liczenie pieniędzy i począł mówić o Bigielach. Wszystkie dzieci chciały być na ślubie i na weselu, Bigielowie zaś postanowili wziąć tylko dwoje starszych, z czego powstały niesnaski i różnica zdań wypowiedzana ze strony pani Bigielowej za pomocą klapsów. Połaniecki, który był wielki dzieciarz, oburzył się tym nadzwyczajnie i rzekł:

- Ja Bigielom figla zrobię. Czy oni już pojechali?
- Zaraz mieli wyjeżdżać.

– To dobrze, to ja wpadnę do nich, po drodze do państwa Pławickich, zabiorę wszystkie dzieciśka i wysypię je przed panią Bigielową u mojej narzeczonej.

Abdulski wyraził przekonanie, że Połaniecki tego nie zrobi, ale tym bardziej utwierdził go tylko w zamiarze. Jakoż siadłszy do karety pojechali wprost po dzieci. Nauczycielka Bigielów, wiedząc jakie stosunki łączą Połanieckiego z domem, nie śmiała się sprzeciwiać, tak że w pół godziny później Połaniecki, ku wielkiemu przerażeniu pani Bigielowej, wszedł do państwa Pławickich na czele całego stadka Bigieląt ubranych w codzienne sukienki, z poprzekrzywianymi kołnierzami, z czuprynami po większej części w nieładzie i z minami na wpół uszczęśliwionymi, a na wpół przestraszonymi.

I pobiegłszy do Maryni rzekł całując jej ręce przybrane już w białe rękawiczki:

- Chcieli dzieciśka pokrzywdzić. Niech pani powie, żem dobrze zrobił!

A Marynię ujął i ucieszył naprawdę ten dowód jego dobrego serca, więc rada była dzieciom z całej duszy, a nawet rada i z tego, że zebrani goście poczytali jej przyszłego za oryginała i że pani Bigielowa, poprawiając pośpiesznie przekrzywione kołnierzyki, powtarzała z zakłopotaniem:

- No i cóż z takim wariatem robić!

Trochę tego samego zdania był i pan Pławicki. Ale Połaniecki i Marynia zajęli się po chwili tak wyłącznie sobą, że wszystko inne znikło im z oczu. Obojgu serca były trochę niespokojnie. On spoglądał na nią z pewnym zdziwieniem. Cała w bieli, począwszy od trzewików aż do rękawiczek, z zielonym wiankiem na głowie i z długim welonem, wydała mu się inna niż zwykle. Było w niej coś niezwykle uroczystego, tak jak w zmarłej Litce. Połaniecki nie uczynił wprawdzie tego porównania, czuł jednak, że w tej chwili ta biała Marynia, jeśli nie jest mu dalszą, to więcej onieśmiela go od wczorajszej, przybranej w codzienny ubiór. Wydawała mu się przy tym brzydszą niż zazwyczaj, bo wianek ślubny wyjątkowo tylko bywa kobietom do twarzy, a w dodatku niepokój i wzruszenie zaczerwieńczyły jej twarz, która przy białym kolorze wyglądała jeszcze czerwiejsza, niż była rzeczywiście.

Ale dziwna rzecz! Ta właśnie okoliczność wzruszyła Połanieckiego. W jego sercu, z natury raczej dobrym, powstało jakieś uczucie podobne do rozczulenia lub litości. Zrozumiał, że w tej Maryni musi teraz serce bić jak w schwytanym ptaku, i począł ją uspokajać, począł mówić do niej tak dobrymi i uczciwymi słowami, że aż sam się dziwił, skąd mu się tyle ich bierze i jakim sposobem przychodzą mu z taką łatwością. Ale przychodziły mu one z łatwością właśnie z powodu Maryni. Tak w niej znać było, że ona oddaje mu się z biciem serca, ale zarazem z ufnością, że oddaje mu serce, duszę i całą istotę, całe życie, i to nie tylko na dobre, ale na każde chwile życia – i aż do końca życia, że pod tym względem żaden cień nie powstał w umyśle Połanieckiego, a ta pewność uczyniła go w tej chwili lepszym, tkliwszym i wymowniejszym, niż bywał zwykle. W końcu trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy nie tylko z miłością, ale z największą przyjaźnią i otuchą na przyszłość. Oboje odczuwali wzajemną rzetelność. Jeszcze kilka chwil – i ta przyszłość miała się rozpocząć. Ale teraz myśli obojga poczęły się wyjaśniać i ten niepokój wewnętrzny, od którego nie byli wolni, ustępował coraz bardziej i zmieniał się, w miarę zbliżania się obrzędu religijnego, w poważne skupienie. Myśli Połanieckiego nie rozlatywały się już jak wróble, pozostało mu tylko jakby pewne zdziwienie, że on, przy całym swym sceptycyzmie, tak odczuwa nawet religijną doniosłość mającego się spełnić aktu. W gruncie rzeczy nie był on sceptykiem. W duszy tkwiła mu nawet tęsknota za uczuciami religijnymi – i jeśli do nich nie wracał, to jedynie przez pewne odzwyczajenie się i przez duchową opieszałość. Sceptycyzm, co najwyżej, wstrząsał powierzchnię jego umysłu, tak jak wiatr marszczy powierzchnię toni, której głęb pozostaje spokojna. Odwykł również od form – ale była to rzecz przyszłości i Maryni – tymczasem jednak już ten obrząd, któremu miał się poddać, wydał mu się tak podniosłym, tak pełnym powagi i świętości, że gotów był przystąpić do niego ze schyloną głową.

Przedtem wszelako trzeba było się poddać innemu obrządkowi, który, sam w sobie również uroczysty, był Połanieckiemu dość przykry: mianowicie, trzeba było klęknąć przed panem Pławickim, którego Połaniecki uważał za durnia, przyjął jego błogosławieństwo i wysłuchał przemówienia, do którego sposobności, wiadomo było, iż pan Pławicki nie pominie. Połaniecki jednak już poprzednio powiedział sobie: „Skoro się chcę żenić, to muszę przejść przez wszystko, co ślub poprzedza, i to z dobrą miną, a jaką minę będzie miała w takich chwilach ta małpa, Bukacki, to mnie mało obchodzi.” Wskutek tego klęknął teraz z całą gotowością koło Maryni przed panem Pławickim i wysłuchał jego błogosławieństwa oraz przemówienia, które zresztą niedługo trwało. Pan Pławicki sam był także naprawdę wzruszony, głos mu drżał, ręce również i zaledwie zdołał wypowiedzieć coś w rodzaju zaklęcia do Połanieckiego, by choć czasem nie bronił Maryni w przyszłości przyjść i pomodlić się na jego grobie, póki zupełnie trawą nie porośnie.

Zresztą uroczystość tej chwili zmaćcił poniekąd Józio Bigiel, widząc bowiem z jednej strony łzy pana Pławickiego, z drugiej Marynię i Połanieckiego na klęczkach, co w domu Bigielów bywało nie tylko karą, ale częstokroć i wstępem do jeszcze sprężystszych środków pedagogicznych, dał wyraz swemu współczuciu i obawom za pomocą zamknięcia oczu, otworzenia ust – i uderzenia w płacz tak donośny, na jaki tylko umiał się zdobyć. Gdy przy tym pozostałe rodzeństwo poszło w znacznej części za jego przykładem i gdy wszyscy zaczęli się poruszać, chwila bowiem wyjazdu do kościoła nadeszła, porosły trawą grób pana Pławickiego nie mógł wywołać należycie elegicznego wrażenia. Siedząc w karecie między Abdulskim a Bukackim, Połaniecki ledwie półsłówkami odpowiadał na ich pytania; nie mieszał się do rozmowy, natomiast monologował sam z sobą. Myślał, że za parę minut stanie się to, o czym marzył całymi miesiącami i czego aż do śmierci Litki najmocniej w życiu pragnął. Tu po raz ostatni wstrząsnęło nim poczucie różnicy między tą niedawno ubiegłą przeszłością a chwilą obecną. Była jednak różnica. Dawniej dążył i pragnął, dziś tylko chciał i zgadzał się. Myśl ta przejęła go jak zamróz, przemknęło mu bowiem przez głowę, że może w nim samym brak tych podstaw, na których wolno budować. Ale był to człowiek, który umiał

krótko trzymać swoje niepokoje, a w danym razie rozganiać je na cztery wiatry. Powiedział więc sobie: „Naprzód, nie czas o tym myśleć, a po wtóre, że rzeczywistość nie zawsze odpowiada rojeniom, to rzecz prosta.” Potem przesuwało mu się jeszcze przez pamięć to, co powiedział Bukacki: „Nie dość wziąć, trzeba się i dać” – ale pomyślał, że to jest jakieś przedzenie nitki tak cienkiej, że jej wcale nie ma, i że życie trzeba brać prościej, nie jest ono bowiem obowiązane zgadzać się z uprzednio powziętymi teoriami. Tu powtórzył, co sobie często powtarzał: „Żenię się – i koniec!” Po czym objęła go rzeczywistość, a raczej chwila obecna; nic innego nie miał już w głowie, tylko Marynię, kościół i ślub.

Ona tymczasem, jadąc, prosiła po cichu Boga, żeby jej dopomógł i pozwolił uszczęśliwić męża; dla siebie prosiła także o trochę szczęścia, będąc zresztą pewna, że to jej zmarła matka wyprosi.

Potem szli oboje, prowadzeni pod ręce, przez szpaler zaproszonych i ciekawych, widząc trochę jak przez mgłę: w dali świece migocące przy ołtarzu, a obok twarze znajome i nieznajome. Oboje dojrzeli wyraźniej twarz pani Emilii, przybraną w biały kwef siostry miłosierdzia, i jej oczy, zarazem uśmiechnięte i zalane łzami. Obojgu przypomniała się Litka i przyszło im na myśl, że to ona właściwie prowadzi ich do ołtarza. Po chwili klęczeli mając przed sobą księdza, wyżej zaś płomyki świec, blaski pozłocień i święte twarze głównego obrazu. Ceremonia się rozpoczęła. Poczęła powtarzać za księdzem zwykłe wyrazy przysięgi ślubnej, i Połanieckiego, trzymającego rękę Maryni, ogarnęło nagle takie wzruszenie, jakiego się nie spodziewał i jakiego nie doznał od czasu, gdy matka zaprowadziła go do pierwszej Komunii. Oto poczuł, że to nie jest tylko zwykły, prawny obrządek, na mocy którego mężczyzna zyskuje prawo do kobiety; ale że w tym związaniu rąk, w tej przysiędze jest jakaś tajemnicza, zaświatowa moc – jest po prostu Bóg, przed którym uchyla się dusza i serce drży. O uszy obojga odbijały się teraz wśród ciszy uroczyste słowa: *Quod Deus junxit, homo non disjungat* – a Połaniecki odczuwał, że ta Marynia, którą brał, staje się jego ciałem i krwią, i częścią jego duszy, i że dla niej również on ma być tym samym. Tymczasem na chórze wybuchnął chór głosów: *Veni Creator*, i w kilka chwil później Połanieccy wyszli z kościoła. Po drodze przedtem objęły jeszcze Marynię ręce pani Emilii: „Niech was Bóg błogosławi!” – i gdy oni jechali do domu na weselne przyjęcie, ona poszła na cmentarz, by powiedzieć Litce nowinę, że „pan Stach” ożenił się dziś z Marynią.

XII

We dwa tygodnie później, w Wenecji, portier hotelu Bauera oddał Połanieckiemu list ze stemplem warszawskim. Było to w chwili, gdy oboje z żoną siadali do gondoli, by pojechać do Santa Maria della Salute, gdzie tego dnia, jako w rocznicę śmierci matki Maryni, miała się odprawić msza za jej duszę. Połaniecki, który się nic ważnego z Warszawy nie spodziewał, włożył list do kieszeni i spytał żony:

- A czy to trochę na mszę nie za wcześnie?
- Tak jest, całe pół godziny.
- To może chcesz się przejechać przedtem w stronę Rialto?

Marynia zawsze była na to gotowa. Nie będąc przedtem nigdy w życiu za granicą, żyła wprost w nieustającym upojeniu i zdawało jej się, że wszystko, co ją otacza, jest snem. Nieraz z nadmiaru zachwytu rzucała się mężowi na szyję, tak jakby to on zbudował Wenecję i jakby jemu wyłącznie należało się podziękowanie za jej piękność; nieraz także powtarzała:

- Patrzę, widzę i nie wierzę, że to prawda!

Pojechali więc ku Rialto. Ruchu było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, mało, woda jakby śpiąca, dzień cichy, przezroczystry, ale niezbyt słoneczny, jeden z takich, w których

Canale Grande przy całej swej piękności ma spokój cmentarza; pałace zdają się puste i zapomniane, a w nieruchomym ich odbiciu w toni jest jakiś głęboki smutek rzeczy martwych. Patrzy się wówczas na nie w milczeniu i jakby z obawą, by słowami nie zamącić ogólnej ciszy.

Tak też patrzyła Marynia. Ale Połaniecki, mniej wrażliwy, przypominał sobie, że ma w kieszeni list, więc go wydobył i począł czytać, a po chwili rzekł:

– A!... Maszko także już żonaty. Ich ślub odbył się w trzy dni po naszym.

Marynia zaś, jakby zbudzona ze snu, spytała mrugając oczyma:

– Co mówiłeś?

– Mówiłem, rozmarzona głowo, że ślub Maszki już się odbył.

Ona zaś wsparłszy głowę na jego ramieniu i patrząc mu w oczy odpowiedziała:

– Co mi tam Maszko!... ja mam swojego Stacha.

Połaniecki uśmiechnął się jak człowiek, który łaskawie pozwala się kochać, ale się temu nie dziwi, po czym pocałował żonę w czoło z pewną dystrakcją, gdyż list począł go jednak zajmować, i czytał dalej. Nagle rzucił się jakby ukłuty i zawołał:

– O to, to prawdziwa katastrofa!

– Co się stało?

– Panna Krasławska ma dziewięć tysięcy rubli dożywocia które zapisał jej wuj. Zresztą ani grosza posagu.

– Ale to i tak dużo.

– Dużo? To posłuchaj, co pisze Maszko: „Wobec tego moje bankructwo jest rzeczą spełnioną, a ogłoszenie niewypłacalności kwestią czasu.” Zawiedli się oboje, rozumiesz? – bo on liczył na jej majątek, a ona na jego.

– Przynajmniej mają z czego żyć.

– Mają z czego żyć, ale Maszko nie ma czym pospłacać długów, a to trochę i nas obchodzi – mnie, ciebie i twojego ojca... Wszystko może przepaść.

Teraz Marynia zaniepokoiła się na dobre.

– Mój Stachu – rzekła – może twoja obecność tam potrzebna, to wracajmy... Co to będzie za cios dla papy!

– Napiszę zaraz do Bigiela, by mnie zastąpił i ratował, co można... Nie bierz przy tym, dziecko, zanadto do serca tej sprawy. Ja mam na kawałek chleba dla nas obojga i dla twego ojca.

Marynia objęła ręką jego szyję.

– Mój ty dobry!... Z takim człowiekiem jak ty można być spokojną.

– Przy tym coś się da uratować... Jeśli Maszko znajdzie kredyt, to nas pospłaca. Może też znajdzie kupca na Krzemień. Ale! Pisze mi, żebym spytał Bukackiego, czyby nie kupił Krzemienia, i żebym go do tego namawiał. On dziś w wieczór jedzie do Rzymu, i zaprosiłem go na śniadanie... Spytam go. On ma znaczny majątek – i miałby coś do roboty. Ciekawym, jak Maszkom życie pójdzie. On mi pisze w końcu listu: „Żonie odkryłem stan moich interesów, wobec czego zachowała się biernie, ale matka nie posiada się z oburzenia.” Wreszcie dodaje, że się w ostatnich czasach w żonie pokochał i że gdyby się rozstali, byłoby to dla niego największym w życiu nieszczęściem. Ta liryka mało mnie obchodzi – ale ciekawym jednak, jak się to wszystko skończy.

– Ona go nie opuści – rzekła Marynia.

– Nie wiem; sam nawet myślałem w swoim czasie, że nie – ale mam ochotę się sprzeczać. Chcesz pójść o zakład?

– Nie, bo nie chcę wygrać. Ty brzydki człowieku, nie znasz kobiet.

– Owszem, znam je, i dlatego wiem, że nie wszystkie są takie jak ta mała, która płynie teraz gondolą...

A ona odpowiedziała:

– W Wenecji, gondolą i obok swojego Stacha!

Tymczasem dojechali do kościoła. Wróciwszy po mszy do hotelu, zastali już Bukackiego przybranego jak do drogi w kraciaste szare ubranie, które na jego wątle ciało wydawało się za obszerne, w żółte trzewiki i fantastyczny krawat zawiązany z równą fantazją, jak niedbałością.

– Jadę dzisiaj – rzekł przywitawszy się z Marynią. – Czy pani każe przygotować mieszkanie we Florencji? Mogę nająć jaki pałac.

– To pan zatrzymuje się po drodze do Rzymu?

– Tak jest. Naprzód dlatego, żeby dać znać w Galerii, że przyjedziecie, i żeby położono dywan na schodach; po wtóre, dla czarnej kawy, która w ogóle we Włoszech jest zła, a we Florencji u Giacosa wyjątkowo doskonała... via Tornabuoni... To zresztą jedyna rzecz coś warta we Florencji...

– Co pan ma za przyjemność mówić zawsze co innego, niż pan myśli...

– Owszem, myślę szczerze nająć wam jakie ładne mieszkanko na Lung-Arno.

– My się zatrzymujemy w Weronie.

– Dla Romea i Julii? Owszem, owszem! Póki jeszcze nie wznuszą ramionami, myśląc o nich – jedźcie. Za jaki miesiąc byłoby już może za późno.

Marynia fuknęła na niego jak kotka, po czym zwróciwszy się do męża rzekła:

– Stachu, nie pozwól temu panu tak mi dokuczać.

– Dobrze – odpowiedział Połaniecki. – Utnę mu głowę, ale po śniadaniu.

Bukacki zaś począł deklamować:

Nie! Jeszcze nie świta!

To nie skowronek – to jest głos słowika.

następnie, zwróciwszy się do Maryni, spytał:

Napisał Połaniecki dla pani jaki sonet?

– Nie.

– O, to zły znak!... Macie balkon od ulicy... Czy nie przyszło mu do głowy ani razu stanąć pod balkonem pani z mandoliną?

– Nie.

– O, bardzo źle!...

– Przecie tu nie ma gdzie stanąć, bo woda.

– Mógł podjechać gondolą. Widzi pani, u nas co innego, ale tu, we Włoszech, takie już jest powietrze, że jeśli kto prawdziwie kocha, to albo pisze sonety, albo staje z mandoliną pod balkonem. To jest rzecz zupełnie pewna, wypływająca z położenia geograficznego, prądów morskich, składu chemicznego powietrza i wody – i jeśli ktoś nie pisze sonetów ani nie staje z mandoliną, to najniezawodniej nie kocha. Mogę pani przytoczyć bardzo znakomite dzieła traktujące o tym przedmiocie.

– Zdaje się, że będę zmuszony uciąć mu głowę przed śniadaniem – rzekł Połaniecki.

Do egzekucji jednak nie przyszło z tego powodu, że właśnie pora była na śniadanie. Siedzieli przy osobnym stole, ale w tej samej sali, w której był stół ogólny, co dla Maryni, którą wszystko zajmowało, było także źródłem rozkoszy, widziała bowiem prawdziwych Anglików. Czyniło jej to wrażenie, że zajęła gdzieś do krajów tak już egzotycznych, że jak Krzemień Krzemieniem żaden z jego mieszkańców nie zapuścił się w taką drogę. Dla Bukackiego, a nawet i dla Połanieckiego, to jej upojenie było powodem nieustających żartów, ale też i prawdziwej przyjemności. Pierwszy mówił, że przypomina mu to jego młodość, drugi nazywał żonę polną stokrotką – i mówił, że takiej nie żał świat pokazywać.

Sam Bukacki zauważył jednak, że „polna stokrotka” miała dużo poczucia sztuki i dużo szczerości. Wiele rzeczy było jej wiadomych z książek lub rycin; nie umiając się na niektórych poznać, przyznawała się do tego otwarcie, ale nie było w jej wrażeniach nic sztucznego ani nic wmówionego. Gdy jej co przypadło do serca, zachwyty jej nie miał natomiast granic, tak że oczy jej stawały się wilgotne. Bukacki czasem żartował z niej bez

miłosierdzia, czasem wmawiał w nią, że wszyscy tak zwani znawcy mają gwoździe w głowie i że ona, jako natura wrażliwa i wykwinna, a dotychczas nie zbałamucona, jest dla niego największą w rzeczach sztuki powagą, byłaby zaś jeszcze większą, gdyby miała lat dziesięć.

Przy śniadaniu nie było jednak mowy o sztuce, albowiem Połaniecki przypomniał sobie nowiny warszawskie i rzekł:

– Miałem list od Maszki.

– I ja – odpowiedział Bukacki.

– I ty? To jednak tam naprawdę pilno. Maszko musi być przyciśnięty nie żartem. Wiadomo ci tedy, o co chodzi.

– Namawia, a raczej zaklina, żebym kupił – wiesz co?

Bukacki umyślnie nie wymienił Krzemienia, wiedząc doskonale, jakiej rozterki był on powodem między Połanieckim a Marynią, i przez delikatność dla Maryni.

Lecz Połaniecki zrozumiawszy jego intencję ozwał się:

– Ach Boże! Niegdyś unikaliśmy tego wyrazu jak dotknięcia bolączki, ale teraz – przy żonie – to przecie co innego... Trudno się całe życie krępować.

Bukacki spojrział na niego bystro. Marynia zaś zarumieniała się i rzekła:

– Staś ma zupełną słuszność. Zresztą wiem, że chodzi o Krzemień.

– A tak, chodzi o Krzemień.

– No i cóż? – spytał Połaniecki.

– Nie kupiłbym go, choćby dla tego samego, żeby pani nie miała wrażenia, że tak nim ludzie rzucają jak piłką.

Marynia zarumieniała się jeszcze więcej i rzekła:

– Kiedy ja już wcale nie myślę o Krzemieniu. I spojrzała na męża, on zaś kiwnął na znak zadowolenia i pochwały.

– To dowód – odpowiedział – że jesteś rozsądne dziecko.

– Przy czym – mówiła dalej Marynia – jeśli pan Maszko się nie utrzyma, to Krzemień albo się rozpadnie, albo pójdzie w lichwiarskie ręce, a to jednak byłoby mi przykro...

– Aha! – rzekł Bukacki – skoro jednak pani wcale nie myśli już o Krzemieniu?

Marynia spojrzała znów na męża i tym razem już z niepokojem, on zaś począł się śmiać.

– Złapała się Marynia – rzekł.

Po czym zwrócił się do Bukackiego:

– Widocznie Maszko widzi w tobie jedyną deskę ratunku.

– Ale ja nie jestem deska... patrz na mnie... raczej słomka. Kto się zechce ratować przez schwytnie takiej słomki, zginie, utonie... Zresztą sam Maszko nieraz mi mówił: „Masz przytępione nerwy.” Może i mam! Ale właśnie dlatego potrzebuję silnych wrażeń... Gdybym Maszce pomógł, wygrzebałby się, stanąłby na nogach, udawałby dalej lorda, żona jego udawałaby wielką panią, byłiby okropnie *comme il faut*... – i miałbym nudną komedię, którą już widziałem i na której ziewałem. Przeciwnie, jeśli mu nie pomogę, zrujnuje się, zginie, zdarzą się jakieś zajmujące a niespodziewane wypadki, zdarzyć się może coś tragicznego, co mnie więcej zajmie. Teraz pomyślcie państwo: za lichą komedię musiałbym zapłacić, i to drogo – tragedię mogę mieć darmo. Jak tu się wahać?

– Fe! jak pan może mówić takie rzeczy! – zawołała Marynia.

– Nie tylko mogę mówić, ale je napiszę Maszce. Przy tym on mnie zawiódł w najniegodziwszy sposób.

– W czym?

– W czym? W tym, że ja myślałem: oto prawdziwy snob! to materiał na czarny charakter! to człowiek naprawdę bez skrupułu i serca! Tymczasem cóż się pokazuje: że on na dnie duszy ma jakąś uczciwość, że chciałby pospłacać wierzycieli, że mu tej lalki z czerwonymi oczyma żał, że ją kocha, że rozłączenie z nią byłoby dla niego straszną klęską... Sam mi to pisze

najbardziej... Słowo daję, że w tym społeczeństwie na nic liczyć nie można!... Przesiaduję za granicą, bo tego znieść nie mogę.

Tym razem pani Połaniecka rozgniewała się na dobre:

– Jak pan będzie takie rzeczy mówił, to poproszę Stasia, żeby zerwał z panem stosunki.

A Połaniecki wzruszył ramionami i dodał:

– Że też ty naprawdę zagadujesz dla konceptu siebie i drugich, a nigdy nie myślisz rozsądnie i po ludzku. Rozumiesz, że ja cię namawiam do kupna Krzemienia, a to tym bardziej że mógłbym w tym mieć pewien interes, ale jednak – miałbyś jakieś zajęcie, miałbyś coś do roboty...

Na to Bukacki począł się śmiać, po chwili zaś odrzekł:

– Ja ci już niegdyś powiedziałem, że przede wszystkim lubię robić to, co mi się podoba, a że mi się najwięcej podoba nic nie robić, więc nic nie robiąc, robię to, co mi się najwięcej podoba. Jeśliś mądry, dowiedz mi, że powiedziałem głupstwo. Po wtóre: ja – hreczkosiejem!... To przecie wprost przechodzi imaginację! Ja, dla którego deszcz i pogoda jest tylko kwestią wzięcia laski lub parasola, miałbym na stare lata wystawać na jednej nodze, jak żuraw, i patrzeć, czy się podoba słońcu świecić, czy chmurom kropić? Ja bym miał palpitować, czy mi pszenica nie porośnie, czy mi się rzepak nie wysypie, czy zaraza nie padnie na kartofle, czy się uwinę z grochem, czy potrafię dostawić Ickowi do Psiej Wólki tyle korcy, na ile zawarłem kontrakt, czy mi fornalki nie dostaną nosaczny, a owce motylic? Ja miałbym na starość dojść do tego, żeby z powodu stopienia umysłowego mówić co trzy słowa: „Panie dobrodzieju” albo „Co to ja chciałem powiedzieć?” *Voyons! pas si bête!* Ja, człowiek wolny, miałbym zostać *glebae adscriptus*? – mościpanem, somsiadem, bratem Łatą, panem Maciejem, Lechitą?

Tu, podniecony nieco winem, począł cytować półgłosem słowa Ślaza z *Lilii Wenedy*:

Czy ja Lechitą? Cóż to? czy mi z oczu

Patrzy gburostwo, pijaństwo, obzarstwo.

Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,

Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

– Gadajże tu z nim! – rzekł Połaniecki – tym bardziej że w gruncie rzeczy ma trochę słuszności!

Ale Marynia, która od chwili gdy Bukacki zaczął mówić o kłopotach wiejskich, zamyśliła się nieco, teraz strząsnęła z czoła zamyślenie i rzekła:

– Ja, gdy papa był niezdrów (a nigdy w Krzemieniu nie był tak zdrów jak w ostatnich czasach), wyrecałam go trochę w gospodarstwie – i później weszło im to w zwyczaj. Chociaż, Bóg widzi, że kłopotów nie brakło, robiło mi to taką przyjemność, że nie umiem tego wypowiedzieć. Ale nie rozumiałam, dlaczego to tak jest, i zrozumiałam dopiero, gdy mi to wytłumaczył pan Jamisz. On mi mówił, że to jest ta istotna praca, na której świat stoi, a wszelka inna jest albo dalszym jej wynikiem, albo czymś sztucznym... Później też rozumiałam nawet takie rzeczy, o których on nie wspominał. Nieraz, jak na wiosnę wyszłam w pole i widziałam, że wszystko rośnie, to czułam, że i serce przy tym rośnie. I wiem teraz dlaczego: bo w każdym innych stosunkach ludzkich może być kłamstwo, a ziemia – to prawda... Ziemi nie można oszukać, ale i ona da albo nie da, ale nie oszuka... Dlatego ziemię kocha się tak jak prawdę – a że się ją kocha, więc i ona uczy kochać... I rosa pada nie tylko na zboża, nie tylko na łąki, ale jakby i na duszę, i człowiek staje się lepszym, bo jak ma do czynienia z prawdą i kocha, to jest bliżej Boga... Dlatego, ja tak kochałam mój Krzemień.

Tu pani Połaniecka przestraszyła się i swojej wymowy, i tego, co tam pomyśli „Staś” – a jednocześnie wzruszyła ją wspomnienia; wszystko to zaś odbiło się jakby zorzą w jej oczach, na jej młodej twarzy – i sama była jak zorza.

Bukacki patrzył na nią, jakby patrzył na jakieś nieznanne, świeżo odkryte arcydzieło szkoły weneckiej, następnie przymknął oczy, pochował do połowy swą małą twarzyczkę w ogromny fantastyczny krawat i szepnął:

– *Délicieuse!*...

Po czym, wysunąwszy brodę z krawata, rzekł:

– Pani ma najzupełniejszą słusność...

Ale logiczna kobietka nie pozwoliła się pozbyć komplementem.

– Jeśli ja mam słusność, to pan jej nie ma.

– To inna rzecz. Pani ma słusność dlatego, że jej z tym do twarzy, a kobieta zawsze wówczas ma słusność.

– Stasiu! – rzekła Marynia zwracając się do męża.

Lecz tyle było w niej w tej chwili uroku, że on patrzył na nią również z zachwytem, oczy mu się śmiały, nozdrza poruszały snę szybkim ruchem, na chwilę nakrył jej rękę dłonią i rzekł:

– Oj, dziecko! dziecko!

A potem pochyliwszy się ku niej szepnął:

– Gdyby nie to, że jesteśmy w sali, to bym zacałował te oczy kochane i te usta.

I mówiąc tak Połaniecki popełniał wielką omyłkę, w tej chwili bowiem nie dość było odczuć fizyczne ponęty Maryni, zapłonąć do kolorów na jej twarzy, do oczu lub ust, ale należało zrozumieć i odczuć w niej duszę; jak zaś dalece on jej nie odczuł, dowodziły najlepiej jego pobłażliwe słowa: „Oj, dziecko! dziecko!”

Była mu w tej chwili tylko uroczym dzieckiem-kobietą – i o niczym innym nie myślał.

Tymczasem przyniesiono kawę. Na zakończenie rozmowy Połaniecki rzekł:

– Tak tedy Maszko wyszedł na liryka – i to po ślubie.

Bukacki zaś, połknąwszy filiżankę wrzątku, odpowiedział:

– W tym głupstwo, że to Maszko, ale nie w tym, że po ślubie... Trochę liryzmu, właśnie po ślubie... Ale przepraszam! Tylko com nie powiedział czegoś rozsądnego... Przepraszam panią najmocniej i przyrzekam, że więcej nie będę!... Sparzyłem się widocznie w język gorącą kawą, ale piję tak gorącą dlatego, że mi powiedziano, iż to dobrze na ból głowy, a mnie głowa boli, boli...

Tu Bukacki położył dłoń na karku i potylicy, przy czym zamrużył oczy i przez kilka sekund pozostał bez ruchu, po czym rzekł:

– Gada się i gada, a głowa boli. Poszedłbym już sobie, ale ma tu przyjść do mnie malarz Świrski, z którym jadę razem do Florencji, znakomity akwarelista, prawdziwie znakomity... Nikt nie wydobyl z akwareli większej siły. Ale oto właśnie nadchodzi.

I istotnie Świrski, jakby wywołany zaklęciem, zjawił się w tej chwili i począł się rozglądać upatrując Bukackiego. Dostrzegłszy go wreszcie, zbliżył się do stołu.

Był to krępy, niski człowiek, o grubym karku, potężnej piersi, cerze nadzwyczaj smagłej i czuprynie tak czarnej, jakby był Włochem. Twarz miał pospolitą, ale spojrzenie rozumne i głębokie, a przy tym łagodne. Idąc kiwał się nieco na obie strony z powodu szerokości bioder.

Bukacki przedstawił go w następnych słowach pani Połanieckiej:

– Przedstawiam pani pana Świrskiego, malarza, rodzaj geniusza, który nie tylko ma talent, ale miał najniezwyklejszą ideę niezamarnowania go, co mógł zrobić tak dobrze i z równym dla ludzi pożytkiem jak każdy inny... Ale on woli zapełniać świat akwarelami i rozgłosem.

Świrski uśmiechnął się ukazując dwa szeregi dziwnie drobnych, ale zdrowych i białych jak kość słoniowa zębów i rzekł:

– Chciałbym, żeby to była prawda.

– I powiem państwu, dlaczego on nie zmarnował talentu – osiągnął dalej Bukacki – oto z powodów tak parafialnych, że porządnemu artyście wstyd by było do czegoś podobnego się przyznać: kocha Pogonbin – gdzieś koło Poznania – czy tak? a kocha dlatego, że się tam

urodził. Gdyby się urodził na Gwadelupie, to by kochał Gwadelupę – i miłość do Gwadelupy byłaby go także ratowała w życiu. Ten człowiek oburza mnie – i niech pani powie, czy nie słusznie?

Na to Marynia rzekła podnosząc swoje błękitne oczy na Świrskiego:

– Pan Bukacki nie jest taki niegodziwy, jak się wydaje, bo jednak powiedział o panu wszystko, co można było najlepszego.

– Umrę zapoznany – szepnął Bukacki.

A Świrski patrzył tymczasem na Marynię tak, jak sobie może pozwolić bez obrażania kobiety tylko malarz. W oczach jego malowało się widocznie zajęcie; w końcu mruknął:

– Tu w Wenecji zobaczyć niespodzianie taką głowę – to przecie coś bajecznego!

– Co takiego? – spytał Bukacki.

– Mówię, że pani ma ogromnie swojski typ: o to, o! na przykład (tu pociągnął sobie wielkim palcem przez nos, usta i brodę). I jaka przy tym czystość linii!

– Co? nie prawda? – rzekł z zapałem Połaniecki – zawsze to samo myślałem!

– Założę się, żeś tego nigdy nie myślał – odparł Bukacki.

Lecz Połaniecki rad był i dumny z tego zajęcia, jakie w słynnym artyście wzbudziła Marynia, więc rzekł:

– Gdyby tak panu zrobiło jakąkolwiek przyjemność malowanie jej portretu, mnie by zrobiło jeszcze większą przyjemność mieć go.

– Z duszy serca – odpowiedział z prostotą Świrski – ale ja jadę dziś do Rzymu. Tam mam też zaczęty portret pani Osnowskiej.

– I my właśnie, najdalej za dziesięć dni, będziemy w Rzymie.

– A więc zgoda!

Marynia dziękowała czerwieniąc się po uszy. Lecz Bukacki począł się żegnać i pociągnął za sobą Świrskiego. Wyszedłszy rzekł mu:

– Mamy jeszcze czas. Chodź do Florianiego na kieliszek koniaku.

Bukacki nie umiał i nie lubił pić, ale od czasu gdy się morfinizował, czynił to w wyższym stopniu, niż mógł znieść, albowiem ktoś mu powiedział, że to jedno drugie zobojętnia.

– Co za miła para ci Połanieccy! – rzekł Świrski.

– Niedawno się pobrali.

– I widać, że on ją ogromnie kocha. Jakem ją pochwalił, aż mu się oczy śmiały i rósł jak na drożdżach.

– Ona jego sto razy więcej kocha.

– Skąd ty się na tych rzeczach znasz?

Bukacki nie odpowiedział, tylko podniósłszy swój spiczasty nos do góry, mówił jakby do siebie:

– To mi brzydziło małżeństwo i miłość, że to zawsze z jednej strony wyzysk, z drugiej ofiara. Taki Połaniecki – dobry człowiek, ale cóż? Ona ma tyle sanna rozumu, tyle samo charakteru – tylko więcej kocha, więc im się życie ułoży tak: że on będzie słońcem, będzie łaskawie świecił, łaskawie grzał, uważał ją za swoją własność, za planetkę, która się powinna koło niego kręcić. To się już wszystko dziś zaznacza... Ona już weszła w jego sferę. Jest w nim jakaś pewność siebie, która mnie gniewa. On będzie miał ją – i resztę, ona tylko jego – bez reszty. On się będzie pozwalał kochać uważając ze swojej strony kochanie jako swoją cnotę, dobroć i łaskę, ona będzie kochała uważając swoją miłość za szczęście i obowiązek... Patrzcie mi go, bożka promienistego!... Mam ochotę wrócić i powiedzieć im to, w nadziei, że staną się mniejsi szczęśliwi.

Ale tymczasem siedli przed Florianim i po chwili podano im koniak. Świrski myślał czas jakiś o Połanieckich, po czym spytał:

– No! a jeśli jej będzie z tym dobrze?

– Wiem, że ma krótki wzrok, więc mogłoby jej być równie dobrze nosić okulary.

- Idźże do licha! do takiej twarzy!...
- Więc ciebie to oburza, a mnie tamto.
- Bo ty masz w głowie jakiś młynek od kawy, który wszystko miele i miele, póki nie zmiele na drobny pył. Czego ty w ogóle chcesz od miłości?
- Ja, od miłości? Ja nic nie chcę od miłości! Niech tego diabeł weźmie, kto czegoś chce od miłości! Ja mam od niej strzykanie w łopatkach. Ale gdybym był inny, niż jestem, gdybym miał określić, czym miłość być powinna, gdybym od niej czegoś chciał, to bym chciał...
- Czego? Hop! przeskocz!
- Zęby się składała w równej ilości: z żądz i czci! Po czym wypił kieliszek koniaku i po chwili dodał:
- Zdaje się, że powiedziałem coś, co może być mądre, jeśli nie jest głupie... Ale mi to wszystko jedno!...
- Nie! to nie jest głupie.
- Dalibóg, to wszystko jedno!

XIII

Po tygodniowym pobycie we Florencji odebrał Połaniecki pierwszy list od Bigiela w sprawach Domu, a w nim wiadomości tak pomyślne, że przechodzące niemal oczekiwanie. Prawo wzbraniające wywozu zboża z powodu głodu zostało ogłoszone. Ale Spółka miała ogromne zapasy zakupione i wywiezione poprzednio, że zaś ceny w pierwszych zwłaszcza chwilach podskoczyły za granicą nadzwyczajnie, więc Bigiel i Połaniecki poczęli robić doskonałe interesy. Spekulacja, pomyślana i przeprowadzona na wielką skalę, okazała się tak korzystną, iż z ludzi zamożnych, jakimi byli poprzednio, stawali się niemal bogatymi. Połaniecki zresztą od dawna był pewien swego i nie żywił żadnych obaw; wiadomość jednakże ucieszyła go zarówno ze względów finansowych, jak i ze względu na miłość własną. Powodzenie upaja i wzmacnia ufność do siebie samego. Toteż w rozmowie z żoną niezupełnie potrafił się wstrzymać od tego, by jej nie dać do zrozumienia, że jest niepospolitą głową, wyższą bezwarunkowo od całego otoczenia, jakby drzewem najbardziej wybijającym w lesie, człowiekiem, który dochodzi zawsze tam, dokąd zamierzył, słowem: rodzajem Feniksa we własnym społeczeństwie, obfitującym w ludzi, którzy nie mogą sobie dać rady na świecie. Na świecie też całym nie mógł być znaleźć wdzięczniejszego i gotowego przyjąć wszystko z głębszą wiarą słuchacza.

– Ty jesteś kobieta – mówił jej nie bez pewnego cienia wyższości – więc cóż ci mam tam opowiadać sprawę od początku i wdawać się w szczegóły. Jako kobiecie, najlepiej wszystko wyjaśnię, gdy ci powiem tak: tego medalionu z czarną perłą, który ci pokazywałem u Godoniego, wczoraj nie byłem w stanie kupić, dziś jestem – i kupię.

Marynia poczęła mu dziękować i prosić, żeby tego nie czynił, ale on uściskał ją, zapowiedział, że nic go nie wstrzyma, że to rzecz postanowiona i że „Maryś” ma się uważać za właścicielkę czarnej wielkiej perły, która na takiej białej szyjce będzie ślicznie wyglądała. Potem ją całował tę szyjkę, a gdy się wreszcie nasycił, czując jednak potrzebę jakiegokolwiek słuchacza począł chodzić po pokoju, uśmiechać się do żony, do samego siebie i mówić:

– Nie wspominam już o takich, którzy nic nie robią: Bukacki na przykład, wiadomo, że do niczego... Nie mówię o osłach – taki Kopowski, wiadomo, że kocia głowa; ale weźmy nawet ludzi, którzy coś robią i którzy niby mają rozum: taki Bigiel nigdy by sposobności w lot nie pochwytał, zacząłby namyślać się, ociągać, dziś by się decydował, jutro by się bał – i pora by przeszła, a tu o co chodzi? Naprzód, żeby mieć głowę, a po wtóre, żeby się i porachować. I

jak działać, to działać!... Trzeba mieć przy tym trzeźwość i nie pozować. Maszko niby nie głupi, a patrz, co wymędrkował!... Ja tam nie chodziłem i nie pójdę jego śladem.

Tak mówiąc chodził dalej i potrząsał swoją obfitą czarną czupryną, a Marynia, która by w każdym razie słuchała z wiarą jego słów, przyjmowała je teraz jako niezbity pewnik, tym bardziej że miały one podstawę w istotnym powodzeniu.

On zaś zatrzymał się wreszcie przed nią i rzekł:

– Wiesz, co ja myślę? – że trzeźwość to rozum. Można mieć inteligentną głowę, to jest i wsiąkającą wiedzę jak gąbka, i wrażliwą, a nie mieć przy tym swego własnego trzeźwego rozumu. Dowodem dla mnie Bukacki. Nie bierz mnie za zarozumialca, ale gdybym ja na przykład wiedział tyle o sztuce, ile on, to bym miał o niej lepszy sąd. On się tyle naczytał i tyle pochwytał opinii, że wreszcie nie ma żadnej. Doprawdy, ja z tego materiału, który on nagromadził, coś bym jednak własnego wycisnął.

– O to – odpowiedziała Marynia – z największą pewnością!

Połaniecki mógł mieć pod pewnym względem słuszość. Nie był on wcale człowiekiem głupim, i może być, że jego inteligencja była bardziej zwartą i tętszą od inteligencji Bukackiego; ale natomiast była i mniej giętką, i mniej obszerną – to zaś nie przyszło mu na myśl. Nie pomyślał również, że w tej chwili, pod wpływem chełpliwości, mówi przed Marynią rzeczy, od których wypowiedzenia wobec obcych, bardziej sceptycznych ludzi, wstrzymałaby go obawa śmieszności i krytyki. Ale on już z Marynią nie krępował się. Sądził, że jeśli wobec kogo mógł sobie na taką chełpliwość pozwolić, to wobec żony. Przecie, jak sam się wyrażał: „wziął ją i skończyło się” – przecie ona była jego.

W ogóle nie czuł się nigdy tak szczęśliwy i tak zadowolony z życia jak teraz. Doznał powodzenia materialnego i przyszłość uważał za zabezpieczoną. Wziął kobietę młodą, pełną dla siebie i rozumną, dla której został dogmatem, co i nie mogło być inaczej, gdy usta Jej po całych dniach nie osychały od jego pocałunków, a zdrowe i uczciwe serce było przepełnione wdzięcznością za kochanie. Czego mu mogło braknąć, czego mógł jeszcze pożądać? Był przy tym zadowolony z siebie, bo przypisywał w znacznej części swemu rozumowi i swojej zasłudze to, że tak potrafił urządzić sobie życie, iż zapowiadało się i pomyślnie, i spokojnie. Widział, że innym jest źle, jemu dobrze – i tłumaczył tę różnicę na własną korzyść. Niegdyś myślał, że człowiek, chcąc być spokojnym, potrzebuje uregulować swój stosunek do siebie samego, do ludzi, do Boga. Dwa pierwsze uważał za uregulowane. Miał żonę, pracę i przyszłość; więc dał i zapewnił sobie to, co mógł dać i zapewnić. Co do ogółu, pozwalał sobie na jego krytykę, czasem na wymyślanie, ale czuł, że go na dnie duszy kocha rzeczywistość, że nawet choćby chciał, nie potrafiłby inaczej, że gdyby w danym razie trzeba było pójść w wodę lub ogień – to by poszedł, więc uważał, że i z tej strony wszystko jest załatwione. Pozostał stosunek do Boga. Czuł, że gdyby i ten stał się jasnym i pewnym, mogliby wszystkie zadania życia uważać za załatwione, a w końcu powiedzieć sobie: „Wiem, dlaczego żyłem, czego chciałem i dlaczego muszę umrzeć.” Nie będąc uczonym, zetknął się jednak o tyle z nauką, iż wiedział, że wyjaśnień i odpowiedzi nie ma co szukać w tak zwanej filozofii, raczej we własnym widzeniu rzeczy, a przede wszystkim w uczuciu, o ile jedno i drugie jest proste, inaczej bowiem prowadzi do dziwactw. Tymczasem, ponieważ nie był pozbawiony zupełnie wyobraźni, widział przed sobą jakby obraz uczciwego i zrównoważonego człowieka, który jest dobrym mężem, dobrym ojcem, pracuje a modli się, w święta prowadzi dzieci do kościoła i żyje życiem ogromnie pod względem moralnym zdrowym. Obraz taki uśmiechał mu się, a w życiu tyle się robi dla obrazów! Myślał również, że ogół, który by posiadał wielką ilość takich obywateli, byłby tętszym i zdrowszym od społeczeństwa, które u dołu składa się z ciemnych głów, a u góry z mędrków, dyletantów, dekadentów i wszelkich tego rodzaju zakazanych figur ze zwichniętym mózgiem. Niegdyś, wkrótce po poznaniu Maryni, zapowiadał sobie i Bigielowi, że jak skończy z własną osobą i z ludźmi, to się zabierze tego i do tego trzeciego stosunku. Otóż czas nadszedł lub przynajmniej

nadchodził. Połaniecki rozumiał, że do tego potrzebny jest większy spokój niż ów, jaki daje podróż poślubna, wrażenia nowego życia, nowego kraju i ta krętanina między hotelami a galeriami, w jakiej z Marynią żyli. Ale, pomimo tych warunków, w rzadkich chwilach, w których zostawał z własnymi myślami – zwracał je natychmiast do tego głównego dziś dla siebie zadania. Ulegał przy tym rozmaitym wpływom, które, same przez się drobne, wywierały jednak pewne działanie, choćby dlatego, że im się już umyślnie nie opierał. Takim był wpływ Maryni. Połaniecki nie zdawał sobie z niego sprawy i nie byłby go przyznał, a jednak ciągła obecność przy nim tej duszy pogodnej, szczerze i bardzo po prostu religijnej, bardzo obowiązkowej w stosunku do Boga, dawała mu mimowolnie poczucie spokoju i pogody, jakie w wierze znaleźć można. Ilekroć też prowadził żonę do kościoła, przypominał sobie te słowa, które mu powiedziała w Warszawie: „Jakże? to służba boża!” I wciągał się w nią, chodził bowiem zawsze z żoną do kościoła, z początku dlatego, by jej nie puszczać samej, a później i dlatego jeszcze, że sprawiało mu to pewne wewnętrzne zadowolenie, jakie na przykład uczonemu może sprawić przypatrywanie się objawom, które go szczególnie zajmują. W ten sposób, mimo nieodpowiednich warunków, mimo podróży i roztarganego wszelkiego rodzaju wrażeniami umysłu, szedł ciągle naprzód po nowej drodze. Myśli jego w tym kierunku miały chwilami wielką energię i stanowczość: „Ostatecznie – mówił sobie – ja Boga czuję! Czuję go u grobu Litki, czuję, chociażem nie przyznawał, w słowach Waskowskiego o śmierci, czuję przy ślubie, czuję go u nas na równinach i tu w górach nad śniegami, a tylko pytam jeszcze: jak go mam słać, czcić i kochać? Czy tak, jak się spodoba mnie osobiście, czy tak, jak to czyni moja żona i jak mnie uczyła moja matka?”

W Rzymie jednak przestał z początku o tych rzeczach myśleć. Tyle wrażeń zewnętrznych gromadziło się naraz w jego umyśle, że na żadne refleksje nie było miejsca. Przy tym przychodzili wieczorem z Marynią tak zmęczeni, że prawie ze strachem przypominali sobie słowa Bukackiego, który czasem służąc im dla własnego zadowolenia za *cicerone*, mawiał im za każdym razem: „Nie widzieliście tysięcznej części tego, co widzieć warto, ale to wszystko jedno, bo w ogóle nie warto i tu przyjeżdżać – tak samo jak nie warto siedzieć w domu.”

Bukacki był teraz w okresie przeczenia w każdym następnym zdaniu temu, co zdawał się twierdzić w poprzednim.

Profesor Waskowski przyjechał też na powitanie z Perugii, co Marynię tak ucieszyło, iż przywitała go, jakby był jej najbliższym krewnym. Ale po uspokojeniu się pierwszych wybuchów radości zauważyła jakby jakiś smutek w oczach profesora.

– Co panu jest? – pytała – czy panu niedobrze we Włoszech?

– Moje dziecko – odpowiedział profesor – i w Perugii dobrze, i w Rzymie dobrze... Ach! jak dobrze! Wiedz o tym, że tu chodząc po ulicach depczesz pył świata... To, jak zawsze powtarzam, przedsiónek do innego życia – tylko...

– Tylko co?

– Tylko ludzie... widzicie... to nie ze złego serca – bo tu, jak i wszędzie, więcej dobrych niż złych —ale mi czasem smutno, że jak u nas tak i tu mają mnie trochę za wariata.

Bukacki, który słyszał rozmowę, rzekł:

– Więc nie ma profesor większego powodu do smutku tu niż u nas?

– Tak – odpowiedział Waskowski – tylko że tam mam bliskich jak wy, którzy mnie kochają, a tu nie... I przy tym tęsknię.

Po czym zwrócił się do Połanieckiego:

– Dzienniki tutejsze pomieszczały sprawozdania z mojej rozprawy. Niektóre zupełnie szydzą – Bóg z nimi! Niektóre godzą się, że mowa epoka powinna się rozpocząć przez wprowadzenie Chrystusa i jego ducha do dziejów. Jeden przyznał, że pojedynczy ludzie żyją z sobą po chrześcijańsku, a narody jeszcze po pogańsku – nazwał nawet tę uwagę wielką, ale i ten, i wszystkie inne, gdy przechodzą do tego, co twierdzą, iż to jest misja, którą Bóg

przeznaczył nam i innym najmłodszym z Ariów – biorą się za boki od śmiechu... A to mnie boli... Dają też do zrozumienia, że ja mam trochę tu...

I biedny Waskowski począł stukać palcem w czoło. Po chwili jednak podniósł głowę i rzekł:

– Człowiek rzuca ziarno w smutku i nieraz w zwątpieniu, ale ziarno pada na rolę i da Bóg, że zejdzie.

Potem jął wypytywać o panią Emilię, w końcu zaś zwrócił ku nim swoje jakby rozbudzone ze snu oczy i spytał naiwnie:

– A dobrze wam ze sobą?

Marynia zamiast odpowiedzieć podskoczyła do męża i przytuliwszy mu głowę do ramienia rzekła:

– O, widzi profesor! – ot, tak nam ze sobą! tak!... A Połaniecki począł gładzić ręką jej ciemną główkę.

XIV

Po tygodniu zawiózł Połaniecki żonę na via Margutta do Świrskiego, z którym poprzednio widywali się niemal co dzień, z którym się zżyli, polubili i który miał rozpocząć teraz jej portret. Zastali tam państwa Osnowskich i zrobili z nimi znajomość, tym łatwiej że panie te były niegdyś, przed kilku laty, razem na jakimś wieczorze, a Połaniecki był nawet w swoim czasie przedstawiony w Ostendzie pani Osnowskiej, potrzebował się więc teraz, tylko przypomnieć. Nie pamiętał wprawdzie Połaniecki, czy w owej epoce, w której po zobaczeniu każdej młodej i przystojnej kobiety, pytał się siebie: „Czyby nie ta?” – zadawał sobie takie pytania i co do dzisiejszej pani Osnowskiej – mogło to jednak być, miała bowiem wówczas opinię ładnej, chociaż nieco narwanej panny. Dziś była to kobieta lat dwudziestu sześciu lub ośmiu, bardzo wysoka, o świeżej, lubo smagłej cerze, wiśniowych ustach, rozwianej grzywce i nieco skośnych fiołkowych oczach, które nadawały jej twarzy podobieństwo do twarzy chińskich, a zarazem wyraz pewnej złośliwości i sprytu. Miała dziwny zwyczaj trzymania się, polegający na zasuwaniu w tył ramion, a wysuwaniu naprzód figury, wskutek czego Bukacki mówił o niej, że nosi biusit *en offrande*. W jednej niemal chwili powiedziała Maryni, iż ponieważ pozują w jednej pracowni, więc się powinny uważać za koleżanki; Połanieckiemu, że go sobie przypomina, z balu w Ostendzie, jako dobrego tancerza i dobrego *causeur*, i że z tego nie omieszka i teraz korzystać; obojgu, iż jej bardzo przyjemnie, że się upaja Rzymem, że czyta *Cosmopolis*, że jest zakochana w willi Doria, w widoku z Pincio, że ma nadzieję, iż razem zobaczą katakumby, i że zna dzieła Rossiego w przekładzie Allarda. Po czym uściskał rękę Świrskiemu i uśmiechnąwszy się z kokieterią do Połanieckiego, wyszła oświadczać, że ustępuje miejsca godniejszej od siebie, i zastawiając wrażenie zawieruchy, Chinki i kwiatu. Pan Osnowski, człowiek bardzo młody, z nic nie znaczącą, ale dobrą twarzą jasnego blondyna, wyszedł za nią, nie zdoławszy prawie przemówić słowa.

Świrski odetchnął głęboko.

– O to burza – rzekł. – Mam z nią tysiąc trudności, by ją utrzymać dwie minuty w spokoju.

– A jaka interesująca twarz! – rzekła Marynia. – Czy wolno przyjrzeć się portretowi?

– Już mu niewiele brak, więc wolno – odrzekł Świrski.

Marynia i Połaniecki zbliżyli się do papieru i mogli, bez potrzeby sadzenia się na grzeczności, wyrazić swój podziw Świrskiemu. Ta głowa, malowana akwarelą, miała siłę i ciepło, olejnego obrazu, a zarazem była w niej cała istota duchowa pani Osnowskiej. Świrski słuchał spokojnie pochwał i znać było, że sam jest rad z własnej roboty. Następnie zakrył go i

odniósłszy w ciemny kąt pracowni usadził Marynię na przygotowanym krześle i począł się w nią wpatrywać.

Ją mieszał cokolwiek ów uparty wzrok i policzki jej poczęły się rumienić, ale Świrski uśmiechał się z zadowoleniem, mruczając:

– Tak! to inny typ... ziemia i niebo!

Chwilami przymykał jedno oko, co Marynię jeszcze bardziej mieszało, chwilami zbliżał się do papieru, to znów odstępował, znów się w nią wpatrywał i znów mówił jakby sam do siebie:

– Tam trzeba było wydobyć diabła, a tu kobiecość.

Na to Połaniecki rzekł:

– Skoro pan to tek od razu spostrzegł, to już jestem pewny arcydzieła.

Świrski przestał nagle spoglądać na papier i na Marynię – i zwróciwszy się ku Połanieckiemu uśmiechnął się wesoło, ukazując swoje zdrowe zęby.

– Co, panie! kobiecość – i swojska kobiecość, to główny charakter pani twarzy.

– I chwycił go pan, tak jak w tamtym portrecie chwycił pan diabła.

– Stasiu!! – rzekła Marynia.

– To nie ja wymyśliłem, to pan Świrski.

– Jeśli pan sobie życzy, to powiedzmy: diabełek – nie diabeł... I ładny diabełek, ale niebezpieczny. Ja malując obserwuję sobie rozmaite *rzeczy*. To ciekawy typ, pani Osnowska.

– Dlaczego?

– Czy pani zauważyła jej męża?

– Jakoś tak byłam nią zajęta, że nie miałam kiedy.

– Otóż, widzi pani, ona go tak zasłania, że go prawie nie widać, a co gorzej, to i ona go nie widzi, tymczasem jest to najpocziwszy w świecie chłopiec, ogromnie dobrze wychowany, niesłychanie delikatny, bardzo bogaty i wcale nie głupi, a w dodatku kocha ją do szaleństwa.

Tu Świrski począł rysować i powtórzył jakby przez dystrakcję:

– Ko-cha ją szal-enie... Niech pani trochę poprawi włosy koło ucha... Jeśli mąż pani także gawędziarz, to będzie w rozpacz, bo Bukacki utrzymuje, że jak się wezmę do roboty, to mi się usta nie zamykają i nikomu nie dam przyjść do słowa... Ona, widzi pani, może być sobie dotychczas czysta jak lza, ale jest kokietka... To zimne serce, a ognista głowa... Niebezpieczny rodzaj! o! niebezpieczny! Całymi tuzinami zjada książki – naturalnie francuskie... Uczy się z nich psychologii, dowiaduje się o temperamentach kobiecych, o kobiecej zagadkowości, szuka w sobie zagadek, których wcale w niej nie ma, odnajduje aspiracje, o których wczoraj nie wiedziała, deprawuje się umysłowo i tę deprawację uważa za rozum, a męża lekceważy.

– Ale pan straszny człowiek! – zauważyła Marynia.

– Panie, panie – rzekł Połaniecki – żona mi się jutro schowa ze strachu, jak nadejdzie chwila posiedzenia.

– Niech się nie chowa. To inny typ... Osnowski wcale nie jest głupi, ale ludzie, a zwłaszcza, za przeproszeniem, kobiety są tak niemądre, że jeśli czyjś rozum nie bije nikogo po głowie, jeśli mu trochę brak pewności siebie, jeśli nie drapie jak kot i nie rozcina jak nóż, to go nie cenią. Dalibóg, widziałem to sto razy w życiu!...

Po chwili przymknął znów jedno oko, popatrzył na Marynię i mówił dalej:

– W ogóle, jakie społeczeństwo ludzkie jest głupie! Ja nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego uczciwość charakteru, serce i taka rzecz jak dobroć bywają mniej cenione niż tak zwany rozum? Dlaczego w życiu społecznym istnieją dwie przeważnie etykiety: rozumny lub głupi, a na przykład nie ma zwyczaju mówić: cnotliwy i niecnotliwy – tak dalece nie ma zwyczaju, że już same wyrazy wydałyby się śmieszne.

– Bo – rzekł Połaniecki – rozum to jest latarka, którą sobie musi świecić i cnota, i dobroć, i serce – inaczej mogą sobie porozbijać nosy, a co gorsza, porozbijać nosy drugim.

Marynia nie rzekła wprawdzie ani słowa, ale z twarzy jej można było wyraźnie wyczytać:

– Jaki ten Staś mądry, to strach!

„Mądry Staś” tymczasem dodał:

– Ja zresztą nie mówię o Osnowskim, bo go nie znam.

– Osnowski – odrzekł Świrski – kocha żonę jak swoją żonę, jak swoje dziecko i jak swoje szczęście, a ona ma głowę zawróconą, Bóg wie czym i nie odplaca mu wzajemnością. Mnie, jako człowieka nieżonatego, zajmują bardzo kobiety, toteż nieraz po całych dniach mówimy, a zwłaszcza mówiliśmy o nich z Bukackim, póki i jego. więcej interesowały niż dziś. Bukacki dzieli kobiety na duchowe plebejuszki, przez (które rozumie liche i płaskie dusze – i na duchowe patrycjuszki, to jest natury wyszlachetnione, pełne wyższych aspiracji i wsparte nią zasadach, nie ma frazesach. Jest w tym pewna słuszność, ale ja wolę mój podział, bo jest prostszy: na wdzięczne serca i niewdzięczne.

Tu na chwilę oddalił się od szkicu, przymrużył oczy, po czym wzięwszy małe lusterko, nastawił je ku obrazowi i począł patrzeć na odbicie.

– Pani pyta, co ja rozumiem przez wdzięczne i niewdzięczne serca? – rzekł zwracając się do Maryni, jakkolwiek o to nie pytała. – Otóż wdzięczne serce jest takie, które czuje, gdy jest kochane, i wzrusza się miłością, i za kochanie coraz bardziej kocha, i coraz bardziej się oddaje, i ceni je, i czci. Niewdzięczne – wyzyskuje tylko miłość, i im jest pewniejsze, tym mniej sobie z niej robi, więcej ją lekceważy i depce... Kobiętę o niewdzięcznym sercu dość jest pokochać, by ona przestała kochać. Rybak nie troszczy się o rybę w matni – więc i pani Osnowska nie troszczy się o pana Osnowskiego. W gruncie rzeczy jest to najgrubsza forma egoizmu, jaka istnieje – po prostu murzyńska! – i dlatego niech Bóg strzeże pana Osnowskiego; a ją niech lichy porwie z jej chińskimi oczyma koloru fiołków i fryzowaną grzywką. Malować taką – dobrze! ale ożenić się z taką – nie ma głupich! Czy pani uwierzy, że ja się tak boję niewdzięcznego serca, że się dlatego dotąd nie ożenił, choć mi dobrze wydzwoniła czterdziestka.

– Przecie to tak łatwo poznać – rzekła Marynia.

A Świrski odrzekł:

– Licha tam! zwłaszcza gdy ktoś straci zmysły i rozum.

I przegiąwszy swoją atletyczną figurę, patrzył czas jakiś na szkic, po czym rzekł:

– No, dosyć na dziś! Nagadałem się też tak, że chyba muchy popadały ze ścian. Jutro, jak pani będzie miała tego nadto, to niech pani tylko, w dłonie kłaśnie... Ja zresztą tyle z panią Osnowską nie gadam, bo i ona lubi gadać... A co ja się nasłucham tytułów książek! No, mniejsza z tym! Coś jeszcze chciałem powiedzieć i zapomniałem... Aha! – że pani jest wdzięczne serce!

Połaniecki począł się śmiać i zaprosił Świrskiego na obiad, obleciawszy mu towarzystwo Bukackiego i profesora Waskowskiego.

– Z wielką radością – odpowiedział Świrski – ja jestem taki samotny jak dzik. A że jest pogoda i pełnia, więc potem pojedziemy oglądać Koloseum przy księżycu.

Obiad jednak odbył się bez umysłowych koziołków Bukackiego, albowiem ten czuł się niezdrów i napisał, że nie przyjdzie. Natomiast Świrski i Waskowski przystali do siebie wybornie i zaprzyjaźnili się od razu. Świrski tylko przy robocie nie pozwalał nikomu przyjść do słowa, w ogóle zaś lubił i umiał słuchać, a jakkolwiek profesor wraz ze swymi poglądami wydawał mu się czasem komiczny, jednak znać było w staruszku taką szczerą i dobroć, że trudno mógł sobie kogo nie zjednać. Artystę też uderzyła jego mistyczna twarz i wyraz oczu. Trochę go sobie w duszy szkicował i słuchając o Ariach myślał, jakby też wyglądała taka głowa, gdyby dobrze uchwycić wszystko, co w niej jest?

Pod koniec obiadu profesor jął rozpytywać Marynię, czyby nie chciała widzieć papieża, i oświadczył, że za trzy dni ma przybyć belgijska pielgrzymka, do której można by się

przyłączyć. Świrski, który znał cały Rzym i wszystkich monsiniorów, zaręczył, że potrafi to z łatwością przeprowadzić. Usłyszawszy to, profesor patrzył na niego i spytał:

- To pan prawie Rzymianin?
- Od szesnastu lat.
- Proszę!...

Tu profesor zmieszał się nieco z obawy, czy nie popełnia niedyskrecji, ale chcąc jednak wiedzieć, co ma sądzić o człowieku tak sympatycznym, przemógł nieśmiałość i spytał:

- A... czy z Kwirynału, czy z Watykanu?
- Z Pogębina – odpowiedział Świrski marszcząc nieco brwi.

Zakończenie obiadu przerwało dalsze objaśnienia i dalszą rozmowę. Marynia ledwie mogła dosiedzieć na myśl, iż zobaczy przy księżycu Kapitol, Forum i Koloseum. Jakoż w chwilę później pojechali przez oświetlone elektrycznością Corso ku ruinom.

Noc była cicha i ciepła, a koło Forum i Koloseum pusto zupełnie, jak zresztą czasem bywa i we dnie. W okolicach kościoła Santa Maria Liberatrice ktoś grał w otwartym oknie na flecie i w ciszy słychać było każdą nutę. Na przednią część Forum padał głęboki cień od wzgórza i gmachu kapitolinińskiego, ale dalsze plany były oblane jasnym, zieloniawym światłem, również jak i Koloseum, które z dala wydawało się jak srebrne. Gdy powóz zatrzymał się przy arkadach olbrzymiego cyrku, Połanieccy, Świrski i Waskowski weszli do wnętrza i poczęli się posuwać ku środkowi areny, omijając nagromadzone bliżej arkad gruzy, odłamy kolumn, fryzów, stosy cegieł, kamieni i niskie, stojące tu i owdzie cokoły. Pod wpływem milczenia i pustki słowa nie cisnęły się im do ust. Przez łuki arkad wchodziły do wnętrza snopy miesięcznego światła, które zdawało się spać cicho na podłożu areny, na przeciwległych murach, w szczerbach, rozpadlinach ścian, w załamaniach, na osrebrzonych mchach i bluszczach pokrywających tu i owdzie zwalisko. Inne części gmachu, pogrążone w nieprzebitym mroku, czyniły wrażenie czarnych i tajemniczych czeluści. Z położonych nisko kuniułów szło surowe tchnienie pustki. Rzeczywistość zacierała się wśród tego labiryntu i tej mieszaniny murów, arkad, świetlistych pasem i głębokich cieniów. Olbrzymia ruina zdawała się tracić swój byt realny i stawać się sennym widziadłem albo raczej jakimś dziwnym wrażeniem złożonym z ciszy, nocy, księżycy, ze smutku i ze wspomnień wielkiej a pełnej cierpienia i krwi przeszłości.

Świrski pierwszy począł mówić przyciszonym głosem:

– Ile tu bólu, ile łez, jaka niezmierna tragedia!... Niech sobie mówią, co chcą – w chrześcijaństwie tkwi coś nadludzkiego i tej myśli nie można się oprzeć.

Tu zwrócił się do Maryni i szeptał dalej:

– Niech pani sobie wyobrazi tamtą potęgę: cały świat, miliony ludzi, żelazne prawo, siłę, jakiej nigdy przedtem i potem nie widziano, organizację, jakiej nigdy nie było, wielkość, sławę, setki legionów, olbrzymie miasto, władające światem – i ten tam oto Palatyn władający miastem; zdawałoby się, że żadna moc ziemską tego nie obali – tymczasem przychodzi dwóch Żydów, Piotr i Paweł nie z bronią, lecz ze słowem – i patrz pani: tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże, krzyże i krzyże...

Znów nastąpiła cisza, tylko od strony Santa Maria Liberatrice zachodził ciągle głos fletu.

Po chwili profesor Waskowski rzekł wskazując na arenę:

– I tu był krzyż – ale oni go znieśli...

Lecz Połaniecki rozmyślał o słowach Świrskiego, miały one bowiem dla mego żywotniejsze znaczenie, niż mogłyby mieć dla, człowieka, który walkę duchową z sobą ukończył. Wreszcie idąc za biegiem własnych myśli rzekł:

– Tak, w tym tkwi coś nadludzkiego. Jakaś prawda świeci tu w oczy, jak ten księżyc.

Zwolna mieli się ku wyjściu, gdy wtem na zewnątrz zaturkotał powóz, potem w ciemnej niszy prowadzącej do środka cyrku dały się słyszeć kroki i jakieś dwie wysokie postacie wychyliły się z cienia na światło.

Jedna z nich przybrana w szarą suknię, która w blasku miesięcznym lśniła jak stal, zbliżywszy się na kilka kroków, by lepiej przypatrzeć się zwiedzającym, rzekła nagle:

– Dobry wieczór! Noc taka śliczna, że i my wybraliśmy się do Koloseum. Co za noc! Połaniecki rozpoznał głos pani Osnowskiej.

Ona zaś, podając mu rękę, mówiła głosem tak miękkim jak ów głos fletu dochodzący od strony kościoła:

– Zacznę wierzyć w przeczucia, bo doprawdy coś mi mówiło, że znajdę tu znajomych. Jaka noc śliczna!...

XV

Wróciwszy do hotelu Połanieccy znaleźli z pewnym zdziwieniem karty wizytowe państwa Osnowskich, a zdziwienie ich pochodziło stąd, że im to pierwszym, jako młodemu małżeństwu, należało składać wizyty. Na uprzejmość, i tak niezwykle, trzeba było odpowiedzieć równą uprzejmością, nazajutrz więc pokwapili się z rewizytą. Bukacki, który ich przedtem, widział, jakkolwiek mocno niezdrów i ledwie włóczący nogi, zdobył się wszelako na jeden ze swych zwykłych konceptów i rzekł Połanieckiemu, gdy na chwilę zostali sam na sam:

– Ona będzie cię kokietowała, ale jeśli przypuszczasz, że się w tobie zakocha, to się mylisz. W niej jest trochę podobieństwa do brzytwy – potrzeba jej paska do ostrzenia się, i w najlepszym razie będziesz dla niej paskiem.

– Naprzód, nie chcę być jej paskiem – odpowiedział Połaniecki – a po wtóre, jeszcze na to za wcześnie.

– Za wcześnie? To się znaczy, że sobie zabezpieczasz przyszłość.

– Nie, to znaczy, że myślę o czym innym, a także, że coraz więcej kocham swoją Marynię, tak że gdy skończy się: za wcześnie, będzie: za późno – i że pani Osnowska mogłaby się na mnie poszczerbić, ale nie wyostrzyć.

I Połaniecki mówiąc to był szczerym: myśli miał istotnie zajęte czym innym, w każdym zaś razie było na to za wcześnie.

Był zaś tak dalece pewny siebie, że jednocześnie czuł pewną gotowość poddania się próbie. Inaczej mówiąc, sprawiłoby mu to pewne zadowolenie, gdyby pani Osnowska się na nim poszczerbiła.

Tymczasem po śniadaniu pojechali z Marynią na posiedzenie do Świrskiego, które jednak krótko trwało, artysta bowiem był sędzią w jakimś konkursie artystycznym i musiał śpieszyć na posiedzenie. Gdy wrócili do siebie, w kwadrans później nadszedł pan Osnowski.

Połaniecki, po rozmowie ze Świrskim, wyniósł dla niego pewne politowanie, ale zarazem jakby lekceważenie, Marynia jednak czuła dla niego żywą sympatię. Ujęło ją to, co słyszała o jego dobroci, delikatności i przywiązaniu do żony. Teraz zdawało jej się, że te wszystkie przymioty są jakby wypisane na jego twarzy, wcale zresztą niebrzydkiej, chociaż tu i ówdzie pokrytej pryszczami.

Pan Osnowski powitawszy ich począł mówić z pewną swobodą człowieka przywykłego do dobrych towarzyszy:

– Ja tu przychodzę z polecenia żony z pewną propozycją. Chwała Bogu, że ceremonie wizytowe między nami skończone, chociaż za granicą nie warto się zbyt ściśle z tym rachować. Jest rzecz taka: chcemy dziś jechać do Świętego Pawła, a następnie do Tre Fontane. To już za miastem: ciekawy klasztor i śliczny stamtąd widok. Otóż byłoby nam bardzo przyjemnie, gdyby państwo zgodzili się razem odbyć tę wycieczkę.

Marynia zawsze gotowa była na wszelkie wycieczki, zwłaszcza w towarzystwie i przy miłej pogawędce, skutkiem czego poczęła spoglądać na męża czekając, co powie. Połaniecki zaś spostrzegł, iż ona ma ochotę, a prócz tego pomyślał w duchu: „Chcesz się trochę poszczerbić, to się poszczerb.”

I odrzekł:

– Ja zgodziłbym się chętnie, ale to zależy od mojej władzy wyższej.

Władza wyższa jeszcze nie była pewna, czy pokorny podwładny mówi to szczerze, ale widząc na jego twarzy uśmiech i dobry humor, ośmieliła się wreszcie zawyrokować:

– Z wielką wdzięcznością – tylko czy nie narobimy kłopotu?

– Nie kłopotu, ale przyjemności – odpowiedział Osnowski. – W takim razie doskonale! Za kwadrans tu będziemy.

Jakoż za kwadrans ruszyli. Chińskie oczy pani Osnowskiej pełne były zadowolenia i pogody. Ubrana w fularową suknię koloru irys i w jakieś okrycie, mogące uchodzić za ósmy cud świata, wyglądała rzeczywiście jak rusałka. I nim dojechali do Św. Pawła, Połaniecki sam nie wiedział, jakim sposobem pani Osnowska, która nic w tym przedmiocie nie mówiła, potrafiła mu jakoś powiedzieć, a przynajmniej dać do zrozumienia, co następuje:

„Twoja żona to sobie ot, miła, wiejska kobiecinka, o moim mężu nie ma co i mówić. Rozumieć się i dzielić wrażeniami możemy tylko my dwoje.”

Ale on ją postanowił drażnić.

Gdy dojechali do Św. Pawła, którego zresztą pani Osnowska nie nazywała inaczej, tylko *San Paolo fuori le Mura*, mąż jej chciał zatrzymać powóz, lecz ona rzekła:

– Zatrzymajmy się z powrotem, bo wówczas będziemy wiedzieli, ile nam czasu zostaje, a teraz jedźmy prosto do Tre Fontane.

Po czym zwróciwszy się do Połanieckiego mówiła dalej:

– Są też tu, w tym sławnym podwórzu, rozmaite rzeczy, o które chciałabym pana zapytać.

– To pani źle trafi – odpowiedział Połaniecki – bo ja się na tych rzeczach nic a nic nie znam.

Pokazało się wkrótce, przy mijaniu rozmaitych pamiątkowych miejscowości, że w całym towarzystwie zna się najlepiej pan Osnowski. Biedaczysko studiował od rana do wieczora przewodniki, dlatego by sam mógł być przewodnikiem żonie, a po części dlatego, żeby jej się przez swoją wiedzę podobać. Ale ona lekceważyła objaśnienia, jakich mógł udzielić, właśnie dlatego, że pochodziły od niego. Więcej jej przypadła do smaku zuchwała pewność siebie, z jaką Połaniecki przyznał się, iż o starożytnościach nie ma pojęcia.

Za Świętym Pawłem odkrył się widok na Kampanię, wraz z jej akweduktami zdającymi się biec jakby z pośpiechem do miasta i na Góry Albańskie przesłonięte błękitną mgłą oddalenia, zarazem spokojne i świetliste. Pani Osnowska patrzyła na nie czas jakiś rozmarzonym wzrokiem, po czym spytała:

– Czy państwo byli w Albano i w Nemi?

– Nie – odpowiedział Połaniecki – posiedzenia u Świrskiego przecinają nam dzień tak, że nie możemy czynić większych wycieczek przed ukończeniem portretu.

– Myśmy już byli, ale jak państwo wybiorą się tam, weźcie mnie jeszcze raz z sobą – weźcie mnie z sobą... Dobrze? Pani pozwoli? – dodała zwracając się do Maryni. – Będę trochę piątym kołem, ale to nic... Zresztą będę cichutko, cichutko siedzieć w kącie powozu i ani się odezwę – ani mrumru! Dobrze...

– Oj, mała, mała! – rzekł pan Osnowski.

A ona mówiła dalej:

– Mąż mój nie chce wierzyć, że zakochałam się w Nemi. A ja się zakochałam. Jak tam byłam, to mi się zdawało, że tam jeszcze chrześcijaństwo nie doszło, że nocami wychodzą jacyś kapłani i odprawiają nad jeziorem pogańskie obrzędy. Krótko powiem: cisza i tajemnica – oto Nemi. Czy pan uwierzy, że jak tam byłam, to mi ochota przyszła zostać pustelnicą – i

dotąd nie przeszła. Zbudowałabym sobie pustelnię nad brzegiem jeziora – i chodziłabym w długiej szarej sukni, podobnej do habitu świętego Franciszka z Asyżu – i bosy. Co bym dała, żeby zostać pustelnicą!... Widzę siebie nad jeziorem...

– Anetko, a co by się ze mną stało? – spytał pół żartem, pół poważnie pan Osnowski.

– Ty byś się pocieszył – odpowiedziała krótko.

Połaniecki zaś pomyślał:

– Byłabyś pustelnicą pod warunkiem, żeby na drugim brzegu jeziora stało parę tuzinów frantów i przypatrywało się przez lornetki, co pustelnica robi i jak wygląda.

Był zbyt dobrze wychowanym, żeby powiedzieć jej wprost to, co pomyślał, ale powiedział jej coś podobnego i co można było tak zrozumieć, a ona poczęła się śmiać i odrzekła:

– Naturalnie. Żyłabym z jałmużny, więc czasem musiałabym, ludzi widywać, i gdybyście państwo przyjechali do Nemi, przyszedłabym także do pana i powtarzałabym po cichutku: *Un soldo! un soldo!*

To rzekłszy wyciągnęła ku niemu swe drobne ręce i poczęła nimi potrząsać powtarzając z pokorą:

– *Un soldo per la povera! un soldo!...*

I patrzyła mu w oczy.

Pan Osnowski zaś mówił tymczasem Maryni:

– To się nazywa Tre Fontane, bo tam są trzy źródła. Tam był ścięty św. Paweł, i jest podanie, że głowa jego podskoczyła trzykrotnie i że na tych miejscach wytrysły źródła. To teraz należy do trapistów. Dawniej tam nie mogli nocować, taka była febra, ale teraz mniejsza, bo zasadzili na wzgórzach cały las eukaliptów. O! widać już stąd!

A pani Osnowska, przechylona nieco w tył, przymknęła na chwilę oczy i mówiła Połanieckiemu:

– Mnie to powietrze rzymskie upaja. Jestem jak nieprzytomna. W domu nie wymagam więcej od życia nad to, co mi daje, a tu się demoralizuję, tu czuję, że mi czegoś brak. Czy ja wiem czego? Tu się coś przeczuwa, coś odgaduje, za czymś tęsknił... Może to źle. Może niepotrzebnie to mówię? Ale ja zawsze mówię to, co mi przez myśl przejdzie. W domu, jak byłam mała, nazywali mnie Szczerotką. Poproszę męża, żeby mnie stąd wywiózł. Może najlepiej żyć w swojej ciasnej skorupce jak żółw albo jak ślimak.

Na to Połaniecki odrzekł poważnie:

– W skorupie może być dobrze ślimakom lub żółwiom, ale nie ptakom, i do tego rajskim, o których jest podanie, że nie mają nóg, i z tej przyczyny nie mogą nigdy spocząć, tylko muszą latać i latać.

– Jakie śliczne podanie... – odpowiedziała pani Osnowska.

I podniósłszy dłonie poczęła nimi poruszać udając puch skrzydeł i powtarzając:

– Tak ciągle w powietrzu, w powietrzu!

Pochlebilo jej porównanie, a zarazem zdziwiło ją to, że Połaniecki mówił z powagą w głosie, a zarazem z twarzą niedbałą i jakby ironiczną. Począł ją zajmować, bo wydał jej się bardziej inteligentnym i trudniejszym do opanowania, niż się spodziewała.

Tymczasem dojechali do Tre Fontane. Zwiedzili ogród, kościół i kaplicę, w której podziemiu biją trzy źródła. Pan Osnowski objaśniał swoim dobrym, trochę jednostajnym głosem, co przedtem wyczytał. Marynia słuchała go z zajęciem, Połaniecki zaś pomyślał:

„Jednakże żyć z nim trzysta sześćdziesiąt pięć dni na rok musi być trochę ciężko!”

Usprawiedliwiało to poniekąd w jego oczach panią Osnowska, która wzięwszy teraz na się nową rolę rajskiego ptaka, nie spoczęła na chwilę nie tylko nią ziemi, ale na żadnym przedmiocie. Naprzód napiła się likieru z eukaliptów, który klasztor wyrabia jako środek przeciw febrze, następnie oświadczyła stanowczo, że gdyby była mężczyzną, to by została trapistą; potem jednak przypomniała sobie, że uśmiechałby się jej zawód żeglarski, „ciągle między morzem a niebem – jakby za życia w nieskończoności”; wreszcie jednak nad

wszystkimi innymi wzięła w niej górę chęć zostania wielkim, bardzo wielkim pisarzem, który maluje najdrobniejsze poruszenia duszy, półświadome uczucia, niedopowiedziane pragnienia, wszystkie kształty, wszystkie kolory, wszystkie cienie. Zgromadzeni dowiedzieli się też pod sekretem, że pisze swój pamiętnik, który „pocziwy Józio” uważa za arcydzieło, ale ona wie, że to jest nic, nie ma najmniejszych pretensji i wyśmiewa się i z Józia, i z pamiętnika.

„Józio” zaś patrzył na nią rozkochanymi oczyma, z wielką miłością na popryszczanej twarzy, i powtarzał protestując:

– A co do pamiętnika, to przepraszam, bardzo przepraszam!

Wyjechali już pod zachód. Od drzew kładły się długie cienie, słońce stało się wielkie i czerwone. Dalekie akwedukty i Góry Albańskie świeciły różowo. Byli w połowie drogi, gdy z wieży Św. Pawła zadzwoniono na *Anioł Pański* – i wnet za tym dzwonem ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty. Każdy kościół podawał głos następnemu i zrobił się chór tak ogromny, tak rozdzwiewało się całe powietrze, jakby na *Anioł* dzwoniło nie tylko miasto, ale cała okolica, równiny i góry.

Połaniecki spojrział na oświeconą złotym blaskiem twarz Maryni. Był w niej wielki spokój i skupienie. Widać było doskonale, że tak sobie teraz odmawia *Anioł Pański*, jak odmawiała w Krzemieniu, gdy dzwoniono w Wątorach. Zawsze i wszędzie jednak. Połanieckiemu przypomniawszy się znów „służba boża”. Wydało mu się to talk proste i uspakajające jak nigdy. Ale zarazem, teraz, zbliżając się do miasta zrozumiał trwałość, żywotność i ogrom tych wierzeń. „To wszystko – pomyślał – przecie tak trwa od półtora tysiąca lat i nie w czym innym moc i niepożytość tego miasta, tylko w tych wieżach, dzwonach, w tej stateczności krzyża, który trwa i trwa.” Tu znów przypomniawszy mu się słowa Świrskiego: „Tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże i krzyże!” wydało mu się niewątpliwym, że w samej tej trwałości jest coś nadludzkiego. Tymczasem dzwony biły, a niebo nad miastem oblewało się zorzą. Pod wrażeniem modlącej się Maryni i dzwonów, i tego niespornego nastroju, który zdawał się unosić nad miastem i całą ziemią, w Połanieckim, który miał wiele duchowej prostoty, poczęła się wyłaniać następna myśl: „Jakim musiałbym być głupcem i pyszałkiem, gdybym wobec tej potrzeby wiary i tego poczucia Boga miał szukać jakichś swoich własnych form czci i miłości, zamiast przyjąć te, które Marynia nazywa «służbą bożą» i które muszą być jednak najlepsze, skoro świat żyje w nich od blisko dwóch tysięcy lat...” Po czym, jako człowieka praktycznego, uderzyła go rozsądna strona tej myśli, i jął dalej mówić sobie, niemal wesoło: „Z jednej strony tradycja tysięcy lat, życie Bóg wie ilu pokoleń, Bóg wie ilu społeczeństw, którym było i jest w tych formach dobrze, powaga – Bóg wie ilu głów, które uważają je za jedyne – z drugiej strony, kto taki! – ja! współnik domu komisowego pod firmą Bigiel i Połaniecki! – i ja miałbym mieć pretensję, że wymyślę coś lepszego, w co się Pan Bóg lepiej pomieści? Toż trzeba by chyba być durniem! Ja przecie jestem z sobą szczerzy człowiek i nie zniósłbym, gdyby mi przychodziło od czasu do czasu na myśl, że jednak jestem kiep. A do tego, tak wierzyła moja matka i tak wierzy moja żona – a nie widziałem w nikim więcej spokoju jak w nich.”

Tu spojrział raz i drugi na Marynię, a ona widocznie skończyła swój *Anioł Pański*, bo uśmiechnęła mu się na odpowiedź i spytała:

– Coś ty taki milczący?

– Wszyscy milczymy – odpowiedział.

I tak było, ale z różnych przyczyn. W czasie gdy Połaniecki był zajęty swymi myślami, pani Osnowska zagabnęła go kilkakrotnie i oczyma, i słowami. On jednak na słowa odpowiadał coś piąte przez dziesiąte – spojrzeń zaś wcale nie zauważył – i po prostu obraził ją; mogła mu przebaczyć, a nawet mogło jej się podobać, gdy na oznajmienie, że pragnęłaby być zakonnica, odpowiedział jej ukrytym w grzecznych słowach zuchwalstwem, ale dotknęło ją śmiertelnie, gdy po prostu przestał na nią zważać – i za karę również przestała na niego zważać.

Ale, jako osoba dobrze wychowana, stała się tym grzeczniejszą dla Maryni. Poczęła ją wypytywać o jutrzejsze zamiary i dowiedziawszy się, że mają być w Watykanie, oświadczyła, że i oni z mężem mają karty wstępu i że również skorzystają ze sposobności.

– Pani wie, jak trzeba być ubraną? – spytała – czarna suknia i na głowie czarna koronka. Trochę się staro w tym wygląda, ale to nieodzowne.

– Wiem, przestrzegał mnie pan Świrski – odpowiedziała pani Połaniecka.

– Pan Świrski ciągle mi w czasie posiedzeń o pani opowiada. On ma dla pani ogromną sympatię.

– I ja dla niego – rzekła Marynia.

W czasie tej rozmowy zajęchali przed hotel. Połaniecki otrzymał od pięknej pani tak lekki i oziębły uścisk ręki, że jakkolwiek głowę miał zajęta czym innym, jednak to zauważył.

„Czy to jest nowy sposób – pomyślał – czy też ja powiedziałem coś, co jej się nie podobało?”

I wieczorem spytał Marynię:

– Co myślisz o pani Osnowskiej?

– Myślę – odrzekła – że pan Świrski może mieć trochę słuszności.

A Połaniecki odpowiedział:

– Ona w tej chwili pisze pamiętnik, który „Józio” uważa za arcydzieło...

XVI

Nazajutrz, gdy Marynia wyszła ubrana do męża, w ledwie ją poznał. Ubrana w czarną suknię i w czarnej koronce na głowie wydawała mu się wyższą, szczuplejszą, smaglejszą i starszą. Ale podobała mu się pewna w niej powaga, która przypomniała mu chwilę ślubu. W pół godziny później wyjechali. Marynia przyznała mu się po drodze do strachu i do bicia serca, on zaś uspokajał ją żartując, chociaż także był nieco wzruszony, a gdy po krótkiej drodze wjechali w olbrzymie półkole przed Św. Piotrem, czuł, że i jemu pulsa nie biją jak co dzień, a prócz tego miał takie dziwne wrażenie, jakby był mniejszy niż zwykle. U schodów, przy których stało kilku szwajcarów przybranych w przepyszne, obmyślane przez Michała Anioła ubiory, znaleźli Świrskiego, który wprowadził ich na górę, wraz z tłumem ludzi, przeważnie Belgów. Marynia, trochę ogłuszona, sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w bardzo obszernej sali, w której tłum był jeszcze większy, z wyjątkiem w środku, gdzie szwajcarowie, ustawieni w szpaler, utrzymywali szerokie wolne przejście. Tłumy, między którymi słychać było język francuski i flamandzki, szepecząc między sobą zniżonymi głosami, zwracały głowy i oczy ku temu przejściu, w którym zjawiały się od czasu do czasu przez drzwi przyległej sali postacie w dziwnych kostiumach, przenoszących Połanieckiego myślą do galerii antwerpskich lub brukselskich. Zdawało mu się, że średnie wieki zmartwychwstają: czasem więc był to jakby jakiś rycerz średniowieczny, w innym wprawdzie hełmie niż na dawnych obrazach, ale ze stałą na piersiach; czasem niby herold w krótkiej czerwonej dalmatyce i w czerwonym na głowie berecie; chwilami przez uchylone drzwi migwały purpury kardynalskie lub fiolety biskupie, strusie pióra, koronka, na czarnych aksamitach i głowy niezmiernie sędziwe, o białych włosach, lub twarze jakby z sarkofagów. A jednak znać było, że spojrzenia tłumów padają na te osobliwe stroje, na te barwy i na te twarze, jakby mimochodem, że oczy szukają czegoś innego, wyższego, i czegoś innego serca, że uwaga skupia się w myślach, a uczucie w duszach, w oczekiwaniu jakiejś chwili, którą się w życiu raz ma, a na zawsze pamięta. Połaniecki trzymając Marynię za rękę, by jej nie zgubić w tłumie, czuł, jak ta ręka drży ze wzruszenia, sam, zaś, wśród tych cichych tłumów, wśród tej powagi historycznej i jakby zmartwychwstałych prastarych czasów, wśród tego skupienia i

oczekiwania – doznał znów tego dziwnego wrażenia, że staje się coraz mniejszy i mniejszy, i tak mały jak nigdy w życiu.

Wtem jakiś głos cichy i nieco zdyszany szepnął przy nich:

– Upatrywałem was i ledwie znalazłem. Zdaje się, że to już będzie zaraz.

Ale to nie miało być jeszcze zaraz Świrskiego tymczasem powitał znajomy Monsinior i pomówiwszy z nim kilka słów, wprowadził uprzejmie całe towarzystwo do przyległej sali, obitej czerwonym adamaszkiem. Połaniecki ze zdziwieniem spostrzegł, że i tu już było pełno ludzi, z wyjątkiem jednego końca sali, który osłaniała straż honorowa, a w którym stało na podwyższeniu krzesło, przed nim zaś kilku prałatów i biskupów rozmawiających z sobą poufnie. Tu oczekiwanie i skupienie wpadało w oczy jeszcze wyraźniej. Widać było, że ludzie wstrzymują oddechy i że wszystkie twarze mają uroczysty i tajemniczy wyraz. Błękitna jasność dnia, pomieszana z purpurowymi odbłaskami obicia, nappełniała tę salę jakimś niezwykłym światłem, w którym promienie słońca, wdzierające się tu i owdzie przez szyby, wydawały się bardziej rumiane i jakby czerwiejsze.

Czekali jeszcze przez czas jakiś, na koniec w pierwszej sali dał się słyszeć szmer, potem pomruk, potem okrzyk, na koniec w otwartych bocznych drzwiach ukazała się biała postać niesiona przez gwardzistów szlacheckich. Ręka Maryni ścisnęła nerwowo dłoń Połanieckiego, ów zaś oddał jej ten uścisk, i wrażenia szybkie, zlewające się w jedno ogólne poczucie jakiejś wyjątkowej i uroczystej chwili, poczęły cisnąć się tak do jego umysłu jak w czasie ślubu.

Jeden z kardynałów począł przemawiać, lecz Połaniecki nie słyszał i nie rozumiał jego przemowy. Jego oczy, myśl i cała dusza były przy przybranej białej postaci. Nic z niej nie uchodziło jego uwagi. Uderzyło go jej niesłychane wycieńczenie, szczupłość, chudość i twarz tak blada, a zarazem tak przezrocza, jak bywają twarze umarłe. Było w niej coś bezcielesnego, a przynajmniej wydała mu się na wpół tylko ciałem, a na wpół tylko zjawiskiem; jakby tylko światłem przeświecającym przez alabaster, jakby duchem wszczepionym w jakąś przezrocza materię, jakby pośrednim ogniwem między dwoma światami, ogniwem ludzkim jeszcze, lecz już i nadludzkim, ziemskim dotąd, ale zarazem nadziemskim. I przez dziwną antytezę materia w niej wydawała się czymś widziadłowym, duch czymś realnym.

Potem gdy ludzie poczęli zbliżać się do niej po błogosławieństwo, gdy Połaniecki zobaczył u stóp jej swoją Marynię, gdy uczył, że do tych kolan, na wpół już emipirejskich, można zarazem pochylić się jak do ojcowskich, ogarnęło go silniejsze nad wszystko wzruszenie, oczy mu zaszyły mgłą i prawda! – nigdy w życiu nie czuł się tak małym ziarnkiem piasku, ale zarazem uczył się ziarnkiem piasku, w którym bije wdzięczne serce dziecka.

Po wyjściu wszyscy byli milczący. Marynia miała oczy jakby rozbudzone ze snu; profesorowi Wąskowskiemu trzęsły się ręce; na śniadanie przywłókł się Bukacki, ale sam będąc chory, nie potrafił nikogo rozgadać; nawet Świrski mało gawędził podczas posiedzenia – i tylko, wracając ciągle do tego samego przedmiotu, od czasu do czasu powtarzał:

– Tak, tak! Kto tego nie widział, ten nie może mieć o tym żadnego pojęcia. To zostaje.

Wieczorem Połaniecki z Marynią poszli oglądać zachód słońca z Trinita dei Monti. Dzień kończył się bardzo pogodnie. Miasto całe pogrążone było jakby w rozpylnym złotym blasku; pod ich stopami, hen, w dole, na Piazza d'Espagna, poczynał się już zmierzch, ale zmierzch jeszcze świetlisty, w którego łagodnych tonach widać było bzy, irysy i białe lilie w wystawach kwiatowych po obu stronach Condotti. W całym obrazie był jakiś wielki i niezmacony spokój, jakby kojąca zapowiedź nocy i snu. Potem plac Hiszpański począł coraz bardziej zanurzać się w cień, tylko Trinita świeciła ciągle purpurowo.

I Połaniecki, i Marynia odczuli ten spokój w sobie. Zstępowała teraz z olbrzymich schodów z jakimś dziwnym uczuciem ciszy w duszach. Wszystkie wrażenia dnia układały się w nich w linie tak wielkie i spokojne jak owe pasma zorzy, która świeciła jeszcze nad nimi. Połaniecki wreszcie rzekł:

– Wiesz, co ja pamiętam jeszcze z dziecinnych lat? – ze u nas w domu mówiło się pacierz wieczorny zawsze razem.

I począł patrzeć pytającym wzrokiem w jej oczy.

A, mój Stachu! – odrzekła głosem, w którym drgało wzruszenie – ja ci tylko nie śmiałam o tym mówić... mój najlepszy!

On zaś odrzekł:

– „Służba boża!” – czy pamiętasz?

Lecz ona powiedziała to niegdyś z taką prostotą i jako rzecz, która tak bardzo rozumiała się sama przez się, że teraz nie pamiętała nic a nic.

XVII

Połaniecki ciągle jednak był w niełasce u pani Osnowskiej. Spotykając się z nim u Świrskiego między jednym posiedzeniem a drugim, mówiła z nim tylko tyle, ile nakazywało jej dobre wychowanie i grzeczność. Połaniecki widział to doskonale, czasem pytał się siebie: „Czego ona ode mnie chce?” – i niewiele sobie z tego robił, a byłby jeszcze mniej robił, gdyby jednak pani Osnowska zamiast dwudziestu ośmiu miała pięćdziesiąt osiem lat, gdyby nie posiadała tak fiołkowych oczu i tak wiśniowych ust. I taka jest natura ludzka, że pomimo iż rzeczywiście niczego od niej nie chciał i nie wyglądał, nie mógł wstrzymać się od myślenia, co by być mogło, gdyby istotnie starał się o jej łaski, i do czego ona byłaby zdolną się posunąć.

Odbyli we czworo jeszcze jedną przejażdżkę do katakumb Św. Kaliksta, Połaniecki bowiem chciał się wypłacić grzecznością za grzeczność, to jest powozem za powóz. Ale wycieczka ta nie przyniosła zgody. Rozmawiali tylko o tyle, żeby nie zwrócić na siebie uwagi – i jego wreszcie zaczęło to gniewać. Rzeczywiście, to zachowanie się pani Osnowskiej wytwarzało między nimi szczególny stosunek, niby niechętny, ale im tylko wiadomy, zatem coś wyłącznego między nimi, jakiś rodzaj tajemnicy, do której nikt inny nie był dopuszczany. Połaniecki sądził, że wreszcie wszystko to urwie się z chwilą, gdy koło jej portretu nic już nie będzie do roboty, ale tymczasem, choć twarz była już dawno skończona, pozostawało dużo innych drobnych szczegółów, dla których obecność uroczej modelki okazywała się niezbędną.

Składało się zaś znowu tak choćby z tej prostej przyczyny, że Świrski nie chciał tracić czasu, że gdy Połanieccy przychodzili, państwo Osnowscy byli jeszcze w pracowni. Czasem też pozostawali nieco, dla powitania się i krótkiej pogawędki o wczorajszych wrażeniach, czasem pan Osnowski bywał wysyłany przez żonę za jakąś sprawą lub po jakieś wiadomości – wówczas wychodził naprzód, zostawiając jej powóz przed pracownią.

I raz zdarzyło się, że gdy Marynia już zasiadła do pozowania, pani Osnowska jeszcze nie była wyszła; przez chwilę, dowiedziawszy się, że Połanieccy byli zeszłego wieczoru w teatrze, wypytywała się, nakładając przed lustrem kapelusz i rękawiczki, o śpiewaków i o operę – po czym, zwróciwszy się do Połanieckiego, rzekła:

– A teraz poproszę o odprowadzenie mnie do powozu.

I zarzuciwszy okrycie poczęła szukać wstążek przyszytych z tyłu do podszewki, żeby je zawiązać w pasie, ale w przedpokoju zatrzymała się nagle.

– Nie mogę przez rękawiczki znaleźć wstążek – rzekła – niech się pan zmiłuje nade mną!

Połaniecki począł szukać, ale przy tym musiał ją niemal objąć. Przez chwilę oblał go war żądz, tym bardziej że pochyliła się ku niemu tak, że ciepło od jej twarzy i ciała poczęło na niego bić.

Ona zaś zapytała półgłosem:

– Czemu się pan gniewa na mnie? To źle! Ja tak potrzebuję przyjaznych dusz! Co ja panu zrobiłam?

On tymczasem znalazł wstążki, odsunął się, ochłonął i z tym nieco grubym zadowoleniem człowieka szorstkiego, który chce wyzyskać swój tryumf i zaznaczyć, że się nie dał – odpowiedział jej po prostu impertynencją:

– Pani mi nic nie zrobiła – i nic nie może zrobić.

Lecz ona odbiła niegrzeczność, jakby piłkę w tenisie:

– Bo tak mało czasem zważam na ludzi, że ich prawie nie widzę.

Po czym poszli w milczeniu aż do powozu.

„A więc to tak? – myślał wracając do pracowni Połaniecki – więc tam by się można posunąć tak daleko, jak się podoba!”

I znów przebiegł go dreszcz od stóp do głowy.

„...Tak daleko, jak się podoba...” – powtórzył.

Przy czym nie zdał sobie sprawy, że popełnia omyłkę, jaką popełniają codziennie tuziny mężczyzn, miłośników polowania na cudzych gruntach. Pani Osnowska była, kokietką, miała oschłe serce i zniecierpliwiony już umysł, ale była jeszcze o sto mil od zupełnego fizycznego upadku.

Tymczasem wrócił do pracowni z uczuciem, że uczynił dla Maryni jakąś ogromną ofiarę, i z pewnym żalem w sercu, naprzód z tego powodu, że ona o tym wiedzieć nie będzie, a po wtóre, że choćby się dowiedziała, to by jego postępek uważała za zupełnie prosty. To poczucie gniewało go i gdy spojrzał na nią, na czyste jej oczy, na twarz jej spokojną i piękną uczciwą pięknnością, mimo woli porównanie tych dwóch kobiet nasunęło mu się na myśl i w duszy powiedział sobie:

„Ach, Marynia! taka wolałaby się w ziemię zapaść! tej można być pewnym!”

I rzecz szczególna. Było w tym niewątpliwie uzna nie ale był zarazem odcień politowania i jakby rozdrażnienia. Była to dusza tak bardzo jego, iż nie czuł się w obowiązku do ustawicznego podziwu nad jej wartością.

I przez resztę posiedzenia wracał ustawicznie myślą do pani Osnowskiej. Przypuszczał, że w przyszłości przestanie mu po prostu rękę podawać, i pokazało się, iż się znów omylił. Przeciwnie, chcąc mu dowieść, że nie przywiązuje żadnej wagi do niego ani do jego słów, była z nim grzeczniejsza niż przedtem. Tylko pan Osnowski miał minę obrażoną i stawał się dla niego z każdym dniem bardziej lodowaty – zapewne wskutek rozmów z „Anetką”.

Lecz w kilka dni później innego rodzaju wrażenia zatarły to zajście w pamięci Połanieckiego. Bukacki od dawna ciągle był niezdrów; narzekał coraz bardziej na ból głowy z tyłu czaszki i na jakieś dziwne uczucie, jakby rozbratu z własnymi mięśniami. Humor jego odzywał się jeszcze czasem, ale wybuchał i gasł jak ogniotrysk. Coraz rzadziej przychodził na wspólne obiady w hotelu. Na koniec któregoś ranka Połaniecki odebrał jego kartkę, skreśloną bardzo niepewną ręką, a w niej słowa:

„Mój drogi, zdaje się, że od dzisiejszej nocy jestem na wsiadany. Jeśli chcesz widzieć odjazd, to przyjdź do mnie, zwłaszcza w braku czego lepszego do roboty.”

Połaniecki zataił kartkę przed Marynią, ale poszedł natychmiast. Zastał Bukackiego w łóżku, a przy nim lekarza, którego zresztą Bukacki natychmiast odprawił.

– Przestraszyłeś mnie okropnie – rzekł Połaniecki – co ci jest?

– Nic wielkiego: małe paraliżki lewej części ciała.

– Bójże się Boga!

– Rozumnie mówisz! Jeśli kiedy była pora po temu, to teraz. Nie mam władzy w lewej ręce, w lewej nodze – i nie mogę wstać. Takem się obudził dziś rano. Myślałem, że straciłem mowę, i zacząłem sobie deklamować: *Per me si va* – ale jak widzisz – nie! Język został – a teraz pracuję nad odzyskaniem pogody myśli.

– Czyś ty tylko pewny, że to paraliż? Może to chwilowe odrętwienie.

– „Czym jest życie? ach, chwilką tylko!” – zaczął deklamować Bukacki. – Nie mogę się ruszać i skończyło się – albo jeśli wolisz: zaczęło się!

– To by była okropna rzecz, ale ja w to nie wierzę. Każdy może na czas jakiś zdrętwieć.

– Bywają chwile w życiu nieco przykre, jak mówił karaś, którego kucharka oskrobywała nożem z łuski. Przyznaję ci się, że w pierwszej chwili strach mnie zdjął. Czy ty miałeś kiedy uczucie podnoszenia się włosów na głowie? Niezupełnie ono da się policzyć do uczuć rozkosznych. Ale teraz przyszedłem już do równowagi i po trzech godzinach wydaje mi się, że sobie żyję z moim paraliżem od dziesięciu lat. Kwestia przyzwyczajenia! – jak mówił rydz ma patelni. Dużo gadam, bo nie mam wiele czasu. Czy ty wiesz, mój drogi, że ja za parę dni umrę?

– Prawdziwie gadasz! Ludzie sparaliżowani żyją po trzydzieści lat.

Bukacki odpowiedział:

– Nawet po czterdzieści! Paraliż jest to poniekąd luksus, na jaki sobie mogą niektórzy pozwolić – ale nie tacy jak ja. Dla tęgiego człowieka, który ma porządną kark, porządne plecy i porządne łydki, to może być nawet rodzajem wypoczynku, rodzajem wywczasu po wesołej młodości – i sposobnością do rozmyślań – ale dla mnie! Pamiętasz, jakieś wyśmiewał moje łydki? Otóż powiadam ci, że miałem wówczas, elefantiasis w porównaniu z tym, co dziś jest. To nieprawda, że każdy człowiek jest bryłą – ja jestem tylko linią – i do tego linią, idącą – bez żartów – w n i e s k o ń c z o n o ś ć !...

Połaniecki zaczął się zżymać, zaprzeczać, powoływać się na znane sobie przykłady, lecz Bukacki odparł:

– Daj pokój! ja czuję i wiem, że za parę dni przyjdzie paraliż mózgu. Nie mówiłem nikomu, że ja się od roku tego spodziewałem i od roku czytałem medyczne książki... Przyjdzie drugi atak, i będzie koniec!

Tu umilkł, lecz po chwili zaczął znów mówić:

– I czy myślisz, że ja tego nie wolę! Pomyśl, że ja jestem samotny jak odcięty od ręki palec. Nie mam nikogo... Tu, a nawet w Warszawie, mogliby mnie pilnować tylko ludzie płatni. To ogromnie podłe życie, bez ruchu i bez żywego ducha bliźniego. Gdy stracę mowę, jak straciłem ruch, to pierwsza lepsza dozorczyńca albo pierwszy lepszy dozorca będzie mnie mógł po fizjonomii bić, ile mu się podoba. A trzeba ci wiedzieć jedną rzecz. Złąłem się w pierwszej chwili paraliżu, ale w moim marnym ciele siedzi harda dusza – przypomnij sobie, com ci mówił, że się śmierci nie boję – i nie boję się!

Tu w oczach Bukackiego mignął jakiś płowy odblask odwagi i energii ukrytej gdzieś na dnie tej zwichniętej i rozmiękczonej duszy.

Lecz Połaniecki, który miał dobre serce, położył rękę na jego sparaliżowanej dłoni i rzekł z wielką serdecznością:

– Mój Adziu! Nie przypuszczaj tylko, że cię tak zostawimy, jak jesteś – i nie mów, że nie masz nikogo. Masz mnie, a oprócz mnie i moją żonę, i Świrskiego, i Waskowskiego, i Bigielów. Dla nas nie jesteś obcy. Przewiozę cię do Warszawy, umieszczę w domu zdrowia i będziemy cię doglądali, a po pysku żaden dozorca nie będzie cię bił – naprzód dlatego, że ja bym każdemu kości połamał, a po wtóre, że u nas są szarytki, a między nimi pani Emilia.

Bukacki umilkł i trochę pobladł. Był i on więcej wzruszony, niż chciał okazać. Przez oczy przeszedł mu cień. Po dłuższym milczeniu rzekł:

– Ty jesteś dobry chłopak. I sam nie wiesz, że dokazałeś cudu, boś dokazał, że jeszcze czegoś chcę... Tak, ogromnie bym chciał do Warszawy – między was wszystkich. Ogromnie bym się cieszył na Warszawę!...

– Trzeba, żebyś i tu zaraz przeniósł się do jakiego domu zdrowia pod stały nadzór. Świrski powinien wiedzieć, gdzie najlepiej. Tymczasem oddaj mi się w łapy – dobrze? Pozwól, że ja się za ciebie rozporządę.

– Rób, co chcesz – odpowiedział Bukacki, w którego, na widok nowych planów i energii Połanieckiego, poczęła wstępować otucha.

Połaniecki napisał do Świrskiego, do Waskowskiego i wysłał natychmiast posłańców. W pół godziny zjawili się obaj, a Świrski ze słynnym miejscowym lekarzem – i jeszcze przed południem Bukacki znalazł się w domu zdrowia, w jasnym i wesołym pokoju.

– Jaki to łagodny i ciepły ton – rzekł spoglądając na złotawy kolor ścian i pułapu. – To ładne.

Po czym zwrócił się do Połanieckiego:

– Przyjdź do mnie wieczorem – rzekł – a teraz idź do żony.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Przyszedłszy do domu, opowiedział ostrożnie Maryni cały wypadek, nie chciał jej bowiem przestraszać nagłą wieścią, przypuszczając, że może być w stanie odmiennym. Marynia poczęła go prosić, by zabrał ją do Bukackiego, jeśli nie wieczorem, to nazajutrz rano – co przyrzekł uczynić. Wybrali się też zaraz po śniadaniu, gdyż posiedzenia tego dnia nie było.

Ale przedtem profesor Waskowski nie odstępował Bukackiego ani na chwilę. Gdy chory zagospodarował się już w nowym łóżku, w domu zdrowia, starszek począł mu opowiadać, jak raz myślał już, że umrze, ale po spowiedzi i po przyjęciu sakramentów zrobiło mu się jakby cudem lepiej.

– Znana metoda, kochany profesorze – odpowiedział z uśmiechem Bukacki – i wiem, o co panu chodzi.

A profesor zmieszał się, jakby złapany na złym uczynku – i złożył ręce.

– Bo ja się założę, że to by ci pomogło! – rzekł.

Bukacki zaś odpowiedział z odbłyskiem dawnego humoru:

– Dobrze, za parę dni przekonam się, o ile mi to pomoże – z tamtej strony rzeki.

Przybycie Maryni ucieszyło go tym bardziej, że było dla niego niespodzianką. Począł mówić, że nie spodziewał się już po tej stronie rzeki zobaczyć żadnej kobiety, a do tego swojej. Trochę przy tym na wszystkich zrzędził, ale z widocznym wzruszeniem.

– Co to za romantycy! – mówił. – To jest wprost. brak rozsądku zajmować się takim kościanym dziadkiem jak ja. Wy nigdy nie potraficie być rozsądni. Po co to? na co? Oto jeszcze przed śmiercią muszę być wdzięczny – i jestem wdzięczny – szczerze – bardzo szczerze!...

Ale Marynia nie dała mu mówić o śmierci, natomiast z wielkim spokojem mówiła o konieczności przeniesienia się do Warszawy, między swoich; mówiła o tym, jak o rzeczy, której możliwość wykonania nie podlega najmniejszej wątpliwości, i potrafiła z wolna wszczepić to przekonanie w Bukackiego. Dawała mu rady, jak ma się urządzać, a on w końcu słuchał ich chciwie. Myśli jego przeszły w jakiś stan folgi, w którym dały sobą powodować. Czuł się jakby dzieckiem, i do tego biednym dzieckiem.

Tegoż samego dnia odwiedził go Jeszcze pan Osnowski i ten również okazał mu tyle zajęcia i serca, ile mógł okazać rodzony brat. Bukacki wprost się tego wszystkiego nie spodziewał i na nic podobnego nie liczył. Toteż gdy późnym wieczorem przyszedł jeszcze raz Połaniecki i gdy zastali sam na sam, rzekł:

– Powiem ci teraz szczerze: nigdy lepiej nie czułem, że z życia zrobiłem głupią farsę i że je zmarnowałem jak pies.

Po chwili zaś dodał:

– I gdybym był chociaż znajdował prawdziwe upodobanie w tej metodzie, według której żyłem – ale i to nie. Jaka głupia ta nasza epoka! Człowiek się rozdwa: wszystko, co w nim lepsze, chowa i zatyka gdzieś w kąty, a staje się jakąś małpą czy pajacem, i to gorzkim pajacem, a w dodatku często nieszczerym. Więcej wmawiać w siebie marność życia niż ją odczuwać – jakie to dziwne! Jedna rzecz mnie pociesza, że czymś naprawdę rzeczywistym w

życiu jest tylko śmierć – chociaż z drugiej strony, to znów nie racja, żeby przedtem, nim ona przyjdzie, mówić na wino, że to ocet...

– Mój kochany – odpowiedział Połaniecki – tyś się zawsze męczył tym ciągłym nawijaniem myśli na byle motek. Nie czyńże tego teraz.

– Masz słuszość. Ale nie mogę o tym nie myśleć, że pókim chodził i był jako tako zdrowy, drwiłem z życia, a teraz – powiem ci pod sekretem – ja mam ochotę jeszcze żyć.

– I będziesz.

– Ej, daj spokój. Żona twoja mi to wmówiła – ale teraz znów nie wierzę. I ciężko mi. Zmarnowałem się. Ale słuchaj, dlaczego chciałem z tobą mówić. Nie wiem, czy czeka mnie jakiś obrachunek czy nie? Szczerze ci mówię: nie wiem! – a jednak mam jakiś dziwny niepokój, jakbym się czegoś bał – i powiem ci czego: oto, że ja tam, dla swoich, nic nie zrobiłem, a mogłem! mogłem!... Przed tą myślą strach mnie bierze – daję ci słowo! To jest niegodna rzecz! Nic nie zrobiłem: zjadałem darmo, chleb, a teraz... śmierć. Jeśli są jakie baty i jeśli mnie czekają, to za to – i słuchaj, Stachu – ciężko mi!...

Tu, jakikolwiek mówił zwykłym sobie, niedbałym tonem, twarz jego poczęła wyrażać istotny niepokój – usta pobladły mu nieco, a na czole osiadło kilka kropel potu.

– Dajże pokój! – rzekł Połaniecki. – Ot, co mu do głowy przychodzi! Szkodzisz sobie!

Lecz Bukacki mówił dalej:

– Słuchaj, czekaj! Ja mam dość znaczny majątek – niech choć on coś zrobi za mnie. Ja tobie zostawię część, ale ty resztą rozporządź na coś pożytecznego! Ty jesteś praktyczny i Bigiel także. Namyślcie się, bo ja nie wiem, czy będę miał czas. Zrobisz to?

– I to, i co chcesz!

– Dziękuję ci: Jaki to dziwny tego rodzaju niepokój i tego rodzaju wyrzuty? A jednak nie mogę się pozbyć poczucia winy. Takie warunki, że nie godzi się! Trzeba zrobić coś uczciwego, chociaż przed śmiercią. To jednak nie żarty!... Śmierć. Żeby to było coś widnego, ale to takie ciemne!... I trzeba rozpadać się, psuć i gnić p. o c i e m k u. Czy ty jesteś człowiek wierzący?

– Tak jest.

– A ja ani tak, ani nie. Bawiłem się w nirwanę, tak jak w inne rzeczy. Wiesz, żeby nie poczucie tej winy, to bym był spokojniejszy. Nie miałem pojęcia, że to tak może dokuczać. Mam wrażenie, że jestem pszczołą, która ograbiła swój ul, i że to jest rzecz podła. Ale przynajmniej zostanie po mnie majątek. Co? prawda? Trochę straciłem, ale bardzo niewiele – i to na obrazy, które także zostaną – prawda? Ach, jakbym ja chciał teraz jeszcze żyć, choćby z rok, choćby tyle, by nie umrzeć tu...

Na chwilę zamyślił się i potem rzekł:

– Ja teraz rozumiem jedno: życie może być złe, bo je człowiek może sobie głupio urządzać – ale istnienie to dobra rzecz.

Połaniecki odszedł późną nocą. Przez tydzień następny zdrowie chorego wahało się. Lekarze nie umieli nic przewidzieć, sądzili jednak, że podróż w żadnym razie nie może spowodować niebezpieczeństwa. Świrski i Waskowski podjęli się odwiedzić chorego, który tęsknił coraz bardziej i codziennie prawie wspominał panią Emilię – siostrę miłosierdzia. Ale w wigilię dnia, w którym mieli wyjechać, stracił nagle mowę. Połanieckiemu serce się krajało, gdy patrzył na jego oczy, w których chwilami malował się straszny niepokój, a chwilami jakby jakaś wielka, niema prośba. Próbował pisać, ale nie mógł. Wieczorem przyszło porażenie mózgu – i umarł.

Pochowano go na Campo Santo tymczasowo. Połaniecki bowiem domyślał się, iż jego spojrzenia wyrażały prośbę o przewiezienie go do kraju, a Świrski potwierdził domysł.

Tak znikła ta bańka mydlana, czasem połyskująca barwami tęczy, ale czcza i nietrwała jak prawdziwa bańka...

Połaniecki szczerze strapiony był jego śmiercią i następnie całymi godzinami rozmyślał o tym dziwacznym życiu. Myślami tymi nie dzielił się z Marynią, bo jakoś dotąd nie weszło mu w zwyczaj dzielić się z nią tym, co się w nim działo. Ostatecznie, jak to się często zdarza ludziom, którzy myślą o umarłych, wyprowadził z tych rozmyślań rozmaite wnioski na własną korzyść.

„Bukacki – mówił sobie – nigdy nie umiał przyjść do ładu z własnym rozumem; brakło mu zmysłu życiowego, nie umiał rozpoznawać się w tym lesie i szedł zawsze według chwilowej fantazji. I gdyby mu było z tym dobrze, gdyby był z życia coś wycisnął – przyznałbym mu jeszcze rozum. Ale jemu było źle. Istotnie, głupią jest rzeczą wmawiać w siebie, zanim śmierć przyjdzie, że wino jest octem. Jednak patrzę jaśniej na rzeczy, a oprócz tego, byłem z sobą daleko szczerzy. Bądź co bądź, ja prawie zupełnie jestem w porządku i z Bogiem, i z życiem.”

Było w tym nieco prawdy, ale były i złudzenia. Połaniecki nie był w porządku z własną żoną.

Sądził, że dając jej opiekę, chleb, dobre obchodzenie się i miazdząc od czasu do czasu jej usta pocałunkami, spełnia wszelkie możliwe obowiązki, jakie względem niej zaciągnął. Tymczasem stosunki między nimi zaznaczały się coraz: wyraźniej w ten sposób, że on tylko raczył kochać i raczył przyjmować miłość. W ciągu jego spostrzeżeń życiowych uderzało go niejednokrotnie dziwne zjawisko, że gdy na przykład człowiek, znany z uczciwości, spełnił jakiś szlachetny postępek, ludzie kiwali rękoma, jakby z pewną niedbałością, mówiąc: „Ach, ten pan X. To zupełnie naturalne!” Gdy jednak wypadkiem zdarzyło się uczynić coś uczciwego szui – ci sami ludzie mówili z wielkim uznaniem: „A jednak w nim coś jest.” Sto razy Połaniecki widział, że grosz dany przez skąpca więcej czyni wrażenia niż dukat, dany przez, człowieka hojnego. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w stosunku do Maryni sam trzyma się takiej samej miary sądu i uznania. Oddawała mu całą swą istotność, całą duszę. – „Ach, Marynia to naturalne!” I kiwał również ręką. Gdyby jej miłość nie była tak bezwzględna, gdyby przychodziła mi z większą trudnością, gdyby w przeświadczeniu, że jest skarbem, oddawała się jako skarb, gdyby w przeświadczeniu, że jest bóstwem, wymagała schylonej głowy i czci – Połaniecki byłby ją przyjmował ze schyloną głową i czcił. Takie jest ogólnie serce ludzkie; i tylko najbardziej wyborowe natury, utkane z promieni, umieją wznieść się nad ten poziom. Marynia oddawała Połanieckiemu swoją miłość jako jego prawo – więc i przyjmował ją jako swoje prawo. Jego miłość uważała za szczęście, więc też dawał ją jako szczęście – sam zaś czuł się bożkiem w ołtarzu. Jeden jego promień padał na serce kobiece i rozjaśniał je – resztę promieni bożek chował dla siebie. Biorąc wszystko – oddawał tylko część. W jego miłości nie było tej bojaźni, która wypływa ze czci, i nie było tego, co w każdej pieszczocie mówi kochanej kobiecie; „Do twoich stóp!”

Ale nie rozumieli jeszcze tego oboje.

XVIII

– Nawet się nie pytam – mówił Bigiel do Połanieckiego po jego powrocie do Warszawy – czy jesteś szczęśliwy. Z taką osobą, jak twoja żona, nie można być nieszczęśliwym.

– Tak – odpowiedział Połaniecki. – Marynia taka pocziwa kobiecina, że trudno o lepszą.

Po czym zwrócił się do pani Bigielowej:

– Obojgu nam dobrze – rzekł – i nie może być inaczej. Pamięta droga pani nasze dawne rozmowy o małżeństwie i miłości? Pamięta pani, jak ja się bałem, żeby nie trafić na kobietę, która by chciała zasłonić sobą mężowi cały świat, zająć wszystkie jego myśli, wszystkie jego uczucia, być jedynym celem jego życia? Pamięta pani, jak dowodziłem i pani, i pani Emilii,

że jednak miłość dla kobiety nie może i nie powinna być dla człowieka wszystkim i że poza nią są inne sprawy na świecie?

– Tak, ale pamiętam także, co ja panu mówiłam, iż mnie na przykład zajęcia domowe nic a nic nie przeszkadzają kochać dzieci... Bo ja wiem! ale tak mi się jakoś zdaje, że te rzeczy nie są jak, na przykład, pudełka, których jak się kilka na stole postawi, to na inne nie ma już miejsca.

– Moja żona ma słuszość – rzekł Bigiel. – To zauważyłem, że ludzie często się mylą, przenosząc w warunki fizyczne uczucia albo idee. Gdy o nich mowa, nie ma co mówić o miejscu...

Na to Połaniecki rzekł wesoło:

– Cicho, ty kraju podbity!

– A kiedy mi z tym dobrze – rzekł roztropnie Bigiel. – Przy tym i ty będziesz podbity.

– Ja?

– Tak. Poczciwością, dobrocią, sercem.

– To co innego. Można być podbitym i nie być pantoflem. Nie przeszkadzajcie mi państwo chwalić Maryni. Trafiłem tak, że lepiej nie mogłem, i właśnie dlatego że ona zadawała się takim uczuciem, jakie dla niej mam – i nie chce być moim wyłącznym bożyszczem. Za to ją kocham! Bóg mnie ustrzegł od żony wymagającej poświęcenia dla siebie całej duszy, całego rozumu, całej istoty *et caetera* – i szczerze mu za to dziękuję, bo takiej bym nie zniósł. Prędzej rozumiem, że to wszystko można dać z dobrej woli, a mianowicie wówczas, gdy to nie jest wymaganiem.

– Niech mi pan wierzy, panie Stanisławie – odrzekła pani Bigielowa – że my bez wyjątku jesteśmy pod tym względem jednako wymagające, tylko z początku bierzemy często tę część, którą nam dają, za całość, a potem...

– A potem co? – przerwał nieco drwiąco Połaniecki.

– Potem te, które mają w sercu prawdziwą poczciwość, zdobywają się na coś, co dla was jest słowem bez znaczenia, a dla nas często podstawą życia.

– Cóż to za talizman?

– Rezygnacja.

Połaniecki zaczął się śmiać.

– Nieboszczyk Bukacki mawiał – rzekł – że kobiety ubierają się często w rezygnację tak jak w kapelusz, dlatego że im z tym do twarzy. Kapelusz z rezygnacji, woalka z lekkiej melancholii – alboż to brzydkie?

– Nie, to nie brzydkie. Co pan chce! może to strój, ale w takim stroju łatwiej się dostać do nieba niż w innym.

– To moja Marynia skazana w takim razie do piekła, bo mam nadzieję, że go nie będzie nigdy nosiła. Zresztą za chwilę ją pani zobaczy, gdyż obiecała mi, że po naszych godzinach biurowych przyjdzie do państwa. Spóźnia się maruda, ale już tu powinna być.

– Ojciec pewnie jej nie puszcza. Ale zostanieie państwo u nas na obiedzie, bez żadnej ceremonii – prawda?

– Zostaniemy na obiedzie. Zgoda!

– I tak ktoś się nam dziś obiecał, więc się tylko towarzystwo powiększy. Tymczasem pójde zapowiedzieć, żeby przygotowano dla was nakrycia.

To rzekłszy pani Bigielowa wyszła. Połaniecki zaś spytał Bigiela:

– Kogo macie mieć na obiedzie?

– Zawilowskiego, przysłego korespondenta naszego Domu.

– Jaki to Zawilowski?

– Ten, ten sam, znany już – poeta.

– Z Parnasu do kantorka? jakże to?

– Bo już nie pamiętam, kto powiedział, że społeczeństwo nasze trzyma swoich geniuszów na diecie. Mówią, że to bardzo zdolny człowiek, ale wierszami nie można na chleb zarobić. Wiesz, nasz Ciskowski przeszedł do Towarzystwa Ubezpieczeń – posada zawakowała i zgłosił się Zawilowski. Miałem trochę skrupułów, ale on mi powiedział, że to dla niego kwestia chleba i możliwości pracy. Przy tym podobał mi się, bo się przyznał od razu, że w trzech językach pisze, ale, żadnym, dobrze nie mówi, a po wtóre, że nie ma najmniejszego pojęcia o korespondencji handlowej.

– E, to głupstwo – odrzekł Połaniecki – w tydzień się nauczy. Tylko czy to na długo będzie tej posady i czy korespondencja nie będzie zalegała... Z poetą sprawa!

– To się pożegnamy. Ale rozumiesz, że gdy sam się zgłosił, wołałem dać miejsce takiemu Zawilowskiemu niż komu innemu. Za trzy dni ma zacząć robotę. Tymczasem wypłaciłem mu naprzód miesięczną pensję, bo było trzeba.

– Goły był?

– Zdaje się. Jest tu stary Zawilowski, ten, co ma córkę, bardzo bogaty człowiek. Pytałem się naszego, czy nie jego krewny. Powiedział, że nie, ale się przy tym zaczerwienił, więc myślę, że tak. Ale jak to u nas! w niczym równowagi: jedni wypierają się krewnych dlatego, że biedni, drudzy dlatego, że bogaci. Wszystko dla fantazji – i przez tę szelmowską pychę. On ci się zresztą z pewnością spodoba. Żonie mojej się podobał.

– Kto się podobał twojej żonie? – spytała wchodząc pani Bigielowa.

– Zawilowski.

– Bom czytała jego taki ładny wiersz, pod tytułem: *Na progu*. Przy tym Zawilowski wygląda, jakby coś chował przed ludźmi.

– Chował biedę, a raczej bieda jego chowała.

– Nie, on wygląda, jakby przeszedł przez jakiś ciężki zawód.

– Widziałeś romantyczkę! Mówiła mi już, że on dużo przecierpiał, i obraziła się, gdym wyraził przypuszczenie, że może na robaki w dzieciennym wieku albo na ognipiór. To dla niej nie dość poetyczne.

Lecz Połaniecki począł spoglądać na zegarek i począł się niecierpliwić.

– Nie popisuje mi się Marynia – rzekł – co za maruda!

Lecz „maruda” właśnie w tej chwili nadeszła, a raczej nadjechała. Powitanie odbyło się bez wybuchów, albowiem z Bigielową widziały się już poprzednio na kolei. Połaniecki zapowiedział żonie, że zostają na obiad, na co zgodziła się chętnie, a następnie poczęła witać się z dziećmi, które hurmem wpadły do pokoju.

Tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Bigiel przedstawił Połanieckim. Był to jeszcze zupełnie młody człowiek, lat około dwudziestu siedmiu lub ośmiu, i Połaniecki, patrząc na niego, zauważył, że bynajmniej nie ma miny człowieka, który dużo cierpiał w życiu. Był tylko widocznie zakłopotany w towarzystwie, którego przez pół wcale nie znał. Twarz miał nerwową, z wystającą silnie naprzód, jak u Wagnera, brodą, z wesołymi czarnymi oczyma i z niezmiernie delikatnym, bielszym niż reszta twarzy, czołem, na którym wydatne żyły formowały literę Y. Był przy tym dość wysoki i dość niezgrabny.

Słyszałem – rzekł mu Połaniecki – że za trzy dni zacznie pan z nami kolegować.

– Tak jest, panie pryncypale – odpowiedział młody człowiek – raczej służyć w biurze.

Połaniecki zaczął się śmiać.

– Tylko pan daj spokój z pryncypalowaniem! U nas nie ma zwyczaju tak się mościć mościami albo pryncypalować... Nie wiem, czyby mojej żonie podobał się taki tytuł, dlatego że dodałby jej powagi we własnych oczach.

Tu zwrócił się do Maryni:

– Słuchaj no, pani pryncypalowo: czy chcesz, żeby cię nazywano pryncypalową? Będzie nowa zabawa!

Zawilowski zmieszał się, ale począł się równie śmiać, gdy pani Połaniecka odrzekła:

– Nie, bo mi się zdaje, że „pryncypałowia” powinna nosić oto taki ogromny czepek (tu pokazała rękoma jak wielki), a ja nie cierpię czepka. Zawilowskiemu uczyniło się różnie wśród wesołej dobroduszości tych ludzi, zmieszał się jednak znowu, gdy Marynia mu rzekła:

– A pan to mój dawny znajomy. Teraz nic nowego nie czytałam, bośmy dopiero co wrócili; czy przybyło co przez ten czas?

– Nie, pani – odpowiedział – ja się tak tym zajmuję jak pan Bigiel muzyką: w wolnych chwilach i dla własnej rozrywki.

– Nie wierzę – odpowiedziała pani Połaniecka.

I miała słuszność nie wierzyć, bo wcale tak nie było. W odpowiedzi Zawilowskiego brakło też prostoty, ale on chciał dać poznać, że przede wszystkim pragnie uchodzić za korespondenta Domu Handlowego i być traktowanym jako urzędnik, nie jako poeta. Tytułował też Bigiela i Połanieckiego, bynajmniej nie przez potulność, tylko by okazać, że podjąwszy się pracy biurowej uważa ją za tak dobrą jak każda inna, że się do tej roli stosuje i będzie się stosował w przyszłości. Było w tym również i co innego. Zawilowski, jakkolwiek młody, spostrzegł, ile jest śmieszności w ludziach, którzy napisawszy jeden lub drugi wierszyk przybierają pozy wieszczów i każą się za takowych uważać. Jego wygórowana miłość własna drżała przed obawą śmieszności – wpadł więc w drugą ostateczność i prawie wstydił się swojej poezji. W ostatnich czasach, w których przy tym znosił wielki niedostatek, stało się to niemal dziwactwem, i najlżejsza wzmianka z czyjejkolwiek strony o tym, że jest poetą, wprowadzała go w tłumiony gniew.

Czuł zaś jednocześnie, że jest nielogicznym, wobec tego bowiem najprostszą rzeczą było nie pisywać wierszy i nie ogłaszać ich; ale od tego nie mógł się powstrzymać. Głowa jego nie była otoczona jeszcze aureolą, ale padło już na nią kilka promyków, które to rozświetlały mu czoło, to gasły, w miarę jak tworzył lub się zaniedbywał. Po każdym nowym wierszu promyk poczynał na mowu drgać – i Zawilowski, zarówno zdolny, jak ambitny, cenil w gruncie rzeczy te odbłyski sławy więcej niż wszystko w świecie. Chciał jednak, by ludzie między sobą tylko o nim mówili, ale nie jemu w oczy. Gdy przeczuwał, że o nim zaczynają zapominać, cierpiał skrycie. Było w nim jakby rozdwojenie miłości własnej, która chce sławy i zarazem odpycha ją przez pewną dzikość i dumę, z obawy, by ktoś nie powiedział, że jej za dużo. A prócz tego tkwiło w nim mnóstwo, sprzeczności, jak w człowieku młodym i wrażliwym, który przejmując się i odczuwając wyjątkowo, a wśród tych odczuwań nie umie częstokroć własnego j a odnaleźć. Z tego powodu artyści w ogóle wydają się częstokroć sztuczni.

Tymczasem jednak podano obiad, podczas którego rozmowa toczyła się oczywiście o Włoszech i o ludziach, jakich Połanieccy tam spotkali. Połaniecki opowiadał o Bukackim i o jego ostatnich chwilach, a zarazem ostatniej woli, wskutek której stał się spadkobiercą po nim dość znacznej sumy. Daleko większa część miała być użyta na cele publiczne – i o tym mieli się z Bigielem naradzić. Lubiono jednak Bukackiego i wspomniano go ze współczuciem, a pani Bigielowa miała, nawet łzy w oczach, gdy Marynia wspomniała, że się przed śmiercią wyspowiadał i że umarł jak chrześcijanin. Ale współczucie to było tego rodzaju, że można było, przy nim jeść obiad, i jeśli Bukacki wzdychał kiedykolwiek naprawdę za Nirwaną, to obecnie miał, czego chciał, został bowiem dla ludzi, nawet sobie bliskich i którzy go lubili, wspomnieniem zarówno lekkim, jak nietrwałym. Jeszcze tydzień, miesiąc lub rok – i nazwisko jego miało się stać dźwiękiem bez echa. Istotnie, na niczyją głębszą miłość nie zarobił, niczyjej nie miał i życie spłynęło mu w ten sposób, że nawet po takim dziecku jak Litka zostało nie tylko stokroć więcej żalu, miłości, ale i pamiętnych śladów. Zawilowskiego, który go nie znał, zaciekawiło z początku jego życie, gdy jednak wysłuchał wszystkiego, co Połaniecki opowiadał, pomyślawszy rzekł: „To w dodatku kopia!” – Bukackiego, który ze wszystkiego żartował, byłby jednak zabolął taki nagrobek.

Lecz Marynia, chcąc nadać weselszy zwrot rozmowie, poczęła opowiadać o wycieczkach, które czynili po Rzymie i jego okolicach, bądź to sami, bądź ze Świrskim, bądź z Osnowskimi. Bigiel, który był kolegą Osnowskiego i od czasu do czasu jeszcze go widywał, rzekł:

– On ma jedną miłość, to jest własną żonę, i jedną nienawiść, to jest własną otyłość, a raczej skłonność do niej. Zresztą najlepszy w świecie człowiek.

– Ależ on wygląda zupełnie szczupły – rzekła Marynia,

– Dwa lata temu był prawie gruby, ale jak począł jeździć na welocypedzie, fechtować się, zażywać kuracji Bettinga, latem pić Karlsbad, a zimą jeździć do Włoch lub Egiptu dla transpiracji – tak na powrót zrobił się cienki. Zresztą, źle powiedziałem, że on ma nienawiść do otyłości – to jego żona! A on to czyni przez kokieterię względem niej. Tańczywał też po całych nocach na balach, także z tego samego powodu.

– To *sclavus saltans* – rzekł Połaniecki. – Świrski już nam o tym opowiadał.

– Bo rozumiem, że można żonę kochać – rzekł Bigiel – że można ją uważać, jak się to mówi, za źrenicę oka. Dobrze! Ale ja, jak Boga kocham, słyszałem, że on do swojej wiersze pisuje, że otwiera z zamkniętymi oczyma książki, zaznacza palcem wiersz i wróży sobie z tego, co przeczyta, czy jest kochany. Jeśli mu źle wypadnie, to wpada w melancholię. On się kocha jak student. Liczy wszystkie jej spojrzenia, usiłuje odgadnąć, co miało za znaczenie takie lub owakie jej słowo; całuje nie tylko jej nogi i ręce, ale gdy myśli, że nikt na niego nie patrzy, to i jej rękawiczki... Bóg wie co! i tak już przez całe lata.

– A jaki kochany! – rzekła Marynia.

– Chciałabyś, żebym taki był? – spytał Połaniecki.

Ona pomyślała chwilę i odrzekła:

– Nie, bo w takim razie byłbyś inny, niż jesteś.

– O to Machiawel! – rzekł Bigiel. – Warto by taką odpowiedź zapisać, bo to zarazem i pochwała, i trochę krytyki, i zaświadczenie, że tak jak jest, jest najlepiej i że można by żądać jeszcze czegoś lepszego. Dajże tu sobie, człowieku, z tym radę.

– Ja to biorę jako pochwałę – rzekł Połaniecki —choć pani (tu zwrócił się do Bigielowej) powie zapewne, że to rezygnacja.

Pani Bigielowa odrzekła śmiejąc się:

– Wierch jest z miłości, rezygnacja może przyjść z czasem jako podszewka, jeśli zacznie być chłodno.

Lecz Zawilowski patrzył z ciekawością na Marynię. Sama ona wydała mu się i ładna, i sympatyczna, a odpowiedź jej zastanowiła go. Pomyślał jednak, że tak mogła mówić tylko kobieta bardzo zakochana, której nigdy nie dość uczucia. I począł spoglądać na Połanieckiego z pewną zazdrością, że zaś był wielkim samotnikiem, więc przysły mu zarazem do głowy słowa piosenki: „U sąsiada żonka miła.”

Tymczasem, ponieważ cały czas milczał lub przemówił zaledwie parę słów, wydawało mu się, że trzeba by jakoś wtrącić się do rozmowy. Ale powstrzymywała go nieśmiałość i przy tym przemijający ból zębów, który po przejściu większego paroksyzmu odzywał się jeszcze chwilami dość silnie. Odbierało mu to resztę animuszu – wreszcie jednak, zdobywszy się na odwagę, spytał:

– A pani Osnowska?

– A pani Osnowska – odrzekł Połaniecki – ma męża, który kocha za dwoje, więc się nie potrzebuje fatygować. Tak przynajmniej utrzymuje Świrski. Przy tym ma chińskie oczy, ma imię Aneta, plombę w górnych ząbkach, którą widać, jak się bardzo śmieje – więc woli się uśmiechać – i w ogóle jest jak synogarliczka: kręci się w kółko i woła: „Cukru! cukru”

– To złośliwy człowiek! – odrzekła Marynia. – Jest śliczna, żywa, sprytna – a pan Świrski nie może wiedzieć, o ile ona męża kocha, bo z pewnością o tym z nią nie rozmawiał. To wszystko są tylko przypuszczenia.

Połaniecki pomyślał dwie rzeczy: naprzód, że to nie są przypuszczenia, a po wtóre, że ma żonę równie naiwną, jak pocziwą.

Zawiłowski zaś rzekł:

– Ciekawym, co by to było, gdyby ona tak samo kochała się w nim jak on w niej?

– Byłby to największy dwuosobowy egoizm, jaki świat widział – odpowiedział Połaniecki.

– Byliby tak zajęci sobą, że nie widzieliby nic i nikogo obok siebie.

Zawiłowski uśmiechnął się i odrzekł:

– Światło nie przeszkadza ciepłu, ale je rodzi.

– Ściśle biorąc, to jest porównanie więcej poetyczne niż fizyczne – odrzekł Połaniecki.

Ale obydwom paniom podobała się odpowiedź Zawiłowskiego i obie poparły go gorąco, a gdy do nich przyłączył się i Bigiel, Połaniecki został przegłosowany.

Potem poczęto mówić o Maszce i jego żonie.

Bigiel opowiadał, że Maszko dostał w ręce ogromną sprawę o zwalenie milionowego testamentu po panie Płoszowskiej, z którą wystąpiło kilkunastu spadkobierców dość dalekich. Pan Pławicki donosił o tym Maryni do Włoch, ale uważała całą sprawę za takie marzenie, jakim niegdyś były miliony, oparte na marglu w Krzemieniu, i zaledwie o tym wspomniała mężowi, który też od razu kiwnął na wszystko ręką. Teraz, sprawa, skoro Maszko się jej podjął, zapowiadała się poważniej. Bigiel przypuszczał, że muszą być jakieś nieformalności w testamencie, i twierdził, że gdyby Maszko wygrał, mógłby od razu stanąć na nogach, wymówił sobie bowiem olbrzymie honorarium. Połanieckiego cała rzecz zaciekała mocno.

– Maszko ma jednak sprężystość kota – rzekł – zawsze padnie na nogi.

Bigiel zaś odpowiedział:

– I tym razem powinniście prosić Boga, żeby krzyża nie złamał, bo to dla pani i dla jej ojca chodzi o niemałą rzecz. Sam Płoszów ze wszystkimi folwarkami oceniono na siedmset tysięcy rubli. A prócz tego jest gruba gotówka.

– To by było dziwne, taka niespodziana gratka – rzekł Połaniecki.

Lecz Marynia dowiedziała się z przykrością, że ojciec jej wystąpił wraz z innymi spadkobiercami o zwalenie testamentu. Jej „Stach” był człowiekiem zamożnym, i miała ślełą wiarę, że od niego tylko zależy zrobić miliony; ojciec miał rentę, a prócz tego ona odstąpiła mu dożywocie na sumie, która się należała z Magierówki, więc bieda nikomu nie groziła. Miło by wprawdzie było pani Połanieckiej móc odkupić Krzemień i wozić tam na lato swojego „Stacha”, ale nie za takie pieniądze.

Poczęła więc mówić z wielkim ożywieniem:

– Ja się tym tylko martwię. To były pieniądze użyte tak pocziwie! Nie godzi się zmieniać woli zmarłych, nie godzi się odejmować chleba biednym albo szkołom. Synowiec pani Płoszowskiej zastrzelił się: może jej chodziło o ratunek duszy jego, o przejednanie bożego miłosierdzia. To się nie godzi!... Powinno się inaczej myśleć i inaczej czuć!...

I aż zapłonila się nieco, a Połaniecki rzekł:

– A jaka rezolutna!

Lecz ona wysunęła naprzód swoje nieco za szerokie usta z wyrazem zadąsanego dziecka i poczęła powtarzać:

– No, Stachu, powiedz, że ja mam słuszność, powiedz, że ja mam słuszność!! Tyś to powinien powiedzieć!

– Bez wątpienia – rzekł Połaniecki – ale Maszko może sprawę wygrać.

– Życzę mu, żeby przegrał – odpowiedziała.

Połaniecki zaś powtórzył:

– A jaka rezolutna!

„I jaka poczciwa, jaka szlachetna natura!” – pomyślał Zawilowski nadając zarazem w swym plastycznym umyśle pojęciom o dobroci i szlachetności kształt kobiety o ciemnych włosach, niebieskich oczach, wysmukłej postawie i ustach nieco za szerokich.

Po obiedzie Bigiel z Połanieckim wyszli na cygara i czarną kawę do pokoju biurowego, gdzie mieli zarazem odbyć pierwszą naradę, na jakie cele rozporządzić spadkiem po Bukackim. Zawilowski jako niepalący został z paniami w salonie. Wówczas Marynia, która, jako pani „pryncypałowa”, poczuwała się do obowiązku ośmielenia przyszłego urzędnika „Domu”, zbliżyła się do niego i rzekła:

– Ja tak jak pani Bigielowa chciałabym, żebyśmy wszyscy uważali się za jedną wielką rodzinę, dlatego niech pan zaliczy i nas do swoich dobrych znajomych.

– Z największą chęcią, jeśli pani pozwoli – odpowiedział Zawilowski. – Ja i tak byłbym złożył moje uszanowanie...

– Poznałam wszystkich panów z biura tylko na ślubie, potem zaraz wyjechaliśmy, ale teraz przyjdzie do bliższej znajomości. Mąż mi mówił, że chciałby, żebyśmy się zbierali jednego tygodnia u państwa Bigielów, a drugiego u nas. To bardzo dobry zamiar, tylko ja robię jedno zastrzeżenie.

– Jakie? – spytała pani Bigielowa.

– Żeby nie wolno było mówić na tych zebraniach o żadnych interesach handlowych. Będzie trochę muzyki, bo spodziewam się, że o tym pomyśli pan Bigiel – a czasem odczytamy coś takiego, jak *Na progu*.

– To chyba nie przy mnie – rzekł z przymuszonym uśmiechem Zawilowski.

A ona poczęła mu patrzeć w oczy ze zwykłą sobie prostotą:

– Czemu nie? – spytała. – Wobec ludzi szczerze przyjaznych? Myśmy o panu nieraz i mówili, i myśleli, zanim przyszło do poznania, a cóż dopiero teraz.

Zawilowski czuł się ogromnie rozbrojony. Zdawało mu się, iż wpadł między wyjątkowych ludzi, a przynajmniej, że pani Połaniecka jest wyjątkową kobietą. Obawa, która paliła go jak ogień, żeby nie wydać się śmiesznym razem ze swoją poezją, ze swoją długą szyją i spiczastymi łokciami, poczęła się w nim zmniejszać. Było mu przy niej jakoś swobodnie. Odczuwał, że ona nigdy nie mówi dlatego tylko, by coś powiedzieć, lub ze względów towarzyskich, ale wypowiada najściślej tylko to, co płynie z jej dobroci i wrażliwości. Przy tym zachwycała go jej twarz i postać, tak jak w Wenecji zachwycała Świrskiego. A ponieważ przywykł szukać dla każdego wrażenia określeń, więc począł szukać wyrazów i dla niej – i czuł, że one powinny być nie tylko szczerze, ale zarazem wykwinne, wdzięczne i polne, tak jak piękność jej była współcześnie wykwinna i polna. Uznał, że ma przed sobą temat, i zbudził się w nim artysta.

Tymczasem ona poczęła go wypytywać z wielką życzliwością o stosunki rodzinne, na szczęście jednak wejście do salonu Bigiela i Połanieckiego uwolniło go od dokładniejszych odpowiedzi, które musiałyby mu być przykre. Ojciec jego, znany niegdyś karciarz i hulaka, od kilku lat cierpiał na pomieszanie zmysłów i był w zakładzie dla obłąkanych.

Muzyka miała przerwać tę drażliwą rozmowę. Połaniecki kończył z Bigielem naradę, ów zaś mówił:

– Zdaje się, że to doskonały projekt, ale trzeba się jeszcze będzie namyślić.

Potem, wsparłszy się na wiolonczeli, począł się rzeczywiście namyślać, a wreszcie rzekł:

– To dziwna rzecz! Ja, jak gram, to niby nic innego mi nie w głowie, a tymczasem nieprawda! Jakaś część mózgu zastanawia się wtedy nad innymi rzeczami, i co szczególnie, to że najlepsze pomysły właśnie wówczas przychodzą.

To rzekłszy siadł, chwycił wiolonczelę między kolana, przymknął oczy i rozpoczął *Pieśń wiosenną*.

Zawiłowski odszedł tego dnia do siebie, zachwycony domem, ludźmi, ich prostotą, *Pieśnią wiosenną*, a szczególnie panią Połaniecką.

Ona zaś ani się domyślała, że z czasem może wzbogacić „nowym dreszczem” poezję.

XIX

Państwo Maszkowie odwiedzili Połanieckich w tydzień po ich przyjeździe. Ona, przybrana w szarą suknię obszytą takiejże barwy marabutem, wyglądała tak ładnie jak nigdy. Zapalenie oczu, na które dawniej cierpiała, przeszło. Twarz jej posiadała dawniejszą obojętną, prawie senną łagodność, ale obecnie podnosiło to tylko jej artystyczny wyraz. Dawniejsza panna Krasławska była starsza około pięciu lat od Maryni i jako panna wyglądała starzej, teraz jednak zdawało się, że odmłodziła. Wysmukła i rzeczywiście nader zgrabna jej postać rysowała się w obcisłej sukni jak dziecinka. Szczególną było rzeczą, że Połaniecki, który jej nie lubił, znajdował w niej coś pociągającego, i ilekroć ją widział, mówił sobie: „Wszelako w niej coś jest.” Nawet jej głos monotony i nieco dziecinny miał dla niego pewien urok. Obecnie wprost powiedział sobie, że wygląda wyjątkowo wdzięcznie i że więcej się zmieniała na korzyść od Maryni.

Sam Maszko zakwitł również jak słonecznik. Dystynkcja aż biła od niego, a obok niej pewność siebie i duma, łagodzona łaskawością. Zdawać by się mogło, że jednego dnia nie jest w stanie objechać swych włości – słowem, udawał więcej niż kiedykolwiek. Nie udawał tylko miłości do żony, znać bowiem było z każdego jego spojrzenia, że ją pokochał rzeczywiście. Naprawdę trudno byłoby znaleźć kobietę, która by lepiej odpowiadała jego pojęciom o dobrym smaku, wykwiutności i wielkoświatowym polorze. Jej obojętność, jej jakby zamrożone obejście się z ludźmi, uważał za coś wprost nieporównanego. Ona tej „dystynkcji” nie traciła nigdy i w żadnej chwili, nawet sam na sam z nim. On zaś jak prawdziwy parwienusz, który posiadał księżniczkę, pokochał ją właśnie dlatego, że mu się wydawała księżniczką i że ją posiadał.

Marynia poczęła wypytywać, gdzie spędzili czas poślubny, na co pani Maszkowa odrzekła: „w majątku męża” – takim tonikiem, jak gdyby ów „majątek męża” był majoratem od dwudziestu pokoleń – przy czym dodała, że za granicę wybierają się dopiero za rok, gdy mąż pokończy interesy, tymczasem na letnie miesiące wyjadą znów do „majątku męża”.

– Pani lubi wieś? – spytała Marynia,

– Mama lubi wieś – odrzekła pani Maszkowa.

– A Krzemień podobał się mamie pani?

– Tak. Tylko okna w domu jak w oranżerii. Tyle szyb!

– To trochę konieczne – odrzekła śmiejąc się pani Połaniecka – bo jak się taka szyba stłucze, to ją każdy szklarz naprawi, a po wielkie trzeba by posyłać aż do Warszawy.

– Mąż mówi, że wybuduje nowy dom.

Pani Połaniecka westchnęła po cichu i zmieniła

przedmiot rozmowy. Poczęły mówić o wspólnych znajomych. Pokazało się, że pani Maszkowa brała niegdyś z „Anetką” Osnowską i z jej młodszą krewną, Linetą Castelli, lekcje tańca, że znają się doskonale i że Lineta jeszcze ładniejsza od Anety, a przy tym maluje i ma cały album własnych wierszy. Pani Maszkowa słyszała, że Anetka już wróciła i że Lineta zamieszka w tej samej willi aż do czerwca, razem ze swoją ciotką, panią Broniczową... „i to będzie bardzo dobrze, bo one takie miłe!”

Połaniecki zaś z Maszką wynieśli się z wolna do przyległego saloniku i rozmawiali o testamencie panny Płoszowskiej.

– Mogę ci powiedzieć, że prawie wypłynął – mówił Maszko. – Byłem niemal nad przepaścią, ale ta sprawa postawiła mnie na nogi, przez to samo, że ją zaczął. Bo też od lat całych nie było podobnej. Tu chodzi o miliony. Płoszowski sam przez się bogatszy był od ciotki – i zanim sobie w łeb strzelił, zapisał majątek matce pani Kromickiej, a gdy ta go nie przyjęła, cała fortuna przeszła na starą pannę Płoszowską. Rozumiesz teraz, ile babulka musiała zostawić.

– Bigiel wspominał o siedmiuset tysiącach rubli.

– Powiedźże twemu Bigielowi, skoro tak lubi liczyć, że jest przeszło dwa razy tyle. No, muszę sobie jednak oddać tę sprawiedliwość, że się umiem ratować i że łatwiej mnie wrzucić do wody niż utopić. Ale co ci osobliwego powiem: wiesz, komu to zawdzięczam? – twemu teściowi. On mi niegdyś o tym wspominał, ale zrazu machnąłem ręką. Potem wpadłem w te tarapaty, o których ci pisałem. Miałem nóż na gardle. Otóż trzy tygodnie temu spotykam wypadkiem twego teścia, który mi, między innymi, zaczyna mówić o panie Płoszowskiej i wymyśla na nią, ile wlezie. Nagle uderzyłem się w czoło. Co mam do stracenia? Nic. Kazałem regentowi Wyszyńskiemu pokazać sobie testament – i widzę, że nieformalności są. Małe, ale są. W tydzień miałem już plenipotencję od spadkobierców i rozpocząłem sprawę. I co powiesz? Na samą wieść o honorarium, jakie mam dostać w razie wygranej, wróciła ludziom ufność, wróciła moim wierzycielom cierpliwość, wrócił kredyt – i trzymam się... Pamiętasz? Był czas, że spuściłem z tonu, że mi po głowie chodziły sielankowe zamiary wyrobienia się mrówczą pracą, ograniczeniem życia. Głupstwo. To trudno, mój kochany! Tyś mi zarzucał, że u d a j ę , ale u nas trzeba. Ja muszę dziś udawać człowieka, który jest zarówno pewny swego majątku, jak i wygranej!

– Powiedz mi otwarcie, czy to jest dobra sprawa?

– Jak to czy dobra?

– Po prostu, czy nie zbyt ją trzeba będzie ciągnąć za uszy, przeciw słuszności?

– Wiedz o tym, że w każdej sprawie jest coś do powiedzenia na jej korzyść, i uczciwość adwokacka polega właśnie na tym, żeby to powiedzieć. Właściwie tu jest kwestia, kto ma być spadkobiercą i czy testament jest tak napisany, żeby się mógł ostać wobec prawa – a prawo nie ja wymyśliłem.

– Masz widoki wygranej?

– Gdy chodzi o zwalenie testamentu, niemal zawsze się je ma, dlatego że atak jest zawsze prowadzony sto razy energiczniej niż obrona. Kto się będzie przeciw mnie bronił. Instytucje, to jest ciała same przez się ociężałe, mało zaradne, których przedstawiciele nie mają w obronie żadnego osobistego interesu. Wezmą adwokata, dobrze! ale co mu dadzą? co mu mogą dać? Tyle, ile z prawa wypada. Otóż i ten adwokat będzie miał raczej większe widoki zysku w razie, jeśli ja wygram – bo to może zależeć od osobistego mego z nim układu. W ogóle powiem ci, że w sprawach sądowych tak jak i w życiu wygrywa ta strona, która bardziej chce wygrać.

– Ale opinia publiczna zmiele cię na otręby, jeśli poobalasz takie zapisy. Widzisz! moja żona jest poniekąd interesowaną...

– Jak to: poniekąd? – przerwał Maszko. – Będę waszym prawdziwym dobroczyńcą.

– Więc dobrze. Otóż żona moja oburzała się i oburza na całą tę sprawę.

– Żona twoja jest wyjątkiem.

– Niezupełnie. Bo i mnie to nie w smak.

– Cóż to? Przerobili i ciebie na romantyka?

– Mój drogi! my się z dawna znamy. Mów tym językiem do kogo innego.

– Dobrze. Będę więc mówił tylko o opinii. Naprzód powiem ci, że pewna niepopularność człowiekowi prawdziwie *comme il faut* raczej pomaga, niż szkodzi. Po wtóre, trzeba te rzeczy rozumieć. Zmielono by mnie, jak się wyraziłeś, na otręby, gdybym tę sprawę przegrał, ale gdy ją wygram, będę tylko uważany za tęgą głowę – a ja ją wygram!

Po chwili zaś mówił dalej:

– A ze stanowiska ekonomicznego o co tu chodzi? Pieniądze zostaną w kraju i dalibóg, nie wiem, czy będą gorzej użyte. Bo, że mogłoby się za nie wyhodować kilkanaścioro chuderlawych dzieci, które wyrosną na niedołęgów i będą się przyczyniały do skarlania rasy, albo że kilkanaście szwaczek mogłoby dostać maszyny do szycia, albo że kilkadziesiąt bab lub dziadów mogłoby żyć o parę lat dłużej, to krajowi niewiele z tego przyjdzie. To są cele nieprodukcyjne. Trzeba, żebyśmy się raz nauczyli ekonomii... Wreszcie krótko powiem: miałem nóż na gardle. Moim pierwszym obowiązkiem jest zabezpieczyć byt sobie, mojej żonie i mojej przyszłej rodzinie. Jeśli kiedykolwiek będziesz w takim położeniu, jak ja byłem – to mnie zrozumiesz. Wolałem wypłynąć niż utonąć – a takie prawo każdy ma. Żona moja, jak ci pisałem, ma znaczną rentę, ale majątku prawie nic, a przynajmniej niewiele. Do tego z tej renty płaci jeszcze coś swemu ojcu. Tę pensję powiększyłem, bo mi groził, że tu zjedzie, a tegom sobie nie życzył.

– Tak więc wiesz już teraz na pewno, że pan Krasławski istnieje? Pamiętam, żeś mi o tym wspominał.

– Właśnie dlatego, że ci niegdyś wspominałem, nie robię z tego tajemnicy i dziś. Zresztą wiem, że ludzie gadają o tym z krzywdą mojej teściowej i mojej żony, że rozpowiadają Bóg wie co, więc, jako przyjacielowi, wolę ci powiedzieć, jak jest. Pan Krasławski żyje w Bordeaux; był pośrednikiem w handlu sardynkami i zarabiał dobre pieniądze, ale posadę tę stracił, bo się zapijał i zapija absyntem, a prócz tego stworzył sobie nielegalną rodzinę. Te panie posyłają mu trzy tysiące franków rocznie, ale mu to nie wystarcza i między ratą a ratą gniecie go bieda, wskutek czego zapija się coraz bardziej i gnębi te biedne kobiety listami, w których grozi, że ogłosi w pismach, jak się z nim obchodzą. A one obchodzą się z nim lepiej, niż wart. Pisał i do mnie zaraz po ślubie prosząc o podniesienie pensji o tysiąc franków. Oczywiście, dowodzi mi, że go te kobiety „zjadły”, że nie miał za grosz szczęścia w życiu, że stoczył go ich egoizm – i ostrzega mnie przed nimi...

Tu Maszko począł się śmiać:

– A ma bestia fantazję szlachecką. Raz z biedy chciał się wziąć do sprzedawania afiszów na korytarzu teatralnym – ale kazali mu się ubrać w jakiś kaszkiet i tego nie mógł przenieść. Píše do mnie tak: „Wszystko by, panie, dobrze poszło, ale kaszkiet!! jak mi dali kaszkiet – nie mogłem!...” I wołał z głodu umrzeć niż włożyć kaszkiet! Podoba mi się mój teść! Byłem niegdyś w Bordeaux, ale dalibóg zapomniałem, jakie kaszkiety noszą ci, co sprzedają afisze, a chciałbym taki kaszkiet widzieć... Rozumiesz zresztą, że wolałem dodać tysiąc franków, byle go trzymać z daleka, razem z jego absyntem i kaszkietem... Co mnie boli, to to, że ludzie mówią, że on i tu był jakimś woźnym czy pisarzem, a to jest podła potwarz, bo dość otworzyć pierwszy lepszy herbarz, żeby wiedzieć, kto byli Krasławscy. Tu koligacje są wiadome i Krasławskim ich nie brak. Człowiek upadł – ale rodzina była i jest znakomita. Te panie mają tu na tuziny krewnych nie byle jakich – i jeśli ci całą tę historię opowiadam, to dlatego, że chcę, byś wiedział, jaka jest prawda.

Ale prawda dotycząca rodu Krasławskich mało obchodziła Połanieckiego, więc wrócili do pań, tym bardziej że tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Połaniecki zaprosił na poobiednią herbatę, aby mu pokazać fotografie przywiezione z Włoch. Jakoż całe ich zwoje leżały już przygotowane na stole, ale Zawilowski trzymał w ręku ramkę z główką Litki i zachwycał się tak, że zaraz po zapoznaniu się z Maszką znów począł patrzeć na portrecik i mówić o nim w dalszym ciągu.

– Myślałbym prędzej, że to jakiś pomysł artystyczny – rzekł – niż portret żywego dziecka. Co za cudna główka i co za wyraz! To pani siostrzyczka?

– Nie – odpowiedziała pani Połaniecka – i to jest dziecko, które już nie żyje!

W oczach Zawilowskiego jako poety ów tragiczny cień podniósł jeszcze współczucie i podziw dla tej istotnie anielskiej twarzy. Przez jakiś czas przypatrywał się jej w milczeniu, to odsuwając, to zbliżając do oczu fotografię, po czym rzekł:

– Ja się dlatego pytałem, czy to nie pani siostra, bo jednak jest coś... w rysach, raczej w oczach... doprawdy coś jest!

Zawilowski zdawał się szczerze mówić, ale Połaniecki miał taką, religijną niemal, cześć dla zmarłej, że mimo całego, uznania dla urody Maryni porównanie wydało mu się jakimś rodzajem profanacji, więc wyjąwszy fotografię z rąk Zawilowskiego, ustawił ją na powrót i począł mówić z pewną szorstką żywością:

– Ale bynajmniej! bynajmniej! Nie ma jednego rysu wspólnego. Jak można nawet porównywać! Ani jednego rysu wspólnego!

A Marynię dotknęła nieco ta jego żywość.

– Ja także jestem tego zdania – odrzekła.

Lecz jemu nie dość było jej zdania.

– Czy pani znała Litkę? – spytał zwróciwszy się do pani Maszkowej.

– Tak!

– Prawda! widziała ją pani u Bigielów.

– Tak.

– No, przecie nie ma śladu podobieństwa?

– Nie.

Zawilowski, który adorował szczerze panią Połaniecką, począł patrzeć na Połanieckiego z pewnym zdziwieniem – on jednak spoglądał teraz na wydłużoną postać pani Maszkowej, rysującą się przez popielatą suknię, i myślał: „Jaka ona zgrabna!”

Po chwili Maszkowie poczęli się żegnać. Maszko, całując na odchodnym rękę pani Połanieckiej, rzekł:

– Mnie może wypadnie wkrótce wyjechać do Petersburga; niech pani pamięta trochę przez ten czas o mojej żonie,

W czasie herbaty Marynia przypomniała Zawilowskiemu obietnicę, jaką jej uczynił za pierwszą bytnością, że jej przyniesie i odczyta wariant wiersza: Na progu – on zaś tak przylgnął od razu do Połanieckich, że odczytał nie tylko wariant, ale i drugi wiersz, który był poprzednio napisał. Znać było po nim, że sam dziwi się własnej odwadze i ochocie – toteż po odczytaniu i wysłuchaniu pochwał, które były naprawdę szczerze, rzekł:

– Ja równie szczerze mówię, że z państwem, za trzecim widzeniem się, to się tak jakoś jest, jakby się od dawna znało. Aż mi to dziwne.

Połaniecki przypomniał sobie, że niegdyś powiedział coś podobnego Maryni w Krzemieniu – ale przyjął to teraz, jakby należało się i jemu.

Zawilowski zaś ją wyłącznie miał na myśli: po prostu zachwycił go i swoją prostą dobrocią, i twarzą.

Gdy odszedł, Połaniecki rzekł:

– To bestia naprawdę zdolna. Czyś ty uważała, że on jakby się trochę zmienił na twarzy?

– Przystrzygł włosy – rzekła Marynia.

– Aha! i broda jeszcze więcej mu wystaje.

To mówiąc Połaniecki wstał i począł układać zwoje fotografii na półeczce nad stołem, wreszcie zabrał portret Litki i rzekł:

– Przeniosę ją do mego gabinetu.

– A tam masz tę z brzózkami, kolorowaną.

– Tak, ale nie chcę, żeby i ta stała tu, tak na widoku. Każdy robi uwagi, a czasem mnie to gniewa. Pozwolisz?

– Dobrze, mój Stachu – odpowiedziała Marynia.

XX

Bigiel usilnie namawiał Połanieckiego, by nie związać Domu i nie rzucać się zbyt pośpiesznie w innego rodzaju przedsiębiorstwa. „Stworzyliśmy uczciwy kupiecki dom – mówił – jakich u nas mało, i dlatego jesteśmy pożyteczni.” Utrzymywał, że przez samą wdzięczność należy prowadzić dalej interes, za pomocą którego podwoili niemal majątki, przy czym wypowiadał przekonanie, iż okażą największy rozum, gdy teraz właśnie będą prowadzili rzecz ostrożnie, gruntownie i gdy pierwsza śmiała spekulacja, jakkolwiek szczęśliwa, nie tylko nie zachęci ich do innych, ale będzie ostatnią. Połaniecki zgadzał się na to, że umiarkowanie trzeba okazać właśnie w powodzeniu, ale narzekał, iż w Domu nie może się pomieścić i pragnąłby coś produkować. Miał on tyle zmysłu praktycznego, że o fabryce na własną rękę jeszcze nie myślał. „Małej nie chcę prowadzić – mówił – bo mnie wielkie, produkujące *en gros*, pochłoną, a na wielką nie mam, w akcyjnej zaś pracowałbym nie na siebie, ale na innych.” Rozumiał też, że o akcjonariuszów, złożonych z miejscowych żywiółów, nie łatwo, a obcych nie chciał, wiedząc przy tym, że nie potrafi wzbudzić w nich zaufania i że samo jego nazwisko będzie mu w tym przeszkodą. Bigiel, któremu chodziło o Dom, szczerze rad był z tej trzeźwości poglądu.

W Połanieckim zaś zbudziła się jeszcze inna chęć, mianowicie odwieczna, stara jak ludzkość, chęć posiadania. Po szczęśliwej spekulacji i po zapisie Bukackiego stał się on człowiekiem zupełnie zamożnym, ale przy całej swej istotnej trzeźwości miał jakieś dziwne poczucie, że ta zamożność, polegająca choćby na najpewniejszych, zamkniętych w kasie ogniotrwałej papierach, jest również papierową i pozostanie nią dopóty, dopóki nie będzie posiadał czegoś realnego, o czym by mógł powiedzieć: „To moje!” Ta dziwna żądza ogarniała go coraz silniej. Nie chodziło mu o nic wielkiego, ale o jakikolwiek kątek, byle własny, gdzieby mógł czuć się u siebie. Próbował nad tym filozofować i tłumaczył Bigielowi, że ta chęć posiadania musi być jakąś namiętnością wrodzoną, którą można potłumić, ale która w wieku dojrzałym odzywa się z nową siłą. Bigiel uznawał, że tak może być, i mówił mu:

– To i słuszne. Jesteś żonaty, Więc chcesz mieć własne, nie zaś najęte ognisko, a że masz po temu wszelkie środki, więc sobie takie ognisko stwórz.

Połaniecki myślał czas jakiś o wybudowaniu dużego domu w mieście, który by czynił zadość chęci posiadania i zarazem przynosił dochody. Ale któregoś dnia spostrzegł, że ten praktyczny zamiar ma jedną złą stronę – mianowicie nie posiada żadnego wdzięku, Coś, o czym się mówi: „To moje” – trzeba lubić, a jak tu lubić kamienicę, w której mieszka każdy, kto najmie mieszkanie? Z początku wstydział się tej myśli, bo mu się wydała romantyczną, ale potem powiedział sobie: „Nie! skoro posiadam środki, przeto użycie ich w ten sposób, który by mi zapewnił przyjemność, nie tylko nie jest romantyzmem, ale dowodem rozsądku.” Bardziej poczęła go pociągać myśl o jakimś mniejszym domu w mieście lub za miastem, o takim, w którym by sam tylko z żoną mieszkał. Ale chciało mu się przy tym choć kawałek ziemi, na której by coś rosło. Czuł, że na przykład widok drzew, które by rosły w jego ogrodzie, przed jego domem, na jego gruncie, sprawiałby mu wielką przyjemność. Sam się dziwił, że tak jest, ale tak było. W końcu doszedł do przekonania, że najmilej byłoby mu posiadać jakąś kolonijkę tuż pod miastem, coś w rodzaju takiego letniego domu, jaki posiadał Bigiel, ale z kawałkiem ziemi, kawałkiem lasu, jakimiś kilku morgami warzywnego ogrodu, wreszcie z sadem i z bocianim gniazdem gdzieś na starej lipie.

– Skoro na to mam, to wolę, żeby to było takie niż inne, to jest ładne, nie brzydkie – mówił sobie.

I począł rzecz rozważać ze wszystkich stron. Rozumiał, że gdy chodzi o gniazdo, w którym się ma mieszkać przez resztę życia, trzeba wybrać rozważnie, więc nie śpieszył się.

Tymczasem myślenie o tym zajęło mu wszystkie godziny wolne od pracy biurowej i sprawiało mu rzetelną przyjemność. Ci i owi dowiedzieli się wkrótce, że Połaniecki szuka czegoś za gotowy grosz, nadeszły więc z różnych stron, propozycje, często dziwaczne, ale niekiedy dość ponętne. Trzeba było czasem jeździć, oglądać wille położone w mieście lub za miastem. Często, po powrocie z biura i po obiedzie, Połaniecki zamykał się z listami, z planami i pokazywał się dopiero wieczorem. Marynia miała wówczas dużo wolnego czasu. Spostrzegła wreszcie, że coś zajmuje go niezwykle, i próbowała dopytywać, lecz on odpowiedział:

– Moje dziecko, jak będzie rezultat, to ci powiem, ale póki sam nic nie wiem, trudno, żebym się rozgadywał o niczym. To takie przeciwnie mojej naturze.

Dowiedziała się wreszcie, o co chodzi, od pani Bigielowej, ta zaś wiedziała od męża, którego naturze nie było przeciwnym rozgadywać się z żoną o wszelkich przedsięwzięciach i zamiarach na przyszłość. Dla pani Połanieckiej byłoby również ogromną przyjemnością rozmawiać z mężem o wszystkim, a zwłaszcza o wyborze gniazda. Oczywiście jej się na samą myśl o tym, ale skoro „usposobienie Stacha” stało temu na przeszkodzie, więc wołała nie dopytywać przez delikatność.

On zaś nie miał złych chęci, ale wprost nie przyszło mu do głowy wtajemniczać jej w jakiegokolwiek sprawie, w których chodziło o pieniądze. Może byłoby inaczej, gdyby mu była wniosła znaczny posag i gdyby zmuszony był rozporządzać i jej majątkiem: był człowiekiem w takich razach nader skrupulatnym. Ale ponieważ rozporządzał tylko swoim, nie czuł, tak jak i za dawnych kawalerskich czasów, żadnej potrzeby spowiadania się z tego, póty szczególnie, póki nic nie było postanowione. Z Bigielem jednym rozmawiał, dlatego że przywykł z nim rozmawiać o interesach.

Z żoną mówił o takich rzeczach, które podług niego „do niej należały”, więc między innymi o kółku znajomych, które należało sobie stworzyć. Pod koniec swego kawalerstwa Połaniecki nie był prawie nigdzie, czuł jednak, że obecnie nie może tak być. Oddali więc wizytę Maszkom i któregoś wieczoru poczęli rozważać, czy wypada im być u Osnowskich, którzy w tym czasie wrócili z zagranicy i mieli do połowy czerwca zostać w Warszawie. Marynia mówiła, że wypada, dlatego że się będą widywali u pani Maszkowej, i miała ochotę, albowiem lubiła pana Osnowskiego, który ją wzruszał. Połaniecki okazał mniej chęci i początkowo stanęło na tym, czego chciał, ale w kilka dni później Osnowscy spotkali Marynię i powitali ją tak serdecznie, pani Osnowska powtarzała tak często: „my, Rzymianki”, oboje zaś kładli taki nacisk na nadzieję widywania i spotkania się, że nie podobna było uniknąć złożenia im wizyty.

Jednak gdy Połanieccy przybyli w odwiedzinę, wszelkie uprzejmości okazywano przede wszystkim Maryni. Mąż prześcigał się pod tym względem w grzecznościach z żoną. Dla Połanieckiego byli, jako ludzie dobrze wychowani, równie uprzejmi bez zarzutu, ale zimniej. On rozumiał, że Marynia gra pierwszą, on zaś dopiero następną rolę, i trochę go to jednak drażniło. Pan Osnowski zresztą nie potrzebował się wysilać na grzeczności dla pani Połanieckiej, albowiem czując, że ona ma dla niego szczerą sympatię, odplacał jej z nawiązką, gdyż mu tego w ogóle brakło.

Maryni wydał się jeszcze bardziej zakochany w żonie, niż był poprzednio. Wprost znać było, że serce mu bije żywiej, gdy na nią patrzy. Mówiąc do niej, zdawał się podsuwać wyrazy jakby z pewną obawą, by jej czymkolwiek nie zrazić. Połaniecki patrzył na niego z pewnym politowaniem, ale było to zarazem i wzruszające. W walce z otyłością natomiast pan Osnowski odniósł tak walne zwycięstwo, że ubranie wydawało się na nim za szerokie. Czerwone wyrzuty, które okrywały jego twarz blondyna, znikły i w ogóle był przystojniejszy niż przedtem.

A pani miała zawsze swoje nieporównane skośne oczy koloru fiołków i myśli, które jak rajskie ptaki ciągle bujały w powietrzu.

Ale Połanieccy zrobili u Osnowskich nową znajomość, mianowicie poznali panią Broniczową i jej siostrzenicę, pannę Castelli, które przybyły na „letni karnawał” do Warszawy i zamieszkały w tej samej willi, którą nieboszczyk Bronicz sprzedał Osnowskim, z wymówieniem jednego pawilonu dla żony. Pani Broniczowa była wdową po panu Broniczu, o którym wspominała jako o ostatnim krewnym książąt Ostrogskich, zatem ostatnim z Rurykowiczów. Znano ją także w mieście pod nazwą „Słodyczki”; przezwisko to zawdzięczała temu, że mówiąc, zwłaszcza do osób, o które jej chodziło, przymilała się tak, iż zdawać się mogło, że mówi przez trzymany w ustach kawałek cukru. Opowiadano dziwy o jej kłamstwach. Panna Castelli była córką jej siostry, która w swoim czasie, ku wielkiemu zgorszeniu rodziny i świata, wyszła za Włocha, nauczyciela muzyki, i zmarła przy słabości, pozostawiając córkę. Gdy w rok potem i pan Castelli utopił się na Lido, pani Broniczowa wzięła i wychowała siostrzenicę.

Panna Lineta była prawie zupełną piękną, o rysach bardzo regularnych, czarnych oczach, złotawych włosach i cerze aż zbyt pięknej, bo niemal porcelanowej. Miała jednak przyciężkie powieki, co jej nadawało senny wyraz, ale ta senność mogła się wydawać także skupieniem. Można było mniemać, że to jest istota, która żyła bardzo rozwiniętym życiem wewnętrznym, i dlatego zachowuje się nieco obojętnie względem tego, co ją otacza. Kto by zresztą sam nie wpadł na ów domysł, mógł być pewien, że mu pani Broniczowa do tego dopomoże. Pani Osnowska, która przechodziła przez okresy zachwyty nad kuzynką, mówiła o oczach panny Linety, że są „głębokie jak jeziora”, kwestią było tylko, co jest na dnie, ale właśnie ta tajemnica dodawała pannie Linecie uroku.

Państwo Osnowscy przyjechali z zamiarem bawienia się w Warszawie, ale pani Aneta nie na próżno była w Rzymie. „Sztuka i sztuka! – mówiła do pani Połanieckiej – o niczym więcej nie chcę wiedzieć.” Zamiarem jej jawnym było otworzyć salon „ateński”, a skrytym zostać Beatrycą jakiegoś Danta, Laurą jakiegoś Petrarke lub przynajmniej czymś w rodzaju Vittorii Colonna dla jakiegoś Michała Anioła.

– Mamy ładny ogród przy willi – mówiła – wieczory będą śliczne i będziemy się schodzili na takie pogadanki rzymskie, florenckie... Pani wie (tu podniosła do poziomu z ramionami dłonie i poczęła nimi poruszać), szara godzina, trochę zorzy, trochę księżycy, kilka lamp, trochę cieniów od drzew: siedzi się i rozmawia półgłosem o wszystkim: o życiu, uczuciach, o sztuce. Przecie to doprawdy więcej warte niż plotki! Mój Józiu, może się będziesz nudził, ale nie gniewaj się, zrób to dla mnie i wierz mi, że to będzie bardzo ładne.

– Ale, moja Anetko, czy mnie to może nudzić, co ciebie bawi? – odpowiedział Osnowski.
– Teraz zwłaszcza, póki Lineta jest z nami, to przecie artystka w każdej kropli krwi!

Tu zwróciła się do niej:

– Jaką tam niteczkę przedzie ta główka? Co mówisz o takich wieczorach rzymskich?

Panna Lineta uśmiechnęła się, a „ostatnia z Rurykowiczów” poczęła mówić z wyrazem nieopisanego słodyczy do Połanieckich:

– Państwo nie wiedzą, że ją Wiktor Hugo błogosławił, gdy była jeszcze mała.

– To panie znały Wiktora Hugo? – spytała Marynia.

– My? nie! Nie byłabym chciała go znać za nic w świecie, ale raz przejeżdżałyśmy przez Passy, gdy on stał na balkonie, i – nie wiem, czy przez jakieś przecucie, czy przez natchnienie, jak zobaczył Linetkę, tak podniósł rękę i przeżegnał ją.

– Ciociu! – rzekła panna Castelli.

– Kiedy prawda, moje dziecko, a co prawda, to prawda! Zaraz, na nią zawołałam: „Patrz! patrz! podnosi rękę” – i pan Cardyn, konsul, który siedział na przedzie, widział także, że on podniósł rękę, a potem przeżegnał cię. Owszem, ja to chętnie opowiadam, bo może za to przeżegnanie Pan Bóg odpuścił mu jego grzechy, których miał tyle. On, taki przewrotny umysł, a jednak zobaczywszy Linetkę przeżegnał ją!

Było w tym tyle prawdy, że panie te przejeżdżając przez Passy istotnie widziały na balkonie Wiktora. Hugo. Co do błogosławieństwa, jakiego miał udzielić Linetce, złe języki warszawskie dowodziły, że podniósł rękę, albowiem w tej chwili ziewał.

Lecz tymczasem pani Osnowska mówiła dalej:

– Stworzymy tu sobie małe Włochy, a jeśli się próba nie uda, to na przyszłą zimę uciekniemy do wielkich. Już mi to chodziło po głowie, żeby otworzyć w Rzymie dom. Tymczasem Józio przywiózł kilka ładnych kopii obrazów i posągów. To tak pocziwie z jego strony, bo jego to niewiele obchodzi, więc zrobił to tylko dla mnie. Są tam bardzo dobre rzeczy, bo Józio miał ten rozum, że sobie nie ufał i prosił o pomoc pana Świrskiego. Szkoda, że go tu nie ma. Szkoda także, że pan Bukacki jak na złość umarł, bo i on by się nam przydał. Czasem bywał bardzo miły. Miał taką jakaś giętkość jak wąż, a to w rozmowie dodaje życia. Ale – tu zwróciła się do pani Połanieckiej – czy pani wie, że pani całkiem podbiła pana Świrskiego? Po pani wyjeździe o nikim innym nie mówił i zaczął Madonnę, która ma pani rysy. Zostanie pani Fornariną! Pani ma widocznie szczęście do artystów – i jak się moje wieczory florenckie zaczną, musimy się trzymać z Linetą, inaczej pójdziemy w ką!

A pani Broniczowa, rzuciwszy niechętnie spojrzenie Maryni, rzekła:

– Ach, pan Świrski! Pamiętasz, Linetko?... Ale jeśli chodzi o twarze, które robią wrażenie na artystów, to powiem państwu, co się raz zdarzyło w Nizy...

– Ciociu!... – przerwała panna Castelli.

– A kiedy prawda, moja Niteczko, a co prawda, to prawda... Rok temu... Nie! dwa lata temu... Jak to ten czas leci...

Lecz pani Osnowska, która zapewne słyszała już nieraz, co się zdarzyło w Nizy, poczęła wypytywać pani Połanieckiej:

– A państwo dużo mają znajomości w świecie artystycznym?

– Mąż mój, zapewne – odpowiedziała Marynia – ja nie; ale znamy pana Zawilowskiego.

Pani Osnowska wpadła na tę wiadomość w prawdziwy entuzjazm. Jej marzenie było poznać pana Zawilowskiego i niech Józio powie, czy to nie było jej marzenie? Niedawno czytały z Linetą jego wiersz pod tytułem: *Ex imo* – i Lineta, która czasem tak umie jednym słowem określić wrażenie, jak nikt inny, powiedziała... Co to ona takiego charakterystycznego powiedziała?...

– Że w tym jest coś spiżowego – poddała pani Broniczowa.

– A tak, że w tym jest coś spiżowego. Ja sobie wyobrażam pana Zawilowskiego także jak jakiś odlew. Jak on naprawdę wygląda?

– Niski – odrzekł Połaniecki – gruby, lat pięćdziesiąt i żadnego włosa na głowie.

Na to twarze pani Osnowskiej i panny Linety przybrały taki wyraz rozczarowania, że Marynia poczęła się śmiać i odrzekła:

– Niech panie mu nie wierzą, to zły człowiek i lubi martwić. Pan Zawilowski jest młody, trochę dziki i trochę podobny do Wagnera.

– To znaczy, że ma brodę jak poliszynel – dodał Połaniecki.

Lecz pani Osnowska nie brała już w uwagę słów Połanieckiego i wymogła na Maryni, że ułatwi jej poznanie z panem Zawilowskim – i to prędko, „bardzo prędko, bo lato za pasem!”

– Postaramy się przy tym, żeby mu było dobrze między nami i żeby nie był dziki – choć, jeśli jest trochę dziki, to nic nie szkodzi, bo on powinien być trochę dziki i trochę najeżać się, gdy ludzie się do niego zbliżają... jak orzeł w klatce! Zresztą porozumieją się z Linetką, bo i ona zamknięta w sobie i tajemnicza jak sfinks.

– Mnie się zdaje, że każda niepospolita dusza... – zaczęła ciocia „Słodyczka”.

Lecz Połanieccy poczęli się żegnać. W sieni spotkali cudnego Kopowskiego, któremu służący okurzał trzewiki, a który tymczasem przeczesywał swą posagową i twardą jak marmur głowę. Wyszedłszy Połaniecki rzekł:

– Ten im się przyda także na „florenckie” wieczory. To także sfinks!

– Gdyby stał w niszy! – rzekła Marynia. – Jakie to jednak ładne kobiety!

– Dziwna rzecz – odpowiedział Połaniecki. – Niby pani Osnowska jest ładna, a ja na przykład wolę, jako urodę, panią Maszkową. Co do Castelli, to naprawdę ładna, choć za wysoka. Czyś ty uważała, że się tam ciągle o niej mówi, a ona ani mru, mru.

– Ma opinię bardzo inteligentnej – odpowiedziała Marynia – ale może trochę nieśmiała jak Zawilowski. Trzeba będzie pomyśleć o tym poznaniu.

Ale tymczasem wypadek pomieszał plany poznania. Pani Połaniecka na drugi dzień po wizycie poślizgnąwszy się na schodach zbiła kolano tak silnie, że przez kilka dni musiała leżeć w łóżku. On wróciwszy z biura i dowiedziawszy się, co zaszło, naprzód przestraszył się, a następnie, uspokojony przez lekarza, zburczał żonę dość żywo:

– Powinnaś pamiętać, że tu może nie tylko o ciebie chodzi! – rzekł jej.

Ona cierpiała dość mocno i z powodu uderzenia, i z powodu tych słów, które wydały się jej jakieś nadto bezwzględne, sądziła bowiem, że jemu powinno przede wszystkim o nią chodzić, zwłaszcza że inne obawy nie były jeszcze na niczym oparte. Poza tym jednak okazał jej wielką troskliwość i ani nazajutrz, ani następnego dnia nie poszedł do biura, i tylko dlatego, by jej pilnować. W godzinach przedpołudniowych czytywał jej, po śniadaniu zaś pracował w przyległym pokoju przy otwartych drzwiach, tak aby go mogła w każdej chwili zawołać. Ona, przejednana tą troskliwością, dziękowała mu za nią bardzo gorąco, wskutek czego ucałował ją i rzekł:

– Moje dziecko, to przecie prosty obowiązek. Widzisz, że nawet i obcy dowiadują się o ciebie codziennie.

Obcy rzeczywiście dowiadawali się codziennie. Zawilowski wypytywał w biurze: „Jak się pani ma?” Bigielowa przychodziła po południu, a Bigiel wieczorem i nie wchodząc do pokoju chorej, wygrywał w przyległym na fortepianie, by ją rozerwać. Państwo Maszkowie i pani Broniczowa zostawili dwukrotnie karty wizytowe, pani Osnowska zaś, zostawiwszy męża w powozie na dole, wdarła się do Maryni trochę przemocą i siedziała u niej koło dwóch godzin rozmawiając ze zwykłym sobie darem przerzucania się z przedmiotu na przedmiot o Rzymie, swoich zamierzonych wieczorach, o Świrskim, mężu, o Linecie i o Zawilowskim, który jej spać nie dawał. Pod koniec odwiedzin oświadczyła pani Połanieckiej, że powinny sobie mówić „ty” – i że wzywa ją, by jej pomogła w jednym planie: „to jest nie w planie, ale w spisku”, czyli raczej w czymś takim, co jak jej wpadło do głowy, tak się pali i pali, do tego stopnia, że cała głowa się pali!

– Tak mi utkwiał w myśli ten Zawilowski, że aż Józio począł być o niego zazdrosny, ale Józio z tylu rzeczy, biedaczysko, nie umie sobie zdać sprawy! Ja jestem pewna, że oni z Linetą są dla siebie stworzeni, to jest, nie Józio z Linetą, ale Zawilowski. I to poezja, i to poezja! Nie śmiej się, Maryniu, i nie myśl, że ja jestem postrzelona. Ty Linety nie znasz. Jej trzeba jakiego nadzwyczajnego człowieka. Ona za takiego Kopowskiego za nic w świecie by nie wyszła, choć Kopowski wygląda jak cherubin. Takiej twarzy, jak ma Kopowski, nigdy w życiu nie widziałam... Może we Włoszech na jakim obrazie, ale i to nie. A wiesz, co Lineta o nim mówi: *C'est un imbecile!* Może, ale jednak i ona na niego patrzy! Pomyśl, jakby to ślicznie było, żeby oni się poznali, pokochali i pobrali – to jest, nie Kopowski z Linetą, ale Zawilowski! To dopiero byłaby para! A Lineta ze swoimi aspiracjami, kogo ona znajdzie? Gdzie dla niej jest mąż? A co byśmy się napatrzyły, to byśmy się napatrzyły! Wyobrażam sobie, jakby się oni kochali. Na świecie tak nudno, że jak można mieć taki widok, to warto popracować. Zresztą wiem, że to nie pójdzie trudno, bo i ciocia Broniczowa ręce łamie, gdzie ona znajdzie męża dla Linety. Boję się, czym cię nie zmęczyła, ale to tak miło pogadać, zwłaszcza gdy się coś układa.

Rzeczywiście, po wyjściu pani Osnowskiej Marynia czuła jakby zawrót głowy. Jednakże, gdy Połaniecki nadszedł, poczęła mu opowiadać o przygotowanych na Zawilowskiego planach, trochę się śmiejąc z zapału pani Osnowskiej, a wreszcie rzekła:

– Ona musi mieć dobre serce i podoba mi się, ale jaka egzaltowana! Co jej przez głowę nie przechodzi!

– Raczej narwana niż egzaltowana – odpowiedział Połaniecki – a to, widzisz, jest różnica, bo egzaltacja idzie niemal zawsze w parze z dobrym sercem, a narwanie często godzi się z oschłością serca i często nawet wypływa z tego, że głowa się pali, a serce śpi.

– Ty nie lubisz pani Osnowskiej – rzekła Marynia.

Połaniecki nie lubił jej istotnie, ale tym razem, zamiast potwierdzić lub zaprzeczyć, począł na żonę spoglądać z pewną ciekawością. Uderzyła go w tej chwili jej piękność. Włosy jej rozplynęły się w nieładzie po poduszce i drobna jej twarz wychylała się z tej ciemnej fali po prostu jak kwiat. Oczy jej wydawały się błękitniejsze niż zwykle, przez rozchylone usta widać było brzożek drobnych i białych zębów. Połaniecki zbliżył się do niej i rzekł półgłosem:

– Jakaś ty dziś ładna!

I pochyliwszy się nad nią, ze zmienioną twarzą, począł całować jej oczy i usta.

Lecz każdy pocałunek wstrząsał nią, a każde wstrząśnięcie sprawiało jej ból. Prócz tego przykro jej było, że on jakby tylko wypadkiem spostrzegł jej piękność, przykrym był dla niej jego wyraz twarzy i jego nieuwaga, więc poczęła odwracać głowę.

– Stasiu! nie całuj mnie tak mocno, wiesz, że jestem cierpiąca,

Wówczas Połaniecki wyprostował się i rzekł z tłumionym gniewem:

– Prawda! przepraszam!

I wyszedł do swego pokoju rozpatrywać plan jakiegoś letniego domu z ogrodem, który mu dzisiaj rana przysłano.

XXI

Lecz choroba pani Połanieckiej nie trwała długo, i w tydzień później mogli już oboje pojechać do Bigielów, którzy tymczasem przenieśli się ma letnie mieszkanie; pogoda bowiem, mimo wczesnej pory, uczyniła się piękna i w mieście zaczęły się prawie upały. Zawilowski, który był się już oswoił, przyjechał także wraz z ogromnym latawcem, którego mieli puszczać na wspólną z Połanieckim i dziećmi. Bigielowie polubili Zawilowskiego również, ponieważ był człowiekiem prostym i poza swoją dzikością wesołym, a chwilami nawet dziecinny. Pani Bigielowa utrzymywała przy tym, że ma szczególną głowę, co było o tyle prawdą, że posiadał bliznę na powiece i że wystająca broda nadawała mu wyraz energii, której całkowicie przeczyła górna część twarzy, tak delikatna, że prawie kobieca. Z początku pani Bigielowa doszukiwała się w nim oryginała, ale on zbyt uświadamiał wszystko, a zatem i samego siebie, by mógł być oryginałem. Był tylko nierównym przez nieśmiałość, wielkim entuzjastą i człowiekiem nie bez ukrytej pychy.

Przy obiedzie rozpowiadano mu o Osnowskich, o zamierzonych wieczorach ateńskorzymskoflorenckich, o pianinie Castelli i o ciekawości, jaką w paniach wzbudził.

Usłyszawszy o tym rzekł:

– No, to dobrze wiedzieć, to nie pójdę tam za nic w świecie.

– Naprzód pozna się pan z nimi u nas. – rzekła Marynia.

A on złożył ręce:

– Pani, ucieknę z przedpokoju!

– Dlaczego? – spytał Połaniecki – trzeba mieć odwagę nie tylko swoich przekonań, ale i swoich wierszy.

– A oczywiście – rzekła pani Bigielowa. – Co tu się wstydzić! Powinien pan śmiało ludziom w oczy patrzeć i mówić im: „Piszę, bo piszę!”

– Piszę, bo piszę! – powtórzył rezolutnie Zawilowski podnosząc głowę i śmiejąc się. Lecz Marynia mówiła dalej:

– Pozna się pan z nimi u nas, potem złoży im pan kartę, a następnie pojedziemy kiedy do nich wieczorem.

On zaś rzekł:

– Nie mogę schować głowy w śnieg, bo go nie ma, ale jednak wynajdę sobie jaką kryjówkę.

– A jeśli pana będę bardzo prosiła?

– To pójdę – odpowiedział po chwili Zawilowski czerwieniąc się z lekka.

I spojrzął na nią. Przybladłszy nieco przez dłuższe leżenie w łóżku, twarz jej zdrobniała jeszcze i wyglądała na twarz szesnastoletniej dziewczyny. Zawilowskiemu wydała się tak cudną, że nie mógł jej niczego odmówić.

Wieczorem Połanieccy mieli go zabrać z powrotem do miasta, ale przedtem Marynia rzekła mu:

– Trzeba teraz używać z panem przemocy, bo pan nie widział Linety Castelli, a jak ją pan zobaczy, to się pan zakocha.

– Ja, pani?! – zawołał Zawilowski przyłożywszy dłoń do piersi. – Ja, w pannie Castelli?

I tyle było szczerości w jego pytaniu, że znów zmieszał się; ale tym razem zmieszała się również nieco i pani Połaniecka.

Tymczasem Połaniecki skończył z Bigielem rozmowę o niebezpieczeństwach lokaty kapitału w ziemi i pojechali. Marynia przypomniała sobie, jak niegdyś wracali tak z ojcem, panią Emilią, Litką i Połanieckim od Bigielów, w taką samą miesięczną noc. Jak wówczas ten „pan Stanisław” kochał się w niej i jaki był nieszczęśliwy; jaka ona była dla niego surowa – i serce poczęło jej bić litością dla tego „pana Stanisława”, który wówczas tyle wycierpiał. Chciało się jej teraz przytulić do niego i przeprosić za owe dawne złe chwile – i gdyby nie obecność Zawilowskiego, byłaby to uczyniła.

Lecz ów dawny pan Stanisław siedział sobie teraz spokojny i pewny siebie koło niej i palił cygaro. Przecie ona była jego, przecie ją wziął i miał, więc wszystko się skończyło.

– O czym ty tak rozmyślasz, Stachu? – spytała.

– O interesach, o których mówiliśmy z Bigielem. I otrząsnąwszy popiół z cygara, włożył je do ust i pociągnął tak, że czerwone światełko rozświeciło mu wąsy i część twarzy.

A Zawilowski patrząc na twarz Maryni pomyślał o swojej młodej duszy, że gdyby ona była jego żoną, to by nie palił teraz cygara ani nie rozmyślał o interesach, o których się mówi z Bigielem, ale chyba klęczałby przed nią i adorował ją na kolanach.

I zwolna, pod wpływem nocy i tej słodkiej twarzy kobiecej, którą uwielbiał, poczęła go ogarniać egzaltacja. Po niejakej chwili jął deklamować z początku cicho, jakby sam do siebie, a potem coraz głośniejszą swą wiersz, pod tytułem *Śniegi w górach*. Była w tym wierszu jakby ogromna tęsknota za czymś niedostępnym i niepokalanym. Zawilowski sam nie wiedział, kiedy znaleźli się w mieście i kiedy latarnie poczęły migać po obu stronach ulicy.

Przy domu Połanieckich Marynia rzekła:

– Więc pojutrze na *five o'clock*?

– Tak jest – odpowiedział całując ją w rękę.

Pani Połaniecka była trochę rozmarzona pod wpływem przejażdżki, nocy, a może i wiersza. Lecz od czasu pobytu w Rzymie oboje z mężem odmawiali razem pacierz wieczorny. I po tym pacierzu ogarnęła ją nagle wielka tkliwość, jakby przypływ uczucia pokrytego przez chwilę innymi wrażeniami. Zbliżywszy się objęła ramionami szyję Połanieckiego i poczęła szeptać:

– Mój Stachu! tak nam jednak ze sobą dobrze. Prawda?

On zaś przyciągnął ją do siebie i odpowiedział z pewną niedbałą chępliwością:

– A czy ja się skarżę?

I ani w głowie mu nie powstało, że w pytaniu jej był jakby odcień żalu i zwątpienia, którego nie chciała do duszy dopuścić – i że pragnęła, by ją uspokoił i upewnił.

Nazajutrz Zawilowski oddał w biurze Połanieckiemu wycinek z jakiejś gazety ze *Śniegami w górach*. Połaniecki przeczytał go przy obiedzie, ale przy brzęku widelców wiersz wydał się mniej piękny niż wśród, ciszy nocnej przy świetle księżyca.

– Zawilowski mówił – rzekł Połaniecki – że wkrótce wyjdzie tom, ale obiecał, że przedtem pozbiera wszystko, co było w różnych pismach, i przyniesie ci.

Marynia zaś odrzekła:

– Nie; trzeba, żeby to zachował dla Linety.

– Ach! jutro się mają spotkać po raz pierwszy. Chcecie koniecznie urządzić epokę w życiu Zawilowskiego?

– Chcemy – odpowiedziała z pewną stanowczością Marynia. – Aneta z początku mnie zdziwiła – ale dlaczegożby nie!

Jakoż spotkanie nastąpiło nazajutrz. Państwo Osnowscy, pani Broniczowa i panna Castelli przyjechali nader punktualnie o piątej, ale Zawilowski przyszedł jeszcze wcześniej, by uniknąć wchodzenia do salonu przy całym towarzystwie. A i tak był nie tylko nastraszony, ale niezgrabniejszy niż zwykle, i nigdy własne nogi nie wydawały mu się tak długie. Była jednak pewna dystynkcja nawet w jego niezgrabności i pani Osnowska umiała się na tym poznać. Rozpoczęły się pierwsze sceny komedii ludzkiej, w których te panie, jako osoby dobrze wychowane, wystrzegając się wszelkiej natarczywości w przypatrywaniu się Zawilowskiemu, nie czyniły jednak nic innego; on zaś, udając, że tego nie widzi, nie myślał jednak o niczym innym, tylko że mu się przypatrują i że go sądzą. Sprawiało mu to wielki przymus, który starał się pokryć przez sztuczną swobodę, miał bowiem tyle miłości własnej, że mu chodziło o to, by sąd wypadł dobrze. Ale panie te były tak z góry nastrojone, że sąd nie mógł wypaść źle, i gdyby nawet Zawilowski okazał się głupim i płaskim, byłoby to wzięte za mądrość i poetyczną oryginalność. Najobojętniej zachowywała się panna Lineta, którą poniekąd dziwiło, że w tej chwili nie ona jest słońcem, a Zawilowski księżycem, lecz że dzieje się odwrotnie. Pierwsze wrażenie, jakie na nią uczyniła twarz Zawilowskiego, było: „Co za porównanie z tym głupcem Kopowskim!” I nieporównana, cudna twarz tego „głupca” stała jej jak żywa przed oczyma, skutkiem czego powieki jej stały się jeszcze cięższe, a wyraz, twarzy przypominał jeszcze bardziej niż zwykle sfinksa z porcelany. Drażniło ją to jednak, że Zawilowski nie zwraca żadnej niemal uwagi ani na jej postać Junony, ani na „coś tajemniczego i poetycznego”, co, jak utrzymywała pani Broniczowa, przykuwało od pierwszego rzutu oka. Zwolna też zaczęła na niego spoglądać i mając obok poetycznego usposobienia rozwinięty silnie zmysł światowej obserwacji, zauważyła, że wprawdzie on ma dużo wyrazu, ale że surdut na nim źle leży i że musi się ubierać u byle krawca, a szpilka w jego krawacie jest wprost *mauvais genre*. On tymczasem rzucając niekiedy spojrzenia na Marynię, jako na jedyną bliską i przyjazną duszę, rozmawiał z panią Osnowską, która uważając za najwyższy takt nie mówić za pierwszym razem o poezji, a dowiedziawszy się, iż Zawilowski pierwsze lata dzieciństwa spędził na wsi, poczęła szczebiotać o swoim pociągu do życia wiejskiego. Mąż jej wolał zawsze miasto mając w mieście swoje przyjemności i przyjaciół, ale co do niej!... „Och, ja jestem szczerą i przyznam się od razu, że nie cierpię folwarku, gospodarstwa i rachunków, za które nieraz byłam łajaną... Przy tym, trochę ze mnie próżniak, więc lubiłabym taką robotę, przy której można próżnować: zaraz! co to ja bym lubiła?”

Tu rozłożyła swe wydłużone paluszki, żeby na nich łatwiej wyliczyć zajęcia, które by jej przypadły do smaku:

– Naprzód, lubiłabym paść gęsi!

Zawilowski roześmiał się; wydała mu się naturalną, a przy tym zabawił go obraz pani Osnowskiej pasącej gęsi.

Jej fiołkowe oczy poczęły się także śmiać i wpadła w ton swobodnej i wesołej dziewczynki, która mówi o wszystkim, co jej przez głowę przejdzie.

– A pan by lubił? – spytała nagle Zawilowskiego.

On zaś odpowiedział:

– Pasjami!

– A widzi pan!... Co to jeszcze? Aha! lubiłabym być rybakiem. Rano na wodzie muszą się zorze odbijać ślicznie... Przy tym mokre sieci przed chatą, z błonkami wody w oczkach, to takie ładne!... Chciałabym być przynajmniej, jeśli nie rybakiem, to czapłą i medytować na jednej nodze nad wodą, albo czajką nad łąkami. Ale nie! czajka to jakiś smutny ptak! – prawda? jakby w żałobie!

Tu zwróciła się do panny Castelli:

– A ty, Linetko, czym chciałabyś być na wsi?

Panna Castelli podniosła powieki i po chwili rzekła:

– Pajęczyną.

Wyobraźnia Zawilowskiego jako poety poruszyła się tą odpowiedzią. Nagle stanęły mu przed oczyma wielkie płowe przestrzenie rżysk i srebrne nitki pławiące się w spokojnym błękicie i w słońcu.

– A jaki to ładny obraz! – rzekł.

I spojrzął uważniej na pannę Linetę, a ona uśmiechnęła się jakby z podziękowaniem za to, że odczuł piękność obrazu.

Lecz w tej chwili nadeszli Bigielowie, Zawilowskiego zaś wzięła w obroty pani Broniczowa i zastawiła go krzesłem tak, że się nie mógł poruszyć. Łatwo było odgadnąć, co stanowiło przedmiot ich rozmowy. Zawilowski bowiem podnosił od czasu do czasu oczy na pannę Castelli, jakby chcąc sprawdzić, czy wygląda na to, co o niej słyszy. Wreszcie, jakkolwiek rozmowa prowadzona była przyciszonym głosem, obecni usłyszeli wkrótce słowa, jakby precedzone przez kawałek cukru:

– Czy pan wie, że ją Napoleon... to jest, chciałam powiedzieć: Wiktor Hugo... błogosławił...

W ogóle Zawilowski nasłuchiwał siłę tylu rzeczy niezwykłych, że mógł z pewną ciekawością przypatrywać się pannie Castelli. Była ona, według tych opowiadań, najdziwniejszym w świecie dzieckiem, zawsze bardzo łagodnym, ale nieobliczalnym. Mając lat dziesięć, była bardzo chora. Kazano jej oddychać morskim powietrzem, i te panie mieszkały długo na Stromboli...

– Dziecko patrzyło na wulkan, na morze i klaskało w ręczęta powtarzając: „Ładnie! ładnie!” Zajechałyśmy tam przypadkiem, błąkając się w najętym jachcie bez celu; trudno było zostać dłużej, bo to pusta wysepka, i nie było gdzie mieszkać i nie bardzo co jeść, ale ona za nic nie chciała wyjeżdżać jakby w przeczuciu, że tam przyjdzie do zdrowia. Jakoż w miesiąc, a jeśli nie w miesiąc, to we dwa, poczęła do siebie przychodzić, i niech pan patrzy, że wyrosła mi jak trzcina!

Rzeczywiście panna Castelli, lubo kształtna i nie rażąca wzrostem, wyższą była nieco nawet od pani Osnowskiej. Zawilowski patrzył na nią ze wzrastającym zajęciem. Przed rozejściem się gości, wypuszczony wreszcie z niewoli, zbliżył się do niej i rzekł:

– Nie widziałem nigdy wulkanu i nie mam pojęcia, jakie to może sprawiać wrażenie.

– Ja znam tylko Wezuwiusz – odpowiedziała – ale jakeśmy go widziały, nie było wybuchu.

– A Stromboli?

– Nie znam.

– Tom się tylko przestyszał, bo – ciotka pani...

– Tak – odpowiedziała panna Castelli – nie pamiętam! Byłam widocznie zbyt mała.

I na twarzy jej odbiła się przykrość i zmieszanie.

Pani Osnowska, nie wychodząc do końca z roli czarującej terkotki, zaprosiła przed wyjazdem Zawilowskiego do siebie, „któregokolwiek wieczoru, bez ceremonii i bez fraka, bo taką wiosnę można uważać za lato, a w lecie najprzyjemniejsza swoboda”. Oświadczyła przy tym, iż rozumie, że ludzie tacy jak on nie lubią nowych znajomości, ale jest na to prosiły sposób, a mianowicie: uważać ich za starą. Najczęściej siedzą sami: Linetka coś czyta albo mówi, co jej przez głowę przechodzi, a jej takie różne rzeczy przez głowę przechodzą, że warto je słyszeć, zwłaszcza komuś, kto jest w stanie lepiej je odczuć i zrozumieć niż kto inny.

Panna Castelli uścisnęła na pożegnanie dość silnie jego rękę, jakby potwierdzając, że mogą i powinni się zrozumieć. Zawilowski, nieprzywykły do ludzi, był trochę odurzony: słowami, szelestem sukien, oczyma i zapachem irysowym, który te panie zostawiły po sobie. Czuł przy tym trochę zmęczenia, bo w tej rozmowie, jakkolwiek swobodnej i pozornie pełnej prostoty, brakło takiego spokoju, jaki był zawsze w słowach pani Połanieckiej i pani Bigielowej; Zawilowskiemu zostało poniekąd wrażenie bezładnego snu.

Bigielowie mieli zostać na obiedzie, więc Połaniecki zatrzymał i Zawilowskiego. Tymczasem poczęli mówić o tych paniach.

– Cóż panna Castelli? – spytała Marynia.

– Obie mają dużo wyobraźni – odpowiedział po chwili zastanowienia Zawilowski. – Czy pani zauważyła, jak im łatwo mówić obrazami?

– Ale prawda, jaka Lineta interesująca panna?

Połaniecki, na którym panna Castelli nie czyniła wielkiego wrażenia, a który był głodny i pilno mu było do obiadu, odezwał się z pewną niecierpliwością:

– Co wy tam upatrujecie! Interesująca, dopóki nie spowszednieje.

Pani Połaniecka zaś odrzekła:

– Nie! Lineta nie spowszednieje... Powszedniejszą tylko takie zwyczajne, proste istoty, które nie umieją nic innego, tylko kochać.

Zawilowskiemu, który spojrział na nią w tej chwili, wydało się, iż dostrzegł w niej odcień smutku. Była może przy tym jeszcze osłabiona, bo twarz jej miała tony po prostu liliowe.

– Pani się zmęczyła? – spytał.

– Trochę – odpowiedziała uśmiechając się.

Jego zaś młode, wrażliwe serce zabiło dla niej wielkim współczuciem. „To jest naprawdę lilia” – pomyślał – i w porównaniu z jej słodkim urokiem pani Osnowska przedstawiła mu się jak krzykliwa sójka, a panna Castelli jak martwa głowa posągu. Poprzednio, po każdym widzeniu pani Połanieckiej, marzył, bywało, o takiej kobiecie jak ona; tego wieczoru począł marzyć nie o takiej jak ona, ale o niej samej. A ponieważ uświadamiał szybko wszystko, co się w nim działo, więc spostrzegł, że ona zaczyna mu być kwiatem nie tylko „polnym”, ale i kochanym.

Połaniecki zaś, spotkawszy go na drugi dzień w biurze, pytał:

– Cóż śpiąca królewna? Śniła się panu? co?

– Nie! – odpowiedział Zawilowski czerwieniąc się.

Połaniecki spostrzegłszy jego rumieniec począł się śmiać i rzekł:

– Ha! trudno! każdy musi przez to przejść: przeszedłem i ja!

XXII

Marynia nie skarżyła się nawet sama przed sobą na męża. Nie było dotąd między nimi najmniejszego nieporozumienia. Musiała tylko przyznać, że prawdziwe, bardzo wielkie szczęście, a zwłaszcza bardzo wielką miłość, taką, o jakiej marzyła, gdy Połaniecki był jej narzeczoną, wyobrażała sobie inaczej. O tym

przekonywał ją każdy niemal dzień. Inne były nadzieje, inną pokazywała się rzeczywistość. Prawa natura Maryni nie poczęła się przeciw tej rzeczywistości buntować, ale padł na nią cień smutku wraz z poczuciem, że ów cień może się stać z czasem tłem życia. Mając pełną duszę dobrej woli próbowała sobie z początku dowieść, że to są jej własne urojenia. Czego jej brakło i w czym Połaniecki mógł ją zawieść? Nie wyrządził jej nigdy umyślnej przykrości; ilekroć przyszło mu do głowy, że coś mogłoby być jej przyjemne, starał się jej to zapewnić: był dla niej hojny, dbał o jej zdrowie, chwilami zacałowywał jej twarz i ręce – słowem, był raczej dobrym niż złym. A jednak czegoś w tym brakło. Maryni trudno było to określić w jednym lub kilku słowach, ale umysł jej był zbyt jasnym, żeby nie rozumieć tego, co serce odczuwało co dzień żywiej i co dzień smutniej. Czegoś brakło! Po wielkim i uroczystym święcie miłości zaczynał się szereg dni powszednich, a jej żal było święta; chciałyby była rozciągnąć je na całe życie, widziała zaś ze zmartwieniem, że mężowi jej ta powszedniość wydawała się właśnie czymś normalnym i pożądanym. Tak jak było, nie było źle, ale to nie było owo wysokie szczęście, które taki człowiek powinien być zdolny czuć, stworzyć i dać. Ale prócz tego chodziło i o inne rzeczy. Oto ona czuła, iż jest więcej jego niż on jej – i że gdy ona oddaje mu całą duszę, on zwraca jej ze swojej tylko tę część, którą z góry przeznaczył na użytek domowy. Mówiła sobie wprawdzie, że on jest mężczyzną, że ma po za nią cały świat pracy i myśli; ale niegdyś spodziewała się, że on ją weźmie za rękę i w ten świat wprowadzi, że przynajmniej w domu będzie się nim z nią dzielił, tymczasem nie mogła się nawet łudzić, żeby tak było. I rzeczywistość gorsza była, niż sobie wyobrażała. Połaniecki – jak sam się wyrażał – wziął ją i miał i gdy wzajemne ich uczucie stało się zarazem prostym wzajemnym obowiązkiem, sądził, iż nie potrzebuje inaczej się o nie troszczyć ani inaczej o nią zabiegać, jak o wszelkie inne obowiązki codziennego życia. Nie przyszło mu wprost do głowy, że do takiego ogniska nie dość jest dokładać zwyczajnych drew, jak się dokłada do komina, ale że trzeba sypać w nie bursztyn i myrrę tak, jak się je sypie przed ołtarzem. Gdyby mu ktokolwiek coś podobnego powiedział, wzruszyłby ramionami i uznał go za romantyka. Dlatego była w nim może troskliwość męża, ale nie było nic z troski kochanka ani przejęcia się, ani czuwania, ani takiej bojaźni, która w mniejszym zakresie ziemskich uczuć jest tym, czym bojaźń boża w uczuciu religijnym. Niegdyś, gdy po sprzedaży Krzemienia Marynia była względem niego obojętna, on czuł i przeszedł przez to wszystko, ale teraz, a nawet od czasu śmierci Litki, gdy począł być zupełnie pewnym, że ona jest jego własnością, nie myślał o niej więcej, niż wypada myśleć o własności. Uczucie jego, oparte przeważnie na jej uroku fizycznym, posiadało to, czego chciało – i było spokojne, a czas mógł je tylko w przyszłości spowszedniać, ochładzać, stępieć.

Tymczasem teraz już, jakkolwiek było jeszcze żywe, brakło mu takiej na przykład czujnej i pieśczołtliwej tkliwości, jaka była w uczuciu dla Litki. I Marynia to spostrzegła. Dlaczego tak było? – na to nie umiała odpowiedzieć, niemniej jednak wyraźnie czuła, że była dla tego człowieka, któremu chciała być wszystkim, czymś pospolitszym i mniej cennym niż tamto zmarłe dziecko.

Nie przyszło jej to do głowy i nie mogłoby się żadną miarą w niej pomieścić, iż jedyny powód był ten, że tamto dziecko nie było jego, a ona zaś oddała mu i ciało, i duszę. Sądziła, że im się więcej oddaje, tym się więcej powinno otrzymać i mieć. Ale czas przyniósł jej pod tym względem dużo zawodów. Oto nie mogła również nie dostrzec, że wszyscy byli pod jakimś jej urokiem, że wszyscy ją cenią, chwalą, że Świrski, Bigiel, Zawilowski i nawet pan Osnowski patrzą na nią nie tylko z podziwem, ale niemal z zachwytem, i że najmniej ze wszystkich robi sobie z tych przymiotów – on – „Stach”. Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, by on nie był zdolny się na niej poznać i ocenić tego, co inni w niej dostrzegali i ocenili z taką łatwością. Wiec co był za powód? Te pytania dręczyły ją teraz dniem i nocą. To, iż spostrzegła, że Połaniecki we wszystkim trochę udaje charakter zimniejszy i bardziej trzeźwy, niż ma rzeczywiście, nie wydało się jej dostateczną odpowiedzią. Pozostawała jej, niestety,

odpowiedź tylko jedna: „On mnie nie kocha tak, jakby mógł, i dlatego nie ceni, jak cenią inni.” Było w tym tyle samo prawdy, ile goryczy i smutku.

Instynkt kobiecy, który w takich razach nigdy nie zawodzi, ostrzegł Marynię, że uczyniła na Zawilowskim niezwykle wrażenie i że to wrażenie powiększało się za każdym spotkaniem. I myśl ta nie oburzyła jej, nie wybuchnęła w gniewnym pytaniu: „Jak on śmie?!” – bo zresztą on na nic się nie ośmielał – przeciwnie, dodała jej pewnej otuchy, pewnego zaufania we własny urok, które chwilami poczynała tracić, ale zarazem wzbudziła tym większy żal, że taką tkliwą cześć, taki zachwyt okazywał jej ktoś obcy, nie zaś „Stach”. Co do Zawilowskiego, nie czuła dla niego nic prócz wielkiej sympatii i przychylności, więc myśli jej pozostały czyste. Nie byłaby zdolną bawić się przez próżność cudzym cierpieniem, i z tego powodu, nie chcąc, by zaszedł za daleko, przyłączyła się chętnie do planu pani Osnowskiej zbliżenia Zawilowskiego z panną Castelli, jakkolwiek ten plan wydał się jej tak nagłym, że aż niezrozumiałym. Zresztą i serce jej, i umysł były zajęte całkowicie pytaniami: czemu ten dobry, ten rozumny i ten kochany „Stach” nie chce wstępować z nią na wysokości? czemu on nie ceni jej tak, jakby mógł? czemu on ją tylko kocha, ale nie kocha się w niej? czemu jej miłość uważa tylko za coś przynależnego sobie, ale nie za coś drogiego? Skąd to poszło i gdzie leży tego przyczyna?

Każda płaska, samolubna natura znalazłaby całą winę i w nim – Marynia Połaniecka znalazła ją w sobie. Wprawdzie odkrycie to uczyniła z cudzą pomocą, ale tak była zawsze gotowa zdjąć wszelką odpowiedzialność ze swego „Stacha”, a wziąć na siebie, że obok przestachu, sprawiło ono jej niemal radość.

Raz po południu siedziała sama i z rękoma złożonymi na kolanach gubiła się w myślach i pytaniach, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi, gdy wtem drzwi się otworzyły i ukazał się w nich biały kwef i ciemna suknia siostry miłosierdzia.

– Emilka! – zawołała z radością pani Połaniecka.

– Tak, to ja – odpowiedziała siostra – mam dziś wolny dzień i chciałam was odwiedzić. Gdzie pan Stanisław?

– Stach jest u państwa Maszków, ale myślę, że niezadługo wróci. Ach, jaki będzie rad! Siadaj, odpocznij! Pani Emilia siadła i poczęła mówić:

– Ja bym częściej do was wpadała – tylko że nie mam czasu. Ale dziś wolny dzień: byłam u Litki. Żebyś wiedziała, jak tam zielono i co ptaków!

– Byliśmy tam kilka dni temu. Wszystko kwitnie – i taki spokój... Jaka szkoda, że Stacha nie ma!

– Tak. On ma przy tym kilka listów Litki: chciałam go prosić, żeby mi ich pożyczył. Na przyszłą niedzielę wpadnę znowu i odniosę mu je.

Pani Emilia mówiła już spokojnie o Litce. Może było tak dlatego, że z niej samej został tylko cień żywej istoty, który miał się wkrótce rozwiać – ale tymczasem była w niej niezmacona pogoda. Myśl jej nie była już także pochłonięta wyłącznie nieszczęściem i owa dawna obojętność dla wszystkiego, co nie było Litką, przeszła. Zostawszy siostrą miłosierdzia zstąpiła znów między ludzi i nauczyła się odczuwać wszystko, co stanowiło ich dołę lub niedołę, wesołość lub smutek, a nawet przyjemność lub przykrość.

– A jak tu u was zawsze ładnie! – rzekła po chwili. – Po naszych białych ścianach takie mi się tu wszystko wydaje bogate. Pan Stanisław był niegdyś wielki leniuch; bywał u państwa Bigielów i u nas; nigdzie więcej nie chciało mu się bywać, ale teraz pewno się rozruszał i przyjmujecie dużo ludzi?

– Nie – odpowiedziała Marynia. – Bywamy tylko u państwa Maszków, u pani Broniczowej i u państwa Osnowskich.

– A, poczekaj! Ja znam panią Osnowską. Znałam ją jeszcze panną. Znałam także oboje państwa Broniczów i ich siostrzenicę, ale ona nie była wtedy jeszcze dorosła. Pan Bronicz umarł sześć lat temu. Widzisz, jak ja wszystko wiem!

Marynia poczęła się śmiać.

– Doprawdy więcej ode mnie. Ja poznałam państwa Osnowskich dopiero w Rzymie.

– Przecie tyle lat mieszkałam w Warszawie, więc wszystko obijało mi się o uszy. Niby to przesiadywałam ciągle w domu, ale świat mnie zajmował. Taki to był ze mnie lekkoduch! Zresztą i twój dzisiejszy pan Stach znał panią Osnowską...

– Mówił mi o tym. Spotykali się na balach publicznych.

– Ona miała wówczas wychodzić za pana Kopowskiego. Były i łzy, i rozpacz, bo jej ojciec się sprzeciwił. Ale dobrze trafiła? – nieprawda? Pan Osnowski zawsze uchodził za bardzo dobrego człowieka.

– I jest dla niej jak najlepszy. Ale o tym nie wiedziałam, że ona miała wyjść za pana Kopowskiego, i dziwi mnie to – taka inteligentna!

– Chwała Bogu, że szczęśliwa; byle chciała to cenić. To rzadka rzecz szczęście, i tak się trzeba umieć z tym dobrze obchodzić! Ja się nauczyłam teraz patrzeć na świat bardzo bezstronnie, jak mogą tylko ludzie, którzy dla siebie niczego już nie wyglądają – i wiesz, co mi nieraz przychodzi do głowy? Że szczęście to jak oczy: lada prószynka – i zaraz poczynają łzy płynąć. Marynia uśmiechnęła się trochę smutno i odrzekła:

– Oj to, to wielka prawda!

Nastała chwila milczenia, po czym pani Emilia, spojrzawszy uważnie na Marynię, położyła łagodnie swoją przezroczystą rękę na jej dłoni i spytała:

– Ale ty, Marylko, jesteś szczęśliwa? – tak? i Marynię chwyciła nagle taka chęć do płaczu, że oparła się jej tylko z największym wysileniem. Ale trwało to jedno mgnienie oka. Cała jej prawa dusza wzdrygnęła się nagle na myśl, że jej łzy lub smutek byłyby niejako skargą na męża, więc siłą woli opanowała wzruszenie i odrzekła:

– Byle tylko Stach był szczęśliwy!

I podniosła pogodnie już zupełnie oczy na panią Emilię, która rzekła:

– Litka wam to wyprosi! Spytałam tylko dlatego, że jakem weszła, wydałaś mi się jakaś zasepiona. Ale ja wiem najlepiej, jak on cię kochał i jaki był nieszczęśliwy wówczas, gdyś się na niego gniewała z powodu Krzemienia.

Maryni twarz rozjaśniła się uśmiechem. Tak miłe jej było każde słowo o jego dawnej miłości, że gotowa była słuchać tego rodzaju opowiadań bez końca.

Pani Emilia zaś mówiła dalej, dotykając jej ręki.

– A ty, brzydkie dziecko! Takieś było niemilosierne, tak nie umiałaś ani ocenić, ani uszanować prawdziwego przywiązania, że czasem byłam na ciebie zła. Czasem bałam się o pocziwego pana Stanisława, żeby się nie zraził do życia, żeby się nie zwichnął, żeby nie zdziwaczał. Bo to, widzisz, zdarza się, że jak się zrobi jakaś fałdka gdzieś w głębi serca, to całe życie nie można jej potem wyprostować.

Marynia podniosła głowę i poczęła mrugać, jakby oczy jej poraziło jakieś nagłe światło.

– Emilko, Emilko! – zawołała – jak ty rozumnie mówisz!

Pani Emilia nazywała się teraz „siostra Aniela”, ale Marynia nazywała ją zawsze dawnym imieniem.

– Ej, co tam rozumnego! – rzekła. – Ot, tak sobie zrzedzę za dawne czasy. Ale Litka wyprosi wam szczęście i Bóg wam je da, boście go oboje warci.

I poczęła się zbierać. Marynia zatrzymywała ją do przyjścia męża, ale na próżno, gdyż w zakładzie czekało ją zajęcie. Jednakowoż pogawędziły jeszcze, według zwyczaju kobiecego, z kwadrans we drzwiach; wreszcie pani Emilia odeszła obiecując odwiedzić ich znów na przyszłą niedzielę.

Marynia Połaniecka wróciła na swój fotel pod oknem i wsparłszy się na rękę poczęła myśleć nad słowami pani Emilii, po chwili zaś rzekła półgłosem:

– Tak, to moja wina!...

Zdawało jej się teraz, że ma klucz do zagadki. Oto nie umiała uszanować siły tak prawdziwej i tak wielkiej jak miłość. I teraz w jej struchlałym sercu wydała się ta miłość jakimś obrażonym bóstwem, które karze. Wówczas Połaniecki był przed nią na kolanach. Ilekroć się spotkali, patrzył jej w oczy wyglądając zmiłowania od jej serca i od tych wspomnień białych, nikłych, ale drogich, które ich łączyły. Gdyby wtedy była zdobyła się na prostotę i na wspaniałomyślność, gdyby była wyciągnęła do niego rękę, jak nakazywało jej tajone uczucie – byłby jej wdzięczny przez całe życie, byłby czcił ją, czcił i kochał z tym większą tkliwością, im bardziej odczuwałby własną winę, a jej dobroć. Ale ona wówczas wolała pielęgnować i rozdmuchiwać swoją urazę, a jednocześnie przyciągać Maszkę. Gdy było trzeba zapomnieć, nie umiała zapomnieć; gdy trzeba było przebaczyć, nie umiała przebaczyć. Wolała sama cierpieć, byle i on cierpiał. Połanieckiemu oddała rękę wówczas dopiero, kiedy nie mogła inaczej, kiedy nie oddać jej byłoby wprost niecną i bezrozumną zatwardziałością. Prawda, że wówczas tłumione kochanie powstało w całej swej nieprzewyciężonej mocy i że pokochała sercem i duszą – ale to było za późno. Miłość została obrażona. Coś się złamało, coś zginęło; w jego sercu powstała taka złowroga fałda, o jakiej wspominała pani Emilia – i teraz ona, Marynia, zbiera tylko to, co posiadała.

On tu nic nie winien – i jeśli kto komu, to nie on jej, ale ona jemu popsowała życie.

Zdjął ją na tę myśl taki strach i taki żal, że przez chwilę patrzyła w przyszłość z zupełnym przerażeniem. A zarazem chciało się jej płakać i płakać jak małemu dziecku. Gdyby pani Emilia nie była odeszła, byłaby to uczyniła w jej ramionach. Była tak przejęta ciężarem własnych przewinień, że gdyby w tej chwili ktoś nadszedł i próbował zdjąć z niej ten ciężar, gdyby jej powiedział: „Tyś tyle winna, ile gołąb” – byłaby uważała, iż mówi rzecz niegodziwą. Najstraszniejszym w tej rozterce duchowej było to, że w pierwszej chwili klęska wydała jej się niepowetowaną i że jej się zdawało, iż w przyszłości może być tylko gorzej i gorzej, że „Stach” będzie ją coraz mniej kochał – i że będzie miał prawo coraz mniej kochać, słowem: nie widziała przed sobą ratunku.

Logika mówiła jej: dziś jeszcze jest dobrze w porównaniu z tym, co może być jutro, pojutrze, za miesiąc, za rok... A tu przecie chodzi o całe życie.

I poczęła wysilać swą biedną, strapioną głowę, by wynaleźć, jeśli nie drogę, to przynajmniej jaką ścieżynę, którą by można wyjść z tych manowców nieszczęścia. Na koniec, po długim wysileniu, po Bóg wie ilu połkniętych łzach, zdawało jej się, że widzi przed sobą jakieś światło.

I to światło, w miarę jak mu się jąta przyglądać, rosło coraz bardziej.

Było jednak coś potężniejszego od logiki nieszczęścia, potężniejszego od win spełnionych i obrazonego bóstwa, umiającego się tylko mścić – miłosierdzie boże!

Ona zawiniła, więc do niej należy winy naprawić. Trzeba oto „Stacha” kochać tak, żeby odnalazł wszystko to, co mu zginęło w sercu. Trzeba mieć cierpliwość nie tylko nie narzekać na swoją dzisiejszą dolę, ale jeszcze dziękować Bogu i „Stachowi”, że jest taka, jak jest. Gdyby przysły większe smutki i trudności, trzeba je po cichutku pochować w sercu – i wytrwać długo, bardzo długo, choćby lata całe, póki nie przyjdzie miłosierdzie boże.

Ścieżynka poczęła się teraz zmieniać w gościniec. „Nie zbłądź!” – mówiła sobie Marynia. – Chciało się jej i teraz płakać z wielkiej radości, ale sądziła, że nie może sobie na to pozwolić. Zresztą lada chwila Stach mógł wrócić i trzeba, żeby ją zastał z suchymi oczyma.

Jakoż niebawem wrócił. Marynia chciała w pierwszej chwili rzucić mu się na szyję, ale czuła się względem niego tak winną, że wstrzymała ją jakaś nagła nieśmiałość.

On zaś, pocałowawszy ją w czoło, spytał:

– Nie był tu nikt?

– Była Emilka, ale nie mogła dłużej zastać. Przyjdzie w przyszłą niedzielę.

Wówczas zniecierpliwził się:

– Ach, Boże! Wiesz, że to taka dla mnie przyjemność ją widzieć – czemuś nie dała mi znać? Wiedziałaś przecie, gdzie jestem; czemuś nie pomyślała o mnie?

A ona, jak dziecko, które się tłumaczy, poczęła mówić głosem, w którym drgały łyzy, ale zarazem i jakaś otucha:

– Nie, Stachu! – owszem! – jak ciebie kocham, tak ciągle myślałam o tobie!

XXIII

– A widzicie państwo, że byłem – mówił wesoło u Bigielów Zawilowski – patrzyli na mnie trochę jak na jakąś panterę albo na wilka, ale ja okazałem się bardzo oswojonym stworzeniem; nikogo nie podrapałem, nic nie rozbiłem, odpowiadałem mniej więcej przytomnie. Nie, ja to przecie dawno zauważyłem, że z ludźmi łatwiej żyć, niż się wydaje – i tylko w pierwszych chwilach mam zawsze ochotę zmykać. Ale te panie naprawdę bardzo są swobodne.

– Proszę nas nie zbywać i opowiedzieć nam dokładnie wszystko, jak było – rzekła pani Bigielowa.

Jak było? Otóż naprzód wszedłem za kratę willi i nie wiedziałem, co dalej uczynić, ani gdzie mieszkają państwo Osnowscy, a gdzie pani Broniczowa – i czy im się razem składa wizytę, czy trzeba być osobno u jednych i u drugich.

– Osobno – rzekł Połaniecki. – Pani Broniczowa ma oddzielne mieszkanie, chociaż mają jeden salon, który uważają za wspólny.

– Otóż znalazłem wszystkich w tym salonie i pani Osnowska pierwsza wyprowadziła mnie z kłopotu, bo mi powiedziała, że się mną dzieli z panią Broniczową i że za jednym razem składałam dwie wizyty. Zostałem tam panią Maszkową i pana Kopowskiego – i to jest jakiś pan, taki piękny, że powinien mieć na głowę takie pudełko z aksamitem w środku, jakich używają jubilerowie. Kto to jest pan Kopowski?

– Dureń! – odpowiedział Połaniecki. – W tym się mieści imię, sposób utrzymania, zajęcie i znaki szczególne. Innego rysopisu nie potrzebuje nawet w paszporcie.

– Teraz rozumiem – rzekł Zawilowski – i niektóre słowa, jakie słyszałem, stały mi się jasne. Otóż ten pan pozował, a młode panie malowały go: pani Osnowska olejno wprost, a panna Castelli akwarelą z profilu. Obie były ubrane w perkalowe fartuszki na wierzchu sukien i obie były śliczne. Pani Osnowska widocznie dopiero zaczęła się uczyć, ale panna Castelli da dużo wprawy.

– O czymżeście mówili? Zawilowski zwrócił się do Maryni:

– Naprzód te panie pytały o zdrowie pani, ja zaś powiedziałem, że pani coraz lepiej wygląda.

Nie wspomniał jednak, że przy tej okazji zaczerwienił się był jak student i że obecnie pocieszał się tylko myślą, że wszyscy tak byli zajęci malowaniem, iż nikt tego nie zauważył, w czym zresztą mylił się. Zmieszał się nawet nieco teraz jeszcze i chcąc to pokryć począł mówić dalej:

– Później, oczywiście, mówiliśmy o malowaniu i portretach. Ja zauważyłem, że panna Castelli ujęła nieco głowy panu Kopowskiemu, ona zaś odpowiedziała mi: „To nie ja, to natura!”

– To sprytna dziewczyna!

– I powiedziała to zupełnie głośno. Ja się zacząłem śmiać, wszyscy inni także, a ze wszystkimi i pan Kopowski. To musi być łatwy charakter. Oświadczył następnie, że jeśli dziś gorzej wygląda niż zwykle, to dlatego, że się nie wyspał i że mu pilno w objęcia Orfeusza.

– Orfeusza?

– Tak. Pan Osnowski poprawił go bez ceremonii, ale on się nie zgodził na poprawkę, mówiąc, że przynajmniej z dziesięć razy był na Orfeuszu – i że pamięta dobrze. Te panie trochę się nim bawią, ale on taki ładny chłopiec, więc go rade malują. Jaka to jednak artystka ta panna Castelli! Jak mi zaczęła pokazywać pędzelkiem rozmaite płaszczyzny i linie na zaczętych portrecie pana Kopowskiego, to aż dostała kolorów: „Co to za linia!” – „A jakie tu tony!” Muszę jej oddać sprawiedliwość, że wyglądała przy tym jak muza. Mówiła mi, że przede wszystkim lubi malować portrety, że o każdej twarzy myśli naprzód jak o modelu i że te głowy, w których jest coś niepospolitego, śnią się jej.

– Oho! będzie i pan naprzód się jej śnił, a potem pozował – jestem pewna! – odrzekła Marynia. – I to będzie dobrze.

Zawiłowski zaś odpowiedział trochę niepewnym głosem:

– Powiedziała mi wprawdzie, że to jest podatek, który lubi ściągać od dobrych znajomych, sama jednak wprost nie zwróciła się do mnie z żądaniem – i żeby nie pani Broniczowa, nie byłoby o tym mowy.

– Pani Broniczowa wyręczyła muzę? – rzekł Połaniecki.

Marynia zaś powtórzyła:

– Owszem, to będzie dobrze.

– Dlaczego, pani? – spytał Zawiłowski.

I spojrzął na nią wzrokiem zarazem pokornym i niespokojnym. Myśl, że ona może chce umyślnie popchnąć go do innej, dlatego iż odgadła, co dzieje się w jego sercu, pociągała go i zarazem przejmowała strachem.

– Bo – odpowiedziała Marynia – ja wprawdzie panny Linety prawie nie znam i sądzę tylko z pierwszych wrażeń i z tego, co o niej słyszę, ale mi się wydaje, że to niepospolita natura i że jest coś głębokiego w jej sercu – więc dobrze, że się poznacie.

– Ja także sądzę z pierwszych wrażeń – odpowiedział uspokojony Zawiłowski – i prawda, że mnie równie panna Castelli wydaje się mniej powierzchowną niż pani Osnowska. W ogóle to są ładne i miłe kobiety, tylko – może ja nie umiem tego określić, bo nie znam dość świata – ale oto, wyszedłszy od nich, miałem takie uczucie, jakbym jechał w wagonie z ogromnie miłymi cudzoziemkami, które bawią się, rozmawiają bardzo sprytnie – ale nic więcej. Czuje się jednak w nich coś obcego. Pani Osnowska na przykład to zupełnie jak storczyk. Kwiat bardzo szczególny i ładny, ale jakiś obcy. Panna Castelli – także. Tak!... i w niej nie ma nic swojskiego. Z nimi nie ma się uczucia, że się wyrosło z jednego pola, na jednym dżdżu i pod jednym słońcem...

– Jaką ten poeta ma intuicję! – rzekł Połaniecki.

Zawiłowski zaś ożywił się tak, iż na jego delikatnym czole zarysowały się wyraźniej żyły w kształcie Y. Czuł, że w jego przyganie dla tamtych pań jest zarazem pochwała dla Maryni, i to czyniło go wymownym.

– Przy tym – mówił dalej – istnieje jakiś instynkt, który odgaduje prawdziwą zyczliwość ludzką. Tam się tego nie odgaduje. One są miłe, uprzejme – ale to wygląda tylko na formę, i dlatego myślę, że tam człowiek szczery, który łatwo łączy się do ludzi, mógłby doznać wielu zawodów. To taka przykra i upokarzająca rzecz brać towarzyską plewę za ziarno! Co do mnie, to dlatego właśnie boję się ludzi; bo choć pan Połaniecki powiada, że ja mam intuicję, ale ja wiem doskonale, że w gruncie rzeczy jestem naiwny. A bolą mnie takie rzeczy ogromnie. Po prostu, nie znoszą tego moje nerwy. Pamiętam, że gdy będąc jeszcze dzieckiem zauważyłem, że ludzie są inni dla mnie przy rodzicach, a inni, gdy ich nie ma, była to jedna z większych przykrości mego dzieciństwa. Wydawało mi się to niktzemne i gryzło mnie tak, jakbym się sam czegoś niktzennego dopuszczał.

– Bo pan ma poczciwą naturę – rzekła pani Bigielowa.

On zaś wyciągnął swoje długie ręce, którymi miał zwyczaj wymachiwać, gdy zapomniawszy o swej nieśmiałości, mówił swobodnie, i zawołał:

– Ach, szczerłość! to i w sztuce, i w życiu – jedyna rzecz!

Lecz pani Połaniecka poczęła bronić tamtych pań.

– Ludzie, a zwłaszcza panowie, są często niesprawiedliwi i własne posądenia, a nawet przypuszczenia, biorą za rzeczywistość. Co do pani Osnowskiej i panny Castelli, jak można je podejrzewać za drugim widzeniem? Są wesołe, dobre, uprzejme, i z czegoż miałyby płynąć ta uprzejmość, jeśli nie ze szczerzego serca?

Po czym zwróciwszy się do Zawilowskiego poczęła się z nim przekomarzać, trochę żartami, trochę naprawdę:

– A pan nie ma takiej poczciwej natury, jak mówi pani Bigielowa, bo te panie pana chwala, a pan je obmawiał...

Lecz Połaniecki przerwał jej ze zwykłą sobie żywością:

– Ach, ty jesteś także naiwna i wszystkich mierzysz własną miarą. Wiedźże o tym, że zdawkowa dobroć i uprzejmość mogą płynąć także z egoizmu, który chce, żeby mu wesoło było i spokojnie.

Po czym rzekł do Zawilowskiego:

– Jeśli pan tak uwielbia szczerłość – to ot! tu siedzi! – masz pan prawdziwy typ!

– Wiem! wiem! – rzekł z zapalem Zawilowski.

– A chciałbyś, żeby było inaczej? – pytała śmiejąc się Marynia.

– Nie; nie chciałbym, ale swoją drogą, jakie to na przykład szczęście, że nie jesteś za mała i że nie potrzebujesz nosić korków, bo gdybyś je nosiła, miałybyś ustawiczne zapalenie sumienia, że oszukujesz ludzi.

A Marynia widząc, że wzrok Zawilowskiego skierował się do jej stóp, pochowała je mimowolnie pod stołek i zmieniając przedmiot rozmowy, spytała:

– A pański tom wyjdzie już podobno w tych dniach?

– Byłby już wyszedł – odpowiedział Zawilowski – ale dodałem jeden wiersz – i to wydanie opóźni.

– A można wiedzieć tytuł wiersza?

– *Lilia*.

– Czy nie Lilia-Lineta?

– Nie, pani. Nie Lilia-Lineta.

Twarz Maryni spowaźniała. Łatwo jej było z odpowiedzi odgadnąć, że to jest wiersz do niej i o niej, więc nagle uczyniło się jej przykro, że to rozumie tylko ona sama, a drugi Zawilowski, iż skutkiem tego powstaje między nimi rodzaj tajemnicy, im tylko wiadomej. Zdawało jej się, że to jest czymś niezgodnym z tą jej szczerością, o której przed chwilą był mowa, i że jest jakimś grzechem względem „Stacha”. Po raz pierwszy dostrzegła, w jakie duchowe trudności może wpaść kobieta, choćby najbardziej zakochana w mężu i najniewinniejsza, jeśli tylko padnie na nią nieobojętny wzrok obcego mężczyzny. Bo jednak wtajemniczyć męża w swoje przypuszczenia wydało się jej niepodobieństwem. Po raz pierwszy zdjął ją pewien gniew na Zawilowskiego, ten zaś odczuł to natychmiast swymi nerwami artysty tak, jak barometr odczuwa zmiany pogody, jako zaś człowiek pozbawiony wszelkiego doświadczenia, wziął rzecz tragicznie. Wyobraził sobie, że Marynia zamknie mu drzwi, że go znienawidzi, że nie będzie mógł jej widywać – i cały świat przedstawił mu się od razu w żałobnych barwach. W jego artystycznej naturze istniała prawdziwa mieszanina egoizmu, fantazji i istotnej tkliwości, niemal kobiecej, która potrzebowała ciepła i kochania. Poznawszy panią Połaniecką przylgnął do niej z prawdziwym egoizmem sybaryty, któremu takie uczucie jest miłe i który o niczym więcej nie myśli; następnie jego fantazja wyniosła ją na poetyckie wyżyny i spotęgowałszy stokrotnie rzeczywisty jej urok uczyniła z niej nadziemską niemal istotę, a wreszcie wrodzona tkliwość, dla której osamotnienie i brak bliskiego serca były rzeczywistym bólem, wzruszyła się tak tą dobrocią, z jaką został przygarnięty, że z tego wszystkiego zrodziło się coś, mającego wszelkie pozory miłości.

Brakło jednak temu uczuciu realnych podstaw. Zawilowski, jak zresztą większość artystów, obok zdolności do porywów tak idealnych jak idealną jest sama dusza, miał zmysły satyra. Otóż zmysły te tym razem spały. Przybrał Marynię w tyle blasków, w tyle świętości, że nie pożałował jej. Gdyby, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, rzuciła mu się niespodziewanie na szyję, przestałaby estetycznie dla niego być tym, czym była i czym ją chciał mieć, to jest istotą bez skazy. Tym bardziej też sądził, że na takie uczucie może sobie pozwolić, i tym bardziej było mu teraz żal tego upojenia, które w tak wdzięczny sposób kołysało myśl i zapełniło mu pustkę życia. Tak mu było z tym dobrze, że, wróciwszy do siebie, widział jakąś postać kobiecą, do której nóg kładł duszę, że miał o kim marzyć i do kogo pisywać wiersze. Teraz, zrozumiał, że jeśli pani Połaniecka domyśli się wyraźnie, co się w nim dzieje, i jeśli on sam nie potrafi lepiej tego ukryć niż dotąd, to stosunek ich nie będzie mógł się ostać i dawna pustka, tym razem jeszcze dotkliwsza, otoczy go znowu. Począł więc wysilać głowę, jakby temu zapobiec i jakby nie tylko nie utracić nic z tego, co dotąd miał, ale widywać Marynię jeszcze częściej. W bujnej jego wyobraźni nie brakło sposobów, jakoż uczyniwszy ich pobieżny przegląd, znalazł i wybrał jeden, który, jak mu się zdawało, prowadził najprostszą drogą do celu.

– Zakocham się niby w pannie Castelli – rzekł sobie – a jej będę się zwierzał z moich udręczeń. To nas nie tylko, nie oddali, ale zbliży. Uczynię z niej moją patronkę.

I natychmiast począł układać rzecz tak, jakby układał sztukę. Wyobraził sobie, że się naprawdę kocha w tamtej „sennej królowie”, że jest nieszczęśliwy i że wyznaje swoją tajemnicę Maryni, która go słucha pochylona, z wilgotnymi z litości oczyma i jak prawdziwa siostra kładzie mu rękę na czoło. Ta gra fantazji wydała mu się tak oczywistą, a wrażliwość jego była tak wielką, że komponował wyrażenia, jakimi będzie spowiadał się Maryni – wynajdywał proste a rozdzierające – i czynił to z takim przejęciem, że się niemal wzruszał zupełnie szczerze.

Marynia zaś, wracając z mężem do domu, rozmyślała o tym wierszu, zatytułowanym *Lilia*, który opóźnił wydanie książki. Jako prawdziwa kobieta, trochę go była ciekawa, a trochę się go bała. Bała się też w ogóle trudności, jakie mogła zrobić w stosunku z Zawilowskim przyszłość.

I pod wpływem tych obaw rzekła:

– Wiesz, o czym ja myślę? że taka Lineta to byłby jednak wielki los dla Zawilowskiego.

– Powiedz mi – odpowiedział Połaniecki – co wam strzeliło do głowy z tym Zawilowskim i z tamtą włoską gildią?

– Ja, mój Stachu, przecie nie swatam, tylko mówię, że nie byłoby to źle. Anetce Osnowskiej trochę się pali w głowie, to prawda, ale ona taka żywa jak iskra.

– Narwana, nie żywa, ale wierz mi, że nie taka naiwna, jak się wydaje, i we wszystkim ma swój osobisty planik. Czasem myślę, że ją panna Castelli tyle obchodzi, ile mnie, i że na dnie tego wszystkiego jest coś innego.

– Cóż by mogło być?

– Nie wiem, a nie wiem może dlatego, że i to mnie mało obchodzi. W ogóle nie mam zaufania do tych kobiet.

Dalszą rozmowę przerwał im Maszko, który zajeżdżał właśnie dorożką przed ich dom, i ujrzawszy ich pośpieszył powitać Marynię, następnie rzekł do Połanieckiego:

– Dobrze, żeśmy się spotkali, bo jutro wyjeżdżam na parę dni, a że dziś termin, więc przynoszę ci pieniądze.

Po czym zwrócił się do Maryni:

– Byłem właśnie u ojca pani. Pan Pławicki doskonale wygląda, ale mówił mi, że tęskni za wsią i za gospodarstwem, dlatego namyśla się, czy nie kupić jakiego mająteczku pod miastem. Powiedziałem mu, że jeśli wygramy sprawę, to może się utrzymać przy Płoszowie.

Maryni nie w smak była ta rozmowa, w której przebijała zresztą lekka ironia, więc nie chciała jej podtrzymywać. Po chwili też Połaniecki zabrał Maszkę do swego gabinetu.

– Wszystko więc dobrze idzie? – rzekł.

– Oto jest rata – odpowiedział Maszko – jaka przypada od twojej sumy. Bądź łaskaw pokwitować.

Połaniecki siadł do biurka i napisał pokwitowanie, Maszko zaś rzekł:

– A teraz inna sprawa. Sprzedałem ci niegdyś dąbrowę na Krzemieniu z warunkiem, że będę mógł ją odkupić zwróciwszy cenę i umówiony procent. Oto cena i umówiony procent. Spodziewam się, że nie masz nic do nadmienienia, ja zaś mogę ci tylko podziękować, boś mi oddał wówczas rzeczywistą usługę i – jeśli kiedyś będziesz potrzebował czegoś ode mnie – proszę cię – bez żadnej ceremonii! – proszę do mnie jak w dym – usługa za usługę! Wiesz, że lubię być wdzięcznym!

„Ta mała poczyzna, mnie protegować!” – pomyślał Połaniecki.

I gdyby nie był u siebie, może wypowiedziałby głośno tę cichą uwagę, lecz się pohamował i rzekł:

– Nic nie mam do nadmienienia, ponieważ taki był kontrakt. Nie traktowałem też tego nigdy jako interesu.

– Tym bardziej umiem to cenić – odpowiedział łaskawie Maszko.

– A w ogóle, co u ciebie słychać? – spytał Połaniecki. – Widzę, że płyniesz wszystkimi żaglami. Jak sprawa?

– Ze strony instytucji dobroczynnych występuje jakiś młody adwokacina, nazwiskiem Śledź. Piękne nazwisko, prawda? Gdybym kota tak nazwał, to by trzy dni miauczał. Ale ja tego śledzia opieprzę i zjem. Pytasz: jak sprawa? Sprawa stoi tak, że po jej ukończeniu będę się mógł prawdopodobnie wycofać z adwokatury, która zresztą nie jest zajęciem odpowiednim dla mnie – i osiaść stale w Krzemieniu.

– Z gotówką w kieszeni?

– Z gotówką w kieszeni – i to z grubą! Mam dosyć adwokatury. Ostatecznie, kto wyszedł z ziemi, tego do ziemi ciągnie. To się dziedziczy razem ze krwią. Ale na teraz dość o tym. Jutro, jak ci powiedziałem, wyjeżdżam i polecam wam moją panią, tym bardziej że pani Krasławska pojechała w tej chwili do okulisty do Wiednia. Wybieram się jeszcze do Osnowskich prosić, żeby również o niej pamiętali.

– Chętnie, owszem! – odpowiedział Połaniecki.

Potem przysłała mu na pamięć rozmowa z Marynią, więc spytał:

– Ty dawno znasz Osnowskich?

– Dość dawno. Chociaż żona moja zna ich jeszcze lepiej. On grubo bogaty człowiek; miał jedynaczkę siostrę, która umarła, i skąpca stryja, po którym wziął ogromną fortunę. Co do niej – cóż ci powiedzieć? – czytywała jeszcze jako panna, co jej w rękę wpadło, miała pretensje do rozumu, do artyzmu – słowem, do wszystkiego, do czego można mieć pretensje, a swoją drogą kochała się w Kopowskim – ot, masz ją całą.

– A pani Broniczowa i panna Castelli?

– Panna Castelli podoba się lepiej kobietom niż mężczyznom, zresztą nic o niej nie wiem prócz tego, co mówiono, że tenże Kopowski starał się czy stara o nią, a pani Broniczowa...

Tu Maszko począł się śmiać:

– Panią Broniczową chedyw wprowadzał osobiście na piramidę Cheopsa, nieboszczyk Alfons hiszpański mówił jej co dzień w Cannes: „*Bonjour, madame la comtesse!*” Musset pisywał jej w 56 roku wiersze w albumie, a Moltke przesiadywał u niej na kuferku w Karlsbadzie – słowem: przez imaginację jeździła na wszelkie koronacje. Teraz, od czasu gdy panna Castelli dorosła, a raczej wybijała na pięć stóp i coś tam cali, ciocia „Ślodyczka” odbywa te imaginacyjne podróże już nie na własny rachunek, ale siostrzenicy, w czym jej od pewnego czasu pomagają pani Osnowska tak gorliwie, że aż trudno zrozumieć, jaki ma w tym

cel. Oto wszystko, chyba że chcesz wiadomości o nieboszczyku panu Broniczu, który umarł sześć lat temu, nie wiadomo na jaką chorobę, bo pani Broniczowa za każdym razem wynajduje inną, dodając prócz tego, że był to ostatni z Rurykowiczów, nie dodając zaś, że przedostatni, to jest jego ojciec, był w swoim czasie rządcą u Rdułtowskich i że na nich dorobił się fortuny. No, skończyłem... *Vanity's fair!*... Bądź mi teraz zdrow, trzymaj mi się dobrze, a w razie potrzeby licz na mnie. Gdybym był pewien, że taka potrzeba prędko zajdzie, zmusiłbym cię do przyrzeczenia, że się do nikogo innego nie udasz, tylko do mnie. Do widzenia.

To rzekłszy Maszko uściskał rękę Połanieckiego z nieopisaną łaskawością – i wyszedł, Połaniecki zaś, wzruszywszy ramionami, rzekł:

– Dobrze, że mnie nie poklepał po ramieniu! *Vanity's fair! vanity's fair!* Taki niby sprytny człowiek, a nie widzi takiej samej próżności w sobie, jaką wyśmiewa w innych. Jaki on był inny tak jeszcze niedawno! Omal nie przestał udawać, ale jak bieda przeszła, diabeł wziął górę.

Tu przypomniało mu się, co Waskowski mówił niegdyś o próżności, o komedianctwie, po czym pomyślał:

„A jednak takim ludziom u nas się powodzi!”

XXIV

Pani Osnowska zapomniała tak zupełnie o swoich „florencorzymskich” wieczorach, że była zdziwiona, gdy jej je kiedyś mąż przypomniał. Jakieś wieczory! ani jej w głowie! Ona ma teraz inne zajęcie, które się nazywa „oswajaniem orła”. „Jeśli kto nie widzi, że orzeł i Lineta dla siebie stworzeni, to, z przeproszeniem męża i pana, ma bardzo krótki wzrok, ale na to nie ma rady. Mężczyźni w ogóle wielu rzeczy nie rozumieją, bo im brak poczuć! Zawilowski może być pod tym względem wyjątkiem, ale gdyby Marynia Połaniecka powiedziała mu po przyjaźni, żeby się staranniej ubierał i zapuścił brodę, to by było doskonale! Castelka taka na wskroś estetyczna, że ją byle co razi, choć z drugiej strony on ją porywa – mało powiedzieć! – wprost hipnotyzuje!... I przy jej naturze – nie ma w tym nic dziwnego!”

Pan Osnowski słuchając takiego szczebiotania rozplątywał się z zachwyty i korzystając ze sposobności starał się opanować ręce żony, by je pokrywać pocałunkami aż do łokci; raz jednak zadał jej to zupełnie naturalne pytanie, które i Połaniecki zadał Maryni:

– Powiedz mi, co ci na tym zależy?

A pani Aneta odrzekła z kokieteryą:

– *La reine s'amuse!* To nie sztuka pisać książki. Byle trochę talentu – to i dosyć; ale przeprowadzić w życiu to, o czym mówią książki, daleko większa sztuka, a przy tym, co za zabawa!...

Po chwili zaś dodała:

– Może też i mam jakiś osobisty cel, a jeśli mam, to niech się go Józio domyśli.

– Powiem do ucha – odpowiedział Osnowski.

Ona zaś nadstawiła ucha z figlarną miną, mrugając przy tym z ciekawości swymi fiołkowymi oczyma.

Lecz Osnowski po to tylko zbliżył usta do jej ucha, by je ucałować, za całą zaś tajemnicę powtórzył jedynie:

– *La reine s'amuse!*

I była w tym słuszność. Pani Osnowska mogła mieć swoje osobiste cele w zbliżaniu Zawilowskiego do „Castelki”, a swoją drogą to wytwarzanie romansu w życiu i rola małej opatrności zajmowały ją i bawiły ogromnie.

W tych opatrnościowych zamiarach wpadała też często i do Maryni Połanieckiej, by się czegoś o „orle” dowiedzieć, i najczęściej wracała z dobrą otuchą, Zawilowski bowiem, chcąc uspić podejrzenia Maryni, coraz więcej mówił z nią o panie Linecie. Dypłomacja jego okazała się tak skuteczną, że gdy raz pani Osnowska zapytała wprost Marynię, czy się Zawilowski w niej nie kocha, ta odpowiedziała śmiejąc się:

– Musimy się z tym pogodzić, moja Anetko, ale ani we mnie, ani w tobie. Jabłko zostało przyznane Linecie, a nam nie pozostaje nic, tylko albo płakać, albo się pocieszyć.

Z drugiej strony panna Castelli żyła w ustawicznym wmawianiu i poddawaniu tak uczuć, jak myśli, których sama miłość własna nakazywała jej się nie zapierać. Od rana do wieczora słyszała, że ten „orzeł” o szerokich skrzydłach kocha się w niej, że jest u jej nóg i że taka wybrana, taka wyjątkowa istota jak ona nie może być na to nieczułą. Zbyt jej też to pochlebiało, by mogła być nieczułą. Malując Kopowskiego podziwiała wprawdzie zawsze „przepyszne płaszczyzny” na jego twarzy – i lubiła go, bo jej dostarczał pola do rozmaitych p. o w i e d z e ń , które powtarzano potem jako dowód sprytu i dowcipu; lubiła go z różnych powodów, ale wszakże i Zawilowski nie był brzydkim chłopcem, choć nie nosił brody i nie ubierał się dość starannie. A przy tym tyle mówiono o jego skrzydłach i o tym, że taka dusza jak jej powinna go zrozumieć. Mówili to wszyscy, nie tylko Anetka! Pani Broniczowa, która nie rozumiała nigdy, jak się mógł ktoś w niej nie kochać, przeniosła później tę nieszczęśliwą pewność siebie na siostrzenicę – i tym samym przyłączyła się do zdania pani Osnowskiej hartując przy tym kanwę rzeczywistości kwiatami własnego pomysłu. Wreszcie i pan Osnowski zapisał się do chóru. Z miłości dla żony kochał on „Castelkę”, panią Broniczową i gotów był kochać wszystko, co miało dalszy lub bliższy związek z „Anetką”, więc wziął sprawę do serca. Zawilowski był mu sympatyczny; wiadomości zaś, jakie o nim zebrał, brzmiały pomyślnie. Dowiedział się w ogóle o nim tylko tyle, że był odludek, ambitny i uparty we wszystkim, co zamierzy... a oprócz tego skryty i bardzo zdolny; gdy zaś paniom przypadło to wszystko do smaku, jął pan Osnowski zupełnie poważnie rozmyślać: „Czyby to nie było dobrze?” Zachowanie się Zawilowskiego usprawiedliwiała poniekąd poważny pogląd na rzeczy, począł bowiem od niejakiegoś czasu częściej nawiedzać „wspólny salon” i więcej rozmawiać z panną Linetą. Czynił wprawdzie to pierwsze zawsze na uprzejme zaproszenia pani Osnowskiej, ale drugie płynęło z jego tylko woli. Pani Aneta zauważyła też, że wzrok jego zatrzymuje się coraz uważniej na złotawych włosach i sennych powiekach Castelki, a oczy jego odprowadzają ją, gdy przechodzi przez salon. On zaś rzeczywiście począł jej się przypatrywać, trochę przez dyplomację, a trochę przez ciekawość.

Rzecz jednak stała się o wiele więcej poważną, gdy wyszedł pierwszy tom jego poezji. Wiersze już poprzednio zwracały na siebie uwagę i mówiono o nich dużo, wszelako wrażenie rozdrabniało się przez to, że wychodziły w znacznych odstępach czasu i w rozproszeniu. Teraz książka uderzyła ludzi w oczy. Był w niej blask, siła i szczerść. Język miał w sobie niepożytość i wagę metalu, a mimo tego giął się posłusznie i przybierał wszelkie najsztubtelniejsze kształty. Wrażenie rosło. Wkrótce pochwalny pomruk zmienił się w pełen podziwu gwar. Ze zwykłą w takich razach przesadą wynoszono teraz dzieło nad wartość, a w młodym poecie poczęto przewidywać przyszłego spadkobiercę wielkiej sławy i wielkich buław. Nazwisko jego przeszło z redakcyjnych gabinetów do publiczności. Poczęto o nim mówić wszędzie, zajmować się nim i szukać go, ciekawość zaś stała się tym większa, że osobiście był mało znany. Stary, bogaty pan Zawilowski, ojciec panny Heleny, który miał zwyczaj mawiać, że istnieją może dwie największe plagi na świecie, to jest podagra i ubodzy krewni, powtarzał teraz, każdemu, kto go spytał: *Mais oui, mais oui – c'est mon cousin* – i takie oświadczenie miało również swą towarzyską wagę dla wielu osób, a między innymi pierwszorzędną dla pani Broniczowej. Pani Osnowska wraz z panną Castelli przestały cierpieć nawet z powodu mało „gustownej” szpilki w krawacie Zawilowskiego, bo teraz wszystko w nim mogło już uchodzić za oryginalność. Bolało je jeszcze skrycie, że mu było na

imię Ignacy. Wolałyby, żeby miał imię, jakoś bardziej odpowiednie do sławy i poezji; gdy jednakże pan Osnowski, który z Metz wyniósł trochę łaciny, wytłumaczył im, że to znaczy O g n i s t y , oświadczyły, że jeśli tak, to co innego – i pogodziły się z Ignacym.

Szczera i wielka radość panowała z powodu rozgłosu książki u Bigielów, u Połanieckich i w biurze. W biurze nie było ludzi zazdrosnych. Stary kasjer, Wałkowski, agent Abdulski i drugi buchalter, Późniakowski, dumni byli z kolegi, jakby jego sława opromieniała również i Dom. Wałkowski mówił nawet: „Ależ zadaliśmy ludziom szyku!” Bigiel rozważał przez dwa dni, czy Zawilowski może wobec tego wszystkiego poprzestać na skromnej posiadzie w Domu Handlowym pod firmą: Połaniecki i Bigiel, ale Zawilowski, zapytany przez niego, odpowiedział:

– A to dobre! panie drogi! To za to, że trochę ludzie gadają, chcecie mnie pozbawić kawałka chleba i najmilszego w świecie koleżeństwa. Nakładcy nie znalazłem i żebym nie był waszym buchalterem, nie mógłbym być książki wydać.

Na taki argument nie było co odpowiedzieć – i Zawilowski został w biurze. Bywał tylko coraz częściej gościem w domu i u Bigielów, i u Połanieckich. U Osnowskich nie pokazał się po wyjściu książki cały tydzień, jak gdyby coś zbroił. Ale pani Bigielowa i Marynia namawiały go, żeby poszedł, on zaś miał skrytą ochotę, więc któregoś dnia wybrał się tam na wieczór.

Zastał jednak panie w chwili wyjazdu do teatru. Chciały koniecznie zostać, ale nie zgodził się, i w końcu stanęło na tym, co i pani Anecie, i pannie Castelli sprawiło widoczną radość, mianowicie, że pojedzie razem z nimi. Tak się też stało: „Józio, jeśli zechce, weźmie sobie bilet do krzesel.” I Józio wziął bilet do krzesel. W czasie przedstawienia Zawilowski siedział na przedzie łoży, razem z panną Linetą, bo pani Osnowska uparła się, że razem z panią Broniczową będzie im „matkowała”. – „Wy sobie rozmawiajcie, o czym chcecie, a jeśli kto przyjdzie, to już ja go tak zaterkoczę, że nie będzie wam mógł przeszkodzić.” Oczy ludzkie zwracały się często na tę łożę, gdy się dowiedziano, kto w niej siedzi. I panna Castelli czuła, że otacza ją jakby światło; czuła, że ludzie nie tylko na niego patrzą, ale zarazem pytają się: kto jest ta głowa o złotawych włosach i sennych powiekach, do której on się pochyla i mówi? Sama zaś, spoglądając chwilami na niego, mówiła sobie, że gdyby nie ta zanedo wystająca broda, to by był zupełnie ładny, bardzo delikatny profil, i że tę brodę mógłby przykryć zarost. Pani Osnowska ze swojej strony dzielnie wywiązywała się z obietnicy, i gdy nadszedł Kopowski, zaterkotała go tak, że zaledwie miał czas przywitać się z panną Castelli i rzec do Zawilowskiego:

– A pan to pisuje wiersze.

Po dokonaniu zaś tego szczęśliwego odkrycia zdołał jeszcze dodać, ale raczej pod postacią monologu:

– Ja bym ogromnie lubił wiersze, ale dziwna rzecz, jak tylko czytam wiersze, to zaraz myślę o czym innym.

Panna Castelli, odwróciwszy ku niemu twarz, rzuciła mu długie spojrzenie – i nie wiadomo, co przeważało w tym spojrzeniu: złośliwość kobiety czy nagły podziw artystki – albowiem ta pozbawiona mózgu głowa wychylająca się z głębi łoży wyglądała jednak na czerwonym tle ścian jak jakiś mistrzowski pomysł malarski.

Po przedstawieniu pani Osnowska nie chciała puścić Zawilowskiego – i pojechali razem na herbatę. Zaledwie jednak stanęli w domu, pani Broniczowa poczęła mu robić wyrzuty:

– Pan jest niegodziwy człowiek, i jeśli Linetce się co stanie, to będzie na pańskim sumieniu. Dziecko mi nie je, nie śpi, tylko czyta pana i czyta...

Pani Osnowska zaś natychmiast dodała:

– Tak! Mam i ja się o co skarżyć: zagabiła pańską książkę i nie chce nikomu ani na chwilę jej dać, a jak się gniewamy, to wie pan, co odpowiada? – „To moje! to moje!”

A panna Castelli, jakkolwiek nie miała w tej chwili w ręku książki, przycisnęła je do piersi, jakby chcąc czegoś bronić, i odrzekła cichym, miękkim głosem:

– Bo to moje! moje!...

Zawiłowski spojrział na nią i uczył, że coś w nim jakby zadrzało.

Ale wracając późno, przechodził koło okien Połanieckich, w których się jeszcze świeciło. Po przedstawieniu i rozmowie u Osnowskich czuł jakiś zawrót głowy. Teraz widok tych okien oprzytomnił go. Doznał nagle takiego błęgiego wrażenia, jakiego się doznaje, gdy się myśli o czymś bardzo dobrym i bardzo drogim. Ogromnie czyste uwielbienie dla Maryni ozwało się w nim z dawną siłą. Ogarnęła, go taka łagodna egzaltacja, w której zmysły usypiają, a człowiek staje się niemal wyłącznie duszą – i wrócił do domu szepcząc ustępy z wiersza *Lilia*, najbardziej egzaltowanego, jaki kiedykolwiek napisał.

A u Połanieckich świeciło się jeszcze dlatego, że zaszło, coś, co Maryni wydało się owym wyglądanym miłosierdziem bożym.

Wieczorem, po herbacie, siedziała łamiąc jak zwykle głowę nad dziennymi rachunkami, gdy nagle złożyła ołówek. Po chwili przybladła – ale zarazem twarz jej stała się jasna – i trochę zmienionym głosem rzekła:

– Stachu!...

Jego zdziwił jej głos, więc zbliżył się i spytał:

– Co tobie jest? Trochęś blada.

– Chodź bliżej, mam ci coś powiedzieć.

I objawszy rękoma jego głowę, poczęła mu coś szeptać do ucha – a on słuchał, następnie zaś pocałowawszy ją w czoło rzekł:

– Tylko się nie wzruszaj, bo sobie możesz zaszkodzić...

Ale i w jego słowach czuć było pewne wzruszenie... Przez czas jakiś chodził po pokoju – przypatrując się żonie – w końcu pocałował ją znów w czoło.

– Ludzie zwykle sobie życzą pierwszego syna – rzekł – ale ty mi pamiętaj, żeby była córka. Damy jej na imię Litka.

Oboje nie mogli jednak długo usnąć tej nocy—i oto dlaczego Zawiłowski widział światło w ich oknach.

KONIEC TOMU DRUGIEGO